

KEN FOLLETT

TRÓJKA

Trzeba zdawać sobie sprawę, że jedyną trudnością w wyprodukowaniu bomby atomowej jest przygotowanie zapasów materiału rozszczepialnego o odpowiedniej czystości. Sam projekt konstrukcji bomby jest rzeczą stosunkowo prostą...

Encyclopedia Americana

PROLOG

Los zrządził, że tylko raz spotkali się wszyscy w jednym miejscu. Byli młodzi i upłynęło wiele lat, zanim wydarzyła się cała ta historia. Wtedy jeszcze nie mogli wiedzieć, jaki ślad to spotkanie odcisnie na ich życiorysach.

Dokładnie w pierwszą niedzielę listopada 1947 roku każdy z nich miał okazję poznać wszystkich pozostałych. Przez kilka minut przebywali w tym samym pokoju. Jedni niebawem zapomnieli twarzy i nazwisk osób, z którymi wówczas rozmawiali, innym ten dzień w ogóle nie pozostał w pamięci. Kiedy zatem w dwadzieścia jeden lat później okazał się tak ważny, udawali, że pamiętają. Wpatrywali się w wyblakłe fotografie, mrużąc: ach tak, oczywiście.

Do spotkania doszło wskutek zbiegu okoliczności, w czym nie ma nic osobliwego. Byli na ogół młodzi i zdolni, toteż władza, podejmowanie decyzji i naprawianie świata stanowiły ich przeznaczenie; każdy miał je realizować w odmienny sposób, bo każdy pochodził z innego kraju. Nic też dziwnego, że ludzie tego pokroju w młodym wieku otarli się o siebie na Uniwersytecie Oksfordzkim. Fakt, że po latach, kiedy wydarzyło się to wszystko, w sprawę zostały uwikłane osoby właściwie sobie obce, a jedynym tego powodem było to, że niegdyś zetknęły się w Oksfordzie.

W każdym razie spotkanie nie było ważnym wydarzeniem historycznym. Zwyczajne party z winem, w domu, gdzie wydawano wiele podobnych przyjęć (nie tylko z winem; mogliby coś o tym powiedzieć starsi studenci). Okoliczność niewarta wzmianki. No, może niezupełnie.

Al Cortone zastukał w drzwi i czekał, spodziewając się właściwie ujrzeć w nich nieboszczyka.

W ciągu trzech ostatnich lat upewniał się coraz bardziej w przekonaniu, że jego przyjaciel nie żyje. Najpierw dowiedział się, że Nat Dickstein dostał się do niewoli. W miarę jak cichły odgłosy wojny, coraz więcej słyszało się opowieści o losie Żydów w niemieckich obozach koncentracyjnych. Kiedy zaś wojna się skończyła, ponura prawda o tych straszliwych zbrodniach oficjalnie wyszła na jaw.

Duch za drzwiami zaszurał krzesłem po podłodze i przeszedł przez pokój.

Cortonego obleciał strach. Co będzie, jeśli Dickstein okaże się kaleką? Albo ma oszpeconą twarz? Albo zwariował? Cortone nigdy nie wiedział, jak się odnosić do kalek i czubków. W 1943 roku on i Dickstein w ciągu kilku dni stali się sobie ogromnie bliscy, ale jak Dickstein wygląda teraz?

Drzwi się otworzyły.

- Cześć, Nat - powiedział Cortone.

Dickstein wytrzeszczył oczy, lecz zaraz na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Plery, nery, cynadery - przywitał kumpla jednym ze swoich zabawnych knajackich powiedzonek.

Cortone z ulgą odwzajemnił uśmiech. Podali sobie ręce, pokleпали się po ramionach, wymienili kilka soczystych uwag w surowym żołnierskim języku i weszli do środka.

Mieszkanie Dicksteina znajdowało się w starym domu, położonym w zniszczonej przez bombardowanie części miasta, i składało się z jedyne go niewiarygodnie wysokiego pokoju. Stało tam proste łóżko, schludnie, po wojskowemu zasłane, ciężka stara szafa z ciemnego drewna, serwantka z tego samego kompletu oraz stół założony książkami w pobliżu niewielkiego okna. Pokój nie wyglądał przytulnie. Gdyby Cortone miał tu zamieszkać, zabrałby ze sobą trochę drobiazgów, dzięki którym mógłby się poczuć jak u siebie: fotografie członków rodziny, pamiątki z Niagary i Miami Beach, a także trofea sportowe z czasów licealnych.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, jak ci się udało mnie odnaleźć - powiedział Dickstein.

- Nie było to łatwe. - Cortone zdjął wojskową kurtkę i położył ją na wąskim łóżku. - Zajęło mi to wczoraj prawie cały dzień. - Spojrzał na klubowy fotel. Poręcze były pokrzywione, spośród wyblakłych chryzantem obicia wystawała sprężyna, a pod brakującą nogę podłożono tom Teajteta Platona. - Czy ludzie mogą na czymś takim siadać?

- Nie wyżsi stopniem od sierżanta. Ale...

- Ale tamci nie są ludźmi.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Stary dowcip. Dickstein odsunął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Przez chwilę uważnie wpatrywał się w przyjaciela.

- Utyłeś!

Cortone poklepał się po brzuchu.

- We Frankfurcie żyje nam się całkiem nieźle. Dużo straciłeś, żeś przeszedł do cywila. - Nachylił się do przodu i ściszył głos, jakby chodziło o jakąś tajemnicę. - Zbiłem majątek. Bizuteria, porcelana, antyki, wszystko za papierosy i mydło. Niemcy głodują. A co najlepsze, za rogalika dziewczyny zrobią ci wszystko.

Wyprostował się w oczekiwaniu na kolejny wybuch śmiechu, ale twarz Dicksteina pozostała nieruchoma. Zbity z tropu Cortone zmienił temat.

- Za to o tobie nie da się powiedzieć, że jesteś za gruby.

Początkowo widok Dicksteina całego, zdrowego i uśmiechniętego sprawił mu taką wielką ulgę, że nie przyjrzał się tamtemu bliżej. Teraz jednak uświadomił sobie, że przyjaciel jest bardziej niż chudy: jest wycieńczony. Nat Dickstein przedtem także nie mógł imponować wzrostem ani budową ciała, ale nigdy nie wyglądał jak szkielet. Wrażenie to pogłębiała trupio blada cera i wielkie brązowe oczy za okularami w plastikowej oprawie. No i kawałek łydki, widocznej między skarpetką a nogawką, białej i cienkiej jak zapalka. Cztery lata temu Dickstein był śniady, sprężysty i mocny niczym skórzane podeszwy butów, w które wyposażyła go armia brytyjska. Gdyby Cortone miał go scharakteryzować po swojemu, powiedziałby: „To najtwardszy, najmniejszy i najbardziej zawzięty ze skurwysynów, którzy ratowali moje zasrane życie„.

- Za gruby? Nie - powiedział Dickstein. - Ten kraj wciąż żyje na żelaznych racjach. Ale jakoś sobie radzimy.

- Jadałeś gorzej...

- Jadałem - uśmiechnął się Dickstein.

- Dostałeś się do niewoli.

- W La Molina.

- Jak cię, do diabła, dopadli?

- Bez trudu - wzruszył ramionami Dickstein. - Pocisk złamał mi nogę. Straciłem przytomność. Ocknąłem się w niemieckim wagonie.

Cortone spojrzał na nogi Dicksteina.

- Dobrze złożona?

- Miałem szczęście, w pociągu dla jeńców był medyk. Nastawił kości.

Cortone pokiwał głową.

- A potem w obozie?... - Pomyślał, że może nie powinien pytać, ale chciał wiedzieć.

Dickstein umknął spojrzeniem w bok.

- W porządku, dopóki nie odkryli, że jestem Żydem. Może herbaty? Niestety, nie stać mnie na whisky.

- Nie, dzięki. - Cortone najchętniej w ogóle by się więcej nie odzywał. - A co do whisky, rano już jej nie pijam. Życie wcale nie jest takie krótkie, jak się zdaje.

Dickstein znów podniósł wzrok na Cortonego.

- Postanowili sprawdzić, ile razy można złamać nogę w tym samym miejscu i na powrót ją złożyć.

- O Jezu. - Głos Cortonego przeszedł w szept.

- To jeszcze było najlepsze ze wszystkiego - stwierdził Dickstein beznamiętnie. Znów spojrzał gdzieś przed siebie.

- Skurwysyny - powiedział Cortone. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Twarz Dicksteina nabrała jakiegoś obcego wyrazu; czegoś podobnego Cortone nigdy przedtem nie widział. Po chwili uprzytomnił sobie, że maluje się na niej lęk. Dziwna sprawa, przecież najgorsze już się skończyło. - No dobra, do licha, w końcu wygraliśmy, no nie? - klepnął Dicksteina po plecach.

Dickstein uśmiechnął się.

- Wygraliśmy. Ale powiedz, co robisz w Anglii? I jak mnie odnalazłeś?

- W drodze do Buffalo załatwiłem sobie pokój w Londynie. Byłem w Ministerstwie Obrony... - Cortone zawahał się. Poszedł specjalnie do ministerstwa, żeby zasięgnąć informacji o okolicznościach śmierci Dicksteina. - Dali mi adres na Stepney. A tam zastałem tylko jeden dom na całej ulicy, i w tym domu spod calowej warstwy kurzu odgrzebałem tego starca.

- Tommy'ego Castera.

- Zgadza się. Kiedy wypłem dziewiętnaście filiżanek cienkiej herbaty i wysłuchałem historii jego życia, skierował mnie do innego domu, gdzie odszukałem twoją matkę, wypłem jeszcze więcej cienkiej herbaty i wysłuchałem jej biografii. Gdy wreszcie dostałem twój adres, było za późno, żeby zdążyć na ostatni pociąg do Oksfordu. Poczekalem do rana i oto jestem. Mam tylko parę godzin, mój statek odpływa jutro.

- Zdemobilizowali cię?

- Trzy tygodnie, dwa dni i dziewięćdziesiąt cztery minuty temu.

- Co zamierzasz robić po powrocie?

- Prowadzić rodzinny interes. Ostatnie lata przekonały mnie, że niezły ze mnie biznesmen.

- A czym się zajmuje twoja rodzina? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- To firma przewozowa - powiedział Cortone krótko. - A ty? Co z tym Oksfordem? Na miłość boską, studiujesz coś?

- Literaturę hebrajską.

- Żartujesz!

- Pisałem po hebrajsku, zanim poszedłem do szkoły. Nigdy ci nie mówiłem? Mój dziadek był prawdziwym uczonym. Mieszkał w jednym śmierdzącym pokoju nad sklepem z plackami przy Mile End Road. Odkąd pamiętam, chodziłem tam w każdą

sobotę i niedzielę. Nigdy się nie uskarżałem - lubiłem to. Cóż innego mógłbym studiować?

Cortone wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem, może fizykę jądrową albo zarządzanie. Po co w ogóle studiować?

- Żeby być szczęśliwym, mądrym i bogatym.

Cortone pokręcił głową.

- Ty, jak zawsze, tajemniczy. Dużo tu dziewczyn?

- Bardzo mało. Poza tym jestem zbyt zajęty.

Cortone wyczuł, że Dickstein się rumieni.

- Łzesz, dupku. Chcesz, to ci powiem: zakochałeś się. Kim ona jest?

- No dobrze, masz rację... - Dickstein spieszył się. - Ale ona jest nieosiągalna. Żona profesora. Egzotyczna, inteligentna, najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem.

Cortone miał niepewną minę.

- To nie wygląda obiecująco, Nat.

- Wiem, ale jednak... - Dickstein wstał z krzesła. - Sam się przekonasz, co mam na myśli.

- Zobaczę ją?

- Profesor Ashford wydaje party. Jestem zaproszony. Wybierałem się właśnie, kiedy wpadłeś - Dickstein włożył marynarkę.

- Party w Oksfordzie - ucieszył się Cortone. - Będę się miał czym chwalić w Buffalo!

Był chłodny, jasny poranek. Białe słońce ślizgało się po kremowych elewacjach starych budynków. Szli w milczeniu, z rękami w kieszeniach, skuleni, gdyż listopadowy wiatr hulał po ulicach.

- Architektura, kurwa, jak z bajki - mruzczał pod nosem Cortone.

Przechodniów prawie nie było, ale gdy uszli mniej więcej milę, Dickstein wskazał Cortonemu wysokiego mężczyznę w szaliku o barwach jednego z college'ów wokół szyi, idącego drugą stroną ulicy.

- To Rosjanin - powiedział i zawołał: - Hej, Rostow!

Rosjanin odwrócił się, pomachał ręką na powitanie i przeszedł na ich stronę ulicy. Miał włosy ostrzyżone jak rekrut, a jego ubranie - tanie, konfekcyjne - wisiało na nim, zbyt obszerne i niedopasowane. Cortone gotów był pomyśleć, że w tym kraju wszyscy są tak chudzi.

- Rostow Balliol, w tym samym college'u co ja - poinformował Dickstein. - Dawidzie Rostow, poznaj Alana Cortone. Al i ja byliśmy razem jakiś czas we Włoszech. Idziesz do Ashfordów?

Rosjanin uroczyście skinął głową.

- Za kielicha jestem gotów na wszystko.

- Czy pan też zajmuje się literaturą hebrajską? - zapytał Cortone.

- Nie - odparł Rostow. - Jestem tu po to, by studiować burżuazyjną ekonomię.

Dickstein zaśmiał się głośno. Cortone nie widział w tym nic zabawnego.

- Rostow jest ze Smoleńska - wyjaśnił Dickstein. - Należy do KPZR - Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Cortone nadal nie dostrzegał w tym nic do śmiechu.

- Sądziłem - powiedział - że w Rosji nikomu nie wolno wyjeżdżać za granicę.

Rostow wdał się w długie i pokrętne wyjaśnienia, z których miało wynikać, że jego ojciec był dyplomatą i w chwili wybuchu wojny przebywał w Japonii. Tym gorliwym wywodom towarzyszył od czasu do czasu chytry uśmieszek. Chociaż

Rosjanin nie mówił biegle po angielsku, potrafił zdobyć się wobec Cortonego na ton protekcyjnej wyższości. Cortone przestał go słuchać i wrócił myślą do Dicksteina, Jak to możliwe - rozważał - kochasz kogoś jak brata, razem z nim przelewasz na wojnie krew, a on potem znika, by studiować literaturę hebrajską, ty zaś w rezultacie dochodzisz do wniosku, że tak naprawdę zupełnie go nie znałeś.

- Czy zdecydowałeś się już na wyjazd do Palestyny? - zapytał na koniec Rostow Dicksteina.

- Do Palestyny? Po co? - zdziwił się Cortone. Dicksteina pytanie Rostowa wyraźnie speszyło.

- Nie, nie zdecydowałem się.

- A powinieneś - orzekł Rostow. - Państwo żydowskie może pomóc w demontażu resztek imperium brytyjskiego na Bliskim Wschodzie.

- Czy taka jest linia partii? - zapytał Dickstein z bladym uśmiechem.

- Owszem - odparł poważnie Rostow. - Jesteś socjalistą...

- W pewnym sensie.

- ... a państwo żydowskie powinno być socjalistyczne. To istotna sprawa.

Cortone słuchał tego z niedowierzaniem.

- Arabowie mordują tam Żydów. Na miłość boską, Nat, dopiero co wyrwałeś się z łap Niemcom.

- Nie podjąłem jeszcze decyzji - powtórzył Dickstein z lekką irytacją. - Nie wiem, co zrobię. - Wydawało się, że nie ma ochoty dłużej o tym mówić.

Przyspieszyli kroku. Cortonemu zmarzła twarz, ale pocił się w zimowym mundurze. Dickstein i Rostow dyskutowali o pewnym haniebnym wydarzeniu. Niejaki Mosley - Cortone pierwszy raz słyszał to nazwisko - przyjechał do Oksfordu, by wygłosić przemówienie na cześć ofiar wojny. Jak się później okazało, był faszystą. Według Rostowa, incydent ten dowodził, o ile demokracja burżuazyjna bliższa jest faszyzmowi niż komunizmowi. Dickstein nie był tak zasadniczy; jego zdaniem,

studentom, którzy zorganizowali to spotkanie, zależało po prostu na wywołaniu mocnego wrażenia.

Cortone słuchał i obserwował obu mężczyzn. Doprawdy, osobliwa z nich była para. Rostow: tyczkowaty, w szaliku przypominającym pasiasty bandaż, stawiający wielkie kroki w kuszach spodniach o nogawkach powiewających jak chorągiewki. Obok Dickstein: drobny, o wielkich oczach, w okrągłych okularach i ubraniu z demobilu, chudy jak szkielet i ruchliwy. Cortone nie był intelektualistą, ale miał ucho wyczulone na wciskanie kitu. Obaj nie mówili szczerze tego, co myślą. Rostow używał sformułowań zaczerpniętych wprost z oficjalnych dogmatów, Dickstein zaś usiłował niefrasobliwym tonem zamaskować różnicę zdań. Kiedy bowiem śmiał się z Mosleya, przypominało to śmiech dziecka po nocnym koszmarze. W każdym razie ci dwaj prowadzili dyskusję zręcznie, ale bez większego zaangażowania; przypominało to pojedynki szermierzy na stępione szpady.

Dickstein spostrzegł wreszcie, że Cortone się nie odzywa, zaczął więc opowiadać o gospodarzu przyjęcia.

- Stephen Ashford jest może trochę ekscentryczny - powiedział - ale to naprawdę nietuzinkowy człowiek. Większość życia spędził na Bliskim Wschodzie. Miał niewielki kapitał, który przepuścił co do grosza. Odważył się nawet na tak szalony pomysł, by wyruszyć w podróż na wielbłądzie przez całą Pustynię Arabską.

- To akurat najmniejsze szaleństwo - zauważył Cortone.

- Żona Ashforda jest Libanką - wtrącił Rostow.

Cortone spojrzał na Dicksteina.

- Ona jest....

- Jest młodsza od niego - dokończył pośpiesznie Dickstein. - Ashford przywiózł ją do Anglii tuż przed wojną i został tu profesorem na wydziale semitystyki. Jeśli poda ci marsalę zamiast sherry, będzie to znak, że pora się żegnać.

- A goście o tym wiedzą? - zapytał Cortone.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Dickstein.

Cortone był prawie pewien, że dom okaże się mauretańską willą. Ujrzał jednak imitację stylu elżbietańskiego: białe ściany i zielone belkowanie. Ogród od frontu przypominał dżunglę. Trzej młodzi ludzie brukowaną dróżką doszli do domu. Zastali drzwi uchylone; prowadziły one do prostokątnego hallu. Z głębi domu dobiegał śmiech: przyjęcie już się zaczynało. Salon znajdował się za dwuskrzydłowymi drzwiami, które się rozwarły, a w nich ukazała się najpiękniejsza kobieta na świecie.

Cortone osłupiał. Pożerał ją dosłownie wzrokiem, kiedy zbliżała się, by ich powitać. Usłyszał głos Dicksteina:

- A to mój przyjaciel, Alan Cortone - i poczuł dotyk jej smukłej, śniadej ręki, cieplej, suchej i drobnej. Nie miałby nic przeciw temu, żeby trwało to wiecznie.

Ale kobieta odwróciła się i wprowadziła ich do salonu. Dickstein szturchnął Cortonego w ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dobrze wiedział, co działo się w duszy przyjaciela. Cortone opanował się na tyle, by wymamrotać: - O rany!

Na małym stole, w szeregu, z wojskową precyzją ustawiono niewielkie kieliszki z sherry. Kobieta podała jeden Cortonemu.

- Przy okazji, jestem Eila Ashford - przedstawiła się z uśmiechem.

Cortone przypatrywał jej się z uwagą, kiedy rozdawała drinki. Jej uroda obywatela się bez upiększeń: żadnego makijażu, proste, czarne włosy, biała sukienka i sandały. W pewnym sensie ta kobieta była jakby naga; Cortone poczuł się skrepowany, ponieważ budziło się w nim zwierzę, kiedy na nią patrzył.

Sporo go kosztowało, żeby oderwać od niej oczy i rozejrzeć się wokół. Salon urządzone był elegancko, ale bez dbałości o szczegóły, co jest charakterystyczne dla ludzi, którzy - wedle własnego mniemania - żyją na pewnym poziomie. Na obrzeżach kosztownego perskiego dywanu widać było podłogę pokrytą szarym linoleum; ktoś naprawiał radio i porozrzucił części na stoliku; na tapetach odcinały się prostokąty po zdjętych obrazach; kilka kieliszków z sherry nie pasowało do kompletu. Co zaś do gości - było ich tutaj około tuzina.

Jakiś szykowny Arab w perłowszarym garniturze oglądał drewniane rzeźby ustawione na gzymsie kominka. Eila Ashford zawołała go.

- Chcę wam przedstawić Jasifa Hasana. To przyjaciel moich rodziców - powiedziała - studiuje w Worcester College.

- Znam Dicksteina - odparł Hasan i przywitał się ze wszystkimi. Cortone pomyślał, że jest całkiem przystojny jak na czarnucha. I wyniosły - jak każdy czarnuch, który zarobił trochę forsy i bywa zapraszany przez białych.

- Pan z Libanu? - zapytał go Rostow.

- Z Palestyny.

- O! - ożywił się Rostow. - I co pan sądzi o ONZ-owskim planie podziału Palestyny?

- Jest bez sensu - odrzekł Arab, cedząc słowa. - Brytyjczycy muszą odejść, a wtedy mój kraj stanie się demokratycznym państwem.

- Ale wówczas Żydzi będą mniejszością - zauważył Rostow.

- W Anglii też są mniejszością. Czy to oznacza, że powinni otrzymać Surrey i urządzić tam własne państwo?

- Surrey nigdy do nich nie należało, w przeciwieństwie do Palestyny.

Hasan wzruszył ramionami.

- Było to wtedy, gdy Walijscy rządili Anglią, Anglicy Niemcami, a francuscy Normanowie zamieszkiwali Skandynawię. - Odwrócił się do Dicksteina. - Pan ma poczucie sprawiedliwości. Co pan o tym sądzi?

Dickstein zdjął okulary.

- Mniejsza o sprawiedliwość. Chciałbym mieć takie miejsce, które mógłbym nazwać swoim własnym.

- Nawet gdyby musiał pan zabrać mi moje?

- Do pana może należeć cała reszta Bliskiego Wschodu.

- Ale ja jej nie chcę.

- Ta dyskusja dowodzi, że podział jest nieunikniony - uciął Rostow.

Kiedy się tak spierali o Palestynę, Eila Ashford otworzyła paczkę papierosów. Cortone wziął jednego, potem podał Eili ognia.

- Długo pan zna Dicksteina? - spytała.

- Spotkaliśmy się w 1943 roku. - Obserwował jej ciemne wargi z papierosem. Nawet palić potrafiła pięknie.

- On mnie szalenie interesuje. - Delikatnie zdjęła okruszek tytoniu z czubka języka.

- Dlaczego?

- Nie tylko mnie. To przecież jeszcze chłopiec, a wygląda tak staro. Poza tym pochodzi z prostego środowiska, a bynajmniej nie onieśmielają go ci wszyscy Anglicy z wyższych sfer.

Cortone pokiwał głową.

- Właśnie stwierdzam, że tak naprawdę ja też go nie znam.

- Mój mąż uważa go za świetnego studenta.

- Nat uratował mi życie.

- Dobry Boże! - Eila Ashford baczniej przyjrzała się Cortonemu. Była zdumiona, że okazał się tak sentymentalny. W każdym razie postanowiła dać mu szansę. - Niechże mi pan o tym opowie.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku ubrany w luźne sztruksowe spodnie dotknął jej pleców.

- No i jak tam, moja droga?

- Świetnie - odpowiedziała. - Panie Cortone, to mój mąż, profesor Ashford.

- Miło mi. - Cortone spojrzał na jego łysinę i wyjątkowo źle leżące ubranie. Spodziewał się raczej kogoś w typie słynnego pułkownika Lawrence'a. Pomyślał, że Nat mimo wszystko może mieć nadzieję.

- Pan Cortone właśnie opowiada mi, jak Nat Dickstein uratował mu życie.

- Doprawdy! - zainteresował się Ashford.

- To niedługa historia - powiedział Cortone. Odnalazł wzrokiem Dicksteina pochłoniętego rozmową z Hasanem i Rostowem. (Już z samych sylwetek można było odczytać, jakie każdy z tej trójki żywi przekonania. Rostow: szeroko rozstawione nogi, palec uniesiony w górę jak u nauczyciela, niezłomna wiara w dogmaty. Hasan: oparty o biblioteczkę, ręka w kieszeni, papieros w ustach - postawa wyrażająca zdecydowany dystans do tej międzynarodowej debaty nad przyszłością jego kraju jako do czysto akademickich rozważań. Dickstein: ręce założone, głowa pochylona w skupieniu, przygarbione plecy jak u piłkarza składającego się do strzału wyrażały napięcie absolutnie sprzeczne z beznamiętnym tonem jego uwag. - Brytyjczycy obiecali Żydom Palestynę - usłyszał Cortone głos jednego z nich. - Strzeż się podarunków od złodzieja - usłyszał natychmiastową ripostę.) Odwrócił się do Ashfordów. - Było to na Sycylii, niedaleko górskiego miasteczka Ragusa - zaczął opowiadać. - Zdobywaliśmy umocnienia na jego peryferiach. W niewielkiej dolinie, na północ od miasteczka tuż przy kępie drzew natknęliśmy się na niemiecki czołg. Wyglądał na porzucony, ale na wszelki wypadek wrzuciłem do środka granat. Wtedy rozległ się pojedynczy strzał i z drzewa zwalił się Niemiec z automatem. Ukrył się tam, żeby nas powystrzelać, kiedy będziemy go mijali. Człowiekiem, który go zabił, był Nat Dickstein.

Oczy Eili zaiskrzyły się z podniecenia. Za to jej mąż zbladł. Jasne, profesorowi nie w smak takie kawałki o życiu i śmierci, pomyślał Cortone. Jeśli to cię zirytowało, papciu, oby Nat nie opowiadał ci nigdy o swoich przeżyciach.

- Brytyjczycy podeszli z drugiej strony - ciągnął. - Nat zauważył czołg - tak jak i ja - ale zwiertzył zasadzkę. Trafił snajpera i wypatrywał innych, kiedyśmy się zbierali do odjazdu. Gdyby nie był tak cholernie bystry, już bym nie żył.

Milczeli przez chwilę.

- To przecież było całkiem niedawno, a my tak szybko zapominamy - odezwał się Ashford.

Eila przypomniała sobie o innych gościach.

- Chciałabym jeszcze z panem porozmawiać, zanim pan wyjdzie - powiedziała do Cortonego i podeszła do drzwi prowadzących do ogrodu, które próbował otworzyć Hasan.

Ashford gładził nerwowo rzadkie włosy za uszami.

- Opinia publiczna dowiaduje się o wielkich bitwach - zauważył - lecz sędzę, że żołnierz najlepiej pamięta takie właśnie drobne potyczki, w których sam uczestniczył.

Cortone skinął głową. Pomyślał, że Ashford nie ma zielonego pojęcia o wojnie, i zastanawiał się, czy młodość profesora była w istocie tak awanturnicza, jak to przedstawił Dickstein.

- Potem wziąłem go ze sobą - ciągnął Cortone - żeby poznał moich krewnych. Pochodzę z Sycylii. Jedliśmy spaghetti i piliśmy wino. Traktowali Nata jak bohatera. To trwało tylko kilka dni, ale czuliśmy się jak bracia, rozumie pan?

- Oczywiście.

- Kiedy usłyszałem, że dostał się do niewoli, pomyślałem, że już go nigdy nie zobaczę.

- Czy pan wie, co się z nim działo? - spytał Ashford. - Nie mówi o sobie zbyt wiele.

- Przeżył obóz.

- Miał szczęście.

- Tak pan myśli?

Ashford, zmieszany, rozglądał się dłuższą chwilę po pokoju.

- To nie jest typowo oksfordzkie towarzystwo - powiedział w końcu. - Dickstein, Rostow i Hasan to trochę niecodzienni studenci. Powinien pan poznać Toby'ego. To prawdziwie klasyczny student. - Pochwycił spojrzenie rumianego młodzieńca w tweedowym ubraniu i w bardzo szerokim krawacie. - Toby, chodź tu do nas, poznaj pana - to towarzysz broni Nata Dicksteina, pan Cortone.

Toby przywitał się.

- Czyżbym miał szansę usłyszeć jakąś plotkę prosto ze stajni? - zapytał obcesowo. - Czy Dickstein wygra?

- Co wygra? - spytał Cortone.

- Dickstein i Rostow mają rozegrać mecz szachowy - pośpieszył z wyjaśnieniem Ashford. - Panuje opinia, że obaj są piekielnie dobrzy, Toby sądzi, że ma pan jakieś informacje z pierwszej ręki. Najpewniej chce już przyjmować zakłady.

- Myślałem, że szachy to sport dla emerytów - oświadczył Cortone.

Toby westchnął z dezaprobatą i opróżnił swoją szklanę. Obaj, on i Ashford, wydawali się zakłopotani uwagą Cortonego. Sytuację uratowała dziewczynka - cztero- może pięcioletnia - która przyszła z ogrodu ze starym, burym kotem na rękach.

- To jest Suza - powiedział Ashford z mieszaniną dumy i pokory w głosie, jak każdy mężczyzna, który został ojcem w średnim wieku.

- A to Ezechiasz - przedstawiła wszystkim kota dziewczynka. Miała cerę i włosy matki. Kiedyś będzie tak samo piękna. Cortone zastanawiał się, czy jest naprawdę córką Ashforda. W jej wyglądzie nic na to nie wskazywało.

- Jak się masz, Ezechiaszu? - Cortone uprzejmie uścisnął mu łapę.

Suza podeszła do Dicksteina.

- Dzień dobry, Nat. Chcesz się pobawić z Ezechiaszem?

- Jest bardzo bystra - rzekł Cortone do Ashforda. - Muszę pogadać z Natem. Pan wybaczy. - On również podszedł do Dicksteina, który klęczał i głaskał kota.

Nat i Suza wyglądali na dobrych kumpli.

- Suza, to mój przyjaciel Alan - powiedział Nat.

- My się już znamy. - Dziewczynka zatrzepotała rzęsami. Cortone pomyślał, że musiała się tego nauczyć od matki.

- Byliśmy razem na wojnie - ciągnął Dickstein.

Suza spojrzała na Cortonego.

- Czy zabijałeś ludzi?

Cortone wahał się przez chwilę.

- Oczywiście.

- I to cię dręczy?

- Niespecjalnie. To byli źli ludzie.

- Nata to dręczy. Dlatego nie lubi o tym mówić.

To dziecko wiedziało o Dicksteinie więcej niż wszyscy dorośli. Kot zwinnie wysliznął się z rąk Suzy, więc pobiegła za nim, zostawiwszy Dicksteina z Cortonem.

- Nie powiedziałbym, żeby pani Ashford była nie do wyjęcia - oświadczył spokojnie Cortone.

- Nie powiedziałbyś?

- Nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat. On jest przynajmniej o dwadzieścia lat starszy i założę się, że żaden z niego pistolet. Jeśli pobrali się przed wojną, musieli mieć jakieś siedemnaście lat. Poza tym nie wyglądają na zakochanych.

- Chciałbym ci wierzyć - powiedział Dickstein. Nie wydawał się tym zbytnio zainteresowany. - Chodź, obejrzysz ogród.

Wyszli przez oszklone drzwi. Na dworze słońce świeciło mocniej i minął już ostry chłód. Ogród niby zielono-brązowa puszcza ciągnął się aż do brzegu rzeki. Uszli kawałek od domu.

- Nie spodobało ci się zbytnio to towarzystwo - stwierdził Dickstein.

- Wojna się skończyła - odparł Cortone. - Teraz każdy z nas żyje w innym świecie. Ci profesorowie, partie szachów, przyjęcia z sherry... Równie dobrze mógłbym trafić na Marsa. Moje życie to robienie interesów, walka z konkurencją, zarobienie tych paru dolców. Myślałem, żeby zaproponować ci robotę, ale chyba tracę czas.

- Alan...

- Posłuchaj, do diabła. Prawdopodobnie stracimy teraz kontakt. Nie bardzo nadają się do pisania listów. Ale nie zapomnę, że zawdzięczam ci życie. Może kiedyś będziesz czegoś potrzebował. Wiesz, jak mnie znaleźć.

Dickstein chciał coś powiedzieć, ale usłyszeli jakieś głosy.

- Och, nie, nie tutaj, nie teraz. - To mówiła kobieta.

- Teraz, tutaj. - Ten głos należał do mężczyzny.

Dickstein i Cortone stali za rozrośniętym żywopłotem, który odgradzał róg ogrodu; z takiego żywopłotu miał tu kiedyś powstać cały labirynt, ale prac nie dokończono. Kilka kroków dalej ściana zieleni załamywała się pod kątem prostym, wytyczając promenadę biegnącą wzdłuż rzeki. Głosy dobiegały niewątpliwie z tamtej strony zarośli. Kobieta znowu przemówiła niskim, gardłowym głosem:

- Powiedziałam nie, idź do diabła, bo zacznę krzyczeć.

Dickstein i Cortone podbiegli do luki w żywopłocie. Cortone nigdy nie zapomni tego widoku. Poczul, jak blednie, gdy wytrzeszczył oczy na tych dwoje ludzi, a potem ujrzał twarz Dicksteina. Była szara, jak twarz ciężko chorego. Otwarte usta wyrażały przerażenie i rozpacz. Cortone jeszcze raz spojrzął w stronę krzaków.

Kobietą była Eila Ashford. Miała sukienkę podwiniętą do pasa, twarz zarumienioną podnieceniem. Całowała Jasifa Hasana.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Megafon na lotnisku kairskim zabrzączał niczym dzwonek u drzwi, Po czym zapowiedziano po arabsku, włosku, francusku i angielsku przylot samolotu linii Alitalia z Mediolanu. Toufik el-Masiri wstał od stolika w barze i skierował się na taras. Włożył ciemne okulary, bez których trudno mu było patrzeć na rozmigotaną płytę lotniska. Caravelle była już na ziemi i kołowała.

Sprowadziła go tu depesza. Przyszła rano od "wujka,, z Rzymu, zaszyfrowana. Prawo do używania szyfru w telegramach międzynarodowych mają właściwie wszystkie firmy, o ile klucz do niego zdeponują w urzędzie pocztowym. Szyframi takimi posługiwano się coraz częściej, głównie ze względów oszczędnościowych - zamiast pełnych zdań używano pojedynczych słów - a nie w celu zachowania tajemnicy. Depesza do Toufika zgodnie z rejestrem szyfrów podawała szczegóły testamentu jego zmarłej ciotki. Toufik jednak miał inny klucz, według którego wiadomość brzmiała następująco:

obserwuj i śledź profesora friedricha schulza stop przylot do kairu z mediolanu w środę 28 lutego stop na kilka dni stop wiek 51 wzrost 180 cm waga 150 funtów włosy jasne oczy niebieskie stop narodowość austriacka stop towarzyszy mu tylko żona stop.

Niebawem z samolotu zaczęli wychodzić pasażerowie i Toufik niemal natychmiast wypatrzył opisanego mężczyznę. Był tam tylko jeden wysoki szczupły blondyn. Miał na sobie jasnoniebieski garnitur, białą koszulę i krawat, niósł plastikową torbę ze sklepu wolnocłowego oraz aparat fotograficzny. Obok szła żona, o wiele niższa, w modnej sukience mini i blond peruce. Szli przez płytę lotniska, rozglądali się i wdychali ciepłe, suche pustynne powietrze, jak robi to większość ludzi, którzy po raz pierwszy lądują w Afryce Północnej.

Pasażerowie znikali w hali przylotów. Toufik stał na tarasie dopóty, dopóki z samolotu nie zaczęto wyładowywać bagaży. Wtedy wszedł do hali i wmieszał się w grupę ludzi czekających z drugiej strony barierki.

Nie znosił czekania. Była to umiejętność, której po prostu nie potrafił opanować. Uczono go strzelania, zapamiętywania mapy, otwierania sejfów i zabijania ludzi gołymi rękami - wszystko to w ciągu pierwszych sześciu miesięcy szkolenia. Kurs nie obejmował wykładów na temat cierpliwości, ćwiczeń zapobiegających mrowieniu nóg czy seminariów o nudzie. Tymczasem instynkt podpowiadał mu, że coś tutaj śmierdzi, uwaga, uwaga!...

W tłumie stał inny agent.

W podświadomości Toufika zapaliło się światełko alarmowe. Nadal jednak rozważał problem cierpliwości. Ludzie oczekujący krewnych, przyjaciół, współników okazywali zniecierpliwienie. Palili papierosy, przestępowali z nogi na nogę, wyciągali szyje, nie mogli sobie znaleźć miejsca. Stała tam rodzina z czworgiem dzieci, dwóch Arabów w tradycyjnych galabijach, biznesmen w ciemnym garniturze, młoda biała kobieta, kierowca ze znaczkiem Ford Motor Company i... Tylko jeden mężczyzna stał spokojnie.

Podobnie jak Toufik, miał ciemną skórę, krótkie włosy i nosił się po europejsku. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie typowego przedstawiciela klasy średniej. Przypadkowy obserwator mógłby go wziąć za biznesmena, podobnie jak Toufika.

Facet stał swobodnie, z rękami założonymi do tyłu, wpatrzony w wyjście z hallu bagażowego. Nie przyciągał niczyjej uwagi. Wzdłuż jego nosa biegł jasny ślad, jakby dawna blizna, którego raz dotknął nerwowym gestem, ale zaraz znów schował rękę za plecy.

Toufika dręczyło pytanie, czy tamten już go zauważył. Odwrócił się do stojącego za nim biznesmena.

- Nie rozumiem, dlaczego to zawsze tak długo trwa. - Uśmiechał się i mówił spokojnie; zagadnięty przysunął się bliżej.

- Formalności zabierają więcej czasu niż sam lot - stwierdził i odwzajemnił uśmiech. Wyglądali jak dwaj wspólnicy zajęci swoimi sprawami.

Toufik znowu zerknął na agenta. Tamten stał wciąż w tej samej pozycji i spoglądał w stronę wyjścia. Nie silił się na żaden kamuflaż; czy miało to znaczyć, że zauważył Toufika? Czy raczej, że się obawia, żeby nawet najmniejszym kamuflażem się nie zdradzić?

Pasażerowie zaczęli już wychodzić i Toufik uświadomił sobie, że ma niewielkie pole manewru. Żył nadzieję, że osoby, których oczekuje agent, opuszczą halę przed profesorem Schulzem i że nie o Schulza tu chodzi.

Tak się jednak nie stało. Schulz i jego żona przekroczyli barierkę pośród pierwszej grupki podróżnych gotowych do wyjścia. Agent podszedł do nich i uściśnął im rękę.

A więc wszystko jasne. Agent był tu po to, by spotkać się z Schulzem.

Toufik bacznie obserwował, jak tamten przywołuje bagażowych i odprowadza Schulzów; wtedy wymknął się innymi drzwiami do swojego samochodu. Zanim wszedł, zdjął marynarkę i krawat, włożył zaś ciemne okulary, i białą bawełnianą czapkę. Teraz nikt nie powinien rozpoznać w nim człowieka, który wykonywał zadanie na punkcie kontaktowym.

Toufik zakładał, że agent parkuje wóz nieco dalej od głównego wyjścia, i ruszył w tamtą stronę. Nie pomylił się. Zobaczył, że bagażowi ładują walizki Schulzów do pięcioletniego szarego mercedesa. Minął go i pojechał dalej.

Swoje brudne renault skierował na główną autostradę, prowadzącą z Heliopolis, gdzie znajdowało się lotnisko, do Kairu. Jechał sześćdziesiątką, trzymając się wolnego pasa. Szary mercedes minął go dwie-trzy minuty później, więc przyśpieszył, by nie stracić go z oczu. Zapamiętał jego numer, co jest zawsze przydatne, gdy chodzi o rozpoznanie wozów przeciwnika.

Zaczął się chmurzyć. Toufik sunął autostradą wysadzaną z obu stron palmami i zastanawiał się, co tu jest grane. Depesza nie mówiła o Schulzu nic prócz tego, jak wygląda, i że jest austriackim naukowcem. Cokolwiek by o tym sądzić, spotkanie na lotnisku musiało mieć znaczenie. Wyglądało jak sekretne powitanie ważnej osobistości. Agent niewątpliwie pochodzi stąd, sądząc po ubraniu, samochodzie i sposobie zachowania. Schulz przyleciał z pewnością na zaproszenie rządu, który stara się utrzymać tę wizytę w tajemnicy.

I na tym koniec informacji. Nawet nie wiadomo, czym zajmuje się profesor Schulz. Może jest finansistą, producentem broni, specjalistą w dziedzinie rakiet albo handluje bawełną, choć równie dobrze mógłby mieć powiązania z Al-Fatah; krótko mówiąc, nie wygląda tylko na byłego hitlerowca. A zresztą wszystko jest możliwe.

Najwyraźniej Tel-Awiv nie uważał Schulza za nikogo ważnego. W przeciwnym razie nie posłużono by się młodym i niedoświadczonym Toufikiem. Całkiem możliwe, że zadanie miało charakter ćwiczebny.

W Kairze, na Szari Ramzes Toufik skrócił dystans, już tylko jeden pojazd dzielił go od mercedesa. Szary wóz skręcił w prawo, w Kornisz an-Nil, rzekę przeciął mostem 26 Lipca i dotarł do dzielnicy Zamalek na wyspie Dżazira.

Ruch się zmniejszył; była to bogata, spokojna dzielnica. Toufik mocno się wystraszył, bo agent za kierownicą mercedesa miał zbyt dogodne warunki, by go nie dostrzec. Odczekał zatem dwie minuty, aż inny samochód skręcił w willową ulicę przy Klubie Oficerskim i zatrzymał się przed eleganckim budynkiem z drzewem dzakarandy w ogrodzie. Wówczas błyskawicznie ruszył jego śladem, po czym również stanął, kierując się za tamtym wozem. Zaparkował, wyskoczył z samochodu i pobiegł do rogu. Zobaczył agenta i Schulzów, jak wchodzili do budynku. Za nimi podążał dozorca w galabii, dźwigając bagaże.

Toufik zlustrował ulicę. Nie było nikogo, kto by się wałęsał ot tak, bez celu. Wrócił do samochodu i zaparkował go pomiędzy dwoma innymi wozami, po tej samej stronie co mercedes.

Pół godziny później wyszedł agent. Sam. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Toufik mógł się sposobić do czekania.

Przez dwa dni nie działo się nic szczególnego. W tym czasie Schulzowie udawali turystów, co, jak można sądzić, bardzo im się podobało. Pierwszego wieczoru zjedli kolację w nocnym klubie, gdzie podziwiali taniec brzucha. Następnego dnia zaliczyli piramidy i Sfinksa, lunch u Groppiego i kolację w Hiltonie. Dzisiaj - był to już trzeci dzień ich pobytu - wstali wcześniej rano i pojechali taksówką do meczetu Ibn Tuluna.

Toufik zostawił samochód w pobliżu Gayer-Anderson Museum i śledził ich. Na meczet zaledwie rzucili okiem, by zaraz udać się w kierunku wschodnim na Szari an-Salibah. Tu interesowały ich fontanny i zabudowania, mroczne wnętrza sklepików, tudzież kobiety kupujące na straganach cebulę, pieprz oraz wielbłądzie kopyta.

Przy skrzyżowaniu zatrzymali się i weszli do herbaciarni. Podczas gdy byli w środku, Toufik studiował reliefy barokowej sebili - tak się nazywa fontanna kryta dachem z ażurowymi oknami kutymi w metalu. Zmitrężył też trochę czasu przy czterech olbrzymich niekształtnych pomidorach, które kupował u bosego straganiarza w białej czapce, nie spuszczając oka z herbaciarni.

Kiedy Schulzowie stamtąd wyszli, skierowali się na północ. Toufik nadal ich śledził. Wyglądało to bardziej naturalnie, bo mógł udawać kogoś, kto po prostu sobie spaceruje, raz szedł przed nimi, innym razem zostawał z tyłu. Frau Schulz kupiła pantofle i złotą bransoletkę; półnagiemu dziecku zapłaciła wygórowaną cenę za gałązkę mięty. Toufik, ciągle zachowując właściwą odległość, zdążył wypić w kawiarni "U Nasifa" filiżankę mocnej, gorzkiej kawy po turecku.

Z ulicy targowej skręcili na suk - czyli bazar - z wyrobami ze skóry. Schulz spojrział na zegarek i powiedział coś do żony - Toufik po raz pierwszy poczuł lekki dreszczyk niepokoju - po czym nieznacznie przyśpieszyli kroku i znaleźli się na ulicy Bab Zuwejla, prowadzącej do śródmieścia.

Na chwile pole obserwacji zasłonił Toufikowi osioł ciągnący wózek pełen słoików pozatykanych papierem. Kiedy przejechał, Schulz żegnał się z żoną i wsiadał do szarego mercedesa.

Toufik zaklął w duchu.

Drzwiczki trzasnęły i wóz ruszył. Frau Schulz machała na pożegnanie. Toufik odczytał tablicę rejestracyjną. To był ten sam samochód, który śledził od Heliopolis; właśnie odjeżdżał; skręcał w lewo, na zachód, w kierunku Szari Port Said.

Toufik odwrócił się i, zapominając o Frau Schulz, rzucił się pędem przed siebie.

Spacer Schulzów trwał wprawdzie godzinę, ale nie uszli więcej niż milę. Toufik w mgnieniu oka przebiegł przez suk i targową ulicę, klucząc między straganami, potrącając dwoje ludzi - mężczyznę i kobietę ubranych na czarno - gubiąc torbę z pomidorami w zderzeniu z nubijskim zamiataczem ulic, aż dopadł swego samochodu zaparowanego przy muzeum.

Usiadł za kierownicą, ciężko dysząc i czując klucie w boku. Zapalił i pełnym gazem pomknął na skrót w kierunku Szari Port Said.

Ruch nie był duży. Toufik znalazłszy się na głównej drodze, spodziewał się niebawem ujrzeć mercedesa. Jechał wciąż na południowy zachód przez wyspę Roda, most i autostradę Giza.

Gdyby Schulz chciał się pozbyć ogona, zrobiłby to raz a dobrze, pomyślał Toufik. Po prostu odbył poranny spacer przez targ, zanim udał się na punkt kontaktowy. Zarówno miejsce spotkania, jak i ta przechadzka zostały zaplanowane przez agenta - co do tego Toufik nie miał wątpliwości.

Dokądkolwiek zmierzali, wyglądało na to, że opuszczają miasto - w przeciwnym razie Schulz przy Bab Zuwejlja po prostu wziąłby taksówkę; Bab Zuwejlja to główna ulica wylotowa, prowadząca w kierunku zachodnim. Toufik jechał bardzo szybko. Wkrótce miał przed sobą już tylko szarą drogę, prostą jak strzała, żółty piasek po bokach i błękitne niebo nad głową.

Dotarł do piramid, a wciąż jeszcze nie widział mercedesa. Tutaj droga rozwidlała się: na północ do Aleksandrii i na południe od Fajum. Sądząc po miejscu, z

którego mercedes zabrał Schulza, nie wydawało się, by mieli jechać do Aleksandrii. Toufik ruszył w stronę Fajum.

W końcu zauważył za sobą jakiś samochód jadący z dużą szybkością. Ale zanim się zbliżył, skręcił w prawo i zjechał z głównej szosy. Toufik przyhamował i zawrócił. Wóz był już o milę dalej. Toufik ruszył za nim.

Robiło się niebezpiecznie. Droga prowadziła w głąb Pustyni Zachodniej, być może aż do pól naftowych Kattary. Wyglądała na rzadko uczęszczaną, silny wiatr łatwo mógł zasypać ją piachem. Agent w mercedesie z pewnością zdawał sobie sprawę, że jest śledzony. Jeśli był dobrym agentem, powinien skojarzyć sylwetkę renaulta z jazdą z Heliopolis.

W takim wypadku wszelkie sztuczki i cały kamuflaż traciły sens. Skoro się już złapało ślad faceta, nieważne, czy widział cię wcześniej, czy nie, chodzi tylko o to, żeby się dowiedzieć, dokąd jedzie. Jak sobie z tym nie poradzisz, jesteś do niczego. Dlatego Toufik zaniechał wszelkich środków ostrożności i rzucił się w pogoń. Ale wkrótce stracił tamtych z oczu. Mercedes był szybszy i lepiej przystosowany do wąskiej, wyboistej drogi. Toufik miał nadzieję, że się jednak gdzieś zatrzymają albo przynajmniej osiągną wreszcie cel swej podróży.

Na sześćdziesiątym kilometrze zaczynał się już martwić, czy starczy mu benzyny, ale trafił na niewielką oazę u skrzyżowania dróg. Wokół zamulonego bajora pasło się kilka wychudzonych zwierząt. Słoik z fasolą i trzy puszki oranżady Fanta na prowizorycznej ladzie obok chaty oznaczały miejscową kawiarnię. Toufik wysiadł z samochodu i zagadnął starca, który poił kościstego bawołu.

- Widziałeś szarego mercedesa?

Wieśniak wlepił w niego tępy wzrok, jakby Toufik mówił w obcym języku.

- Czy widziałeś szary samochód?

Starzec spędził z czoła wielką czarną muchę i skinął głową.

- Kiedy?

- Dzisiaj.

Nie należało się spodziewać dokładniejszej odpowiedzi.

- Którą drogą pojechał?

Stary wskazał na zachód, w kierunku pustyni.

- Gdzie mogę zdobyć benzynę?

Człowiek wskazał na wschód, w stronę Kairu. Toufik wręczył mu drobną monetę i wrócił do wozu. Włączył silnik i raz jeszcze spojrzął na wskaźnik paliwa. Wystarczyłoby benzyny, żeby dotrzeć do Kairu. Gdyby jednak chciał jechać dalej na zachód, musiałby wracać na piechotę. Uznał, że zrobił, co w jego mocy, i zniechęcony odjechał w stronę miasta.

Toufik nie lubił swojej pracy. Nudziła go, kiedy się nic nie działo, a gdy się już zaczynało dziać - wtedy się bał. Ale powiedzieli mu, że w Kairze czeka na niego ważne i niebezpieczne zadanie, że on, Toufik, posiada kwalifikacje potrzebne dobremu szpiegowi, a państwo Izrael odczuwa niedostatek egipskich Żydów, na tyle uzdolnionych, by w każdej chwili mogli zastąpić innych i mieli wszystkie wymagane kwalifikacje, więc nie ma mowy, żeby on powiedział nie. A zatem, rzecz oczywista, zgodził się. Nie ryzykował bynajmniej życia dla ojczyzny z pobudek ideowych. To było coś więcej; to był interes własny: zguba Izraela mogła oznaczać i jego zgubę; walcząc dla Izraela, walczył dla siebie; ryzykował życiem, żeby ocalić życie. Ot, cała filozofia. Tylko jak długo to potrwa - pięć lat, dziesięć, dwadzieścia - zanim wreszcie będzie za stary na pracę w terenie, przeniosą go do zajęć za biurkiem i będzie mógł poznać jakąś miłą żydowską dziewczynę, ożenić się i osiąść spokojnie w kraju, za który walczył?

Tymczasem, straciwszy z oczu profesora Schulza, zajął się jego żoną.

Nadal spędzała czas na zwiedzaniu, teraz w towarzystwie młodego Araba, najwyraźniej przydzielonego przez Egipcjan do opieki nad nią pod nieobecność męża. Wieczorem Arab zabrał ją na kolację do egipskiej restauracji, potem odprowadził do domu i pocałował w policzek pod drzewem dzakarandy w ogrodzie.

Następnego ranka Toufik poszedł na pocztę główną i nadał zaszyfrowaną depeszę do wujka w Rzymie:

schulz spotkał się na lotnisku z podejrzanym miejscowym agentem stop spędził dwa dni na zwiedzaniu stop wspomniany agent zabrał go samochodem w kierunku kattary stop inwigilacja niemożliwa stop żona pod obserwacją stop.

Wrócił do Zamaleku o dziesiątej rano. O wpół do dwunastej widział Frau Schulz na balkonie; piła kawę. Mógł wreszcie się zorientować, które pokoje należą do Schulzów.

W południe wewnątrz renaulta było potwornie rozgrzane. Toufik jadł jabłko i prosto z butelki napił się ciepłego piwa.

Schulz wrócił późnym popołudniem, przywiózł go ten sam szary Mercedes. Profesor wyglądał na zmęczonego, jak człowiek w średnim wieku po zbyt długiej podróży. Wszedł do budynku, nie oglądając się za siebie. Za to agent, kiedy go wysadził i przejeżdżał obok renaulta, dobrze się przyjrzał Toufikowi. Toufik nic nie mógł na to poradzić.

Gdzie zatem przebywał Schulz do tej pory? Na dojazd tam musiał poświęcić większą część dnia, rozważał Toufik. Tam spędził noc, cały dzień i następną noc. Powrót stamtąd zabrał mu większą część dnia dzisiejszego. Kattara to tylko jedna z kilkunastu możliwości. Pustynna droga prowadziła aż do Matruh nad Morzem Śródziemnym. Nie da się wykluczyć, że skręcił do Karkur Tol na dalekim południu. Zmieniając wóz i najmując przewodnika, mógł odbyć spotkanie nawet na granicy z Libią.

O dziewiątej wieczór Schulzowie wyszli z domu. Profesor był znów w dobrej formie. Wnioskując z ubrania, wybierali się na kolację. Po krótkim spacerze zatrzymali taksówkę.

Toufik podjął decyzję - nie pojechał za nimi. Wysiadł z auta i zakradł się do ogrodu. Stąpał po piaszczystej ścieżce, nim przycupnął w krzakach; mógł stąd obserwować hall przez drzwi frontowe - były otwarte. Nubijski dozorca siedział na drewnianej ławeczce i dłuwał w nosie.

Toufik czekał. Dwadzieścia minut później Nubijczyk wstał i znikł na zapleczu.

Toufik był już w hallu, wbiegł po cichu na piętro. Miał przy sobie trzy yalowskie wytrychy, ale żaden nie pasował do zamka. W końcu udało się go otworzyć kawałkiem wygiętego plastiku, wyłamanego ze szkolnej ekierki.

Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi. Wszędzie panowały ciemności, odrobina światła z ulicznej latarni docierała przez nie zasłonięte okna. Toufik wyciągnął z kieszeni niewielką latarkę, ale nie zapalał jej jeszcze.

Apartament był rozległy i przewiewny, miał białe ściany i meble w stylu kolonialnym. Wyglądał na chłodne, nieco zbyt przestronne locum, w którym chwilowo nikt nie mieszka. Składał się z dużego salonu, pokoju jadalnego, trzech sypialni i kuchni.

Toufik najpierw z grubsza się rozejrzył, potem rozpoczął właściwe przeszukanie. W dwóch mniejszych sypialniach nie było nic, gołe ściany. W większej Toufik przemknął szybko pośród półek i szafek. W szafie wisiała jaskrawa kolorowa garderoba; należała do kobiety, która najlepsze lata ma już za sobą - turkusowe, pomarańczowe i różowe sukienki, jasne desenie, cekiny. Metki amerykańskie. Z depezy wynikało, że Schulz jest Austriakiem, być może mieszkał w USA. Toufik nie miał okazji słyszeć, z jakim tamten mówi akcentem.

Na nocnym stoliku leżał przewodnik po Kairze w języku angielskim, egzemplarz "Vogue'a" oraz odbitka wykładu o izotopach.

A więc Schulz był naukowcem.

Toufik przekartkował odbitkę. Nie bardzo chwycił, o co chodzi w tekście. W każdym razie doszedł do wniosku, że Schulz musi być albo wybitnym chemikiem, albo fizykiem. Jeśli przybył tu pracować nad bronią, ci z Tel-Awiwu na pewno chcieliby o tym wiedzieć.

Nie znalazł żadnych dokumentów osobistych. Schulz najwyraźniej nosił paszport i portfel przy sobie. Poza tym ktoś usunął z walizek przywieszki linii lotniczych.

Dwie puste szklanki na stole w salonie pachniały dżinem: Schulzowie wypili koktail przed wyjściem.

W łazience Toufik natknął się na ubrania, w których Schulz podróżował po pustyni. Znalazł dużo piachu w butach oraz małe szare okruchy w mankietach spodni - chyba cement. W górnej kieszeni marynarki wymacał niebieskie plastikowe pudełko; było bardzo płaskie. Wewnątrz znajdowała się koperta, chroniąca przed światłem, taka, jakich używa się do zabezpieczania klisz fotograficznych.

Toufik schował pudełko do kieszeni.

Przywieszki linii lotniczych odnalazły się w koszu na śmieci, który stał w przedpokoju. Zawierały adres Schulzów: Boston, Massachusetts; oznaczało to, że profesor wykładał w Harvardzie, w Massachusetts Institute of Technology lub w innej tamtejszej uczelni. Toufik szybko obliczył w pamięci: podczas drugiej wojny światowej Schulz miał dwadzieścia kilka lat. Mógł być jednym z tych niemieckich specjalistów od rakiet, którzy po wojnie wyjechali do USA. Albo i nie. Nie trzeba być nazistą, żeby pracować dla Arabów.

Tak czy owak, Schulz okazał się sknerą. Jego mydło, pasta do zębów i płyn po goleniu pochodziły z samolotów i hoteli.

Na podłodze pod trzcinowym fotelem, obok stołu ze szklankami po koktajlu, Toufik zobaczył blok liniowanego papieru kancelaryjnego. Pierwsza kartka była czysta. Leżał na niej ołówek. Jak gdyby Schulz, popijając koktajl, sporządzał jakieś notatki z podróży. Toufik przetrząsnął pokój w poszukiwaniu kartek pochodzących z tego notesu. Znalazł je na balkonie, spalone w dużej szklanej popielnicy.

Noc była chłodna. To jeszcze nie ta pora roku, która przynosi powietrze cieplejsze i przesycone zapachem kwiatów z drzewa dzakarandy. Z oddali dobiegały odgłosy miasta. Toufik przypomniał sobie mieszkanie swojego ojca w Jerozolimie. Ciekawe, ile czasu upłynie, nim znów zobaczy Jerozolimę.

Jak na razie, zrobił tutaj wszystko, co do niego należało. Mógłby jeszcze sprawdzić, czy ołówek Schulza nie odcisnął pisma na następnej kartce. Oderwał się od barierki i ruszył przez balkon w stronę drzwi do salonu.

Trzymał już rękę na klamce, gdy usłyszał głosy. Zamarł w bezruchu.

- Przepraszam, kochanie, ale nie mógłbym patrzeć na jeszcze jeden przypalony stek.

- Na miłość boską, powinniśmy jednak coś zjeść.

Nie było wątpliwości - wrócili Schulzowie.

Toufik zrobił w myślach błyskawiczny przegląd swoich działań: sypialnie, łazienka, salon, kuchnia... Wszystko, czego dotknął, powinno być na swoim miejscu, z

wyjątkiem małego plastikowego pudełka. Ono w każdym razie musi być zabrane. Niech Schulz myśli, że je zgubił.

Skoro Toufik wydostanie się stąd nie zauważony, po co mają się domyślać, że węszył tu kiedykolwiek.

Przewiął się przez barierkę i zawisł na rękach. Było tak ciemno, że nie widział pod sobą ziemi. Ale puścił się, upadł miękko i wymknął się z ogrodu.

Był zadowolony - zaliczył swoje pierwsze włamanie.

Stąpał po cichu, jak podczas treningu - kiedy szpieg zostaje zaskoczony wcześniejszym powrotem inwigilowanych i wycofuje się upatrzoną zawczasu drogą odwrotu. Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach. Perspektywa pracy za biurkiem nie wydawała się już tak odległa.

Wsiadł do samochodu, włączył silnik i zapalił światła. Z cienia wyłonili się dwaj mężczyźni. Stanęli po obu stronach renaulta. Kim oni są?... Nie zastanawiał się długo. Wrzucił jedyneką i przycisnął gaz do dechy. Nie próbowali go zatrzymać. Wiec co tam robili? Chcieli się upewnić, że siedzi w samochodzie?...

Nacisnął hamulec i spojrzał na tylne siedzenie. Wtedy poczuł przeraźliwy smutek, bo zrozumiał, że nigdy już nie zobaczy Jerozolimy.

Wysoki Arab w ciemnym garniturze uśmiechał się do niego znad lufy małego pistoletu.

- Jedź dalej - powiedział po arabsku - ale bardzo proszę, nie tak szybko.

Pytanie: Nazwisko?

Odpowiedź: Toufik el-Masiri.

P: Twoja charakterystyka?

O: Wiek dwadzieścia sześć, wzrost 5,9 stóp, waga 180 funtów, brązowe, rysy semickie, skóra jasnobrązowa.

P: Dla kogo pracujesz?

O: Jestem studentem.

P: Jaki dzień mamy dzisiaj?

O: Sobotę.

P: Twoja narodowość?

O: Egipska.

P: Ile jest dwadzieścia minus siedem?

O: Trzynaście.

(Powyższe pytania zadaje się po to, żeby wykrywacz kłamstw odpowiednio wyskalować.)

P: Pracujesz dla CIA?

O: Nie. (prawda)

P: Dla Niemców?

O: Nie. (prawda)

P: Więc dla Izraela?

O: Nie. (fałsz)

P: Naprawdę jesteś studentem?

O: Tak. (fałsz)

P: Opowiedz mi o swoich studiach.

O: Studiuję chemię na Uniwersytecie Kairskim. (prawda) Interesuję się polimerami. (prawda) Chcę zostać specjalistą w dziedzinie petrochemii. (fałsz)

P: Co to są polimery?

O: Złożone związki organiczne o długim łańcuchu molekularnym - najbardziej znany jest polietylen. (prawda)

P: Jak się nazywasz?

O: Powiedziałem, Toufik el-Masiri. (fałsz)

P: Końcówki kabli umieszczone na twojej głowie i piersi mierzą twój puls, bicie serca, oddech i wydzielanie potu. Kiedy mówisz nieprawdę, zdradza cię twój metabolizm - oddychasz szybciej, pocisz się bardziej i tak dalej. To urządzenie, które otrzymaliśmy od radzieckich przyjaciół, mówi mi, kiedy kłamiesz. W dodatku wiem skądinąd, że Toufik el-Masiri nie żyje. Kim jesteś?

O: (bez odpowiedzi)

P: Drut przymocowany do czubka twojego członka to część innego urządzenia. Jest połączony z tym oto guzikiem. Jeśli go wcisnę...

O: (krzyk)

P: Prąd elektryczny przechodzi przez drut i zadaje ci ból. Wsadziliśmy ci stopy do wiadra z wodą, aby zwiększyć skuteczność aparatury. Jak się nazywasz?

O: Abram Ambache.

(Elektryczna aparatura współpracuje z wykrywaczem kłamstw.)

P: Może papierosa?

O: Dziękuję.

P: Wierz mi albo nie. Nienawidzę tej pracy. Kłopot w tym, że ludzie, którzy ją lubią, nigdy się w niej nie sprawdzają. Potrzebujesz współczucia. Ja jestem osobą wrażliwą. Nie znoszę widoku cierpiących ludzi. A ty?

O: (bez odpowiedzi)

P: Teraz obmyślasz sposób, jak mi się oprzeć. Nie trudź się. Nie ma obrony przed nowoczesną technologią... rozmowy. Jak się nazywasz?

O: Abram Ambache. (prawda)

P: Kto jest twoim przełożonym?

O: Nie wiem, co pan ma na myśli. (fałsz)

P: Czy to Bosch?

O: Nie, Friedman. (odczyt niewyraźny)

P: A więc Bosch.

O: Tak. (fałsz)

P: Nie, to nie jest Bosch. To Krantz.

O: W porządku, Krantz - jeśli tak chcecie. (prawda)

P: Jak nawiązujesz kontakt?

O: Przez radio. (fałsz)

P: Nie mówisz mi prawdy.

O: (krzyk)

P: Jak nawiązujesz kontakt?

O: Skrzynka na listy nie doręczona.

P: Myślisz, że kiedy cię boli, wykrywacz kłamstw nie funkcjonuje prawidłowo i że w torturach jesteś bezpieczny. Tylko częściowo masz rację. To bardzo zmyślne urządzenie. Spędziłem wiele miesięcy, by nauczyć się je obsługiwać, tak jak trzeba. Po zadaniu ci bólu wystarczy kilka chwil na dostosowanie maszyny do twego szybszego metabolizmu, i znowu mogę ci powiedzieć, kiedy kłamiesz. Jak nawiązujesz kontakt?

O: Przez skrzynkę na listy nie doręczona... (krzyk).

P: Ali! Rozwiązały mu się nogi - te konwulsje są cholernie silne. Zwiąż go znowu, zanim przyjdzie do siebie. Postaw wiadro i wlej więcej wody. (pauza) W porządku, budzi się, wyjdź. Słyszysz mnie, Toufik?

O: (niewyraźnie)

P: Jak się nazywasz?

O: (bez odpowiedzi)

P: Mały kop pomoże ci...

O: (krzyk)

P:... myśleć.

O: Abram Ambache.

P: Jaki dzisiaj dzień?

O: Sobota.

P: Co daliśmy ci na śniadanie?

O: Fasolę.

P: Ile jest dwadzieścia minus siedem?

O: Trzydzieści.

P: Twój zawód?

O: Jestem studentem. Nie, proszę, i szpiegiem, tak, jestem szpiegiem, proszę nie dotykać guzika, proszę, o Boże, o Boże...

P: Jak nawiązujesz kontakt?

O: Przez zaszyfrowane telegramy.

P: Masz papierosa... Och, widzę, że nie możesz go utrzymać w ustach. Pozwolisz, że ci pomogę.

O: Dziękuję.

P: No, a teraz spróbuj się uspokoić. Pamiętaj, dopóki mówisz prawdę, nie ma żadnego bólu. (pauza) Czujesz się lepiej?

O: Tak.

P: Ja też. A teraz opowiedz mi o profesorze Schulzu. Dlaczego go śledziłeś?

O: Miałem takie polecenie. (prawda)

P: Z Tel-Awiwu?

O: Tak. (prawda)

P: Od kogo w Tel-Awiwie?

O: Nie wiem. (odczyt niewyraźny)

P: Spróbuj zgadnąć.

O: Bosch. (odczyt niewyraźny)

P: Czy Krantz?

O: Możliwe. (prawda)

P: Krantz to porządny facet. Można na nim polegać. A jak się czuje jego żona?

O: Bardzo dobrze, ja.... (krzyk)

P: Jego żona umarła w 1958. Dlaczego zmuszasz mnie, bym sprawiał ci ból? Co robił Schulz?

O: Zwiedzał okolicę przez dwa dni, potem znikł na pustyni. W szarym mercedesie.

P: I włamałeś się do jego apartamentu.

O: Tak. (prawda)

P: Czego się dowiedziałeś?

O: Że jest naukowcem. (prawda)

P: Coś jeszcze?

O: Jest Amerykaninem. (prawda) To wszystko. (prawda)

P: Kto był twoim instruktorem na treningu?

O: Ertl. (odczyt niewyraźny)

P: Ale to nie było jego prawdziwe nazwisko.

O: Nie wiem. (fałsz) Nie! Tylko nie guzik, zaraz sobie przypomnę. Chyba ktoś mi mówił, że on naprawdę nazywa się Manner. (prawda)

P: Ach, Manner. Wstydz się. To taki staroświecki typ. Ciągłe myśli, że może nauczyć agentów, jak się nie załamać w śledztwie. To jego wina, że tak cierpisz, nieprawda? A jeśli chodzi o twoich kolegów - z kim trenowałeś?

O: Nigdy nie wiedziałem, jak się naprawdę nazywają. (falsz)

P: Nie wiedziałeś?

O: (krzyk)

P: Prawdziwe nazwiska.

O: Nie znam wszystkich....

P: Wymień te, które znasz.

O: (bez odpowiedzi)

(krzyk)

(więzień zemdłał)

(pauza)

P: Nazwisko.

O: Och... Toufik. (krzyk)

P: Co jadłeś na śniadanie?

O: Nie wiem.

P: Ile jest dwadzieścia minus siedem?

O: Dwadzieścia siedem.

P: Co przekazałeś Krantzowi o profesorze Schultzcu?

O: Zwiedzał... Pustynię Zachodnią... Inwigilacja niemożliwa...

P: Z kim trenowałeś?

O: (bez odpowiedzi)

P: Z kim trenowałeś?

O: (krzyk)

P: Z kim trenowałeś?

O: Taak, chociaż idę przez dolinę śmierci...

P: Z kim trenowałeś?

O: (krzyk)

(więzień zmarł)

Pierre Borg zawsze stawiał się na spotkanie, kiedy Kauasz go o to prosił. Nigdy wspólnie nie ustalali terminu ani miejsca: po prostu Kauasz je wyznaczał, a Borg potwierdzał, że przybędzie. Kauasz był najlepszym podwójnym agentem, jakiego Borg miał kiedykolwiek do dyspozycji.

Szef Mosadu stał na końcu północnego peronu metra w Oxford Circus, czytając ogłoszenie o cyklu wykładów z teozofii. Czekał na Kauasza. Nie miał pojęcia, dlaczego Arab wybrał na to spotkanie Londyn, jak wytłumaczył przełożonym swoją obecność w mieście ani dlaczego nie był wobec nich lojalny.

Było to bez znaczenia, albowiem człowiek ten pomógł Izraelczykom wygrać dwie wojny i uniknąć trzeciej, i Borg go potrzebował.

Borg rozejrzał się po peronie, czy nie widać gdzieś dużej głowy z wielkim, mięsistym nosem. Domyślał się, dlaczego Kauasz chce z nim mówić. Miał nadzieję, że intuicja go nie zawiedzie.

Od jakiegoś czasu Borga trapiły nie lada kłopoty w związku ze sprawą Schulza. Zaczęła się ona od rutynowego śledztwa, w sam raz, by prowadził je najmłodszy, najmniej doświadczony agent w Kairze. Cóż w tym szczególnego, że wybitny i ustosunkowany fizyk amerykański podczas wakacji w Europie postanowił zrobić sobie wycieczkę do Egiptu? Pierwszy sygnał ostrzegawczy pojawił się, kiedy Toufik stracił go z oczu. Wtedy Borg zwiększył aktywność. Pewien dziennikarz mediolański, który od czasu do czasu zbierał informacje dla wywiadu niemieckiego, ustalił, że lot Schulza

do Kairu opłaciła żona egipskiego dyplomaty w Rzymie. Później CIA rutynowo przekazała Mosadowi serię zdjęć satelitarnych z okolic Kattary, które przedstawiały elementy jakiejś budowli. Borg przypomniał sobie, że Schulz zmierzał w kierunku Kattary, kiedy urwał się spod obserwacji Toufika.

Coś się działo, a on nie wiedział co, i to właśnie go martwiło. Prawdę powiedziawszy, martwił się zawsze. Jeśli snu z powiek nie spędzali mu Egipcjanie, czynili do Syryjczycy, jeśli nie Syryjczycy, to fedaini, jeśli nie wrogowie, to przyjaciele, bo jak długo mogli pozostawać przyjaciółmi? Taką miał pracę. Jego matka powiedziała mu kiedyś, co o tym sądzi.

- Ty się już urodziłeś zmartwiony, jak twój biedny ojciec. Nie zwalaj wszystkiego na pracę. Gdybyś był ogrodnikiem, też byś się stale martwił.

Pewnie miała rację. W każdym razie paranoja to jedyna rozsądna rzecz, której powinien trzymać się superagent. A teraz, kiedy urwał się kontakt z Toufikiem - to dopiero była zgryzota. Może Kauasz coś tu wyjaśni.

Na peron wtoczył się pociąg. Tyle że Borg nie czekał na pociąg. Zaczął więc oglądać plakat filmowy. Połowa nazwisk była żydowska. Trzeba było zostać producentem filmowym pomyślał.

Kiedy pociąg odjechał, Borg zorientował się po cieniu, że ktoś obok niego stoi. Podniósł wzrok i ujrzał spokojną twarz Kauasza.

- Dzięki za przybycie - powiedział Arab. Zawsze to mówił.

Borg zbył to milczeniem. Nigdy nie wiedział, jak odpowiadać na podziękowania.

- Co nowego? - zapytał.

- W piątek w Kairze musiałem zgarnąć jednego z twoich zasrańców.

- Musiałeś?

- Wywiad wojskowy chronił pewną ważną osobę i zauważyli dzieciaka, który deptał im po piętach. Wojskowi nie mają na mieście personelu operacyjnego, więc poprosili mój wydział, żeby go zgarnąć. To było oficjalne zgłoszenie.

- Do diabła - zaklął Borg. - Co się z nim stało?

- Musiałem postępować zgodnie z regulaminem - odpowiedział Kauasz. Wyglądał na bardzo smutnego. - Chłopak był przesłuchiwany i nic przeżył. Nazywał się Abram Ambache, ale pracował jako Toufik el-Masiri.

Borg skrzywił się.

- Podał wam prawdziwe nazwisko?

- On nie żyje, Pierre.

Borg był zirytowany, bo Kauasz zawsze ociągał się z wyjaśnianiem spraw personalnych.

- Dlaczego podał wam swoje nazwisko?

- Użyliśmy rosyjskich urzędzeń - wstrząs elektryczny plus wykrywacz kłamstw. Nie szkolicie ludzi na taką okoliczność.

Borg zaśmiał się krótko.

- Gdybyśmy napomknęli o czymś takim, nie znaleźlibyśmy do soboty nawet jednego obszcymura. Co jeszcze z niego wyciągnęliście?

- Nic, czego byśmy nie wiedzieli. Mógł jeszcze coś powiedzieć, ale go zabiłem.

- Ty go zabiłeś?

- Prowadziłem przesłuchanie w taki sposób, żeby nie powiedział nic ważnego. Teraz wszystkie przesłuchania są nagrywane i trafiają do archiwum. Uczymy się tego od Rosjan. - W jego brązowych oczach pojawił się smutek. - Może wolałbyś, żeby kto inny wykańczał twoich chłopaków?

Borg patrzył mu w oczy, teraz odwrócił wzrok. Raz jeszcze musiał pokierować rozmową - od sentymentów przejść do konkretnego.

- Czego chłopak dowiedział się o Schulzu?

- Agent wywiózł profesora na Pustynię Zachodnią.

- Dobrze, ale po co?

- Nie wiem.

- Musisz wiedzieć, przecież pracujesz dla wywiadu egipskiego! - Borg opanował zdenerwowanie. Nakazał sobie, że przestanie faceta naciskać i da mu wolną rękę. Jeśli wie cokolwiek, powie wszystko.

- Nie mam pojęcia, co oni tam robili. Zajmuje się tym specjalna grupa - powiedział Kauasz. - Mój wydział nie otrzymuje takich informacji.

- A nie domyślasz się dlaczego?

Arab wzruszył ramionami.

- Chyba nie chcą, żeby dowiedzieli się o tym Rosjanie. Teraz Moskwa otrzymuje wszystko, co przechodzi przez nasze służby.

Borg tym razem już nie ukrywał rozczarowania.

- I z tym wszystkim Toufik miał sobie dać radę?

W łagodnym głosie Araba nagle pojawiła się złość.

- Dzieciak zginął dla ciebie - powiedział.

- Podziękuję mu w niebiosach. Czy zginął nadaremnie?

- Zabrał to z apartamentu Schulza. - Kauasz sięgnął ręką do kieszeni i pokazał Borgowi małe kwadratowe pudełko z niebieskiego plastiku.

- Skąd wiesz, gdzie to zwędził?

- Były na tym odciski paków Schulza. Aresztowaliśmy Toufika zaraz po włamaniu do mieszkania profesora.

Borg otworzył pudełko i wyjął kopertę. Była otwarta. Sięgnął po negatyw fotografii.

- Otworzyliśmy kopertę i rozwinęliśmy film. Jest nie naświetlony - powiedział Arab.

Z głębokim poczuciem satysfakcji Borg zamknął pudełko i wsadził je do kieszeni. Teraz wszystko nabierało sensu. Teraz rozumiał. Teraz już wiedział, co ma zrobić. Wjechał pociąg.

- Wsiadasz? - zapytał.

Kauasz skrzywił się nieznacznie, skinął głową i ruszył do krawędzi peronu. Pociąg właśnie się zatrzymał i drzwi się otworzyły. Wsiadł i stanął w drzwiach.

- Nie wiem, co kryje się za tym pudełkiem - powiedział.

Ty mnie nie lubisz, pomyślał Borg, a ja uważam, że jesteś naprawdę świetny. Uśmiechnął się szeroko do Araba, bo drzwi metra zaczęły się zamykać.

- Ale ja wiem - powiedział.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nat Dickstein zupełnie oczarował młodą Amerykankę.

Pracowali razem w piaszczystej winnicy. Pełni i okopywali winorośl w lekkich podmuchach wiatru znad Morza Galilejskiego. Dickstein zdjął koszulę i pracował tylko w szortach i w sandałach, nie zważając na słońce, co jest charakterystyczne dla ludzi urodzonych w mieście.

Był szczupły, drobnej budowy, miał wąskie barki, płaską klatkę piersiową, guzowate łokcie i kolana. Karen przyglądała mu się w przerwach, które robiła często, tymczasem on ani razu nie potrzebował odpoczynku. Jego mięśnie pod śniadą skórą, całą w bliznach, poruszały się sprężysto niby lina powiązana w węzły. Karen należała do kobiet zmysłowych, pragnęła więc dotykać tych blizn i pytać, skąd się wzięły.

Niekiedy napotykał jej spojrzenie, wówczas uśmiechał się bez skrępowania i pracował dalej. Jego twarz o regularnych rysach była spokojna i nieodgadniona. Ciemne oczy spoglądały zza okrągłych okularów, bardzo modnych wśród rówieśników Karen, ponieważ nosił je John Lennon. Włosy też ciemne miał Nat - i krótkie. Karen wolałaby, żeby je zapuścił. Chwilami kiedy się uśmiechał, w charakterystyczny sposób krzywiąc usta, wyglądał młodziej, choć niełatwo było dokładnie określić jego wiek. Miał siłę i energię młodego mężczyzny, ale Karen widziała pod jego zegarkiem

wytatuowany numer z obozu koncentracyjnego, tak że nie mógł liczyć mniej niż czterdzieści lat.

Pojawił się w kibucu zaraz po niej, latem 1967 roku. Karen ze swoimi dezodorantami i pigułkami antykoncepcyjnymi poszukiwała wówczas miejsca, gdzie mogłaby realizować hipisowskie ideały, nie będąc na odlocie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jego przywieziono karetką pogotowia.

Sądziła, że został ranny w czasie wojny sześciodniowej; ludzie kibucu odpowiadali wymijająco, że owszem, coś w tym rodzaju.

Zgotowano im całkiem odmienne powitanie - Karen przyjęto życzliwie, lecz z rezerwą. W jej postawie życiowej ludzie ujrzeni odbicie swojej własnej, tylko że z niebezpiecznymi elementami. Za to Nat Dickstein wracał jak długo oczekiwany syn. Ludzie gromadzili się wokół niego, przynosili mu zupe, ze łzami w oczach oglądali jego rany.

Jeśli Dicksteina traktowano tu jak syna - matką z całą pewnością była Ester. Najstarsza członkini kibucu. Karen powiedziała kiedyś: - Ona wygląda jak matka Goldy Meir. - Ależ skąd - zaprzeczył ktoś - ona jest jej ojcem - i wszyscy się roześmieli. Ester poruszała się o lasce, ciężkim krokiem obchodziła wioskę, udzielając bezinteresownych rad. Przeważnie bardzo mądrych. Pełniła straż przed pokojem, w którym leżał chory Dickstein. Przeganiała stamtąd rozkrzychaną hałastrę, wygrażała laską, lecz nawet dzieci wiedziały, że żadnego nigdy nie uderzy.

Dickstein szybko wracał do sił. Już po kilku dniach wygrzewał się w słońcu, obierał jarzyny na obiad i opowiadał starszym dzieciakom nieprzyzwoite dowcipy. Po dwóch tygodniach pracował w polu, a wkrótce harował ciężiej niż inni, może z wyjątkiem najmłodszych mężczyzn.

Jego przeszłość rysowała się niewyraźnie, ale Ester opowiedziała Karen, jak Dickstein w 1948 roku, podczas wojny o niepodległość, przybył do Izraela. Ester mówiła o tym tak, jakby to było wczoraj. Zanim wyemigrowała do Palestyny, swoje młode lata, które przypadły na dwa pierwsze dziesięciolecia tego wieku, spędziła w Londynie; była działaczką wielu spośród radykalnie lewicowych ruchów i organizacji - znały ją sufrażystki i znali pacyfiści. Jej pamięć sięgała jeszcze dalej, do pogromów w Rosji. Ale Ester wspominała o tym niejasno, tak jakby przywoływała potworne obrazy z koszmarne snu.

Schroniły się z Karen przed upałem w cień figowca. Ester malowała krzesło, które własnoręcznie zrobiła, i opowiadała o Dicksteinie jak o uczniaku - zdolnym, ale psotnym.

- Było ich ośmiu czy dziewięciu - zaczęła swoją opowieść. - Jedni studiowali, inni pracowali jako robotnicy na East Endzie. Zanim przyjechali do Francji, zdążyli wydać wszystkie pieniądze, o ile je w ogóle mieli. Do Paryża dowiozła ich zatrzymana po drodze ciężarówka, dalej, do Marsylii, udali się pociągiem towarowym. Stamtąd do Włoch większą część drogi przebyli bodaj pieszo. Następnie ukradli olbrzymiego poniemieckiego mercedesa, którym przejechali cały półwysep aż do samego krańca. - Twarz Ester rozjaśnił uśmiech, a Karen pomyślała: z pewnością bardzo by chciała być tam z nimi.

- W czasie wojny Dickstein znalazł się na Sycylii - ciągnęła dalej Ester. - Wygląda na to, że miał tam kontakty z mafią. W jej rękach zaś po wojnie znajdowała się cała broń. Dickstein chciał ją zdobyć dla Izraela, tyle że nie miał pieniędzy. Namówił więc Sycylijczyków, żeby sprzedali jakiemuś Arabowi cały statek ze sprzętem wojskowym i ujawnili Żydom miejsce transakcji. Pomysł im się spodobał. Dobili targu, otrzymali swoje pieniądze, a Dickstein z przyjaciółmi ukradł statek wraz z towarami i odpłynął do Izraela!

Karen głośno się roześmiała, aż koza pasąca się w pobliżu figowca spojrzała na nią z wyrzutem.

- Czekaj - powiedziała Ester - nie wiesz jeszcze, jak się ta historia skończyła. Całe doświadczenie żeglarskie ekipy Dicksteina sprowadzało się do tego, że spośród studentów kilku potrafiło wiosłować, co do robotników zaś, jeden pracował kiedyś jako doker. A tu mieli popłynąć z pięciotonowym ładunkiem, zdani tylko na siebie. Toteż zaczęli od rzeczy podstawowych: na statku powinny znajdować się mapy i kompasy. Wyszukali też instrukcję, z której Dickstein dowiedział się, jak uruchomić statek, nie pisano jednak, jak go zatrzymać. Kiedy więc wpłynęli do Hajfy, wrzeszcząc i podrzucając czapki na wiwat, jakby to była studencka feta, zaryli się prosto w nadbrzeże. Szybko im to wybaczone, bo karabiny były cenniejsze niż złoto, ale od tej pory Dicksteina zaczęto nazywać Piratem.

Przy pracy w winnicy nie bardzo wyglądał na pirata w tych swoich luźnych szortach i w okularach. W każdym razie podobał się Karen. Była gotowa go uwieść, problem polegał tylko na tym jak. Wiedziała, że i ona mu się podoba - to było widać -

dawała też Natowi do zrozumienia, że nie opierałaby się zbyt długo. Ale on nigdy nie zdobył się na żaden gest. Może uważał, że jest zbyt młoda albo niewinna. A może nie interesowały go kobiety.

- Chyba skończyliśmy. - Głos Dicksteina przerwał tok jej myśli.

Spojrzała na słońce: czas było wracać.

- Zrobiłeś dwa razy tyle co ja.

- Jestem przyzwyczajony do pracy. Mieszkam tu - z małymi przerwami - od dwudziestu lat. Weszło mi to w krew.

Szli w kierunku wioski; niebo robiło się purpurowo-żółte.

- Czym się zajmujesz, gdy cię tutaj nie ma? - spytała Karen.

- No cóż... Zatrnuam studnie, porywam chrześcijańskie dzieci - zażartował i Karen się roześmiała.

- Czy można jakoś porównać życie tutaj z Kalifornią? - zapytał po chwili.

- Tu jest cudownie - odpowiedziała. - Myślę jednak, że w sprawie równouprawnienia kobiet jest jeszcze wiele do zrobienia.

- Wygląda na to, że to teraz bardzo istotny problem.

- Jak zwykle, nie chcesz podejmować tego tematu.

- Nie, dlatego, uważam, że masz rację. Ale z wolnością jest tak: lepiej, by ludzie sami ją wywalczyli, niż by ktoś miał im ją podarować.

- To brzmi jak dobra wymówka, żeby nic w tej sprawie nie robić - powiedziała Karen, a Dickstein roześmiał się.

Na skraju wioski minęli młodego mężczyznę z karabinem, który jechał na kucu patrolować granice osady.

- Uważaj na siebie, Izrael! - krzyknął za nim Dickstein.

Kibuc zachowywał środki ostrożności, choć na wzgórzach Golan strzały ucichły, a dzieciaki nie musiały już sypiać po schronach, Dickstein należał do zwolenników zachowania czujności.

- Pójdę poczytać Motiemu - powiedział.

- Mogę wpaść?

- Czemu nie? - Dickstein spojrział na zegarek. - Teraz musimy się umyć. Za pięć minut bądź w moim pokoju.

Rozeszli się i Karen zniknęła w pomieszczeniu z prysznicami. Kibuc to najlepsze miejsce dla sieroty, myślała, rozbierając się. Rodzice Motiego nie żyli. Ojciec wyleciał w powietrze podczas ataku na wzgórza Golan w wojnie, która skończyła się niedawno. Wcześniej w strzelaninie z fedainami zginęła matka. Oboje byli bliskimi przyjaciółmi Dicksteina. To niewątpliwie tragedia dla dziecka, ale chłopiec nadal sypiał w tym samym łóżku, jadał w tym samym pokoju i miał oparcie w setce niemal dorosłych, którzy go kochali i otaczali opieką. Nie został podrzucony ani niechętniej ciotce, ani niedołącznym dziadkom, ani, co najważniejsze, oddany do sierocińca. No i miał Dicksteina.

Karen zmyła z siebie kurz, włożyła czystą odzież i weszła do pokoju. Motie już tam był. Siedział Dicksteinowi na kolanach, ssał kciuk i słuchał Wyspy Skarbów po hebrajsku. Dickstein był jedyną osobą, jaką znała Karen, mówiącą po hebrajsku z akcentem londyńskiego przedmieścia. Teraz brzmiało to jeszcze dziwniej, bo Dickstein naśladował rozmaitych bohaterów. Chłopcym głosem czytał kwestie Jima, ochryplym basem - Długiego Johna Silvera, półszepem - szalonego Bena Gunna. Karen przyglądała się dwóm postaciom w blasku żółtego światła lampy. Jakże dziecinnie wyglądał Dickstein, a jak dojrzałe - dziecko.

Kiedy rozdział się skończył, oboje zanieśli Motiego do jego sypialni, pocałowali na dobranoc i przeszli do jadalni. Jeśli dalej będziemy tacy nierozłączni, jak nic wszyscy uwierzą, że jesteśmy kochankami, pomyślała Karen.

Przysiedli się do Ester. Po kolacji staruszka zaczęła snuć wspomnienia, a w jej oczach zapaliły się ogniki niczym u młodej dziewczyny.

- Kiedy pierwszy raz znalazłam się w Jerozolimie, krążyło tam takie powiedzonko: jeśli masz puchową poduszkę, możesz sobie kupić dom.

- Jak to? - Dickstein skwapliwie połknął haczyk.

- Dobrą puchową poduszkę możesz sprzedać za funta. Z tym funtem zapisujesz się do kasy pożyczkowej, co uprawnia cię do wzięcia dziesięciu funtów. Wtedy kupujesz kawałek ziemi. Jej właściciel bierze dziesięć funtów jako zadatek, a na resztę weksel. W ten sposób zostajesz właścicielem ziemskim. Wtedy idziesz do murarza i mówisz: zbuduj sobie na tym kawałku ziemi dom. Ja chcę za to tylko małe mieszkanko dla mnie i mojej rodziny.

Bardzo ich to ubawiło, ale wesołość trwała krótko. Dickstein spojrzął na drzwi, Karen przeniosła na nie wzrok w ślad za nim; w progu stał krępy mężczyzna około czterdziestki o mięsistej twarzy prostaka. Dickstein wstał i wyszedł mu na spotkanie.

- Nie łam sobie serca, dziecko - szepnęła Ester. - On nie jest stworzony na męża.

Karen spojrzała na nią, a potem znowu na drzwi. Dicksteina już nich nie było. Po chwili rozległ się warkot ruszającego samochodu. Poczula na swojej dłoni uścisk starczej ręki Ester, kiedy Dickstein odjeżdżał w nieznanym kierunku. Miała go już nigdy nie zobaczyć.

Nat Dickstein i Pierre Borg rozparli się na tylnym siedzeniu dużego czarnego Citroena. Z przodu, za kierownicą, siedział goryl Borga, a obok leżał jego pistolet maszynowy. Jechali w ciemnościach, toteż niewiele przed sobą widzieli, tylko snopy światła reflektorów.

Nat Dickstein bał się. To uczucie towarzyszyło mu zawsze w tego rodzaju sytuacjach. Był świetnym agentem, radził sobie w każdych okolicznościach. Kiedy przystępował do działania, jego umysł koncentrował się na rozwiązywaniu problemów i wtedy brakło w nim miejsca na strach. Ale teraz Borg zamierzał dopiero powierzyć mu zadanie, Dickstein nie znał planów, żeby móc się skupić nad sposobem ich wykonania, przewidywań, które miałby weryfikować, osób przeznaczonych do rozpracowania. Wiedział tylko, że musi zrezygnować ze spokoju, z codziennej ciężkiej pracy, z ziemi, słońca, pielęgnowania upraw. Czeka go zaś straszliwe ryzyko, mnóstwo niebezpieczeństw, kłamstwa, cierpienie, rozlew krwi, może nawet śmierć, przyglądał

się więc słabo oświetlonej twarzy Borga, a fala lęku przed nieznanym podnosiła się w żołądku, przyprawiając Nata o mdłości.

Borg w bladym świetle wyglądał jak olbrzym z bajki. Grube wargi, szerokie policzki, wyłupiaste oczy, przysłonięte krzaczastymi brwiami. Podobno był brzydki jako dziecko, cóż, wyrósł zatem na brzydkiego mężczyznę. W chwilach zaniepokojenia - jak na przykład teraz - jego ręce błędziły bezustannie po twarzy, zasłaniały usta, pocierały nos, dotykały czoła w podświadomym wysiłku ukrycia brzydoty. Dickstein zapytał go kiedyś:

- Dlaczego na wszystkich się tak wydzierasz?

- Bo wszyscy są kurewsko przystojni.

Zawsze mieli kłopoty z językiem, kiedy przychodziło się porozumieć. Borg był z pochodzenia francuskojęzycznym Kanadyjczykiem i cierpiał męki, mówiąc po hebrajsku. Hebrajski Dicksteina nie pozostawiał wiele do życzenia, ale francuski za to szedł mu niesporo. Zwykle więc porozumiewali się po angielsku.

Dickstein pracował dla Borga od dziesięciu lat, ale jak dotąd, nie polubił tego człowieka. Rozumiał naturę Borga, drażliwą i ponurą, szanował jego profesjonalizm i bezgraniczne oddanie wywiadowi izraelskiemu. To jednak nie wystarczało, zdaniem Dicksteina, żeby kogoś polubić. Poza tym czuł się oszukiwany, choć wiele ważkich racji kryło się za tym, że Borg nie mówił mu prawdy.

Dickstein odwzajemniał się tym samym. Nie zwierzał się ze swych planów lub informował o nich fałszywie. Podczas wykonywania zadań nigdy nie stawiał się na spotkanie według przyjętych ustaleń, lecz po prostu dzwonił lub przysyłał wiadomość zawierającą kategoryczne żądania. Niekiedy zatajał przed Borgiem swoje plany w części bądź w całości. Pozbawił go w ten sposób możliwości narzucania własnych rozwiązań - tak było chyba bezpieczniej. Ponadto Borg, znając te plany, miałby obowiązek przedstawić je gremiom politycznym, a tam mogłyby się spotkać ze sprzeciwem. Dickstein wiedział, że ma mocną pozycję - Borg zawdzięczał karierę wielu jego sukcesom - i wykorzystywał to bez skrpułów.

Hałaśliwy Citroën mijał właśnie arabską część Nazaretu, wyludnioną w tej chwili prawdopodobnie z powodu godziny policyjnej. Znów wjechali w ciemność, kierując się na Tel-Awiv. Borg zapalił cienkie cygaro.

- Po wojnie sześciodniowej - zaczął mówić - pewien bystry chłopak z Ministerstwa Obrony napisał referat pod tytułem Nieuchronna Zagłada Izraela. Oto jego argumentacja. W czasie wojny o niepodległość kupowaliśmy broń od Czechosłowacji. Kiedy blok sowiecki wziął stronę Arabów, zwróciliśmy się do Francji, a potem do Niemiec Zachodnich. Niemcy zerwali wszystkie umowy, gdy tylko dowiedzieli się o nich Arabowie. Francja ogłosiła embargo po wojnie sześciodniowej. Wielka Brytania i USA konsekwentnie odmawiały dostaw. Traciliśmy źródła jedno po drugim. Może staralibyśmy się rekompensować te straty drogą ciągłego poszukiwania nowych dostawców i rozwijania własnego przemysłu zbrojeniowego. Ale i tak Izrael musi przegrać wyścig zbrojeń na Bliskim Wschodzie. W najbliższej przyszłości kraje naftowe będą od nas bogatsze. Wydatki wojskowe w budżecie Izraela stanowią nadmierne obciążenie dla gospodarki, podczas gdy naszych przeciwników stać na wydatkowanie miliardów. Kiedy oni będą mieć dziesięć tysięcy czołgów, my będziemy potrzebowali sześciu tysięcy, kiedy będą mieć dwadzieścia tysięcy, my będziemy potrzebowali dwunastu i tak dalej. Podwajając każdego roku wydatki na zbrojenia, mogą sparaliżować, naszą gospodarkę bez jednego wystrzału. Współczesna historia Bliskiego Wschodu uczy, że w tym regionie wojna wybucha mniej więcej raz na dziesięć lat. Jest to dla nas niekorzystne. Arabowie mogą sobie od czasu do czasu pozwolić na przegraną w konflikcie, my - nie: nasza pierwsza porażka będzie jednocześnie ostatnią. Stąd wniosek: przetrwanie Izraela zależy od wyrwania się z błędnego koła, w które wciągnęli nas przeciwnicy.

- To nic nowego - zauważył Dickstein. - Wyłącznie frazesy w duchu "pokój za wszelką cenę". Spodziewam się, że ten bystrzaczek Ministerstwa Obrony za taki referat już dawno poszedł na zieloną trawkę.

- Podwójny błąd, przyjacielu. Facet doszedł do wniosku, że powinniśmy zadać ostateczny cios armii arabskiej, kiedy następnym razem przekroczy nasze granice. Czyli że musimy mieć broń jądrową.

A więc to takie buty! Dickstein aż gwizdnął z wrażenia. Ten szaleńczy pomysł wydawał się oczywisty, dopóki pozostawał w sferze projektów. Ale gdyby wprowadzić go w życie, mógł zmienić wszystko. Dickstein zastanawiał się nad tym w milczeniu. Nasuwały się tysięczne pytania. Jak wygląda sprawa od strony technicznej? Czy można liczyć na pomoc Amerykanów? Co na to rząd izraelski? Czy Arabowie mogą odpowiedzieć własną bombą?

- Do diabła! - Wreszcie się połapał. - Bystry chłopak z ministerstwa! To przecież projekt Mosze Dajana.

- Bez komentarza - uśmiechnął się Borg.

- I rząd się na to zgodził?

- Była długa debata. Starsi politycy widzieli już Bliski Wschód zmieciony z powierzchni ziemi przez broń nuklearną. Opozycja natomiast wyrażała przekonanie, że jeśli my będziemy mieli bombę, to Arabowie też się o nią postarają, i znajdziemy się w punkcie wyjścia. Okazało się to grubą pomyłką. - Borg wyjął z kieszeni małe plastikowe pudełko.

Dickstein zapalił światło. Pudełeczko miało około półtora cala kwadratowego powierzchni, było płaskie, w kolorze niebieskim. Wewnątrz znajdowała się papierowa koperta nie przepuszczająca światła.

- Co to jest? - zapytał.

- W lutym przyjechał do Kairu fizyk Friedrich Schulz. Jest Austriakiem, ale pracuje w USA. Niby to bawił w Europie na wakacjach, tyle że lot do Kairu opłacił mu rząd egipski. Śledziłem go, ale on zgubił mojego człowieka i na czterdzieści osiem godzin zniknął gdzieś na Pustyni Zachodniej. Wiemy od CIA, że zdjęć satelitarnych, że rozpoczęto tam jakąś ważną budowę. Po powrocie Schulz miał to w kieszeni. To dozymetr. Koperta nie przepuszczająca światła zawierała kawałek zwykłej błony fotograficznej. Nosi się to w kieszeni, w klapie albo przy pasku od spodni. Jeśli się otrzyma jakąś dawkę promieniowania, klisza po rozwinięciu będzie naświetlona. Taki dozymetr musi nosić rutynowo każda osoba, która przebywa - czy to zwiedzając, czy pracując - na terenie elektrowni jądrowej.

- A więc twoim zdaniem Arabowie już konstruują bombę atomową. - Dickstein zgasił światło i oddał Borgowi pudełko.

- To fakt - odpowiedział Borg trochę za głośno.

- Czyli rząd wyraził zgodę na produkcję bomby.

- W zasadzie tak.

- To znaczy?

- Są pewne trudności. Sam mechanizm tego interesu jest prosty. Każdy, kto potrafi wyprodukować bombę konwencjonalną, może wyprodukować też jądrową. Problem tkwi w zdobyciu materiału wybuchowego, plutonu. Uzyskuje się go w reaktorze atomowym jako produkt uboczny. Reaktor w końcu mamy. W Dimonie, na pustyni Negew. Wiedziałaś chyba o tym?

- Tak.

- To tajemnica poliszynela. Natomiast nie dysponujemy aparaturą do uzyskiwania plutonu ze zużytego paliwa. Moglibyśmy nawet zbudować odpowiednią instalację, ale nie mamy własnego uranu, żeby go przepuścić przez reaktor.

- Poczekaj. - Dickstein zmarszczył brwi. - Musimy mieć uran na paliwo do normalnej pracy reaktora.

- Owszem. Dostajemy go z Francji, ale pod warunkiem, że zwracamy zużyte paliwo, czyli że oni otrzymują pluton.

- A inni dostawcy?

- Narzuciliby te same warunki, zgodnie z ogólnie obowiązującymi przepisami o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

- A czy ludzie z Dimony nie mogliby zachachmęcić trochę zużytego paliwa, nie zwracając niczyjej uwagi? - zapytał Dickstein.

- Nie. Znając ilość dostarczanego uranu, można precyzyjnie obliczyć ilość otrzymanego plutonu. Waży się go bardzo starannie, to drogi surowiec.

- Czyli sprawa rozbija się o uran?

- Właśnie.

- A istnieje jakieś rozwiązanie?

- Tylko jedno. Ty go ukradniesz.

Dickstein wyjrzał przez okno. Na polu, w poświacie księżyca, ujrzał stado owiec, przy nim pasterza - Araba z kijem w ręce. Scena jak z Biblii. A więc takie było jego zadanie. Wykraść uran dla krainy mlekiem i miodem płynącej. Poprzednio trzeba

było dla niej w Damaszku zabić przywódcę terrorystów, jeszcze wcześniej, w Monte Carlo, zmusić szantażem bogatego Araba, żeby przestał opłacać fedainów.

Kiedy Borg mówił o polityce, Schulzu i reaktorach jądrowych, Dickstein zapomniał o swych obawach. Ale teraz uświadomił sobie, że te sprawy dotyczą go osobiście. Powrócił strach, a wraz z nim wspomnienia. Po śmierci ojca jego rodzina znalazła się w skrajnej nędzy. Kiedy przychodzili wierzyciele, Nata wysyłano do drzwi, żeby mówił, że mamy nie ma w domu. Mając trzynaście lat zdał sobie sprawę, jakie to upokarzające, albowiem ci ludzie wiedzieli, że on kłanie, on wiedział, że oni wiedzą, patrzyli więc na niego z mieszaniną wzdargy i litości, co dotykało go do żywego. Nigdy tego nie zapomniał - a teraz tamto uczucie wracało, jakby wygrzebane z podświadomości, kiedy taki ktoś jak Borg mówił coś w tym rodzaju: "Nathanielku, ukradnij trochę uranu dla swojej ojczyzny".

Matki w takich sytuacjach pytał zawsze: "Naprawdę muszę?" Ale teraz rozmawiał z Borgiem.

- Czy koniecznie trzeba go ukraść? - powiedział. - Dlaczego nie można go kupić i po prostu odmówić zwrotu do dalszej przeróbki?

- Bo wtedy wszyscy by się dowiedzieli, co jest grane.

- I co z tego?

- Na dalszą przeróbkę potrzeba wielu miesięcy. W tym czasie mogłyby nas spotkać dwie poważne przykrości: po pierwsze Egipcjanie przyśpieszyliby swoje prace, po drugie Ameryka użyłaby wszelkich nacisków, żebyśmy zaniechali produkcji.

- Więc chcesz, żebym ukradł ten materiał i żeby nikt się nie dowiedział, że go mamy?

- Więcej. - Głos Borga brzmiał szorstko i ochryple. - Nikt się nie może dowiedzieć, że w ogóle miała miejsce taka kradzież. To ma wyglądać, jakby surowiec po prostu zaginął. Właściciele, a także agencje międzynarodowe, w związku z jego zniknięciem wpadną w takie tarapaty, że zatuszują całą sprawę. A kiedy odkryją, że zostali obrabowani, będą się obawiali kompromitacji.

- Ale w końcu mogą to ujawnić.

- Wtedy będziemy już mieli bombę.

Dotarli nad brzeg morza, do drogi łączącej Hajfę z Tel-Awivem. Podczas gdy samochód przedzierał się przez noc, Dickstein parę razy rzucił okiem na fale Morza Śródziemnego; niczym szlachetne kamienie połyskiwały w świetle księżyca. Kiedy się wreszcie odezwał, nuta rezygnacji w jego głosie samego go zaskoczyła.

- Ile uranu potrzebujemy?

- Na dwanaście bomb. Około stu ton rudy.

- Do kieszeni tego nie schowam. - Dickstein zmarszczył brwi. Ile by kosztowało, gdybyśmy chcieli kupić rudę?

- Nieco ponad milion dolarów.

- I myślisz, że tamci to tak po prostu zatuszują?

- Jeśli dobrze wykonasz robotę.

- Czyli jak?

- To już twoja sprawa, Piracie.

- Nie jestem pewien, czy to się da zrobić.

- Musi się dać. Powiedziałem premierowi, że ruszymy sprawę. Od tego zależy moja kariera, Nat.

- Mam gdzieś twoją zasraną karierę.

Borg, dotknięty takim lekceważeniem, zapalił nerwowo następne cygaro. Dickstein uchylił okno, żeby trochę przewietrzyć. Jego nagła niechęć nie miała nic wspólnego z niezręczną uwagą Borga o charakterze osobistym. Stanowiła raczej typowo męski sprzeciw wobec niepojętej właściwości tego człowieka: wszyscy ogromnie łatwo mu ulegali. Ponadto nękały Dicksteina koszmarne wizje: chmury w kształcie grzyba nad Jerozolimą i Kairem, pola bawełny po obu stronach Nilu i winnice u wybrzeży Morza Galilejskiego tonące w pyłe radioaktywnym, Bliski Wschód trawiony ogniem i nienormalne, kalekie dzieci przez całe pokolenia.

- Wciąż uważam, że jest szansa na pokój - powiedział.

- Nie wiem. Nie mieszam się do polityki - wzruszył ramionami Borg.

- Gówno prawda!

- Zauważ - westchnął Borg - że jeśli oni będą mieli bombę, my też musimy ją mieć, prawda?

- Skoro wszystko ku temu zmierza, możemy zwołać konferencję prasową, ogłosić, że Egipcjanie przystąpili do produkcji bomby, i nalegać, żeby świat ich powstrzymał. W każdym razie sądzę, że ludzie u nas chcą mieć bombę, i że zadowolili ich takie wytłumaczenie.

- I może właśnie mają rację - powiedział Borg. - Nie można ciągle walczyć, co kilka lat toczyć wojen. Za którymś razem można przegrać.

- Moglibyśmy zawrzeć pokój.

- Jesteś kretyńsko naiwny - parsknął Borg.

- A gdybyśmy załatwili kilka spraw: ziemie okupowane, prawo do powrotu, równe prawa dla Arabów w Izraelu...

- Arabowie mają równe prawa.

- Jesteś kretyńsko naiwny - zaśmiał się gorzko Dickstein.

- Słuchaj. - Borg z trudem zachowywał spokój. Dickstein rozumiał jego rozdrażnienie. Reakcja typowa dla wielu Izraelczyków, których zdaniem wcielenie w życie tych liberalnych idei stanowiłoby pierwszy krok po równi pochyłej: kolejne ustępstwa sprawiłyby, że cały kraj zostałby podany Arabom na talerzu. Takie idee podcinają korzenie żydowskiej tożsamości. - Słuchaj - powtórzył Borg - może powinniśmy sprzedać nasze dziedzictwo za miskę soczewicy. Ale żyjemy w realnym świecie i ludzie w tym kraju nie będą głosować na pokój za wszelką cenę. A w głębi duszy sam przyznajesz, że Arabom też się do tego pokoju nie śpieszy. Nadal zatem jesteśmy skazani na walkę przeciwko nim. Jeśli musimy walczyć, lepiej, żebyśmy zwyciężyli. A jeśli chcemy mieć pewność, że zwyciężymy, lepiej, żebyś ukradł dla nas trochę uranu.

- Najbardziej nie lubię w tobie tego, że zwykle masz rację - powiedział Dickstein.

Borg opuścił nieco szybę i wyrzucił niedopałek cygara. Posypały się iskry jak z fajerwerku. Widać już było światła Tel-Awiwu - właśnie dojeżdżali.

- Widzisz, wobec większości moich ludzi nie czuję się w obowiązku wytaczać argumentów politycznych przy omawianiu pomierzonego im zadania, oni po prostu podporządkowują się rozkazom, tak jak powinni robić ludzie czynu - oświadczył Borg.

- Nie wierzę ci - odparł Dickstein. - Albo będziemy narodem idealistów, albo nic z nas nie zostanie.

- Możliwe.

- Kiedyś poznałem pewnego gościa imieniem Wolfgang. Zazwyczaj mawiał: "Ja tylko wykonuję rozkazy". I potem zazwyczaj łamał mi nogę.

- Taaa - powiedział Borg. - Wspominałeś mi o tym.

Kiedy przedsiębiorstwo zatrudnia księgowego, pierwszą rzeczą, którą ten robi, jest złożenie oświadczenia, iż ma tak wiele pracy związanej z ogólnymi kierunkami polityki finansowej firmy, że do prowadzenia księgowości musi zatrudnić asystenta. Podobnie wygląda to u szpiegów. Państwo powołuje służbę wywiadowczą, żeby dowiedzieć się, ile czołgów mają sąsiedzi i gdzie je trzymają, ale wywiad zaraz oświadcza; że jest tak zajęty inwigilacją elementów wywrotowych wewnątrz kraju, iż należy powołać oddzielną służbę, która zajmowałaby się wywiadem wojskowym.

Tak było w Egipcie w 1955 roku. Ledwo opierzony wywiad dzielił się wtedy na dwa departamenty. Wywiad wojskowy zajmował się liczeniem czołgów izraelskich, choć cały splendor spływał na wywiad cywilny.

Żeby rzecz jeszcze bardziej skomplikować, człowiekiem odpowiedzialnym za pracę oba departamentów był szef wywiadu cywilnego, teoretycznie nadzorowany przez ministra spraw wewnętrznych. Ale zjawiskiem, któremu zwykłą koleją rzeczy podlegają służby specjalne, są wysiłki głowy państwa, żeby je sobie podporządkować. Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, szpiegowie nieustannie snują obłąkańcze plany zabójstw, szantaży i zamachów, co może okazać się kłopotliwe, kiedy tracą grunt pod nogami; z tej racji prezydenci i premierzy wolą mieć ich na oku. Po drugie,

służby wywiadowcze są źródłem władzy, szczególnie w krajach nie ustabilizowanych politycznie, a rządzący państwem chce trzymać ją w swoich rękach.

Szef wywiadu cywilnego w Kairze składał zatem meldunki prezydentowi albo ministrowi stanu.

Kauasz, wysoki Arab, który przesłuchiwał i zabił Toufika, a później dał dozymetr Borgowi, pracował w zarządzie wywiadu cywilnego, szacownej, nie umundurowanej połowie służb specjalnych. Był człowiekiem inteligentnym i pełnym dostojęstwa oraz wielkiej uczciwości, a przy tym głęboko religijnym, aż do granic mistycyzmu. Religijność Kauasza kształtowała jego najbardziej nieprawdopodobne, by nie powiedzieć dziwaczne, przekonania na temat rzeczywistości. Kauasz wyznawał jedną z odmian chrześcijaństwa, w której utrzymywano, że powrót Żydów do Ziemi Obiecanej, nakazany przez Biblię, ma poprzedzać koniec świata. Sprzeciwianie się temu powrotowi było więc grzechem, wysiłek zaś i podjęty w celu jego urzeczywistnienia - świętą powinnością. Dlatego Kauasz został podwójnym agentem.

Praca stanowiła sens jego doczesnej egzystencji. Wiara prowadziła go ku życiu tajemnemu, dzięki niej stopniowo odcinał się od przyjaciół, sąsiadów i, z małymi wyjątkami, od rodziny. Nie miał żadnych ambicji osobistych, nie licząc tego, że chciał pójść do nieba. Żył ascetycznie, a jedyną przyjemność na tym padole stanowiło dla niego gromadzenie punktów w grze wywiadów. Przypominał bardzo Pierre'a Borga, z tą tylko różnicą, że był szczęśliwy.

Ale teraz chodził przygnębiony i miał kłopoty. Tracił bowiem punkty w sprawie profesora Schulza. Przedsięwzięciem w Kattarze nie zajmował się wywiad cywilny, lecz druga połowa tajnych służb - wywiad wojskowy. Toteż Kauasz tak długo pościł i medytował, aż bezsennej nocy udało mu się opracować plan rozszyfrowania tych tajemnic.

Miał dalekiego kuzyna, Asama, który pracował w biurze szefa wywiadu cywilnego, instytucji, która koordynowała prace obu departamentów. Asam był starszy od Kauasza, ale nie tak bystry.

Obaj kuzyni siedzieli na zapleczu małej, brudnej kawiarni w pobliżu Szerif Pasza. Pili ciepławy likier cytrynowy i odpędzali muchy dymem z papierosów. Wyglądali zupełnie jak bracia: takie same lekkie garnitury, takie same wąsy á la Naser. Kauasz zamierzał dowiedzieć się od Asama czegoś o Kattarze. Obmyślił sobie

sposób podejścia i bardzo się pilnował, żeby wyłożyć sprawę nader delikatnie. W rozmowie okazał swój niewzruszony i spokojny charakter, choć odczuwał silny niepokój wewnętrzny. Przystąpił do rzeczy bardzo bezpośrednio.

- Kuzynie, czy wiesz, co takiego wydarzyło się w Katarze?

Na urodziwej twarzy Asama pojawił się cień podejrzliwości.

- Jeśli ty nie wiesz, ja nie mogę ci powiedzieć.

Kauasz pokręcił głową, jak gdyby Asam go nie rozumiał.

- Nie chcę, żebyś wyjawiał mi tajemnice. Skądinąd domyślałam się, czego dotyczy to przedsięwzięcie. - Tu skłamał. - Martwi mnie tylko, że kontroluje to Maradzi.

- Dlaczego?

- Chodzi o ciebie. Mam na myśli twoją karierę.

- Ja się nie martwię.

- A powinieneś. Maradzi chce zająć twoje stanowisko. Musisz o tym wiedzieć.

Właściciel kawiarni przyniósł talerz oliwek i dwa płaskie bochenki pity. Kauasz zamilkł czekając, aż gospodarz się oddali. Obserwował reakcję Asama na kłamstwo o Maradzim. Asam był zaniepokojony.

- Maradzi składa raporty bezpośrednio ministrowi - kontynuował Kauasz.

- Przecież i tak mam wgląd we wszystkie dokumenty - bronił się Asam.

- Ale nie wiesz, co on mówi ministrowi prywatnie. Ma teraz bardzo mocną pozycję.

Asam zmarszczył brwi.

- Swoją drogą ciekawe, skąd się dowiedziałeś o projekcie.

Kauasz oparł się plecami o zimną betonową ścianę.

- Jeden z ludzi Maradziego pracował w Kairze jako goryl i pewnie od razu spostrzegł, że jest śledzony. Ogonem był agent izraelski, niejaki Toufik. Maradzi nie

dysponuje żadnymi ludźmi do pracy w terenie, meldunek tego goryla dotarł do mnie. Zgarnąłem Toufika.

Asam skrzywił się z niesmakiem. To błąd pozwolić się śledzić. Jeszcze gorzej jest zwracać się do niewłaściwego departamentu o pomoc. To fatalne.

- Może dałoby się coś z tym zrobić, mój kuzynie.

Asam potarł nos dłonią ciężką od pierścieni.

- Mów dalej.

- Powiedz dyrektorowi o Toufiku. Wytlumacz mu, że Maradza mimo swych niewątpliwych talentów popełnia błędy w obsadzie kadrowej, ponieważ jest młody i niedoświadczony, zwłaszcza w porównaniu z takim człowiekiem, jak ty. Nalegaj, by powierzono ci nadzór nad personelem w Katarze. Potem włącz do tej pracy kogoś lojalnego wobec nas.

Asam powoli skinął głową.

- Rozumiem.

Kauasz czuł już niemal smak sukcesu. Nachylił się do Asama.

- Dyrektor będzie ci wdzięczny za ujawnienie fuszerki w sprawie o najwyższym stopniu tajności. A ty będziesz mógł mieć oko na wszystko, cokolwiek zrobi Maradzi.

- To bardzo dobry plan - powiedział Asam. - Pomówię dziś z dyrektorem. Jestem ci wdzięczny, kuzynie.

Kauasz miał jeszcze coś w zanadrzu - to właśnie było najważniejsze i wyczekiwał najodpowiedniejszej chwili. Postanowił zaczekać jeszcze kilka minut. Wstał ze słowami:

- Czyż nie byłeś zawsze moim patronem? - Ramię przy ramieniu wyszli, zanurzając się w upał miasta.

- Postaram się znaleźć odpowiedniego człowieka jak najszybciej - powiedział Asam.

- A właśnie. - Kauasz niby to przypomniał sobie jakiś błahy szczegół. - Mam człowieka, który idealnie by się do tego nadawał. Jest inteligentny, pomysłowy i nadzwyczaj dyskretny, a poza tym to syn brata mojej nieboszczki żony.

Oczy Asama zwęziły się.

- No i oczywiście składałby meldunki tobie?

Kauasz zrobił minę pełną ubolewania.

- Jeśli domagam się zbyt wiele... - Rozłożył ręce w geście rezygnacji.

- Ależ nie - powiedział Asam. - Zawsze sobie pomagaliśmy.

Doszli do rogu, przy którym postanowili się rozstać. Kauasz hamował się wewnątrz, by poczucie wygranej nie odbiło się na jego twarzy.

- Przyślę ci tego człowieka. Przekonasz się, że można na nim polegać bez reszty.

- Niech będzie - zgodził się Asam.

Pierre Borg znał Dicksteina od dwudziestu lat. Jeszcze w 1948 roku Borg był przekonany, że chłopak nie nadaje się na agenta, pomimo wyczynu ze statkiem załadowanym bronią. Chudy, blady, niesympatyczny niezgrabiasz. Nie pytając Borga o zdanie, postanowiono jednak wziąć Dicksteina na próbę. Borg natychmiast wyrwał się z opinią, że "ten dzieciuch", choć może inaczej to wygląda, nie jest bystrzejszy od gówna. Poza tym Dickstein miał w sobie jakiś dziwny urok, którego Borg nie rozumiał. Niektóre kobiety z Mosadu szalały za nim. Ale inni, wśród nich także Borg, nie mieli pojęcia dlaczego. Dickstein nie wykazywał żadnego zainteresowania kobietami, jego dossier w rubryce "życie seksualne" informowało: brak.

Z biegiem lat jednak Dickstein dojrzał, nabrał wielu umiejętności i pewności działania, tak że Borg mógł na nim polegać bardziej niż na kimkolwiek innym. Fakt, gdyby Dickstein wykazywał się nieco większymi ambicjami osobistymi, mógłby mieć teraz stanowisko zajmowane przez Borga.

Mimo to Borg nie wyobrażał sobie, w jaki sposób Dickstein wypełni powierzone zadanie. Rezultatem debaty na temat broni nuklearnej okazał się jeden z

tych kretyńskich kompromisów politycznych, które przekreślają pracę wszystkich ludzi w służbie państwowej. Zgodzono się na kradzież uranu pod warunkiem, że nikt się nie dowie, a przynajmniej nie będzie wiedział przez wiele lat, że złodziejem był Izrael. Borg wywalczył decyzję - osobiście opowiadał się za błyskawicznym numerem w stylu pirackim bez oglądania się na konsekwencje. W składzie rządu przeważał bardziej legalistyczny punkt widzenia. Ale w końcu to Borg i jego ludzie mają wprowadzić w czyn decyzje gabinetu.

Byli w Mosadzie ludzie, którzy mogliby wykonać zadanie równie dobrze jak Dickstein. Jednym z nich był Mike, szef od zadań specjalnych, drugim sam Borg. Nikomu jednak prócz Dicksteina Borg nie mógłby powiedzieć: oto problem, idź i rozwiąż go.

Dwaj mężczyźni spędzili dzień w domu należącym do Mosadu, w mieście Ramat Gan, niedaleko Tel-Awiwu. Sprawdzeni i zaufani pracownicy Mosadu przygotowywali kawę, podawali posiłki i patrolowali ogród z rewolwerami pod marynarką. Rano Dickstein zobaczył młodego fizyka z Instytutu Weizmanna w Rehovot. Naukowiec miał długie włosy i krawat w kwiaty. Cierpliwie i z wielką precyzją wyjaśniał chemiczne właściwości uranu, istotę radioaktywności i działanie stosu atomowego. Po obiedzie Dickstein rozmawiał z facetem z Dimony o kopalniach uranu, zakładach wzbogacania rudy, wykorzystywaniu paliwa, o jego przechowywaniu i transporcie, a także o zasadach bezpieczeństwa, Międzynarodowej Agencji do spraw Energii Atomowej, Komisji Energii Atomowej USA, Zarządzie do spraw Energii Atomowej Zjednoczonego Królestwa i o Euratomie.

Wieczorem Borg i Dickstein zjedli kolację razem. Borg musiał przestrzegać diety. Jak zwykle, do pieczeni jagnięcej z sałatką nie jadł chleba, wypił za to prawie całą butelkę czerwonego izraelskiego wina. Usprawiedliwiał to koniecznością uspokojenia nerwów, więc też nie mógł sobie pozwolić na ujawnianie niepokoju wobec Dicksteina.

Po obiedzie wręczył Dicksteinowi trzy klucze.

- W skrzynkach depozytowych w Londynie, Brukseli i Zurychu są książeczki oszczędnościowe na twoje nazwisko. Także paszporty, prawa jazdy, gotówka i broń. Jeśli będziesz chciał z nich korzystać, stare dokumenty zostawisz w skrzynce.

Dickstein skinął głową.

- Komu mam składać meldunki, tobie czy Mike'owi?

Borg pomyślał: i tak nie będziesz składał żadnych meldunków, sukinsynu.

- Mnie - powiedział. - Jeśli tylko będzie możliwe, dzwoń bezpośrednio do mnie i mów żargonem. Jeśli mnie nie złapiesz, kontaktuj się z ambasadą i umów spotkanie, posługując się szyfrem. Spróbuję cię odnaleźć bez względu na to, gdzie będziesz. Zaszifrowane listy wysyłaj pocztą dyplomatyczną.

Dickstein przytaknął skwapliwie. Wszystko to były rutynowe działania. Borg wpatrywał się w niego, usiłując odczytać jego myśli. Co on czuje? Czy sądzi, że sobie poradzi? Czy ma jakieś pomysły? Czy jest naprawdę przekonany, że Izrael powinien mieć bombę? Nawet gdyby Borg o to zapytał, nie otrzymałby odpowiedzi.

- Chyba ustalono jakiś nieprzekraczalny termin? - zapytał Dickstein.

- Tak, ale nie wiemy jaki. - Borg zaczął wybierać cebulę z resztek sałatki. - Musimy mieć naszą bombę, zanim Egipcjanie będą mieli swoją. Co znaczy, że twój uran trzeba przepuścić przez reaktor, zanim egipski reaktor zacznie działać. Poza tym wszystko to chemia, a procesów chemicznych przyspieszyć się nie da. Kto pierwszy zacznie, pierwszy skończy.

- Potrzebujemy agenta w Katarze.

- Pracuję nad tym.

Dickstein skinął głową.

- I musimy mieć także odpowiedniego człowieka w Kairze.

O tym akurat Borg wolał nie rozmawiać.

- Do czego zmierzasz? Próbujesz wyciągać ode mnie informacje? - zapytał gniewnie.

- Po prostu głośno myślę.

Przez kilka minut panowała cisza. Borg chrupał cebulę. W końcu przerwał milczenie.

- Powiedziałem ci, czego oczekuję, ale tobie pozostawiam wszelkie decyzje dotyczące twojego działania.

- W porządku. - Dickstein wstał. - Chyba pójdę się położyć.

- Czy masz jakiś pomysł co do miejsca, w którym zaczniesz?

- Tak, mam. Dobranoc - powiedział Dickstein.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nat Dickstein nigdy nie przyzwyczyił się do roli tajnego agenta. Najbardziej męczyła go konieczność ciągłego oszukiwania ludzi. Zawsze musiał kłamać, ukrywać coś, udawać, że jest kimś innym niż jest, śledzić kogoś, okazywać fałszywe dokumenty przy odprawie paszportowej na lotniskach. Nie opuszczała go też myśl, że może zostać zdemaskowany. Nawet w ciągu dnia nawiedzała go koszmarna wizja, w której okrażają go policjanci, wrzeszcząc: "Jesteś szpiegiem!" i pakują go do więzienia, gdzie łamią mu nogę.

Teraz też czuł niepokój. Był w gmachu Jeana Monneta w Luksemburgu na Kirchberg Plateau po drugiej stronie wąskiego korytarza rzeki i położonego na wzgórzu w centrum miasta. Siedział przy wejściu do biur Dyrekcji Ochrony Euratomu i starał się zapamiętać twarze wchodzących pracowników. Właściwie czekał na urzędnika z biura i prasowego o nazwisku Pfaffer, ale celowo przybył tu o wiele za wcześnie. Szukał słabych punktów. Pewną niedogodnością tego przedsięwzięcia był fakt, że również cały personel biura widział jego twarz, nie miał jednak czasu bawić się w nadzwyczajne środki ostrożności.

Pfaffer okazał się niechlujnym młodym mężczyzną o nieprzyjemnym spojrzeniu. Miał przy sobie sfatygowaną brązową aktówkę. Dickstein wszedł za nim do równie niechlujnego pomieszczenia biurowego i przystał na propozycję napicia się kawy. Rozmawiali po francusku. Dickstein miał akredytację mało znanego paryskiego magazynu "Science International". Wyznał Pfafferowi, że jego ambicją jest dostać pracę w "Scientific American".

- O czym pan pisze obecnie? - zapytał Pfaffer.

- Zatyłowałem ten artykuł TM. - Po czym wyjaśnił znaczenie skrótu: - Tajemniczy Materiał. W Stanach Zjednoczonych wciąż ginie paliwo radioaktywne. Dowiedziałem się, że tu, w Europie, istnieje międzynarodowy system zabezpieczania takich materiałów.

- Zgadza się - przytaknął Pfaffer. - W państwach członkowskich kontrolę nad substancjami radioaktywnymi sprawuje Euratom. Przynajmniej posiadamy pełną listę instytucji cywilnych, które mają do czynienia z takimi substancjami, począwszy od kopalń, poprzez zakłady produkcyjne, magazyny i reaktory, na zakładach przetwórczych skończywszy.

- Powiedział pan: instytucje cywilne.

- Tak. Wojskowe znajdują się poza naszymi kompetencjami.

- Proszę kontynuować. - Dickstein chciał, by Pfaffer mówił jak najwięcej i nie zdołał się zorientować, jak ograniczoną wiedzę ma on sam na ten temat.

- A zatem - ciągnął Pfaffer - weźmy na przykład fabrykę wytwarzającą składniki paliwa ze zwykłej rudy uranu. Surowiec dostarczany do fabryki zostaje zważony i przebadany przez inspektorów z Euratomu. Wszystkie dane trafiają do komputera Euratomu, a następnie porównuje się je z informacjami otrzymanymi od inspektorów z firm sprzedających surowiec. W tym wypadku z kopalni rudy uranu. Komputer wykaże najmniejszą różnicę pomiędzy ilością wysłanego i odebranego surowca. Podobnych pomiarów ilościowych i jakościowych dokonuje się na materiale, który opuszcza fabrykę. Ich wyniki zestawiane są następnie z informacjami od inspektorów w miejscach, gdzie paliwo ma zostać wykorzystane - na przykład w elektrowniach atomowych. Ponadto waży się i bada materiał zużyty. Taki system inspekcji wraz z podwójną kontrolą jest stale stosowany i dotyczy także ostatecznego rozmieszczenia odpadów radioaktywnych. Wyniki zestawia się co najmniej dwa razy w roku.

- Rozumiem - Dickstein czuł się przytłoczony i beznadziejnie zniechęcony. Niewątpliwie Pfaffer przesadzał, mówiąc o sprawności systemu, ale jeśli nawet w połowie była to prawda, ich komputery i musiałyby zarejestrować ułotnienie się stu ton rudy uranowej. Po to, by Pfaffer gadał dalej, Dickstein odezwał się znowu: - Zatem wasze komputery cały czas rejestrują lokalizację każdej okruszyny uranu w Europie?

- Na terenie państw członkowskich - we Francji, Niemczech, Włoszech, Belgii, Holandii i Luksemburgu. I nie tylko uranu, lecz wszystkich substancji radioaktywnych.

- A jeśli chodzi o transport?

- Każdy szczegół musi być przez nas zaakceptowany.

Dickstein zamknął notatnik.

- Wygląda na to, że macie bardzo sprawny system. Czy mógłbym zobaczyć, jak to działa w praktyce?

- To nie zależy od nas. Musiałby się pan skontaktować z władzami do spraw energii atomowej danego państwa członkowskiego i poprosić o zezwolenie wizytowania danego obiektu. Czasem organizuje się w niektórych z nich wycieczki z przewodnikiem.

- Czy mógłbym otrzymać jakiś spis telefonów?

- Oczywiście. - Pfaffer wstał i otworzył szafę z aktami.

Dickstein rozwiązał jeden problem tylko po to, by stanąć przed innym. Chciał wiedzieć, gdzie można znaleźć informacje o rozmieszczeniu zapasów materiałów radioaktywnych. I oto poznał odpowiedź: w komputerze Euratomu. Ale cały uran, o którym wiedział komputer, był przedmiotem ścisłej obserwacji, przez co planowana kradzież okazywała się nieprawdopodobnie trudnym zadaniem. Siedząc w małym, obskurnym pokoju, obserwując, jak krząta się zadowolony z siebie Pfaffer, Dickstein pomyślał: jeśli tylko ty, mały biurokrato, domyślasz się, co mi chodzi po głowie, możesz mieć kłopoty. Powstrzymał uśmiech i poczuł się nieco bardziej odprężony.

Pfaffer wręczył mu ulotkę odbitą na kserografie. Dickstein złożył ją i schował do kieszeni.

- Dziękuję panu za pomoc - powiedział.

- Gdzie się pan zatrzymał? - spytał Pfaffer.

- W "Alfie" naprzeciwko dworca.

Pfaffer odprowadził go do drzwi.

- Życzę miłego pobytu w Luksemburgu!

- Postaram się, by był jak najmiłszy - obiecał Dickstein i uściśnął mu dłoń.

Dickstein odkrył tę sztuczkę w dzieciństwie, gdy przesiadywał ze swoim dziadkiem w małym pokoiku nad piekarnią na Mile End Road i zmagał się z rozróżnieniem dziwacznych liter hebrajskiego alfabetu, idea polegała na tym, by wyodrębnić i zapamiętać jakiś jeden konkretny znak, nie zwracając uwagi na pozostałe. Sztuczka przydała się przy zapamiętywaniu twarzy ludzi z Euratomu.

Późnym popołudniem stał przed gmachem Jeana Monneta i patrzył na wychodzących z pracy ludzi. Niektórzy z nich interesowali go bardziej niż inni. Sekretarki, hostessy i gońcy nie liczyli się, podobnie jak wyżsi urzędnicy. Chodziło o programistów komputerowych, menedżerów, szefów małych departamentów, sekretarzy osobistych i asystentów dyrektorów. Nadawał im imiona, które uwzględniały ich cechy charakterystyczne: Diamencik, Sztynny Kojnierzyk, Tony Curtis, Beznosy, Śnieżnogłowy, Zapata, Tłusty Zadek.

Diamencik była pulchną kobietą dobrze po trzydziestce, bez obrączki. Jej imię nasunął Dicksteinowi kryształowy odbłask oprawek jej okularów. Nat szedł za nią po parking, gdzie wbiła się za kierownicę białego fiata 500. Wynajęty peugeot Dicksteina stał obok.

Przejechała most Adolfa, prowadząc wóz źle, choć powoli, i dojechała do małej wioski o nazwie Mondorf-les-Baines leżącej mniej więcej piętnaście kilometrów na południowy wschód od miasta. Zaparkowała na brukowanym podwórku przed domem zbudowanym na planie kwadratu. Przekreśliła klucz w drzwiach i weszła do środka.

Wioska była atrakcją turystyczną, były tu gorące źródła. Dickstein zawiesił sobie na szyi aparat fotograficzny i krążył w pobliżu, mijając dom Diamencika kilka razy. Raz zobaczył, przez okno, jak Diamencik podaje jedzenie jakiejś starszej kobiecie.

Mały fiat stał przed domem aż do północy, gdy Dickstein odjechał.

Diamencik nie okazała się strzałem w dziesiątkę. Stara panna opiekująca się matką, ani bogata, ani biedna (dom najpewniej należał do matki), najwidoczniej bez żadnych grzechów na sumieniu. Gdyby Dickstein był innym typem mężczyzny, mógłby ją uwieść, ale skoro był, jaki był, nie widział sposobu, by zbliżyć się do niej.

Trzy dalsze dni nie przyniosły nic nowego. Przy Zapacie, Tłustym Zadku i Tony Curtisie zostały puste miejsca.

Za to Sztywny Kołnierzyk okazał się doskonały. Liczył mniej więcej tyle lat co Dickstein. Był szczupłym, eleganckim mężczyzną w ciemnoniebieskim garniturze, szerokim błękitnym krawacie, w białej koszuli z usztywnionym kołnierzykiem. Ciemne włosy, nieco dłuższe niż u innych mężczyzn w jego wieku, siwiały na skroniach. Nosił buty robione na zamówienie.

Przeszedł pieszo z biura przez most na rzece Alzette, po czym skierował się w górę, na stare miasto. Następnie skręcił w ciasną brukowaną uliczkę i zniknął w starym domu z tarasem.

Dickstein wałęsał się w pobliżu przez dwie godziny. Gdy Sztywny Kołnierzyk wreszcie się pojawił, miał na sobie obcisłe jasne spodnie i pomarańczowy szalik na szyi. Włosy szesał do przodu, co nadawało mu młodszy wygląd. Poruszał się lekkim krokiem.

Dickstein podążał za nim do rue Dicks, gdzie Sztywny Kołnierzyk wszedł na nie oświetlony ganek i zniknął za drzwiami. Dickstein zatrzymał się na zewnątrz. Drzwi były otwarte, ale nie mógł dostrzec, co działo się w środku. Schody prowadziły w dół. Po chwili Dickstein usłyszał cichą muzykę.

Dwaj młodzi ludzie w takich samych żółtych dżinsach minęli go i weszli do środka. Jeden z nich uśmiechnął się i powiedział:

- Tak, to właśnie tutaj. - Dickstein udał się za nimi.

Lokal wyglądał na zwyczajny nocny klub: stoły, krzesła, kilka łóżek, nieduży parkiet do tańca i jazzowe trio w rogu. Dickstein zapłacił za wstęp i usiadł w jednej z łóż, tak by mieć na oku Sztywny Kołnierzyk. Zamówił piwo.

Odgadł już, dlaczego to miejsce otaczała specyficznie dyskretna atmosfera, a gdy się lepiej rozejrzał, jego teoria potwierdziła się: siedział w klubie dla

homoseksualistów. Pierwszy raz znalazł się w takim lokalu i był trochę zdziwiony, że jest tu tak zwyczajnie. Owszem, kilku mężczyzn miało lekki makijaż, para bezwstydných ciot obejmowała się przy barze, bardzo ładna dziewczyna trzymała się za rękę ze starszą kobietą w spodniach. Jednak większość klientów była ubrana normalnie, choć oczywiście zgodnie z kanonami jaskrawej europejskiej mody.

Sztywny Kołnierzyk siedział obok jasnowłosego mężczyzny w brązowej dwurzędowej marynarce. Dickstein nie miał określonego stosunku do homoseksualistów. Nie obrażał się, gdy ludzie czasem brali go mylnie za homoseksualistę, jako że był kawalerem po czterdziestce. Dla niego Sztywny Kołnierzyk był tylko człowiekiem, który pracował w Euratomie i musiał ukrywać swoje skłonności.

Słuchał muzyki i pił piwo. Podszedł kelner i zapytał:

- Czy jesteś samotny, kochanie?

Dickstein pokręcił głową.

- Czekam na przyjaciela.

Trio zastąpił gitarzysta, który zaczął śpiewać sprośne piosenki ludowe po niemiecku. Dickstein nie rozumiał większości dowcipów, ale reszta publiczności ryczała ze śmiechu. Potem kilka par zaczęło tańczyć.

Dickstein zobaczył, że Sztywny Kołnierzyk kładzie rękę na kolanie swojego towarzysza. Wstał i podszedł do ich łoży.

- Cześć - powiedział beztrósco. - Zdaje się, że widziałem cię niedawno w biurze Euratomu?

Sztywny Kołnierzyk zbladł.

- Nie wiem, kim...

Dickstein wyciągnął dłoń.

- Ed Rodgers - przedstawił się podając to samo nazwisko, którym posłużył się u Pfaffera. - Jestem dziennikarzem.

- Jak się masz - zamruczał Sztywny Kołnierzyk. Przywitał się, ale wolał nie podawać swojego nazwiska.

- Muszę już iść - powiedział Dickstein. - Miło było cię poznać.

- A więc do widzenia.

Dickstein odwrócił się i wyszedł z klubu. Na razie zrobił wszystko, co było konieczne. Sztywny Kołnierzyk wiedział, że jego tajemnica została odkryta, i był przestraszony.

Dickstein ruszył w stronę hotelu. Czuł się zbrukany i zawstydzony.

Śledzono go od rue Dicks. Ogon nie był profesjonalistą i nie próbował się kamuflować. Trzymał się piętnaście, dwadzieścia kroków z tyłu, a jego buty na skórzanych podeszwach odzywały się regularnym stukotem na chodniku. Dickstein udawał, że nic nie zauważa. Przechodząc przez ulicę, rzucił okiem: bardzo młody, długie włosy, brązowa skórzana kurtka.

Chwilę potem inny młodzieniec wysunął się z cienia i stanął naprzeciw Dicksteina, zastępując mu drogę. Dickstein stał spokojnie i czekał. Myślał: co jest, u diabła? Nie miał pojęcia, kto mógłby za nim chodzić już teraz ani dlaczego ten ktoś posługiwał się przy tym takimi amatorami z ulicy.

Ostrze noża błysnęło w świetle ulicy. Ogon podszedł od tyłu. Wyrastek z przodu powiedział:

- W porządku, pedałku, oddaj nam swój portfel.

Dickstein odetchnął z ulgą. To tylko złodzieje, którzy uważali, że każdy wychodzący z nocnego klubu jest łatwym kąskiem.

- Nie bijcie mnie - powiedział Dickstein. - Dam wam pieniądze. - Wyjął portfel.

- Portfel - powtórzył wyrastek.

Dickstein nie chciał wdawać się z nimi w bójkę. Wprawdzie łatwo mógł zdobyć więcej gotówki, lecz utrata wszystkich dokumentów i kart kredytowych stwarzała pewne trudności. Wyjął banknoty z portfela i podał je napastnikom.

- Dokumenty muszę zatrzymać. Weźcie pieniądze, nie złożę meldunku.

Chłopak chwycił pieniądze. Ten z tyłu polecił:

- Weź karty kredytowe.

Młodszy był wyraźnie słabszy. Dickstein spojrzał na niego i zapytał:

- Dlaczego nie zejdziesz mi z drogi, synu? - Potem ruszył do przodu, wymijając go zewnętrzną stroną chodnika.

Skórzane buty zabębniły krótko o trotuar: ten drugi zaatakował Dicksteina, pozostał więc już tylko jeden sposób rozwiązania tej sytuacji. Dickstein odwrócił się, chwycił stopę chłopaka, gotową do wymierzenia ciosu, pchnął go, po czym wykręcił i złamał mu nogę w kostce. Chłopak krzyknął z bólu i upadł.

Wtedy błyskawicznie zbliżył się ten z nożem. Dickstein odskoczył, kopnął chłopaka w goleń, odskoczył i kopnął znowu. Chłopak zamierzył się nożem. Dickstein wykonał unik i kopnął tamtego po raz trzeci dokładnie w to samo miejsce. Rozległ się trzask łamanej kości i facet upadł.

Dickstein stał przez chwilę, patrząc na dwóch rannych nieboraków. Czuł się jak rodzic, którego dzieciaki doprowadziły do tego, że podniósł na nie rękę. Myślał: dlaczegoście mi to zrobili? Obaj byli właściwie dziećmi. Mogli mieć po siedemnaście lat. Byli zdeprawowani. Żerowali na homoseksualistach, a przecież dokładnie tym samym zajmował się tej nocy Dickstein.

Wreszcie odszedł. Był to wieczór, o którym najlepiej nie pamiętać. Postanowił wyjechać z miasta rano.

Gdy Dickstein pracował, przebywał jak najwięcej w pokoju hotelowym, aby uniknąć rzucania się w oczy. Mógłby być nałogowym pijakiem, chociaż picie podczas działań operacyjnych to rzecz nierozsądna - alkohol przytępiał jego czujność - w innych zaś przypadkach nie odczuwał potrzeby picia. Spędzał mnóstwo czasu, patrząc przez okno albo siedząc naprzeciw migającego ekranu telewizora. Nie spacerował po ulicach, nie przesiadywał w barach hotelowych, nawet nie jadał w hotelowych restauracjach. Zawsze zamawiał jedzenie do pokoju. Istnieją jednak granice ostrożności, których człowiek nie może przekroczyć: nie potrafi być niewidzialny. W hallu hotelu "Alfa" w Luksemburgu wpadł na kogoś, kto go znał.

Stał w recepcji przy kontuarze i płacił rachunek za pobyt, bo właśnie się wyprowadzał. Pokazywał kartę kredytową na nazwisko Ed Rodgers, gdy usłyszał z tyłu wypowiedziane po angielsku słowa:

- Mój Boże! Nat Dickstein, chyba się nie mylę?

Ogarnęło go nagle przerażenie. Jak każdy agent, który ukrywa swoją tożsamość, żył w ciągłym strachu, że ktoś z odległej przeszłości go zdemaskuje. To było niby zły sen z policjantem, który wrzeszczy: "Jesteś szpiegiem", niby natarczywy wierzyciel mówiący: "Ale twoja matka tam jest. Widziałem ją przez okno, chowała się pod kuchennym stołem".

Jak każdy agent, Dickstein został przeszkolony, jak ma się zachować w podobnych okolicznościach, zasada była prosta: ktokolwiek to jest, nie znasz go. Musieli to ćwiczyć w szkole. Mówiono: dziś jesteś Chaimem Meyersonem, studentem inżynierii. I tak dalej. A potem, późnym popołudniem, aranżowano sytuację, kiedy wpadałeś na swojego kuzyna albo dawnego profesora ze studiów, albo rabina, który znał całą twoją rodzinę. Za pierwszym razem zawsze uśmiechałeś się i mówiłeś: "dzień dobry", rozmawiałeś przez chwilę o dawnych czasach, i wieczorem twój opiekun ze szkoły oświadczał ci, że jesteś skończony - spieszyłeś sprawę. W końcu nauczyłeś się patrzeć starym przyjaciółom prosto w oczy, pytając: "Kto pan do licha jest?".

Tak oto powrócił problem z dawnych treningów w czasach szkoły. Dickstein najpierw spojrział na recepcjonistę, który właśnie wymeldowywał go jako Eda Rodgersa. Ten nie reagował. Pewnie ani nie rozumiał, o co chodzi, ani nie słuchał, ani go to nie obchodziło.

Czyjaś ręka poklepała Dicksteina po ramieniu. Z przepraszającym uśmiechem odwrócił się, mówiąc po francusku:

- Obawiam się, że to jakaś pomyłka...

Sukienkę miała podwiniętą do pasa, twarz zarumienioną z podniecenia. Całowała Jasifa Hasana.

- Ależ to ty! - powiedział Jasif Hasan.

Przerażające wspomnienie tamtego poranka w Oksfordzie dwadzieścia lat temu sprawiło, że Dickstein stracił na chwilę panowanie nad sobą, zapomniał o

treningu i popełnił największy błąd w swojej karierze. Patrzył zaszokowany i wreszcie wyrzekł:

- Chryste, Hasan.

Hasan uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i powiedział:

- Jak dawno... to musiało być.... ponad dwadzieścia lat!

Dickstein uściśnął mechanicznie podaną dłoń, świadom popełnionego błędu, i spróbował wziąć się w garść.

- Dokładnie tyle - mruknął. - Co tu porabiasz?

- Mieszkam. A ty?

- Właśnie wyjeżdżam. - Dickstein postanowił natychmiast wyjść, szybko, zanim nie stanie się coś gorszego. Urzędnik wręczył mu kartę kredytową, którą Dickstein podpisał: "Ed Rodgers". Spojrzał na zegarek. - Do licha, muszę złapać ten samolot.

- Mam tu samochód - powiedział Hasan. - Podwiozę cię na lotnisko. Musimy pogadać.

- Zamówię taksówkę...

Hasan pochylił się do urzędnika hotelowego.

- Proszę zwolnić wóz i dać to kierowcy za fatygę. - Położył kilka monet.

- Naprawdę, śpieszę się - powiedział Dickstein.

- A więc w drogę! - Hasan wziął walizkę Dicksteina i ruszył do wyjścia.

Bezradny, ogłupiały i bezwolny, Dickstein podążył za nim.

Wsiadli do dwuosobowego angielskiego sportowego samochodu. Dickstein obserwował Hasana, gdy ten wyprowadzał wóz z parkingu i wjeżdżał na drogę. Arab zmienił się i trudno było określić jego wiek. Siwe pasma w wąsach, duży brzuch, niższy głos - tego można się było spodziewać. Ale było coś jeszcze. Hasan zawsze wydawał się Dicksteinowi typowym arystokratą. Ruchy miał powolne, nonszalanckie, a wobec innych, zwłaszcza młodszych i pełnych energii, zwykł okazywał znudzenie. Teraz z tych manier nic nie pozostało. Hasan by taki jak jego samochód: szybciej, byle

szybciej. Dickstein zaczął się zastanawiać, ile Hasan jeszcze zachował ze swego dawnego arystokratyzmu.

Uznając konsekwencje swego błędu, Dickstein próbował ocenić rozmiar szkód.

- Więc teraz mieszkasz tutaj? - zapytał.

- Mój bank ma tu swoje główne przedstawicielstwo europejskie.

Zatem nadał jest bogaty, pomyślał Dickstein.

- Jaki to bank?

- Cedar Bank w Libanie.

- Dlaczego Luksemburg?

- Bo to uznane centrum finansowe - wyjaśnił Hasan. - Tutaj mieści się Europejski Bank Inwestycyjny. A co u ciebie?

- Mieszkam w Izraelu. Mój kibuc wyrabia wino. Szukam możliwości zbytu w Europie.

- Chcesz sprzedać piasek na pustyni?

- Sam tak zaczynam myśleć.

- Może będę mógł ci pomóc, jeśli wrócisz do Luksemburga. Mam tu mnóstwo kontaktów. Mogę ci zaaranżować kilka spotkań.

- Dzięki. Trzymam cię za słowo. - Jeśli gorsze stanie się najgorszym, pomyślał Dickstein, może przynajmniej uda się sprzedać trochę wina.

- A zatem twój dom jest teraz w Palestynie, a mój dom w Europie - powiedział Hasan, Dickstein zaś ocenił, że jego uśmiech jest wymuszony.

- Jak twój bank prosperuje? - spytał, zastanawiając się, czy "mój bank" znaczyło: "bank, którego jestem właścicielem", czy: "bank, którym zarządzam", czy też: "bank, dla którego pracuję".

- Och, całkiem dobrze.

Wyglądało na to, że nie mają sobie wiele więcej do powiedzenia. Dickstein chciał zapytać, co się stało z rodziną Hasana w Palestynie, jak skończyła się jego przygoda z Eilą Ashford i dlaczego jeździ sportowym wozem. Obawiał się jednak, że odpowiedzi mogą być bolesne zarówno dla Hasana, jak i dla niego.

- Jesteś żonaty? - spytał Hasan.

- Nie. A ty?

- Nie.

- Czy to nie dziwne? - spytał Dickstein.

Hasan uśmiechnął się.

- Nie nadajemy się do tego, by brać na siebie odpowiedzialność, ani ty, ani ja...

- Ja się nadaję - zaprzeczył Dickstein, mając na myśli osieroczonego Motiego, któremu nie dokończył jeszcze Wyspy Skarbów.

- Ale masz w sobie duszę włóczęgi, może nie? - powiedział Hasan, robiąc do niego oko.

- O ile pamiętam, byłeś kobieciarzem - powiedział Dickstein.

- To były piękne dni.

Dickstein próbował nie myśleć o Eili. Dotarli do lotniska i Hasan zatrzymał samochód.

- Dzięki za podwiezienie - powiedział Dickstein.

Hasan odwrócił się na siedzeniu.

- Nie pojmuję - powiedział. - Wyglądasz teraz młodziej niż w 1947.

Dickstein uściśnął jego dłoń.

- Przepraszani, że tak się śpieszę. - Wysiadł z samochodu.

- Nie zapomnij do mnie zadzwonić, gdy będziesz następnym razem - powiedział Hasan.

- Do widzenia. - Dickstein zamknął drzwi samochodu i skierował się w stronę budynku.

Teraz wreszcie pozwolił sobie na wspomnienia.

Cztery osoby w zarośniętym ogrodzie zamilkły na mgnienie - nie dłuższą niż jedno uderzenie serca. Potem ręce Hasana przesunęły się po ciele Eili. Nagle Dickstein i Cortone cofnęli się przez lukę w żywopłocie i zniknęli z widoku. Kochankowie nie zauważyli ich. Szli w kierunku domu. Gdy oddalili się już spory kawałek, Cortone powiedział:

- Jezu, to była mocna rzecz.

- Nie mówmy o tym - poprosił Dickstein. Czuł się jak facet, który oglądając się za siebie, wpadł na latarnię. Czuł ból i wściekłość, za które nikogo prócz siebie nie mógł winić.

Przyjęcie na szczęście się kończyło. Wyszli nie żegnając się z rogiaczem - profesorem Ashfordem, który siedział w kącie pograżony w dyskusji ze studentem. Poszli do "George'a" na lunch. Dickstein jadł bardzo mało, ale wypił trochę piwa.

- Słuchaj, Nat - zagadnął Cortone - nie wiem, dlaczego tak się tym gryziesz. Myślę, że to dowód, iż jest osiągalna, może nie?

- Tak - zgodził się Dickstein, chociaż tak nie myślał.

Rachunek wyniósł ponad dziesięć szylingów. Dickstein odprowadził Cortonego na dworzec. Pożegnali się serdecznie i Cortone wsiadł do pociągu.

Dickstein spacerował przez kilka godzin po parku, prawie nie czując chłodu. Próbował się wyzwolić z własnych uczuć. Bez powodzenia. Wiedział, że to nie zazdrość o Hasana ani rozczarowanie Eilą czy też zawiedzione nadzieje, w których spełnienie nie wierzył. Był rozbity i nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Zapragnął mieć kogoś, komu mógłby się zwierzyć.

W niedługi czas potem wyjechał do Palestyny, lecz nie z powodu Eili. W ciągu następnych dwudziestu jeden lat nigdy nie miał kobiety. Ale i z tym Eila nie miała nic wspólnego.

Jasif Hasan wracał z luksemburskiego lotniska absolutnie wściekły. Miał wciąż w oczach, jakby to było wczoraj, młodego Dicksteina: błądy Żyd w tanim garniturze, wąty jak dziewczyna, zawsze lekko skulony, jakby spodziewał się uderzenia, wpatrzony z młodzieńczą tęsknotą w dojrzałe ciało Eili Ashford i z uporem dowodzący, że jego naród musi mieć Palestynę, niezależnie od tego, czy Arabowie zgodzą się na to, czy nie. Hasan myślał o nim jak o naiwnym dziecku. Teraz Dickstein mieszka w Izraelu, uprawia winorośl i wyrabia wino. Znalazł dom, a on go utracił.

Hasan już nie był bogaty. Nigdy nie miał wielkiego majątku, nawet jak na stosunki lewantyńskie, ale zawsze dobrze jadał, nosił kosztowne ubrania, pobierał nauki w dobrych szkołach i świadomie przyswoił sobie sposób bycia i manieri arabskiej arystokracji. Jego dziadek był znanym lekarzem, który swego starszego syna umieścił na studiach medycznych, a młodszego skierował do biznesu. Młodszy, ojciec Hasana, kupował i sprzedawał tekstylia w Palestynie, Libanie i Transjordanii. Interes pod rządami brytyjskimi rozwijał się, a syjonistyczna imigracja rozszerzała rynek zbytu. Do 1947 rodzina posiadała sklepy na całym Bliskim Wschodzie oraz rozległą siedzibę rodową w pobliżu Nazaretu.

Rok 1948 zrujnował ich. Gdy ogłoszono powstanie państwa Izrael i armie arabskie przystąpiły do ataku, rodzina Hasana popełniła fatalny błąd, przenosząc się wraz z całym dobytkiem do Syrii. Nigdy już stamtąd nie wrócili. Dom lewarowy w Jerozolimie spłonął, sklepy zostały zniszczone lub przejęli je Żydzi, posiadłości ziemskie dostały się pod "administrację" izraelskiego rządu. Hasan słyszał, że jego rodowa wieś została kibucem.

Od tamtego czasu ojciec Hasana mieszkał w zorganizowanym przez ONZ obozie dla uchodźców. Ostatnią sensowną rzeczą, jaką zrobił, było napisanie listu polecającego dla Jasifa do libańskich bankierów. Jasif miał wykształcenie uniwersyteckie i świetnie mówił po angielsku, więc dostał pracę w banku. Złożył wniosek o odszkodowanie za ziemię, zgodnie z podpisanym w 1953 aktem akwizycji gruntów, ale rząd izraelski odmówił.

Rodzinę w obozie odwiedził tylko raz, tego jednak, co zobaczył, nie zapomni do końca życia. Żyli w szopie zbitej z desek i korzystali ze wspólnych toalet. Nie mieli żadnych przywilejów. Byli tylko jedną z wielu tysięcy rodzin bez domu, celu życia i nadziei. Gdy Jasif zobaczył, jak ojciec - niegdyś energiczny, bystry, władczy

mężczyzna, który potrafił kierować wielkim biznesem - stoi w kolejce po jedzenie i spędza czas na grze w trik-traka, zapragnął obrzucać bombami szkolne autobusy.

Kobiety przynosiły wodę i sprzątały dom częściej niż zwykle, ale mężczyźni wążali się w używanych ubraniach, na nic nie czekając; ich ciała wędły, a umysły tępały. Młodzi przechadzali się z butnymi minami, kłócili między sobą i walczyli na noże, bo nie mieli przed sobą nic prócz perspektywy kompletnej bezczynności w promieniach palącego słońca.

Obóz cuchnął ściekami i rozpaczą. Hasan nigdy tam nie wrócił, chociaż nadal pisywał listy do matki. Wyrwał się z potrzasku, a że zostawił ojca... Cóż, ojciec sam mu w tym pomógł, a więc musiał tego chcieć.

Hasan odnosił skromne sukcesy jako urzędnik bankowy. Był inteligentny i uczciwy, ale praca, jaką wykonywał, nie dawała mu satysfakcji. Notatki służbowe, sporządzanie wykazów i kopii nużyło go. Sercem był gdzie indziej.

Nigdy nie zapomniał, co zostało mu odebrane. Niósł swą nienawiść przez życie niczym sekretne brzemie. Cokolwiek podsuwałby mu logiczny umysł, dusza mówiła, że opuścił ojca w potrzebie, poczucie winy rosło wraz z nienawiścią do Izraela. Z roku na rok oczekiwał, że armie arabskie zniszczą syjonistycznych okupantów, z każdą zaś kolejną przegraną stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy i wściekły.

W 1957 zaczął pracować dla wywiadu egipskiego. Nie był ważnym agentem, ale ponieważ bank stopniowo rozszerzał swoje europejskie interesy, Hasan zaczął zbierać interesujące informacje; docierały doń zarówno drogą służbową, jak i z plotek w dyrekcji banku. Czasem Kair i pytał o konkretne sprawy dotyczące finansów przedsiębiorstw przemysłu i zbrojeniowego, żydowskich filantropów czy arabskich milionerów. Jeśli Hasan nie znajdował szczegółowych danych w bankowym archiwum, - często otrzymywał je od przyjaciół albo dzięki kontaktom w świecie biznesu. Miał też zadanie ogólne: obserwować izraelskich biznesmenów w Europie, jako że mogą być agentami. Oto dlaczego spotkawszy przypadkiem Nata Dicksteina zachował się wobec niego tak przyjaźnie.

Hasan przypuszczał, że to, co mu opowiedział Dickstein, mogło być prawdą. W sfatygowanym ubraniu i wciąż takich samych okrągłych okularach, Nat wyglądał właśnie jak podrzędny kupiec, który ma kłopoty z promocją swoich towarów. Ale z drugiej strony, ta dziwna sprawa na rue Dicks poprzedniej nocy. Znalaziono tam

dwóch młodych, znanych policji drobnych złodziejasków, brutalnie unieszkodliwionych. Hasan zdobył wszystkie informacje dzięki kontaktom z policją miejską. Było jasne, że tamci dwaj źle wybrali przyszłą ofiarę. Mógł ich tak urządzić tylko zawodowiec: żołnierz, policjant, czyjś goryl albo... agent. Po takim incydencie każdy Izraelczyk, który odlatuje w pośpiechu następnego ranka, wart byłby sprawdzenia.

Hasan wrócił do hotelu "Alfa" i zagadnął urzędnika w recepcji:

- Byłem tu godzinę temu, kiedy wymeldowywał się jeden z waszych gości. Może pan pamięta?

- Chyba tak, proszę pana.

Hasan wręczył mu dwieście franków luksemburskich.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, pod jakim nazwiskiem był zameldowany?

- Oczywiście, proszę pana. - Urzędnik sprawdził akta. - Edward Rodgers z magazynu "Science International".

- A nie Nathaniel Dickstein?

Cierpliwy urzędnik przecząco pokręcił głową.

- A mógłby pan sprawdzić, czy Nathaniel Dickstein z Izraela był tu w ogóle zameldowany?

- Oczywiście. - Przez kilka minut urzędnik przeglądał papiery. Podniecenie Hasana rosło. Jeśli Dickstein zameldował się pod fałszywym nazwiskiem i nie był producentem wina - to w takim razie kim, jeśli nie agentem izraelskim? W końcu urzędnik zamknął księgę.

- Z całą pewnością nie, proszę pana.

- Dziękuję.

Hasan wyszedł. Rozpromieniony wracał do biura. Dzięki swemu sprytowi odkrył coś ważnego. Jak najszybciej zasiadł przy biurku, by napisać: zauważony tutaj podejrzany jako agent izraelski Nat Dickstein alias Ed Rodgers. Wzrost 5 stóp, drobna budowa dała, włosy ciemne, brązowe oczy, wiek ok. 40 lat.

Zakodował wiadomość, następnie zastosował dodatkowy kod słowny i wysłał ją teleksem do głównej siedziby banku egipskiego. Wiadomość i tak nie mogłaby tam trafić. Dodatkowy kod instruował pocztę w Kairze, by przesała teleks do dyrekcji wywiadu cywilnego.

Przesłanie wiadomości nie było już taką przyjemnością. Mogło nie być żadnej reakcji ani podziękowania z drugiej strony. Hasan nie miał teraz nic innego do roboty, jak tylko wrócić do normalnej pracy w banku i starać się nie śnić na jawie.

A jednak niewiele później zadzwonił telefon z Kairu. Przedtem nie zdarzało się to nigdy. Czasami wysyłano mu depesze, teleksy, nawet listy, zawsze naturalnie zakodowane. Raz czy dwa spotkał się z ludźmi z ambasad arabskich i otrzymał słowne instrukcje. Ale nigdy jeszcze nie telefonowano. Jego meldunek musiał wywołać większe wrażenie niż mógł oczekiwać. Telefonujący pragnął wiedzieć więcej o Dicksteinie.

- Chcę potwierdzić tożsamość klienta w związku z pańską wiadomością - oznajmił. - Czy nosi okrągłe okulary?

- Tak.

- Czy mówi po angielsku z akcentem z przedmieścia? Czy rozpoznaje pan taki akcent?

- Dwa razy tak.

- Czy ma numer wytatuowany na przedramieniu?

- Dzisiaj tego nie widziałem, ale wiem, że ma... Studiowałem z nim w Oksfordzie, dawno temu. Jestem pewien, że to on.

- Pan go zna? - spytał zdziwiony głos z Kairu. - Czy ta informacja znajduje się w pańskich aktach?

- Nie, bo ja nigdy...

- Więc powinna się tam znaleźć - stwierdził głos ze złością. - Jak długo pan jest z nami?

- Od 1957 roku.

- To wyjaśnia wszystko... Stare dzieje. Okay. Teraz słuchaj pan. Ten człowiek jest bardzo ważnym... klientem. Chcemy, by towarzyszył mu pan dwadzieścia cztery godziny na dobę, rozumie pan?

- To niemożliwe - odparł zmartwiony Hasan. - Opuścił miasto.

- Dokąd wyjechał?

- Podwoziłem go na lotnisko. Nie wiem, dokąd poleciał.

- Więc musi pan sprawdzić. Niech pan zadzwoni na lotnisko, spyta i o jego lot i zadzwoni do mnie w ciągu piętnastu minut.

- Zrobię, co mogę.

- Nie interesuje mnie, co pan może - odparł głos z Kairu. - Chcę wiedzieć, dokąd poleciał, zanim jeszcze się tam znajdzie. Ma pan zadzwonić do mnie w ciągu piętnastu minut. Skoro złapaliśmy z nim kontakt, nie możemy go znowu zgubić.

- Zaraz się połączę - obiecał Hasan, ale linia ogłuchła, zanim skończył zdanie.

Odłożył słuchawkę. Oczywiście nie otrzymał podziękowań z Kairu. Ale to było jeszcze lepsze. Nagle stał się ważny, jego praca stała się pilna, wszystko zależało od niego. Miał szansę uczynić coś dla sprawy arabskiej, miał wreszcie szansę uderzyć. Podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer linii lotniczych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nat Dickstein postanowił zwiedzić elektrownię atomową we Francji, ponieważ francuski był jedynym europejskim językiem, którym posługiwał się znośnie, poza angielskim oczywiście, ale Anglia nie należała do Euratomu. Wybrał się do elektrowni autobusem, razem z wycieczką studentów i turystów. Krajobraz przesuwał się za oknem bardziej przypominał okolice Galilei niż Essex, które Dickstein w latach chłopięcych uważał za symbol wsi.

Miał już za sobą wiele podróży, ale pamiętał czasy, gdy jego horyzont zamykał się między Park Lane na zachodzie a Southend-on-Sea na wschodzie Anglii. Pamiętał także, jak nagle ten horyzont się rozsunał, kiedy on zaczął myśleć o sobie jako o mężczyźnie po bar micwie i po śmierci ojca. Inni chłopcy w jego wieku chcieli zostać dokerami lub drukarzami, ożenić się z miejscową dziewczyną, znaleźć dom w

odległości ćwierć mili od domu rodziców i tam zamieszkać. Ich ambicją było wyhodować charta - medalistę, kibicować drużynie West Ham w rozgrywkach pucharowych albo kupić motor. Młody Nat marzył, by pojechać do Kalifornii, Rodezji czy Hongkongu i zostać neurochirurgiem, archeologiem lub milionerem. Po części dlatego, że był zdolniejszy niż większość jego rówieśników, po części zaś dlatego, że dla nich obce języki były czymś dziwnym, tajemniczym, i wydawały im się raczej przedmiotami szkolnymi, jak algebra, niż żywą mową służącą do porozumiewania się. Główna różnica jednak polegała na tym, że on był Żydem. Jego partner od szachów z dzieciństwa, Harry Chieseman, choć niegłupi, bystry i energiczny, uważał się za przedstawiciela londyńskiej klasy robotniczej i wierzył, że na zawsze nim zostanie. Dickstein natomiast wiedział - chociaż nie przypominał sobie, by ktoś mu o tym mówił - że Żydzi, gdziekolwiek by się urodzili, zawsze znajdą dla siebie miejsce w świecie. Będą mogli rozwijać przemysł, kinematografię czy zostać najlepszymi bankierami, prawnikami lub fabrykantami. Jeśli nie uda im się tego dokonać w kraju rodzinnym, mogą przenieść się gdziekolwiek indziej i próbować od nowa. To ciekawe, myślał Dickstein, gdy przypominał sobie dzieciństwo, że ludzie, którzy przez stulecia byli prześladowani, mogą tak mocno wierzyć w spełnienie swoich pragnień. Na przykład kiedy potrzebują bomby jądrowej, jadą i... zdobywają ją. Tradycja wspaniała, ale absolutnie nieprzydatna, jeśli chodzi o znalezienie drogi prowadzącej do celu.

Elektrownia ukazała się w oddali. Gdy autobus podjechał bliżej, Dickstein stwierdził, że reaktor okazał się znacznie większy niż to sobie wyobrażał. Zajmował budynek wysokości dziesięciu pięter. Nie wiadomo dlaczego Dickstein wyobrażał go sobie jako urządzenie zamontowane w małym pokoju.

Zabezpieczenie zewnętrzne miało charakter bardziej przemysłowy niż militarny. Zabudowania otaczało jedynie wysokie ogrodzenie. Niepodłączone do prądu. Dickstein zajrzał do wartowni, podczas gdy przewodnik wycieczki załatwiał formalności. Strażnicy mieli tylko dwa ekrany telewizji przemysłowej. Mógłbym przerzucić pięćdziesięciu ludzi przez ogrodzenie, i to w biały dzień, a strażnicy nie zauważą nic podejrzanego, pomyślał Dickstein. To zły znak, rozważał ponuro, to znaczy, że mają podstawy, żeby być tak pewni siebie.

Opuścił autobus wraz z resztą grupy; szli wzdłuż asfaltowego parkingu w kierunku portierni. Wszystko zostało zaplanowane zgodnie z obiegowym wyobrażeniem o tego rodzaju obiektach: dobrze utrzymane trawniki i klomby kwiatowe oraz mnóstwo świeżo posadzonych drzew, wszędzie czysto i schludnie, dużo

białej farby. Nic nie dymiło. Spoglądając za siebie, w kierunku wartowni, Dickstein zobaczył szarego opła stojącego na drodze. Jeden z dwóch siedzących w nim mężczyźn wysiadł i rozmawiał ze strażnikami, którzy chyba udzielali mu jakiś wskazówek. Wewnątrz samochodu coś zamigotało w słońcu.

Dickstein wszedł za grupką turystów do świetlicy, W szklanej gablocie umieszczono trofeum zdobyte w meczu rugby przez drużynę pracowników elektrowni. Na ścianie wisiało lotnicze zdjęcie zakładów. Dickstein stanął przed nim, starając się zarejestrować w pamięci każdy szczegół, i rozważał, jak przeprowadzić akcję, podczas gdy pozostałą część jego świadomości zajmował szary opel.

Cztery hostessy w eleganckich mundurkach oprowadzały wycieczkę po elektrowni. Dicksteina nie interesowały olbrzymie turbiny, pomieszczenia, w których zainstalowano urządzenia pomiarowe zrzędami tarcz i przełączników ani system wodny zapewniający ochronę ryb i umożliwiający im powrót do rzeki. Zastanawiał się, czy mężczyzna w opłu śledził go, a jeśli tak, to dlaczego.

Szalenie natomiast interesował się miejscem, do którego trafia surowiec radioaktywny.

- W jaki sposób dostarczane jest paliwo? - zapytał hostessy.

- Ciężarówkami - odpowiedziała żartobliwie. Kilka osób z grupy zachichotało nerwowo na myśl o jeżdżących po kraju ciężarówkach załadowanych uranem.

- To nie jest niebezpieczne - kontynuowała, spodziewając się jak gdyby takiej reakcji. - Ładunek nie jest radioaktywny, dopóki jest ułożony w stos atomowy. Przenosi się go z ciężarówki prosto do dźwigu towarowego i dalej w górę do magazynu paliwa na siódmym piętrze. Odtąd już wszystko toczy się automatycznie.

- A gdzie się odbywa sprawdzanie ilości i jakości towaru? - zapytał Dickstein.

- W zakładach wytwarzających paliwo. Towar zostaje tam opieczętowany, tu, na miejscu sprawdza się tylko pieczęcie.

- Dziękuję. - Dickstein zadowolony skinął głową. System nie był tak surowy, jak to przedstawiał Pfaffer z Euratomu. Kilka luźnych pomysłów Dicksteina zaczynało nabierać wyraźniejszych kształtów.

Pokazano im, jak działa system ładowania reaktora. Urządzenie było zdalnie sterowane, zabierało z magazynu pojemniki z elementami paliwa, podnosiło betonową pokrywę kanału paliwowego, usuwało elementy zużyte, umieszczało nowe, zamykało pokrywę, po czym wyrzucało zużyte do wypełnionych wodą sztywów połączonych z systemem chłodzenia.

- Reaktor ma trzy tysiące kanałów paliwowych, każdy kanał zawiera osiem prętów paliwowych. Pręty wystarczają na cztery do siedmiu lat. System ładowania reaktywuje pięć kanałów podczas każdej operacji - wyjaśniła dziwnie uwodzicielskim tonem hostessa w doskonałej paryskiej francuszczyźnie.

Ruszyli dalej, aby obejrzeć system chłodzenia. Pod wodą, na głębokości dwudziestu stóp, zużyte elementy paliwa wkładane są do pojemników, następnie schłodzone, ale wciąż jeszcze wysoce radioaktywne - umieszczane w pięćdziesięciotonowych ołowianych zbiornikach po dwieście elementów w jednym zbiorniku, po czym przewozi się je samochodami oraz koleją do zakładów przetwórczych.

Kiedy hostessy podawały w świetlicy kawę i ciastka, Dickstein rozmyślał nad tym, czego się dowiedział. Niczego bardziej nie pragnął niż zdobyć zużyte paliwo. Teraz wiedział, dlaczego nikt tego nie sugerował. Łatwo byłoby przechwycić ciężarówkę - można by to zrobić bez trudu - ale jak wywieźć niepostrzeżenie z kraju pięćdziesięciotonowy blok i przemycić go do Izraela tak, żeby nikt nie zwrócił na to uwagi?

Nie bardziej obiecujący był pomysł kradzieży uranu z terenu elektrowni. Oczywiście ochrona była marna - najlepszy dowód, że mógł przeprowadzić rozpoznanie, ba, dodano mu nawet przewodnika, który wszystko pokazał. Ale paliwo znajdujące się w elektrowni było umieszczone w automatycznym, zdalnie sterowanym systemie. Jediną drogą jego uzyskania było przechwycenie go na etapie składowania i tak znów powracał problem przetransportowania ogromnego bloku materiału radioaktywnego drogą morską, przez któryś z europejskich portów.

Dickstein założył, że musi istnieć jakiś sposób, by dostać się do magazynu paliwa. Wtedy można by przenieść towar do elewatora, zwieźć go na dół, załadować na ciężarówkę i odjechać. To jednak wymagałoby sterroryzowania całego personelu lub choćby jego części, by go na jakiś czas unieszkodliwić, a przecież robota musiała być wykonana niepostrzeżenie.

Hostessa zaproponowała, że ponownie napełni jego filizankę, na co się zgodził. Można wierzyć Francuzom, że podadzą ci dobrą kawę. Młody inżynier zaczął wykład na temat bezpieczeństwa nuklearnego. Miał na sobie nie uprasowane spodnie i rozciągnięty sweter. Naukowcy i personel techniczny przyglądali się zwiedzającym. Dickstein zauważył, że ich ubrania są znoszone, luźne i wygodne; wielu z nich także nosiło zarost, co było raczej oznaką braku dbałości o wygląd niż próżności. Uznał, że ponieważ w ich pracy silna osobowość w zasadzie niewiele znaczy, natomiast decyduje o wszystkim umysł, zatem brakuje przesłanek, by wnioskować coś na podstawie obserwacji. Ale prawdopodobnie był to romantyczny pogląd na naukę.

Nie słuchał wykładu. Fizyk z Instytutu Weitzmanna potrafił ująć rzecz znacznie bardziej zwięźle. Nie istnieje coś takiego jak bezpieczny poziom promieniowania - powiedział. Takie gadanie sprawia, że myślisz o promieniowaniu jak o wodzie w basenie: jeśli ma cztery stopy głębokości, jesteś bezpieczny, jeśli osiem stóp - toniesz. Faktycznie jednak promieniowanie bardziej przypomina ograniczenie szybkości na autostradzie - trzydzieści mil na godzinę jest bezpieczniejsze niż osiemdziesiąt, ale nie tak bezpieczne jak dwadzieścia, a jedyny sposób, żeby być całkowicie bezpiecznym, to nie wsiadać do samochodu.

Dickstein powrócił myślami do kradzieży uranu. Jak każdy plan, który obmyślił, i ten należało realizować w największej tajemnicy. Może wszystko to było z góry skazane na niepowodzenie? Tak czy inaczej, niemożliwe jest niemożliwe, pomyślał. Nie, za wcześnie na takie wnioski. Powrócił do pierwotnych rozważań.

Trzeba przechwycić towar podczas transportu. To było jasne w świetle tego, co tu dziś zobaczył. Elementy paliwa nie były sprawdzane, wyladowywano je, a dalej wszystko szło automatycznie. Mógł obrabować ciężarówkę, zabrać uran z pojemników paliwa, zamknąć je znowu, ponownie opieczętować i przekupić albo zastraszyć kierowcę ciężarówki, żeby dostarczył puste pojemniki. Będą one stopniowo trafiały do reaktora, po pięć naraz, przez miesiąc. Wydajność reaktora nieznacznie spadnie. To będzie wymagało analizy, przeprowadzenia testów. Być może nic nie uda się wykryć, zanim puste elementy nie opuszczą reaktora, a na ich miejsce nie wejdą nowe, powodując ponowny wzrost wydajności. Może nikt nie pojmie, co się stało, zanim puste elementy nie zostaną poddane przeróbce i nie okaże się, że otrzymana z nich ilość plutonu będzie zbyt mała. Wówczas - w cztery do siedmiu lat później - ślad prowadzący do Tel-Awihu mógłby zostać całkowicie zatarty.

Mogą jednak połapać się wcześniej. No i wciąż pozostaje nie rozwiązany problem wywiezienia ładunku z kraju. Mimo to Dicksteinowi rysował się już pewien plan, więc czuł się trochę pewniej.

Wykład skończył się. Słuchacze zadali kilka chaotycznych pytań, po czym wycieczka gromadnie wróciła do autobusu. Dickstein usiadł z tyłu.

- To moje miejsce - zwróciła się do niego jakaś kobieta w średnim wieku, ale on bezczelnie wbił w nią kamienne spojrzenie, tak że w końcu dała za wygraną i odeszła.

Podczas drogi powrotnej Dickstein bez przerwy wyglądał przez tylne okno. Gdy przejechali około mili, szary opel wyskoczył z bocznej drogi i ruszył za autobusem. Dobre samopoczucie Dicksteina zniknęło.

Rozpoznano go. Musiało się to stać albo tu, albo w Luksemburgu; prawdopodobnie w Luksemburgu. Najpewniej za sprawą Jasifa Hasana - Hasan niewątpliwie mógłby być agentem - albo kogoś innego. Śledzono go chyba raczej dla zasady, po prostu z ciekawości, jako że nie było sposobu - a może był? - żeby do wiedzieć się, co zamierza. Musiał ich zatem zgubić.

Spędził dzień w mieście leżącym w pobliżu elektrowni i w jego najbliższych okolicach, jeżdżąc autobusem, taksówką lub wynajętym samochodem albo spacerując. Pod koniec dnia rozpoznawał trzy pojazdy - szarego opla, zniszczony mały mikrobus i niemieckiego forda - oraz pięciu mężczyzn z grupy, która go śledziła. Z wyglądu przypominali trochę Arabów, ale w tej części Francji wielu kryminalistów pochodziło z Północnej Afryki: można było wynająć miejscowych pomocników. Liczebność grupy tłumaczyła, dlaczego wcześniej nie wyczuł, że jest śledzony. Tamci mogli ustawicznie zmieniać samochody i osoby. Wycieczka do elektrowni, długa jazda tam i z powrotem wiejską, mało uczęszczaną drogą sprawiła, że i oni się w końcu zdemaskowali.

Nazajutrz wyjechał z miasta. Ford przejechał za nim kilka mil, potem zastąpił go szary opel. W każdym samochodzie siedziało dwóch ludzi. Pewnie było jeszcze dwóch w mikrobusie i jeden w hotelu.

Opel wciąż jeszcze mu towarzyszył, gdy Dickstein znalazł się przy wiadukcie dla pieszych; licząc od tego miejsca, na przestrzeni czterech czy pięciu mil nie odchodziły

od autostrady żadne boczne drogi. Dickstein podniósł kołnierz, zatrzymał samochód, naciągnął kaptur. Rozglądał się przez kilka minut. Szary opel rozpląnął się gdzieś przed nim, a ford przejechał obok minutę później. Ford będzie czekał przy następnej bocznicy, a opel wróci z przeciwnej strony drogi, żeby zobaczyć, co się dzieje z Dicksteinem. Zgodnie z podręcznikiem tak właśnie należało uczynić w podobnej sytuacji.

Dickstein miał nadzieję, że ci ludzie będą się trzymać wskazówek z podręcznika, bo inaczej jego plan nie powiedzie się. Wyjął z bagażnika składany trójkątny znak ostrzegawczy i ustawił go za tylnym kołem.

Opel przemknął przeciwną stroną autostrady. Działali zgodnie z jego przewidywaniami.

Dickstein ruszył przed siebie. Gdy tylko zszedł z autostrady, złapał pierwszy autobus, jaki się nadarzył, i wrócił nim do miasta. W czasie drogi zauważył kilkakrotnie każdy z trzech pojazdów wywiadowczych. Pozwolił sobie na mały, może trochę przedwczesny triumf: o to mu właśnie chodziło.

W mieście wziął taksówkę i kazał się zawieźć w pobliże swego samochodu, wysiadł jednak po drugiej stronie autostrady. Minął go opel, a potem jadący w odległości kilkuset jardów za nim ford.

Dickstein zaczął biec. Był w dobrej kondycji po wielu miesiącach pracy na świeżym powietrzu w kibucu. Szybko wbiegł na wiadukt dla pieszych, przebiegł go i popędził wzdłuż krawężnika po drugiej stronie drogi. Zdyszany i spocony dopadł swego porzuconego samochodu w ciągu niespełna trzech minut.

Mężczyzna z forda wyskoczył i zaczął go gonić. Wiedział już, że dał się nabrać. Ford ruszył. Mężczyzna zawrócił i wskoczył do wozu, gdy ten nabierał szybkości, włączając się w monotony ruch drogowy.

Dickstein wskoczył do samochodu. Pojazdy prześladowców znajdowały się teraz po przeciwnej stronie autostrady; będą musiały dojechać aż do następnego skrzyżowania, zanim zawrócą i ruszą za nim. Przy szybkości sześćdziesięciu mil na godzinę zajmie im to dziesięć minut; znaczyło to, że ma nad nimi co najmniej pięć minut przewagi. Już go nie złapią.

Odetchnął głęboko, kierując się w stronę Paryża i nucąc jednostajną śpiewkę, znaną z boisk piłkarskich West Ham: “Spoko, spoko, spokoo...”

Kiedy dowiedziano się w Moskwie o arabskiej bombie atomowej, wybuchła nieprawdopodobna panika. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wpadło w panikę, ponieważ nie słyszało o tym wcześniej, KGB wpadło w panikę, ponieważ nie usłyszało o tym pierwsze, ludzie z sekretariatu partii wpadli w panikę, ponieważ ostatnią rzeczą, której by pragnęli, była kolejna awantura między Ministerstwem Spraw Zagranicznych a KGB o to, kto zawinił. Poprzednia zamieniła życie na Kremlu w piekło na okres jedenastu miesięcy.

Na szczęście Egipcjanie wybrali taki sposób ogłoszenia swoich rewelacji, że stwarzało to pewną możliwość manewru. Chcieli mianowicie utrzymać wersję, że zgodnie z zasadami dyplomacji nie są zobowiązani do informowania sojuszników o swych tajnych przedsięwzięciach oraz że pomoc techniczna, o którą proszą, nie stanowi klucza do ich sukcesu. Można by to ująć w następujący sposób: “Drobiazg, budujemy akurat reaktor jądrowy w celu uzyskania plutonu do bomby atomowej, aby zmieść Izrael z powierzchni ziemi, nie pomoglibyście nam?” Wiadomość, zręcznie sformułowana i ugarniowana dyplomatycznymi frazesami, została przekazana w niecodzienny sposób, pod sam koniec oficjalnego spotkania ambasadora Egiptu w Moskwie z szefem biura do spraw Bliskiego Wschodu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Szef biura, otrzymawszy wiadomość, bardzo długo i starannie rozważał, co powinien uczynić z tą informacją. Jego pierwszym obowiązkiem było przekazanie nowiny przełożonemu, który następnie powinien ją przekazać sekretariatowi partii. Wówczas jednak zaszczyt przekazania informacji przypadłby jego szefowi, który również nie przepuściłby okazji zakasowania KGB. Czy nie był to znakomity sposób na wyciągnięcie z całej tej afery własnych korzyści?

Wiedział, że najlepszym sposobem, aby dostać się na Kreml jest sprawienie, by KGB czuło się wobec niego w pewien sposób zobowiązane. Teraz znajdował się na pozycjach osoby wyświadczającej chłopakom wielką przysługę. Gdyby uprzedził ich o wiadomości otrzymanej od ambasadora Egiptu, mieliby trochę czasu, żeby się przygotować i udać, że wiedzieli wszystko o arabskiej bombie atomowej i sami zamierzali to ujawnić.

Włożył płaszcz planując, że wyjdzie i zadzwoni do KGB z budki telefonicznej, na wypadek gdyby jego telefon był na podsłuchu - po czym zdał sobie sprawę z własnej głupoty, bo przecież zamierzał telefonować do KGB, czyli do tych, którzy właśnie podsłuchują. Zdjął zatem płaszcz i skorzystał z biurowego telefonu.

Urzędnik KGB, z którym rozmawiał, równie świetnie orientował się w działaniu tego systemu. Wywołał w budynku KGB ogromne zamieszanie. Najpierw zadzwonił do sekretarki swego szefa i poprosił o pilne piętnastominutowe spotkanie. Starannie unikał rozmowy z samym szefem. Wykonał pół tuzina ogromnie hałaśliwych rozmów telefonicznych oraz rozesłał sekretarki i gońców, aby biegali po budynku, roznosili notatki i uzupełniali kartoteki. Ale jego genialnym posunięciem był porządek dzienny. Tak się złożyło, że program dnia następnego spotkania komitetu politycznego do spraw Bliskiego Wschodu został sporządzony poprzedniego dnia i właśnie w tym momencie był na powielaczu. Urzędnik wycofał program i na samej górze dodał nowy punkt: "Najnowsze osiągnięcia zbrojeniowe Egiptu - raport specjalny", a pod nim umieścił nazwisko w nawiasie. Następnie polecił powielenie nowego programu z datą z poprzedniego dnia i rozesłał go do zainteresowanych departamentów jeszcze tego popołudnia.

Kiedy się upewnił, że połowa Moskwy kojarzy z nowymi wiadomościami jego nazwisko, zdecydował się zobaczyć z szefem.

Tego samego dnia nadeszły nieco mniej alarmujące nowiny. W ramach rutynowej wymiany informacji między wywiadem egipskim a KGB Kair wysłał wiadomość, że agent izraelski nazwiskiem Nat Dickstein został zauważony w Luksemburgu i aktualnie znajduje się pod nadzorem. Ze względu na okoliczności w raporcie przykładano do tego mniejszą wagę niż należało. Tylko jeden człowiek w KGB żywił niejasne podejrzenie, że te dwa wydarzenia mogą być ze sobą powiązane. Nazywał się Dawid Rostow.

Ojciec Dawida Rostowa był dyplomatą niższej rangi. Nie zrobił większej kariery ze względu na brak odpowiednich powiązań, zwłaszcza z tajną policją. Wiedząc o tym, młody Rostow, zgodnie z żelazną logiką, którą kierował się przez całe życie, wstąpił do NKWD, które później przeistoczyło się w KGB.

W Oksfordzie znalazł się, gdy już był agentem. W tych idealistycznych czasach, kiedy Rosja właśnie wygrała wojnę i świat nie orientował się jeszcze w rozmiarach stalinowskich czystek, w wielkich uniwersytetach angielskich dojrzewała nowa generacja współpracowników wywiadu radzieckiego. Rostow skaptował paru ludzi, jeden z nich stale przysyłał tajne informacje z Londynu w 1968 roku. Z Natem Dicksteinem nie udało się.

Młody Dickstein był chyba z przekonań socjalistą. Rostow pamiętał, że jego osobowość pasowała do roli wywiadowcy: był zamknięty w sobie, napięty i nieufny. Rostow przypominał sobie dyskusje na temat Bliskiego Wschodu. On, Dickstein, profesor Ashford i Jasif Hasan rozmawiali w zielono-białym domu nieopodal rzeki. Mecze szachowe między Dicksteinem i Rostowem były zawsze twardą walką.

Dickstein nie był jednak nawiedzonym idealistą, ani nie miał ewangelicznej duszy. Był pewien własnych przekonań, ale nie chciał nawracać reszty świata. Większość kombatantów prezentowała taką właśnie postawę. Zdarzało się, że Rostow podsuwał im przynętę:

- Oczywiście, jeśli naprawdę chcesz przyłączyć się do walki o socjalizm, musisz pracować dla Związku Radzieckiego.

Ale tamci odpowiadali:

- Gówno prawda.

Po ukończeniu Oksfordu Rostow pracował w ambasadach rosyjskich w Rzymie, Amsterdamie, Paryżu. Nigdy nie przeszedł z KGB do służby dyplomatycznej. Przez te lata nabrał przekonania, że nie ma na tyle rozległej wizji politycznej, by zostać mężem stanu, jakim chciał go widzieć ojciec. Zanikła żarliwa wiara, właściwa młodości. Chciał się czegoś trzymać, więc nadal wierzył, że socjalizm prawdopodobnie jest ustrojem przyszłości, lecz ta wiara nie płonęła w nim już tak jak niegdyś. Wierzył w komunizm tak, jak większość ludzi wierzy w Boga. Nie byłby specjalnie zdziwiony czy rozczarowany, gdyby się okazało, że nie ma racji; to wpłynęło na sposób, w jaki żył.

W miarę jak jego poglądy krzepły, starał się realizować mniejsze ambicje z większą energią. Znakomicie opanował technikę, stał się mistrzem wymagających sprytu i okrucieństwa gier wywiadu. Równie potrzebny w ZSRR, jak i na Zachodzie,

nauczył się tak manipulować biurokratycznym systemem, by uzyskać maksimum zysków za swoje sukcesy.

Pierwszy wydział KGB był czymś w rodzaju głównego biura, odpowiedzialnego za zbieranie i analizę informacji. Większość agentów w terenie podlegała wydziałowi drugiemu, największemu departamentowi KGB, który zajmował się przewrotami, sabotażem, zdradą, szpiegostwem gospodarczym oraz wszelką wewnętrzną robotą policyjną, uchodzącą za politycznie delikatną. Wydział trzeci Smiersz (rosyjski skrót od: Smiert' szpionam) zajmował się kontrwywiadem i operacjami specjalnymi. Zatrudniał kilku najodważniejszych, najzdolniejszych i najniebezpieczniejszych agentów na świecie.

Rostow pracował w wydziale trzecim i był jedną z jego gwiazd. Miał stopień pułkownika. Otrzymał order za uwolnienie z brytyjskiego więzienia agenta zwanego Krzak Piołunu. Przez lata dorobił się także żony, dwojga dzieci i kochanki. Kochanką była Olga, młodsza od niego o dwadzieścia lat, blond-bogini wikingów z Murmańska, najbardziej podniecająca kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. Wiedział, że nie zostałaby jego kochanką, gdyby nie przywileje, jakie posiadał dzięki pracy w KGB. Mimo to sądził, że go kocha. Byli podobni do siebie. Każde wiedziało o drugim, że kieruje nim zimna ambicja, co w jakiś sposób czyniło ich namiętność bardziej szaleńczą. W jego małżeństwie za to nie było śladu namiętności. Były za to: przywiązanie, koleżeństwo, stabilizacja i fakt, że Maria była nadal jedyną osobą na świecie, która potrafiła sprawić, że śmiał się szczerze, do rozpuku, nieopanowanie. No i chłopcy. Jurij Dawidowicz studiował na Uniwersytecie Moskiewskim i słuchał przemyconych płyt Beatlesów. Władimir Dawidowicz, młody geniusz, uznawany był za potencjalnego mistrza świata w szachach. Władimir ubiegał się o miejsce w prestiżowej szkole matematyczno-fizycznej nr 2. Rostow był pewien, że mu się uda: syn odznaczał się wybitnymi zdolnościami, a on jako pułkownik KGB też w końcu coś znaczy.

Rostow zaszedł wysoko, ale wiedział, że stać go na więcej. Jego żona nie potrzebowała tłoczyć się w kolejkach razem ze zwykłym pospółstwem. Robiła zakupy w elitarnych sklepach "Bieriozki". Mieli duże mieszkanie w Moskwie i małą daczę nad Bałtykiem. Ale Rostow chciał mieć jeszcze wołgę z kierowcą, drugą daczę nad Morzem Czarnym, gdzie mógłby ulokować Olgę, dostawać zaproszenia na prywatne pokazy dekadentkich zachodnich filmów oraz uzyskać prawo korzystania z kliniki kremlowskiej, gdy na stare lata zdrowie zacznie szwankować.

Jego kariera znalazła się na rozdrożu. Miał pięćdziesiąt lat. Prawie połowę tego czasu spędził za biurkiem w Moskwie. Drugą połowę w terenie, wraz z małym zespołem pracowników. Był starszy niż inni agenci stale pracujący za granicą. A więc miał do wyboru dwie drogi. Jeśli zwolni tempo i pozwoli zapomnieć o swych sukcesach, może skończyć karierę, prowadząc wykłady dla przyszłych agentów w szkole KGB nr 311 w Nowosybirsku na Syberii. Jeśli nadal będzie zbierał punkty w rozgrywce wywiadowczej, ma szansę na przeniesienie do pracy całkowicie administracyjnej, zasiadanie w jednym czy dwóch komitetach i rozpoczęcie (ostrożne) kariery w organizacji wywiadu w ZSRR. Wtedy dostanie wołęgę i daczę nad Morzem Czarnym.

W ciągu kolejnych dwóch, trzech lat potrzebowaliby jeszcze jednego śmiałego wyczynu. Gdy dotarły do niego wieści o Nacie Dicksteinie, zastanawiał się, czy w tym właśnie nie kryje się jego szansa.

Śledził karierę Dicksteina z nostalgiczną fascynacją nauczyciela matematyki, którego najlepszy uczeń postanowił wybrać uczelnię artystyczną. Jeszcze w Oksfordzie słyszał o skradzionej łodzi z bronią; stało się to powodem założenia Dicksteinowi teczki w KGB. Przez lata Rostow uzupełniał ją sam bądź robili to inni, opierając się na przypadkowych obserwacjach, plotkach, domysłach i starych wypróbowanych metodach szpiegowskich. Z akt wynikało jasno, że Dickstein był jednym z najgroźniejszych agentów Mosadu. Jeśli Rostow podałyby swym przełożonymi jego głowę na talerzu, miałyby przyszłość zapewnioną.

Działał jednak ostrożnie. Jeśli miał trafić w cel, wybierał łatwy. Nie był straceńcem, wręcz przeciwnie. Jednym z jego najważniejszych talentów była zdolność stawania się niewidzialnym, gdy powierzano mu ryzykowne zadania. Współzawodnictwo między nim a Dicksteinem mogło okazać się bardzo niewygodne.

Czytał z zainteresowaniem dalsze raporty z Kairu o tym, co Dickstein robił w Luksemburgu. Musiał jednak uważać, by nie dać się w to wciągnąć. Nie warto było jeszcze nadstawiać głowy.

Forum dla dyskusji o arabskiej bombie stanowił komitet polityczny do spraw Bliskiego Wschodu. Mógłby to być każdy z jedenastu czy komitetów na Kremlu, ponieważ te same czynniki były prezentowane we wszystkich zainteresowanych

komitetach i uczestnicy dyskusji mówiliby również to samo. Rezultat także byłby taki sam, ponieważ problem był na tyle poważny, że musiałyby zostać odsunięte na drugi plan względy frakcyjne.

Komitet liczył dziewiętnastu członków, ale dwóch przebywało akurat za granicą, jeden chorował, jeden zaś uległ wypadkowi samochodowemu w dniu zebrania. Nie czyniło to żadnej różnicy. Liczyło się tylko trzech ludzi. Jeden z MSZ, jeden z KGB i jeden reprezentujący sekretariat partii. Wśród tych najważniejszych znajdował się szef Dawida Rostowa, który z zasady zasiadał we wszystkich komitetach, oraz sam Rostow, jako jego pomocnik.

KGB występowało przeciwko arabskiej bombie, ponieważ władza KGB była tajna, a bomba mogłaby przenieść decyzje w sferę jawności i odsłonić ogrom terenów działania KGB. Z tego samego powodu przewagę zyskiwało MSZ - bomba przysparzała im pracy i wpływów. Sekretariat partii był przeciwko, ponieważ jeśli Arabowie mieliby zdecydowanie zwyciężyć na Bliskim Wschodzie, po cóż ZSRR miałyby nadal ich tam wspierać?

Dyskusję rozpoczęło odczytanie raportu KGB zatytułowanego Aktualne kierunki rozwoju zbrojeń w Egipcie. Rostow potrafił dokładnie odtworzyć metodę, dzięki której jeden fakt w raporcie rozrasta się do rozmiarów elaboratu wymagającego ponad dwudziestu minut czytania, podstawą był telefon do Kairu, spora doza domysłów i różnych bzdur. Sam nieraz robił takie rzeczy.

Fagas z MSZ przedstawił następnie równie długi referat, interpretujący radziecką politykę na Bliskim Wschodzie. Niezależnie od patriotycznych motywów syjonistycznych osadników, powiedział, jasne jest, że Izrael przetrwał tylko dzięki poparciu, jakiego udziela mu zachodni kapitalizm. Celem zachodniego kapitalizmu było zbudowanie na Bliskim Wschodzie przyczółka, z którego można by kontrolować własne naftowe interesy. Wniosek ten potwierdza angielsko-francusko-izraelski atak na Egipt w 1956 roku. Zasadą polityki radzieckiej jest podtrzymywanie naturalnej wrogości Arabów do tego bękarta kolonializmu. Zatem, powiedział referent, choć w kategoriach ogólnopolitycznych inicjowanie arabskich zbrojeń nuklearnych może być dla ZSRR ryzykowne, skoro takie zbrojenia stały się faktem, poparcie dla nich jest zwyczajną kontynuacją radzieckiej polityki. Mówił tak całą wieczność.

Wszyscy byli tak znużeni nie kończącymi się oświadczeniami w oczywistych sprawach, że dyskusja zaczęła przybierać charakter nieoficjalny. Do tego stopnia, że szef Rostowa powiedział:

- Tak, ale, do kurwy nędzy, nie możemy dawać bomby atomowej tym pierdolonym wariatom.

- Zgadza się - oświadczył człowiek z sekretariatu partii, który przewodniczył komitetowi. - Jeśli będą mieli bombę, użyją jej. Zmusi to Amerykanów do zaatakowania Arabów bronią konwencjonalną albo nuklearną. Osobiście sądzę, że nuklearną. Wówczas Związek Radziecki ma dwie drogi: albo pozostawić sojuszników samym sobie albo rozpocząć trzecią wojnę światową.

- Druga Kuba - mruknął ktoś.

Głos zabrał człowiek z MSZ:

- Rozwiązaniem mogłaby być umowa z Amerykanami, w której obie strony zobowiązują się, że żadna nie użyje broni nuklearnej Bliskim Wschodzie. - Gdyby pozwolono mu rozpocząć prace nad projektem, byłby spokojny o swoją przyszłość przez dwadzieścia pięć lat.

- A jeśli Arabowie zrzucą bombę, czy nie będzie to traktowane jako pogwałcenie porozumienia przez nas?

Weszła kobieta w białym fartuchu, pchając przed sobą wózek z herbatą. Ogłoszono przerwę. Wówczas to człowiek z sekretariatu partii, stojąc obok wózka z filiżanką w ręce i mając usta wypełnione ciastem owocowym, opowiedział dowcip.

- Zdaje się, że chodziło o kapitana KGB, którego syn-głupek miał wielkie trudności ze zrozumieniem takich pojęć, jak partia, państwo związki i naród. Kapitan doradził mu, żeby myślał o swoim ojcu jako partii, o matce jako państwie, o babci jako związkach i sobie jako o narodzie. Chłopak wciąż nie rozumiał. Rozzłoszczony ojciec zamknął go w szafie w sypialni. Chłopiec siedział tam jeszcze w nocy, kiedy ojciec zaczął się kochać z matką. Podpatrzywszy to przez dziurkę od klucza wykrzyknął: "Nareszcie rozumiem! Partia gwałci państwo, kiedy związki śpią, a naród musi na to patrzeć i cierpieć!"

Wszyscy ryknęli śmiechem. Kobieta od herbaty skrzywiła się, udając dezaprobatę. Rostow słyszał ten kawał już przedtem.

Kiedy komitet powrócił niechętnie do pracy, człowiek z sekretariatu zadał zasadnicze pytanie:

- Czy Egipcjanie będą w stanie zbudować bombę, jeśli odmówimy im udzielenia pomocy technicznej?

Człowiek z KGB, który przedstawił raport, oświadczył:

- Nie mamy wystarczających informacji, żeby podać definitywną odpowiedź, towarzyszu. Chociaż posiadam w tej sprawie dodatkowe opinie naszych naukowców, z których wynika, że skonstruowanie prostej bomby nuklearnej nie przedstawia dziś większych trudności technicznych niż skonstruowanie bomby konwencjonalnej.

- Myślę, że powinniśmy założyć, iż będą w stanie zbudować ją bez naszej pomocy, nawet jeśli zabierze im to trochę więcej czasu - powiedział człowiek z MSZ.

- Mam w tej sprawie własną opinię - przerwał ostro przewodniczący.

- Oczywiście - przytaknął człowiek z MSZ, trochę przestraszony.

- Ich jedynym poważnym problemem - kontynuował człowiek z KGB - byłoby zdobycie ładunku plutonu. Ale czy mają go, czy nie, tego po prostu nie wiemy.

Dawid Rostow przysłuchiwał się dyskusji z wielkim zainteresowaniem. Jego zdaniem, komitet mógł podjąć tylko jedną decyzję. Przewodniczący potwierdził jego opinię.

- Moje zdanie w tej sprawie jest następujące - zaczął. - Jeśli pomożemy Egipcjanom zbudować bombę, będziemy mogli kontynuować i umacniać naszą obecną politykę bliskowschodnią, zachowamy nasze wpływy w Kairze i zapewnimy sobie możliwość jakiejś kontroli nad bombą. Jeśli odmówimy pomocy, odsuniemy się sami od Arabów, i prawdopodobnie powstanie sytuacja, w której oni i tak będą mieli bombę, ale my nie będziemy mieli nad tym żadnej kontroli.

- Innymi słowy - powiedział człowiek z MSZ - jeśli oni tak czy inaczej zamierzają skonstruować bombę, lepiej być rosyjskim palcem na spuście.

Przewodniczący spojrział na niego z irytacją i ciągnął dalej:

- Moglibyśmy zasugerować sekretariatowi, co następuje: Jeśli chodzi o budowę reaktora, Egipcjanie powinni otrzymać pomoc techniczną połączoną ze stałą obecnością personelu radzieckiego, który będzie miał prawo do kontroli.

Rostow pozwolił sobie na uśmiech pełen satysfakcji: takiej konkluzji oczekiwał.

- A więc przystępujemy do dzieła - powiedział człowiek z MSZ.

- Jestem za - powiedział człowiek z KGB.

- Wszyscy za?

Wszyscy byli za.

Komitet przeszedł do następnego punktu obrad. Zebranie się jeszcze nie skończyło, gdy Rostowa uderzyła jedna myśl: jeśli Egipcjanie faktycznie nie są w stanie sami zbudować bomby - na przykład z powodu braku uranu - to był to z ich strony wspianiały bluff, dzięki któremu zmusiliby Rosjan do udzielenia im pomocy.

Rostow lubił swoją rodzinę. W małych dawkach. Jego praca dawała tę korzyść, że zanim zdążył znudzić się rodziną - a dzieci potrafią być nudne - wybierał się w kolejną podróż za granicę, kiedy zaś miał wracać, tęsknił za nimi na tyle, by spędzić w domu następne pięć miesięcy. Lubił Jurija, starszego, pomimo jego tandetnej muzyki i pozytywnej opinii o dysydenckich poetach. Ale to Władimir, młodszy, stanowił źrenicę jego oka. Jako dziecko Władimir był tak ładny, że ludzie brali go za dziewczynkę. Rostow od małego uczył go gier logicznych, wypowiedania się pełnymi zdaniami, rozmawiał z nim o dalekich krajach, budowie silników, zasadach działania odbiorników radiowych, kwiatach, wodociągach i partiach politycznych. Władimir zawsze przynosił chlubę jako pierwszy uczeń w klasie, choć teraz, myślał Rostow, może trafić na równie zdolnych w szkole matematyczno-fizycznej nr 2.

Rostow zdawał sobie sprawę, że próbuje przekazać synowi pewne własne ambicje, które się nie spełniły. Na szczęście odpowiadało to wrodzonym skłonnościom chłopca. Władimir wiedział, że jest zdolny, podobało mu się to i chciał zostać wielkim człowiekiem. Bronił się tylko przed jednym: przed pracą w Komsomole. Uważał to za stratę czasu. Rostow często mu mówił:

- Być może to istotnie strata czasu, jednak nie dojdiesz do niczego, jeśli nic nie zrobisz dla partii. Skoro chcesz zmodyfikować system, musisz dostać się na szczyt i zmieniać go od środka.

Władimir uznał tę rację i uczęszczał na zebrania Komsomołu. Żelazną logikę odziedziczył po ojcu.

Wracając do domu w godzinie szczytu, Rostow myślał o spokojnym, przyjemnym wieczorze w domu. Wszyscy czworo zjedzą razem kolację, potem obejrzą w telewizji serial o bohaterskich rosyjskich agentach rozpracowujących CIA. Przed snem wypije kieliszek wódki.

Zaparkował na ulicy przed domem. Mieszkali tu wyżsi urzędnicy, połowa z nich miała małe rosyjskie samochody, podobne do tego, jakim jeździł Rostow. Nie było jednak garaży. Jak na moskiewskie warunki zajmował duże mieszkanie. Każdy z chłopców miał swój pokój i nikt nie sypiał w living-roomie. Wchodząc do mieszkania, usłyszał hałas. Był to podniesiony głos Marii, trzask pękającego drewna i krzyk. Potem przekleństwa Jurija pod adresem matki. Rostow szybko otworzył drzwi kuchni; wpadł tam z aktówką w ręce i z twarzą pociemniałą z gniewu.

Maria i Jurij stali naprzeciw siebie, oddzielał ich kuchenny stół. Ona trzęsła się ze złości i była bliska łez, on kipiał młodzieńczym oburzeniem. Pomiędzy nimi leżała gitara ze złamanym gryfem. Maria to zrobiła, pomyślał Rostow, ale w chwilę potem zrozumiał, że chyba nie o to wybuchła awantura.

Oboje zwrócili się nagle do niego.

- Rozwaliła mi gitarę! - oskarżył matkę Jurij.

- Przynosi wstyd rodzinie przez tę swoją dekadencją muzykę! - powiedziała z oburzeniem Maria.

Jurij znów zaklął ordynarnie. Rostow rzucił teczkę, podszedł do chłopaka i trzasnął go w twarz. Jurij zatoczył się do tyłu od siły ciosu, policzki poczerwieniały mu z bólu i poniżenia. Był równie wysoki jak ojciec, ale lepiej zbudowany. Rostow nie uderzył syna, odkąd ten stał się mężczyzną. Jurij odchylił się i zamachnął do ciosu. Gdyby trafił, powaliłby ojca na ziemię. Rostow zrobił instynktownie unik i jak mógł najłagodniej, rzucił Jurija na podłogę.

- Wyjdź z domu - powiedział spokojnie. - Wrócisz, gdy będziesz gotów przeprosić matkę.

Jurij wstał.

- Nigdy! - krzyknął. Wyszedł trzaskając drzwiami.

Rostow zdjął płaszcz i kapelusz, przysiadł na kuchennym stole. Podniósł złamaną gitarę i położył ją ostrożnie na podłodze. Maria naląła herbaty i podała mu. Ręce jej się trzęsły, gdy niosła filiżankę. W końcu Rostow zapytał:

- O co poszło?

- Władimir oblał egzamin.

- Władimir? Wiec co ma z tym wspólnego gitara Jurija? Jaki egzamin?

- Do szkoły matematyczno-fizycznej. Został skreślony.

Rostow wpatrywał się w nią tępo.

- Byłam strasznie zdenerwowana - ciągnęła Maria - a Jurij się śmiał, wiesz, jest trochę zazdrosny o młodszego brata. Potem zaczął wygrywać te swoje zachodnie melodie, a ja pomyślałam, że to niemożliwe, żeby Władimir nie zdał, pewnie chodzi o to, że nie jesteśmy wystarczająco wpływowi, albo może uznano nas za niepewnych z powodu Jurija, jego poglądów, jego muzyki. Wiem, że to głupie, ale rozwaliłam tę gitarę, zanim zdążyłam pomyśleć.

Rostow nie słuchał dłużej. Władimir skreślony? Niemożliwe. Był lepszy niż jego nauczyciele, zbyt dobry na zwykłą szkołę, nie wiedzieliby tam, co z nim robić. Szkoła nr 2 to właściwa szkoła dla wyjątkowo uzdolnionych dzieci. Zresztą chłopiec powiedział, że egzamin nie był trudny. Sądził, że zdobył maksymalną liczbę punktów, a przecież zawsze wiedział, jak mu poszło.

- Gdzie jest Władimir? - spytał Rostow.

- W swoim pokoju.

Rostow wyszedł do przedpokoju i zapukał do drzwi chłopca. Cisza. Wszedł. Władimir siedział na łóżku i patrzył w ścianę. Miał czerwoną twarz i był zalany łzami.

- Jak ci poszedł egzamin?

Władimir spojrział na ojca z wyrazem naiwnego zdumienia.

- Bezbłędnie - odpowiedział. Podał mu jakieś kartki. - Pamiętam pytania. Pamiętam swoje odpowiedzi. Sprawdziałem je dwa razy: żadnego błędu. Wyszedłem z sali egzaminacyjnej pięć minut przed końcem.

Rostow zawrócił do drzwi.

- Nie wierzysz mi?

- Oczywiście, że wierzę - powiedział. Wszedł do living-roomu, gdzie stał telefon. Wykręcił numer szkoły. Zastał jeszcze dyrektora w gabinecie.

- Władimir odpowiedział na wszystkie pytania - rzekł Rostow.

Dyrektor starał się go uspokoić.

- Przykro mi, towarzyszu pułkowniku. Bardzo wielu uzdolnionych kandydatów ubiegało się o przyjęcie.

- I wszyscy zdali egzamin bezbłędnie?

- Obawiam się, że tego nie mogę ujawnić.

- Wiecie, kim jestem - powiedział Rostow ze złością. - Wiecie, że i tak mogę się dowiedzieć.

- Towarzyszu pułkowniku, lubię pana i chciałbym mieć pańskiego syna w mojej szkole. Proszę, niech pan nie robi sobie kłopotów, wywołując burzę wokół tej sprawy. Jeśli pański syn złoży podanie w ciągu roku szkolnego, są duże szanse, że się dostanie.

Ludzie na ogół nie ostrzegają oficerów KGB przed robieniem sobie kłopotów. Rostow zaczynał rozumieć.

- Ale zdobył maksymalną liczbę punktów.

- Kilku kandydatów zdobyło maksymalną liczbę punktów na egzaminie pisemnym.

- Dziękuję - powiedział Rostow i odłożył słuchawkę.

W pokoju było ciemno, ale nie zapalił światła. Siedział w fotelu i myślał. Dyrektor łatwo mógł mu powiedzieć, że wszyscy kandydaci zdobyli maksimum punktów. Ale kłamstwa nie przychodzą ludziom tak łatwo na myśl, łatwiej stosować uniki. Tak czy inaczej, kwestionowanie wyników egzaminu mogło przysporzyć Rostowowi kłopotów.

Wiadoma rzecz. Mniej utalentowane dzieciaki dostały się, ponieważ ich ojcowie użyli większej protekcji. Rostow nie chciał sobie pozwolić na złość. Nie wpadaj we wściekłość z powodu systemu, powiedział sobie, lecz się nim posłuż. Miał kilka atutów w zanadrzu.

Zatelefonował do swego szefa, Feliksa Woroncowa, do domu. Feliks odezwał się jakby obcym głosem, ale Rostow zignorował to.

- Słuchaj, Feliks, mój syn został odrzucony przez komisję egzaminacyjną w szkole nr 2.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Woroncow. - Cóż, nie każdy może się tam dostać.

Rostow nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Teraz dopiero zwrócił uwagę na ton Woroncowa.

- Dlaczego tak mówisz?

- Mój syn się dostał.

Rostow milczał przez chwilę. Nie wiedział, że syn Feliksa również złożył podanie. Chłopak był bystry, ale nawet w połowie nie tak, jak Władimir. Rostow wziął się w garść.

- A zatem niech pierwszy ci pogratuluje.

- Dziękuję - powiedział Feliks oziębło. - Ale właściwie dlaczego dzwonicz?

- Och... widzisz, nie chcę ci przeszkadzać w świętowaniu, to może poczekać do rana.

- W porządku. Do widzenia.

Rostow rozłączył się i ostrożnie stawiał aparat na podłodze. Jeżeli by syn jakiegoś biurokraty czy funkcjonariusza partyjnego dostał się do szkoły przez protekcję, Rostow potrafiłby sobie z tym poradzić. Każdy ma jakiegoś haka w aktach. Ale nic nie był w stanie poradzić, gdy w grę wchodził wyższy od niego rangą funkcjonariusz KGB. Nie istniał sposób na to, by zmienić obowiązującą w tym roku hierarchię uprzywilejowanych osób. Cóż, Władimir będzie musiał starać się o przyjęcie w roku przyszłym. Ale to samo może się zdarzyć po raz drugi. Chyba że on, Rostow, w ciągu tego roku zdobędzie pozycję, której Woroncow nie będzie w stanie zakwestionować. W następnym roku Rostow postąpi zupełnie inaczej. Najpierw zadzwoni do biura, które na użytek KGB prowadzi akta personalne nauczycieli. Następnie otrzyma pełny spis kandydatów i rozpracuje każdego, kto mógłby stanowić zagrożenie. Będzie miał do dyspozycji nagranie rozmów telefonicznych i kopie listów i dowie się, kto wywiera presję.

Ale najpierw musi osiągnąć silną, niezachwianą pozycję. Oto nagle zdał sobie sprawę, że jego samozadowolenie w kwestii własnej kariery było błędem. Jeśli tak go załatwili, to znaczy, że jego gwiazda szybko gaśnie. Sprawa, o której od pewnego czasu myślał wymagała podjęcia konkretnych działań.

Siedział w nie oświetlonym pokoju i planował pierwsze ruchy. Po chwili weszła Maria i siadła bez słowa za jego plecami. Przyniosła mu jedzenie na półmisku. Po chwili spytała, czy chce oglądać telewizję. Pokręcił przecząco głową i odsunął talerz. Nieco później Maria wyszła cicho, by się położyć.

Jurij wrócił do domu o północy, trochę wstawiony. Zajrzał do pokoju i zapalił światło. Zdziwił się na widok ojca. Przestraszony, chciał się wycofać. Rostow wstał. Patrząc na starszego syna, przypomniał sobie niepokoje własnej młodości, nie ukierunkowaną złość, naiwną wizję dobra i zła, łatwe upokorzenia i powolne gromadzenie doświadczeń życiowych.

- Synu - powiedział - chcę cię przeprosić za to, że cię uderzyłem.

Jurij rozplakał się. Rostow otoczył ramieniem jego szerokie plecy i zaprowadził go do jego pokoju.

- Obaj nie mieliśmy racji, ty i ja - ciągnął. - Twoja matka także. Niedługo znów wyjeżdżam. Może ci przywiozę nową gitarę.

Chciał pocałować syna, lecz obaj - jak ludzie z Zachodu - krępowali się pocałunków. Łagodnie popchnął go do sypialni i zamknął za nim drzwi.

Gdy wracał do living-roomu, uświadomił sobie, że jego plany nabrały wyraźniejszych kształtów. Znów usiadł w fotelu, tym razem z miękkim ołówkiem w ręce i kartką papieru. Zaczął redagować tekst pisma.

DO: Przewodniczący Komitetu ds. Bezpieczeństwa Państwa

OD: Szef operacyjny. Biuro ds. Europy.

DATA: 24 maja 1968.

Towarzyszu Andropow,

Szef mojego departamentu, Feliks Woroncow, jest dziś nieobecny, ja zaś sądzę, że sprawy, o których piszę niżej, są niezwykle pilne i nie można czekać na jego powrót.

Agent z Luksemburga zameldował o przybyciu tam izraelskiego szpiega Nathaniela ("Nata") Dawida Jonathana Dicksteina, alias Edwarda ("Ed") Rodgersa, znanego pod pseudonimem Pirat.

Dickstein urodził się w Stepney, wschodniej dzielnicy Londynu, w 1925 roku jako syn sklepikarza. Ojciec jego zmarł w roku 1938, matka w 1951. Dickstein wstąpił do armii brytyjskiej w roku 1943, walczył we Włoszech, awansował do stopnia sierżanta i został wzięty do niewoli w La Molina. Po wojnie wstąpił na uniwersytet w Oksfordzie, aby studiować języki semickie. W 1948 opuścił Oksford, nie uzyskawszy dyplomu, i wyemigrował do Palestyny, gdzie prawie natychmiast zaczął pracować dla Mosadu.

Na początek został włączony do akcji kradzieży i tajnego zakupu broni dla państwa syjonistycznego. W latach pięćdziesiątych organizował operację przeciwko popieranej przez Egipt grupie palestyńskich bojowników o wolność w strefie Gazy i był osobiście odpowiedzialny za zamach bombowy, w którym zginął kapitan Ali. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był czołowym uczestnikiem grupy, która zajmowała się ściganiem zbiegłych hitlerowców. Kierował działaniami terrorystycznymi przeciwko niemieckim naukowcom-specjalistom od broni raketowej, pracującym na rzecz Egiptu w 1963-64.

W jego aktach w rubryce "słabe punkty" wpisano: "nieznane". Prawdopodobnie nie posiada rodziny ani w Izraelu, ani gdzie indziej. Nie interesuje go alkohol, narkotyki ani hazard. Nie wiadomo nic o żadnych jego romansach; ze zgromadzonych w aktach informacji może wynikać, że jest seksualnie oziębły, co może być wynikiem poddania go przez hitlerowskich naukowców eksperymentom medycznym.

Osobiście znalazłem Dicksteina w latach 1947-48, gdy razem studiowaliśmy na uniwersytecie w Oksfordzie. Grywałem z nim w szachy. Założyłem mu teczkę personalną. Śledziłem jego karierę ze szczególnym zainteresowaniem. Jak się okazuje, teraz działa on na terytorium, w którym ja się specjalizowałem przez dwadzieścia lat. Wątpię, czy wśród 110 000 pracowników Waszego komitetu znajdzie się ktoś, kto ma większe niż ja kwalifikacje, by stawić czoło temu groźnemu syjonistycznemu agentowi.

Dlatego zwracam się z prośbą o wyznaczenie mi zadania, polegającego na odkryciu celu misji Dicksteina, i jeśli to będzie konieczne, powstrzymania go od zamierzonych działań.

(podpisano)

Dawid Rostow.

DO: Szef operacyjny. Biuro ds. Europy.

OD: Przewodniczący Komitetu ds. Bezpieczeństwa Państwa

KOPIA DLA: Szef Biura ds. Europy.

DATA: 24 maja 1968

Towarzyszu Rostow,

Wasza propozycja została przyjęta.

(podpisano)

Jurij Andropow

DO: Przewodniczący Komitetu ds. Bezpieczeństwa Państwa

OD: Szef Biura ds. Europy

KOPIA DLA: Zastępca Szefa Biura ds. Europy

DATA: 26 maja 1968

Towarzyszu Andropow,

Pragnę ustosunkować się do wymiany korespondencji między Wami a moim zastępcą Dawidem Rostowem podczas mojej niedawnej krótkiej nieobecności w związku z wizytą w Nowosybirsku.

Naturalnie popieram gorąco propozycję tow. Rostowa i Waszą dla tej propozycji aprobatę, choć myślę, że nie ma powodu, dla którego tow. Rostow musiał się aż tak spieszyć. Jako agent terenowy, Rostow nie postrzega oczywiście spraw w równie szerokiej perspektywie, jak jego przełożeni; istnieje pewien aspekt sytuacji, na który nie potrafił zwrócić Waszej uwagi.

Obecną inwigilację Dicksteina podjęli nasi egipscy sojusznicy i do dnia dzisiejszego akcja ta pozostaje wyłącznie w ich gestii. Z powodów politycznych nie zalecałbym odsuwania ich od tej sprawy bez głębszego namysłu, co zdaje się sugerować Rostow. W najlepszym wypadku możemy im zaproponować współpracę.

Zbędne byłoby dodawać, że takie przedsięwzięcie, wymagające powiązań międzynarodowych między służbami wywiadowczymi, winno być realizowane raczej na szczeblu szefa biura, niż na szczeblu zastępcy szefa.

(podpisano)

Feliks Woroncow

DO: Szef Biura ds. Europy

OD: Gabinet Przewodniczącego Komitetu ds. Bezpieczeństwa Państwa

KOPIA DLA: Zastępca Szefa Biura ds. Europy

DATA: 28 maja 1968

Towarzyszu Woroncow,

Towarzysz Andropow prosił mnie o przekazanie odpowiedzi na wasze pismo z 26 maja br.

Zgadza się on, że polityczne implikacje propozycji Rostowa winny być wzięte pod uwagę, niechętnie jednak widziałby pozostawienie inicjatywy Egipcjanom, podczas gdy my mielibyśmy zaledwie z nimi "współpracować". Właśnie rozmawiałem z naszymi sojusznikami w Kairze; wyrazili oni zgodę na to, by Rostow kierował zespołem inwigilującym Dicksteina pod warunkiem, że jeden z ich agentów zostanie pełnoprawnym członkiem zespołu.

(podpisano)

Maksim Bykow, sekretarz osobisty Przewodniczącego

(dopisek ołówkiem)

Feliksie, nie angażuj mnie w to, dopóki są rezultaty. Nie spuszczaaj oka z Rostowa - chce zająć twoje stanowisko, i jeśli się nie sprawdzisz, powierzę mu je. Jurij.

DO: Z-ca Szefa Biura ds. Europy

OD: Gabinet Przewodniczącego Komitetu ds. Bezpieczeństwa Państwa

KOPIA DLA: Szef Biura ds. Europy

DATA: 29 maja 1968

Towarzyszu Rostow,

Kair wyznaczył agenta do pracy w Waszym zespole, powołanym do obserwacji Dicksteina. Jest to ten sam agent, który pierwszy natknął się na niego w Luksemburgu. Nazywa się Jasif Hasan.

(podpisano)

Maksim Bykow, sekretarz Przewodniczącego

Na swoich wykładach dla przyszłych agentów Pierre Borg zwykł mawiać:

- Dzwon, zawsze dzwon. Nie tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz, ale codziennie, jeśli to tylko możliwe. Musimy wiedzieć, co robisz, możemy też mieć dla ciebie informacje o istotnym znaczeniu.

Potem adepci szli do baru, gdzie dowiadywali się, że motto Dicksteina brzmi: "Nigdy nie dzwon za mniej niż sto tysięcy funtów".

Borg był zły na Dicksteina. Złość nachodziła go łatwo, gdy nie wiedział, co się dzieje. Na szczęście rzadko miało to wpływ na jego sądy. Był też zły na Kauasza. Mógł zrozumieć, dlaczego Kauasz nalegał na spotkanie w Rzymie - Egipcjanie mają tam dużą ekipę i Kauasz łatwo mógł znaleźć pretekst do wizyty - ale nie było powodu, dla którego musieli się spotykać w tej cholernej łaźni.

Borga złościło siedzenie w biurze w Tel-Awiwie i ciągle rozmyślania, ciąгла troska o Dicksteina, Kauasza i innych, ciągle czekanie na wiadomości. Aż zaczął myśleć, że nie dzwonią, ponieważ go nie lubią. Wtedy wpadł w szal: połamał ołówki i wyrzucił z pracy swoją sekretarkę.

Łaźnia w Rzymie. Na miłość boską! W takim miejscu aż się roi od pedałów. Poza tym Borg nie lubił swojego ciała. Sypiał w pizamie, nigdy nie pływał, nigdy nie przymierzał ubrań w sklepie, nigdy nie chodził nago, jeśli nie liczyć porannego prysznic. A teraz stał wśród kłębow pary, w owiniętym wokół bioder ręczniku, największym, jaki udało mu się znaleźć, ze świadomością, że jest biały z wyjątkiem twarzy i rąk, że ma wielki brzuch i siwiejące włosy na plecach.

Zobaczył Kauasza. Ciało Araba było szczupłe, ciemnobrązowe i bardzo skąpo owłosione. Ich oczy spotkały się wśród pary i, niczym kochankowie skrywający przed światem swe uczucie, ruszyli zgodnie obok siebie, nie patrząc jeden na drugiego, do oddzielnej kabiny z łóżkiem.

Borg z ulgą zszedł z publicznego widoku i pragnął jak najszybciej usłyszeć, co Kauasz ma do powiedzenia. Arab włączył mechanizm, który wprawił materac w wibrację. Jego szum był w stanie skutecznie zagłuszyć podsłuch, gdyby ktoś chciał się nim posłużyć. Dwaj mężczyźni stali blisko siebie i mówili przyciszonymi głosami - zażenowany Borg odwrócił się tyłem do Kauasza i musiał do niego mówić przez ramię.

- Mam człowieka w Kattarze - oznajmił Kauasz.

- Formidable - powiedział Borg, wymawiając to po francusku z wielką ulgą. - Twój departament nie jest nawet włączony do tego projektu.

- Mam kuzyna w wywiadzie wojskowym.

- Dobrze. Kim jest ten człowiek w Kattarze?

- Saman Husein, jeden z waszych.

- Dobrze, dobrze, dobrze. Czego się dowiedział.

- Prace konstrukcyjne są ukończone. Mają już budynek na reaktor, blok administracyjny, kwatery dla personelu i pas startowy. Są bardziej zaawansowani niż można to sobie wyobrazić.

- A co z samym reaktorem? Przede wszystkim to się liczy.

- Pracują teraz nad tym. Trudno powiedzieć, ile czasu to zabierze. Ta sprawa wymaga prawdziwie precyzyjnej roboty.

- I sądzą, że sobie z tym poradzą? - zainteresował się Borg. - Myślę o tych wszystkich skomplikowanych systemach kontroli...

- Kontrola nie musi być skomplikowana. Opóźniasz szybkość reakcji jądrowej przez umieszczenie prętów metalowych w stosie atomowym. Ale jest jeszcze inna sprawa. Saman odkrył miejsce, gdzie roi się od Rosjan.

- O, kurwa - powiedział Borg.

- Tak, że teraz, jak się domyślam, będą mieli wszystkie te elektroniczne cacka, których potrzebują.

Borg usiadł na krześle, zapominając o łaźni, wibrującym łóżku i swoim tłustym białym ciele.

- To złe wiadomości - powiedział.

- Gorzej, Dickstein jest spalony...

Borg spojrzał na Kauasza jak rażony piorunem.

- Spalony? - powtórzył jakby nie wiedział, co to słowo znaczy. - Spalony?

- Tak.

Borg czuł na przemian wściekłość i rozpacz.

- Jak to się stało, co zrobił ten... kutas? - powiedział po chwili.

- Został rozpoznany przez naszego agenta w Luksemburgu.

- Co robi teraz?

- To ty powinieneś wiedzieć.

- Dalej.

- Widocznie było to przypadkowe spotkanie. Agent nazywa się Jasif Hasan. To płotka. Pracuje dla banku libańskiego i ma oko na przyjeżdżających Izraelczyków. Oczywiście, naszym ludziom mówi coś nazwisko Dickstein.

- Czy używał prawdziwego nazwiska? - zapytał Borg z niedowierzaniem. Sprawa wyglądała coraz gorzej.

- Nie sądzę - powiedział Kauasz. - Ten Hasan znał go z dawnych czasów.

Borg powoli pokręcił głową.

- Trudno uwierzyć, że jesteśmy narodem wybranym. To dopiero pech.

- Wzięliśmy Dicksteina pod obserwację i poinformowaliśmy o tym Moskwę - ciągnął Kauasz. - Zgubił naszych agentów bardzo szybko, ale Moskwa dołożyła większych starań, by go znaleźć.

Borg oparł twarz na dłoniach i gapił się nie widzącym wzrokiem w erotyczny fresk na ścianie. To było niczym ogólnoświatowy spisek zawiązany po to, by pokrzyżować mu plany. Miał ochotę rzucić to wszystko w diabły i wracać do Quebecu, walnąć Dicksteina w łeb tępym narzędziem, obić niewzruszoną, urodziwą twarz Kauasza.

Zrobił rękoma gest, jakby chciał coś od siebie odsunąć.

- Wspaniale - powiedział - Egipcjanie są do przodu ze swoim reaktorem. Rosjanie im pomagają. Dickstein jest spalony. KGB organizuje ludzi, by go inwigilowali. Możemy przegrać ten wyścig, uświadamiasz to sobie? Oni będą mieli

bombę atomową, a my nie. Myślisz, że jej użyją? - Chwycił Kauasza za ramiona i trząsnął nim. - To twój naród, powiedz mi, czy zrzucą bombę na Izrael? Możesz się założyć o własną dupę, że zrzucą!

- Nie wrzeszcz - powiedział Kauasz spokojnie. Zdjął ręce Borga ze swych ramion. - Jeszcze dużo czasu upłynie, zanim któraś ze stron wygra.

- Tak. - Borg znów się odwrócił.

- Musisz się skontaktować z Dicksteinem i ostrzec go - powiedział Kauasz. - Gdzie on teraz jest?

- Chuj go wie - powiedział Pierre Borg.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jedyną rzeczywiście niewinną osobą, której życie zostało zrujnowane podczas afery z rudą uranu, był pracownik Euratomu nazwany przez Dicksteina Sztynnym Kołnierzykiem.

Gdy udało się zgubić śledzącą go ekipę we Francji, Dickstein wrócił do Luksemburga zakładając, że faceci z ekipy będą przez dwadzieścia cztery godziny obserwować lotnisko. Ponieważ znali numery jego samochodu, musiał zatrzymać się w Paryżu i wynająć inny wóz w innej firmie.

Już pierwszego wieczoru w Luksemburgu poszedł do nocnego klubu przy rue Dicks, usiadł samotnie i pijąc piwo czekał, aż przyjdzie Sztynny Kołnierzyk. Ale najpierw zjawiał się jego jasnowłosy przyjaciel. Był młodszy, miał jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Dwurzędowa marynarka podkreślała jego wysportowaną sylwetkę i szerokie bary. Szedł w stronę stolika, przy którym siedzieli poprzednim razem. Poruszał się z wdziękiem, niczym tancerz. Dickstein pomyślał, że mógłby grać jako bramkarz w drużynie piłkarskiej. Stolik był wolny. Zapewne, zgodnie z tradycją, rezerwowano go dla par stałych bywalców.

Jasnowłosy zamówił drinka i spojrzał na zegarek. Nie zauważył, że Dickstein go obserwuje. Sztynny Kołnierzyk przyszedł parę minut później. Miał na sobie czerwony sweter z wycięciem w serek i białą koszulę z kołnierzykiem przypiętym na guziczki.

Przywitali się podwójnym uściskiem dłoni. Wyglądali na szczęśliwych. Ale Dickstein zamierzał zburzyć ich świat.

Zawołał kelnera.

- Proszę podać butelkę szampana do stołu, przy którym siedzi ten gość w czerwonym swetrze. A dla mnie jeszcze jedno piwo.

Kelner powrócił najpierw z piwem, a dopiero potem zaniósł szampana w wiaderku z lodem do stolika Sztywnego Kołnierzyka. Dickstein widział, jak wskazuje na niego wyjaśniając, że to on jest fundatorem szampana. Gdy spojrzeli w jego stronę, podniósł szklankę piwa, jakby chciał wznieść toast, i uśmiechnął się. Sztywny Kołnierzyk rozpoznał go. Mina mu zrzędała.

Dickstein wstał od stolika i ruszył do toalety. Dla zabicia czasu zaczął myć twarz. Po kilku minutach przyszedł młody przyjaciel Sztywnego Kołnierzyka. Wyciągnął grzebień i cesał się w oczekiwaniu, aż trzeci facet zostawi ich samych. Wreszcie to nastąpiło.

- Mój przyjaciel chce, byś mu dał spokój - rzucił.

- Niech sam mi to powie - uśmiechnął się zjadliwie Dickstein.

- Jesteś dziennikarzem, nie? Co będzie, gdy twój szef usłyszy, że odwiedzasz takie miejsca?

- Nie mam szefów, jestem wolnym strzelcem.

Młody człowiek podszedł bliżej. Był o pięć cali wyższy i przynajmniej trzydzieści funtów cięższy od Dicksteina.

- Masz dać nam spokój - powiedział z naciskiem.

- Nic z tego.

- Po co robisz to wszystko? Czego chcesz?

- Na pewno nie o ciebie mi chodzi, kochasiu. Spływaj, muszę porozmawiać z twoim przyjacielem.

- Ty draniu... - Jasnowłosy chwycił Dicksteina jedną ręką za klapy marynarki, drugą zamachnął się, zaciskając dłoń w pięść. Jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby ktoś go pokonał.

Nagle Dickstein wpakował mu dwa palce w oczy. Blondyn przytomnie odrzucił głowę do tyłu. Dickstein pochylił się i rąbnął go z całej siły w brzuch. Blondyn stracił oddech, zgiął się wpół i obrócił bokiem. Dickstein zdzielił go raz jeszcze, dokładnie w nasadę nosa. Coś pękło, popłynęła krew. Młody człowiek osunął się na podłogę.

Dosyć.

Dickstein wyszedł szybko, poprawiając po drodze krawat i przyglądając włosy. Właśnie rozpoczął się kabaret: niemiecki gitarzysta śpiewał piosenkę o policjancie, który był pedałem. Dickstein zapłacił rachunek i opuścił lokal. Gdy wychodził, widział, jak zaniepokojony Sztywny Kołnierzyk zmierza do toalety.

Na ulicy zapadła już łagodna letnia noc. Mimo to trzął się, jakby było zimno. Przeszedł kawalek, potem wstąpił do baru i zamówił brandy. Była to hałaśliwa i zadymiona nora z telewizorem na ladzie. Dickstein wziął swój kieliszek i usiadł w rogu, twarzą do ściany.

O bijatyce w toalecie na pewno nikt policji nie doniesie. Uznają, że to zwykła awantura o kochanka. Ani Sztywny Kołnierzyk, ani nikt z kierownictwa klubu nie będzie oficjalnie meldować o takiej sprawie. Sztywny Kołnierzyk zaprowadzi przyjaciela do lekarza, któremu powie, że ten zderzył się przypadkiem z drzwiami.

Dickstein wypił brandy. Poczul się o wiele lepiej i przestał drzeć. Przyszło mu do głowy, że trudno będąc szpiegiem uniknąć podobnych akcji. Poza tym żaden naród na świecie nie może się obejść bez szpiegów. A bez poczucia przynależności narodowej Nat Dickstein nie może się czuć bezpiecznie.

Nie można żyć uczciwie. Nawet gdyby porzucił swoje zajęcie, inni by go zastąpili i też czynili zło jako szpiegdy, co wcale by nie było o wiele lepszym wyjściem. Żeby przeżyć, człowiek musi być zły. Dickstein przypomniał sobie, że doktor Wolfgang z obozu koncentracyjnego mówił to samo.

Już dawno temu zrozumiał, że w gruncie rzeczy życie nie polega na dokonywaniu wyborów między dobrem a złem, lecz na tym, czy się wygrywa, czy

przegrywa. Zdarzały się jednak chwile, kiedy podobna filozofia wpływała na niego przygnębiająco.

Wyszedł z baru na ulicę i ruszył w stronę domu Sztywnego Kołnierzyka. Ten człowiek jest zdemoralizowany i należy wyciągnąć z tego jak największe korzyści. Po kilku minutach znalazł się na wąskiej brukowanej uliczce i zajął stanowisko naprzeciwko starego domu stojącego w szeregu innych. W oknie na poddaszu było ciemno.

Czekał. Noc stawała się coraz chłodniejsza. Zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Marna pogoda w tej Europie. O tej porze w Izraelu jest naprawdę pięknie. Długie słoneczne dni i ciepłe noce, w dzień ciężka praca fizyczna, a wieczorem miłe towarzystwo. Ogarnęła go tęsknota za domem.

Wreszcie pojawił się Sztywny Kołnierzyk z przyjacielem. Ten miał obandażowaną głowę i najwyraźniej niedowidział. Szedł trzymając Kołnierzyka pod rękę, jak niewidomy. Zatrzymali się przed drzwiami, Kołnierzyk szukał klucza. Dickstein ruszył przez ulicę i podszedł do nich, ale go nie słyszeli, bo stąpał cicho, a stali do niego tyłem.

W końcu Sztywny Kołnierzyk otworzył drzwi, odwrócił się, by pomóc przyjacielowi, i wtedy zobaczył Dicksteina. Aż podskoczył.

- O Boże!

- Co się dzieje? Co się stało? - dopytywał się młody blondyn.

- On tu jest.

- Muszę z tobą pomówić - oświadczył Dickstein.

- Dzwonź zaraz na policję - radził blondyn.

Kołnierzyk wziął przyjaciela pod ramię i chciał wprowadzić do domu, lecz Dickstein zastąpił mu drogę.

- Jeżeli mnie nie wpuścisz, zrobię awanturę na całą ulicę - zagroził.

- Słuchaj, on nam nie da żyć, póki nie dopnie swego - jęknął Kołnierzyk.

- Ale o co mu chodzi?

- Zaraz ci powiem, o co mi chodzi - rzucił Dickstein i wszedł do domu. Natychmiast ruszył schodami w górę. Po chwili wahania poszli za nim.

Kiedy wszyscy trzej dotarli na górę, Sztynny Kołnierzyk otworzył drzwi mieszkania na poddaszu i weszli do środka. Dickstein zaczął się rozglądać. Mieszkanie było większe niż myślał, i elegancko urządzone - stylowe meble, tapeta w pasy, dużo roślin i obrazów. Sztynny Kołnierzyk posadził przyjaciela na krzesło i wyjął z paczki papierosa. Sięgnął po stołową zapalniczkę, zapalił i włożył papierosa przyjacielowi do ust. Siedzieli obok siebie, czekając aż Dickstein się odezwie.

- Jestem dziennikarzem - zaczął niespodziewanie.

- Dziennikarze przeprowadzają z ludźmi wywiady, a nie dowalają im w bijatykach - przerwał Kołnierzyk.

- Wcale mu nie dowaliłem. Po prostu uderzyłem dwa razy.

- Ale dlaczego?

- Bo mnie zaatakował. Nie mówił ci o tym?

- Nieprawda - powiedział Kołnierzyk.

- Chcesz mi to teraz udowodniać?

- Ani mi to w głowie.

- W porządku. Potrzebny mi jest materiał o Euratomie. Dobry materiał. Od niego zależy moja kariera. Może być to, na przykład, omówienie problemu homoseksualizmu wśród wysokich szyszek w organizacji.

- Wyjątkowy z ciebie skurwiol - rzucił przyjaciel Kołnierzyka.

- Być może - odparł Dickstein. - Ale jeżeli zaproponujecie lepszy temat, z tego mogę zrezygnować.

Sztynny Kołnierzyk przeciągnął dłonią po szpakowatych włosach. Dicksteinowi rzuciło się w oczy, że ma wypolerowane paznokcie.

- Zdaje się, że rozumiem - sapnął Kołnierzyk.

- Co? Co rozumiesz? - zapytał blondyn.

- On chce od nas informacji.

- Jesteś domyślny, nie powiem - stwierdził Dickstein.

Sztywny Kołnierzyk jakby się uspokoił. Dickstein uznał, że teraz może się zachować bardziej przyjaźnie, bardziej po ludzku, by się przekonali, że mimo wszystko nie jest aż tak źle. Wstał. Na lśniącym blacie stoliczka zobaczył karafkę whisky. Nalał po odrobinie do trzech szklanek.

- Widzicie, macie swoje słabe punkty i ja je wykorzystałem. Wiem, że możecie mnie za to nienawidzić. Ale ja nie będę udawał, że nienawidzę was. Jestem skurwiel, bo was wykorzystuję. Z tym, że tylko w ten jeden sposób. No, może jeszcze teraz pijąc wasz alkohol. - Wręczył im szklanki i znowu usiadł.

Zapadła cisza.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał po chwili Sztywny Kołnierzyk.

- No cóż. - Dickstein łyknął odrobinę whisky. Nie znosił jej smaku. - Euratom kontroluje wszelkie przemieszczenia materiału radioaktywnego na obszarze wszystkich państw członkowskich, czy tak?

- Tak.

- Dokładniej: na to, by przewieźć uncję uranu z A do B, trzeba uzyskać waszą zgodę.

- Tak.

- Każdy taki wypadek jest rejestrowany.

- Wszystko trafia do komputera.

- Wiem. I powstaje komputerowy wydruk wszystkich zaplanowanych transportów uranu, na które została wydana zgoda.

- Owszem, odbywa się to regularnie. Listę przygotowuje się raz na miesiąc.

- Doskonale - powiedział Dickstein. - Muszę mieć właśnie tę listę.

Zapadło długie milczenie. Sztywny Kołnierzyk wypił trochę whisky, Dickstein odstawił swoją - i tak wypił więcej niż w inne wieczory, bo aż dwa piwa i podwójną brandy.

- Po co ci ta lista? - zapytał blondyn.

- Chcę sprawdzić wszystkie transporty w tym miesiącu. Uda mi się chyba udowodnić, że praktyka nie całkiem się pokrywa, jeśli w ogóle się pokrywa, z tym, o czym Euratom jest powiadamiany.

- Nie wierzę ci - powiedział Sztywny Kołnierzyk. Nie jest głupi, pomyślał Dickstein. Wzruszył ramionami.

- A myślisz, że po co mi to potrzebne?

- Nie wiem. Ale dziennikarzem nie jesteś. Naopowiadałeś nam kupę kłamstw.

- Czy to nie wszystko jedno? - mruknął Dickstein. - Chcesz, to mi wierz, a nie, to nie. I tak nie masz wyjścia i musisz dać mi tę listę.

- Mam wyjście - zaproponował Kołnierzyk. - Mogę zrezygnować z pracy.

- Jeśli to zrobisz - wycedził Dickstein - zetrę twego przyjaciela na krwawą miazgę.

- Pójdziemy na policję! - wykrzyknął blondyn.

- Może wtedy bym zniknął na jakiś czas - powiedział Dickstein. - Na przykład na rok. Ale bym wrócił. I znalazłbym się. I załatwiłbym cię tak, że byś się nie poznał w lustrze.

Sztywny Kołnierzyk wlepił oczy w Dicksteina.

- Kim ty, u licha, jesteś?

- Nieważne, kim jestem. Wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

- Zgadza się. - Sztywny Kołnierzyk ukrył twarz w dłoniach.

Dickstein nie przerywał ciszy. Sztywny Kołnierzyk nie miał wyjścia, był bezradny. Zdał sobie z tego do końca sprawę. Dickstein zostawiał mu czas do namysłu. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Wydruk to będzie spory plik - powiedział cicho.

Sztywny Kołnierzyk przytaknął, nie podnosząc wzroku.

- Czy kiedy wychodzisz z biura, sprawdzają ci teczkę?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Czy wydruki trzymane są pod kluczem?

- Nie. - Sztywny Kołnierzyk zbierał myśli z widocznym trudem. - Nie - powtórzył znużonym głosem - te informacje nie są tajne. Są tylko poufne, nie podaje się ich do wiadomości publicznej.

- Świetnie. A więc jutro pomyślisz o szczegółach: jaką kopię wydruku zabierzesz, co powiesz sekretarce i tak dalej. Pojutrze przywieziesz wydruk do domu. Zastaniesz ode mnie wiadomość, jak dostarczyć mi dokument. - Uśmiechnął się. - Potem już pewnie nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

- O Boże, mam nadzieję - jęknął Kołnierzyk.

Dickstein wstał.

- Przez jakiś czas musisz mieć spokój z telefonami - powiedział. Poszukał aparatu i wyrwał kabel ze ściany. Potem ruszył do drzwi. Otworzył je, ale się zawahał.

Blondyn wpatrywał się w wyrwany przewód. Po chwili jednak jego wzrok stał się przytomniejszy.

- Boisz się, że on zmieni zamiar? - spytał.

- Jeżeli ktoś miałby się tego bać, to tylko ty - rzucił Dickstein i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Życie to nie bajka, szczególnie w KGB. Dawid Rostow nie cieszył się teraz życzliwością - ani swego szefa, ani tych wszystkich pracowników sekcji, którzy byli lojalni w stosunku do szefa. Feliks Woroncow, gotował się ze złości: jakże perfidnym sposobem go pominięto. Teraz już wie, że zrobi wszystko, by zniszczyć Rostowa.

Rostow jednak to przewidział. Nie żałował swojej ryzykownej, decyzji włączenia się w sprawę Dicksteina. Przeciwnie, był z niej zadowolony. Już zaplanował, że kiedy dostanie przepustkę do Działu 100 na trzecim piętrze moskiewskiego GUM-u, kupi sobie świetnie uszyty granatowy angielski garnitur.

Żałował tylko, że zostawił Woroncowowi pewną furtkę. Powinien był pomyśleć o Egipcjanach i o tym, jak oni zareagują. Z Arabami zawsze jest ten sam problem: ich działania są tak niezdarne i nieskuteczne, że w świecie wywiadu nie można tych ludzi traktować poważnie, nie stanowią żadnej siły. Na szczęście Jurij Andropow, szef KGB i zaufany człowiek Leonida Breżniewa, widział, do czego zmierza Feliks Woroncow. Chciał po prostu odzyskać kontrolę nad planami Dicksteina. Ale Andropow na to nie pozwolił.

Zatem jedyną konsekwencją błędu popełnionego przez Rostowa okazało się to, że był zmuszony do pracy z nieudolnymi Arabami. To jednak wystarczało, żeby Rostow nie czuł się najlepiej. Dysponował swoim własnym, małym zespołem. Nik Bunin i Piotr Tyrin współdziałali ze sobą świetnie. Tymczasem Kair był jak sito. Połowa przekazywanych tam informacji przeciekała do Tel-Awiwu. To, że tym razem chodziło o Jasifa Hasana, mogło, lecz nie musiało okazać się pomocne.

Rostow pamiętał Hasana bardzo dobrze. Wyniosły młody próżniak z bogatej rodziny, dość bystry, ale bez nerwu, o ciasnych horyzontach politycznych. No i ta masa ciuchów. Do Oksfordu wpakował go zamożny ojciec; nie zawiodła tam Hasana własna potrzeba kształcenia się. Budziło to w Rostowie nawet jeszcze większą niechęć teraz niż kiedyś. No, ale to, że dobrze zna Hasana, może mu ułatwić kontrolę nad nim. Zamierzał od razu postawić sprawę jasno: Hasan jest właściwie zbędny, należy do zespołu z przyczyn czysto politycznych. W swoich stosunkach z Hasanem musi zachować dużą przebiegłość i dobrze się zastanowić, o czym mu mówić, a co trzymać w tajemnicy. Powie za mało - Kair poskarży się Moskwie, powie za dużo - Tel-Awiw będzie w stanie krępować każdy jego ruch.

Piekielnie to irytujące, ale sam był sobie winien.

Kiedy wysiadał z samolotu w Luksemburgu, cała ta sprawa nie dawała mu spokoju. Przyleciał z Aten, po drodze z Moskwy dwukrotnie zmieniał tożsamość i trzykrotnie samolot. Przedsięwziął takie środki ostrożności, bo wiedział, że gdy przylatuje się bezpośrednio z Rosji, miejscowy wywiad często to odnotowuje i ma człowieka na oku. A byłoby to uciążliwe.

Oczywiście na lotnisku nikt na niego nie czekał. Wziął taksówkę do hotelu.

Zawiadomił Kair, że będzie posługiwał się nazwiskiem David Roberts. Gdy meldował się w hotelu pod tym nazwiskiem, urzędnik z recepcji przekazał mu list. Otworzył go dopiero w windzie. Na kartce napisane było po prostu "pokój 179".

Dal napiwek tragarzowi, podniósł słuchawkę i wybrał numer 179.

- Halo? - odezwał się głos z drugiej strony.

- Jestem w 142. Potrzebuję dziesięciu minut, potem czekam tu. Odbędziemy naradę.

- Świetnie. Ale czy ten...

- Milczeć! - rzucił Rostow. - Żadnych nazwisk. Za dziesięć minut.

- Tak jest, przepraszam, ja...

Rostow odłożył słuchawkę. Co za idiotów znów wynajął ten Kair? Oczywiście takich, co to wypapłają twoje prawdziwe nazwisko w słuchawkę hotelowego telefonu. Zapowiadało się gorzej, niż myślał.

Był czas, kiedy przesadzał w profesjonalnym podejściu do sprawy, i żeby uniknąć zasadzki, gasił światło i wpatrując się w drzwi czekał z pistoletem w ręce na umówionego człowieka. Teraz uważał takie zachowanie za przesadne i zostawiał je aktorom filmów telewizyjnych. Nadzwyczajne środki ostrożności nie były w jego stylu. Nie nosił nawet broni, w razie gdyby celnikom na lotnisku zachciało się przeszukać jego bagaże. Ale różne bywają środki ostrożności i różna bywa broń. Miał przy sobie kilka drobiazgów używanych w KGB, a wśród nich elektryczną szczoteczkę do zębów, która wydawała dźwięk uniemożliwiający podsłuch, miniaturowy polaroid i sznurowadło do duszenia ofiary.

Szybko rozpakował walizeczkę. Było tam niewiele rzeczy - maszynka do golenia, szczoteczka do zębów, dwie amerykańskie niemnące się koszule i zmiana bielizny. Wyciągnął z barku butelkę i nalał do szklanki alkoholu. Szkocka whisky to dodatkowa darmowa atrakcja pracy za granicą. Dokładnie po dziesięciu minutach usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył. Do pokoju wszedł Jasif Hasan.

Hasan uśmiechnął się szeroko.

- Jak się masz?

- Witam - odparł sztywno Rostow i podał mu rękę.

- To już dwadzieścia lat... jak sobie radzisz?

- Ciągle mnóstwo pracy.

- Więc znów się spotykamy, po tylu latach, i to z powodu Dicksteina!

- Tak. Siadaj. Porozmawiajmy o Dicksteinie. - Rostow usiadł, Hasan poszedł w jego ślady. - Ustalmy aktualne fakty - ciągnął Rostow. - A więc spotkałeś Dicksteina, potem twoi ludzie widzieli go znów na lotnisku w Nicei. Co stało się później?

- Odbył z przewodnikiem wycieczkę po elektrowni jądrowej, po czym zgubił ogona - powiedział Hasan. - I raz jeszcze straciliśmy go z oczu.

- Musimy bardziej się starać. - Rostow nie ukrywał niezadowolenia.

Hasan uśmiechnął się (Rostow uznał, że ma uśmiech subiekta).

- Gdyby nie był agentem - powiedział - który potrafi rozpoznać ogona i zgubić go, nie musielibyśmy tak bardzo się nim zajmować, nieprawdaż?

Rostow zignorował tę uwagę.

- Czy używał samochodu?

- Tak. Jeździł wynajętym peugeotem.

- Aha. Co wiesz o jego ruchach przedtem, gdy przebywał tutaj, w Luksemburgu?

Hasan rozpoczął płynną, rzeczową relację dostosowaną do narzuconej przez Rostowa konwencji rozmowy o interesach.

- Mieszkał tydzień w hotelu "Alfa" pod nazwiskiem Ed Rodgers. Jako swój adres podał paryską filię redakcji pisma "Science International". Istnieje takie pismo i faktycznie posługuje się takim adresem, choć jest to tylko kontakt pocztowy, faktycznie też zatrudniano tam współpracownika o nazwisku Ed Rodgers, ale nie odzywał się do nich od przeszło roku.

Rostow skinął głową.

- Jak zapewne wiesz, to typowy Mosadowski kamuflaż. Ładna historyjka i logiczna. Coś jeszcze?

- Tak. W noc poprzedzającą jego wyjazd zdarzył się wypadek przy rue Dicks. Znalaziono dwóch pobitych ludzi. Wyglądało to na profesjonalną robotę... precyzyjnie połamane kości i tak dalej. Policja nie bierze się do tego. Poszkodowani byli znani jako złodzieje, działali w pobliżu nocnego klubu dla homoseksualistów.

- Obrabiali pedałów, gdy tamci wychodzili z klubu?

- Można by tak powiedzieć. W każdym razie nic nie wskazuje na to, że Dickstein ma z tym wypadkiem coś wspólnego. Prócz tego, że potrafili to zrobić i że był w tym czasie w Luksemburgu.

- To wystarczy, by go podejrzewać - powiedział Rostow. - Czy myślisz, że Dickstein jest homoseksualistą?

- Możliwe, chociaż Kair mówi, że nie ma nic takiego w jego aktach, więc musiałby być szalenie dyskretny przez te wszystkie lata.

- A więc zbyt dyskretny, by udać się do pedalskiego klubu, zwłaszcza mając zadanie do wypełnienia. Twój argument sam się zbija, czyż nie?

Na twarzy Hasana pojawił się cień złości.

- Więc co ty o tym myślisz? - zapytał.

- Myślę, że znalazł informatora wśród pedałów. - Wstał i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. Czuł, że jeśli chodzi o Hasana, jest na dobrej drodze. Z niczym nie przesadził. W niczym go nie upewnił. Można się było nieco rozluźnić. - Zastanówmy się chwilę. Dlaczego się kręcił wokół elektrowni jądrowej?

- Od wojny sześciodniowej - wyjaśniał Hasan - stosunki między Francją a Izraelem się zepsuły. De Gaulle przerwał dostawy broni. Być może Mosad planuje jakiś odwet. Na przykład wysadzenie reaktora?

Rostow pokręcił głową.

- Nawet Izraelczycy nie są tak nieodpowiedzialni. Poza tym dlaczego Dickstein znalazł się w Luksemburgu?

- Kto to może wiedzieć.

Rostow znów usiadł.

- Co tu jest, tu, w Luksemburgu? Z jakiego powodu to miejsce może być ważne? Dlaczego na przykład tutaj znajduje się twój bank?

- Bo jest to ważna stolica europejska. Mój bank mieści się tutaj, bo tutaj mieści się Europejski Bank Inwestycyjny. Ale jest tu jeszcze kilka instytucji Wspólnego Rynku. Na przykład Centrum Europejskie na Kirchberg Plateau.

- Jakie instytucje?

- Sekretariat Parlamentu Europejskiego, Rada Ministrów, Pałac Sprawiedliwości. No i Euratom.

Rostow spojrzał na Hasana.

- Euratom?

- To skrót od Europejska Komisja Energii Atomowej, ale każdy...

- Ja wiem, co to jest - powiedział Rostow. - Nie dostrzegasz związku? Przylatuje do Luksemburga, gdzie Euratom ma swoją główną siedzibę, a potem jedzie zwiedzać reaktor jądrowy.

Hasan wzruszył ramionami.

- Interesująca hipoteza. Co pijesz?

- Whisky. Poczęstuj się. O ile sobie przypominam, Francuzi pomogli zbudować Izraelczykom reaktor jądrowy. A teraz prawdopodobnie wstrzymali pomoc. Być może Dicksteinowi chodzi o tajemnice naukowe.

Hasan nalał sobie drinka i usiadł.

- Jak będziemy działać, ty i ja? Mam rozkaz współpracować z tobą.

- Mój zespół przybywa dziś wieczorem - powiedział Rostow. A w duchu pomyślał: "Współpracować? Do diabła, będziesz wykonywał moje rozkazy". - Używam zawsze tych samych dwóch ludzi, Nika Bunina i Piotra Tyrina. Znakomicie pracuje nam się razem. Oni wiedzą, jakie lubię metody. Chcę, byś pracował z nimi i robił to, co ci powiedzą. Dużo się nauczysz, to bardzo dobrzy agenci.

- A moi ludzie...

- Nie są nam już potrzebni - przerwał Rostow pośpiesznie. - Mały zespół jest najlepszy. Pierwszym naszym zadaniem będzie teraz upewnić się, czy i kiedy Dickstein wraca do Luksemburga.

- Trzymam człowieka na lotnisku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dickstein musiał to wziąć pod uwagę, nie przyleci samolotem. Musimy obstawić inne miejsca. Możliwe, że zjawi się w Euratomie.

- Tak, w gmachu Jeana Monneta.

- Możemy zdobyć kontakt z hotelem "Alfa", przekupić człowieka w recepcji, ale Dickstein pewnie tam nie wróci. Ani do klubu przy rue Dicks. Powiedziałeś, że wynajął samochód.

- Tak, we Francji.

- Mógł go porzucić. Wiedział, że znacie numery. Zadzwoń do wypożyczalni i dowiedz się, gdzie go porzucił. Pozwoli to nam ustalić, w jakim kierunku podróżuje.

- Zrobione.

- Moskwa przesłała jego fotografię telegraficznie, więc nasi ludzie będą go szukać we wszystkich stolicach świata. - Rostow dokończył drinka. - Złapiemy go. Jeżeli nie tak, to inaczej.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytał Hasan.

- Grałem z nim w szachy, wiem, jak rozumuje. Jego ruchy otwierające są typowe, łatwe do przewidzenia. Potem nagle robi coś zupełnie nieoczekiwanego, zwykle wysoce ryzykownego. Musisz tylko czekać, aż nadstawi karku. Sam ci położy głowę na pieńku.

- O ile pamiętam, wtedy z nim przegrałeś - zauważył Hasan.

Rostow uśmiechnął się złowroźnie.

- Zgadza się, ale teraz gramy naprawdę - wycedził.

Są dwa rodzaje cieni: uliczni artyści i buldogi. Uliczni artyści uważają umiejętność bycia czyimś cieniem za specjalizację najwyższej klasy, porównywalną z takimi jak biofizyka czy pisanie poezji. Są perfekcjonistami, którzy potrafią być prawie niewidzialni. Mają skromne, nie rzucające się w oczy ubrania, przed lustrem ćwiczą, jak przybierać obojętny wyraz twarzy, znają tysiące sztuczek z wchodzeniem i wychodzeniem ze sklepów, z kolejkami do autobusów, policjantami i dziećmi, okularami, torbami na zakupy i żywopłotami. Gardzą buldogami, dla których być czyimś cieniem znaczy iść jego śladem, iść śladem swego pana.

Nik Bunin był buldogiem. Sprawiał wrażenie młodego rzeźmieszka, kogoś, kto może stać się równie dobrze policjantem, jak przestępcą, zależnie od tego, jaki los jest mu przeznaczony. A los chciał, że Nik trafił do KGB. Jego brat trudnił się w Gruzji handlem narkotykami. Dostarczał haszysz z Tbilisi na Uniwersytet Moskiewski, gdzie narkotyzował się nim między innymi syn Rostowa - Jurij. Oficjalnie Nik był kierowcą, nieoficjalnie gorylem, a jeszcze bardziej nieoficjalnie zawodowym bandytą.

To właśnie Nik wypatrzył Pirata.

Nik miał niecałe sześć stóp wzrostu i był bardzo barczysty. Szerokie bary okrywał skórzaną kurtką. Miał krótkie blond włosy i wodnisto zielone oczy. Trochę się wstydził, że mimo swych dwudziestu pięciu lat nie musi się jeszcze codziennie golić.

W nocnym klubie przy rue Dicks oceniono, że jest diabelnie interesujący.

Przyszedł o wpół do ósmej, tuż po otwarciu klubu, siedział w tym samym rogu całą noc, pijąc z wielkim upodobaniem zimną wódkę. Czekał. Ktoś poprosił go do tańca, ale Nik odpowiedział mu w złej francuszczyźnie, by się odpieprzył. Gdy przyszedł tu następnego wieczoru, niektórzy zastanawiali się, czy nie jest zdradzonym kochankiem, który pragnie konfrontacji. Robił wrażenie kogoś, kogo homoseksualiści klasyfikują jako "twardziela". Głównie przez te szerokie bary, skórzaną kurtkę i surowy wyraz twarzy.

Nik nie miał o tych wszystkich domysłach pojęcia. Pokazano mu fotografię jakiegoś człowieka, kazano iść do klubu i czekać na niego. Zapamiętał jego twarz, potem poszedł do klubu i obserwował gości. Nie robiło mu wielkiej różnicy, czy ma iść do burdelu, czy do kościoła. Czasami cieszył się, że będzie miał okazję dać komuś w pysk, ale poza tym zależało mu wyłącznie na stałej pensji i dwóch wolnych dniach w tygodniu. Poświęcał je swoim dwóm pasjom: picciu wódki i kolorowaniu książeczek.

Kiedy do klubu wszedł Nat Dickstein, Nik zachował absolutny spokój. Zawsze gdy dobrze się spisał, Rostow zakładał, że stało się tak dzięki dokładnemu wypełnieniu rozkazów. I w zasadzie miał rację. Po chwili Nik zobaczył, że klient siada samotnie, zamawia coś, zostaje obsłużony, po czym sący swoje piwo. Wyglądało na to, że on też na kogoś czeka.

Nik uznał, że pora zadzwonić do hotelu. Wyszedł do hallu, wykręcił numer. W słuchawce odezwał się głos Rostowa.

- Tu Nik. Właśnie przyszedł klient.

- Dobrze - powiedział Rostow. - Co robi?

- Czeka.

- Dobrze. Sam?

- Tak.

- Pilnuj go i dzwoń do mnie, jeżeli zacznie robić coś ciekawego.

- Jasne.

- Wysyłam Piotra. Będzie czekał na zewnątrz. Jeśli klient wyjdzie z klubu, idź za nim. Razem z Piotrem. Arab będzie z wami, w samochodzie. Będzie się trzymał z tyłu. To jest... poczekaj minutę... Zielony volkswagen garbus.

- Zrobione.

- Wracaj teraz do niego.

Nik odwiesił słuchawkę i wrócił na swoje miejsce, nie patrząc na Dicksteina.

Pięć minut później w klubie zjawił się dobrze ubrany przystojny mężczyzna około czterdziestki. Rozejrzał się, minął stolik Dicksteina i usiadł przy barze. Nik zauważył, że Dickstein podnosi ze stołu kawałek papieru i chowa go do kieszeni. Wszystko bardzo dyskretnie. Tylko ktoś uważnie go obserwujący mógł się zorientować, że coś się dzieje.

Nik znów ruszył do telefonu.

- Przyszedł jakiś pedał i dał mu coś. Wyglądało to jak bilet - powiedział do Rostowa.

- Czy jak bilet do teatru?

- Nie wiem.

- Rozmawiali?

- Nie, pedał po prostu przeszedł obok niego i upuścił bilet na stół. Nawet na siebie nie spojrzeli.

- W porządku. Zostań tam. Piotr powinien już stać na zewnątrz.

- Chwileczkę - zaproponował Nik. - Klient właśnie wszedł do hallu... Idzie do lady, podaje ten bilet... aha, to jest numerek do szatni.

- Nie rozłączaj się, mów, co się dzieje. - Głos Rostowa był lodowato spokojny.

- Facet zza lady podaje mu teczkę. Bierze napiwek.

- To jest dostawa. Świetnie.

- Klient wychodzi z klubu.

- Idź za nim.

- Czy mam zabrać mu teczkę?

- Nie. Dopóki wiemy, co się z nim dzieje, nie chcę, byśmy się ujawniali. Dowiedz się, dokąd idzie. Teraz w drogę!

Nik odwiesił słuchawkę. Dał szatniarzowi kilka banknotów.

- Bardzo się śpieszę, to na zapłacenie mojego rachunku - rzucił.

Na dworze był jasny, letni wieczór. Ludzie wybierali się do restauracji, kin albo po prostu spacerowali. Nik rozejrzał się w lewo i w prawo. Klienta dostrzegł po drugiej stronie ulicy w odległości pięćdziesięciu jardów. Przeszedł przez jezdnię i ruszył za nim.

Nat Dickstein szedł szybko, patrząc prosto przed siebie. Pod pachą trzymał teczkę. Nik nie spuszczał go z oka, minął kilka przecznic. Gdyby w tym momencie Dickstein się odwrócił, zobaczyłby człowieka, który również był w klubie, i zastanowiłby się, czy nie jest śledzony. Potem pojawił się Piotr, szedł obok Nika, szturchnął go w ramię i wyminął. Nik zwolnił kroku i teraz widział plecy Piotra, ale nie widział Dicksteina. Gdyby Dickstein się odwrócił, nie zobaczyłby Nika i nie mógłby też rozpoznać Piotra. Przy takim systemie nadzoru bardzo trudno jest klientowi się zorientować, że ktoś go śledzi. Ale im dłużej to trwa, tym więcej ludzi musi się na zmianę włączać w to zadanie.

Przeszli tak milę. Nagle tuż obok Nika zahamował przy krawężniku zielony volkswagen. Jasif Hasan wychylił się zza kierownicy i otworzył drzwi.

- Nowe rozkazy - rzucił. - Wskakuj.

Nik wsiadł do samochodu, Hasan szybko zawrócił w stronę nocnego klubu przy rue Dicks.

- Świetnie się spisałeś - powiedział Hasan.

Nik udawał, że nie słyszy.

- Chcemy, żebyś wrócił do klubu, przyuważyl tego, który dostarczył teczkę, i poszedł za nim do domu - oznajmił Hasan.

- Czy tak powiedział pułkownik Rostow?

- Tak.

- Zrobione.

Hasan zatrzymał wóz tuż przed klubem. Nik wszedł do środka. Stał w drzwiach i rozejrzał się po sali. Człowieka, którego szukał, już nie było.

Wydruk komputerowy liczył ponad sto stron. Dicksteinowi serce zamarło, kiedy przeglądał bezcenne kartki, w których zdobycie włożył tyle trudu. Żadna z informacji w wydruku nic mu nie mówiła.

Wrócił do pierwszej strony i ponownie jej się przyjrzał. Mnóstwo liczb i liter. Czy to szyfr? Nie, takim wydrukiem posługiwali się codziennie szeregowi pracownicy Euratomu, musiał więc być zrozumiała.

Dickstein usiłował się skoncentrować. Dostrzegł symbol "V234". Wiedział, że musi to być izotop uranu. Następnie przeczytał inny zestaw liter i liczb: "180 KG", sto osiemdziesiąt kilogramów. "17F68" oznaczało pewnie datę 17 lutego 1968. Stopniowo linijki wydrukowanych przez komputer liter i liczb zaczęły nabierać znaczenia. Znalazł nazwy miejscowości z różnych krajów Europy, takie słowa, jak "pociąg" czy "ciężarówka" i nazwy z końcówkami "SA" albo "Inc", co musiało oznaczać przedsiębiorstwa. Tekst stał się zrozumiały: pierwsza linijka podawała ilość i rodzaj materiału, druga nazwę i adres nadawcy. I tak dalej.

Podniosło go to na duchu. Czytał z rosnącym zrozumieniem i satysfakcją. Na wydruku figurowało około sześćdziesięciu pozycji. Wyglądało na to, że dominowały trzy główne ich typy. Wielkie ilości surowej rudy uranu z kopalni w Południowej Afryce, Kanadzie i Francji przeznaczone dla europejskich rafinerii; składniki paliwa - tlenki, czysty uran i substancje wzbogacające przewożone z zakładów wytwórczych do reaktorów; i wreszcie zużyte paliwo z reaktorów, które szło do wtórnego wykorzystania i rozmieszczenia. Było kilka nietypowych transportów, głównie składników plutonu i transuranu uzyskiwanych ze zużytego paliwa, wysyłanych do laboratoriów w uniwersytetach i instytutach badawczych.

Dickstein czuł, że boli go głowa, oczy zmęczyły się wypatrywaniem potrzebnych informacji. Na ostatniej stronie jeden z ładunków oznaczono jako "nienuklearny".

Fizyk w kwiciastym krawacie mówił mu w Rehovot o pozanuklearnym zastosowaniu uranu i jego składników w fotografii, barwieniu szkła i ceramiki oraz w katalizatorach przemysłowych. Oczywiście ten towar zawsze mógł być promieniotwórczy, bez względu na to, jak przyziemne i niewinne byłoby jego zastosowanie, zatem musiał pozostawać pod kontrolą Euratomu. Dickstein pomyślał

jednak, że w przypadku zwyczajnej chemii przemysłowej kontrola byłaby mniej rygorystyczna.

Jedna z pozycji na ostatniej stronie odnosiła się do dwustu ton rudy uranu albo surowego tlenku uranu. Chodziło o belgijską rafinerię niedaleko granicy z Holandią, specjalnie wyznaczone miejsce, gdzie gromadzono materiały radioaktywne. Rafineria należała do Société Generale de la Chimie, kombinatu górniczego z główną siedzibą w Brukseli. SGC sprzedawało rudę uranu niemieckiemu koncernowi F. A. Pedlera z Wiesbaden. Pedler planował użycie surowca na “produkcję pochodnych uranu, szczególnie karbidu uranowego w ilościach handlowych”. Dickstein przypomniał sobie, że karbid jest używany jako katalizator w produkcji syntetycznego amoniaku.

Wyglądało jednak na to, że Pedler nie zamierzał wykorzystywać uranu sam, przynajmniej nie we wstępnej fazie. Zainteresowanie Dicksteina wzrosło, gdy przeczytał, że Pedler nie ubiegał się o licencję dla zakładów w Wiesbaden, lecz potrzebował pozwolenia na transport rudy drogą morską do Genui. Dopiero tam kompania Angeluzzi e Bianco ma przeprowadzić “nienuklearny proces”.

Drogą morską! Dickstein nagle uprzytomnił sobie, co z tego wynika: ktoś inny przepchnie ładunek przez europejski port.

Czytał dalej. Surowiec przetransportowany zostanie kolejką z rafinerii SGC do doków w Antwerpii. Tam rudę uranu załadują na statek “Coparelli”, który dostarczy ją do Genui. Niewielka odległość między portem a zakładami Angeluzzi e Bianco ma być pokonana drogą lądową.

Ruda uranu przypominająca piasek, chociaż bardziej żółta, odbędzie tę podróż zapakowana w pięćset sześćdziesiąt szczelnie zamkniętych beczek o pojemności dwustu litrów. Pociąg potrzebuje na przewiezienie takiego ładunku jedenaście wagonów, statek nie zabierze na pokład już nic innego, na ostatni zaś etap podróży Włosi muszą przeznaczyć sześć ciężarówek.

Najbardziej atrakcyjna wydała się Dicksteinowi przeprawa morska. Przez kanał La Manche, przez Zatokę Biskajską wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Hiszpanii, przez Gibraltar i dalej tysiąc mil Morzem Śródziemnym.

Na takiej trasie może się przydarzyć wiele niespodzianek.

Droga lądowa była prosta i dobrze kontrolowana. Pociąg wyrusza w południe jednego dnia i wraca o ósmej trzydzieści następnego ranka. Ciężarówka jechałaby drogami, na których odbywałyby się też inny ruch, włącznie z samochodami policyjnymi. Samolot musi mieć stały kontakt z ziemią. Ale morza nie można rozszyfrować, rządzi się własnymi prawami. Transport zabrałby od dziesięciu do dwudziestu dni, nie można wykluczyć sztormów, kolizji, kłopotów z silnikiem, przypadkowych zawinieć do portów i nagłych zmian nawigacyjnych. Spróbuj porwać samolot, a godzinę później cały świat będzie to oglądał w telewizji. Porwiesz statek i nikt nie będzie o tym wiedział przez długie dni czy tygodnie. A może nawet nigdy się nie dowie.

W opinii Pirata morze stanowiło najlepszy wybór.

Dickstein rozmyślał o tym z rosnącym entuzjazmem i w poczuciu, że rozwiązanie problemu znajduje się w jego miewy. Porwać "Coparellego"... a co potem? Przenieść ładunek na statek piracki. "Coparelli" prawdopodobnie ma na pokładzie dźwigi. Ale przeładunek na morzu jest ryzykowny. Dickstein spojrział na wydruk, by sprawdzić proponowaną datę transportu: listopad. Nie najlepiej. Mogą być sztormy. W listopadzie zdarzają się nawet na Morzu Śródziemnym. Więc co? Uprowadzić "Coparellego" i płynąć nim do Hajfy? Nawet w Izraelu trudno by było potajemnie zawinąć do portu skradzionym statkiem.

Dickstein spojrział na zegarek. Minęła północ. Zaczął się rozbierać do snu. Trzeba byłoby dowiedzieć się czegoś więcej o "Coparellim". Ważny jest tonaż, liczebność załogi, gdzie aktualnie przebywa, kto jest właścicielem, ewentualnie jakim sprzętem dysponuje. Jutro trzeba jechać do Londynu. Wszystkiego można się tam dowiedzieć u Lloyd'a.

Chciał wiedzieć jeszcze jedno: kto mu depta po piętach? We Francji śledził go duży zespół. Tej nocy w klubie przy rue Dicks też widział jakąś zbójceką gębę. Spodziewał się ogona, ale gęba gdzieś znikła. Przypadek lub inny duży zespół. Odpowiedź zależała od tego, czy ma z tym coś wspólnego Hasan. To też można sprawdzić, w Anglii.

Zastanawiał się, jak odbyć tę podróż. Jeśli dziś wieczorem go śledzono, musi przedsięwziąć jakieś środki ostrożności na jutro. Nawet jeśli zbójceka gęba nie ma z tym wszystkim żadnego związku, on musi się upewnić, że go nie namierzy rano na lotnisku.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do recepcji.

- Proszę mnie obudzić o szóstej trzydzieści - zlecił.

- Tak jest, proszę pana.

Położył się do łóżka. Nareszcie określony cel: "Coparelli". Jeszcze nie miał dokładnego planu, ale już mu się zarysowywał. "Nienuklearny ładunek" i przeprawa morską to atrakcje, którym się nie oprze, nawet gdyby się pojawiły kolejne trudności. Zgasił światło, zamknął oczy i pomyślał: cóż za udany dzień.

Dawid Rostow zawsze był takim nadętym sukinsynem i wcale mu to z wiekiem nie przeszło, pomyślał Jasif Hasan. "Chyba nie zdajesz sobie sprawy...", mawiał z protekcyjnym uśmiechem. Albo: "Nie potrzebujemy już twoich ludzi, mniejszy zespół jest lepszy". Albo: "Trzymaj się samochodem z tyłu i nie rzucaj się w oczy". Albo tak jak ostatnio: "Zostań przy telefonie, ja idę do ambasady".

Hasan miał podlegać rozkazom Rostowa jako równorzędny członek zespołu. Wyglądało jednak na to, że jego status jest niższy. To naprawdę ubliżające mieć niższą pozycję niż Nik Bunin.

Problem w tym, że stanowisko Rostowa nie było pozbawione podstaw. Nie żeby Rosjanie odznaczyli się większymi zdolnościami niż Arabowie. Po prostu KGB było potężniejszą, bogatszą, działającą bardziej profesjonalnie i posiadającą większe wpływy organizacją niż wywiad egipski.

Hasan nie miał innego wyboru, jak tylko znosić cierpliwie zachowanie Rostowa. Kair cieszył się, że KGB tropi jednego z największych wrogów świata arabskiego. Gdyby Hasan zaczął się uskarżać, to raczej jego, a nie Rostowa odsunięto by od sprawy. Może i Rostow pamięta, pomyślał Hasan, że to Arabowie pierwsi wpadli na trop Dicksteina. Gdyby nie moje odkrycie, nie byłoby żadnego śledztwa.

W każdym razie chciał zyskać szacunek Rostowa, chciał, by Rosjanin mu zaufał, rozmawiał o rozwoju wydarzeń, pytał o zdanie. Pragnął udowodnić Rostowowi, że jest kompetentnym i profesjonalnym agentem, co najmniej takim jak Nik Bunin i Piotr Tyrin.

Zadzwonił telefon, Hasan chwycił za słuchawkę.

- Słucham.

- Jest tam jeszcze ten drugi? - usłyszał głos Tyrina.

- Wyszedł. Co się stało?

Tyrin zawahał się.

- Kiedy wróci?

- Nie wiem - skłamał Hasan. - Możesz złożyć meldunek mnie.

- W porządku. Klient wszedł do pociągu, który odjeżdżał do Zurychu.

- Do Zurychu? I co dalej?

- Pojechał taksówką do banku. Wszedł do środka i skierował się na dół do podziemi. W tym banku są sejfy depozytowe. Wyszedł z teczką.

- Co potem?

- Udał się do sprzedawcy samochodów na przedmieściu i kupił używanego jaguara za gotówkę, którą miał w teczce.

- Rozumiem. - Hasan pomyślał, że wie, co nastąpiło potem.

- Wyjechał z Zurychu samochodem, dostał się na autostradę E 17 i rozwinął szybkość do stu czterdziestu mil na godzinę.

- I zgubiliście go - powiedział Hasan, odczuwając jednocześnie satysfakcję i niepokój.

- Mieliśmy taksówkę i mercedesa z ambasady.

Hasan przywołał na pamięć samochodową mapę Europy.

- Może jechać do dowolnej miejscowości we Francji, Hiszpanii, Niemczech czy Skandynawii. Chyba że zawróci i pojedzie w przeciwnym kierunku. Wtedy pozostają Włochy i Austria. A więc zniknął. W porządku, wracaj do bazy. - Odłożył słuchawkę, by Tyrin nie mógł zakwestionować jego prawa do wydawania rozkazów.

To znaczy, pomyślał, że wielkie KGB jednak nie jest niezwyciężone. Lecz mimo iż pragnął ich upadku, ewentualną radość przyćmiła obawa, że ostatecznie zgubili Dicksteina.

Wrócił Rostow, przerywając mu rozważania nad tym, jak należy teraz postąpić.

- Co nowego? - zapytał Rosjanin.

- Twoi ludzie zgubili Dicksteina - oznajmił Hasan, powstrzymując uśmiech.

- Jak? - Twarz Rostowa pociemniała.

Hasan opowiedział, w jakich okolicznościach do tego doszło.

- A co teraz robią? - pytał dalej Rostow.

- Zasugerowałem im, żeby wracali tutaj. Chyba już są w drodze.

Rostow odchrząknął.

- Własne zastanawiałem się, co należy teraz robić - ciągnął Hasan.

- Musimy odszukać Dicksteina. - Rostow grzebał w walizce i nie słuchał zbyt uważnie.

- Tak, ale co oprócz tego.

Rostow odwrócił się.

- Mów, o co ci chodzi.

- Myślę, że powinniśmy znaleźć faceta, który dostarczył Dicksteinowi teczkę, i zapytać go, co w niej było.

Rostow znieruchomiał i zaczął się zastanawiać.

- Słusznie - powiedział po chwili.

Hasan był uradowany.

- Musimy go znaleźć...

- Nie powinno to być niemożliwe - stwierdził Rostow. - Jeżeli na kilka dni obstawimy nocny klub, lotnisko, hotel „Alfa” i gmach Jeana Monneta...

Hasan przyglądał się Rostowowi, patrzył na jego wysoką, szczupłą postać, obojętną, nieprzeniknioną twarz o wysokim czole i na krótko ostrzyżone siwiejące włosy. Mam rację, pomyślał, i musi mi to przyznać.

- Masz rację - powiedział Rostow. - Powinienem być o tym pomyśleć.

Hasan promieniał z dumy. A może mimo wszystko nie taki z niego skurwiol, pomyślał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miasto Oksford nie zmieniło się tak bardzo jak jego mieszkańcy. Zaszły w nim typowe, łatwe do przewidzenia zmiany: pojawiło się więcej samochodów i sklepów, ulice stały się bardziej zatłoczone. Ale ton wciąż nadawały kremowe fasady budynków uniwersytetu, przez których łukowato sklepione bramy widać było soczystą, oślepiającą zieleń dziedzińców. Dicksteinowi rzuciło się też w oczy, że światło w Anglii jest dziwnie blade, tak różne od oślepiającego słońca Izraela. Oczywiście dopiero teraz było to dla niego odkryciem - gdy tu mieszkał, nie zauważał tego. Studenci jednak wyglądali zupełnie jak przybysze z innej planety. Na Bliskim Wschodzie i w całej Europie widywał młodych mężczyzn z włosami opadającymi na uszy, z pomarańczowymi albo różowymi chustkami na szyjach, w spodniach-dzwonach i butach na wysokim obcasie. Nie oczekiwał co prawda, że studenci będą się tutaj nosić tak jak w 1948 roku - że będą ubrani w tweedowe marynarki, sztruksowe spodnie, koszule oksfordzkie i krawaty od Halla - ale zupełnie nie był przygotowany na to, co zobaczył. Wielu z nich spacerowało po ulicach boso albo miało na bosych stopach sandały o dziwnym fasonie. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili spodnie, które wydawały się Dicksteinowi nieprzyzwoicie obcisłe. A gdy zobaczył kilka kobiet, których biusty falowały swobodnie pod luźnymi, kolorowymi koszulami, doszedł do wniosku, że biustonosze wyszły z mody. Wszędzie widać było mnóstwo niebieskiego dżinsu - szyto z niego nie tylko spodnie, lecz także koszule, kurtki, spódnice i nawet płaszcze. No a włosy! To naprawdę go szokowało. Włosy mężczyzn nie tylko zasłaniały uszy, ale sięgały do połowy pleców. Widział nawet dwóch facetów z włosami związanymi w koński ogon. Cała reszta, dziewczyny i chłopcy, tonęła w kudłach; miało

się wrażenie, że wyglądają przez dziurę w zmierzwionym żywopłocie. A na domiar wszystkiego faceci zapuszczali Chrystusowe brody, meksykańskie wąsy albo bujne bokobrody. Naprawdę wyglądali na przybyszów z Marsa.

Lekko oszołomiony przeszedł przez centrum miasta i ruszył dalej. Nie przemierzał tej trasy od dwudziestu lat, ale ją pamiętał. Przypominał sobie różne szczegóły z czasów uniwersyteckiej młodości: wspaniałą grę na trąbce Louisa Armstronga; ukrywanie swego akcentu z przedmieścia; zdziwienie, dlaczego wszyscy prócz niego tak lubią się upijać; wypożyczanie książek na zapas, nim zdołał przeczytać te, które już miał, ich wciąż rosnący stos na stole w pokoju.

Zastanawiał się, czy te lata go zmieniły. Nie bardzo, pomyślał. Wtedy był jak przestraszony człowiek szukający oparcia i schronienia. Teraz jego fortecą był Izrael, ale zamiast się tam skryć, musiał wyjść i walczyć, by tej fortecy bronić. I wtedy, i teraz skłaniał się ku socjalizmowi, dostrzegał przejawy niesprawiedliwości społecznej, ale nie wiedział, jak społeczeństwo może się zmienić na lepsze. W miarę upływu lat nabywał różnych umiejętności, ale mądrości mu nie przybywało. W istocie zdawało mu się, że wie coraz więcej, ale rozumie coraz mniej.

Uznał jednak, że czuje się teraz jakby szczęśliwszy. Wiedział, kim jest i co ma robić. Wiedział, o co chodzi w życiu i jak sobie w nim radzić. Wprawdzie jego poglądy od 1948 roku prawie się nie zmieniły, lecz dziś był ich bardziej pewien. Inna rzecz, że niektóre jego nadzieje z lat młodości nie spełniły się, zwłaszcza marzenia o szczęściu innego rodzaju, i zdawał sobie sprawę, że jest coraz mniej prawdopodobne, by się spełniły. To miasto niestety mu o tym przypomniało. A w szczególności ten dom.

Stał przed nim i patrzył. Dom wcale się nie zmienił: te same zielono-białe ściany, ten sam zarośnięty od frontu ogród. Otworzył bramę, ścieżką dotarł do drzwi, zastukał. Nie był to chyba najlepszy pomysł. Ashford mógł się przeprowadzić, umrzeć albo zwyczajnie pojechać na wakacje. Dickstein powinien był zadzwonić na uniwersytet i sprawdzić to. Jeśli jednak trzeba zachować dyskrecję, lepiej już stracić trochę czasu. Poza tym podobała mu się myśl odwiedzenia starych kątów po tylu latach. Drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta.

- Słucham pana?

Dicksteina oblał zimny pot. Szczęka mu opadła. Zakręciło mu się w głowie i musiał się oprzeć ręką o ścianę. Jego twarz wyrażała krańcowe zdumienie. To była ona. Miała wciąż dwadzieścia pięć lat.

- Eila? - spytał z niedowierzaniem.

Wpatrywała się w dziwacznego, niepokąźnego mężczyznę na schodach. W okrągłych okularach, starym szarym garniturze, z włosami ostrzyżonymi na jeża wyglądał na wykładowcę. Kiedy otworzyła drzwi, nie było widać, żeby czuł się słabo, ale jak tylko na nią spojrział, twarz mu poszarzała.

Coś takiego zdarzyło jej się już kiedyś, gdy spacerowała po High Street. Uroczy starszy dżentelmen wbił w nią wzrok, zdjął kapelusz i powiedział: „Wiem, że nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale...” Teraz zaszło najwyraźniej coś podobnego, odparła więc spokojnie:

- Nie jestem Eila. Jestem Suza.

- Ach, Suza! - wykrzyknął nieznajomy.

- Mówią, że wyglądam dokładnie jak matka, kiedy była w moim wieku. Pan oczywiście ją znał. Może pan wejdzie?

Nieznajomy stał nieporuszony. Chyba już ochłonął ze zdumienia, ale nadal był blady.

- Jestem Nat Dickstein - powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- Witam - powiedziała Suza. - Czy... - Nagle uprzytomniła sobie, co powiedział. Teraz ją ogarnęło zdumienie. - Ach, pan Dickstein! - wykrzyknęła, a właściwie pisnęła. Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

- Pamięta pani - mruknął, kiedy wypuściła go z uścisku. Był jednocześnie uradowany i zawstydzony.

- Oczywiście! - powiedziała. - Bawił się pan z Ezechiaszem. Tylko pan rozumiał, co on mówi.

Dickstein znów uśmiechnął się nieśmiało.

- Kot Ezechiasz... zupełnie zapomniałem.

- Ależ proszę, proszę do środka!

Wszedł. Suza zamknęła drzwi. Wzięła go pod ramię i przeprowadziła przez kwadratowy hall.

- To cudowne - powiedziała. - Proszę do kuchni, właśnie usiłuję upiec ciasto.

Podsunęła mu taboret. Usiadł i rozejrzał się powoli, rozpoznając po kolei stary kuchenny stół, kominek, widok za oknem.

- Może kawy? - zaproponowała Suza. - Chyba że woli pan herbatę.

- Poproszę o kawę. Dziękuję.

- Zgaduję, że chce się pan widzieć z tatą. Ma teraz wykłady, ale zaraz powinien wrócić na lunch. - Wsypała ziarna kawy do ręcznego młynka.

- A co z pani matką?

- Umarła czternaście lat temu. Rak. - Suza spojrzała na niego, oczekując odruchowego „ach, przepraszam”. Słowo nie padło, ale można je było wyczytać z jego twarzy. Nawet jej się to spodobało. Mebla kawy. Hałas młynka wypełniał ciszę.

Kiedy skończyła, Dickstein powiedział:

- A więc profesor Ashford wciąż wykłada... Usiłuję sobie przypomnieć, ile ma lat.

- Sześćdziesiąt pięć - odparła. - Nie ma zbyt wiele pracy. - Sześćdziesiąt pięć lat to sporo, ale tatuś nie wygląda staro - pomyślała z zadowoleniem. Umysł ma ciągle bystry. Zastanawiała się, czym zajmuje się Dickstein. - Czy pan wyemigrował do Palestyny? - spytała.

- Do Izraela. Mieszkam w kibucu. Uprawiam winogrona i wyrabiam wino.

Izrael. W tym domu mówi się zawsze Palestyna. Ciekawe, jak tatuś zareaguje na tego starego znajomego, który obstaje za tym wszystkim, przeciw czemu występował on sam? Znała odpowiedź: nie będzie mu to robiło różnicy. Dla taty

polityka to sfera czysto teoretyczna. Zastanawiała się, dlaczego Dickstein ich odwiedził.

- Czy jest pan na wakacjach?

- Nie, przyjechałem w interesach. Uznaliśmy, że nasze wino jest dostatecznie dobre, by je eksportować do Europy.

- To świetnie. I pan je sprzedaje?

- Szukam zbytu. Ale proszę powiedzieć mi coś o sobie, Założę się, że nie jest pani nauczycielem akademickim.

Ta uwaga trochę ją zirytowała. Poczula rumieniec na twarzy. Nie chciała, żeby ten facet myślał, że nie jest dość uzdolniona, by pracować jako wykładowca.

- Dlaczego pan tak myśli? - spytała chłodno.

- Ma pani w sobie tyle ciepła... - Dickstein odwrócił wzrok, jakby nagle pożałował swoich słów. - Tak czy owak, jest pani za młoda.

Źle go osądziła. Nie chciał przybierać wobec niej protekcyjnego tonu.

- Mam jak ojciec zdolności do języków, ale brak mi jego umysłu naukowca, więc zostałam stewardesą - powiedziała, ale natychmiast się zastanowiła, czy rzeczywiście nie ma umysłu naukowca, czy rzeczywiście nie jest dość uzdolniona, by pracować na uniwersytecie. Zalała wrzątkiem kawę i zapach jej rozszedł się po domu. Nie bardzo wiedziała, co teraz powiedzieć. Spojrzała na Dicksteina; patrzył na nią, pogrążony w myślach. Miał duże ciemnobrązowe oczy. Nagle okropnie się speszyła, co naprawdę rzadko jej się zdarzało. Powiedziała mu to.

- Speszyła się pani? - zapytał. - To dlatego, że ja wpatruję się w panią jak w obraz czy coś w tym rodzaju. Staram się oswoić z faktem, że nie jest pani Eilą, ale małą dziewczynką ze starym szarym kotem.

- Ezechiasz zakończył żywot chyba wkrótce po pańskim wyjeździe.

- Wiele się zmieniło.

- Czy bardzo przyjaźnił się pan z rodzicami?

- Byłem jednym ze studentów pani ojca. Z daleka podziwiałem matkę. Eila... -
Znów odwrócił wzrok, jak gdyby udawał, że to mówi ktoś inny. - Była nie tylko piękna,
ale zniewalająca.

Suza spojrzała mu w oczy. Pomyślała: kochałeś ją. Ta myśl przyszła
niespodziewanie, intuicyjnie. Nagle Suza pomyślała, że może się myli. A jednak to
mogło tłumaczyć jego reakcję na jej widok, gdy otworzyła drzwi.

- Moja matka była prawdziwą hipiską, wiedział pan o tym?

- Nie wiem, co to znaczy.

- Chciała być wolna. Walczyła przeciw ograniczeniom, które narzucono
arabskim kobietom, choć pochodziła z zamożnej liberalnej rodziny. Poślubiła ojca,
żeby wydostać się z Bliskiego Wschodu. Oczywiście potem odkryła, że społeczeństwo
zachodnie ma swoje własne sposoby dyskryminowania kobiet, więc zaczęła łamać
większość reguł. - Nagle przypomniało jej się, że gdy dorosła i zrozumiała, czym jest
namiętność, zrozumiała też, że jej matka bardzo lubiła seks. Suza była tym
wstrząśnięta, to pewne, ale teraz jakoś nie potrafiła przywołać tego uczucia.

- I dlatego nazywa ją pani hipiską? - spytał Dickstein.

- Hipisi wierzą w wolną miłość.

- Rozumiem.

Z jego reakcji wywnioskowała, że matka nie kochała Nata Dicksteina. Jakoś ją
to zasmuciło.

- Niech mi pan opowie o swoich rodzicach - powiedziała, jakby byli w tym
samym wieku.

- Pod warunkiem, że należy mi pani kawy.

- Ach, zapomniałam. - Roześmiała się.

- Mój ojciec był szewcem - zaczął Dickstein. - Dobrym szewcem, ale niewiele
miał w sobie z człowieka interesu. Lata trzydzieste były pomyślne dla szewców z East
Endu. Ludzie nie mogli sobie pozwolić na nowe buty, więc co roku oddawali do
naprawy stare. Nigdy nie byliśmy bogaci, ale mieliśmy trochę więcej pieniędzy niż

większość ludzi wokół nas. I oczywiście rodzina mego ojca zaczęła nalegać, by rozszerzył interes, otworzył drugi sklep, zatrudnił ludzi.

Suza podsunęła mu kawę.

- Mleko, cukier?

- Cukier tak, mleko nie. Dziękuję.

- I co dalej?

Był to dla niej inny świat. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że szewcy mogli nieźle prosperować w czasie kryzysu.

- Dostawcy skóry myśleli, że ojciec musi się świetnie znać na rzeczy. Sprzedawali mu wyłącznie najlepszą skórę. Kiedy któryś miał towar w gorszym gatunku, mówili: "Nie trudź się z tym do Dicksteina, bo i tak ci to odeśle". - Znów uśmiechnął się blade.

- Czy on jeszcze żyje? - spytała Suza.

- Zmarł przed wojną.

- Co się stało?

- Cóż, w latach trzydziestych w Londynie pojawili się faszyci. Każdej nocy odbywali wiece. Opowiadali, jak to Żydzi na całym świecie wysysają krew ciężko pracujących ludzi. Mówcy, organizatorzy to byli cieszący się szacunkiem mieszczaństwo, ale tłum stanowili głównie bezrobotni. Po wiecu maszerowali przez ulice, tłukli okna i bili przechodniów. Nasz dom stanowił dla nich świetny cel. Byliśmy Żydami. Mój ojciec miał warsztat, więc musiał być krwiopijcą. Poza tym, zgodnie z tym, co głosili, żyliśmy nieco lepiej niż ludzie w okolicy.

Zamilkł i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Suza czekała na dalszy ciąg. Gdy opowiadał, sprawiał wrażenie, że się kuli - zakładał nogę na nogę i zaciskał je jakby w supel, krzyżował ręce na piersi, garbił się. Siedząc na taborecie, w źle skrojonym garniturze szarym jak ubranie urzędnika, z ramionami, udami, kolanami i łokciami sterczącymi na wszystkie strony, wyglądał jak wiązka chrustu w worku.

- Mieszkaliśmy nad warsztatem. Każdej z tych przeklętych nocy leżałem bezsennie czekając, że przyjdą. Bałem się strasznie, bo wiedziałem, że ojciec się boi. Czasem nie działo się nic, tylko przechodzili. Zwykle wykrzykiwali różne hasła. Bardzo często wybijali szyby. Parę razy wpadli do warsztatu i splądrowali go. Myślałem, że chcą wejść na górę. Wsuwałem głowę pod poduszkę, płakałem i przeklinałem Boga, że stworzył mnie Żydem.

- Czy policja nic nie robiła?

- Coś usiłowała robić. Kiedy akurat była w pobliżu, starała się temu przeciwdziałać. Ale miała wtedy sporo innych spraw na głowie. Jedyne komuniści byli skłonni nam pomagać, a mój ojciec nie chciał ich pomocy. Oczywiście, wszystkie partie polityczne występowały przeciw faszystom, ale tylko czerwoni potrafili się uzbroić w łomy i budować barykady. Próbowałem wstąpić do partii, ale nie przyjęli mnie, byłem za młody.

- A ojciec?

- Chyba się poddał. Kiedy po raz drugi zdemolowali warsztat, nie było pieniędzy na remont. Chyba nie miał siły, by zaczynać gdzie indziej. Przeszedł na zasilek i bardzo podupadł. Zmarł w 1938 roku.

- A pan?

- Szybko dorastałem. Jak tylko zacząłem wyglądać wystarczająco dorośle, zgłosiłem się do wojska. Dostałem się do niewoli. Przyjechałem do Oksfordu po wojnie, ale po jakimś czasie rzuciłem wszystko i wyjechałem do Izraela.

- Czy ma pan tam rodzinę?

- Cały kibuc jest moją rodziną... Ale nigdy się nie ożeniłem.

- Z powodu mojej matki?

- Może. Częściowo. Jesteś bardzo bezpośrednia.

Znów poczuła, że się rumieni. Było to bardzo intymne pytanie, a przecież zadała je komuś, kogo nie знаła. Ale nasunęło się właściwie samo.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie przepraszaj - odparł Dickstein. - Rzadko tak mi się rozmawia. Ta cała podróż jest, powiedziałbym, wypełniona przeszłością. Ma zapach przeszłości.

- To znaczy zapach śmierci.

Wzruszył ramionami.

Zapadła cisza. On mi się bardzo podoba, pomyślała Suza. Podoba mi się, gdy mówi i gdy milczy, podobają mi się jego duże oczy i ten stary garnitur. I jego wspomnienia. Chciałabym, żeby został jeszcze chwilę.

Zebrała filiżanki ze stołu, otworzyła zmywarę. Ze spodka spadła łyżeczka i potoczyła się pod wielką starą lodówkę.

- Cholera - wyrwało się Suzie.

Dickstein ukląkł, zajrzał pod lodówkę.

- No to klops, już tam zostanie - powiedziała Suza. - To pudło jest za ciężkie, nie da się ruszyć.

Dickstein uniósł prawą ręką róg lodówki, a lewą wsunął pod spód. Po chwili wstał i wręczył łyżeczkę Suzie. Spojrzała na niego.

- Kto ty jesteś, kapitan America? To jest naprawdę ciężkie.

- Pracuję w polu. Ale co ty możesz wiedzieć o kapitanie America? Był bohaterem mojego dzieciństwa.

- Teraz też jest. Rysunki w tych komiksach są fantastyczne.

- A to ci dopiero - zdziwił się. - My musieliśmy je czytać w tajemnicy, bo uchodziły za śmiecie. A teraz się je podziwia. Zresztą słusznie.

Uśmiechnęła się.

- Naprawdę pracujesz w polu? - Wyglądał na urzędnika, nie na kogoś, kto pracuje na roli.

- Oczywiście.

- Sprzedawca wina, który rzeczywiście urabia sobie ręce w winnicy. To niezwykle.

- Nie w Izraelu. Chyba mamy lekkiego fioła... wiesz, na punkcie ziemi.

Suza spojrzała na zegarek i zdziwiła się, że jest już tak późno.

- Tata powinien być za chwilę. Zjesz z nami, dobrze? Ale będą tylko kanapki.

- Doskonale.

Pokroiła francuski chleb i chciała się zabrać do przyrządzania sałaty. Dickstein zaproponował, że ją opłucze, więc dała mu fartuch. Po chwili spostrzegła, że znów jej się przygląda. Z uśmiechem.

- O czym myślisz?

- Coś sobie przypomniałem. Ale może cię to wprawić w zakłopotanie.

- Wszystko jedno. Mów.

- Zaszedłem tu pewnego wieczoru, około szóstej - zaczął. - Twojej matki nie było w domu. Chciałem pożyczyć książkę od twojego ojca. Ty leżałaś w wannie. Ojciec miał właśnie telefon z Francji, nie pamiętam w jakiej sprawie. Rozmawiał, a ty zaczęłaś płakać. Poszedłem na górę, wytarłem cię i ubrałem w nocną koszulę. Musiałaś mieć wtedy cztery lata, może pięć.

Suza się roześmiała. Stał jej nagle przed oczami Dickstein w zaparowanej łazience, jak pochyła się i bez wysiłku wyjmuje ją z wanny pełnej piany. Ale w tej wizji nie była dzieckiem, lecz dorosłą kobietą z mokrym biustem i pianą między udami, a jego ręce były silne i pewne, gdy przytulał ją do siebie. Otworzyły się drzwi kuchni, wszedł ojciec i marzenie uleciało, zostawiając po sobie posmak miłości i ślad wina.

Nat Dickstein pomyślał, że profesor Ashford trzyma się dobrze. Był łysy i tylko wianuszek białych włosów okalał mu tył czaszki. Trochę przytył, ruchy miał wolniejsze, ale w oczach wciąż błyszczały iskierki intelektualnej ciekawości.

- Niespodziewany gość, tatusiu - powiedziała Suza. Ashford spojrział na niego i bez wahania wykrzyknął:

- Młody Dickstein! A niech to! Mój drogi chłopcze!

Podali sobie ręce. Uścisk był mocny.

- Jak się pan miewa, profesorze?

- Jak w raju, drogi chłopcze, zwłaszcza że moja córka jest tutaj i mnie dogląda. Pamiętasz Suzę?

- Spędziliśmy cały ranek na wspomnieniach - odparł Dickstein.

- Właśnie widzę, że już cię ubrała w fartuch. Szybko, nawet jak na nią. Mówiłem jej, że w ten sposób nigdy nie złapie męża. Zdejmuj to, chodź, napijemy się.

Uśmiechnąwszy się smętnie do Suzy, Dickstein zrobił, co mu kazano, i ruszył za Ashfordem do gabinetu.

- Sherry? - zapytał profesor.

- Odrobinę. Dziękuję. - Przypomniał sobie nagle o celu swojej wizyty. Musi wydobyć od Ashforda informacje bez wzbudzania podejrzeń. Na parę godzin mógł zapomnieć o obowiązkach, lecz teraz czas wracać do pracy. Spokojnie, tylko spokojnie, pomyślał.

Profesor podał mu szklaneczkę jasnego sherry.

- No a teraz powiedz mi, co się z tobą działo przez te wszystkie lata?

Dickstein sączył sherry. Było bardzo wytrawne, takie, jakie lubiano pić w Oksfordzie. Opowiedział profesorowi historyjkę, którą wcześniej uraczył Hasana i Suzę: szukanie rynków zbytu na izraelskie wino. Pytania Ashforda zdradzały znawcę problemów regionu. Czy młodzi ludzie przenoszą się z kibuców do miast? Czy czas i dobrobyt nie naruszyły idei komunalizmu wśród mieszkańców kibuców? Czy europejscy Żydzi wchodzą w związki rodzinne z Żydami afrykańskimi i lewantyńskimi? Odpowiedzi Dicksteina brzmiały „tak”, „nie” i „raczej nie”. Ashford kurtuazyjnie unikał wszelkich kwestii dotyczących ich poglądów na moralność polityczną Izraela, bo tu się różnili, niemniej w jego pytaniach, jakkolwiek bezstronnych, dał się wyczuć cień nadziei na złe wieści.

Zanim Dickstein miał okazję wypytać profesora, Suza zawołała ich do kuchni na lunch. Francuskie kanapki były wielkie i smakowite. Otworzyła butelkę czerwonego wina. Dickstein zrozumiał, dlaczego Ashford przybrał na wadze.

- Parę tygodni temu wpadłem na kolegę. W Luksemburgu, kto by pomyślał? - powiedział, kiedy wypili kawę.

- Na Jasifa Hasana? - spytał profesor.

- Skąd pan wie?

- Byliśmy w kontakcie. Wiem, że mieszka w Luksemburgu.

- Często pan go widywał? - Spokojnie, tylko spokojnie.

- Kilka razy w ciągu tych wszystkich lat. - Ashford przerwał. - Trzeba tu zaznaczyć, Dickstein, że wojny, które dały ci wszystko, jemu wszystko zabrały. Jego rodzina straciła majątek i poszła do obozu uchodźców. Nic dziwnego, że czuje pewne rozgoryczenie wobec Izraela.

Dickstein pokiwał głową. Był już prawie pewien, że Hasan bierze udział w grze.

- Widziałem go bardzo krótko, śpieszyłem się na samolot. Co jeszcze u niego słyhać?

Ashford zmarszczył brwi.

- Sprawiał wrażenie, jakby był... *distract* - dokończył nie znajdując odpowiedniego słowa w języku angielskim. - Nagłe zlecenia, umówione spotkania, dziwne telefony o najróżniejszych porach, tajemnicze zniknięcia. Możliwe, że to typowe dla wywłaszczonego arystokraty.

- Możliwe - przyznał Dickstein. Faktycznie zaś było to typowe dla agenta. Teraz miał już stuprocentową pewność, że spotkanie z Hasanem go spaliło. - Widuje pan kogoś jeszcze z mojego roku? - zapytał.

- Tylko starego Toby'ego. Zasiada w parlamencie z ramienia konserwatystów.

- Kapitalne! - rzucił rozbawiony Dickstein. - Zawsze przemawiał jak rzecznik opozycji, pompatycznie i zarazem trzymając się w defensywie. Świetnie, że znalazł miejsce dla siebie.

- Jeszcze kawy, Nat? - zaproponowała Suza.

- Nie, dziękuję. - Wstał. - Pomogę ci w sprzątanii, a potem muszę już wracać do Londynu. Tak się cieszę, że was zastałem.

- Tata posprząta. - Suza uśmiechnęła się. - Mamy taką umowę.

- Obawiam się, że tak - przyznał Ashford. - Ona nie zamierza się dla nikogo zaharowywać, a już najmniej dla mnie. - Ta uwaga zdziwiła Dicksteina, gdyż była zupełnie nieprawdziwa. Być może Suza nie stoi przy ojcu na posterunku dzień i noc, ale opiekuje się nim jak żona.

- Wyjdę z tobą na miasto - powiedziała. - Poczekaj, tylko coś na siebie włożę.

Profesor na pożegnanie uściskał mu dłoń.

- Prawdziwa przyjemność widzieć cię, chłopcze, prawdziwa przyjemność.

Suza wróciła w sztruksowej kurtce. Ashford odprowadził ich do drzwi, z uśmiechem pomachał ręką.

Na ulicy Dickstein odzywał się tylko po to, by móc na nią patrzeć. Oprócz kurtki i spodni, z takiego samego czarnego sztruksu, miała jeszcze na sobie luźną kremową bluzkę, chyba z jedwabiu. Podobnie jak matka, wiedziała, w co się ubrać, żeby podkreślić piękno lśniących ciemnych włosów i smagłej skóry. Dickstein podał jej ramię - gest trochę staromodny, lecz chciał czuć jej dotyk. Bez wątpienia, miała w sobie taki sam fizyczny magnetyzm jak matka, coś, co przepełniało mężczyznę pożądaniem, chęcią posiadania. Nie była to jednak zwykła żądza, raczej pragnienie posiadania pięknego przedmiotu, który nigdy nie zostanie odebrany. Dickstein miał już swoje lata, toteż wiedział, jak zwodnicze okazują się takie uczucia, wiedział też, że Eila Ashford nie mogła dać mu szczęścia. Ale córka promieniowała jeszcze czymś, czego brakowało matce - ciepłem. Jaka szkoda, że już nigdy nie zobaczy Suzy. Kto wie, z czasem mógłby... No cóż. To przecież niemożliwe.

Dotarli na stację.

- Jeździsz czasem do Londynu? - zapytał.

- Oczywiście. Wybieram się tam jutro.

- Po co?

- Na kolację z tobą - odparła.

Kiedy matka Suzy umarła, ojciec zachowywał się nadzwyczajnie.

Miała jedenaście lat. Wystarczająco dużo, by rozumieć, co to śmierć, ale za mało, by sobie z nią poradzić. Tatuś był łagodny i we wszystkim pomocny. Wiedział, kiedy zostawić ją w spokoju, żeby mogła się wypłakać, a kiedy zabrać do miasta na obiad. Bez zakłopotania opowiedział jej o menstruacji i chodził z nią kupować nowe biustonosze. Ofiarował jej nową rolę w życiu. Została panią domu, instruującą sprzątaczkę, spisującą bieliznę do prania, częstującą sherry w niedzielny poranek. Gdy miała czternaście lat, ojciec powierzył jej pieczę nad domowymi finansami. Dbała o niego lepiej niż Eila. Wyrzucała stare koszule i zastępowała je nowymi identycznymi, o czym tatuś wcale im wiedział. Odkryła, że nawet bez matki można żyć w poczuciu bezpieczeństwa i miłości.

Tatuś powierzył jej rolę taką samą jak matce. I tak jak matka, Suza zbuntowała się przeciw tej roli.

Chciał, by została w Oksfordzie, zrobiła dyplom i została na uczelni. Dzięki temu mogłaby się nim stale opiekować. Oświadczyła, że nie jest dość zdolna, z niejasnym poczuciem, że to tylko wymówka służąca czemuś innemu. Podjęła pracę, która całymi tygodniami trzymała ją z dala od domu, a tym samym uniemożliwiała stałą opiekę nad ojcem. Wysoko w powietrzu, tysiące mil od Oksfordu, podawała drinki i posiłki mężczyznom w średnim wieku, zastanawiając się przy tym, czy naprawdę cokolwiek udało jej się w ten sposób zmienić.

Wracając ze stacji myślała, w jakim okropnym dołku się znalazła. Czy kiedykolwiek z niego wyjdzie.

Właśnie zakończyła romans, który, jak reszta jej życia, dokładnie powielał znajomy wzorzec. Julian miał trzydzieści kilka lat, był wykładowcą filozofii i zajmował się głównie filozofami greckimi z czasów przed Sokratesem. Błyskotliwy, oddany studiom i bezradny życiowo. Przy każdej okazji coś brał - marihuanę, żeby się kochać, amfetaminę, żeby pracować, inne prochy, żeby spać. Był rozwiedziony, bezdzietny. Na początku wydał jej się interesujący, czarujący i seksowny. W łóżku lubił, kiedy

przejmowała inicjatywę. Zabierał ją do awangardowych teatrów w Londynie i na ekscentryczne studenckie prywatki. Ale w końcu cały urok prysł. Uświadomiła sobie, że naprawdę nie interesuje go seks, że bywają razem, bo ona dobrze przy nim wygląda, że Julian lubi jej towarzystwo, ponieważ jego intelekt robi na niej tak wielkie wrażenie. Pewnego dnia, kiedy poszedł na zajęcia, z własnej inicjatywy wzięła się do prasowania jego ubrań. Był to odpowiedni moment na zerwanie.

Czasem szła do łóżka z mężczyznami w swoim wieku albo młodszymi, głównie dlatego, że podniecały ją ich ciała. Zwykle kończyło się to rozczarowaniem, a wszyscy oni prędzej czy później ją nudzili.

Zaczęła już żałować tego impulsu, który kazał jej się umówić z Natem Dicksteinem. Całkowicie pasował do schematu: był o pokolenie starszy od niej, bez wątplenia potrzebował troski i zainteresowania. A najgorsze, że kiedyś kochał jej matkę. Na pierwszy rzut oka miał w sobie, jak wszyscy inni, coś z ojca.

Pod pewnymi względami jednak się różnił, mówiła sobie. Był rolnikiem, nie naukowcem. Najprawdopodobniej najmniej czytany facetem, z jakim kiedykolwiek poszła na randkę. Wyjechał do Palestyny, zamiast tylko gadać o tym w oksfordzkich kawiarniach. Potrafił podnieść lodówkę jedną ręką. W czasie, który spędzili razem, więcej niż raz ją zaskoczył, zachowując się niezgodnie z jej oczekiwaniami.

Być może Nat Dickstein złamie schemat, pomyślała. A może znów sama siebie oszukuje.

Do ambasady Izraela Nat Dickstein zadzwonił z budki telefonicznej na stacji Paddington. Uzyskawszy połączenie, zapytał o Handlowe Biuro Kredytowe. Taki wydział w ogóle nie istniał: był to kod centrum informacyjnego Mosadu. Odpowiedział mu młody człowiek z hebrajskim akcentem. Ucieszyło to Dicksteina; dobrze wiedzieć, że są jeszcze ludzie, dla których hebrajski jest mową ojczystą, a nie martwym językiem. Zdawał sobie sprawę, że rozmowa będzie nagrywana, więc od razu przeszedł do rzeczy:

- Szybko do Billa - powiedział. - Sprzedaż zagrożona przez obecność konkurencyjnej grupy. Henry. - Nie czekając na odzew, odwiesił słuchawkę.

Z dworca ruszył do hotelu, myśląc o Suzie Ashford. Miał spotkać ją na stacji Paddington jutro wieczorem. Dziewczyna zatrzyma się na noc w mieszkaniu przyjaciółki. Dickstein naprawdę nie wiedział, od czego zacząć. O ile pamiętał, nigdy nie zabierał kobiety na kolację po prostu dla przyjemności. Jako młody chłopak był zbyt biedny, po wojnie zbyt nieśmiały i nerwowy, a z biegiem lat także jakoś nie nabrał tego zwyczaju. Oczywiście, bywał tu i ówdzie z kolegami, z ludźmi z kibucu po zakupach w Nazarecie. Ale z kobietą, tylko we dwoje, tylko po to, żeby się cieszyć jej towarzystwem...

Coś ty zrobił? Myśli pewnie, że włożysz wieczorową marynarkę, wyjedziesz po nią własnym samochodem, wręczysz jej pudełko czekoladek przewiązane elegancką wstążką. Mają się spotkać na dworcu, a tu ani samochodu, ani wieczorowego ubrania. Gdzież mógł ją zabrać? Nawet w Izraelu nie znał żadnej eleganckiej restauracji, co dopiero w Anglii.

Idąc przez Hyde Park, naraz uśmiechnął się szeroko. Bo śmieszna to sytuacja dla mężczyzny po czterdziestce. Nie był szczególnie wygadany, na czym jej pewnie nie zależało, bo sama się zaprosiła na kolację. Chyba zna restauracje i wie, co zamówić. Nie była to bynajmniej sprawa życia lub śmierci. Cokolwiek się zdarzy, pragnął się z tego cieszyć.

Praca musi poczekać. Skoro został spalony, nie może zrobić nic, póki nie pomówi z Pierre'em Borgiem; Borg zadecyduje, co dalej. Tego wieczoru wybrał się na francuski film Kobieta i mężczyzna. Prosta historia miłosna, pięknie opowiedziana, na ścieżce dźwiękowej powracający, natarczywy motyw południowo-amerykańskiej melodii. Wyszedł z kina, nim film dobiegł do połowy, bo poruszony tą filmową opowieścią omal się nie rozpląkał. Muzyka dźwięczała mu w głowie przez całą noc.

Rano z budki telefonicznej niedaleko hotelu znów zadzwonił do ambasady.

- Tu Henry. Jaka odpowiedź? - zapytał, kiedy odezwało się centrum informacji.

- Idziesz na dziewięćdziesiąt trzy tysiące, konferencja jutro? - odrzekł głos.

- Odpowiedź: program konferencji w informacji na lotnisku - rzucił Dickstein.

Pierre Borg przylatuje jutro o dziewiątej trzydzieści.

Czterej mężczyźni czekali w samochodzie ze szpiegowską cierpliwością, milcząco i czujni. Ściemniało się. Za kierownicą siedział Tyrin. Zwalisty mężczyzna w średnim wieku, ubrany w płaszcz nieprzemakalny; uderzał palcami o tablicę rozdzielczą. Hasan siedział obok. Rostow i Bunin z tyłu.

Człowieka od teczki Nik znalazł trzeciego dnia, gdy obserwował gmach Jeana Monneta na Kirchbergu. Zameldował, że tożsamość się zgadza.

- W tym swoim urzędniczym garniturze nie wygląda tak bardzo na pedała, ale dają głowę, że to on. Pewno tu pracuje.

- Powinienem był się domyślić - powiedział Rostow. - Jeśli Dickstein poluje na informacje, nie będzie brał informatorów z lotniska ani z "Alfy". Trzeba było najpierw wysłać Nika do Euratomu.

Zwracał się do Tyrina, ale Hasan usłyszał i wtrącił:

- Nie możesz myśleć o wszystkim.

- Owszem, mogę - odparł Rostow.

Kazał Hasanowi zdobyć duży ciemny samochód. Amerykański buick, w którym teraz siedzieli, rzucał się trochę w oczy, ale był czarny i pojemny. Nik śledził człowieka z Euratomu, kiedy ten wracał z pracy, a teraz czterej agenci czekali na brukowanej ulicy blisko domu z tarasem.

Rostow nienawidził tego stylu "płaszcz i szpada". To było takie staromodne, dobre w latach dwudziestych i trzydziestych, w miejscach takich jak Wiedeń, Istambuł lub Bejrut; zupełnie natomiast nie pasował do zachodniej Europy w roku 1968. To piekielnie niebezpieczne - porywać obywatela z ulicy, ładować go do samochodu i bić w celu uzyskania informacji. Mogą cię zobaczyć przechodnie, którzy nie zawahają się pójść na policję i opowiedzieć o tym, co widzieli. Rostow lubił sytuacje proste, jasne, łatwe do rozpracowania. Wolał używać raczej mózgu niż pięści. Ale skoro Dickstein zniknął, człowiek z Euratomu z każdym dniem stawał się ważniejszy. Rostow musiał się dowiedzieć, co tamten dał Dicksteinowi, i musiał się tego dowiedzieć dzisiaj.

- Chciałbym, żeby wreszcie wyszedł - powiedział Piotr Tyrin.

- Nie ma pośpiechu - rzucił Rostow, co nie było prawdą, ale nie chciał, by jego ludzie, zdenerwowani i zniecierpliwieni, zaczęli popełniać błędy. Chcąc rozładować

napięcie ciągnął: - Dickstein oczywiście to zrobił. To, co myśmy zrobili i co robimy. Obserwował gmach Jeana Monneta, śledził faceta aż do domu i czekał tu, na ulicy. Facet później poszedł do klubu dla homoseksualistów i wtedy Dickstein odkrył tę jego słabość, a następnie wykorzystał ją, żeby zdobyć informacje.

- Od dwóch dni nie pokazywał się w klubie - powiedział Bunin.

- Uznał, że wszystko, a szczególnie miłość, ma swoją cenę - stwierdził Rostow.

- Miłość? - w głosie Bunin zadźwięczała pogarda.

Rostow nie odpowiedział.

Ciemność zgęstniała, na ulicy zapaliły się latarnie. Powietrze miało lekki posmak wilgoci. Wokół latarni snuła się mgiełka. Napływała znad rzeki. W czerwcu nie ma co liczyć na prawdziwą mgłę.

- A to co? - zapytał Tyrin.

Ulicą szedł szybko w ich stronę jasnowłosy mężczyzna w dwurzędowej marynarce.

- Siedźcie cicho! - nakazał Rostow.

Mężczyzna skierował się do domu, przed którym czekali. Zadzwoił do drzwi. Hasan położył dłoń na klamce.

- Nie teraz - syknął Rostow.

W oknie na poddaszu na chwilę uniosła się firanka. Jasnowłosy czekał przytupując.

- Pewnie kochanek - powiedział Hasan.

- Zamknij się, na litość boską! - warknął Rostow.

Po minucie drzwi się otworzyły i jasnowłosy wszedł do środka. Rostow zauważył tego, który otwierał. Był to gość z Euratomu. Drzwi się zamknęły i znów musieli czekać na okazję.

- Za szybko - powiedział Rostow. - Cholera.

Tyrin znowu zaczął bębnić palcami, Bunin drapał się w głowę, a Hasan, zirytowany, jasno dawał do zrozumienia, że jego zdaniem całe to czekanie nie ma sensu.

Przez godzinę nic się nie działo.

- Spędzą wieczór w domu - powiedział Tyrin.

- Jeśli mieli przygodę z Dicksteinem, to pewnie teraz boją się wychodzić - przyznał Rostow.

- Wejdziemy tam? - zapytał Bunin.

- Kłopot w tym - przypomniał mu Rostow - że przez okno mogą zobaczyć, kto jest przy drzwiach. Założę się, że nie otworzą obcym.

- Kochanek może zostać na noc - zauważył Tyrin.

- Może.

- Musimy się włamać - rzucił Bunin.

Rostow zignorował go. Nik Bunin zawsze chciał się włamywać, ale nie pójdzie na całego, dopóki mu się nie każe. Pomyślał, że teraz w grę wchodzi dwóch ludzi, co jest trudniejsze i bardziej niebezpieczne.

- Mamy jakąś broń? - zapytał.

Tyrin otworzył schowek i wyciągnął pistolet.

- W porządku - powiedział Rostow. - Tylko nie zacznij strzelać.

- Nie jest nabity - uspokoił go Tyrin. Włożył pistolet do kieszeni płaszcza.

- Jeśli kochanek zostanie na noc, moglibyśmy wziąć ich rano - zaproponował Hasan.

- W żadnym razie - sprzeciwił się Rostow. - Nie można tego robić za dnia.

- Więc co?

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

Myślał nad tym do północy, a wtedy problem rozwiązał się sam. Rostow obserwował drzwi domu spod półprzymkniętych powiek. Zauważył, że się uchyliły.

- Teraz - rzucił.

Nik pierwszy wypadł z samochodu. Tyrin po nim. Hasan potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co się dzieje, potem dołączył.

Dwaj mężczyźni właśnie się zegnali. Młodszy stał na chodniku, starszy, ten z Euratomu, w drzwiach. Miał na sobie szlafrok. Raz jeszcze uścisnął rękę kochanka. Obaj spojrzeli wystraszeni, gdy Nik i Tyrin wyskoczyli z samochodu i dopadli ich.

- Nie ruszać się, milczeć - polecił Tyrin cicho po francusku, pokazując pistolet.

Rostow zauważył, że instynkt Nika kazał mu stanąć obok młodszego mężczyzny, trochę z tyłu.

- Och, Boże, nie, już nie, proszę! - jęknął starszy.

- Do samochodu - rozkazał Tyrin.

- Skurwiele jedne, dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? - oburzył się młodszy.

Przyglądając się temu z tylnego siedzenia wozu, Rostow pomyślał: właśnie teraz się zdecyduje, czy spokojnie się poddadzą, czy będą stwarzać kłopoty. Szybko zlustrował ulicę. Była pusta.

Nik czując, że młodszy chce się zbuntować, chwycił go z tyłu za rękę.

- Nie rób mi krzywdy, pójdę - powiedział starszy. Wyszedł z domu.

- Nigdzie nie pójdziesz, do diabła! - parsknął jego przyjaciel.

A niech to, pomyślał Rostow.

Młodszy wyrywał się z uścisku Nika, potem próbował nastąpić mu na nogę. Nik odskoczył i uderzył chłopaka pięścią w nerkę.

- Nie, Pierre! - krzyknął starszy za głośno.

Tyrin zatkał mu usta. Mężczyzna oswobodził głowę i wrzasnął:

- Na pomoc! - zanim Tyrin zdołał go znowu uciszyć.

Pierre jęcząc osunął się na kolana. Rostow wychylił się z samochodu i zawołał:

- Jedziemy!

Tyrin powlókł starszego do wozu. Pierre nagle się wyrwał Nikowi i zaczął uciekać. Hasan podstawił mu nogę. Chłopak upadł na bruk.

Na piętrze w sąsiednim domu zapaliło się światło. Przedłużająca się bójka groziła, że wszyscy czterej znajdą się za kratkami.

Tyrin pchnął człowieka z Euratomu na tylne siedzenie. Rostow chwycił go i powiedział:

- Trzymam go. Zapalaj. Szybko!

Nik podniósł młodszego i taszczył go do wozu. Tyrin siadł za kierownicą, a Hasan otworzył drugie drzwi.

- Hasan, zamknij drzwi do domu, idioto! - rozkazał Rostow.

Nik wepchnął młodszego do samochodu, obok przyjaciela, i usiadł przy drzwiach, tak że obaj porwani tkwili między nim a Rostowem. Hasan zamknął drzwi domu i wskoczył na miejsce obok kierowcy. Tyrin ruszył.

- Panie Boże Wszechmogący, co za burdel - rzucił Rostow po angielsku.

Pierre wciąż jęczał.

- Przecież nic wam nie zrobiliśmy - powiedział starszy więzień.

- Naprawdę? - odezwał się Rostow. - Trzy dni temu, w klubie na rue Dicka, dałeś teczkę Anglikowi.

- Edowi Rodgersowi?

- Nie tak się nazywa - sprostował Rostow.

- Jesteście z policji?

- Niezupełnie. - Niech gość wierzy, w co tylko chce. - Nie interesuje mnie zbieranie dowodów, przygotowywanie sprawy i wytoczenie ci procesu. Chodzi mi tylko o tę teczkę.

Zapadła cisza. Przerwał ją Tyrin:

- Mam wyjechać z miasta, w jakieś spokojne miejsce?

- Zaczekaj - powstrzymał go Rostow.

- Powiem wam - powiedział starszy.

- Jedź wokół miasta - polecił Rostow Tyrinowi. Popatrzył na człowieka z Euratomu. - No to mi powiedz.

- To był wydruk komputerowy z Euratomu.

- Czego dotyczył?

- Szczegółów licencji na transport materiałów rozszczepialnych.

- Rozszczepialnych? To znaczy nuklearnych?

- Ruda uranu, czysty uran, odpady radioaktywne, pluton.

Rostow oparł się wygodnie, patrząc na migające światła miasta. Aż mu krew zawrzała z podniecenia. Zaczynał rozumieć sens działań Dicksteina. Licencje na transport substancji rozszczepialnych... Izrael potrzebuje paliwa nuklearnego. Dickstein chciał w tym spisie poszukać jednej z dwóch rzeczy - albo gdzie można kupić uran na czarnym rynku, albo skąd można go ukraść. Inna rzecz, co zrobią z tym towarem, kiedy go już będą mieli...

Człowiek z Euratomu przerwał mu tok myśli.

- Puśćcie nas teraz?

- Muszę mieć kopię tego wydruku - zażądał Rostow.

- To niemożliwe, zniknięcie pierwszej było wystarczająco podejrzane!

- Obawiam się, że nie masz wyjścia. Ale jeśli chcesz, możesz to zanieść z powrotem do biura, jak już to sfotografujemy.

- Och, Boże! - jęknął tamten.

- Nie masz wyboru.

- W porządku.

- Zawracaj - polecił Rostow Tyrinowi. Do człowieka z Euratomu powiedział: - Przyniesiesz wydruk jutro wieczorem. Ktoś zgłosi się do ciebie do domu, żeby to sfotografować.

Duży samochód przemierzał ulice miasta. Rostow czuł, że akcja wypadła całkiem nieźle.

- Przestań się na mnie gapić - rzucił Nik Bunin, zwracając się do Pierre'a.

Wjechali w brukowaną ulicę. Tyrin zatrzymał wóz.

- W porządku - powiedział Rostow. - Starszy wysiada. Młodszy zostanie z nami.

Człowiek z Euratomu jęknął jak zranione zwierzę.

- Czemu?

- Na wypadek gdyby przyszło ci do głowy wypowiadać się swoim szefom. Młody Pierre będzie naszym zakładnikiem. Wychodź.

Nik otworzył drzwi. Mężczyzna przez chwilę stał na chodniku. Nik wrócił do wozu, Tyrin ruszył.

- Czy on to zrobi? - zapytał Hasan.

- Będzie dla nas pracował, dopóki mamy jego przyjaciela - odparł Rostow.

- A potem?

Rostow nie odpowiedział. Pomyślał, że trzeba chyba będzie zabić ich obu. Ostrożności nigdy za wiele.

Oto nocny koszmar Suzy.

Zielono-biały dom nad rzeką. Wieczór. Jest sama. Bierze kąpiel. Długo leży w gorącej wonnej wodzie. Potem idzie do sypialni, siada naprzeciw trójskrzydłowego lustra i pudruje się pudrem z onyksowego pudrka, które należało do jej matki.

Otwiera szafę spodziewając się, że znajdzie tam nadjedzone przez mole ubrania matki, spadające z wieszaków lachmany, zetłale, niemal przezroczyście ze starości. Ale tak nie jest: wszystkie są czyste i nowiutkie, zalatują tylko zapachem naftaliny. Wybiera koszulę nocną, białą jak całun, i wkłada na siebie. Idzie do łóżka.

Leży nieruchomo przez długi czas, czeka, aż Nat Dickstein przyjdzie do swojej Eili. Wieczór zmienia się w noc. Rzeka szepcze. Otwierają się drzwi. W nogach łóżka staje mężczyzna i rozbiera się. Kładzie się na niej, a jej zaskoczenie rozpłomienia się pożarem od jednej małej isierki, gdy uświadamia sobie, że to nie Nat Dickstein, ale jej ojciec. Ona zaś jest od dawna martwa. Koszula rozsypuje się w proch, jej wypadają włosy, ciało wiotczeje, a skóra na twarzy wysycha i kurczy się, odsłaniając zęby i czaszkę. Ona sama powoli zamienia się w szkielet, chociaż ten mężczyzna porusza jej ciałem. Krzyczy więc, krzyczy, krzyczy i budzi się. Leży spocona, drżąca, przerażona. Dlaczego nikt nie przychodzi i nic pyta, co się stało? W końcu z ulgą uświadamia sobie, że krzyczała we śnie. Uspokojona zastanawia się nad znaczeniem tego snu, dopóki znów nie zaśnie.

Rano jest jak zwykle radosna. I tylko jakiś nieuchwytny cień kładzie się chmurką na jej nastrój. Nie pamięta już wcale swego snu. Wie tylko, że coś odebrało jej spokój. Lecz już się nie martwi, bo przecież sen przychodzi czasem zamiast zmartwienia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nat Dickstein chce ukraść uran - oznajmił Jasif Hasan.

Dawid Rostow skinął potakująco głową. Myślał o czymś innym. Myślał, jak pozbyć się Jasifa Hasana.

Szli spacerkiem przez dolinę u podnóża skały, gdzie znajdowała się luksemburska starówka. Tu, nad brzegami rzeki Petrusse, rozpościerały się trawniki, rosły ozdobne drzewa i wiły się ścieżki dla pieszych. Hasan ciągnął:

- Mają reaktor atomowy w Dimonie na pustyni Negew. W budowie pomagali Francuzi i chyba dostarczyli im również paliwa. Od wojny sześciodniowej de Gaulle przerwał dostawy broni, z czego by wynikało, że wstrzymał też dostawy uranu.

To jasne, pomyślał Rostow, najlepiej uspić podejrzenia Hasana skwapliwą zgodą.

- Bardzo typowe posuniecie Mosadu, ot tak, po prostu ukraść gdzieś uran - przyznał. - Oni właśnie myślą takimi kategoriami. Że za nimi już tylko ściana. I to pozwala im lekceważyć niuanse międzynarodowej dyplomacji.

Ze zdobytych właśnie informacji mógł wyciągnąć znacznie dalej idące wnioski niż Hasan; wpadłszy na tak ekscytujący trop, chciał na jakiś czas usunąć Araba z gry. Wiedział o egipskich planach nuklearnych w Kattarze, Hasan prawie na pewno nie miał o tym pojęcia. Kto by powierzał takie sekrety agentowi z Luksemburga?

Przez nieudolność Kairu również Izrael prawdopodobnie wiedział o egipskiej bombie. Co Izraelczycy mogliby zrobić? Własną bombę, do której potrzebowali, jak się wyraził człowiek z Euratomu, "materiału rozszczepialnego". Dickstein pewnie spróbuje zdobyć uran do izraelskiej bomby atomowej. Ale Hasan nigdy by na to nie wpadł. Przynajmniej jeszcze nie teraz. A Rostow wcale nie zamierzał mu pomóc, bo nie chciał, by Tel-Awiv odkrył, jak krąg się zacieśnił.

Kiedy wieczorem dostanie listę, posunie się o kolejny krok. Bo z tej listy Dickstein wybrał pewnie swój cel. Rostow wołał, żeby Hasan o tym również się nie dowiedział.

Krew zaczęła krążyć szybciej w jego żyłach. Czuł się jak podczas partii szachów, gdy trzy, cztery ruchy przeciwnika układają się we wzór, a wówczas można przewidzieć atak i odeprzeć go. Nie zapomniał jeszcze powodów, dla których rozpoczął batalię z Dicksteinem - konflikt z Woroncowem, list do Andropowa i miejsce dla syna na wydziale matematyczno-fizycznym - ale te już się nie wysuwały na pierwszy plan. Liczył się kolejny ruch, liczyła się gorączka polowania i woń ściganej zwierzyny w nozdrzach. To go trzymało w napięciu i gotowości, każąc odrzucić wszelkie względy.

Hasan stał mu na drodze. Pełen chęci działania, drażliwy Hasan, dyletant i partacz kablujący do Kairu. W tym momencie stwarzał większe zagrożenie niż sam

Dickstein. Mimo swoich wad wcale nie był głupi. Odznaczał się typowo lewentyńską inteligencją, niewątpliwie odziedziczoną po ojcu-kapitaliście. Mógłby się domyślić, że Rostow chce go usunąć. Dlatego trzeba zlecić mu prawdziwą robotę.

Przeszli pod mostem Adolfa; Rostow zatrzymał się, podziwiając widoki. Przypomniał mu się Oksford i nagle wpadł na pomysł, co zrobić z Hasanem.

- Dickstein wie, że ktoś go śledził, i pewnie łączy to ze spotkaniem z tobą - powiedział.

- Tak sądzisz? - spytał Hasan.

- Sam pomyśl. Idzie na spotkanie, wpada na Araba, który zna jego prawdziwe nazwisko, i zaraz ktoś mu siedzi na ogonie.

- Może i tak mu się zdaje, ale przecież nie wie na pewno.

- Masz rację. - Spojrzawszy na Hasana, Rostow uświadomił sobie, że Arab wprost uwielbia dźwięk tych słów, zwłaszcza w jego ustach. Pomyślał: "On mnie nie lubi, ale piekielnie mu zależy na mojej aprobacie. Jest dumny i ja to wykorzystam". - Dickstein musi to sprawdzić - ciągnął. - Czy mają twoje akta w Tel-Awiiwie?

Hasan wzruszył ramionami z nonszalancją starego arystokraty.

- Kto wie?

- Jak często miewałeś bezpośrednie kontakty z innymi agentami, Amerykanami, Brytyjczykami, Izraelczykami?

- Nigdy - zapewnił Hasan. - Jestem na to za ostrożny.

Rostow z trudem powstrzymał śmiech. W istocie Hasan był zbyt poślednim agentem, żeby zwróciły na niego uwagę co bardziej znaczące służby wywiadowcze, nie zrobił też dotąd nic tak ważnego, żeby się stykać z innymi szpiegami.

- Jeśli nie mają cię w aktach - ciągnął Rostow - Dickstein kontaktuje się pewnie z twoimi przyjaciółmi. Macie jakichś wspólnych znajomych?

- Nie. Nie widziałem go od czasów studenckich. Poza tym od moich przyjaciół niczego by się nie dowiedział. Oni nie wiedzą nic o moim podwójnym życiu. Nie rozpowiadam o tym na prawo i lewo.

- Ależ oczywiście, że nie. - Rostow z trudem skrywał niecierpliwość. - Tyle, że Dickstein mógł zadać kilka najzwyczajniejszych pytań dotyczących twojego sposobu zachowania i sprawdzić, czy pasuje do schematu faceta od cichej roboty. Choćby czy miewasz tajemnicze telefony, czy zdarza ci się nagle zniknąć, czy masz przyjaciół, których nie przedstawiasz. Widujesz jeszcze kogoś z Oksfordu?

- Nikogo spośród studentów. - Hasan wyraźnie zaczął się bronić; Rostow wiedział, że już go prawie ma. - Miewałem kiedyś kontakty z moim wydziałem. Szczególnie z profesorem Ashfordem. Raz czy dwa skontaktował mnie z ludźmi, którzy byli gotowi wyłożyć pieniądze na naszą sprawę.

- Jeśli pamiętam, Dickstein znał Ashforda.

- Oczywiście. Ashford miał katedrę języków semickich, studiowaliśmy tam obaj z Dicksteinem.

- Właśnie. Wystarczy, że Dickstein zadzwoni do Ashforda i mimochodem wymieni twoje nazwisko. Ashford powie mu, co robisz i jak się zachowujesz. A wtedy już będzie wiedział, że jesteś agentem.

- Trochę to naciągane - zauważył Hasan z powątpiewaniem.

- Wcale nie - odparł żywo Rostow, chociaż tamten miał rację. - To standardowa technika. Sam tak robiłem i miałem wyniki.

- A jeśli skontaktował się z Ashfordem...

- Wtedy mamy szansę znów go złapać. Dlatego chcę, żebyś pojechał do Oksfordu.

- Och! - Hasan się nie połapał, dokąd zmierza rozmowa, i dał się zapędzić w kozi róg. - Dickstein mógł się kontaktować telefonicznie...

- Mógł, ale w pewnych wypadkach łatwiej to zrobić osobiście. Można powiedzieć, że akurat jest się w mieście, ot, okazja, by wpaść i pogadać o dawnych czasach... Trudno rozmawiać w ten sposób przez centralę międzynarodową. Dlatego ty też raczej jedź, niż dzwoń.

- Chyba masz rację - poddał się Hasan. - Chciałem wysłać meldunek do Kairu, jak tylko przeczytamy wydruk.

Tego właśnie Rostow wolał unikać.

- Dobry pomysł - powiedział. - Ale meldunek będzie jeszcze lepszy, jeśli doniesiesz, że znów wpadłeś na trop Dicksteina.

Hasan patrzył przed siebie, jakby gdzieś w oddali chciał zobaczyć Oksford.

- Wracajmy - rzucił. - Dość się nachodziłem.

Teraz należało odegrać przyjaciela. Rostow objął go ramieniem.

- Wy, Europejczycy, jesteście tacy miękcy.

- Nie wmawiaj mi, że KGB ma ciężkie życie w Moskwie.

- Opowiedzieć ci rosyjski kawał? - zaproponował Rostow, gdy się wspinali pod górę. - Breżniew mówi swojej matce, jak daleko zaszedł w życiu. Pokazuje jej mieszkanie. Wielkie, z zachodnimi meblami, zmywarką, lodówką, służącymi. Ona nic, ani słowa. Wiezie ją na dach nad Morze Czarne. Tam: wielka willa z basenem, prywatna plaża, jeszcze więcej służby. Ale na niej nawet to nie robi wrażenia. Wsadza ją więc do swojego zila i zabiera do domku myśliwskiego. Piękne tereny, strzelby, psy. W końcu pyta: "Mamo, mam, dlaczego nic nie mówisz? Nie jesteś dumna?" Ona na to: "To cudowne, Leonidzie, ale co zrobisz, jak wrócą komuniści?"

Rostow zaniósł się śmiechem, lecz Hasan tylko się uśmiechnął.

- Nie sądzisz, że to zabawne? - spytał Rostow.

- Niezbyt. To poczucie winy każe ci się śmiać z tego dowcipu. Ja nie czuję się winien, więc nie znajduję w tym nic śmiesznego.

Rostow wzruszył ramionami, myśląc: Dzięki ci, Jasifie Hasanie, za islamską odpowiedź w duchu Zygmunta Freuda. Dotarli do drogi. Zatrzymali się tam chwilę, patrząc na samochody. Hasan z trudem łapał oddech. Rostow coś sobie przypomniał.

- Słuchaj, jest coś, o co zawsze chciałem cię zapytać. Czy naprawdę różnaś żonę Ashforda?

- Tylko cztery, pięć razy w tygodniu - powiedział Hasan i zaśmiał się głośno.

- I kto teraz czuje się winny? - zapytał Rostow.

Przyszedł na dworzec wcześniej, a pociąg się spóźnił, więc musiał czekać całą godzinę. Ten jeden jedyny raz w życiu przeczytał "Newsweek" od deski do deski. Suza prawie wbiegła z peronu, radośnie uśmiechnięta. Tak jak wczoraj, objęła go za szyję i pocałowała. Ale tym razem pocałunek był dłuższy. Nie wiedzieć czemu spodziewał się, że dziewczyna włoży długą suknię i etolę z norek, niczym żona bankiera na wieczór w klubie "61" w Tel-Awiwie. Lecz oczywiście to był inny kraj, inne pokolenie. Miała na sobie wysokie botki niknące pod długą spódnicą, jedwabną bluzkę i haftowaną kamizelkę, która świetnie nadawałaby się dla matadora. Była bez makijażu. I miała zupełnie wolne ręce: żadnego płaszcza, torebki, nesesera. Stali tak uśmiechając się do siebie przez chwilę. Dickstein, nie całkiem pewny, co powinien zrobić, podał jej ramię, jak wczoraj, i chyba była z tego zadowolona. Ruszyli w stronę postoju taksówek.

- Dokąd chciałabyś pójść? - spytał, kiedy wsiedli do wozu.

- Nic nie zarezerwowałeś?

Powinienem być zarezerwować stolik, pomyślał.

- Nie znam londyńskich restauracji.

- Na Kings Road - poleciła Suza kierowcy.

Kiedy taksówka ruszyła, spojrzała na Dicksteina i powiedziała:

- Hej, Nathanielu!

Nikt nigdy nie mówił do niego "Nathanielu". Spodobało mu się to.

Wybrała restaurację w Chelsea, małą, słabo oświetloną i modną, idąc do stolika Dickstein zauważył jedną czy dwie znajome twarze. Żołądek podskoczył mu do gardła. Zaraz jednak sobie uświadomił, że to popularni piosenkarze, których zdjęcia widywał w prasie, i znów się rozluźnił. Cieszył się, że wciąż ma taki refleks, chociaż tak nietypowo spędza ten wieczór. Był też zadowolony z tego, że inni klienci są w różnym wieku, bo obawiał się, że może być najstarszym gościem w restauracji.

Usiedli. Dickstein zapytał:

- Czy zawsze przychodzisz tu ze swoimi młodymi adoratorami?

Suza uśmiechnęła się chłodno.

- To pierwsza niedowcipna rzecz, jaką powiedziałaś.

- Poprawię się. - Chciał sam siebie kopnąć w kostkę.

- Co lubisz jeść? - spytała; przykry moment minął.

- W domu jadam pełnowartościowe, pożywne, wspólne posiłki. Poza krajem mieszkam w hotelach, a tam karmią samymi paskudztwami, świństwem, które uchodzi za haute cuisine. A ja lubię to, czego nie można nigdzie dostać: pieczony udziec jagnięcy, stek i pudding z cynaderek, gulasz z Lancashire.

- Wiesz, co w tobie lubię? - Uśmiechnęła się. - Nie masz pojęcia, co jest, a co nie jest modne. I wcale się tym nie przejmujesz.

Pomacał klapy marynarki.

- Nie podoba ci się mój garnitur?

- Szalenie mi się podoba. Musiał już wyjść z mody, kiedy go kupowałeś.

Zdecydował się na pieczoną wołowinę z patelni, Suza na wątróbkę sauté, którą zjadła z ogromnym smakiem. Zamówił butelkę burgunda: delikatniejsze wino nie pasowałoby do wątróbki. Jego wiedza o winie była jedyną rzeczą, której mógł się nie wstydić w towarzystwie. Wypiła większą część butelki. On nie miał wielkiej ochoty.

Opowiedziała mu o swoich doświadczeniach z LSD.

- To było niezapomniane. Czulałam całe swoje ciało, od środka i na zewnątrz. Słyszałam swoje serce. Skórę miałam absolutnie cudowną w dotyku. I te kolory, na wszystkim... Pozostaje pytanie, czy to prochy pokazały mi zdumiewające rzeczy, czy tylko sprawiły, że byłam zdumiona? Czy to nowy sposób widzenia świata, czy zaledwie połączenie doznań, których można by doświadczyć, jeśli by naprawdę zobaczyć świat na nowo?

- Czy potem nie potrzebowałaś tego więcej? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Nie lubię aż tak tracić kontroli nad sobą. Ale cieszę się, że wiem, jak to jest.

- Właśnie dlatego nienawidzę się upijać. Utrata panowania nad sobą. Chociaż wiem, że to nie ta sama konkurencja. Ale cóż, kiedy parę razy się upiłem, jakoś nie czułem, żebym znalazł klucz do istoty wszechrzeczy.

Machnęła ręką na znak, że to nie najważniejsze. Była to długa, smukła ręka Eili, i nagle Dickstein przypomniał sobie ten gest: dokładnie taki sam, pełen wdzięku, widywał kiedyś u tamtej.

- Nie wierzę, żeby narkotyki mogły rozwiązać problemy tego świata - powiedziała.

- A w co wierzysz, Suza?

Zawahała się, patrząc na niego z uśmiechem.

- Wierzę, że jedyne, czego nam potrzeba, to miłość. - Mówiła to takim tonem, jakby już zawczasu chciała się obronić przed spodziewanym szyderstwem.

- Taka filozofia bardziej pasuje do bawiących się londyńczyków niż do walczących Izraelczyków.

- Chyba nie ma sensu cię nawracać.

- Powiniennem być szczęśliwy.

Spojrzała mu w oczy.

- Nigdy nie wiesz, jakie szczęście może cię spotkać.

Popatrzył na menu i rzekł:

- Na przykład truskawki.

- Powiedz mi, kogo kochasz, Nathanielu? - spytała nagle.

- Starą kobietę, dziecko i ducha - odpowiedział szybko, bo sam sobie zadawał takie pytanie. - Stara kobieta nazywa się Ester i pamięta pogromy w carskiej Rosji. Dziecko to chłopiec imieniem Motie. Lubi Wyspę Skarbów. Jego ojciec zginął w czasie wojny sześciodniowej.

- A duch?

- Masz ochotę na truskawki?

- Tak, poproszę.

- Ze śmietaną?

- Nie, dzięki. Nie chcesz powiedzieć mi o duchu?

- Powiem ci, jak tylko sam będę wiedział.

Jak zwykle w czerwcu truskawki były znakomite.

- Teraz ty powiedz, kogo kochasz - poprosił Dickstein.

- Tak. - Zastanowiła się chwilę. - Tak... - powtórzyła i położyła łyżeczkę. - Cholera, Nathaniel, myślę, że Kocham Ciebie.

Jej pierwsza myśl: Co, u diabła, strzeliło mi do głowy? Dlaczego to powiedziałam? Potem pomyślała: Wszystko jedno, powiedziałam prawdę. A na koniec: Ale dlaczego go Kocham?

Nie wiedziała dlaczego, wiedziała za to kiedy. Dwa razy zdołała; wejrzeć w niego i zobaczyć prawdziwego Dicksteina: raz, kiedy mówił o londyńskich faszystach w latach trzydziestych, i drugi raz, kiedy wspominał o chłopcu, którego ojciec zginął na wojnie sześciodniowej. W obu przypadkach zrzucił maskę. Myślała, że ujrzy małego przestraszonego człowieczka, dygocącego w kącie. A tymczasem okazywał się silny, pewny siebie i zdeterminowany. W takich momentach wyczuwała jego siłę, tak jak czuje się intensywny zapach. Aż jej się zakręciło w głowie.

Ten mężczyzna był tajemniczy, intrygujący i silny. Chciała zbliżyć się do niego, poznać jego umysł, jego skryte myśli. Chciała dotykać jego szczupłego ciała i czuć uścisk jego mocnych rąk. I patrzeć w jego smutne brązowe oczy, gdy krzyczy z rozkoszy. Pragnęła jego miłości. Coś takiego nie zdarzyło jej się nigdy przedtem.

Nat Dickstein wiedział, że to wszystko nie tak. Suza ustaliła swój stosunek do niego, kiedy miała pięć lat, a on był tym dorosłym, który umiał rozmawiać z dziećmi i kotami. Teraz wykorzystywał to dziecięce uczucie.

Kochał Eile, która nie żyła. Było coś niezdrowego w jego stosunku do córki, tak do niej podobnej. Był nie tylko Żydem, lecz także Izraelczykiem. Nie tylko Izraelczykiem, ale i agentem Mosadu. Zwłaszcza on nie powinien kochać tej dziewczyny, pół-Arabki.

Zawsze gdy piękna dziewczyna zakochuje się w szpiegu, szpieg musi zadać sobie pytanie, dla jakiego wrogiemu wywiadu ta dziewczyna może pracować.

Przez lata, ilekroć jakaś kobieta zwracała na niego uwagę, Dickstein wynajdywał podobne przyczyny, żeby odpłacać jej chłodem, i wcześniej czy później ona to pojmowała, odchodziła. A to, że Suza przechytrzyła jego podświadomość, atakując zbyt szybko, by dał radę się obronić, stanowiło dodatkowy powód do podejrzliwości.

Wszystko nie tak. Ale Dickstein nie dbał o to.

Taksówką pojechali do mieszkania, w którym miała zostać na noc. Zaprosiła go - właściciele, jej znajomi, wyjechali na wakacje - i poszli do łóżka. I wtedy właśnie zaczęły się problemy.

Z początku Suza myślała, że jest aż nazbyt podniecony, gdy stojąc w małym przedpokoju obejmował ją i całował mocno, brutalnie. I kiedy jęczał: - Och, Boże - gdy wzięła jego ręce i położyła na swoich piersiach. Zaświtała jej cyniczna myśl: już to przerabiałam, tak go podbiła moja uroda, że po prostu mnie zgwałci, a w pięć minut po wejściu do łóżka zaśnie jak kamień i zacznie chrapać. Oderwała się od niego i spojrzała mu w oczy - łagodne, duże, brązowe. Pomyślała: cokolwiek się zdarzy, to nie będzie tak.

Zaprowadziła go do małej sypialni z oknem na podwórko. Zatrzymywała się tu tak często, że czuła się jak u siebie. W szafie i szufladach miała nawet trochę swoich rzeczy. Usiadła na brzegu wąskiego łóżka i rzuciła buty. Dickstein stał w drzwiach. Patrzył, czekał. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Rozbierz się - powiedziała.

Zgasił światło.

Była zaintrygowana: trafiło ją to jak pierwszy w życiu odlot po marihuanie. Jaki on jest naprawdę? Jest chłopakiem z londyńskiego przedmieścia, ale Izraelczykiem. Czterdziestoletnim chłopcem. Drobnym mężczyzną, silnym jak koń. Trochę nietaktownym i nerwowym, ale jednocześnie opanowanym i niezwykle mocnym. Jak taki ktoś zachowuje się w łóżku?

Wśliznęła się pod prześcieradło, dziwnie rozczulona, że on chce się kochać po ciemku. Położył się obok i całował ją, teraz już delikatnie. Przebiegała rękami po jego mocnym, kościstym ciele i rozchyłała usta do pocałunków. Po krótkim wahaniu odpowiedział tym samym. Domyśliła się, że nigdy przedtem tak się nie całował, a przynajmniej od bardzo dawna.

Dotykał jej teraz czule końcami palców, odkrywał jej dąło, westchnął: - Och! - ze zdziwieniem w głosie, gdy natrafił na sterczący sutek. Jego pieszczoty nie miały w sobie nic z tej łatwej rutyny, którą tak dobrze znała. Był jak... - no tak, jak prawiczek. Na tę myśl uśmiechnęła się w ciemności.

- Masz takie piękne piersi - powiedział.

- Ty też - odrzekła dotykając go.

Magia zaczęła działać i Suza utonęła w doznaniach. Jego szorstka skóra, włosy na nogach, nieuchwytny męski zapach. Nagle wyczuła w nim zmianę. Przez moment myślała, że jej się zdaje, bo wciąż ją pieścił, ale wiedziała, że teraz było to mechaniczne. Myślał o czymś innym. Straciła go.

Już miała coś powiedzieć, gdy naraz odsunął rękę i szepnął:

- Nic z tego. Nie mogę.

Poczuła lęk i przemogła go. Bała się, nie o siebie, (Poznałaś, dziewczyno, w życiu dość twardych kutasów, nie licząc kilku sflaczałych), ale o niego, o jego reakcje, poczucie klęski albo wstyd i...

Objęła go obiema rękami i przytuliła mocno.

- Cokolwiek zrobisz, proszę, nie odchodź.

- Nie odejdę.

Chciała zapalić światło, żeby zobaczyć jego twarz, ale teraz byłoby to nie na miejscu. Przyłgnęła policzkiem do jego piersi.

- Masz gdzieś żonę?

- Nie.

Wysunęła język, dotknęła nim jego skóry.

- Pomyślałam, że może czujesz się winny z jakiegoś powodu. Na przykład, że jestem pół-Arabką?

- Nie sędzę.

- Albo że jestem córką Eili Ashford. Kochałeś ją, prawda?

- Skąd wiesz?

- Z tego, jak o niej mówisz.

- Och. Nie czuję się winny z takich powodów, ale coś jest nie tak, pani doktor.

- Mmm. - Wychodził ze swojej skorupy. Całowała jego pierś. - Czy możesz mi coś powiedzieć?

- Chyba tak.

- Kiedy ostatnio się kochałeś?

- W czterdziestym czwartym.

- Żartujesz! - Była autentycznie zaskoczona.

- To pierwsza niedowcipna rzecz, jaką powiedziałaś.

- Ja... masz rację. Przepraszam - zawahała się. - Ale dlaczego?

Westchnął.

- Nie mogę... nie potrafię o tym mówić.

- Ale musisz. - Sięgnęła do nocnej lampki i zapaliła światło. Dickstein zamknął oczy. Oparła się na łokciu i ciągnęła: - Posłuchaj. Nic nas nie krępuje. Jesteśmy

dorośli, nadzy, leżymy w łóżku i jest tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy rok. Cokolwiek na ciebie działa, nie ma w tym nic złego, naprawdę.

- Nic nie działa. - Oczy miał wciąż zamknięte.

- I żadnych sekretów. Jeśli się boisz, brzydzisz, jeśli coś cię drażni, powiedz to, musisz powiedzieć. Ja nigdy przedtem nie powiedziałam nikomu "kocham cię". Nat. Mów do mnie, proszę.

Zapadła długa cisza. Leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami. W końcu się odezwał.

- Nie wiedziałem, gdzie jestem. Wsadzili mnie do bydłowego wagonu. Wtedy jeszcze nie umiałem rozróżnić jednego kraju od drugiego. To był specjalny obóz, centrum badań medycznych. Wybierano tam więźniów z innych obozów. Wszyscy byliśmy młodzi i zdrowi. Wszyscy byliśmy Żydami. Warunki były lepsze niż w moim pierwszym obozie. Mieliśmy jedzenie, koce, papierosy. Nikt nie kradł, nie było żadnych bójek. Najpierw pomyślałem, że mam szczęście. Robili mnóstwo badań: krew, mocz, dmuchnij w tę rurę, złap piłkę, przeczytaj litery. Jak w szpitalu. Potem zaczęły się eksperymenty. Do dziś nie wiem, czy w tym wszystkim chodziło o jakąkolwiek naukową ciekawość: Na przykład kiedy ktoś robi te rzeczy ze zwierzętami, to może i tak. Może to jest interesujące, może i odkrywcze. Ale chyba ci lekarze musieli być chorzy. Nie wiem.

Przerwał, przełknął ślinę. Nie mógł o tym mówić spokojnie.

- Musisz mi powiedzieć, co się stało. Wszystko - szepnęła Suza.

Był blady. Głos miał bardzo cichy. I wciąż zamknięte oczy.

- Wzięli mnie do tego laboratorium. Strażnicy, którzy mnie eskortowali, podśmiewali się ze mnie. Mówili, że jestem glücklich, szczęściarz. To był duży pokój z niskim stropem, bardzo jasno oświetlony. Było ich sześciu czy siedmiu. Mieli kamerę. Na środku pokoju stało niskie łóżko. Na nim materac, bez prześcieradła. Na materacu leżała kobieta. Kazali mi ją przelecieć. Była naga, dygotała. Była więźniarką. Szepnęła do mnie: "Uratujesz mi życie, a ja uratuję twoje". I potem to zrobiliśmy. Ale to był tylko początek.

Suza przesunęła ręką po jego udach, znalazła członek. Był sztywny. Teraz zrozumiała. Zaczęła go głaskać, delikatnie, i czekała, co Nat powie dalej. Wiedziała, że powie wszystko.

- Zaczęły się różne warianty tego eksperymentu. Codziennie, przez całe miesiące coś wymyślali. Czasem narkotyki. Stara kobieta. Raz mężczyzna. Różne pozycje: na stojąco, na siedząco, wszystko. Seks oralny, seks analny, masturbacja, seks grupowy. Jeśli nie byłeś posłuszny, baty albo kulka w łeb. Wiesz już, dlaczego nikt nic nie mówi po wojnie? Bo wszyscy ci, którzy przeżyli, są winni.

Głaskała go mocniej. Była pewna, choć nie wiedziała dlaczego, że tak trzeba.

- Powiedz. Wszystko.

Oddychał szybciej. Otworzył oczy i patrzył na biały sufit, widząc inne miejsce w innym czasie.

- W końcu... to najbardziej haniebne ze wszystkiego... Ona była zakonnica. Najpierw myślałem, że kłamią, że tylko ją tak ubrali, ale zaczęła się modlić, po francusku. Nie miała nóg... amputowali jej nogi, żeby zobaczyć, jakie to wywrze na mnie wrażenie... to było straszne i ja... i ja...

Szarpnął się. Suza się pochyliła, wzięła go w usta, a Nat powtarzał: "Nie, nie, nie", w rytm swoich spazmów. A potem było po wszystkim. Dickstein płakał.

Całowała jego łzy, mówiła mu, że już wszystko dobrze, powtarzała to raz za razem. Powoli się uspokajał, wreszcie chyba się zdrzemnął parę minut. Obserwowała jego twarz, z której powoli zniknęło napięcie. Po chwili otworzył oczy i zapytał:

- Dlaczego to zrobiłaś?

- No cóż. - Przedtem nie rozumiała dokładnie dlaczego, ale teraz chyba już tak.
- Mogłabym zrobić ci wykład. Mogłabym ci powiedzieć, że nie ma nic, czego należy się wstydić, że każdy miewa przerażające fantazje, że kobiety śnią, iż są chłostane, a mężczyźni, że je chłoszczą. Że tu w Londynie można kupić pornograficzne książki na temat seksu z kalekami, ilustracje we wszystkich kolorach. Mogłabym ci powiedzieć, że znalazłoby się wielu mężczyzn dość zezwierzęconych na to, żeby brać udział w praktykach z niemieckiego laboratorium. Mogłabym cię przekonywać, ale to by nic

nie zmieniło. Musiałam pokazać. A poza tym... - Uśmiechnęła się smutno. - Poza tym ja też mam swoje sekrety.

Dotknął jej policzka. Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Skąd wzięłaś tę mądrość, dziecko?

- To nie mądrość, to miłość.

Przytulił ją bardzo mocno, całował ją, mówił "kochanie" i po chwili zaczęli się kochać, zwyczajnie, prawie bez słów, bez wyznań, niezdrowych fantazji, dziwacznych pożądań, biorąc i ofiarowując rozkosz jak dobrze dobrana para, jak ludzie, którzy znają się od lat. A potem zasnęli pełni radości i spokoju.

Dawid Rostow nie krył gorzkiego rozczarowania wydrukiem z Euratomu. Lista była bardzo długa. Nie mogliby nawet zlokalizować każdego celu. Zdołają trafić w ten właściwy tylko wtedy, gdy znowu wpadną na trop Dicksteina.

Misja Jasifa Hasana nabrała o wiele większej wagi.

Czekali na telefon od Araba. Po dziesiątej Nik Bunin, który lubił spać, tak jak inni lubią się opalać, położył się. Tyrin czuwał do północy, ale w końcu też dał spokój. Telefon rozdzwonił się około pierwszej. Rostow podskoczył, niemal przestraszony, złapał słuchawkę i zanim się odezwał, odczekał kilka chwil, żeby zebrać myśli.

- Słucham?

Głos Hasana płynął kablami z odległości trzystu mil.

- Zrobione. Był tu. Dwa dni temu.

Rostow zacisnął pięść, tłumiąc podniecenie.

- Jezu, ale fart.

- Co teraz?

Zastanowił się chwilę.

- Teraz on wie, że my wiemy.

- Tak. Mam wracać do bazy?

- Raczej nie. Czy profesor mówił, jak długo facet będzie w Anglii?

- Nie. Zapytałem go wprost. Profesor nie wiedział. Nie powiedział mu.

- To normalne. - Rostow zmarszczył brwi. Chwilę kalkulował. - Pierwsze, co musi zrobić, to zameldować, że jest spalony. To znaczy, nawiązać kontakt ze swoim biurem w Londynie.

- Może już to zrobił.

- Tak, ale może mu zależy na spotkaniu. Zwykle podejmuje środki ostrożności, a to zabiera trochę czasu. Dobra, zostaw to mnie. Będę w Londynie dzisiaj. Gdzie teraz jesteś?

- Jeszcze w Oksfordzie. Przyjechałem prosto z lotniska. Nie mogę wrócić do Londynu wcześniej niż rano.

- W porządku. Zatrzymaj się w Hiltonie. Będę cię łapał w porze obiadowej.

- Dobrze. Á bientôt.

- Czekał.

- Tak jest.

- Nie rób nic na własną rękę. Czekał, aż przyjadę. Dobrze się spisałeś, nie spiernicz tego.

Hasan odwiesił słuchawkę.

Rostow stał przez chwilę bez ruchu. Zastanawiał się, czy Jasif coś kombinuje, czy po prostu się wściekł, bo każe mu się być grzecznym chłopczykiem. Raczej to drugie, zdecydował. Tak czy owak nie powinien nic popsuć przez następnych kilka godzin.

Rostow wrócił pamięcią do Dicksteina. Nie da im drugiej takiej okazji. Trzeba działać szybko i natychmiast. Włożył marynarkę, po czym wyszedł z hotelu, wziął taksówkę i pojechał do ambasady radzieckiej.

Musiał trochę poczekać i wylegitymować się czterem różnym osobom, zanim wpuszczono go w środku nocy. Gdy wszedł do pokoju łączności, dyżurny telefonista stanął na baczność.

- Usiądźcie - powiedział Rostow. - Jest robota. Najpierw jednak połączcie mnie z biurem w Londynie.

Telefonista wziął rozklekotany aparat i zaczął wykręcać numer. Rostow zdjął tymczasem marynarkę i podwinął rękawy.

- Towarzysz pułkownik Dawid Rostow chce mówić z najwyższym rangą oficerem bezpieczeństwa - powiedział telefonista i dał znak Rostowowi, by podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

- Pułkownik Pietrow - odezwał się głos agenta, mężczyzny w średnim wieku.

- Pietrow, potrzebuję pomocy - zaczął Rostow, przystępując od razu do rzeczy. - O ile wiem, agent izraelski, Nat Dickstein, jest w Londynie.

- Tak, otrzymaliśmy jego rysopis pocztą dyplomatyczną, nie doniesiono nam jednak, że się pojawił.

- Posłuchajcie. Myślę, że może się kontaktować ze swoją ambasadą. Chcę, byście zaraz poddali obserwacji wszystkich legalnych przedstawicieli Izraela w Londynie.

- Powieś się, Rostow - zaśmiał się Pietrow. - Przecież to mnóstwo ludzi.

- Nie rńnij durnia. Masz setki ludzi. A Izraelczycy tuzin albo dwa.

- Przepraszam, Rostow, ale nie mogę rozpocząć takiej operacji z powodu waszego widzimisię.

Rostow miał ochotę skoczyć mu do gardła.

- To pilne!

- Dacie mi odpowiednie upoważnienia i jestem do usług.

- Do tego czasu on już będzie gdzie indziej!

- Nie moja wina, towarzyszu.

Rostow z furią cisnął słuchawkę.

- Zakute ruskie łby! Nic nie zrobią bez stosu podkładek. Dawaj Moskwę. Powiedz, żeby znaleźli Feliksa Woroncowa, gdziekolwiek jest, i niech tu dzwoni.

Telefonista zajął się wykonywaniem polecenia. Rostow, zniecierpliwiony, bębnił palcami o biurko. Pietrow to pewnie stary agent, bez żadnych ambicji, myśli tylko o emeryturze. Zbyt wielu takich pracuje w KGB.

Pięć minut później w słuchawce rozległ się zaspany głos szefa Rostowa, Feliksa:

- Słucham, kto mówi?

- Dawid Rostow. Jestem w Luksemburgu. Potrzebuję wsparcia. Myślę, że Pirat będzie próbował skontaktować się z ambasadą izraelską w Londynie, chcę, by obserwowano jej legalnych pracowników.

- Dzwon do Londynu.

- Dzwoniłem. Chcą upoważnienia.

- To wystąp o nie.

- Do diabła, Feliksie, przecież teraz właśnie o nie występuję!

- Nic nie mogę zrobić o tej porze. Zadzwoń rano.

- Jak to? Na pewno możesz... - Nagle Rostow uświadomił sobie, o co chodzi. Z trudem zapanował nad sobą. - W porządku, Feliksie... Zadzwonię rano.

- Do widzenia.

- Feliksie...

- Tak?

- Zapamiętam to sobie.

Linia była już głucha.

- Gdzie teraz? - zapytał telefonista.

- Trzymaj na linii Moskwę - polecił zaszepiony Rostow. - Muszę chwilę pomyśleć. - Powinien był się domyślić, że Feliks mu nie pomoże. Ten stary dureń chce, żeby misja skończyła się niepowodzeniem, przez co mógłby dowieść, że to przede wszystkim on, Feliks, powinien ją nadzorować. Możliwe nawet, że Feliks był w zмовie z Pietrowem i nieoficjalnie zakazał mu współpracy.

Rostow mógł zrobić tylko jedno. Było to bardzo ryzykowne i mogło zakończyć się odsunięciem go od sprawy. Być może tego właśnie spodziewał się Feliks. Nie może jednak narzekać, że gra się toczy o wysoką stawkę, bo sam do tego zmierzał. Zastanowił się przez chwilę, jak precyzyjnie przeprowadzić swój plan. W końcu polecił:

- Powiedz Moskwie, niech mnie połączą z apartamentem Jurija Andropowa, prospekt Kutuzowa 26.

Dyżurny uniósł brwi. Prawdopodobnie po raz pierwszy i ostatni dostał polecenie połączenia się z samym szefem KGB. Nie odezwał się jednak ani słowem. Rostow tymczasem czekał, kręcąc się niespokojnie.

- Mogę iść o zakład, że nie tak się pracuje w CIA - mruknął.

Na znak telefonisty Rostow podniósł słuchawkę.

- Tak? - zapytał ktoś.

Rostow podniósł głos i warknął:

- Wasze nazwisko i stopień!

- Major Piotr Edwardowicz Szczerbicki.

- Tu pułkownik Rostow. Chcę mówić z Andropowem. To sprawa najwyższej wagi, jeśli nie zgłosi się do telefonu w ciągu stu dwudziestu sekund, resztę życia spędzisz na budowie tamy w Bracku. Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest, pułkowniku, proszę się nie rozłączać.

W chwilę później Rostow usłyszał głęboki, pewny siebie głos Jurija Andropowa, jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie.

- Z powodzeniem udało ci się przestraszyć młodego Szczerbickiego, Dawidzie.

- Nie miałem innego wyjścia, towarzyszu.

- W porządku, mów śmiało. Mam nadzieję, że to nic złego.

- Mosad jest zainteresowany uranem.

- Do diabła!

- Pirat jest chyba w Londynie. Może kontaktować się ze swoją ambasadą. Chcę, by trzymano Izraelczyków pod obserwacją, ale stary dureń Pietrow z naszej ambasady robi mi trudności.

- Porozmawiam z nim, zanim wrócę do łóżka.

- Dziękuję, towarzyszu.

- Á propos, Dawidzie.

- Słucham?

- Dobrze, że mnie tym razem obudziłeś, ale na przyszłość uważaj.

Rozległ się charakterystyczny trzask odkładanej słuchawki. Rostow roześmiał się, wreszcie napięcie zaczęło go opuszczać. Choćby Dickstein, Hasan i Feliks stawali na głowie, poradzi sobie z nimi.

- Udało się? - zapytał z uśmiechem telefonista.

- Tak - odparł Rostow. - Nasz system jest nieskuteczny, ociężały i skorumpowany, ale w końcu zdobywamy to, co chcemy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rano niełatwo było Dicksteinowi rozstać się z Suzą i wracać do roboty.

Kiedy o jedenastej siedział przy oknie w restauracji na Fulham Road, czekając, aż pojawi się Pierre Borg, wciąż był... jak by to powiedzieć... oszołomiony. W informacji na Heathrow zostawił dla Borga wiadomość, by zjawił się w kawiarni dokładnie naprzeciwko lokalu, w którym sam się znajdował. Odnosił wrażenie, iż uczucie oszołomienia długo jeszcze go nie opuści, może nawet nigdy.

Obudziwszy się o szóstej rano, doznał chwilowej paniki, nie mając pojęcia, gdzie jest. Potem na poduszce dostrzegł przy swej twarzy długą smagłą rękę Suzy, zwiniętej we śnie w kłębek jak zwierzątko; wówczas to napłynęły wspomnienia nocy i Dickstein z trudem mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Pomyślał, że nie powinien jej budzić, lecz nagle jego dłonie mimowolnie dotknęły ciała dziewczyny. Pod wpływem dotyku dziewczyna otworzyła oczy i zaczęli się radośnie kochać, uśmiechając się do siebie, a chwilami wybuchając głośnym śmiechem; w momencie spełnienia patrzyli sobie w oczy. Potem - półnaczy - wyglupiali się w kuchni, zaparzyli zbyt słabą kawę i przypalili grzanki. Dickstein pragnął zostać tu na zawsze.

Suza z okrzykiem zgrozy podniosła jego podkoszulek.

- Co to?

- Podkoszulek.

- Podkoszulek? Zabraniam ci nosić podkoszulki. Są staroświeckie, niehigieniczne i przeszkadzają w pieszczotach.

Miała tak przewrotną minę, że aż wybuchnął śmiechem.

- Dobra - powiedział. - Nie będę ich nosił.

- O to chodzi. - Otworzyła okno, a kiedy cisnęła podkoszulek na ulicę, Dickstein znów się roześmiał.

- A tobie - oświadczył - nie wolno nosić spodni.

- Niby dlaczego?

Teraz on z kolei posłał jej dwuznaczny uśmiezek.

- Przecież we wszystkich moich spodniach są rozporki.

- Co z tego? - odrzekł. - Nie ma pola manewru.

I tak dalej.

Zachowywali się, jakby właśnie wynaleźli seks. Jedyne smutniejszy moment nastąpił wówczas, gdy spojrzała na jego blizny i zapytała, jak się ich dorobił.

- Mieliliśmy trzy wojny, odkąd przenieśliśmy się do Izraela - odparł. Była to prawda, ale nie cała.

- Dlaczego wyjechałeś do Izraela?

- Ze względu na bezpieczeństwo.

- Ależ tam nie ma mowy o bezpieczeństwie!

- Chodzi o bezpieczeństwo innego rodzaju. - Powiedział to, by ją zbyć, nie chcąc wdawać się w wyjaśnienia, lecz zaraz zmienił zdanie, bo zapragnął, by wiedziała o nim wszystko. - Musi być jakieś miejsce, gdzie nikt nie będzie mógł powiedzieć: "Jesteś inny, nie jesteś człowiekiem, jesteś Żydem", gdzie nikt nie wybije mi okien ani z powodu mojego żydowskiego pochodzenia nie zrobi ze mnie królika doświadczalnego. Bo widzisz... - Wbijiała weń to swoje jasne, szczere spojrzenie i Dickstein usiłował powiedzieć jej całą prawdę, bez jakichkolwiek przemilczeń czy upiększeń. - Bo widzisz, było mi zupełnie obojętne, czy wybierzemy Palestynę, Ugandę czy Manhattan - bylebym mógł powiedzieć: "To jest moje miejsce", a potem walczyć o nie zębami i pazurami. Oto dlaczego nigdy nie próbowałem kwestionować moralnego aspektu działań tych, którzy rządzą Izraelem. Sprawiedliwość i zasada fair play nie mają tu nic do rzeczy. Po wojnie... cóż, twierdzenie, że fair play może odgrywać jakąkolwiek rolę w polityce światowej, wydawało mi się niesmacznym żartem. Nie staram się cię przekonać, że to postawa godna aprobaty, po prostu mówię, jak to wszystko postrzegam. W innych zaś skupiskach Żydów - w Nowym Jorku, Paryżu, Toronto - bez względu na to, jak dobrze im się tam żyje, jak bardzo są zasymilowani, nie wiadomo nigdy, czy taka sytuacja długo jeszcze potrwa ani kiedy nastąpi nowy kryzys, za który ich właśnie obarczy się odpowiedzialnością, bo tak będzie wygodniej. Wiem, że w Izraelu bez względu na to, co nastąpi, nie padnę ofiarą podobnej nagonki. Mając ten problem z głowy, możemy zajmować się tym wszystkim, co stanowi treść ludzkiego życia; a więc siać i zbierać plony, handlować, walczyć i umierać. Chyba dlatego tam wyjechałem... Może wtedy nie widziałem tych spraw równie jasno - w gruncie rzeczy nigdy dotąd nie próbowałem ująć tego w słowa - lecz tak to mniej więcej wyglądało.

Na chwilę zapadła cisza.

- Mój ojciec jest zdania, że dzisiejszy Izrael to państwo rasistowskie - powiedziała.

- Tak samo twierdzi nasza młodzież. Ma rację. Jeśli...

Patrzyła nań z wyczekiwaniem.

- Jeśli mielibyśmy dziecko, nie zostałoby uznane za Żyda. Byłoby obywatelem drugiej kategorii. Nie sędzę jednak, by podobna sytuacja mogła trwać wiecznie. W tej chwili fanatycy religijni mają w rządzie potężne wpływy, to nieuniknione, skoro syjonizm był ruchem religijnym. Ale to minie, gdy społeczeństwo dojrzeje. Już w tej chwili prawa rasowe uznaje się za kontrowersyjne. Walczymy z nimi, i w końcu wygramy.

Podeszła do niego i oparła głowę na jego ramieniu. W milczeniu tulili się do siebie. Wiedział, że nie obchodzi jej polityka wewnętrzna Izraela; Suzę poruszyła wzmianka o dziecku.

Kiedy tak to wszystko rozpamiętywał siedząc w restauracji, zrozumiał, że właśnie Suzy pragnął przez całe swoje życie, i zastanawiał się, co by zrobił, gdyby nie zechciała wyjechać z nim do Izraela. Z czego by zrezygnował, z Izraela czy z Suzy? Nie miał pojęcia.

Obserwował ulicę. Pogoda była typowo czerwcową - panował chłód i nieustannie lało. W powodzi deszczu, rozpryskując kałuże, mknęły raz w jedną, raz w drugą stronę znajome czerwone autobusy i czarne taksówki. Własny kraj, kobieta - kto wie, może będzie miał jedno i drugie. Zasłużył sobie na to.

Przed kawiarnią po przeciwległej stronie ulicy zatrzymała się taksówka; Dickstein, nagle cały napięty, przywarł do szyby i próbował przeniknąć wzrokiem zasłonę deszczu. Rozpoznał masywną sylwetkę Pierre'a Borga, który ubrany w krótki płaszcz i filcowy kapelusz, wysiadł akurat z samochodu. Nieznany mu był natomiast drugi pasażer, który już wysiadł i płacił za kurs. Obaj mężczyźni weszli do kawiarni. Dickstein omiół spojrzeniem ulicę.

Pięćdziesiąt metrów od kawiarni, na podwójnej żółtej linii, zatrzymał się szary jaguar Mark II. Po chwili cofnął się w boczną uliczkę i zaparkował za rogiem. Kierowca wysiadł i skierował się do kawiarni.

Dickstein wstał i pośpieszył do telefonu w hallu. Stąd nadal miał na widoku kawiarnię po drugiej stronie ulicy. Wykręcił jej numer.

- Tak?

- Chciałbym mówić z Billem.

- Z Billem? Nie znam takiego.

- Może jednak zechce pan go poprosić.

- Jasne. Hej, czy któryś z panów ma na imię Bill? - cisza. - Już podchodzi.

Po chwili Dickstein usłyszał głos Borga:

- Tak?

- Kim jest ten drugi?

- Szef placówki londyńskiej. Czy sądzisz, że możemy mu ufać?

Dickstein zignorował sarkazm.

- Któryś z was złapał ogona. Dwóch facetów w szarym jaguarze.

- Widzieliśmy ich.

- To ich zgubcie.

- Oczywiście. Posłuchaj, znasz to miasto... podsuń najlepszy sposób.

- Odeślij szefa placówki taryfą do ambasady. W ten sposób powinieneś pozbyć się jaguara. Odczekaj dziesięć minut, potem pojedź taksówką na... - Dickstein zawahał się, szukając w pamięci niezbyt odległej cichej uliczki - ...na Redcliffe Street. Tam się spotkamy.

- W porządku.

Dickstein spojrział na ulicę.

- Twój ogon właśnie wchodzi do kawiarni. - Odwiesił słuchawkę. Wrócił na swoje miejsce przy oknie i podjął obserwację. Towarzysz Borga wyszedł z kawiarni, otworzył parasol i stojąc na krawężniku, rozglądał się za taksówką. Albo ogon rozpoznał Borga na lotnisku, albo też z jakichś powodów śledził szefa placówki. Nie miało to zresztą znaczenia. Podjechała taksówka. Kiedy ruszyła, z przecznicy wytoczył

się jaguar i podążył jej śladem. Dickstein opuścił restaurację i też złapał taksówkę. Pomyślał, że taksiarze nieźle zarabiają na szpiegach.

Polecił kierowcy wjechać w Redcliffe Street i czekać. Po dziesięciu minutach zjawiała się druga taksówka, z której wysiadł Borg.

- Proszę błysnąć światłami - rzekł Dickstein. - To ten facet, z którym mam się spotkać. - Borg skinieniem głowy potwierdził, że dostrzegł sygnał. Kiedy płacił za kurs, w uliczce zatrzymała się trzecia taksówka. Borg ją zauważył.

Ogon nie wysiadał i czekał na rozwój wydarzeń. Borg dostrzegł go i zaczął się oddalać od swojej taksówki. Na prośbę Dicksteina kierowca nie włączał więcej świateł. Kiedy Borg ich mijal, ogon wysiadł z auta, zapłacił za kurs i ruszył za Borgiem. Ten odczekał, aż odjedzie taksówka ogona, po czym zawrócił, podszedł do wozu Dicksteina i wsiadł do środka.

- Dobra, ruszamy - powiedział Dickstein. Odjechali, a ogon, stojąc na chodniku, gorączkowo rozglądał się za następną taksówką. Ulica należała do mało uczęszczanych, pewnie będzie musiał poczekać pięć albo i dziesięć minut.

- Sprytne - powiedział Borg.

- Banalne - odparł Dickstein.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytał taksówkarz.

- Niech pan będzie spokojny - zapewnił Dickstein - jesteśmy tajnymi agentami.

Taksówkarz zachichotał.

- Dokąd teraz... do MI5?

- Do Muzeum Nauki.

Dickstein rozparł się wygodnie i popatrzył z uśmiechem na Borga.

- No i co tam, do cholery, u ciebie nowego, parszywy staruchu?

- A ty co się tak cieszysz, jakby ci kto w kieszeń narobił? - odburknął zasepiony Borg.

Poza tą wymianą zdań nie odezwali się już do siebie ani słowem.

Dickstein uświadomił sobie nagle, że nie przygotował się należycie do tego spotkania. Powinien zawczasu ustalić, co i w jaki sposób pragnie od Borga uzyskać. Czego naprawdę chce, zastanawiał się w duchu. Odpowiedź, która napłynęła gdzieś z najgłębszych zakamarków mózgu, poraziła Dicksteina jak cios. Chce dać Izraelowi bombę... a potem wracać do domu.

Odwrócił twarz od Borga. Krople deszczu spływały po szybie samochodu niczym łzy. Ucieszył się nagle, że w obecności taksówkarza nie mogą rozmawiać. Na chodniku trzech kompletnie przemoczonych hipisów bez płaszczy rozkoszowało się deszczem, wystawiając pod jego strugi twarze i dłonie. Gdybym zdołał tego dokonać, gdybym zdołał doprowadzić tę misję do końca, mógłbym odpocząć.

Ta myśl sprawiła, że poczuł niewypowiedziane szczęście. Spojrzał na Borga i uśmiechnął się radośnie. Borg odwrócił twarz do okna.

Dojechali do muzeum i weszli do środka. Stanęli przed zrekonstruowanym dinozaurem.

- Myślę o zdjęciu cię z tej roboty - powiedział Borg.

Dickstein przytaknął i usiłując opanować niepokój gorączkowo myślał. Hasan zapewne wysłał meldunki do Kairu, a człowiek Borga w Kairze zdobywa te raporty i przekazuje do Tel-Awiwu.

- Stwierdziłem, że jestem spalony - oznajmił Dickstein.

- Wiem o tym już od kilku tygodni. Ty też byś wiedział, gdybyś utrzymywał stały kontakt.

- Gdybym utrzymywał stały kontakt, wpadałbym znacznie częściej. - Borg mruknął coś i ruszył przed siebie. Wyjął cygaro, kiedy jednak Dickstein ostrzegł go, że tu nie wolno palić, schował je z powrotem.

- Wpadka nie ma najmniejszego znaczenia - stwierdził Dickstein. - Zaliczyłem to ładnych parę razy. Ważne tylko, ile wiedzą.

- Zostałeś wystawiony przez Hasana, który znał cię z dawnych czasów. Teraz pracuje dla Rosjan.

- Ale co oni wiedzą?

- Że byłeś w Luksemburgu i we Francji.

- To niewiele.

- Zgadza się, że niewiele. Ja też wiem, że byłeś w Luksemburgu i we Francji, a nie mam pojęcia, co tam robiłeś.

- Więc mnie zostawisz - powiedział Dickstein, patrząc twardo na Borga.

- To zależy. Co tam robiłeś?

- Cóż. - Dickstein wciąż wpatrywał się uparcie w Borga, który zaczynał czuć się nieswojo; nie mogąc palić, nie wiedział, co z rękoma. Jasne światła gablotek podkreślały bezlitośnie jego niezdrową cerę - miał ponurą twarz, przywodzącą na myśl zwirowany parking. Dickstein musiał bardzo uważać, żeby nie powiedzieć za dużo; dość, żeby stworzyć wrażenie, iż osiągnął już bardzo wiele, nie tyle jednak, aby Borg uznał, że realizację planu Dicksteina może powierzyć komuś innemu... - Namierzyłem ładunek uranu, który moglibyśmy zwinąć - zaczął. - W listopadzie zostanie przewieziony statkiem z Antwerpii do Genui. Zamierzam porwać ten statek.

- O cholera! - Śmiałość pomysłu zdawała się wprawiać Borga zarazem w zachwyt jak i w przerażenie. - Jak, do diabła, zamierzasz utrzymać to w tajemnicy?

- Pracuję nad tym. - Dickstein postanowił rzucić Borgowi jeszcze jeden apetyczny kąsek. - Muszę wpaść do londyńskiego biura Lloyd'a. Spróbuję sprawdzić, czy zbudowano jeszcze jeden taki sam statek, mówiono mi, że statki buduje się seriami, po kilka. Jeśli zdołam kupić identyczny, będę mógł go zamienić gdzieś na środku Morza Śródziemnego.

Borg dwukrotnie przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonej czuprynie, po czym szarpnął się za ucho.

- Nie rozumiem, jak...

- Szczegóły muszę jeszcze dopracować, ale jestem pewien, że to jedyny sposób przeprowadzenia operacji w tajemnicy.

- No to bierz się do roboty i dopracuj szczegóły.

- Ale przecież chcesz mnie zdjąć.

- Taa... - Borg niezdecydowanie pokręcił głową. - Jeśli zastąpię cię doświadczonym pracownikiem, mogą go również wysledzić.

- Natomiast ktoś nie znany nie będzie miał doświadczenia.

- A poza tym naprawdę nie jestem pewien, czy ktokolwiek prócz ciebie, doświadczony czy nie, może wykreślić taki numer. No i jest jeszcze coś, o czym nie wiesz.

Zatrzymali się przed modelem reaktora atomowego.

- Dostaliśmy meldunek z Kattary. Pomagają im teraz Rosjanie. Musimy się śpieszyć, Dickstein. Nie mogę pozwolić sobie na zwłokę, a każda zmiana planu ją powoduje.

- Czy urządza cię koniec listopada?

- Ledwo, ledwo - odparł po namyśle Borg. Zdawało się, że już podjął decyzję. - No, dobra, zostajesz. Będziesz musiał rozpocząć działania dezorientujące.

Dickstein uśmiechnął się szeroko i poklepał Borga po plecach.

- Dobry z ciebie kumpel, Pierre. Nie truj się już, wykołuję ich na sto dwa.

- Właściwie co się z tobą dzieje? - zapytał zaskoczony nagle Borg. - Bez przerwy się uśmiechasz.

- Cieszę się z naszego spotkania. Twoja twarz upaja jak szampan, a twoja pogoda ducha jest po prostu zaraźliwa. Kiedy się śmiejesz, Pierre, śmieje się wraz z tobą cały świat.

- Odbiło ci, kutasie.

Pierre Borg był wulgarny, gruboskórny, złośliwy i nudny, nie był jednak głupi. Może to skurwysyn - mawiano o nim - ale mądry skurwysyn.

Kiedy się rozstawali, Borg miał już całkowitą pewność, że w życiu Nata Dicksteina nastąpiła jakaś ważna zmiana. Rozmyślał o tym, wracając pieszo do ambasady izraelskiej przy Palace Green 2 przy Kensington. W ciągu dwudziestu lat,

które upłynęły od ich pierwszego spotkania, Dickstein prawie się nie zmieniał. Rzadko ujawniał swą prawdziwą siłę; zawsze cichy i milczący, wyglądał jak wylany z pracy urzędnik bankowy i na ogół - z wyjątkiem nieczęstych przebłysków nader cynicznego poczucia humoru - był rozgoryczony. Aż do dziś.

Zrazu był taki jak zawsze - niemal obraźliwie lakoniczny. Pod koniec jednak rozpyskował się niczym londyński łobuziak z hollywoodzkiego filmu.

Borg musi się dowiedzieć dlaczego.

Jeśli chodzi o swoich agentów, skłonny był tolerować wiele. Skoro tylko byli naprawdę kompetentni, mogli sobie pozwolić na neurotyczne, agresywne wyskoki, sadyzm lub niesubordynację - musiał jedynie o tym wiedzieć. Potrafił przymknąć oko na ich słabości, nie mógł jednak pozwolić, by w grę wchodziły czynniki nie znane. Dopóki nie pozna przyczyn zmiany w zachowaniu Dicksteina, nie będzie pewien, do jakiego stopnia ma na niego wpływ. Ot i wszystko. Bo w zasadzie nie był przeciwny przepływom dobrego samopoczucia u swoich agentów.

Widział już gmach ambasady. Postanowił poddać Dicksteina obserwacji, do czego będą potrzebne dwa wozy i trzy zespoły agentów, zmieniających się co osiem godzin. Szef londyńskiej placówki zacznie oczywiście zrędzić. Do diabła z nim!

Konieczność ustalenia przyczyn zmiany nastroju Dicksteina była zaledwie pierwszym z powodów, dla których Borg uznał, że go nie wycofa. Drugi miał większą wagę. Dickstein opracował plan jedynie częściowo i może okazać się, że ktoś inny nie zdoła doprowadzić go do końca. Będzie mógł jednak przejąć pałeczkę, skoro tylko Dickstein dopracuje szczegóły. Borg postanowił go zdjąć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Dickstein będzie wściekły, uzna, że został wyrolowany. Nie szkodzi, do diabła z Dicksteinem.

Major Piotr Aleksiejewicz Tyrin nie przepadał w gruncie rzeczy za Rostowem. Nie lubił żadnego ze swych przełożonych; jego zdaniem, tylko gnida mogła w KGB awansować powyżej majora. Mimo to żywił dla swego inteligentnego i życzliwego szefa rodzaj sympatii przemieszanej z podziwem. Tyrin odznaczał się sporymi umiejętnościami, szczególnie w dziedzinie elektroniki, nie potrafił jednak kierować

ludźmi. Stopień majora zawdzięczał tylko przynależności do odnoszącej niebywałe sukcesy grupy Rostowa.

- Abba Allon. Wylot High Street. Pięćdziesiąt dwa czy dziewiątka? Gdzie jesteś, pięćdziesiąt dwa?

- Tu pięćdziesiąt dwa. Jesteśmy w pobliżu. Przejmujemy go. Jak wygląda?

- Płaszcz przeciwdeszczowy z plastiku, zielony kapelusz, wąsy.

Na przyjaciela Rostow nie bardzo się nadawał, trudno było sobie jednak wyobrazić gorszego przeciwnika. Przekonał się o tym pułkownik Pietrow z Londynu. Usiłował przystopować Rostowa, aż tu ku swemu olbrzymiemu zaskoczeniu w środku nocy odebrał telefon od samego przewodniczącego KGB, Jurija Andropowa. Według ludzi z ambasady, wyglądał po tej rozmowie jak upiór. Odtąd Rostow robił, co chciał: kiedy kichnął, pięciu agentów gnało co sił w nogach po chusteczki higieniczne.

- Dobra, to Ruth Davisson, idzie... w kierunku północnym.

- Tu dziewiętnastka, możemy ją przejąć...

- Spokojnie, dziewiętnastka. Falszywy alarm. To tylko podobna do niej sekretarka.

Rostow zaanektował wszystkich najlepszych wywiadowców Pietrowa, prawdziwych artystów w swoim fachu, i większość jego samochodów. Teren wokół ambasady izraelskiej w Londynie zaroił się od agentów - ktoś nawet powiedział, że więcej tu czerwonych, niż w klinice na Kremlu - niełatwo ich było jednak zidentyfikować. Używali samochodów osobowych, furgonetek, taksówek, ciężarówek, a jeden z pojazdów przypominał do złudzenia nie oznakowany autobus stołecznej policji. Inni kryli się w budynkach publicznych, a jeszcze inni przemierzali piechotą ulice i alejki parku. Jeden zapędził się nawet do ambasady, gdzie w koszarnej, łamanej angielszczyźnie dopytywał się o warunki emigracji do Izraela.

Położenie ambasady idealnie sprzyjało podobnym akcjom. Budynek stał w małym dyplomatycznym getcie na skraju Kensington Gardens. Tak wiele pięknych starych domów należało tu do przedstawicielstw zagranicznych, że cały teren znany był jako Zaulek Ambasad. Nie opodal, w Kensington Palace Gardens, miała także

swoją siedzibę ambasada radziecka. Kilka ulic tworzyło obszar zamknięty i wszyscy przybysze z zewnątrz musieli opowiadać się policjantowi.

- Dziewiętnastka, tym razem to Ruth Davisson... słyszysz, dziewiętnastka?

- Tu dziewiętnastka, słyszę.

- Jesteście wciąż od strony północnej?

- Tak. I wiemy, jak wygląda Davisson.

W gruncie rzeczy tylko jeden człowiek z całej ekipy widział drzwi ambasady Izraela - był nim Rostow, który siedząc na dwudziestym piętrze hotelu, z odległości pół mili prowadził obserwację przez zamontowaną na trójnogu potężną zeissowską lornetę. Dobry widok na Zaulek Ambasad miało się z kilku wysokich budynków w West Endzie, jednak za wynajęcie pewnych apartamentów w niektórych hotelach żądano nieprzyzwoicie wysokich cen, jako że - wedle pogłosek - można z nich było zajrzeć na dziedziniec sąsiadującego z Zaułkiem pałacu, który zamieszkiwała księżniczka Małgorzata i któremu zawdzięczały nazwę Kensington Palace Gardens i Palace Green.

W jednym z takich apartamentów zainstalował się Rostow, wyposażony nie tylko w lornetę, lecz również w radiostację. Każda z jego lotnych brygad dysponowała walkie-talkie. Rostow porozumiewał się ze swoimi ludźmi po rosyjsku, mówił bardzo szybko i używał wielu mylących zakodowanych haseł, częstotliwość zaś, na której nadawał i odbierał, zmieniała się co pięć minut, zgodnie z programem komputerowym wbudowanym w każde z urządzeń. Mój system - pomyślał Tyrin, będący jego twórcą - działa doskonale, wyjąwszy fakt, iż raz w czasie całego cyklu wszyscy odbierali przez pięć minut pierwszy program BBC.

- Ósemka, przenieś się na stronę północną.

- Zrozumiałem.

Gdyby Izraelczycy rezydowali w Belgravii, dzielnicy bardziej zasiedziały ambasad, zadanie Rostowa byłoby trudniejsze. Brakowało tam sklepów, kawiarni i budynków publicznych, w których mogliby zniknąć agenci; ponieważ zaś cały kwartał był spokojny, zamożny i naszpikowany ambasadorami, policja zwracała szczególną uwagę na wszelkie podejrzanе działania. Każda ze standardowych sztuczek

wywiadowczych - furgonetka monterów telefonicznych, ekipa drogowa z pasiastym namiotem - w ciągu kilku minut ściągnęłyby całą gromadę bobbies. Tu sprawy miały się zupełnie inaczej: małą oazę Zaułka Ambasad otaczał Kensington, wielka dzielnica handlowa z czterema muzeami i mnóstwem rozmaitych uczelni.

Tyrin siedział w pubie przy Kensington Church Street. Dowiedział się od rezydujących w Londynie funkcjonariuszy KGB, że bywalcami tego lokalu są detektywi z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, pod którą to eufemistyczną nazwą kryje się po prostu policja polityczna. I prawdopodobnie jej właśnie funkcjonariuszami byli popijający szkocką przy barze czterej dość młodzi ludzie w eleganckich garniturach. Nie znali Tyrina, gdyby jednak nawet tak było, nie okazaliby mu większego zainteresowania. W gruncie rzeczy, jeśli by podszedł teraz do nich i oznajmił: "A tak przy okazji, KGB śledzi w tej chwili każdego Izraelczyka, który przebywa służbowo w Londynie", odparliby zapewne: "Co? Znowu?", i zamówili następną kolejkę.

Tyrin był zresztą świadom, że nie należy do ludzi zwracających na siebie uwagę. Niski i okrągławy, miał wielki nos i pokrytą popękanymi żyłkami twarz pijaka. Ubrany był w szary prochowiec i zielony sweter. Deszcz sprawił, że na jego czarnych flanelowych spodniach nie zachował się nawet ślad kantów. Siedział w kącie nad kuflem piwa i torebką frytek. Ukryty w kieszonce koszuli nadajnik, połączony cieniutkim przewodem cielistego koloru z mikrofonem w lewym uchu, wyglądał jak aparat słuchowy. Tyrin siedział lewym bokiem do ściany. Kontaktował się z Rostowem w ten sposób, że udając, iż szuka czegoś w wewnętrznej kieszeni płaszcza, odwracał twarz od sali i szeptał do dziurkowanego krążka w górnej części nadajnika.

Kiedy obserwował pijących whisky detektywów, przyszło mu na myśl, że Wydział Specjalny przeznaczą dla swych ludzi znacznie większe sumy na wydatki niż jego rosyjski odpowiednik: Tyrinowi zezwalano na zamówienie zaledwie jednego dużego piwa na godzinę, za frytki natomiast płacił z własnej kieszeni. W swoim czasie działającym w Anglii agentom wolno było zamawiać tylko małe piwo, dopóki nie zdołano przekonać facetów z księgowości, że w wielu pubach gość popijający beczkowe piwo szklaneczkami jest taką samą osobliwością, jak Rosjanin, który sący gorzałkę łyk po łyku, zamiast opróżnić stakan jednym haustem.

- Trzynastka, przyjmijcie zielone volvo, dwóch mężczyzn, High Street.

- Zrozumiano.

- I jednego pieszego... To chyba Jigael Meier... Dwudziestka?

Dwudziestką był Tyrin. Przywarł niemal twarzą do ramienia i powiedział:

- Tak. Opiszcie go.

- Wysoki, siwy, ma parasol, w płaszczu z paskiem, brama od High Street.

- Ruszam - oznajmił Tyrin. Dopił piwo i wyszedł z pubu. Łało. Z kieszeni płaszcza Tyrin wyjął składany parasol, po czym go otworzył. Na mokrych chodnikach tłoczno było od ludzi robiących zakupy. Pod światłami wypatrzył zielone volvo i, trzy samochody za nim, trzynastkę w austinie.

- Jeszcze jeden wóz. Piątka, ten jest twój. Granatowy volkswagen garbus.

- Przyjąłem.

Tyrin dotarł do Palace Gate, omiótł spojrzeniem Palace Avenue, a gdy dostrzegł odpowiadającego opisowi mężczyznę, który szedł w jego stronę, pomaszerował bez zatrzymywania się dalej. Kiedy ocenił, że tamten zdążył dotrzeć do ulicy, przystanął na krawężniku, jakby miał zamiar przejść na drugą stronę, po czym rozejrzał się na boki. Cel wyłonił się z Palace Avenue i, oddalając się od Tyrina, ruszył na zachód. Tyrin ruszył za nim.

Na High Street śledzenie ułatwiały tłumy. Potem skręcili na południe, w labirynt bocznych uliczek, i Tyrin zaczął się trochę denerwować; Izraelczyk jednak zdawał się nie brać pod uwagę faktu, że może być śledzony. Jego wysoka, przygarbiona pod parasolem sylwetka parła po prostu szybko naprzód - byle dotrzeć na miejsce.

Nie musiał iść daleko. Wszedł do nowoczesnego hoteliku parę kroków od Cromwell Road. Tyrin mijając wejście zerknął przez szklane drzwi i dostrzegł, że śledzony wchodzi do budki telefonicznej w hallu. Uszedłszy jeszcze kilka metrów, Tyrin minął zielone volvo i doszedł do wniosku, że jego cel i faceci w VOLVO obstawiają hotel.

Przeciął ulicę i na wypadek, gdyby cel wyszedł niespodziewanie, ruszył drugą stroną w przeciwnym kierunku. Wypatrywał zielonego garbusa i mimo że go nie dostrzegł, pewien był, iż jest gdzieś w pobliżu.

- Tu dwudziestka - odezwał się do mikrofonu w kieszeni koszuli. - Meier i zielone volvo obstawiają hotel "Jacobean".

- Potwierdzam, dwudziestka. Piątka i trzynastka obserwują ich wozy. Gdzie Meier?

- W hallu. - Rozejrzawszy się Tyrin zauważył austina, który śledził zielone volvo.

- Zostań z nim.

- Zrozumiano. - Tyrin musiał teraz podjąć trudną decyzję. Jeżeli wejdzie do hotelu głównym wejściem, Meier może go zauważyć, jeśli natomiast zacznie szukać drzwi od zaplecza, obiekt zdoła tymczasem wyjść.

Zdecydował się zaryzykować i wejść od tyłu, zakładając, że dysponuje wsparciem w postaci dwóch samochodów, które w najgorszym razie przez chwilę go zastąpią. Wzdłuż bocznej ściany hotelu biegła wąska alejka dla samochodów dostawczych. Tyrin poszedł nią i na końcu znalazł nie zaryglowane drzwi, prowadzące na schody przeciwpożarowe: wsunął się do środka i stwierdził, że stoi na betonowych stopniach. Kiedy znalazł się na górze, zamknął parasol i wsunął go do kieszeni płaszcza. Płaszcz zdjął i, złożony w kostkę, położył na półpiętrze, skąd mógł go szybko zabrać, gdyby został zmuszony do nagłego odwrotu. Na pierwszym piętrze wsiadł do windy i zjechał do hallu. W samym swetrze i spodniach wyglądał jak jeden z gości hotelowych.

Izraelczyk wciąż tkwił w budce telefonicznej.

Tyrin podszedł do przeszklonych drzwi i wyjrzał na zewnątrz, po czym zerknął na zegarek i zajął miejsce w hallu - sprawiał wrażenie, jakby na kogoś czekał. Nic nie wskazywało na to, że dopisze mu dzisiaj szczęście. Celem całej akcji było odnalezienie Nata Dicksteina. Wiedziano, że przebywa w Anglii, i żywiono nadzieję, że spotka się z którymś z rezydentów. Rosjanie śledzili ich zatem po to, by w chwili spotkania pochwyć trop Dicksteina. Izraelczykom z hotelu i jego okolic najwyraźniej jednak nie chodziło o spotkanie. Obstawiali kogoś z oczywistym zamiarem ruszenia jego śladem, gdy tylko ów ktoś - a mało prawdopodobne, by był nim ich własny agent - się pojawi. Tyrin mógł tylko mieć nadzieję, że to, co naprawdę robią, okaże się przynajmniej interesujące.

Zauważył, że jego obiekt wychodzi z budki telefonicznej i zmierza w stronę baru. Zastanawiał się, czy można stamtąd obserwować hall. Okazało się, że nie, bo kilka minut później obiekt wrócił ze szklanką w dłoni i usiadłszy naprzeciwko zagłębił się w gazecie.

Nie zdążył wypić piwa.

Drzwi windy otworzyły się z sykiem i w hallu stanął Nat Dickstein.

Tyrin był tak zaskoczony, że popełnił błąd i przez kilka sekund wbijał weń tępe spojrzenie. Dickstein to dostrzegł i grzecznie skinął głową. Tyrin uśmiechnął się blado i spojrzał na zegarek. Miał nadzieję, choć w gruncie rzeczy wcale w to nie wierzył, że Dickstein może poczytać jego fatalną wpadkę za dowód, iż wcale nie jest agentem.

Nie było jednak czasu na dłuższe refleksje. Dickstein szybko, sprężystym krokiem podszedł do lady recepcji, rzucił klucz i wymaszerował na ulicę. Meier odłożył gazetę i ruszył jego śladem. Gdy szklane drzwi zamknęły się za plecami ogona, Tyrin również podniósł się z miejsca. Jestem agentem śledzącym agenta, który też śledzi agenta, pomyślał. Cóż, przynajmniej zapewniamy sobie nawzajem robotę.

Wsiadł do windy i wcisnął guzik pierwszego piętra.

- Tu dwudziestka - rzucił do mikrofonu - mam Pirata.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi - fale radiowe nie przenikały przez ściany budynku. Wyskoczył z windy i zbiegł schodami pożarowymi, chwytając po drodze płaszcz z półpiętra. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, znowu spróbował nawiązać łączność.

- Tu dwudziestka. Mam Pirata.

- W porządku, dwudziestka. Trzynastka też go ma. Tyrin spostrzegł, że obiekt przecina Cromwell Road.

- Idę za Meierem - powiedział do mikrofonu.

- Uwaga, piątka i dwudziestka. Przerwać działanie. Zrozumieliście?... Piątka?

- Tak jest.

- Dwudziestka?

- Zrozumiałem - potwierdził Tyrin, po czym przystanął na rogu, patrząc jak Dickstein i Meier oddalają się w stronę Chelsea i giną mu z oczu.

- Dwudziestka, wracaj do hotelu. Dowiedz się, jaki ma numer pokoju. Weź pokój gdzieś obok. Później porozum się ze mną telefonicznie.

- Zrozumiałem. - Tyrin zawrócił, powtarzając w myślach swoją śpiewkę: "Przepraszam, ten facet, który przed chwilą wyszedł, no, taki niski, w okularach... chyba go skądś znam, wsiadł do taksówki, zanim zdążyłem go dogonić... ma na imię John, ale wołaliśmy na niego Jack, który pokój?..." W końcu okazało się to wszystko niepotrzebne. Klucz Dicksteina wciąż leżał na ladzie. Tyrin zapamiętał numer.

Zbliżył się recepcjonista.

- Czym mogę służyć?

- Poproszę o pokój - odrzekł Tyrin.

Pocałował ją i czuł się przy tym jak człowiek, którego przez cały dzień dręczyło pragnienie. Smakował aromat jej skóry i lekkie drgnienia warg. Dotknął jej twarzy i powiedział:

- Tego właśnie mi potrzeba.

Patrzyli sobie w oczy i zobaczyli wszystko to, co było prawdziwe między nimi. Mogę zrobić, co tylko zechcę, pomyślał - i ta myśl wciąż na nowo przebiegała przez jego duszę niby magiczne zaklęcie. Pożądliwie dotknął jej ciała. Stali twarzą w twarz w niebiesko-żółtej kuchence, patrzyli na siebie, a on delikatnie muskał jego najtajniejsze zakątki. Rozchyliła usta i poczuł na twarzy jej przyspieszony, gorący oddech; głęboko wciągnął go w płuca, jak gdyby pragnął się napić powietrza, którym oddycha ona. Nie tylko ja, ale każde z nas może zrobić wszystko, co zechce, pomyślał - ona zaś, jak gdyby czytając w jego myślach, rozpięła mu na piersiach koszulę, pochyliła głowę i chwyciwszy w zęby jedną z sutek, zaczęła ssać. Głęboko odetchnął, czując nagłą, zdumiewającą rozkosz. Delikatnie ujął w dłonie jej głowę, i aby zwiększyć siłę doznania, poruszał nią z lekka w przód i w tył. Wszystko, co zechcę, pomyślał. Potem podciągnął jej spódnicę i sycił oczy widokiem białych majteczek, opinających biodra i kontrastujących ze smagłą skórą długich nóg. Prawą dłonią głaskał twarz Suzy, ścisnął

jej ramię, ważył piersi; lewa ręka powędrowała w górę biodra, wsunęła się pod majtki i między uda; i to wszystko było tak cudowne, tak wspaniałe, że żałował, iż nie ma czterech, co tam! - sześciu dłoni, aby jej nimi dotykać. Potem nagle zapragnął zobaczyć jej twarz, ujął więc Suzę za ramiona i wyprostował, mówiąc, że chce na nią patrzeć.

Do jej oczu napłynęły łzy, wiedział, że nie jest to oznaka smutku, lecz najwyższej rozkoszy. Znów patrzyli sobie w oczy i tym razem zamiast prawdy ujrzeli dziką namiętność, która zalewała ich jak rzeka, jak powódź. Potem ukląkł u jej stóp niczym suplikant. Najpierw przywarł twarzą do ud, czując przez materiał żar jej ciała. Później oburącz sięgnął pod spódnicę, odnalazł gumkę rajstop i zsunął je powoli, przytrzymując czubki pantofli, aby mogła je zdjąć. Podniósł się z klęczek. Wciąż stali w tym samym miejscu, w którym pocałował ją zaraz po wejściu. I na stojąco zaczęli się kochać. Obserwował jej twarz: oczy patrzyły spokojnie spod półprzymkniętych powiek. Chciał to robić powoli i długo, jego ciało okazało się jednak niecierpliwe.

Wchodził w nią coraz mocniej i szybciej. Poczul, że traci równowagę, otoczył więc Suzę ramionami, dźwignął o cal z podłogi i nie wychodząc z niej postąpił dwa kroki do przodu, aż dotknęła plecami ściany. Nagłym szarpnięciem wyciągnęła mu koszulę zza paska i wbiła palce w twarde mięśnie pleców. Splótł dłonie pod jej pośladkami i uniósł Suzę w powietrzu, ona zaś otoczyła nogami jego biodra i skrzyżowała mu stopy na plecach, dzięki czemu, co wydawało się niewiarygodne, zdołał w nią wejść jeszcze głębiej. Czuł się jak nakręcany mechanizm zegarowy i wszystko, co robiła Suza - nawet wyraz jej twarzy - naciągało sprężynę jeszcze mocniej. Widział ją przez mgielkę żądz. W jej oczach pojawiło się coś na kształt paniki, zwierzęcego lęku, i to dopełniło miary. Poczul, że bliski jest spełnienia, że ta cudowna chwila zaraz nastąpi; chciał podzielić się tym z Suzą, więc wyszeptał: - Suza, już. - Ja też - odparła i wbiła mu paznokcie głęboko w plecy, po czym przejechała nimi gwałtownie w dół; miał wrażenie, jakby przez jego ciało przebiegł prąd i zaraz nastąpiła gwałtowna eksplozja. Ekspłodowała też Suza - zobaczył, że otwiera usta, szeroko, coraz szerzej, wciąga w nie powietrze, a kiedy wspólnym spazmem rozkoszy sięgnął szczytu - wydała z siebie krzyk.

- My śledzimy Izraelczyków, a Izraelczycy śledzą Dicksteina; wystarczy więc, że Dickstein zacznie śledzić nas, a będziemy mogli kręcić się w kółko przez cały dzień -

powiedział Rostow. Szedł korytarzem hotelowym, mając u boku Tyrina, który przebierał szybko pulchnymi nóżkami, żeby nie zostać w tyle.

- Zastanawiałem się, jaka konkretnie myśl wam przyświecała, kiedyście kazali zaniechać śledzenia Dicksteina? - zapytał Tyrin.

- To przecież oczywiste - stwierdził z irytacją Rostow; zaraz jednak przypomniał sobie, że lojalność Tyrina jest czymś bardzo cennym i postanowił wyjaśnić sprawę. - W ciągu ostatnich kilku tygodni Dickstein był pod intensywną obserwacją. Za każdym razem dostrzegał naszą obecność i za każdym razem nas gubił. Otóż, zainteresowanie facetem, który siedzi w branży tak długo jak Dickstein, jest nieuniknione. W sytuacji jednak, kiedy taki facet wykonuje konkretne zadanie, może się zdarzyć, że przekaze robotę komuś innemu, jeśli wyczuje, że jest śledzony, a my nie będziemy wiedzieli komu. Zbyt często informacja uzyskana metodą śledzenia przeciwnika traci wagę, gdy przeciwnik połapie się, że jest śledzony, i wyciągnie stąd wniosek, że zdobyliśmy daną informację. A w ten sposób - to znaczy rezygnując ze śledzenia, jak dzisiaj - wiemy, gdzie jest, choć on nie wie, że o tym wiemy.

- Rozumiem - odparł Tyrin.

- Wyczai tych Izraelczyków błyskawicznie - dodał Rostow.

- Musi być teraz superczujny.

- Jak sądzicie, dlaczego śledzą jednego ze swoich?

- Naprawdę nie rozumiem - zastanawiał się głośno Rostow. - Jestem pewien, że dziś rano Dickstein spotkał się z Borgiem... co wyjaśniałoby, dlaczego Borg zgubił ogona dzięki temu numerowi z taksówkami. Możliwe, że Borg zdjął Dicksteina z roboty i teraz po prostu sprawdza, czy Dickstein naprawdę się wycofał i nie próbuje jej ciągnąć dalej. - Zniechęcony pokręcił głową. - To mnie jednak nie przekonuje. Istnieje jeszcze taka możliwość, że Borg stracił do Dicksteina zaufanie, ale to również uważam za mało prawdopodobne. Teraz ostrożnie.

Byli przy drzwiach pokoju Dicksteina. Tyrin wyjął małą, silną latarkę i oświetlił framugę drzwi.

- Żadnych sztuczek - powiedział.

Rostow skinął głową i czekał. To była domena Tyrina. Pucowałowy niski agent był, zdaniem Rostowa, najlepszym specjalistą z wydziału technicznego KGB. Patrzył, jak Tyrin wyjmuje z kieszeni wytrych, jeden z ogromnej kolekcji, jaką dysponował. Wypróbował kilka sztuk na drzwiach własnego pokoju, Tyrin ustalił, jaki typ pasuje do zamków zainstalowanych w hotelu "Jacobean". Powoli otworzył drzwi Dicksteina i nie wchodząc zajrzał do środka.

- Nie ma pułapek - oznajmił po chwili.

Wszedł do pokoju, a Rostow za nim, zamykając za sobą drzwi. Ta część gry nie sprawiała Rostowowi najmniejszej przyjemności. Lubił obserwować, spekulować, planować: włamania nie były w jego stylu. Czuł się narażony na niebezpieczeństwo i bezradny. Gdyby pojawiła się w tej chwili pokojówka, kierownik hotelu albo nawet sam Dickstein, któremu jakimś cudem udałoby się ominąć agenta postawionego w hallu na świecy... byłoby to tak żenujące, tak poniżające.

- Załatwmy to szybko - polecił.

Ujrzeni typowe wnętrze hotelowego numeru: drzwi otwierały się na maleńki korytarz z łazienką po jednej stronie i szafą po drugiej. Dalej był kwadratowy pokój: pod jedną ścianą stało pojedyncze łóżko, pod drugą - telewizor. W ścianie szczytowej, naprzeciwko drzwi, znajdowało się duże okno.

Kiedy Tyrin zajął się rozkręcaniem słuchawki telefonu, Rostow, stojąc w nogach łóżka, rozglądał się dokoła i próbował wyrobić sobie zdanie o człowieku, który tu mieszka. Nie bardzo miał się na czym oprzeć. Pokój wysprzątało, łóżko zaścielono. Na nocnym stoliku leżała książka na temat problemów szachowych i popołudniowa gazeta. Ani śladu tytoniu czy alkoholu. Kosz na śmieci ział pustką. Stojąca na stelażu mała plastikowa walizka zawierała czystą bieliznę i jedną czystą koszulę.

- Facet podróżuje z jedną koszulą na zmianę! - mruknął Rostow. Szuflady szafy były puste. Rostow zajrzał do łazienki. Znalazł szczoteczkę do zębów, elektryczną maszynkę do golenia z wymiennymi wtyczkami do różnych kontaktów i jedyny akcent indywidualny - pudełeczko tabletek na niestrawność.

Wrócił do pokoju, gdzie Tyrin składał aparat telefoniczny.

- Zrobione.

- Daj jedną za oparcie łóżka - polecił Rostow.

Tyrin przyklejał pluskwę do ściany, kiedy zadzwonił telefon. Gdyby pojawił się Dickstein, agent w hallu miał wykręcić numer jego pokoju i po dwóch sygnałach odłożyć słuchawkę.

Telefon odezwał się po raz drugi. Rostow i Tyrin wyczekiwali w milczeniu. Zadzwonił ponownie. Rozluźnili się. Po siódmym sygnale zamilkł.

- Szkoda, że nie ma samochodu, w którym moglibyśmy założyć podsłuch - odezwał się Rostow.

- Mam guzik od koszuli.

- Co?

- Pluskwa, która wygląda jak guzik od koszuli.

- Nie wiedziałem, że istnieją takie rzeczy.

- To najnowszy bajer.

- Masz igłę? Nici?

- Oczywiście.

- No to do roboty.

Tyrin podszedł do walizki Dicksteina i nie wyjmując koszuli oderwał drugi guzik od góry, a potem starannie usunął strzępki nitki. Kilkoma zręcznymi ruchami przyszył nowy guzik. Tłuste łapska okazały zdumiewająco zręczne.

Rostow przypatrywał się temu, choć myślami błądził gdzie indziej. Rozpaczliwie pragnął uczynić coś więcej, aby zyskać pewność, że wiedział, co zrobi i powie Dickstein. Może się zdarzyć, że Izraelczyk znajdzie pluskwy w telefonie i za łóżkiem, albo ani razu nie włoży koszuli. Rostow lubił działać na pewniaka, Dickstein zaś wydawał się śliski jak piskorz, co doprowadzało go do szału - na tego gościa po prostu nie było haka. Żywił nieśmiałą nadzieję, że znajdzie w pokoju zdjęcie kogoś, kogo Dickstein kocha.

- No. - Tyrin zademonstrował mu swoje dzieło. Biała nylonowa koszula miała najpospolitsze w świecie guziki i nowy byt dokładnie taki sam, jak pozostałe.

- Doskonale - pochwalił Rostow. - Zamknij walizkę.

Tyrin wykonał polecenie.

- Coś jeszcze?

- Rozejrzyjmy się jeszcze raz. Trudno mi uwierzyć, że Dickstein wyszedł, nie podejmując żadnych środków ostrożności.

Ponownie przeszukali pokój, działali szybko, w milczeniu, opanowanymi do perfekcji, oszczędnymi ruchami, które nie zdradzały niecierpliwości, jaką obaj czuli. Istniały całe tuziny instalowania pułapek. Do najprostszych należał włos, lekko wetknięty w szczelinę drzwi, mógł to być też skrawek papieru, dociśnięty szufladą komody, który wypadł przy wysunięciu szuflady, kostka cukru pod wykładziną rozginiętą bezgłośnie stąpieniem intruza czy też drobna moneta pod wyściółką walizki, przemieszczająca się, gdy ktoś otwierał wieko...

Niczego nie znaleźli.

- Wszyscy Izraelczycy to paranoicy. Dlaczego ten miałby być inny? - dziwił się Rostow.

- Może go zdjęto.

Rostow chrząknął.

- No bo jak inaczej wytłumaczyć tę nagłą nieostrożność?

- Mógł się zakochać - zasugerował Tyrin.

- Jasne - powiedział Rostow wybuchając śmiechem. - A Watykan ogłosił batuszkę Stalina świętym. Zabierajmy się stąd.

Tyrin wyszedł za Rostowem i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

A zatem kobieta. Pierre Borg był zaszokowany, zdumiony, zbity z tropu, zaintrygowany i głęboko zaniepokojony. Dickstein nigdy nie interesował się kobietami.

Borg siedział pod parasolem na ławce w parku. W ambasadzie, gdzie nieustannie dzwoniły telefony i ludzie zasypywali go pytaniami, nie mógł zebrać myśli, przyszedł więc tu, mimo złej pogody. Deszcz falami przechodził przez opustoszały park i od czasu do czasu celną kropla spadała na czubek cygara Borga, który musiał je w takich razach zapalać na nowo.

O niebezpiecznej sile Dicksteina stanowiło jego nieustanne napięcie. Rozluźnienie było ostatnią rzeczą, jaką Borg życzyłby sobie u niego.

Wywiadowcy doszli śladem Dicksteina do małej czynszówki w Chelsea, gdzie Nat spotkał się z kobietą.

- To związek o charakterze seksualnym - oznajmił jeden z nich. - Słyszałem, jak kobieta krzyczy w chwili orgazmu.

Przeprowadzono rozmowę z dozorcą domu, który jednak wiedział o kobiecie tylko tyle, że jest przyjaciółką właścicieli mieszkania.

Na tej podstawie wyciągnięto oczywisty wniosek, że właścicielem mieszkania jest Dickstein (który przekupstwem skłonił dozorcę do kłamstwa); że używa go jako punktu kontaktowego, że poznał pracującą dla przeciwnika kobietę, że się w niej zakochał i wypaplał wszystkie tajemnice.

Borg może by nawet kupił tę wersję, gdyby dowiedział się o kobiecie w inny sposób. Dickstein-zdrajca na pewno nie dopuściłby do tego, by w Borgu obudziły się podejrzenia. Był na to za sprytny. Zatarłby za sobą ślady. Nie zaprowadziłby agentów prosto do mieszkania, nie rzuciwszy przez ramię ani jednego spojrzenia. W jego zachowaniu była niewinność kota, który dorwał się do śmietanki i nie wie, czy też raczej nie zważa na to, że swoje szczęście ma wypisane na czole. Zapytany, co się dzieje, odpowiadał żartami. Borg po prostu musiał poddać go obserwacji. Kilka godzin później Dickstein pierdolił jakąś dziewczynę, której podobało się to tak bardzo, że wrzeszczała na całą ulicę. Było w tym wszystkim tyle naiwności, iż Borg wierzył, że to prawda.

Więc dobra. Jakaś kobieta znalazła sposób, by sforsować linie obronne Dicksteina i uwieść go. Dickstein zachowywał się jak szczeniak, ponieważ nigdy przedtem nie mógł sobie na coś takiego pozwolić. Podstawowe pytanie brzmiało: kim jest ta kobieta?

Rosjanie też mają akta osobowe i pewnie - tak jak Borg - doszli do wniosku, że Dickstein jest nieczuły na kobiece wdzięki. Może jednak uznali, że warto spróbować. I może mieli słuszność.

Znów instynkt podpowiedział Borgowi, by niezwłocznie wycofać Dicksteina. I znów się zawahał. Gdyby w grę wchodziło jakiegokolwiek inne przedsięwzięcie, mógłby sobie z tym poradzić którykolwiek agent. Ten problem jednak zdolny był rozwiązać tylko Dickstein. Borg nie miał innego wyjścia i musiał trzymać się pierwotnego planu: poczekać, aż Dickstein dopracuje wszystkie szczegóły, a potem go wycofać. Tymczasem zleci przynajmniej londyńskiej placówce staranne prześwietlenie kobiety.

Pozostaje nadzieja, iż nawet jeśli jest agentką, Dickstein ma dość oleju w głowie, by z niczym się nie zdradzić. Będą to niebezpieczne dni, ale nic więcej Borg nie mógł zrobić. Cygaro wygasło, prawie tego nie zauważył. W parku nie było już żywej duszy. Siedział pod parasolem na ławce, zachowując niezwykłą dla swego ciała, posągową nieruchomość, i zamartwiał się na śmierć.

Zabawa skończona, powiedział sobie Dickstein: czas wracać do roboty.

Wchodząc o dziesiątej rano do swego pokoju hotelowego, uprzytomnił sobie z niedowierzaniem, że nie zostawił żadnych pułapek. Po raz pierwszy w swej dwudziestoletniej karierze szpiega po prostu zapomniał o elementarnych środkach ostrożności. Stał w drzwiach i rozglądał się dookoła, myśląc, w jaki nieprawdopodobny sposób działa na niego Suza. Rozstanie z nią i powrót do pracy przypominało zajmowanie miejsca za kierownicą cudzego samochodu, który od roku stał w garażu: musiał pozwolić, by stare nawyki, stare instynkty i dawne obsesje z powrotem wsączyły się do jego duszy.

Wszedł do łazienki i puścił wodę do wanny. Mógł się teraz na chwilę odprężyć. Suza wracała dziś do pracy w BOAC. Tym razem podczas swej podróży służbowej miała oblecieć cały świat. Spodziewała się wrócić za dwadzieścia jeden dni, choć

trzeba było się liczyć z tym, że podróż może potrwać dłużej. Nie miał pojęcia, gdzie sam znajdzie się za trzy tygodnie, co oznaczało, że nie wiedział, kiedy ją znowu zobaczy. Ale zobaczy, jeśli tylko przeżyje.

Wszystko - przeszłość i przyszłość - wyglądało teraz inaczej. Mimo że nieraz strzelał do ludzi i ludzie strzelali do niego, mimo że podróżował po całym świecie, używał przebrań, oszukiwał innych i wykręcał desperackie, zapierające dech numery - dwadzieścia minionych lat wydawało mu się pasmem nudy, czymś błahym, niewartym wspomnienia.

Siedząc w wannie, zastanawiał się, co pocnie z resztą życia. Postanowił, że nie będzie już szpiegiem... ale cóż innego miałby robić? Na pozór otwierały się przed nim wszelkie możliwości. Mógł startować w wyborach do Knesetu, otworzyć własny interes albo po prostu siedząc w kibucu wyrabiać najlepsze wino w Izraelu. Czy ożeni się z Suzą? A jeśli tak, to czy zamieszkają w Izraelu? Ta niepewność - jak odgadywanie, co otrzyma w prezencie na najbliższe urodziny - wydała mu się niezmiernie przyjemna.

Jeśli tylko przeżyje, pomyślał. Lecz teraz ryzyko znacznie wzrosło - obawiał się śmierci. Do tej chwili śmierć była czymś, czego należało z całym kunsztem unikać, stanowiła bowiem - mówiąc językiem szachistów - przegrywający ruch w partii. Teraz rozpaczliwie chciał żyć: znów przespać się z Suzą, założyć z nią rodzinę i dowiedzieć się o niej wszystkiego. Poznać jej antypatie, nawyki, sekrety, zorientować się, jakie lubi książki, co sądzi o Beethovenie i czy w nocy chrapie.

Byłoby okropne stracić życie zaraz po tym, gdy mu je ocaliła.

Wyszedł z wanny, wytarł się do sucha i ubrał. Tak, jedynym sposobem przeżycia jest zwycięskie wyjście z tej walki. Musiał teraz zadzwonić. Zastanawiał się, czy z telefonu hotelowego, ale uznawszy, że na początek powinien wykazać nieco więcej ostrożności, wyszedł, aby poszukać budki.

Pogoda się zmieniła. Poprzedni dzień osuszył niebo z deszczu, było ciepło i przyjemnie grzało słońce. Wiedząc, że przezorności nigdy za wiele, minął budkę stojącą najbliżej hotelu i wszedł dopiero do następnej. Znalazł w książce telefonicznej numer londyńskiego Lloyda i wykręcił go.

- Lloyd, dzień dobry.

- Interesują mnie informacje na temat pewnego statku.

- Powinien się pan zwrócić do Lloyd's of London Press... połączę pana.

Czekając na połączenie, Dickstein patrzył przez szybę budki telefonicznej na przejeżdżające samochody i zastanawiał się, czy uzyska od Lloyd'a to, na czym mu zależy. Miał taką nadzieję - nie przychodziła mu do głowy żadna inna instytucja, do której mógłby się zwrócić o pomoc w tej sprawie. Nerwowo postukiwał obcasem o podłogę.

- Lloyd's of London Press, słucham.

- Dzień dobry. Pragnąłbym uzyskać pewne informacje o statku.

- Jakiego rodzaju informacje? - W głosie, zdaniem Dicksteina, pobrzmiewała nuta podejrzliwości.

- Interesuje mnie, czy pewien statek został zbudowany jako seryjny, a jeśli tak, to jak nazywają się jednostki siostrzane, do kogo należą i gdzie się obecnie znajdują. Ewentualnie pragnąłbym również uzyskać plany.

- Obawiam się, że nie mogę panu w tej sprawie pomóc.

Dicksteinowi serce zamarło.

- Dlaczego?

- Nie przechowujemy planów, tym zajmuje się biuro rejestrów Lloyd'a, które zresztą udostępnia je tylko właścicielom.

- A inne informacje? O statkach siostrzanych?

- W tym względzie też nic nie możemy dla pana zrobić.

Dickstein miał ochotę faceta udusić.

- A kto mógłby mi je udostępnić?

- Tylko my dysponujemy tego rodzaju danymi.

- I zachowujecie je w tajemnicy?

- Nie udzielamy takich informacji przez telefon.

- Chwileczkę, mówi pan, że nie można tego załatwić przez telefon?

- Tak jest.

- Gdybym jednak zwrócił się do panów listownie lub osobiście?...

- Mmm... tak, sprawdzenie w archiwum nie powinno trwać długo. Mógłby pan zatem zgłosić się osobiście.

- Proszę mi podać adres. - Zanotował podaną informację. - I zdoła pan ustalić te szczegóły od ręki?

- Tak sądzę.

- W porządku. Zatem już teraz podam panu nazwę statku, a pan sprawdzi wszystko, zanim przyjdę. Statek nazywa się "Coparelli" - Przeliterował.

- I jeszcze pańskie nazwisko.

- Ed Rodgers.

- Firma?

- "Science International".

- Czy ją właśnie mamy obciążyć rachunkiem?

- Nie, zapłacę czekiem imiennym.

- Jeśli tylko ma pan jakiś dowód tożsamości.

- Oczywiście. Będę za godzinę. Do zobaczenia.

Dickstein odwiesił słuchawkę. Wychodząc z budki telefonicznej pomyślał: dzięki Bogu, udało się. Wszedł do kawiarni po drugiej stronie ulicy, zamówił kawę i kanapkę.

Borgowi oczywiście zełgał, wiedział bowiem dokładnie, w jaki sposób uprowadzi "Coparellego". Kupi jeden ze statków siostrzanych - jeśli takowe istnieją - zaokrętuje na nim swoją grupę i wypłynie "Coparellemu" na spotkanie. Następnie

przechwyci go i zamiast się wikłać w ryzykowny interes z przerzucaniem ładunku na pełnym morzu, po prostu zatopi swój statek, przeniesie jego papiery na "Coparellego", zamaluje starą nazwę i zastąpi ją imieniem zatopionej jednostki. Po czym popłynie do Hajfy.

Wszystko wyglądało nieźle, choć był to tylko zarys planu. Co zrobić z załogą "Coparellego"? Jak wyjaśnić pozorne zaginięcie statku? Jak uniknąć międzynarodowego śledztwa w sprawie zatonięcia w morzu dziesiątek ton rudy uranowej?

Ten ostatni problem wydawał mu się tym poważniejszy, im dłużej się nad nim zastanawiał. Ilekroć zachodzi podejrzenie, że zatonął duży statek, rozpoczynają się poszukiwania zakrojone na szeroką skalę. Jednostka transportująca uran wzbudzi zainteresowanie opinii publicznej, co sprawi, że poszukiwania będą dokładniejsze niż zwykle. A co się stanie, jeśli ekipy poszukiwawcze znajdą nie "Coparellego", lecz statek siostrzany, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozpoznają jako jego własność?

Przez dobrą chwilę intensywnie myślał o tym wszystkim, ale żadne rozwiązanie nie przychodziło mu do głowy. Równanie wciąż jeszcze zawierało zbyt wiele niewiadomych. W końcu nie rozwiązany problem, a może kanapka spowodowała ból w żołądku, tak że sięgnął po pastylkę.

Zaczął teraz rozmyślać nad sprawą zmylenia przeciwników. Czy dostatecznie starannie zatarł ślady? O jego planach mógł wiedzieć tylko Borg. Jeśli nawet w pokoju założono podsłuch... jeśli założono go również w najbliższej hotelu budce telefonicznej... wciąż nikt nie mógł wiedzieć, że interesuje się "Coparellim". Zachowywał przecież nadzwyczajną ostrożność.

Popijał kawę; nagle któryś z klientów wychodząc z kafejki potracił Dicksteina w łokieć i zawartość filiżanki wylała się na przód jego czystej koszuli.

- "Coparelli" - rzekł Dawid Rostow z podnieceniem w głosie, - Gdzie to ja słyszałem o statku "Coparelli"?

- I mnie ta nazwa wydaje się znajoma - oświadczył Jasif Hasan.

- Zerknijmy na wydruk komputerowy.

Siedzieli w furgonetce z urządzeniami do nasłuchu, zaparkowanej opodal hotelu "Jacobean". Pojazd, stanowiący własność KGB, nie miał żadnych napisów, był granatowy i bardzo brudny. Choć większość przestrzeni zajmowała w nim potężna aparatura radiowa, za przednimi siedzeniami znalazło się trochę miejsca, w które wcisnęli się Rostow i Hasan. Za kierownicą siedział Piotr Tyrin. Z wielkich głośników nad ich głowami dobiegał szmer odległych rozmów i od czasu do czasu brzęk naczyń. Przed chwilą usłyszeli ledwie zrozumiałą wymianę zdań: ktoś za coś przeproszał, a następnie Dickstein mówił, że wszystko w porządku i że nic się nie stało. Odgłosy, które dochodziły potem, były już zupełnie niewyraźne.

Przyjemność podsłuchiwania rozmowy Dicksteina psuł Rostowowi fakt, że słuchał jej również Hasan, który stał się bardzo zadufany w siebie, odkąd odniósł sukces, ujawniając obecność Dicksteina w Anglii. Poczul się takim samym zawodowym szpiegiem, jak wszyscy pozostali. Nalegał, by go wtajemniczać we wszelkie szczegóły londyńskiej operacji, i groził interwencją w Kairze, gdyby go z niej wyłączono. Rostow myślał nawet, żeby sprawdzić, czy nie blefuje, oznaczało to wszakże następny niepożądany kontakt z Feliksem Woroncowem, a Rostow nie chciał znów, za jego plecami, zwracać się z tym bezpośrednio do Andropowa. Zdecydował się zatem na inne wyjście: pozwoli Hasanowi uczestniczyć w akcji, ale zarazem ostrzeże go, by nie próbował składać Kairowi jakichkolwiek meldunków.

Hasan przejrzał wydruk i podał go Rostowowi. Kiedy Rosjanin czytał, z głośników znów popłynęły odgłosy ulicy, a potem dialog.

- Dokąd, szefie?

Głos Dicksteina:

- Lime Street.

Rostow uniósł głowę znad kartki i zwrócił się do Tyrina:

- Czyli Lloyd, ten sam adres, który podano mu przez telefon. Jedziemy.

Tyrin uruchomił silnik i ruszył na wschód, w stronę centrum. Rostow wrócił do wydruku.

- W Lloydzie otrzyma prawdopodobnie raport na piśmie - powiedział Hasan z nutą pesymizmu w głosie.

- Pluskwa działa bez zarzutu... przynajmniej jak do tej pory - stwierdził Tyrin. Prowadził wóz jedną ręką, u drugiej obgryzał paznokcie.

Rostow znalazł to, czego szukał.

- Mam! - wykrzyknął. - "Coparelli". Świetnie, świetnie, świetnie! - Rozentuzjzmowany walił się pięścią w kolano.

- Pokaż - powiedział Hasan.

Rostow zawahał się przez moment, ale uświadomiwszy sobie, że nie może się wymigać, z uśmiechem wskazał Hasanowi ostatnią stronicę.

- Pod nienuklearne. Na pokładzie motorowca "Coparelli" popłynie z Antwerpii do Genui dwieście ton rudy uranowej.

- A więc o to chodzi - powiedział Hasan. - Tym się właśnie interesuje Dickstein.

- Tylko że jeśli zameldujesz o tym Kairowi, Dickstein prawdopodobnie zacznie się interesować czymś innym. Słuchaj, Hasan...

Hasan poczerwieniał z gniewu.

- Już raz to mówiłeś - oświadczył chłodno.

- Dobra - ustąpił Rostow i pomyślał: cholera, trzeba być trochę dyplomatą. Następnie stwierdził: - Teraz wiemy, co i komu zamierza ukraść. Powiedziałbym, że jest to pewien postęp.

- Nie wiemy jednak gdzie, kiedy i jak - dorzucił Hasan.

Rostow twierdząco skinął głową.

- Cała ta historia ze statkami siostrzanymi musi mieć z tym coś wspólnego. - Pociągnął się za nos. - Tylko nie wiem co.

- Dwa szylingi sześć pensów, szefie.

- Reszty nie trzeba.

- Znajdź miejsce do zaparkowania, Tyrin - polecił Rostow.

- W tej okolicy to niełatwe - uskarżał się Tyrin.

- Jeśli nie znajdziesz miejsca, po prostu się zatrzymaj. Najwyżej ci wlepią mandat - odparł ze zniecierpliwieniem Rostow.

- Dzień dobry. Nazywam się Ed Rodgers.

- Ach, tak. Jedną chwileczkę, proszę... Raport dla pana jest właśnie przepisywany na maszynie. A oto rachunek.

- Jesteście panowie niezwykle sprawni.

- To raport na piśmie - powiedział Hasan.

- Dziękuję bardzo.

- Do widzenia, panie Rodgers.

- Niezbyt gadatliwy, co ? - powiedział Tyrin.

- Jak wszyscy dobrzy agenci - odparł Rostow. - Weź to sobie do serca.

- Tak jest.

- Cholera - powiedział Hasan. - Przez tę małomówność nie poznamy odpowiedzi na nasze pytania.

- To bez znaczenia - stwierdził Rostow. - Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl. - Uśmiechnął się. - Znamy pytania. Wystarczy, że je zadamy sami sobie, a otrzymamy takie same odpowiedzi jak on. Posłuchajcie, znów jest na ulicy. Zrób rundkę, Tyrin, i spróbuj go wypatrzeć.

Ruszyli, lecz zanim skończyli okrążenie, znowu umilkły płynące z głośnika uliczne odgłosy.

- Czym mogę służyć, sir?

- Wszedł do sklepu - powiedział Hasan.

Rostow spojrział na niego. Kiedy Arab zapominał o dumie, emocjonował się wszystkim jak uczeń - furgonetką, śledzeniem, pluskwami. Może, choćby tylko po to, by nadal bawić się z Rosjanami w szpiega, będzie jednak trzymał głowę na kłódce.

- Chciałbym kupić nową koszulę.

- Och, nie! - jęknął Tyrin.

- Rozumiem, sir. Co to było?

- Kawa.

- Należało to od razu splukać. Teraz będzie bardzo trudno wywabić plamę. Czy życzy pan sobie podobną?

- Tak. Gładka, biała, nylonowa, mankiety na spinki, kołnierzyk czternaście i pół.

- Proszę. Ta kosztuje trzydzieści dwa szylingi i sześć pensów.

- Doskonale.

- Idę o zakład - powiedział Tyrin - że dopisze ją do wydatków służbowych.

- Dziękuję. Może chciałby pan ją od razu włożyć?

- Jeśli to możliwe.

- Przymierzalnia jest tam.

Kroki, potem chwila ciszy.

- Czy życzy pan sobie torbę na starą koszulę?

- Niech ją pan po prostu wyrzuci.

- Ten guzik kosztował dwa tysiące rubli! - stwierdził Tyrin.

- Oczywiście, sir.

- I na tym koniec - powiedział Hasan. - Nic więcej się nie dowiemy.

- Dwa tysiące rubli! - powtórzył Tyrin.

- Myślę, że odstukamy sobie ten wydatek - stwierdził Rostow.

- Dokąd jedziemy? - zapytał kierowca.

- Z powrotem do ambasady - zarządził Rostow. - Muszę rozprostować nogi. W lewej zupełnie straciłem czucie. Cholera, ale przynajmniej odwaliliśmy dzisiaj rano kawał roboty.

Kiedy Tyrin skierował się na zachód, Hasan powiedział w zamyśleniu:

- Musimy ustalić, gdzie w tej chwili znajduje się "Coparelli".

- Tym mogą się zająć trutnie - odparł Rostow.

- Trutnie?

- Pracownicy moskiewskiej centrali. Nic nie ryzykują, siedzą spokojnie na tyłkach, a zarabiają znacznie lepiej niż agenci terenowi. Jedyne niebezpieczeństwo, na jakie są narażeni, to przechodzenie przez ulicę Granowskiego w godzinach szczytu. - Rostow postanowił wykorzystać okazję, aby Hasana nieco podszkolić. - Zapamiętaj, agent nie powinien tracić czasu na zdobywanie ogólnie dostępnych informacji. Wszystko, co jest w książkach, raportach czy archiwach, mogą odszukać trutnie. Skoro truteń i tak mniej kosztuje niż agent - oczywiście nic dlatego, że się mu mniej płaci, ale dlatego, że nie wymaga kosztów dodatkowych - Komitet woli, by zawsze, kiedy to tylko możliwe, on wykonywał konkretną robotę. Należy korzystać z ich usług. Nikt nie poczyta ci tego za lenistwo.

W nonszalanckim uśmiechu Hasana można było dostrzec cień jego dawnego lenistwa.

- Dickstein pracuje inaczej.

- Izraelczycy mają inne podejście do sprawy. Poza tym, podejrzewam, że Dickstein nie jest zwolennikiem działań grupowych.

- Jak długo zajmie tym trutniom ustalenie miejsca pobytu "Coparellego"?

- Może dzień. Wyślę zlecenie, jak tylko dotrzemy do ambasady.

- Czy przy tej okazji nie moglibyście złożyć drobnego zamówienia? - spytał przez ramię Tyrin.

- Na co?

- Na sześć następnych guzików do koszul.

- Sześć?

- Jeśli będą takie, jak te z poprzedniej dostawy, pięć nada się tylko do wyrzucenia.

Hasan wybuchnął śmiechem.

- Czy komunistyczna produkcja zawsze jest taka niezawodna?

- Na komunistyczną nie można narzekać - odparł Tyrin. - To rosyjska jest do luzu.

Furgonetka wjechała w Zaulek Ambasad. Pełniący służbę policjant pomachał im dając znak, że mogą jechać dalej.

- Co zrobimy, kiedy już zlokalizujemy "Coparellego"? - zapytał Hasan.

- To oczywiste - odrzekł Rostow. - Umieścimy na pokładzie naszego człowieka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Don miał zły dzień. Najpierw, przy śniadaniu, nadeszły wieści, że w nocy policja aresztowała paru jego ludzi. W Albany gliniarze zatrzymali i przeszukali ciężarówkę przewożącą dwa i pół tysiąca par futrzanych kapci oraz pięć kilo fałszywej heroiny. Ładunek jechał z Kanady i przeznaczony był dla Nowego Jorku. Heroinę skonfiskowano, a obu kierowców przymknięto.

Towar nie był własnością dona. Natomiast przewoźnicy płacili mu haracz i w zamian oczekiwali ochrony. Zechcą pewnie, aby wyciągnął ich ludzi z więzienia i odzyskał heroinę, co było prawie niemożliwe. Mógłby to zrobić, jeśliby w sprawę zaangażowała się tylko policja stanowa, ale gdyby to była ich inicjatywa, to do wpadki nigdy by nie doszło.

To jeszcze nie wszystko. Jego najstarszy syn zdepeszerował z Harvardu żądając pieniędzy, bo już kilka tygodni przed rozpoczęciem zajęć przegrał forszę, którą dostał

na cały semestr. Don spędził ranek, próbując ustalić, dlaczego w sieci jego restauracji spadają obroty. Po południu musiał tłumaczyć kochance, czemu w tym roku nie może jej zabrać do Europy. Na koniec dowiedział się od swojego lekarza, że znów złapał trypra.

Spojrzał w lustro, poprawił muszkę i powiedział do siebie:

- Co za zasrany dzień.

Okazało się, że za aresztowaniem stoi policja nowojorska - zawiadomili policję stanową, żeby nie narobić sobie kłopotów z działającą w mieście mafią. Stanowa, rzecz jasna mogła ten cynk zignorować; jednak fakt, że tego nie uczyniła, mógł sugerować, iż informacja wyszła od kogoś ważnego - na przykład z Agencji do spraw Zwalczania Narkotyków przy Ministerstwie Skarbu. Don przydzielił adwokatów aresztowanym kierowcom, wysłał swoich ludzi do ich rodzin i wszczął negocjacje w sprawie wykupienia heroiny od policjantów.

Włożył marynarkę. Zawsze lubił przebierać się do kolacji. Nie wiedział, co począć ze swym synem, Johnem. Dlaczego chłopak nie wrócił na lato do domu? Studenci college'ów powinni spędzać wakacje w domu. Don rozważał, czy nie wysłać kogoś do Johnny'ego, ale chłopak mógłby pomyśleć, że ojcu chodzi tylko o pieniądze. Wygląda na to, że będzie musiał pojechać do niego sam.

Zadzwoił telefon, don podniósł słuchawkę.

- Tak.

- Tu brama, proszę pana. Mam Anglika, który pyta o pana, ale nie chce podać nazwiska.

- Więc go spław - powiedział don, wciąż myśląc o synu.

- Powiada, że jest pańskim przyjacielem z uniwersytetu w Oksfordzie.

- Nie znam nikogo... ale zaraz. Jak wygląda?

- Nieduży łajzowaty gość w okularach.

- Poważnie!? - Na twarzy dona rozlał się szeroki uśmiech. - No to dawaj go, i to ze wszystkimi honorami!

Był to rok spotkań ze starymi przyjaciółmi i konstatacja, jak bardzo się zmienili; jak na razie, największe wrażenie robił wygląd Ala Cortonego. Proces przybierania na wadze, który się u niego zaczął tuż po powrocie z Frankfurtu, musiał trwać nieprzerwanie i obecnie można było odnieść wrażenie, że Al waży przynajmniej dwieście pięćdziesiąt funtów. Z jego pucołowatej twarzy była zmysłowość, zupełnie niedostrzegalna podczas wojny i ledwie zauważalna w 1947 roku. No i był kompletnie łysy. Dickstein sądził, że to niezwykle u Włocha.

Pamiętał dokładnie, jakby to było wczoraj, moment, kiedy Cortone zaciągnął u niego dług wdzięczności. W owych czasach miał sposobność poznać, co czuje zaszczone zwierzę. Dopiero wtedy, gdy nie ma już dokąd uciec, człowiek dowiaduje się, jak zajadle potrafi walczyć. Zrzucony w nieznanym terenie, odcięty od macierzystej jednostki, Dickstein przebijał się z karabinem w dłoni, czerpiąc z zasobów wytrzymałości, sprytu i bezwzględności, o których istnieniu nie miał pojęcia. Leżał w tych krzakach pół godziny, obserwując porzucony czołg. Wiedział - choć nie pojmował skąd - że jest to przynęta. Namierzył jednego snajpera i rozglądał się za drugim, kiedy z rykiem zwalili się Amerykanie. Mógł wtedy bezpiecznie strzelić - drugi snajper, jeśli istotnie czaił się w okolicy, wybrałby raczej oczywisty cel, Amerykanów, a nie zwracałby sobie głowy wypatrywaniem w krzakach jednego strzelającego faceta.

I w ten sposób, myśląc wyłącznie o własnym przetrwaniu, Dickstein ocalił życie Ałowi.

Cortone był wojakiem bodaj jeszcze mniej doświadczonym niż Dickstein, ale uczył się równie szybko. Mieli ze sobą wiele wspólnego: obu wychowała ulica, a teraz swą mądrość życiową dostosowywali do nowych warunków. Jakiś czas walczyli ramie w ramię, wspólnie klęli, śmiali się i gadali o kobietach. Kiedy wyspę zdobyto i rozpoczęto przygotowania do kolejnej ofensywy, wymknęli się po cichu i odwiedzili sycylijskich kuzynów Ala Cortone.

Na tych właśnie kuzynach skoncentrowało się obecnie zainteresowanie Dicksteina.

Pomogli mu już kiedyś, w 1948 roku. Wtedy zysk był pewny, więc Dickstein mógł zwrócić się do nich wprost. Teraz sprawa przedstawiała się inaczej: prosił o

przysługę i nie mógł zaproponować nic w zamian. Wobec tego musiał udać się do Ala i przypomnieć o zaciągniętym dwadzieścia dwa lata temu długu wdzięczności.

Wcale nie był pewien, czy mu się powiedzie. Cortone stał się człowiekiem zamożnym. Jego wielki dom - w Anglii zasłużyłby sobie na miano rezydencji - otaczał pięknie utrzymany ogród i mur z bramą, której strzegli wartownicy. Na żwirowym podjeździe stały trzy auta, służby zaś było tyle, że Dickstein szybko stracił rachubę. Bogaty Amerykanin w średnim wieku o doskonałej pozycji wcale nie musiał chcieć się mieszać w śródziemnomorskie rozgrywki polityczne, nawet dla człowieka, który niegdyś ocalił mu życie.

Cortone wydawał się rad ze spotkania, co stanowiło dobry początek. Tak samo jak owej listopadowej niedzieli czterdziestego siódmego, klepali się po plecach i powtarzali:

- Jak się, bracie, miewasz?

Cortone zmierzył Dicksteina spojrzeniem od stóp do głów.

- Nic się nie zmieniłeś! Ja straciłem wszystkie włosy i utylłem o sto funtów, a ty nawet nie jesteś szpakowaty! Gdzie się podziewałeś?

- Osiedliłem się w Izraelu. Jestem kimś w rodzaju farmera. A ty?

- Robię interesy, rozumiesz? Chodź, pogadamy przy jedzeniu.

Posiłek był osobliwą imprezą. Przy końcu stołu siedziała pani Cortone, która przez cały czas trwała w absolutnym milczeniu: nikt się nie odzywał do niej i ona nie odzywała się do nikogo. Dwaj nie najlepiej wychowani młodzieńcy błyskawicznie załatwili się z jedzeniem, szybko wyszli, a po chwili dał się słyszeć przeraźliwy ryk towarzyszący wybuchowi spalin z rury wydechowej sportowego samochodu. Cortone pochłaniał olbrzymie ilości ciężkostrawnych włoskich potraw, które popijał raz po raz kieliszkami czerwonego kalifornijskiego wina. Najbardziej intrygującą postacią przy stole był doskonale ubrany mężczyzna o przebiegłej twarzy, który chwilami zachowywał się jak przyjaciel, chwilami jak doradca, chwilami zaś - służący; Cortone użył raz wobec niego określenia *cosigiere*.

Podczas kolacji nie rozmawiano o interesach - wspomniano przygody wojenne. Cortone - który oczywiście gadał najwięcej - opowiadał między innymi o

mistrzowskim numerze, który w 1948 roku Dickstein wykręcił Arabom. Słyszał o tym od kuzynów i był zachwycony tak samo jak oni. Powtarzaną kolejny raz historię ubarwiały nowe szczegóły.

Dickstein uznał, że jego wizyta sprawiła Alowi prawdziwą przyjemność. Może Cortone był znudzony dniem powszednim. Nic dziwnego, jeśli co wieczór spożywał kolację w towarzystwie milczącej żony, dwóch nieokrzesanych smarkaczy i doradcy o lisim obliczu. Dickstein ze wszystkich sił starał się podtrzymać atmosferę beztrioskiej pogawędki; chciał, by w chwili, kiedy poprosi o przysługę, Cortone był w dobrym nastroju.

Po kolacji Cortone i Dickstein przeszli do gabinetu i rozsiedli się w skórzanych fotelach; kamerdyner przyniósł koniak i cygara. Dickstein odmówił jednego i drugiego.

- Kiedyś zdrowo pociągałeś - zauważył Cortone.

- Bo była ta cholerna wojna - odparł Dickstein. Kamerdyner opuścił pokój. Dickstein obserwował, jak Cortone sączy koniak i pociąga cygaro: przyszło mu na myśl, że Al je, pije i pali bez radości, jak gdyby w przekonaniu, że jeśli będzie to robił dostatecznie długo, doszuka się w końcu jakiegoś smaku. Dickstein przypominając sobie wspólne beztrioskie chwile spędzone u sycylijskich kuzynów Ala; zaczął się zastanawiać, czy w otoczeniu tamtego pozostali jeszcze jacyś ludzie, na których naprawdę można się oprzeć.

Nagle Cortone wybuchnął głośnym śmiechem.

- Pamiętam co do minuty ten dzień w Oksfordzie! Hej, spiknąłeś się kiedyś z żoną tego profesora, tą Arabką?

- Nie - odparł Dickstein. - Ona już nie żyje.

- Przepraszam.

- Zdarzyła się przedziwna historia. Wróciłem tam, do tego domu nad rzeką, i spotkałem jej córkę... Wygląda dokładnie tak samo jak Eila przed laty.

- Poważnie? I... - Cortone rzucił w jego stronę chytre spojrzenie... - i spiknąłeś się z córką. Nie do wiary!

- W dodatku to nie żarty. Chcę się z nią ożenić. Oświadczę się jej podczas najbliższego spotkania.

- Zgodzi się?

- Nie jestem pewien. Chyba tak. Jestem od niej starszy.

- Wiek nie ma znaczenia. Tyle, że mógłbyś nabrać trochę ciała. Kobiłki nie lubią chudzielców.

Rozmowa irytowała Dicksteina i pojął teraz, dlaczego Cortone zdecydowany był nie dopuścić, by zeszła na poważniejsze tematy. Może wynikało to z wieloletniego nawyku gładzenia o banalnych sprawach, żeby nie zdradzić się z czymś istotnym, może Cortone nie chciał, by Dickstein zorientował się, iż większa część jego "rodziny interesów" ma charakter przestępczy (co zresztą Dickstein bez trudu odgadł); a może w końcu istniało coś jeszcze, czego nie chciał ujawnić, jakieś tajemne rozczarowanie, które pragnął przemilczeć - tak czy inaczej, szczery, rozmowny, wrażliwy młodzieniec już bardzo dawno temu rozpląnął się w tym grubasie. Dicksteina okropnie korciło, by zapytać: powiedz, stary, co ci sprawia przyjemność, kogo kochasz, jak naprawdę ci się żyje.

Zamiast tego rzekł:

- Pamiętasz, co powiedziałeś mi w Oksfordzie?

- Jasne. Powiedziałem ci, że jestem twoim dłużnikiem, bo uratowałem mi życie.

- Cortone zaciągnął się cygarem.

Przynajmniej w tej kwestii nic się nie zmieniło.

- Przyjechałem prosić cię o pomoc.

- Śmiało, wal.

- Pozwolisz, że włączę radio?

- Ten dom przeczesuje się co tydzień w poszukiwaniu pluskiew - odparł z uśmiechem Cortone.

- Doskonale - powiedział Dickstein, lecz mimo to otworzył radio. - Karty na stół, Al. Pracuję dla wywiadu izraelskiego.

Cortone uniósł brwi.

- Powinienem był się domyślić.

- W listopadzie mam przeprowadzić pewną operację w rejonie Morza Śródziemnego. To... - Dickstein zastanowił się, ile może powiedzieć. Uznał, że jak najmniej. - To coś, co może położyć kres wojnom na Bliskim Wschodzie. - Urwał, by wtrącić charakterystyczne powiedzonko Ala. - I z pewnością nie robię cię w konia.

Cortone wybuchnął śmiechem.

- Sądzę, że gdybyś chciał zrobić mnie w konia, nie czekałbyś z przyjazdem dwadzieścia lat.

- Ważne jest, aby akcji nie łączono z Izraelem. Potrzebuję bazy operacyjnej. Dużego domu na wybrzeżu z przystanią dla małych jednostek, skąd niedaleko by było do miejsca, gdzie mógłby zakotwiczyć duży statek. Podczas pobytu tam - potrwa to dwa tygodnie, może trochę dłużej - będę potrzebował ochrony przed dociekliwością policji i wścibstwem urzędników. Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce i tylko jedna osoba, która może mi to wszystko zapewnić.

Cortone skinął głową.

- Znam takie miejsce - opuszczony dom na Sycylii. Nie myśl sobie, żaden luksus, stara rudera bez ogrzewania i telefonu... ale powinien się nadać.

Dickstein uśmiechnął się szeroko.

- Fantastycznie - powiedział. - O to właśnie chciałem cię prosić.

- Wolne żarty - orzekł Cortone. - O nic więcej?

DO: Dyrektora Mosadu

OD: Kierownika Oddziału w Londynie

DATA: 29 lipca 1968

Suza Ashford jest niemal na pewno agentką arabskich służb wywiadowczych.

Urodziła się w Oksfordzie, Anglia, 17 czerwca 1944 jako jedyne dziecko Stephena Ashforda (obecnie profesora, ur. w Guilford, Anglia, 1908) i Eili Zuabi (ur. w Trypolisie, Libia, 1925). Matka, zmarła w roku 1954, była rodowitą Arabką. Ojciec jest z zawodu kimś, kogo w Anglii określa się jako "arabistę"; większą część pierwszych czterdziestu lat swojego życia spędził na Bliskim Wschodzie jako badacz, przedsiębiorca i lingwista. Obecnie naucza języków semickich w Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie znany jest ze swych umiarkowanie proarabskich poglądów. A zatem, jakkolwiek formalnie rzecz biorąc, Suza Ashford jest obywatelką Zjednoczonego Królestwa, można założyć, iż jej sympatie również są proarabskie.

Pracuje w BOAC jako stewardesa na liniach międzynarodowych i często bywa w Teheranie, Singapurze i Zurychu. W związku z tym ma wiele okazji do potajemnych kontaktów z arabskim personelem dyplomatycznym. Jest uderzająco piękną młodą kobietą (patrz załączona fotografia - która, zdaniem prowadzącego sprawę agenta terenowego, nie oddaje w pełni jej urody). Odznacza się swobodą obyczajów, co jednak nie jest niczym niezwykłym w jej środowisku zawodowym ani nie odbiega od norm uznawanych przez jej rówieśników w Londynie.

Mówiąc konkretnie: nawiązanie z mężczyzną stosunków seksualnych w celu uzyskania informacji byłoby dla niej doświadczeniem niezbyt miłym, lecz nie powodującym urazu.

Na koniec - co chyba najważniejsze - Jasif Hasan, agent, który wytropił Dicksteina w Luksemburgu, studiował u jej ojca, profesora Ashforda, w tym samym czasie co Dickstein i w minionych latach utrzymywał z profesorem sporadyczne kontakty. Być może odwiedził Ashforda - bo z pewnością złożył mu wizytę mężczyzna, którego wygląd odpowiada rysopisowi agenta - mniej więcej wtedy, gdy Dickstein nawiązał romans z Suzą Ashford. Zalecam kontynuowanie obserwacji.

(podpis)

Robert Jakes

DO: Kierownika Oddziału w Londynie

OD: Dyrektora Mosadu

DATA: 30 lipca 1968

Nie rozumiem, dlaczego nie zalecasz wyeliminowania Suzy Ashford, skoro tyle przemawia przeciwko niej.

(podpis)

Pierre Borg

DO: Dyrektora Mosadu

OD: Kierownika Oddziału w Londynie

DATA: 31 lipca 1968

Nie zalecam wyeliminowania Suzy Ashford z następujących powodów:

- 1. Zarzuty przeciwko niej są poważne, lecz to tylko poszlaki.*
- 2. To, co wiem o Dicksteinie, każe mi wątpić, by - nawet zaangażowany uczuciowo - udzielił jej jakichkolwiek informacji.*
- 3. Jeśli ją wyeliminujemy, przeciwnicy zaczną szukać innych możliwości dotarcia do Dicksteina. Zatem lepsze jest zło, które już znamy.*
- 4. Możemy ją wykorzystać do przekazywania fałszywych informacji.*
- 5. Nie lubię zabijać na podstawie poszlak. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Jesteśmy Żydami.*
- 6. Jeśli zabijemy kobietę, którą kocha Dickstein, on z kolei zabije ciebie, mnie i wszystkich, którzy byli w to zamieszani.*

(podpis)

Robert Jakes

DO: Kierownika Oddziału w Londynie

OD: Dyrektora Mosadu

DATA: 1 sierpnia 1968

Rób, jak chcesz.

(podpis)

Pierre Borg

POSTSCRIPTUM (uwaga: osobiste!):

Punkt piąty jest wzruszający i dowodzi szlachetności serca, ale przez takie uwagi z pewnością daleko nie zajdziesz.

P.B.

Była małą, starą, szpetną, brudną i wredną łajbą.

Pomarańczowe wykwity rdzy niczym grzybica pokrywały cały jej kadłub. Farba, jeśli w ogóle kiedykolwiek pomalowano nią nadbudówki, złuszczyła się już dawno, rozpuściła i obleciała, wydana na pastwę wspólnych wysiłków wiatru, deszczu i morza. Górna część prawej burty, paskudnie wgnieciona tuż za dziobem w wyniku dawnej kolizji, wciąż pozostawała w tym stanie, bo nikt nie zadał sobie trudu, by ją wyklepać. W kominie zalegała dziesięcioletnia warstwa sadzy. Pokład był pokancerowany, powgniatany i zaplamiony; wprawdzie zmywano go często, ale nigdy nie robiono tego starannie, więc pozostałości dawnych ładunków - ziarna kukurydzy, drewniane drzazgi, gnijące resztki warzyw i strzępy jutowych worków - kryły się za szalupami, pod zwojami lin, w szczelinach, złączach i otworach. W gorące dni wszystko to obrzydliwie cuchnęło.

Miała jakieś dwa i pół tysiąca ton wyporności, dwieście stóp długości i nieco ponad trzydzieści szerokości. Z jej tępego dzioba strzelał wysoki maszt radiowy. Większą część pokładu zajmowały dwa wielkie luki, prowadzące do dwóch głównych ładowni. Były tam również trzy żurawie: jeden przed lukami, jeden pomiędzy nimi i jeden z tyłu. Sterówka, kabiny oficerskie, kuchnia i kajuty załogi znajdowały się na rufie, wokół komina. Miała jedną śrubę, napędzaną silnikiem dieslowskim, zdolnym teoretycznie wykrzesać z siebie blisko dwa i pół tysiąca koni mechanicznych, co sprawiało, że statek poruszał się z prędkością trzynastu węzłów. Przy pełnym obciążeniu wchodziła w fatalne kołysanie wzdłużne, bez ładunku schodziła z kursu. Zresztą tak czy inaczej, ulegała z lada powodu monstualnym przechyłom. Kajuty były zatłoczone i licho wentylowane, kuchnię często zalewała woda, a maszynownię zaprojektował chyba sam Hieronim Bosch.

Nikt z całej załogi - liczącej trzydziestu jeden ludzi - nie powiedziałby o niej dobrego słowa. Jedynymi jej pasażerami były roje karaluchów w kuchni, poza tym kilka myszy i parę setek szczurów. Nikt nie kochał krypy, która nazywała się "Coparelli".

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nat Dickstein przyleciał do Nowego Jorku, żeby zostać potentatem żeglugowym. Załatwienie tego zajęło mu jedno przedpołudnie.

Zerknąwszy do książki telefonicznej Manhattanu, wybrał adwokata, urzędującego na krańcach East Side. Nie zadzwonił jednak, lecz udał się doń osobiście, by z zadowoleniem stwierdzić, że cała kancelaria to pokoik nad chińską restauracją. Adwokat nazywał się Czang.

Dickstein pojechał z Czangiem taksówką do mieszczących się przy Park Avenue biur Liberian Corporation Services Inc., firmy istniejącej po to, by pomagać ludziom, którzy pragną pływać pod liberyjską banderą, ale nie mają zamiaru jechać do odległej o trzy tysiące mil Liberii. Nie poproszono Dicksteina o referencje ani nie zapytano, czy jest uczciwy, wypłacalny bądź zdrowy na umyśle. Za opłatą wynoszącą pięćset dolarów - którą uiścił gotówką - zarejestrowano Savile Shipping Corporation z Liberii. Nikogo nie zainteresował fakt, że Dickstein nie jest nawet właścicielem łodzi wiosłowej.

Kwaterna główna kompanii mieściła się w Monrovii, przy Broad Street 80, a funkcję jej dyrektorów pełnili stale zamieszkujący w Liberii panowie: P. Satia, E.K. Nugba i J.D. Boyd. Nawiasem mówiąc, większość liberyjskich spółek żeglugowych miała swoje biura właśnie tam, a panowie Satia, Nugba, Boyd też byli ich założycielami. Pracując jednocześnie w mieszczącej się tam Liberian Trust Company, mieli tym samym dodatkowe źródło dochodów.

Pan Czang zażądał pięćdziesięciu dolarów i zwrotu kosztów przejazdu taksówką do kancelarii. Dickstein zapłacił bez szemrania, sugerując jednak adwokatowi, by wrócił autobusem. W ten sposób, nie podając nawet swego adresu, Dickstein założył całkowicie legalną firmę żeglugową, której nie sposób było powiązać ani z nim samym, ani z Mosadem.

Zgodnie ze zwyczajem, panowie Satia, Nugba i Boyd dwadzieścia cztery godziny później podali się do dymisji i jeszcze tego samego dnia notariusz z liberyjskiego powiatu Montserrado ostemplował złożone pod przysięgą oświadczenie głoszące, że pełna kontrola nad Savile Shipping Corporation spoczywa obecnie w dłoniach niejakiego André Papagopulosa.

W tym czasie Dickstein jechał autobusem z zuryjskiego lotniska do miasta, gdzie był umówiony z Papagopulosem na lunch.

W autobusie miał czas na refleksję i zaniepokoił się nieco złożonością planu, mnogością elementów układanki, dla których należało znaleźć właściwe miejsce, a także liczbą ludzi, których perswazją, przekupstwem lub przymusem trzeba było skłonić do odegrania wyznaczonych im ról. Na razie szło mu jak po maśle - powiodło mu się ze Sztynnym Kołnierzykiem, potem z Alem Cortone, nie mówiąc już o londyńskim Lloydzie i Liberian Corporation Services Inc. - jak długo jednak potrwa ta dobra passa?

Pod pewnymi względami Papagopulos stanowił największe wyzwanie: był człowiekiem równie nieuchwytnym, równie potężnym i tak samo wolnym od słabostek jak Dickstein.

Przyszedł na świat w 1912, w wiosce, która za jego chłopięcych lat bywała na zmianę turecka, bułgarska bądź grecka. Jego ojciec trudnił się rybołówstwem. Młody Papagopulos początkowo mu w tym pomagał, ale jako wyrostek przerzucił się na inne zajęcia związane z morzem, głównie na przemyt. Po drugiej wojnie światowej pojawił się w Etiopii, gdzie za pół ceny kupował hurtowo sprzęt wojskowy z demobilu - między innymi karabiny, pistolety, broń maszynową, rusznice przeciwpancerne oraz amunicję. Potem skontaktował się z Agencją Żydowską w Kairze i z olbrzymim narzutem sprzedał to wszystko podziemnej armii izraelskiej. Załatwił transport, w czym pomogły mu jego przemytnicze doświadczenia, i dostarczył towar do Palestyny. Po załatwieniu transakcji zapytał, czy klienta interesują następne zakupy.

W ten sposób poznał Nata Dicksteina.

Niebawem zmienił teren działań - najpierw przeniósł się do Kairu króla Faruka, później do Szwajcarii. Kontrakt z Izraelczykami stał się dlań punktem zwrotnym. Porzucił wówczas interesy całkowicie nielegalne na rzecz takich, które w najgorszym razie bywały mętne, w najlepszym zaś - dziewiczo czyste. Obecnie określał

się mianem agenta żeglugowego, i choć istotnie sprawy transportu morskiego obchodziły go najbardziej, interesował się też innymi.

Nie miał adresu. Można doń było dotrzeć dzięki tuzinowi numerów telefonicznych w rozrzuconych po całym świecie miejscach, a jakkolwiek nigdy akurat go nie było - ktoś zawsze przyjmował wiadomość, przekazywał ją Papagopulosowi, ten zaś po pewnym czasie oddzwaniał. Szczególnie w branży morskiej znało go i ufało mu wielu ludzi, bo nigdy nikogo nie zawiódł, ale zarówno znajomość, jak i zaufanie opierało się przeważnie na reputacji, nie zaś na kontaktach osobistych. Żył dostatnio, lecz spokojnie i Nat Dickstein należał do nielicznych, którzy wiedzieli o jego jedynej słabostce - upodobaniu do spania z kilkoma dziewczynami naraz. Dwie czy trzy mu nie wystarczały - musiało ich być dziesięć czy dwanaście. Nie miał poczucia humoru.

Dickstein wysiadł z autobusu przy dworcu kolejowym, gdzie na chodniku oczekiwał go Papagopulos. Był to wielki mężczyzna o oliwkowej skórze i rzadkich ciemnych włosach, zaczesanych na rozszerzający się placek łysiny. Tego pogodnego letniego dnia miał na sobie granatowe ubranie, jasnoniebieską koszulę i granatowy krawat w paski. Jego oczy były malutkie i ciemne.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Jak interesy? - zapytał Dickstein.

- Raz lepiej, raz gorzej - odparł z uśmiechem Papagopulos. - Na ogół nie narzekam.

Kiedy szli czystymi ulicami Zurychu, wyglądali jak dyrektor i jego księgowy. Dickstein nabrał w płuca rzeńskiego powietrza.

- Lubię to miasto - oświadczył.

- Zarezerwowałem stolik w "Veltliner Keller" na starym mieście - powiedział Papagopulos. - Wiem, że sprawy jedzenia są ci obojętne, ale mnie nie.

- Byłeś na Pelikanstrasse? - zapytał Dickstein.

- Tak.

- Doskonale.

Na Pelikanstrasse mieściło się zuryjskie biuro Liberian Corporation Services Inc. i Dickstein chciał, aby Papagopulos tam poszedł i zarejestrował się jako prezes i dyrektor Savile Shipping. Usługa ta miała kosztować dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich przelanych z konta Mosadu w banku szwajcarskim na konto Papagopulosa znajdujące się w tym samym oddziale tego samego banku, dzięki czemu transakcja była niezwykle trudna do wyśledzenia.

- Ale nie obiecywałem nic więcej - powiedział Papagopulos. - Możesz stracić swoje pieniądze.

- Jestem pewien, że ulokowałem je dobrze.

Dotarli do restauracji. Dickstein spodziewał się, że Papagopulos będzie w niej doskonale znany, gdy jednak zachowanie szefa sali tego nie potwierdziło, zreflektował się: oczywiście, ktoś miałby cokolwiek o nim wiedzieć.

Zamówili jedzenie i coś do picia. Dickstein stwierdził z ubolewaniem, że miejscowe białe wino szwajcarskie jest wciąż lepsze od izraelskiego.

Podczas posiłku Dickstein wyjaśniał Papagopulosowi, na czym mają polegać jego obowiązki jako prezesa Savile Shipping.

- Po pierwsze: kupisz mały szybki statek - tysiąc do tysiąca pięciuset ton z nieliczną załogą, po czym zarejestrujesz go w Liberii. - Wiązało się to z kolejną wizytą na Pelikanstrasse i uiszczeniem opłaty wynoszącej około dolara za tonę. - Jako agent weź prowizję od transakcji. Następnie daj statkowi popracować i od tego też wypłać sobie prowizję. Nie interesuje mnie, co z nim będziesz robić, byle najpóźniej do siódmego października dobił do Hajfy. Zwolnij załogę. Zanotujesz to?

Papagopulos uśmiechnął się.

- Raczej nie.

Sens odpowiedzi był dla Dicksteina jasny. Papagopulos słuchał, ale bynajmniej nie był jeszcze zdecydowany. Dickstein ciągnął dalej.

- Po drugie: kup którykolwiek ze statków, wymienionych na tej liście. - Podał Papagopulosowi kartkę, na której prócz nazw czterech siostrzanych jednostek "Coparellego" widniały nazwiska armatorów i ostatnie dane dotyczące pobytu statków, czyli informacje uzyskane od Lloyda. - Zaoferuj taką cenę, jaka okaże się

niezbędna. Muszę mieć jeden z nich. Weź prowizję. Odstaw statek do Hajfy na siódmego października. Zwolnij załogę.

Papagopulos z obojętną miną jadł mus czekoladowy. Odłożył łyżeczkę i osadziwszy na nosie okulary w złotej oprawce przestudiował listę. Potem bez komentarza złożył ją na pół i położył na stole.

Dickstein podał mu drugą kartkę.

- Po trzecie: kup ten statek, nazywa się "Coparelli". Zakupu jednak musisz dokonać w dokładnie określonym momencie. Siedemnastego listopada, w niedzielę, wypływa z Antwerpii. Trzeba go kupić po wyjściu z portu i zanim przebędzie Cieśninę Gibraltarską.

Na twarzy Papagopulosa odmalowało się powątpiewanie.

- Cóż...

- Chwileczkę, pozwól, że skończę. Po czwarte: na początku roku sześćdziesiątego dziewiątego sprzedaj statek numer jeden, ten mały, i statek numer trzy - "Coparelli". Dostaniesz ode mnie certyfikat, że statek numer dwa poszedł na złom. Następnie prześlesz certyfikat do Lloyda i zlikwidujesz Savile Shipping. - Dickstein uśmiechnął się i wypił łyk kawy.

- Chodzi ci o to, żeby jeden statek zniknął bez śladu.

Dickstein przytaknął. Papagopulos był wyjątkowo bystry.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę - ciągnął Papagopulos - że wszystko to jest legalne, wyjąwszy kupno "Coparellego" podczas rejsu. Normalna procedura sprzedaży statku wygląda następująco: po negocjacjach ustala się cenę i sporządza umowę. Następnie statek idzie do suchego doku na przegląd, a w wypadku, gdy jego stan zostanie uznany za zadowalający, podpisuje się dokumenty, przekazuje pieniądze i nowy właściciel zabiera jednostkę z suchego doku. Zakup statku na morzu wiąże się z pogwałceniem wszystkich tych reguł.

- Ale nie jest niemożliwy.

- Nie, nie jest niemożliwy.

Dickstein obserwował rozmówcę. Papagopulos zastanawiał się, błędząc gdzieś zamyślonym spojrzeniem. Był to dobry znak. Wreszcie powiedział:

- Musimy rozpocząć negocjacje, uzgodnić cenę i ustalić datę przeglądu na okres po zakończeniu listopadowego rejsu. Potem, kiedy statek wyjdzie już w morze, oznajmimy, że nabywca musi wydać pieniądze natychmiast, na przykład ze względów podatkowych. Kupujący będzie musiał wprawdzie ubezpieczyć jednostkę na wypadek wszelkich poważnych napraw, których konieczność może wykazać przegląd... lecz sprzedającego to nie obchodzi. Obchodzi go natomiast jego reputacja jako armatora. Zażąda stuprocentowej gwarancji, że ładunek zostanie dostarczony na miejsce przez nowego właściciela "Coparellego".

- Czy gwarancja oparta na twojej osobistej reputacji będzie przedstawiać dla niego jakąś wartość?

- Oczywiście. Czemu jednak miałbym udzielać takich gwarancji?

Dickstein spojrzał mu prosto w oczy.

- Mogę obiecać, że właściciel ładunku nie złoży żadnych reklamacji.

Papagopulos rozłożył ręce.

- To oczywiste, że szykujesz jakiś szwindel. Ja mam ci służyć tylko za parawan. Na to mogę się zgodzić. Ale chcesz również, bym położył na szali swą reputację i dajesz słowo, że nie poniesie szwanku?

- Tak. Posłuchaj, chcę ci zadać jedno pytanie. Kiedyś już zaufałeś Izraelczykom, pamiętasz?

- Oczywiście.

- Czy kiedykolwiek tego żałowałeś?

Papagopulos uśmiechnął się na wspomnienie starych czasów.

- Była to najsensowniejsza decyzja, jaką podjąłem w życiu.

- A zatem, czy gotów nam jesteś ponownie zaufać? - Dickstein wstrzymał oddech.

- Wtedy było o wiele mniej do stracenia. Miałem... trzydzieści pięć lat. Co więcej, nieźle się wówczas ubawiłem. Cóż, to chyba najbardziej intrygująca propozycja, jaką dostałem od dwudziestu lat. Do diabła, zrobię to.

Dickstein podał mu przez stół rękę, a ten ją uściskał. Kelnerka przyniosła im do kawy miseczkę szwajcarskich czekoladek. Papagopulos zjadł jedną, Dickstein nie miał ochoty.

- Teraz szczegóły - powiedział. - Otwórz konto Savile Shipping w swoim tutejszym banku. W miarę potrzeb ambasada będzie dokonywać przelewów. Melduj mi o wszystkim, pozostawiając listy w banku. Będzie je odbierał ktoś z ambasady. W razie gdybyśmy się musieli spotkać, skorzystamy z twoich stałych numerów telefonicznych.

- Zgoda.

- Cieszę się, że znów razem będziemy robić interesy.

Papagopulos zamyślił się.

- Statek numer dwa to siostrzana jednostka "Coparellego" - powiedział w zadumie. - Chyba zgaduję, do czego zmierzasz. Jest jeszcze coś, co chciałbym wiedzieć, chociaż jestem pewien, że mi tego nie powiesz. Jaki, do cholery, ładunek będzie przewozić "Coparelli" - uran?

Piotr Tyrin posępnie spojrzał na "Coparellego" i oświadczył:

- Cóż to za brudna stara łajba.

Rostow nie odpowiedział. Siedzieli w wynajętym fordzie stojącym na molo, nie opodal doków w Cardiff. Trutnie z moskiewskiej Centrali poinformowały ich, że tu właśnie przybije dzisiaj "Coparelli", i teraz obserwowali cumowanie statku. "Coparelli" miał wyładować szwedzkie drewno, a wziąć drobny sprzęt mechaniczny i wyroby bawełniane, co wiązało się z kilkudniowym postojem.

- Przynajmniej pomieszczenia załogi są na rufie, a nie w dziobówce - wymamrotał do siebie Tyrin.

- Nie jest aż tak stary - powiedział Rostow.

Tyrina zaskoczył fakt, że Rostow wie, co ma na myśli. Nie po raz pierwszy zresztą Rostow zaskoczył go wiedzą na różne tematy. Nik Bunin zapytał z tylnego siedzenia auta:

- To przód czy tył tej łódki?

Rostow i Tyrin popatrzyli po sobie, ubawieni ignorancją Nika.

- Tył - wyjaśnił Tyrin. - Nazywamy to rufą.

Padalo. Walijski deszcz był jeszcze bardziej dokuczliwy i monotony niż angielski, a przy tym chłodniejszy. Piotr Tyrin czuł się podle. Tak się składało, że miał za sobą dwuletnią służbę w radzieckiej marynarce wojennej i to właśnie plus jego wiedza elektroniczna i radiowa czyniło zeń oczywistego kandydata na wtyczkę wśród członków załogi statku "Coparelli". Nie chciał wracać na morze. W gruncie rzeczy wstąpił do KGB tylko po to, by wydostać się z marynarki. Nie znosił wilgoci, chłodu, dyscypliny i serwowanego na statku jedzenia. Poza tym w moskiewskim mieszkaniu zostawił milutką, spokojną żonę, za którą bardzo tęsknił.

Oczywiście odmówienie Rostowowi nie wchodziło w grę.

- Wsadzimy cię jako radiooperatora, ale na wszelki wypadek będziesz musiał wziąć własny sprzęt - powiedział Rostow.

Tyrin zastanawiał się, jak też operacja zostanie przeprowadzona. Wyobrażał sobie, że najpierw należy odszukać radiooperatora ze statku, dać mu w łeb, wrzucić do wody, a potem zjawić się na pokładzie i oświadczyć: "Słyszałem, że potrzebujecie nowego radiooperatora". Bez wątpienia jednak Rostow wymyślił coś znacznie subtelniejszego, w końcu nie bez kozery został pułkownikiem.

Zamieszanie na pokładzie ucichło i maszyny "Coparellego" zamarły. Pięciu czy sześciu roześmianych hałaśliwych marynarzy zeszło po trapie i skierowało się do miasta. Rostow polecił:

- Nik, sprawdź, do jakiego idą pubu.

Bunin wysiadł z auta i pospieszył za marynarzami.

Tyrin spoglądał w ślad za nim. Cała ta scena działała nań przygnębiająco: sylwetki w kurtkach z podniesionymi kołnierzami przemierzające wilgotne betonowe molo, odgłosy buczących holowników zmieszane z donośnymi komendami pokładowymi i brzękiem rozwijanych i nawijanych łańcuchów, sterty palet, żurawie sterczące jak wartownicy, zapach ropy, lin i słonej mgły. Przeniósł się myślą do swego mieszkania w Moskwie, fotela przed olejowym grzejnikiem, razowca i słonej ryby, chłodzącego się w lodówce piwa i wódki oraz spędzanych przed telewizorem wieczorów.

Nie potrafił dzielić z Rostowem jego niepoohamowanej radości z przebiegu operacji. Znowu nie mieli pojęcia, gdzie podziewa się Dickstein, choć - ściśle rzecz biorąc - nie tyle go zgubili, ile sami pozwolili, aby się zgubił. Była to decyzja Rostowa, który obawiał się, że spłoszy Dicksteina, jeśli zacznie mu deptać po piętach. - Będziemy obserwować "Coparellego" i Dickstein sam do nas przyjdzie - powiedział Rostow. Hasan próbował oponować, lecz Rostow postawił na swoim. Tyrin, który nie uczestniczył w podejmowaniu tych strategicznych decyzji, był zdania, że rację ma Rostow, choć brakuje powodów do aż takiej pewności siebie.

- Twoje pierwsze zadanie polega na tym, żeby się zaprzyjaźnić z członkami załogi - powiedział Rostow, przerywając tok myśli Tyrina. - Jesteś radiooperatorem. Miałeś mały wypadek na swojej ostatniej jednostce, "Christmas Rose"; a mianowicie złamałeś rękę i pozostawiono cię w Cardiff do wyzdrowienia. Armator dał ci solidną odprawę. Balujesz na całego, póki cię na to stać. Wspomnisz mimochodem, że kiedy wydasz wszystkie pieniądze, będziesz szukał nowej roboty. Na tym etapie musisz ustalić dwie rzeczy: tożsamość radiooperatora oraz dzień i godzinę wyjścia statku w morze.

- Doskonale - powiedział Tyrin, choć sytuacja wcale nie rysowała się aż tak zachęcająco. Bo jak niby ma się z tymi ludźmi zaprzyjaźnić? Nie uważał się za dobrego aktora. Czy będzie musiał odgrywać rolę brata-łaty? A jeśli załoga uzna go za nudziarza cierpiącego na samotność, gościa, który usiłuje przykleić się do wesołej kompanii? Co będzie, jeśli go po prostu nie polubią?

W zamyśleniu skrzyżował szerokie ramiona. Tak, albo akcja się powiedzie, albo też znajdzie się powód, dla którego w ogóle nie będzie musiał jej zaczynać. Mógł tylko obiecać, że dołoży starań, aby wszystko wyszło jak najlepiej.

Wrócił Bunin. Rostow powiedział:

- Przesiądź się do tyłu, poprowadzi Nik.

Tyrin wysiadł i przytrzymał przed Buninem drzwi. Twarz młodego człowieka była mokra od deszczu. Uruchomił samochód, a Tyrin usiadł z tyłu. Kiedy ruszyli, Rostow odwrócił się do Tyrina i podał mu zwitek banknotów.

- Tu masz sto funtów. Nie musisz oszczędzać.

Bunin zatrzymał wóz obok małego portowego pubu na rogu ulicy. Łagodnie kołysana wiatrem tablica informowała: "Kapitańskie piwko". Za szybami z matowego szkła jarzyły się przyćmione, żółte światła. Wcale nie najgorsze miejsce w taki parszywy dzień, pomyślał Tyrin.

- Jakiej narodowości jest załoga? - zapytał nagle.

- Szwedzi - odparł Bunin.

Wedle fałszywych dokumentów Tyrin był Austriakiem.

- W jakim języku mam z nimi rozmawiać?

- Wszyscy Szwedzi znają angielski - powiedział Rostow. Zapadła cisza. Po chwili Rostow rzucił: - Masz jeszcze jakieś pytania? Chcę wracać do Hasana, zanim zdąży coś naknocić.

- Nie mam. - Tyrin otworzył drzwi samochodu.

- Odezwij się, kiedy wrócisz wieczorem do hotelu. Bez względu na porę - polecił Rostow.

- Jasne.

- Powodzenia.

Tyrin zatrzasnął drzwiczki i przeciął ulicę kierując się do pubu. Był już przy wejściu, gdy drzwi się otworzyły i wyszedł jakiś klient. Zgłębi wionął ciepły zapach piwa i dymu tytoniowego. Tyrin wszedł do środka.

Knajpa była mała i obskurna, z twardymi drewnianymi ławami wzdłuż ścian i przytwierdzonymi do podłogi plastikowymi stołami. W kącie czterech marynarzy grało w strzałki, piąty zaś hałaśliwie kibicował im z baru.

Barman skinął Tyrinowi głową.

- Dzień dobry - powiedział Tyrin. - Duże jasne, podwójna whisky i kanapka z szynką.

Marynarz przy barze odwrócił się i powitał Tyrina przyjaznym gestem. Tyrin odpowiedział uśmiechem.

- Weszliście teraz?

- Tak. "Coparelli" - odparł marynarz.

- "Christmas Rose" - powiedział Tyrin. - Odplynęła beze mnie.

- Miałeś fart.

- Złamałem rękę.

- I co z tego? - powiedział. - Szklaneczkę możesz utrzymać w drugiej.

- Dobrze powiedziane - uznał Tyrin. - Ja stawiam. Co pijesz?

Dwa dni później wciąż jeszcze pili. Towarzystwo wprawdzie się zmieniało, bo jedni marynarze wracali na wachtę, a przychodzili inni, którzy właśnie zeszli na ląd, był też krótki okres - pomiędzy czwartą rano a godziną otwarcia lokali - kiedy w całym mieście ani legalnie, ani na lewo nie można było kupić grama alkoholu, lecz mimo to nieustający pijacki maraton trwał nadal. Tyrin już zdążył zapomnieć, jak potrafią pić marynarze. Z lękiem myślał, że będzie miał kaca, ale i tak był szczęśliwy, że nie zabrnął w sytuację, która zmusiłaby go do skorzystania z usług prostytutki: wprawdzie Szwedów interesowały kobiety, ale dziwki ich nie pociągały. Tyrin nigdy nie zdołałby przekonać żony, że złapał chorobę weneryczną w służbie Matuszki Rosji. Szwedzi mieli za to pociąg do hazardu. Tyrin przepuścił w pokera jakieś pięćdziesiąt funtów z pieniędzy KGB. Tak się zbratał z załogą "Coparellego", że poprzedniej nocy, o drugiej nad ranem, zaprosili go na pokład. Kiedy padł i zasnął w przejściu do mesy, pozwolili mu zostać do ósmej.

Dziś miało być inaczej. "Coparelli" odplywa nazajutrz podczas porannego przyływu, toteż wszystkim oficerom i marynarzom rozkazano stawić się na pokładzie

przed północą. Było dziesięć po jedenastej wieczorem. Właściciel pubu krzątał się po sali, zbierał szklanki i opróżniał popielniczki. Tyrin grał w domino z radiooperatorem Larsem. Właściwie zrezygnowali z gry i tylko zabawiali się ustawianiem kostek pionowo, jedna obok drugiej. Wygrywał ten, kto zdołał ustawić ich więcej, nie przewracając całego szeregu. Lars był bardzo pijany, ale Tyrin tylko udawał. Przerazało go to, co musiał zrobić za kilka minut.

Właściciel pubu zawołał:

- Zamykamy, panowie! Dziękuję na dziś.

Tyrin przewrócił swój szereg i wybuchnął śmiechem. Lars wybełkotał:

- Widzisz... jestem mniejszym pijakiem niż ty.

Marynarze zaczęli wychodzić. Tyrin i Lars też wstali. Tyrin objął Larsa za ramiona i razem wytoczyli się na ulicę.

Nocne powietrze było wilgotne i chłodne. Tyrina przeniknął dreszcz. Od tej chwili nie wolno mu odstępować Larsa ani na krok, musi z nim ciągle rozmawiać. Mam nadzieję, że Nik zdąży na czas, pomyślał. Mam nadzieję, że wóz nie nawali.

A potem: Mam nadzieję, że Lars nie zginie.

Zaczął zagadywać Larsa, wypytując go o dom i rodzinę. Przez cały czas uważał, aby iść o kilka kroków za resztą marynarzy.

Jakaś blondynka w mini mijając ich pomacała swą lewą pierś.

- Cześć, chłopaki, może tak przytulanko?

Nie dziś, kochanie, pomyślał Tyrin, nie zwalniając kroku. Nie może Larsowi pozwolić na żadne postoje i rozmowy. Teraz już czas był ściśle odmierzony. Nik, do cholery, gdzie jesteś?

Tam. Zbliżyli się do granatowego forda capri 2000, parkującego bez świateł przy krawężniku. Błysnęła i natychmiast zgasła lampka pod sufitem, ale Tyrinowi wystarczył jeden rzut oka, aby rozpoznać rysy mężczyzny za kierownicą: był nim Nik Bunin. Tyrin wyjął z kieszeni biały beret i włożył go na głowę. To był sygnał, aby

Bunin zaczynał. Gdy marynarze nieco się oddalili, wóz ruszył i odjechał w kierunku, z którego nadeszli. To już zaraz.

- Mam narzeczoną - powiedział Lars.

- Nie, tylko o tym nie zaczynaj.

Lars zachichotał.

- A ona ma... wściekliznę macicy.

- Ożenisz się z nią? - Tyrin nasłuchiwał i z natężeniem wpatrywał się przed siebie. Rozmowę podtrzymywał tylko po to, by nie pozwolić Larsowi oddalić się na cał.

Lars spojrział z ukosa.

- Po kiego?

- Wierna?

- No, lepiej żeby była, bo inaczej poderżnę jej gardło.

- Myślałem, że wy Szwedzi, wierzycie w wolną miłość. - Tyrin wypowiedział pierwszą lepszą myśl, która mu przyszła do głowy.

- Wolna miłość, w porządku. Ale lepiej, żeby się nie puszczała.

- Rozumiem.

- Zaraz ci wytłumaczę...

Ruszaj, Nik. Miejmy to już za sobą...

Jeden z idących na przedzie marynarzy przystanął, żeby się wysikać do rynsztoka. Wszyscy stanęli wokół niego, posypały się rubaszne uwagi. Tyrin popędzał go w myślach - upływał przecież uzgodniony czas - ale wyglądało na to, że będzie to trwać wiecznie. Wreszcie marynarz skończył i wszyscy ruszyli.

Tyrin usłyszał warkot silnika. Zdrętwiał.

- Co się stało? - zapytał Lars.

- Nic. - Tyrin dostrzegł reflektory. Samochód nie zmieniając prędkości zbliżał się do nich środkiem ulicy. Marynarze zeszli na chodnik. Coś u niego grało, to powinno wyglądać inaczej, nic z tego nie wyjdzie! Tyrin w jednej chwili stracił orientację, ogarnęła go panika... ale wtedy dojrzał sylwetkę auta w blasku latarni i pojął, że nie jest to samochód, na który czeka, lecz policyjny radiowóz patrolowy. Przejechał obok nich.

Ulica wychodziła na wyłożony kocimi łbami obszerny, pusty plac. Nie było tam żadnego ruchu. Marynarze powędrowali środkiem. Teraz. Ruszaj. Byli w połowie drogi. Ruszaj!

Z piskiem opon i włączonymi długimi światłami samochód wypadł zza rogu na plac. Tyrin wzmocnił chwyt na ramieniu Larsa. Auto jechało zygzakiem.

- Pijany - powiedział ochryple Lars.

Był to ford capri. Skręcił w stronę idących przodem marynarzy; przestali się śmiać i klnąc rozpięchli się jak stadko kuropatw. Samochód zawrócił, zatoczył łuk i z rosnącą szybkością pędził wprost na Tyrina i Larsa.

- Uważaj! - wrzasnął Tyrin.

Kiedy wóz był prawie tuż-tuż, Tyrin szarpnął Larsa, pozbawiając go równowagi, sam zaś rzucił się w bok. Rozległ się nieprzyjemny głuchy odgłos, potem krzyki brzęk tłuczonego szkła. Samochód pojechał dalej.

Zrobione, pomyślał Tyrin. Ciężko dźwignął się na nogi i poszukał wzrokiem Larsa. Marynarz leżał w odległości kilku stóp. W świetle lalami lśniła krew. Lars jęknął. Żyje, pomyślał Tyrin; dzięki Bogu.

Samochód zwolnił. Słał w ciemności tylko jeden snop światła - zapewne miał stłuczony reflektor, którym uderzył Larsa, pomyślał Tyrin. Przez chwilę wóz jechał na luzie, jak gdyby kierowca się wahał, a potem nabrał prędkości i zniknął w mroku.

Tyrin pochylił się nad Larsem, otoczyli ich pozostali marynarze. Rozmawiali po szwedzku. Tyrin dotknął nogi Larsa, który zawył z bólu.

- Chyba ma złamaną nogę - powiedział Tyrin. Dzięki Bogu, że na tym się skończyło.

W budynkach wokół placu tu i ówdzie zapaliły się światła. Jeden z oficerów rzucił jakieś polecenie i najniższy stopniem marynarz pobiegł ku domom zapewne po to, by przez telefon wezwać karetkę. Znowu nastąpiła ożywiona wymiana zdań i inny pospieszył w kierunku portu.

Lars krwawił, jednak niezbyt obficie. Oficer pochylił się nad nim. Nikomu nie pozwolił dotknąć nogi rannego.

Karetką przyjechała po kilku minutach, które Tyrinowi wydały się wiecznością: nigdy nie zabił człowieka i nie chciał zabijać.

Ułożono Larsa na noszach. Oficer wsiadł do karetki, a potem zwrócił się do Tyrina:

- Lepiej, żebyś też z nami pojechał.

- Dobrze.

- Myślę, że ocaliłeś mu życie.

- Naprawdę?

Wsiadł do karetki razem z oficerem.

Kiedy mknęli po wilgotnych ulicach, niebieski migacz na dachu karetki smagał budynki nieprzyjemną poświatą. Tyrin siedział z tyłu; nie był w stanie spojrzeć na Larsa ani na oficera, nie chciał patrzeć przez okno jak jakiś turysta, nie wiedział na co skierować wzrok. W służbie ojczyzny i pułkownika Rostowa robił wiele złych rzeczy - nagrywał rozmowy kochanków, by uzyskać narzędzie szantażu, szkolił terrorystów w produkcji bomb, brał udział w porwaniach ludzi, których później torturowano - lecz nigdy nie był zmuszony jechać karetką razem ze swoją ofiarą. To było wstrętne.

Podjechali pod szpital. Sanitariusze wnieśli nosze do środka, Tyrinowi zaś i oficerowi wskazano miejsce, gdzie mieli czekać. I nagle krzątanina ustała. Zostali sam na sam ze swoim niepokojem. Tyrin popatrzył na elektryczny szpitalny zegar i stwierdził ze zdumieniem, że jeszcze nie minęła północ. A jemu się wydawało, że od wyjścia z pubu upłynęło wiele godzin.

Czekali długo, nim wreszcie ukazał się lekarz.

- Ma złamaną nogę i stracił trochę krwi - powiedział. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. - Szkoda, że ma w organizmie tak wiele alkoholu. Ale jest młody, silny i zdrowy. Noga się zrośnie i za kilka tygodni znów będzie sprawny.

Tyrin poczuł ogromną ulgę. Uświadomił sobie, że dygoce.

Oficer powiedział:

- Nasz statek odbija rano.

- On z wami nie popłynie - odparł lekarz. - Czy kapitan przyjedzie?

- Posłałem po niego.

- Dobrze. - Lekarz odwrócił się i wyszedł.

Kapitan przybył jednocześnie z policją. Rozmawiał po szwedzku z oficerem, kiedy Tyrin podawał młodemu sierżantowi mglisty opis samochodu.

Potem kapitan podszedł do Tyrina.

- Rozumiem, że ocalił pan Larsa przed czymś znacznie gorszym.

Tyrin miał już dość powtarzania tego w kółko.

- Próbowałem go odciągnąć, ale upadł. Był bardzo pijany.

- Horst mówi, że jest pan chwilowo bez przydziału.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Jest pan wykwalifikowanym radiooperatorem?

- Tak.

- Potrzebuję kogoś, kto zastąpiłby biednego Larsa. Chciałby pan wypłynąć z nami rano?

- Wycofuję cię - oświadczył Pierre Borg.

Dickstein zbladł. Wpatrywał się w szefa.

- Chcę, żebyś wrócił do Tel-Awiwu i pokierował operacją z gabinetu - dodał Borg.

- Odpieprz się - odparł Dickstein.

Stali nad brzegiem jeziora w Zurychu. Na wodzie roło się od łodzi, ich barwne żagle łagodnie łopotały w szwajcarskim słońcu.

- Bez dyskusji, Nat. - powiedział Borg.

- Jasne, Pierre. Nie dam się wycofać. Kropka.

- To rozkaz.

- A ja ci mówię, żebyś się odpieprzył.

- Posłuchaj - Borg głęboko zaczerpnął powietrza. - Twój plan jest już całkowicie opracowany. Jego jedyny słaby punkt polega na tym, że jesteś spalony: przeciwnik wie, że coś robisz, więc próbuje cię znaleźć i pokrzyżować ci szyki. Nadal będziesz kierować operacją, ale nie możesz rzucać się w oczy.

- Nie - powiedział Dickstein. - To nie jest akcja, którą można przeprowadzić zza biurka, naciskając guziczki. Jest zbyt złożona i ma za wiele rozwiązań wariantowych. Muszę być na miejscu, żeby podejmować natychmiastowe decyzje. - Przerwał i zaczął się zastanawiać: Dlaczego chcę to robić osobiście? Czy naprawdę jestem jedynym człowiekiem w Izraelu, który to potrafi? A może chcę tylko zebrać laury?

Borg nie ukrywał, co myśli.

- Tylko nie próbuj zgrywać bohatera, Nat. Jesteś na to za cwany. Jesteś zawodowcem: wykonujesz rozkazy.

Dickstein potrząsnął głową.

- Powinieneś chwilę pomyśleć, zanim spróbujesz ze mną tej śpiewki. Pamiętaj, co sądzą Żydzi o ludziach, którzy wykonują wszystkie rozkazy?

- W porządku, więc byłeś w obozie koncentracyjnym... ale nie daje ci to jeszcze prawa, by przez resztę życia robić wszystko, co ci strzeli do łba!

Dickstein machnął lekceważąco ręką.

- Nie możesz mnie zatrzymać. Możesz tylko wycofać poparcie. Ale w ten sposób nie zdobędziesz swojego uranu, bo nie mam zamiaru nikogo wtajemniczać, jak tego dokonać.

- Chyba mówisz poważnie, ty skurwysynu - rzekł Borg, patrząc nań spode łba.

Dickstein popatrzył na twarz Borga. Miał kiedyś żenujące przeżycie: był świadkiem jego kłótni z kilkunastoletnim synem, Danem. Chłopiec zaciął się w ponurej pewności swych racji, a Borg usiłował mu wyjaśnić, że uczestnictwo w marszach pokojowych jest nielojalne wobec ojca, matki, kraju i Boga; perorował tak długo, że w końcu sam zaczął się dławić własną wściekłością. Dan - tak jak Dickstein - umiał się przeciwstawić naciskowi, Borg zaś nigdy nie opanował sztuki postępowania z ludźmi, których zastraszyć nie można.

Teraz Borg powinien poczerwieniec i wybuchnąć wrzaskiem. Dickstein jednak pojął, że do tego nie dojdzie. Borg zachowywał spokój.

Uśmiechnął się złośliwie i oświadczył:

- Słyszałem, że pieprzysz jedną z agentek przeciwnika.

Dicksteina zatkało. Czuł się tak, jakby zniecka dostał w kark ciężkim młotem. Tego się nie spodziewał. Ogarnęło go irracjonalne poczucie winy, jak chłopaka przyłapanego na masturbacji; wstyd, zażenowanie, wrażenie, że coś zostało splugawione. Suza - to była jego najbardziej prywatna sprawa, zajmowała w jego życiu miejsce szczególne, oddzielone od reszty, a teraz Borg ją stamtąd wyciągnął i wystawiał na widok publiczny: Popatrzcie, co ten Nat wyprawia?

- Nie - powiedział Dickstein bezbarwnym głosem.

- Przedstawię ci podstawowe fakty - rzekł Borg. - Jest Arabką, córką faceta o poglądach proarabskich, podróżuje po całym świecie, wykonując zawód, który umożliwia jej szerokie kontakty, a agent Jasif Hasan, który namierzył cię w Luksemburgu, jest jednym z przyjaciół rodziny.

Dickstein przysunął się do Borga i wbił mu w oczy wściekłe spojrzenie; poczucie winy przerodziło się w złość.

- I to już wszystko?

- Wszystko? Co do cholery masz na myśli, mówiąc “wszystko”? Dotychczas takie dowody wystarczały ci do rozwalania ludzi!

- Ale nie ludzi, których znałem.

- Wycisnęła z ciebie jakieś informacje?

- Nie! - ryknął Dickstein.

- Złóscisz się, bo wiesz, że zrobiłeś błąd.

Dickstein odwrócił się i spojrzał na jezioro, usiłując się opanować; to Borg mógł być wściekły, nie on. Po dłuższej pauzie powiedział:

- Tak, jestem zły, bo popełniłem błąd. To ja powinienem był ci o niej powiedzieć; szkoda, że stało się odwrotnie. Rozumiem, jak to z pozoru musi wyglądać...

- Z pozoru? Chcesz powiedzieć, że według ciebie nie jest agentką?

- Sprawdzałeś przez Kair?

Borg parsknął nieszczerym śmiechem.

- Mówisz tak, jakby cały Kair należał do mojej siatki wywiadowczej. Nie mogę po prostu zadzwonić i powiedzieć, żeby zajrzeli do jej akt, a ja poczekam przy aparacie.

- Ale masz bardzo dobrego podwójnego agenta w wywiadzie egipskim.

- Jaki tam dobry? Wszyscy o nim wiedzą.

- Przestań się zgrywać. Od czasów wojny sześciodniowej nawet gazety trąbią, że masz doskonałych podwójnych w Egipcie. Sęk w tym, że po prostu nie sprawdziłeś.

Borg uniósł dłonie w geście kapitulacji.

- Dobra, sprawdzę ją w Kairze. To trochę potrwa. Tymczasem ty mi piszesz raport z wszystkimi szczegółami swojego planu, a ja skieruję do roboty innych agentów.

Dickstein pomyślał o Alu Cortone i André Papagopolosie: żaden nie z zgodzi się na współpracę z kimś innym.

- To nic nie da, Pierre - powiedziała spokojnie. - Musisz dostać ten uran i tylko ja potrafię to załatwić.

- A jeśli Kair potwierdzi, że jest agentką?

- Jestem pewien, że zaprzeczy.

- Jeśli jednak nie?

- Przypuszczam, że ją zabijesz.

- O nie - Borg wycelował palec w nos Dicksteina, a kiedy przemówił, w jego głosie brzmiała autentyczna złośliwość. - O nie, nie zrobię tego, Dickstein. Jeśli jest agentką, ty ją zabijesz.

Dickstein powolnym ruchem ujął nadgarstek Borga i odsunął sterczący palec sprzed swojej twarzy.

- Tak. Pierre, zabiję ją.

Drżenie w jego głosie było prawie nieuchwytnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W barze lotniska Heathrow Dawid Rostow zamówił następną kolejkę i postanowił podjąć ryzykowną grę z Jasifem Hasanem. Problem wciąż polegał na tym, jak powstrzymać Hasana od wypapłania izraelskiemu podwójnemu agentowi z Kairu wszystkiego, co wie. I Rostow, i Hasan właśnie wracali, aby złożyć okresowe meldunki, decyzję więc należało podjąć już teraz. Rostow zamierzał wtajemniczyć Hasana we wszystko, a potem odwołać się do jego profesjonalizmu - jakkolwiek ten profesjonalizm był. Można też było sprowokować Hasana, ale chwilowo Rostow wolał w nim widzieć sprzymierzeńca niż podejrzanego przeciwnika.

- Spójrz na to - powiedział, podając Hasanowi rozszyfrowaną depezę.

DO: Pułkownika Rostowa via Rezydentura w Londynie

OD: Centrali w Moskwie

DATA: 3 września 1968

Towarzyszu Pułkowniku,

W odpowiedzi na waszą depezę g/35-21a z żądaniem dalszych informacji na temat każdego z czterech statków, wymienionych w naszej depeży r/35-21:

Statek motorowy "Stromberg", 2500 ton, własność i rejestracja holenderska, zmienił ostatnio armatora. Został kupiony za sumę 1500000 DM przez niejakiego Andre Papagopulos, agenta żeglugowego, w imieniu Savile Shipping Corporation z Liberii. Firma Savile Shipping została zarejestrowana 6 sierpnia bieżącego roku w nowojorskim biurze Liberian Corporation Services Inc. z kapitałem zakładowym w wysokości pięciuset dolarów. Akcjonariuszami są: pan Li Czang, prawnik nowojorski, i pan Robert Roberts, posługujący się w korespondencji adresem kancelarii pana Czanga. Trzej dyrektorzy zostali zgłoszeni zgodnie z obowiązującymi zwyczajami przez Liberian Corporation Services i nazajutrz po uprawomocnieniu się spółki podali się - znów, jak to jest w zwyczaju - do dymisji. Obowiązki prezesa i dyrektora przejął wspomniany uprzednio Papagopulos. Saville Shipping nabyła również za 80 000 £ motorowiec "Gil Hamilton" o wyporności 1500 ton.

Nasi ludzie z Nowego Jorku przesłuchali Czanga. Oznajmił, że "pan Roberts" przyszedł do jego kancelarii z ulicy, nie podał adresu, a honorarium uiścił gotówką. Wydaje się, że jest Anglikiem. Dysponujemy szczegółowym opisem, który jednak nie na wiele może się przydać.

Papagopulos jest nam znany. To bogaty międzynarodowy biznesmen nieokreślonego pochodzenia. Usługi żeglugowe stanowią główne pole jego działalności. Krąży opinia, że często prowadzi interesy na pograniczu prawa. Nie dysponujemy jego adresem. Teczka Papagopulos zawiera obfity materiał, w znacznej części jednak oparty na spekulacjach. Sądzi się, że w 1948 roku współdziałał z wywiadem izraelskim, niemniej nic nie wiadomo o jego sympatiach politycznych.

Nadal zbieramy informacje o innych statkach wymienionych na waszej liście.

Centrala w Moskwie.

Hasan oddał papier Rostowowi.

- Skąd wytrzasnęli te wszystkie historie?

Rostow darł depezę na strzępy.

- To wszystko jest w dokumentach. Sprzedaż "Stromberga" musiała być zgłoszona londyńskiemu Lloydowi. Ktoś z naszego konsulatu w Liberii znalazł w rejestrze dane o Savile Shipping. Nasi nowojorscy agenci wyszukali adres Czanga w książce telefonicznej, a dane Papagopulosa mieliśmy w Moskwie. Nic z tego nic jest tajne, oprócz akt Papagopulosa. Sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, gdzie szukać. Trutnie się w tej sztuce specjalizują. Nie robią nic innego.

Rostow włożył strzępki do dużej szklanej popielnicy i podpałił.

- Wy też powinniście zafundować sobie trutnie - dodał.

- Zdaje się, że jest to w projekcie.

- Sam wystąp z taką propozycją. Na pewno ci to nie zaszkodzi. Może nawet powierzą ci sprawy organizacyjne. Byłby to krok do przodu.

Hasan skinął głową.

- Może to zrobię.

Podano im następną kolejkę: Rostowowi wódkę, Hasanowi dżin. Rostow był zadowolony, że Hasan reaguje pozytywnie na jego pojednawczy wstęp. Uważnie zbadał spopielałe strzępy papieru, by się upewnić, że depeza spłonęła całkowicie.

- Zakładasz więc, że za Savile Shipping Corporation kryje się Dickstein - rzekł Hasan.

- Tak.

- Co zrobimy w sprawie "Stromberga"?

- Cóż... - Rostow opróżnił kieliszek i postawił go na stole. - Przypuszczam, że "Stromberg" jest mu potrzebny po to, by szczegółowo poznać budowę jego siostrzanej jednostki, "Coparellego".

- Byłby to niezmiernie kosztowny plan statku.

- Może potem odsprzedać "Stromberga"... lub też wykorzystać go do uprowadzenia "Coparellego", choć na razie nie wyobrażam sobie, w jaki sposób.

- Czy na "Strombergu" umieścisz kogoś takiego jak Tyrin?

- To bezcelowe. Dickstein na pewno wyrzuci starą załogę i zamustruje marynarzy izraelskich. Muszę wykombinować coś innego.

- Czy wiemy, gdzie teraz przebywa "Stromberg"?

- Postawiłem to pytanie trutniom. Kiedy dotrę do Moskwy, powinny już znać odpowiedź.

Zapowiedziano lot Hasana. Wstał.

- Spotkany się w Luksemburgu?

- Nie jestem pewien. Dam ci znać. Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Usiądź jeszcze na chwilę.

Hasan usiadł.

- Kiedy zaczynaliśmy razem rozpracowywać Dicksteina, byłem do ciebie nastawiony bardzo wrogo. Teraz żałuję i przepraszam. Muszę jednak powiedzieć, że miałem po temu powody. Bo rozumiesz, Kair jest nieszczelny, w egipskiej organizacji wywiadowczej działają podwójni agenci. Martwiłem się i martwię o to, że wszystko, co przekażesz przełożonym, trafi w końcu do Tel-Awiwu; wtedy Dickstein zorientuje się, że depczemy mu po piętach i wyślizgnie się.

- Doceniam twoją szczerłość.

Doceniasz, pomyślał Rostow; jesteś nią zachwycony.

- Teraz jednak, kiedy cię we wszystko wprowadziłem, musimy się zastanowić, jak nie dopuścić, by twoje informacje przeciekły do Tel-Awiwu.

Hasan przytaknął.

- Co radzisz?

- No cóż. Będziesz, oczywiście, musiał powiedzieć o wszystkim, cośmy ustalili, lecz chciałbym, abyś nie wdawał się w szczegóły. Nie podawaj nazwisk, dat, miejsc. Jeśli cię przycisną, zacznij się na mnie uskarżać, powiedz, że tailem przed tobą pewne informacje. Nie rozmawiaj z nikim prócz ludzi, którym masz obowiązek meldować. Nie mów nikomu o Savile Shipping, "Strombergu" czy "Coparellim". A o tym, że umieściliśmy Tyrina na pokładzie "Coparellego", po prostu spróbuj zapomnieć.

Hasan wydawał się zmartwiony.

- To co mi zostanie?

- Mnóstwo. Dickstein, Euratom, uran, spotkanie z Pierre'm i Borgiem... połowa prawdy zrobi z ciebie w Kairze bohatera.

Hasan nie wydawał się przekonany.

- Szczerść za szczerść. Jeśli postąpię według twoich wskazówek to mój raport wypadnie znacznie gorzej od twojego.

- A czy nie powinno tak być? - Uśmiechnął się kwaśno Rostow.

- Powinno - zgodził się Hasan. - Masz w końcu większe zasługi.

- Poza tym nikt prócz nas dwóch nie będzie wiedział, czym różnią się raporty. A twoje zasługi też kiedyś docenią.

- W porządku - powiedział Hasan. - Nie będę podawał szczegółów.

- Świetnie. - Rostow skinął na kelnera. - Masz jeszcze chwilkę wypijmy strzemiennego. - Rozparł się na krześle i założył nogę na nogę. Był zadowolony: Hasan postąpi według wskazówek. - Stęskniłem się za domem.

- Masz jakieś plany?

- Spróbuję z Marią i chłopcami spędzić kilka dni nad morzem. Mamy daczę nad Zatoką Ryską.

- Nieźle.

- Przyjemne miejsce, choć - oczywiście - nie takie ciepłe jak twoje strony. Pojedziesz do Aleksandrii?

Po raz ostatni wezwano przez megafony pasażerów z lotu Hasana i Arab wstał.

- Niestety - powiedział. - Myślę, że przez cały czas będę tkwić w tym zapowietrzonym Kairze.

Rostow doznał osobliwego wrażenia, iż Jasif Hasan kłamie.

Życie Franza Albrechta Pedlera rozsypało się w gruzy, kiedy Niemcy przegrały wojnę. Pięćdziesięcioletni zawodowy oficer Wehrmachtu stał się nagle człowiekiem bezdomnym, bez pracy i grosza przy duszy. Wobec tego, jak miliony innych Niemców, zaczął wszystko od nowa.

Został komiwojazerem u francuskiego producenta farb: niska prowizja, żadnej stałej pensji. W roku 1946 klientów było niewiele, lecz w 1951, gdy przemysł niemiecki zaczął stawać na nogi i wszystko powoli szło ku lepszemu, Pedler miał już mocną pozycję i mógł skorzystać z pojawiających się szans. Założył biuro w Wiesbaden; miasto było węzłem kolejowym na prawym brzegu Renu, co rokowało nadzieję, że rozwinię się w poważny ośrodek przemysłowy. Rosła oferta Pedlera i rosła liczba jego klientów; niebawem prócz farb zaczął handlować mydłem, zdołał również dotrzeć do baz amerykańskich, administrujących w owym czasie tą częścią okupowanych Niemiec. W najcięższych latach opanował sztukę chwytania okazji: jeśli kwatermistrz armii amerykańskiej żądał środka dezynfekcyjnego w półlitrowych butelkach, Pedler nabywał ów środek w pięćdziesięciolitrowych beczkach, a potem w wynajętej stodole rozlewał go do flaszek ze skupu, opatrywał naklejkami "Specjalny środek dezynfekcyjny A.F. Pedlera" i odsprzedawał z grubym zyskiem.

Od zakupów hurtowych i konfekcjonowania do kupna składników i produkcji był już tylko jeden krok. Pierwszą beczkę "Specjalnego środka czyszczącego A.F. Pedlera" - nigdy nie nazywanego po prostu mydłem - spreparowano w tej samej odnajętej stodole i sprzedano Siłom Powietrznym Stanów Zjednoczonych dla mechaników samolotów. Firma rozwinęła skrzydła.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Pedler przeczytał książkę o wojnie chemicznej, w związku z czym wygrał poważny przetarg na dostawy całego asortymentu płynów do neutralizacji rozmaitych chemicznych środków bojowych.

F.A. Pedler stał się zatem dostawcą wojskowym, nie na wielką skalę, lecz dobrze ustawionym i czerpiącym godziwe zyski. Wynajęta stodoła rozrosła się w mały kompleks parterowych budynków. Franz ponownie się ożenił - jego pierwsza żona zginęła podczas bombardowania w 1944 roku - i spłodził dziecko. Nadal lubił korzystać z nadarzających się okazji, więc kiedy usłyszał, że można kupić za grosze spory kopczyk rudy uranowej, zwęszył w tym zysk.

Uran należał do spółki belgijskiej o nazwie Société Générale de la Chimie. Była to jedna z korporacji trzęsących afrykańską kolonią Belgii, Kongiem Belgijskim, krajem obfitującym w materiały. Po wycofaniu się Belgów w 1960 roku spółka działała nadal. Ponieważ jednak było wiadomo, że ten, kto nie ustąpi z własnej woli, zostanie w końcu wyrzucony siłą, Chimie wszystkie swoje wysiłki skierowała na to, by jeszcze przed zatrzaśnięciem się wrót wywieźć tyle surowca, ile to tylko możliwe. Pomiedzy rokiem 1960 a 1965 w swojej rafinerii opodal granicy z Holandią zgromadziła znaczny zapas koncentratu rudy uranowej. Na nieszczęście spółki ratyfikowano tymczasem układ o zakazie prób z bronią jądrową i kiedy trzeba było ostatecznie wynosić się z Konga, reflektantów na uran było niewiele. Koncentrat leżał więc w silosie, zamrażając skąpe kapitały spółki.

W gruncie rzeczy F.A. Pedler nie używał do produkcji swych barwników wielkiej ilości uranu, lubił jednak swoisty hazard: cena była niska, zarobi parę groszy na oczyszczeniu towaru, a wreszcie, kiedy rynek materiałów rozszczepialnych znowu rozkwitnie - co, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, musiało nastąpić wcześniej czy później - zrobi doskonały interes. Odkupił więc od Chimie trochę uranu.

Nat Dickstein od razu polubił Pedlera. Niemiec był sprężystym siedemdziesięcioletnim z bujną czupryną i błyskiem w oku. Spotkali się w sobotę. Pedler, ubrany w krzykliwą kurtkę sportową i brunatne spodnie, dobrze władał amerykańskim angielskim; poczęstował Dicksteina kieliszkiem miejscowego szampana Sekt.

Początkowo byli wobec siebie ostrożni. W końcu podczas wojny, okrutnej dla nich obu, walczyli po przeciwnych stronach. Lecz Dickstein, który zawsze uważał, iż wrogiem nie były Niemcy, lecz faszyzm, przejmował się tylko ewentualnym zakłopotaniem Pedlera. I vice versa.

Dickstein uzgodnił spotkanie telefonicznie, dzwoniąc ze swojego hotelu w Wiesbaden. Telefonu tego wyczekiwano z niecierpliwością. Miejscowy konsul Izraela

uprzedził Pedlera, że z wielką listą zakupów ma się niebawem zjawić pan Dickstein, wysoki stopniem oficer służb kwatermistrzowskich. Pedler zaproponował na sobotni poranek, kiedy nie będzie pracowników, krótkie zwiedzanie wytwórni, a potem lunch u siebie w domu.

Gdyby Dickstein naprawdę chciał kupić produkty firmy Pedlera, zwiedzanie powinno go zniechęcić: fabryczka - chaotyczne skupisko starych szop i zagraconych podwórek, nad którym unosił się wszechobecny smród - w niczym nie przypominała lśniącego modelu niemieckiej przedsiębiorczości.

Przesiedziawszy pół nocy nad podręcznikiem technologii chemicznych, Dickstein przygotował sobie kilka inteligentnych pytań na temat mieszadeł, przeładunku materiałów, kontroli jakości i pakowania. Liczył, że wszystkie błędy, które popełni, będzie mógł złożyć na karb problemów językowych. Chyba przyjął dobrą taktykę.

Była to dziwna sytuacja. Dickstein miał grać rolę sceptycznego, niezdecydowanego nabywcy, zachęcane go ze wszystkich sił przez oferenta. W rzeczywistości pragnął wciągnąć Niemca w układ, którego ani nie mógłby, ani nie chciał zerwać. Potrzebował uranu Pedlera, lecz nie zamierzał o niego prosić. Chodziło mu raczej o to, aby postawić Pedlera w sytuacji, w której prosperity Niemca zależałaby od jego, Dicksteina, dobrej woli.

Po oględzinach wytwórni pojechali nowym mercedesem Pedlera do stojącego na zboczu wzgórza obszernego domu w wiejskim stylu. Siedzieli przy wielkim oknie, popijając szampana, a Frau Pedler - urodziwa, pogodna niewiasta po czterdziestce - krzątała się w kuchni. Zapraszanie potencjalnego klienta na domowy obiad to nieco żydowski sposób załatwiania interesów, dumał Dickstein; ciekawe, czy Pedler o tym pomyślał.

Z okna rozpościerał się widok na dolinę. W jej głębi płynęła dostojnie szeroka rzeka, obok biegła wąska szosa. Na brzegu w małych skupiskach wznosiły się szare domki z okiennicami, winnice pięły się w górę ku domostwu Pedlera, omijały je i urywały się przy linii drzew. Gdybym miał zamieszkać w kraju o chłodnym klimacie, pomyślał Dickstein, wybrałbym takie miejsce.

- A zatem, cóż pan sądzi?

- O widoku czy o fabryce?

- Pedler uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- O jednym, i drugim.

- Widok jest wspaniały. Wytwórnia - mniejsza niż się spodziewałem.

Pedler zapalił papierosa. Był nałogowym palaczem i miał szczęście, że dożył siedemdziesiątki.

- Mała?

- Może powinienem wyjaśnić, czego właściwie szukam.

- Jeśli pan tak łaskaw.

- Otóż w tej chwili - rozpoczął swą historyjkę Dickstein - nasza armia kupuje środki myjące od rozmaitych dostawców: detergenty od jednego, zwykłe mydło od drugiego, rozpuszczalniki od trzeciego i tak dalej, i tak dalej. Usiłujemy zminimalizować wydatki, co można by zapewne osiągnąć, zawierając kontrakt z jednym tylko producentem.

Pedler uniósł brwi.

- To... - szukał w myślach właściwego określenia - bardzo poważne zlecenie.

- Obawiam się, że zbyt poważne dla pańskiej firmy - powiedział Dickstein, myśląc: Tylko nie powiedz, że też tak sądzisz!

- No, niekoniecznie. Nie posiadamy takich możliwości produkcyjnych tylko dlatego, że nie prowadziliśmy dotąd interesów na tak wielką skalę. Z pewnością dysponujemy odpowiednim potencjałem organizacyjnym i technicznym, przy dużym zaś zamówieniu hurtowym bez trudu uzyskamy kredyty na rozbudowę... w gruncie rzeczy wszystko zależy od konkretnych liczb.

Teczka Dicksteina stała obok krzesła. Teraz podniósł ją i otworzył.

- Oto specyfikacje - powiedział, podając Pedlerowi listę. - Plus ilości, jak też terminy dostaw. Zapewne będzie pan potrzebował czasu, by skonsultować się z zarządem i dokonać wstępnych kalkulacji...

- Ja jestem szefem - uśmiechnął się Pedler. - Z nikim nie muszę się konsultować. Proszę mi dać jutrzejszy dzień na kalkulację, poniedziałek na wizytę w banku. We wtorek zadzwonię i podam ceny.

- Słyszałem, że jest pan operatywnym kontrahentem.

- Małe firmy mają swoje dobre strony.

Frau Pedler wyłoniła się z kuchni i powiedziała:

- Obiad na stole.

Najdroższa Suzo,

nigdy dotąd nie pisałem listu miłosnego. Chyba również do żadnej kobiety nie powiedziałem "najdroższa". Wierz mi, to coś wspaniałego.

Spędzam samotne popołudnie w obcym chłodnym mieście. Jest nawet ładne i ma wiele parków - siedzę teraz w jednym z nich, pisząc do Ciebie ciekącym długopisem na paskudnej zielonej papeterii. Innej nie mogłem dostać. Moja ławka stoi w przedziwnej altanie - kopulaste sklepienie na greckich kolumnach - która przypomina karuzelę albo domek letni, wzniesiony w angielskim wiejskim ogrodzie przez jakiegoś wiktoriańskiego ekscentryka. Przede mną rozciąga się trawnik, wokół rosną topole, z oddali słyszę orkiestrę dętą, grającą jakiś utwór Edwarda Elgara. W parku jest pełno ludzi z dziećmi, piłek i psów.

Nie wiem, dlaczego opowiadam ci to wszystko. Bo tak naprawdę chcę tylko powiedzieć, że Cię kocham i pragnę spędzić z tobą całą resztę życia. Wiedziałem to już dwa dni po naszym spotkaniu. Wahalem się, czy Ci to powiedzieć, nie dlatego, że nie byłem pewny, ale...

Prawda jest taka, że bałem się, iż Cię spłoszę. Wiem, że mnie kochasz, ale wiem również, iż masz dwadzieścia pięć lat, a w tym wieku miłość przychodzi łatwo (ze mną jest na odwrót) i łatwo może odejść. Więc pomyślałem: spokojnie, spokojnie, niech mnie najpierw polubi, zanim poproszę, by powiedziała "na zawsze". Teraz, po tylu tygodniach rozstania, nie jestem już zdolny do takiej przebiegłości. Po prostu muszę Ci powiedzieć, co czuję. Chcę tego "na zawsze" i nie widzę powodów, by to dłużej tać.

Stałem się innym człowiekiem. Wiem, że brzmi to trywialnie, ale kiedy się tego doświadcza, wcale trywialne nie jest. Inaczej teraz postrzegam życie, i to pod wieloma względami - o kilku wiesz, o innych kiedyś ci opowiem. Inna jest nawet tu, w tym dziwnym miejscu moja samotność i pustka aż do jutra. Nie twierdzę, że mi szczególnie doskwiera, lecz dawniej nawet by mi nie przyszło na myśl, aby ją rozpatrywać jako coś, co lubię albo nie. Dawniej nie miałem wyboru. Teraz zawsze jest coś, co wolalbym robić i właśnie Ty jesteś osobą, której wolalbym to robić. Przepraszam, chciałem napisać: z którą. To zresztą bez znaczenia. A w ogóle dość tych denerwujących tematów.

Wyjeżdżam stąd za parę dni, nie wiem jeszcze dokąd; nie wiem nawet - i to najgorsze ze wszystkiego - kiedy znów będę Cię mógł zobaczyć. Ale kiedy to nastąpi, wierz mi, nie spuszczę cię z oka przez dziesięć czy piętnaście lat. Nic z tego wszystkiego nie brzmi tak, jak brzmieć powinno. Chcę powiedzieć, co czuję, i nie potrafię dobrać słów. Chcę, byś wiedziała, jak to jest, gdy wiele razy w ciągu każdego dnia wyobrażam sobie twoją twarz, jak - widząc smukłą ciemnowłosą dziewczynę - oczekuję, wbrew rozsądkowi, że jakimś cudem okaże się Tobą, jak nieustannie wyobrażam sobie, co powiedziała byś o widoku, artykule prasowym, małym człowieczku z wielkim psem, ładnej sukience; chcę, abyś wiedziała, jak rozpaczliwie pragnę idąc samotnie do łóżka poczuć cię obok siebie.

Bardzo cię kocham.

N.

Sekretarka Franza Pedlera zadzwoniła do Nata Dicksteina we wtorek rano i umówiła go z szefem na obiad.

Poszli do skromnej restauracji przy Wilhelmstrasse i zamiast wina zamówili piwo: to było spotkanie robocze. Dickstein z trudem powściągał niecierpliwość - to Pedler miał być stroną ubiegającą się o względy kontrahenta.

- No cóż, sądzę, że możemy spełnić pańskie wymagania - odezwał się Pedler.

Dickstein chciał krzyknąć "Hura!", ale jego twarz nie wyrażała niczego. Pedler mówił dalej:

- Ceny, które podam panu za chwilę, są do przedyskutowania. Oczekujemy kontraktu pięcioletniego. Zamrozimy ceny na okres pierwszych dwunastu miesięcy; potem możemy je zaktualizować zgodnie z obowiązującym indeksem cen światowych na pewne surowce. Kara umowna za zerwanie kontraktu wyniosłaby dziesięć procent wartości rocznych dostaw.

Dickstein chciał powiedzieć “zrobione” i przypieczętować układ uściskiem dłoni, ale w porę przypomniał sobie, na czym polega jego rola.

- Dziesięć procent to surowy warunek.

- Z pewnością jednak nie wygórowany - zaproponował Pedler. - Nawet nie zrekompensuje nam strat w przypadku zerwania kontraktu. Jego wysokość powinna powstrzymać was od rozwiązania umowy, jeśli nie znajdziecie się w przymusowej sytuacji.

- Rozumiem pański punkt widzenia. Mimo to sugerowalibyśmy złagodzenie tego warunku.

- Wszystko do wynegocjowania. Oto ceny. - Wzruszył ramionami Pedler.

Dickstein przestudiował listę i oświadczył:

- Jest to dość bliskie naszych oczekiwań.

- Czy to znaczy, żeśmy się dogadali?

Dickstein pomyślał: Tak, tak! Powiedział jednak:

- Nie, oznacza to po prostu, że moim zdaniem możemy ze sobą robić interesy.

- W takim razie - stwierdził rozpromieniony Pedler - wypijmy coś konkretnego.

Kelner!

Kiedy podano kieliszki, Pedler wznosił toast.

- Za długie lata wspólnych interesów!

- Chętnie za to wypiję - powiedział Dickstein. Podnosząc swój kieliszek, myślał: “No i co? Znów mi się powiodło!”.

Życie na morzu, jakkolwiek ciężkie, nie było jednak tak koszmarne, jak obawiał się Tyrin. Na okrętach radzieckiej marynarki wojennej obowiązywała nieustanna harówka, surowa dyscyplina i marny wikt. "Coparelli" był pod tym względem zupełnie inny. Kapitan Eriksen żądał tylko przestrzegania przepisów bezpieczeństwa i solidnego wywiązywania się z powinności, przy czym zresztą nie stawiał zbyt wysokich wymagań. Pokład myto od czasu do czasu, niczego jednak nie polerowano ani nie malowano. Jedzenie było przyzwoite, a w dodatku Tyrin dzielił kabinę z kokiem. Teoretycznie mógł zostać wezwany o każdej porze dnia i nocy, aby nadać depezę, w praktyce jednak cała łączność radiowa odbywała się za dnia i Tyrin nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem w nocy ośmiu godzin na sen. Był to reżim łagodny, a Piotr Tyrin bardzo dbał o wygodę.

Niestety, sam statek stanowił całkowite zaprzeczenie wszelkiej wygody. Ledwie okrążyli Przylądek Burz, wyszli z kanału Minch i Morza Północnego, a zaczął skakać i kołysać się jak łódeczka z kory na silnym wietrze. Tyrin dostał okropnej choroby morskiej, z czym - udając marynarza - musiał się ukrywać. Na szczęście nastąpiło to wtedy, gdy kok był zajęty w pentrze, a Tyrina nie potrzebowano w kabinie radiowej, więc mógł najgorsze przeleżeć na wznak w swojej koi.

Pomieszczenia załogi miały lichą wentylację i były słabo ogrzewane; nawet niewielka wilgoć na pokładzie sprawiała, że korytarze natychmiast wypełniały się schnącą odzieżą, która parując jeszcze zwiększała zaduch.

Swój sprzęt radiowy, dobrze chroniony folią, brezentem i kilkoma swetrami, Tyrin przechowywał w worku marynarskim, nie mógł go jednak rozkładać i używać w kajucie, gdzie w każdej chwili mógł zjawić się kok czy ktokolwiek inny. Tyrin dokonywał już rutynowych połączeń z Moskwą, wykorzystując w chwilach spokoju radiostację pokładową, potrzebował jednak systemu bezpieczniejszego i bardziej niezawodnego.

Należał do ludzi wijących sobie gniazdka. Podczas gdy Rostow przerzucał się z ambasady do pokoju hotelowego, a stąd znów do zakonspirowanego lokalu i nawet nie zauważał swego otoczenia, Tyrin lubił mieć stałą bazę, miejsce, które dawałoby mu poczucie własności, wygody i bezpieczeństwa. Prowadząc obserwację statyczną - był to jego ulubiony rodzaj pracy - zawsze znajdował wielki bujak, który ustawiał przy oknie, i całymi godzinami siedział przy teleskopie, całkowicie ukontentowany torbą

kanapek, butelką wody sodowej i własnymi myślami. Tu, na "Coparellim", też znalazł miejsce na uwicie gniazdka.

Myszkując po statku za dnia, odkrył pomiędzy przednim lukiem ładunkowym a dziobem niewielki labirynt składzików. Projektant statku umieścił je tam po prostu po to, by nie marnować ani skrawka wolnej przestrzeni. Do głównego pomieszczenia - gdzie przechowywano jakieś narzędzia, kilka beczulek smaru do żurawi oraz, o dziwo, starą, zardzewiałą kosiarkę do trawy - schodziło się po schodkach. Do największego magazynku przylegały mniejsze: niektóre z nich wypełniały liny, części maszyn, butwiejące pudła ze śrubami i nakrętkami, reszta natomiast była pusta, jeśli nie liczyć robactwa. Tyrin nigdy nie widział, aby ktoś tu wchodził - przedmioty użyteczne składowano tam, gdzie były potrzebne: na rufie.

Wybrał moment, kiedy zaczęło się ściemniać, a większa część załogi jadła kolację. Poszedł do swej kajuty, zabrał worek marynarski i przez zejściówkę wy dostał się na pokład. Z szafki pod mostkiem wziął latarkę, ale na razie jej nie zapalał.

Wedle almanachu miała być pełnia, księżyc jednak nie wyrzał jeszcze zza gęstych chmur. Tyrin cichaczem sunął do przodu, trzymając się relingu tam, gdzie istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że jego sylwetka zarysuje się na jasnym tle pokładu. Z mostka i sterówki sączyło się światło, wachtowi jednak zwracali zapewne większą uwagę na morze niż na pokład.

Zrosił go zimny prysznic i zaraz potem musiał oburącz uchwycić się relingu, aby jeden ze zwykłych przechyłów "Coparellego" nie cisnął go za burtę. Co jakiś czas fala wdzierała się na pokład; wody nie było wiele, dość jednak, by przemoczyć buty. Tyrinowi natychmiast zmarzły nogi i miał tylko rozpaczliwą nadzieję, że nigdy się nie dowie, co wyprawia "Coparelli" podczas prawdziwego sztormu.

Do składziku na dziobie dotarł przemoczony, dygocąc z zimna. Zamknął za sobą drzwi, zapalił latarkę i przedarł się przez złomowisko do jednego z bocznych pomieszczeń. Tu także zamknął drzwi. Zdjął sztormiak, potarł dłońmi o sweter, by rozgrzać je trochę i wysuszyć, a potem otworzył swój marynarski worek. Wcisnął nadajnik do kąta, przymocował drutem do grodzi i podparł kartonowym pudłem.

Miał buty na gumowych podeszwach, lecz przed wykonaniem następnej czynności włożył dodatkowo gumowe rękawiczki. W rurze pod sufitem biegły przewody wiodące do masztu radiowego. Małą piłką do metalu, skradzioną z

maszynowni, Tyrin wyciął krótki odcinek rury i obnażył kable. Potem założył przyłącza pomiędzy kablami zasilania i nadawania a odpowiednimi gniazdami swojego aparatu.

Włączył radio i zaczął wywoływać Moskwę.

Nie musiał się obawiać nałożenia transmisji na pracę radiostacji pokładowej, bo sam był radiooperatorem, szanse zaś, że pod jego nieobecność ktokolwiek inny zacznie nadawać, w praktyce równały się zeru. Póki jednak korzystał ze swego prywatnego aparatu, do kabiny radiowej nie docierała emisja z zewnątrz; on też nie mógł jej odebrać, bo pracował na innej częstotliwości. Mógł dokonać takiego przestrojenia, by obie radiostacje odbierały jednocześnie, lecz wtedy ktoś przypadkowo obecny w kabinie radiowej miałby możliwość usłyszeć odpowiedzi Moskwy... Cóż, w fakcie, że mały stateczek nie odbiera transmisji natychmiast, nie było nic dziwnego. Musiał pamiętać, aby nadawać tylko wówczas, gdy "Coparelli" nie będzie oczekiwać żadnych wiadomości.

Złapawszy Moskwę nadał: Sprawdzam nadajnik awaryjny.

Potwierdzono odbiór i przekazano: Przygotuj się na wiadomość od Rostowa.

Łączność odbywała się standardowym szyfrem KGB.

Tyrin odpowiedział: Jestem gotów, ale się śpieszcie.

Potem nadeszła wiadomość: Siedź cicho, dopóki się coś nie wydarzy. Rostow.

Tyrin nadał: Przyjąłem. Bez odbioru - i nie czekając na sygnał zakończenia łączności zdemontował instalację. Skręcanie i rozkręcanie gołych przewodów nawet przy użyciu izolowanych kombinerek było zajęciem czasochłonnym i niezbyt bezpiecznym. Wśród wyposażenia kabiny radiowej miał kilka złączek: następnym razem przyniesie ze sobą parę sztuk, żeby wszystko przyspieszyć.

Był bardzo zadowolony ze swych wieczornych poczynań. Uwił sobie gniazdko, uruchomił kanały łączności i uczynił to wszystko potajemnie. Teraz tylko musi spokojnie siedzieć, a było to coś, co lubił najbardziej.

Postanowił przyciągnąć jeszcze jeden karton, aby starannie ukryć radiostację przed przypadkowym spojrzeniem. Otworzył drzwi, posłał snop światła w głąb głównego składziku - i skamieniał. Miał towarzystwo.

Lampa pod sufitem była włączona i jej żółte światło rzucało rozedrgane cienie. Po środku magazynku siedział z wyciągniętymi nogami wsparty o baryłkę smaru młody marynarz. Podniósł wzrok; był zdumiony tak samo jak Tyrin i tak samo jak on - co Tyrin wyczytał z jego twarzy - pełen poczucia winy.

Tyrin go rozpoznał. Nazywał się Ravlo. Był dziewiętnastoletnim blondynkiem o chudej bladej twarzy. Nie uczestniczył w pijatykach, jakie urządzano w Cardiff, lecz mimo to często wydawał się skacowany; sprawiał wrażenie nieprzytomnego i miał pod oczami czarne kręgi.

- Co tu robisz? - zapytał Tyrin.

I wtedy zobaczył.

Lewy rękaw Ravla był podciągnięty aż za łokieć. Na podłodze pomiędzy nogami chłopaka leżała fiolka, szkiełko z zegarka i mała plastikowa torebka. W prawej dłoni Ravlo trzymał przygotowaną strzykawkę.

Tyrin zmarszczył czoło.

- Masz cukrzycę?

Twarz Rayla skrzywiła się w gorzkim, ponurym śmiechu.

- Więc jesteś narkomanem - stwierdził Tyrin. Niewiele wiedział o narkotykach, lecz był przekonany, że za to, co Ravlo robi, mogą go wysadzić na ląd w najbliższym porcie. Odprężył się. Sprawa była do załatwienia.

Ravlo patrzył gdzieś za Tyrina, w głąb małego składziku. Tyrin obejrzał się przez ramię i stwierdził, że radiostacja jest doskonale widoczna. Popatrzyli na siebie i zrozumieli, że obaj mają coś do ukrycia.

- Nie zdradzę twojej tajemnicy, jeśli i ty będziesz siedział cicho - powiedział Tyrin.

Ravlo po raz drugi skrzywił się w cierpkim, ponurym uśmiechu; potem przeniósł wzrok z twarzy Tyrina na swe ramię i wprowadził igłę do żyły.

Łączność pomiędzy "Coparellim" a Moskwą została złapana i nagrana przez stację nasłuchu Wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Ponieważ użyto standardowego kodu KGB, rozszyfrowanie treści nie okazało się trudne. Wynikało z niej jednak tylko, że ktoś na pokładzie statku - nie wiadomo jakiego - sprawdza swój nadajnik awaryjny, ktoś inny natomiast - człowiek o nazwisku Rostow, nie figurujący w żadnej kartotece - nakazuje mu siedzieć cicho. Nikt nie mógł się w tym połapać, więc jedynie założono teczkę z nagłówkiem "Rostow" i natychmiast o niej zapomniano.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Złożywszy w Kairze swój okresowi meldunek, Hasan poprosił, by pozwolono mu odwiedzić rodziców w obozie dla uchodźców w Syrii. Damo mu cztery dni. Do Damaszku poleciał samolotem, z lotniska zaś do obozu pojechał taksówką.

Rodziców nie odwiedził.

W obozie starał się zdobyć pewne informacje i jeden z uchodźców zabrał go do Dary za granicę jordańską, a później aż do Ammanu - przesiadali się kilkakrotnie jadąc różnymi autobusami. Z Ammanu inny człowiek dowiózł go kolejnym autobusem do rzeki Jordan.

Wieczorem drugiego dnia podróży Hasan, pilotowany przez dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi, przeprawił się na drugi brzeg. Tak samo jak przewodnicy nosił teraz stój arabski, ale nie poprosił o broń. Jego towarzysze byli młodymi ludźmi o chłopięcych twarzach, na których zaczynało się dopiero rysować znużenie i okrucieństwo. Posuwali się doliną Jordanu cicho i pewnie, wskazując Hasanowi kierunek dotknięciem lub szeptem: przebywali tę drogę chyba wielokrotnie. W pewnym momencie wszyscy trzej przywarli do ziemi za kępą kaktusów - o ćwierć mili od nich przesunęły się światła, usłyszeli głosy żołnierzy.

Hasan odczuwał bezradność - i coś jeszcze. Zrazu sądził, iż uczucie to bierze się z faktu, że tak bez reszty jest: w rękach obu chłopaków, że życie jego zależy od ich umiejętności i odwagi. Lecz później, kiedy się już rozstali, a on, stojąc na pustynnej drodze, usiłował zatrzymać jakiś samochód, pojął, że ta wędrówka jest również swoistym rodzajem podróży powrotnej w czasie. Od wielu lat był europejskim

bankierem, mieszkał w Luksemburgu, z samochodem, lodówką i telewizorem jako przedmiotami codziennego użytku, i oto nagle znów przemierzał w sandałach palestyńskie drogi swojej młodości - bez samochodów i odrzutowców, znów był Arabem, wieśniakiem, obywatelem drugiej kategorii w ojczystym kraju. Tu nie miały sensu te odruchy, do których przywykł - sięgnięcie po telefon albo kartę kredytową czy też wezwanie taksówki nie mogło rozwiązać najprostszego problemu. Czul się jak dziecko, biedak i uciekinier jednocześnie.

Przemaszerował pięć mil, nie spotkawszy ani jednego pojazdu. I wtedy, charcząc silnikiem i rzygając dymem, minęła go półciężarówka z owocami i zatrzymała się na poboczu.

- Do Nablus? - zawołał Hasan.

- Wskakuj.

Kierowca był potężnym mężczyzną; na jego rękach przewalały się węzły mięśni, kiedy nie zwalniając pokonywał najostrzejsze zakręty. Musiał mieć pewność, że nie spotka żadnego innego pojazdu, bo przez całą noc gnał środkiem jezdni, ani razu nie używając hamulców. Hasan miał ochotę się zdrzemnąć, ale kierowcy zebrali się na rozmowę. Oznajmił, że Żydzi są dobrymi gospodarzami i odkąd zajęli Zachodni Brzeg, interesy idą znakomicie, ale - oczywiście - kiedyś ten kraj znów musi być wolny. Bez wątplenia przynajmniej połowa jego oracji była nieszczerą; Hasan jednak nie miał pojęcia, która.

Kiedy wjeżdżali do Nablus, był chłodny poranek; miasto jeszcze spało, a zza łańcucha wzgórz wypęzało czerwone słońce. Ciężarówka wtoczyła się z rykiem na rynek i stanęła. Hasan pożegnał się z kierowcą.

Gdy szedł powoli pustymi ulicami, nocny ziąb zaczął znikać w promieniach słońca. Hasan smakował czyste powietrze, chłonał wzrokiem niskie białe budynki, delektując się każdym szczegółem. Ogarnęła go tęsknota za dzieciństwem: był w Palestynie, był w domu.

Miał dokładne wskazówki, jak dotrzeć do nie oznaczonego numerem domu przy ulicy bez nazwy, w samym środku ubogiego kwartału, gdzie tuliły się do siebie małe kamienne domki i gdzie nikt nie zamiatał. Przed domem stała przywiązana

postronkiem koza i Hasan zastanowił się przelotnie, czym ona się żywi, nigdzie bowiem w pobliżu nie rosła trawa. Drzwi nie były zaryglowane.

Zawahał się przez moment, usiłując zapanować nad podnieceniem. Aż za długo przebywał w świecie... teraz jednak wrócił do kraju. Zbyt długo czekał na okazję, by odpłacić za to, co zrobili jego ojcu. Na wygnaniu, które znosił cierpliwie, nie pozwolił nienawiści wygasnąć, może nawet zanadto ją rozpałił.

Wszedł do środka. Na podłodze spało kilka osób. Jedna z nich, kobieta, otworzyła oczy, spostrzegła Hasana i błyskawicznie usiadłszy sięgnęła pod poduszkę po coś, co mogło okazać się bronią.

- Czego chcesz?

Wówczas Hasan wymienił imię człowieka, dowodzącego fedainami.

Pod koniec lat trzydziestych Mahmud i Jasif Hasan, wówczas jeszcze chłopcy, mieszkali niedaleko siebie. Nigdy się jednak nie spotkali, a jeśli nawet do takiego spotkania doszło - żaden z nich o tym nie pamiętał. Po wojnie Europejczyków, kiedy Hasan pojechał do Anglii na studia, Mahmud wespół z braćmi, ojcem, wujami i dziadkiem pasał owce. Żywoty Mahmuda i Hasana potoczyłyby się pewno całkiem odmiennymi koleinami, gdyby nie wojna 1948 roku. Ojciec Mahmuda, tak samo jak ojciec Hasana, postanowił spakować manatki i zmykać. Obaj synowie - Hasan był o kilka lat starszy od Mahmuda - spotkali się w obozie dla uchodźców. Na zawieszenie broni Mahmud zareagował jeszcze ostrzej niż Hasan, co było o tyle paradoksalne, że Hasan stracił więcej. Mahmudem oładnął jednak straszliwy gniew, który pozwalał mu robić tylko jedno: walczyć o wyzwolenie ojczyzny. Aż do tej chwili polityka zupełnie go nie obchodziła, bo sądził, że nie ma ona nic wspólnego z życiem pasterzy; teraz postanowił ją zrozumieć. Najpierw jednak musiał nauczyć się czytać.

Spotkali się ponownie w latach pięćdziesiątych, w Gazie. Mahmud już w owym czasie rozkwitł, jeżeli jest to słowo, którego można użyć wobec człowieka tak zajadłego. Przeczytał Clausewitza rozważania o wojnie i Państwo Platona, Kapitał i Mein Kampf, Keynesa i Mao, Galbraitha i Gandhiego, mnóstwo prac historycznych i biograficznych, wiele klasycznych powieści i sztuk współczesnych. Mówił dobrze po angielsku, słabo po rosyjsku i odrobinę po chińsku dialektem kantońskim. Kierował

małą grupką terrorystów, która dokonywała wypadów do Izraela, gdzie podkładała bomby, strzelała i kradła, by po powrocie rozpląnąć się bez śladu w obozach Gazy, jak stado szczurów w śmietniku. Pieniądze, broń i dane wywiadowcze terroryści uzyskiwali z Kairu: Hasan był przez krótki czas członkiem zaplecza wywiadowczego i właśnie wtedy - kiedy znów się spotkali - pouczył Mahmuda, wobec kogo powinien być naprawdę lojalny: nie wobec mocodawców z Kairu i nawet nie wobec sprawy panarabskiej, lecz wobec Palestyny.

Jasif był gotów porzucić wszystko bez chwili namysłu - pracę w banku i dom w Luksemburgu, i stanowisko w wywiadzie egipskim - żeby przyłączyć się do bojowników o wolność. Lecz Mahmud powiedział "nie", a już wówczas nawyk rozkazywania stanowił jego drugą naturę. Za kilka lat, dodał - zawsze widział wszystko w perspektywie - znajdzie się tylu partyzantów, ile dusza zapragnie, lecz nadal będą potrzebni wysoko postawieni przyjaciele, kontakty w Europie i służba wywiadowcza.

Spotkali się raz jeszcze, w Kairze, gdzie ustalili omijające Egipcjan kanały łączności. W organizacji wywiadowczej Hasan kultywował zwodniczy wizerunek swojej osoby: udawał mniej przenikliwego, aniżeli był w istocie. Zrazu słał informacje tego samego rodzaju, co do Kairu: głównie nazwiska lojalnych Arabów, którzy dorobili się w Europie fortuny i byli w związku z tym potencjalnymi sponsorami sprawy. Ostatnio, kiedy ruch palestyński zaczął działać w Europie, znaleziono dlań bardziej bezpośrednie pole działania: rezerwował hotele i loty, wynajmował samochody i domy, gromadził broń i dokonywał transferów funduszy.

Nie będąc człowiekiem skłonny do używania broni - o czym wiedział i czego trochę się wstydził - czerpał tym większą dumę z faktu, że okazuje się przydatny w działalności praktycznej, lecz nie stosującej przemocy.

Już w tym samym roku jego działalność przyniosła wyniki w postaci zamachów bombowych w Rzymie. Jasif wierzył w przedstawiony przez Mahmuda program terroryzmu europejskiego. Był przekonany, że nawet wspierane przez Rosjan armie arabskie nie pokonają Żydów, czerpiących swe siły z przekonania, że są narodem obleżonym, broniącym swych domów przed wojskami najeźdźców. Tymczasem Jasif uważał, iż prawda jest taka, że to palestyńscy Arabowie bronią ojczyzny przed syjonistycznym agresorem i oni właśnie - liczniejsi, jeśli wziąć pod uwagę uchodźców, niż ich izraelscy przeciwnicy - nie zaś wojskowa zbieranina z Kairu i Damaszku,

wyzwolą na koniec ojczyznę. Najpierw jednak muszą uwierzyć w fedainów. Akcje podobne do tej na lotnisku w Rzymie przekonają ich o międzynarodowych możliwościach fedainów. Uwierzywszy w fedainów, sami się nimi staną i wówczas nic ich nie powstrzyma.

Atak na lotnisku w Rzymie był nieznaczącym, błahym wydarzeniem w porównaniu z tym, co Hasan zamierzał zrobić. Jego zuchwały, mrozący krew w żyłach plan na całe tygodnie uczyni fedainów bohaterami pierwszych stron dzienników na całym świecie, dowiedzie, że nie są bandą obdartych uciekinierów, lecz potężną, międzynarodową siłą. Hasan miał rozpaczliwą nadzieję, że Mahmud ten plan zaakceptuje. Otóż Jasif Hasan przybył z propozycją, aby fedaini ukradli środki masowej zagłady.

Objęli się jak bracia, ucałowali, a potem przyjrzeni się sobie z pewnej odległości.

- Śmierdzisz jak kurwa - powiedział Mahmud.

- Cuchniesz jak kozi pastuch - powiedział Hasan.

Wybuchnęli śmiechem i znów się uściskali.

Mahmud był roslą mężczyzną, wprawdzie tylko trochę wyższym niż Hasan, ale za to znacznie od niego masywniejszym; no i wszystko w nim było imponujące - sposób trzymania głowy, chodzenia i mówienia. Istotnie śmierdział: roztaczał kwaśny odór charakterystyczny dla osób żyjących w zbyt wielkim skupisku ludzkim i to w miejscu pozbawionym nowoczesnych wynalazków: ciepłych kąpiel, kanalizacji i wywózki śmieci. Minęły trzy dni, odkąd Hasan użył po raz ostatni talku i płynu po goleniu, a jednak zdaniem Mahmuda pachniał jak wyperfumowana kobieta.

Dom był dwuizbowy: za tą, do której wkroczył Hasan, znajdowała się druga, gdzie w towarzystwie dwóch innych mężczyzn sypiał mi podłódze Mahmud. Budynek był parterowy. Gotowano na podwórku za domem, a najbliższe źródło wody było odległe o dziewięćdziesiąt metrów. Kobieta rozpałała ogień i wzięła się do gotowania przecieranej zupy z fasoli. Czekaając na posiłek, Hasan opowiedział Mahmudowi swoją historię.

- Trzy miesiące temu spotkałem w Luksemburgu człowieka, którego znałem z Oksfordu - Żyda o nazwisku Dickstein. Okazało się, że jest wielką szycią w Mosadzie. Odtąd obserwowałem go z pomocą Rosjan, szczególnie niejakiego Rostowa z KGB. Wykryliśmy, że Dickstein planuje kradzież ładunku uranu, dzięki czemu syjoniści będą mogli skonstruować bombę atomową.

Z początku Mahmud nie chciał w to uwierzyć. Wziął Hasana w krzyżowy ogień pytań: na ile rzetelne są jego informacje, jakie naprawdę ma dowody, kto może kłamać, jakie błędy mogły zostać popełnione? Kiedy Hasan przekonywająco odpowiedział na wszystkie pytania, prawda zaczęła docierać do Mahmuda, który wyraźnie sposepniał.

- To zagrożenie dotyczy nie tylko sprawy palestyńskiej. Izraelskie bomby mogą unicestwić cały Bliski Wschód.

To typowe dla niego, pomyślał Hasan, że widzi wszystko w rozległej perspektywie.

- Co zamierzacie robić, ty i ten Rosjanin? - zapytał Mahmud.

- Plan polega na tym, żeby powstrzymać Dicksteina i zdemaskować izraelski spisek, ukazując syjonistów jako nie przestrzegających prawa awanturników. Jeszcze nie opracowaliśmy szczegółów. Ale mam inną propozycję. - Urwał, szukając właściwych słów, a potem wyrzucił z siebie: - Sądzę, że fedaini powinni uprowadzić statek, zanim dobierze się do niego Dickstein.

Mahmud przez chwilę patrzył nań z twarzą bez wyrazu.

Hasan pomyślał: Powiedz coś, na Boga! Najpierw głowa Mahmuda poczęła się powoli kiwać na boki, potem jego usta rozciągnęły się w uśmiechu i wreszcie wybuchnął śmiechem, przechodzącym w potężny, wstrząsający całym ciałem ryk, tak donośny, że nadbiegli wszyscy domownicy, aby zobaczyć, co się dzieje.

Hasan zaryzykował pytanie:

- No i co sądzisz?

Mahmud westchnął.

- To fantastyczne - powiedział. - Nie wiem, jak moglibyśmy to zrealizować, ale pomysł jest wspaniały.

Potem zaczął pytać. Pytania zadawał podczas całego śniadania i przez większą część przedpołudnia: interesowała go ilość uranu, nazwy statków zaangażowanych w przewóz, sposób przerobu rudy na nuklearną substancję wybuchową, miejsca, daty i ludzie. Rozmawiali w drugiej izbie, przeważnie sam na sam, ale chwilami Mahmud przywoływał kogoś i kazał mu słuchać, kiedy Hasan powtarzał ten czy inny punkt.

Około południa wezwał dwóch mężczyzn, którzy byli chyba jego adiutantami. W ich obecności zadał jeszcze raz wszystkie pytania, którym przypisywał rozstrzygające znaczenie.

- "Coparelli" jest normalnym statkiem handlowym ze zwykłą załogą?

- Tak.

- Będzie żeglować przez Morze Śródziemne do Genui?

- Tak.

- Ile waży ta ruda?

- Dwieście ton.

- I jest załadowana do beczek?

- Tak, jest ich pięćset sześćdziesiąt.

- Cena rynkowa?

- Dwa miliony dolarów amerykańskich.

- I jest używana do wyrobu bomb atomowych?

- Tak. No, powiedzmy, że stanowi surowiec do takiej produkcji.

- Czy proces przetwarzania rudy w substancję wybuchową jest długi albo kosztowny?

- Nie, jeśli ma się do dyspozycji reaktor jądrowy. W przeciwnym razie - tak.

Mahmud skinął do swoich adiutantów:

- Przekażcie to pozostałym.

Po południu, kiedy słońce zaczęło się zniżać i upał trochę zelżał, Mahmud i Jasif wybrali się na spacer po wzgórzach za miastem. Jasif gotował się z niecierpliwości, żeby usłyszeć, co naprawdę sądzi Mahmud o jego planie, Mahmud jednak nie podejmował tematu uranu. Jasif zatem mówił o Rostowie, przyznając, że podziwia profesjonalizm Rosjanina mimo trudności, jakie ten mu stwarzał.

- Rosjan można podziwiać - powiedział Mahmud - nie należy im jednak ufać. Nasza sprawa jest im obojętna. Są trzy powody, dla których opowiadają się po naszej stronie. Pierwszy i najmniej istotny to ten, że przysparzamy Zachodowi kłopotów, a wszystko, co złe dla Zachodu, jest mile widziane przez Rosjan. Drugi to ich obraz w oczach świata. Kraje zacofane identyfikują się raczej z nami aniżeli z syjonistami, a zatem popierając nas Rosjanie zdobywają sympatię wśród narodów Trzeciego Świata. Pamiętaj, że w rywalizacji pomiędzy Ameryką a Związkiem Radzieckim będą się liczyć głosy niezdecydowanych, te zaś to wyłącznie Trzeci Świat. Najważniejszy jednak, i w gruncie rzeczy jedyny istotny powód - to ropa naftowa. Arabowie mają ropę.

Minęli chłopca, strzegącego stadka wychudzonych owiec. Chłopiec grał na flecie. Jasif przypomniał sobie, że Mahmud był kiedyś takim niepiśmiennym i nie umiejącym czytać pastuchem.

- Zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest ropa? - zapytał Mahmud. - To przez nią Hitler przegrał europejską wojnę.

- Nie rozumiem.

- Słuchaj. Hitlera pokonali Rosjanie. Nie mogło być inaczej. Hitler o tym wiedział; wiedział o Napoleonie, wiedział, że nikt nie zdoła podbić Rosji. Dlaczego zatem próbował? Bo wyczerpywały mu się rezerwy paliwa. W Gruzji, na kaukaskich terenach naftowych, jest ropa. Hitler musiał zdobyć Kaukaz. Lecz nie można utrzymać Kaukazu, jeśli nie ma się Wołgogradu - wtedy nazywano go Stalingradem - i tam fala odwróciła się przeciwko Hitlerowi. Ropa. O nią właśnie toczy się walka, czy się to nam podoba, czy nie. Rozumiesz? Gdyby nie ropa, nikogo prócz nas nie zainteresowałby fakt, że kilku Arabów i Żydów tłucze się o mały piaszczysty kraik.

Kiedy Mahmud mówił, emanowała z niego magnetyczna siła. Silnym, czystym głosem formułował krótkie zdania, proste wyjaśnienia i opinie, które miały potężną moc prawd fundamentalnych: Hasan przypuszczał, że w taki właśnie sposób Mahmud często zwraca się do swoich żołnierzy. Przypomniawszy sobie wyrafinowany styl dyskusji politycznych, toczonych przez ludzi w Oksfordzie czy Luksemburgu, i pomyślał, iż mimo całych gór wiadomości i informacji ludzie ci wiedzą w gruncie rzeczy mniej niż Mahmud. Mając świadomość, że polityka światowa jest sprawą skomplikowaną - że za problemami Bliskiego Wschodu kryje się nie tylko nafta - w głębi duszy uważał, że Mahmud ma rację.

Usiedli w cieniu figowca; wokół nich rozciągała się szarobrazowa, gładka, pusta przestrzeń. Bezchmurne aż po horyzont niebo dyszało błękitnym żarem. Mahmud odkorkował butelkę z wodą i podał ją Hasanowi. Hasan wypił kilka łyków letniego płynu, oddał butelkę, a potem zapytał Mahmuda, czy po wyparciu syjonistów chciałby rządzić Palestyną.

- Zabiłem wielu ludzi - odparł Mahmud. - Najpierw robiłem to własnoręcznie, nożem, karabinem czy bombą. Teraz zabijam opracowując plany i wydając rozkazy... ale przecież wciąż zabijam. Wiem, że to grzech, lecz nie odczuwam skruchy. Nie mam wyrzutów sumienia. Nawet kiedy popełniamy błąd i zamiast syjonistów i żołnierzy zabijamy Arabów i dzieci, myślę tylko: "To szkodzi naszej reputacji", nie zaś "To szkodzi mojej duszy". Mam krew na rękach i nigdy jej nie zmyję. Nawet nie będę próbować. Jest taka książka, Portret Doriana Greya. Opowiada o człowieku, który prowadzi niszczące i występne życie. Ten tryb życia powinien uczynić go starym, zeszpecić zmarszczkami i workami pod oczyma, ukarać zniszczoną wątrobą i chorobą weneryczną. A przecież człowiek ten czuje się doskonale. Mimo upływu lat pozostaje młody, wygląda tak, jak gdyby wynalazł eliksir młodości. Lecz w zamkniętym pokoju swego domu przechowuje swój portret i to ów obraz starzeje się, zbiera owoce grzesznego żywota i okropnych chorób. Znasz tę angielską powieść?

- Widziałem film - odparł Jasif.

- Ja przeczytałem tę książkę podczas pobytu w Moskwie. Chętnie zobaczyłbym również film. Pamiętasz, jak się kończy?

- O tak. Dorian Gray zniszczył portret, a wówczas w oka mgnieniu te wszystkie spustoszenia i choroby przeniosły się na niego - i umarł.

- Właśnie. - Mahmud zakorkował butelkę i niewidzącym spojrzeniem powiódł po brązowych stokach. - Z chwilą wyzwolenia Palestyny mój portret zostanie zniszczony.

W milczeniu siedzieli jeszcze chwilę, po czym, wciąż bez słowa, podnieśli się i ruszyli z powrotem do miasta.

Tego dnia - o zmierzchu, tuż przed godziną policyjną - do małego domku w Nablus przybyło kilku mężczyzn. Hasan nie wiedział dokładnie kim byli: miejscowymi przywódcami ruchu, czy też wybraną grupą ludzi, których zdanie Mahmud sobie cenił, a może członkami stałej rady wojennej, nie mieszkającymi wprawdzie z Mahmudem, lecz trzymającymi się w pobliżu. To wydawało się Hasanowi logiczne: gdyby mieszkali razem, mogliby razem zostać zniszczeni.

Kobieta podała im chleb, rybę i wodniste wino, a Mahmud zrelacjonował plan Hasana. Przemyślał go jeszcze dokładniej niż Hasan. Zaproponował, by opanowali "Coparellego", zanim dotrze do niego Dickstein, a potem urządzili zasadzkę na Izraelczyków. Grupa Dicksteina, spodziewająca się tylko zwykłej załogi i słabego oporu, zostanie z łatwością zlikwidowana. Wówczas fedaini doprowadzą "Coparellego" do któregoś z portów północnoafrykańskich i zaprosiwszy cały świat na pokład, pokażą mu zwłoki syjonistycznych zbrodniarzy. Ładunek zaoferuje się właścicielom za połowę jego wartości rynkowej - milion dolarów USA.

Nastąpiła długa dyskusja. Najwyraźniej jedna z frakcji już się zaniepokoiła polityką Mahmuda przenoszenia wojny do Europy i w planowanym uprowadzeniu dopatrywała się kontynuacji tej właśnie strategii. Sugerowała zatem, że fedaini osiągną większość ze swych celów demaskując po prostu izraelski spisek na międzynarodowej konferencji prasowej zwołanej w Bejrucie lub Damaszku. Hasan był przekonany, że to za mało: oskarżenia niewiele kosztowały, a chodziło przecież nie o udowodnienie, że Izraelczycy lekceważą prawo, lecz o zademonstrowanie potęgi fedainów.

Przemawiali jak do równego sobie i zdawało się, że każdego z nich Mahmud słucha z jednakową uwagą. Hasan siedział w milczeniu, słuchając ściszonych, spokojnych głosów ludzi, którzy wyglądali na wieśniaków, a rozprawiali jak senatorzy. Myśl o tym, że mogą przyjąć jego plan, napełniała go zarazem nadzieją i lękiem:

nadzieją, bo byłoby to spełnieniem dwudziestu lat marzeń, lękiem natomiast, bo musiałby robić rzeczy znacznie trudniejsze, drastyczniejsze i bardziej ryzykowne aniżeli te, w które był zaangażowany dotychczas. Pod koniec, nie wytrzymując napięcia, wyszedł na dwór i siadł z podwiniętymi nogami na podwórku wciągając w płuca zapach nocy i gasnącego ognia. Chwilę później dobiegł do jego uszu chór cichych głosów, coś na kształt głosowania.

Mahmud wyszedł z domu i kucnął obok Hasana.

- Kazałem przyprowadzić samochód.

- Tak?

- Musimy jechać do Damaszku. Jeszcze dziś w nocy. Jest wiele do zrobienia. Będzie to najważniejsza z naszych operacji. Musimy natychmiast przystąpić do działania.

- A więc decyzja zapadła.

- Tak. Fedaini uprowadzą statek i zrabują uran.

- Niech się tak stanie - powiedział Jasif Hasan.

Dawid Rostow zawsze lubił swoją rodzinę w małych dawkach, a im był starszy, tym te dawki stawały się mniejsze. Pierwszy dzień urlopu był przyjemny. Rostow sam zrobił śniadanie, potem spacerowali po plaży, a po południu młody geniusz Władimir rozegrał symultanke z ojcem, matką i Jurijem, wygrywając wszystkie trzy partie. Kolacja, podlana odrobiną wina, trwała kilka godzin, bo mieli sobie wiele do powiedzenia. Drugi dzień przebiegał podobnie, lecz sprawił wszystkim znacznie mniejszą przyjemność, trzeciego natomiast zadowolenie z ponownego spotkania całkowicie minęło. Władimir przypomniał sobie o powinnościach cudownego dziecka i wetknął nos w książki, Jurij zaczął puszczać płyty ze zdegenerowaną zachodnią muzyką i wyklócać się z ojcem o dysydenckich poetów, a Maria schroniła się w kuchni i przestała sobie robić makijaż.

Kiedy zatem przyszła wiadomość, że Nik Bunin wrócił z Rotterdamu po udanej misji zainstalowania nadajnika na "Strombergu", Rostow wykorzystał to jako wymówkę i pojechał do Moskwy.

Nik zameldował, że “Stromberga” postawiono w suchym doku dla przeprowadzenia przeglądu poprzedzającego sfinalizowanie sprzedaży statku spółce Savile Shipping. Ponieważ dokonywano kilku drobnych napraw, Nik, podając się za elektryka, bez trudu wszedł na pokład i w dziobowej części statku zamontował nadajnik dużej mocy. Zatrzymany w drodze powrotnej przez brygadzystę, który na ten dzień nie miał w planie żadnych prac elektroinstalatorskich, oświadczył przebiegle, że nie zapłacono by mu przecież, gdyby takiej roboty nie należało wykonać. Od tej chwili, ilekroć uruchamiano generatory statku - a działały one zawsze podczas rejsu i prawie zawsze, kiedy był w doku - nadajnik wysyłał sygnał co trzydzieści minut. Zamilknie dopiero wówczas, gdy statek zatonie lub zostanie pocięty na złom. Dopóki jednak pływa, Moskwa w ciągu godziny będzie mogła ustalić jego położenie.

Rostow wysłuchał Nika, a potem odesłał go do domu. Miał plany na wieczór. Dawno nie widział Olgi i był ogromnie ciekaw, jak sobie radzi z bateryjnym wibratorem, który przywiózł jej w prezencie z Londynu.

W izraelskim Wywiadzie Marynarki Wojennej służył młody kapitan, z zawodu oficer mechanik. Nazywał się Dieter Koch. Miał za zadanie znaleźć się na pokładzie “Coparellego”, kiedy statek będzie wychodzić z Antwerpii z ładunkiem rudy uranowej.

Przyjechawszy do Antwerpii, Nat Dickstein nie bardzo jeszcze wiedział, jak to zorganizować. Z hotelu zadzwonił do lokalnego przedstawiciela firmy będącej armatorem “Coparellego”.

Kiedy umrę, pomyślał czekając na połączenie, wyprowadzenie zwłok nastąpi z pokoju hotelowego.

Odebrała jakaś młoda dziewczyna. Dickstein powiedział energicznie:

- Mówi Pierre Beaudaire, proszę z dyrektorem.

- Chwileczkę.

- Tak? - usłyszał męski głos.

- Dzień dobry, tu mówi Pierre Beaudaire z Agencji Załogowej Beaudaire’a - zaimprovizował Dickstein.

- Nigdy nie słyszałem o pańskiej firmie.

- Właśnie dlatego dzwonię. Rozważamy otwarcie w Antwerpii filii naszego przedsiębiorstwa i zastanawiam się, czy nie zechciałby pan skorzystać z naszych usług.

- Wątpię, może pan jednak zwrócić się do nas listownie...

- Czy jest pan w pełni zadowolony ze swojej dotychczasowej agencji?

- Bywają gorsze. Proszę posłuchać...

- Jeszcze jedno pytanie i przestanę zawracać panu głowę. Czy mógłbym zapytać, z kim współpracuje pan obecnie?

- Z Cohenem. Wybacz pan, nie mam czasu...

- Rozumiem. Dziękuję za okazaną mi cierpliwość. Do zobaczenia.

Cohen! To się nazywa szczęście. Może zdołam to przeprowadzić bez stosowania brutalnych metod, pomyślał Dickstein, odkładając słuchawkę. Cohen! Tego się nie spodziewał - doki i żegluga nie należały do typowo żydowskich interesów. Człowiek niekiedy miewa szczęście.

Wyszukał w książce telefonicznej adres agencji Cohena, zapamiętał go, potem włożył płaszcz, wyszedł z hotelu i zatrzymał taksówkę.

Cohen urzędował w małym dwupokojowym biurze, mieszczącym się w dzielnicy rozpusty, nad barem dla marynarzy. Nie minęło jeszcze południe i ludzie nocy spali - dziwki i złodzieje, muzycy i striptizerki, kelnerzy i wykidajły - krótko mówiąc - ci wszyscy, dzięki którym dzielnica ożywała pod wieczór. Teraz okolica sprawiała wrażenie podupadającej dzielnicy biznesu, szarej o chłodnym poranku i niezbyt czystej.

Dickstein wdrapał się po schodach na pierwsze piętro, zapukał do drzwi i wszedł. W małej kancelarii z segregatorami i plastikowymi pomarańczowymi krzesłami rezydowała sekretarka w średnim wieku.

- Chciałbym się zobaczyć z panem Cohenem - powiedział Dickstein.

Oszacowała go spojrzeniem i chyba doszła do wniosku, że nie wygląda na marynarza.

- Potrzebny panu statek? - zapytała z powątpiewaniem.

- Nie - odrzekł. - Jestem z Izraela.

- Ach. - zawahała się. Miała ciemne włosy i głęboko osadzone oczy. Na palcu nosiła ślubną obrączkę. Dickstein zastanawiał się, czy mogłaby być panią Cohen. Podniosła się i przez drzwi za biurkiem weszła do następnego pomieszczenia. Miała na sobie żakiet i spodnie i od tyłu również wyglądała na swoje lata.

Po chwili wróciła i wprowadziła Dicksteina do gabinetu Cohena. Cohen wstał, uścisnął Dicksteinowi dłoń i oświadczył bez żadnych wstępów:

- Corocznie wspieram naszą sprawę. Podczas wojny przekazałem dwadzieścia tysięcy guldenów, mogę panu pokazać czek. Czy to kolejna kwesta? A może wybuchła nowa wojna?

- Nie przyszedłem tu po pieniądze, panie Cohen - powiedział Dickstein z uśmiechem. Pani Cohen zostawiła uchylone drzwi; Dickstein je zamknął. - Czy mogę usiąść?

- Jeśli nie chce pan pieniędzy, proszę spocząć, napić się kawy i być moim gościem choćby cały dzień - powiedział Cohen i roześmiał się.

Dickstein usiadł. Cohen - niski, łysawy, starannie ogolony, w okularach - wyglądał na pięćdziesiąt lat. Nosił lekko zmięty brązowy garnitur w kratkę. Ma solidny interesik, pomyślał Dickstein, ale nie jest milionerem.

- Czy tu właśnie spędził pan drugą wojnę? - zapytał.

Cohen skinął głową.

- Byłem wówczas młodym człowiekiem. Wyjechałem na wieś i pracowałem na farmie, gdzie nikt mnie nie znał i nie wiedział, że jestem Żydem. Miałem szczęście.

- Jak pan sądzi, czy to się może powtórzyć?

- Tak. Zdarzało się od niepamiętnych czasów, dlaczego teraz miałyby być inaczej? Zdarzy się znowu... ale nie za mojego życia. A to życie chcę spędzić tutaj. Nie wybieram się do Izraela.

- W porządku. Pracuję dla rządu izraelskiego. Chcemy, by pan coś dla nas zrobił.

Cohen wzruszył ramionami.

- Słucham.

- Za kilka tygodni jeden z pańskich klientów zwróci się do pana z pilną sprawą. Będzie potrzebował oficera mechanika na statek "Coparelli". Chcemy, by podesłał pan wskazanego przez nas człowieka. Nazywa się Koch i jest Izraelczykiem, ale będzie się posługiwał innym nazwiskiem i fałszywymi dokumentami. Lecz istotnie jest oficerem mechanikiem i pańscy klienci nie będą mieli powodów do skarg.

Dickstein czekał na odpowiedź Cohena. Sympatyczny z ciebie facet, myślał; uczciwy żydowski biznesmen, bystry, pracowity, trochę zdarty i znużony; nie zmuszaj mnie, żebym zabrał się do ciebie ostro.

- Nie zamierza mi pan powiedzieć, dlaczego rząd Izraela pragnie umieścić tego Kocha na pokładzie "Coparellego"? - zapytał Cohen.

- Nie.

Zapadła cisza.

- Czy ma pan jakiś dowód tożsamości?

- Nie.

Sekretarka weszła bez pukania i podała im kawę. Dickstein czuł emanującą z niej wrogość. Cohen skorzystał z przerwy, żeby pozbierać myśli.

- Musiałbym być meszuga, żeby to zrobić.

- Dlaczego?

- Przychodzi pan z ulicy, podaje się za wysłannika władz Izraela, ale nie ma pan dokumentów i nawet się pan nie przedstawia. Prosi pan, bym wziął udział w

przedsięwzięciu tajnym, a może przestępczym, nie mówiąc, o co tu chodzi. Nie wiem, czy gdybym nawet uwierzył w pańską historyjkę, mógłbym pochwalać Izraelczyków za to, czego pan się może ewentualnie dopuścić.

Dickstein westchnął. W myśli dokonał przeglądu swych możliwości: szantaż, porwanie żony, opanowanie biura w krytycznym dniu...

- Czy istnieje coś, co mogłoby pana przekonać?

- Premier Izraela musiałby poprosić mnie o to osobiście.

Dickstein wstał, żeby wyjść, ale nagle pomyślał: Czemu nie? Dlaczego nie, do stu diabłów? Pomysł był obłądny, uznają, że zwariował... ale to podziała, doprowadzi do celu... Po chwili zastanowienia szeroko się uśmiechnął. Pierre Borg dostanie apopleksji.

- W porządku - powiedział do Cohena.

- Co to znaczy "w porządku"?

- Proszę włożyć płaszcz. Ruszamy do Jerozolimy.

- Teraz?

- Jest pan zajęty?

- Mówi pan serio?

- Przecież powiedziałem panu, że to ważne. - Dickstein pokazał telefon na biurku. - Proszę zadzwonić do żony.

- Jest w kancelarii.

Dickstein otworzył drzwi.

- Pani Cohen?

- Słucham.

- Proszę do nas, z łaski swojej.

Weszła spiesźnie z zatroskaną twarzą.

- O co chodzi, Josefie? - zapytała męża.

- Ten człowiek chce, bym pojechał z nim do Jerozolimy.

- Kiedy?

- Teraz.

- To znaczy w tym tygodniu?

- To znaczy dziś przed południem, pani Cohen - powiedział Dickstein. - Muszę uprzedzić, że jest to sprawa ściśle tajna. Poprosiłem męża pani, by wyświadczył przysługę rządowi Izraela. Zrozumiałe, że chce się upewnić, iż o przysługę tę istotnie prosi rząd, nie zaś jakiś przestępca. Jedziemy zatem, by się przekonał.

- Josefie, nie daj się w to wplątać... - powiedziała.

Cohen wzruszył ramionami.

- Już się wplątałem, jestem Żydem. Pilnuj interesu.

- Przecież nic nie wiesz o tym człowieku!

- Właśnie zamierzam się dowiedzieć.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- Nic mi nie grozi - powiedział Cohen. - Polecimy samolotem rejsowym, później pojedziemy do Jerozolimy, zobaczę się z premierem i wracamy.

- Z premierem!?

Dickstein wyobraził sobie, jak będzie dumna, gdy jej mąż pozna izraelskiego prezesa rady ministrów. Powiedział więc:

- To musi pozostać tajemnicą, pani Cohen. Proszę poinformować znajomych, że mąż wyjechał w interesach do Rotterdamu. Wróci jutro.

Patrzyła na obu mężczyzn.

- Mój Josef spotyka się z premierem, a ja nie mogę o tym powiedzieć Racheli Rothstein?

Dickstein już wiedział, że wszystko pójdzie jak po maśle. Cohen zdjął z wieszaka płaszcz i nałożył go. Pani Cohen pocałowała męża, a potem się do niego przytuliła.

- Wszystko w porządku - powiedział. - To takie nagłe i dziwne, ale wszystko będzie w porządku.

Bez słowa skinęła głową i pozwoliła im odejść.

Na lotnisko pojechali taksówką. Podczas jazdy w Dicksteinie narastało poczucie zadowolenia. Cała sprawa miała w sobie coś z figla, on zaś - z płątającego ów figiel uczniaka. Uśmiechał się bez przerwy i wreszcie musiał odwrócić twarz do okna, aby ukryć przed Cohenem swe rozbawienie.

Pierre Borg dostanie ataku furii!

Płacąc kartą kredytową, Dickstein kupił dwa bilety powrotne do Tel-Awihu. Nie było bezpośredniego połączenia, najpierw musieli lecieć do Paryża. Przed odlotem Dickstein zadzwonił do ambasady w Paryżu i polecił, by ktoś spotkał się z nimi w poczekalni tranzytowej.

W Paryżu przekazał pracownikowi ambasady wiadomość, którą należało przesłać Borgowi: zawierała szczegółowe żądania. Kurier z ambasady - a zarazem człowiek Mosadu - okazywał Dicksteinowi wielki szacunek. Cohen, któremu pozwolono przysłuchiwać się rozmowie, oświadczył po odejściu dyplomaty:

- Moglibyśmy wrócić. Jestem już przekonany.

- O, nie - powiedział Dickstein. - Muszę być pana stuprocentowo pewien, skoro zabrnęliśmy tak daleko.

W samolocie Cohen powiedział:

- Musi pan być ważną osobistością w Izraelu.

- Nie. Ale ważne jest to, co robię.

Cohen chciał się dowiedzieć, jak ma się zachowywać i jak zwracać do premiera.

- Nie wiem - odparł Dickstein - nigdy się z nim nie widziałem. Niech pan uściśnie mu dłoń i mówi do niego po nazwisku.

Cohen uśmiechnął się. Zaczął mu się udzielać beztroski nastrój Dicksteina.

Pierre Borg czekał na lotnisku Lod. Mieli pojechać do Jerozolimy jego samochodem. Uśmiechnął się i uściśnął Cohenowi rękę, ale w środku kipiał. Kiedy szli w stronę samochodu, szepnął Dicksteinowi do ucha:

- Lepiej, żebyś miał dla tego całego cyrku cholernie solidne powody.

- Mam.

Ponieważ przez cały czas towarzyszył im Cohen, Borg nie miał okazji zadać Dicksteinowi zbyt wielu pytań. Pojechali wprost do rezydencji premiera w Jerozolimie. Dickstein i Cohen czekali w hallu, kiedy Borg wyjaśniał premierowi, co i dlaczego powinien uczynić. Parę minut później poproszono ich do środka.

- To jest Nat Dickstein, panie premierze - powiedział Borg.

Podali sobie ręce, a premier oświadczył:

- Nie mieliśmy okazji poznać się osobiście, panie Dickstein, ale wiele o panu słyszałem.

- A to jest pan Josef Cohen z Antwerpii - wtrącił Borg.

- Bardzo mi miło, panie Cohen - uśmiechnął się premier. - Jest pan człowiekiem niezwykle ostrożnym. Powinien pan zostać politykiem. No, a teraz... proszę, by zechciał pan okazać nam pomoc w tej sprawie. Jest bardzo ważna i z pewnością niczym panu nie grozi.

- Oczywiście, panie premierze - wyjąkał oszołomiony Cohen. - Zrobię to, przepraszam, że przysporzyłem panom tylu kłopotów...

- Nie ma o czym mówić. Postąpił pan właściwie. - Premier ponownie uściśnął Cohenowi dłoń. - Dziękuję za wizytę. Do zobaczenia.

W drodze powrotnej na lotnisko Borg był znacznie mniej układny. Wierząc się nieustannie siedział z cygarem w zębach na przednim fotelu. Nie odezwał się ani

słowem. Na lotnisku udało mu się na krótką chwilę znaleźć się z Dicksteinem sam na sam.

- Jeśli jeszcze raz zrobisz taki numer...

- To było konieczne - odrzekł Dickstein. - Zajęło niespełna minutę. Więc czemu nie?

- Dlatego nie, że te minutę przez cały dzień załatwiała połowa mojego zasranego departamentu. Dlaczego po prostu nie przystawiłeś facetowi spluwy do łba albo coś w tym rodzaju?

- Bo nie jesteśmy barbarzyńcami - odpowiedział Dickstein.

- Ludzie mi to bez przerwy powtarzają.

- Naprawdę? To zły znak.

- Dlaczego?

- Bo powinieneś o tym pamiętać bez przypominania.

Kiedy wezwano pasażerów z ich lotu i kiedy wsiadali z Cohenem do samolotu, Dickstein pomyślał, że jego stosunki z Borgiem legły w gruzach. Zawsze rozmawiali ze sobą w taki właśnie sposób - przerzucając się szyderczymi zniewagami - ale aż do tej chwili była w tym nuta... jeśli nie sympatii, to przynajmniej szacunku. Teraz to się skończyło. Borg okazywał autentyczną wrogość. Fakt, że Dickstein nie dał się wycofać z aktywnego udziału w akcji, zakrawał na bunt, a tego Borg tolerować nie mógł. Chcąc pozostać w Mosadzie, Dickstein musiałby podjąć z Borgiem walkę o stanowisko dyrektora - dla obu nie było już miejsca w organizacji. Do żadnej rywalizacji jednak nie dojdzie, bo Dickstein zamierza podać się do dymisji.

Podczas nocnego lotu do Europy Cohen wypił trochę dżinu i zasnął. Dickstein dokonywał w myślach bilansu swoich poczynań z minionych pięciu miesięcy. Zaczął w maju, nie mając wówczas konkretnego pomysłu, jak wykraść tak potrzebny Izraelowi uran. Pojawiającym się problemom stawiał czoło z marszu i dla każdego znalazł rozwiązanie: jak zlokalizować uran, który z ładunków uranu ukraść, jak uprowadzić statek, w jaki sposób zataić udział Izraela w aferze, co zrobić, aby o zaginięciu uranu nie dowiedziały się odpowiednie władze, wreszcie - jak spacyfikować właścicieli

towaru. Gdyby na samym początku usiadł z zamiarem wykoncypowania całego planu, nie zdołałby przewidzieć wszystkich powikłań.

Trochę dopisywało mu szczęście, trochę prześladował pech. Fakt, że armator "Coparellego" korzystał z usług agencji żydowskiej, był szczęśliwym zbiegiem okoliczności; tak samo zresztą, jak istnienie zapasów uranu, przeznaczonych dla celów pozanuklearnych, oraz fakt, że część tych zapasów miano transportować morzem. Pech to w głównej mierze przypadkowe spotkanie z Jasifem Hasanem.

Hasan - łyżka dziegciu w beczce miodu. Dickstein był prawie pewien, że bezpowrotnie zgubił przeciwników, lecąc do Buffalo, żeby odwiedzić Ala Cortone. Nie oznaczało to jednak, że dali za wygraną.

Gdybyż mógł wiedzieć, ile wywęszyli, zanim im się zgubił.

Hasan był również odpowiedzialny za to, że aż do końca operacji Dickstein nie będzie mógł się spotykać z Suzą. Gdyby przyjechał do Oksfordu, Hasan z pewnością wpadłby jakoś na jego trop.

Samolot schodził do lądowania. Dickstein zapiął pas. Niczego nie zaniedbał - opracował plan, poczynił przygotowania. Karty zostały rozdane. Wiedział, co ma w ręku, znał część kart przeciwników, którzy, z kolei, znali kilka jego kart. Pozostawało tylko przystąpić do rozgrywki z niemożliwym do przewidzenia wynikiem. Wolałby wiedzieć przyszłość z większą wyrazistością, wolałby realizować plan mniej skomplikowany, wolałby nie ryzykować życia raz jeszcze, wolałby zacząć już grę, żeby móc działać, zamiast myśleć o tym, co by wolał.

Cohen przebudził się ze snu.

- Czy to wszystko mi się przyśniło?

- Nie - odparł Dickstein z uśmiechem. Pozostał mu do wypełnienia jeszcze jeden nieprzyjemny obowiązek: musi prawie śmiertelnie przerazić Cohena.

- Mówiłem panu, że ta sprawa jest ważna i tajna.

- Oczywiście, rozumiem.

- Nic pan nie rozumie. Jeśli piśnie pan o tym komukolwiek poza żoną, będziemy musieli użyć środków drastycznych.

- Czy to groźba? O czym pan mówi?

- Mówię, że jeśli nie będziesz trzymał gęby na kłódkę, wykończymy twoją żonę.

Cohen spojrział nań tępo i zbladł. Po chwili odwrócił głowę i wyjrzał przez okienko, za którym wybiegała im na spotkanie płyta lotniska.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Moskiewski hotel "Rossija" jest największy w Europie. Ma pięć tysięcy siedemset trzydzieści osiem łóżek i dziesięć mil korytarzy, nie ma natomiast klimatyzacji.

Jasif Hasan spał bardzo źle. Łatwo było powiedzieć: "Fedaini powinni uprowadzić statek, zanim dobierze się do niego Dickstein!" Im dłużej myślał, tym większe ogarniało go przerażenie.

Organizacja Wyzwolenia Palestyny nie była w roku 1968 instytucją tak spoiwą politycznie, jak pragnęła jawić się światu. Nie była nawet luźną federacją współdziałających ze sobą ugrupowań. Przypominała raczej klub dla ludzi o wspólnych zainteresowaniach: klub reprezentował wprawdzie swoich członków, ale nie miał na nich żadnego wpływu. Poszczególne grupki partyzanckie przemawiały za pośrednictwem OWP jednym głosem, lecz nie działały i nie potrafiły działać jak jedna organizacja. Mówiąc zatem, że fedaini przeprowadzą taką czy inną operację, Mahmud deklarował wyłącznie gotowość własnej grupy. Co więcej, w tym przypadku ubieganie się o współpracę OWP świadczyłoby o braku rozwagi. Egipcjanie wspierali wprawdzie organizację pieniędzmi, sprzętem i gościna, ale jednocześnie poddawali ją intensywnej infiltracji: pragnąc zachować coś w sekrecie przed władzami krajów arabskich, należałoby trzymać to w tajemnicy przed OWP. Oczywiście po akcji, kiedy prasa światowa zbiegnie się, aby obejrzeć zdobyty statek i jego atomowy ładunek, Egipcjanie wszystkiego się dowiedzą i pewnie odgadną, że fedaini rozmyślnie pokrzyżowali im szyki. Mahmud będzie jednak udawać niewiniątka i w końcu także Egipcjanie dołączą się do chóru pochwał, które fedaini zbiorą za udaremnienie izraelskiego aktu agresji.

Tak czy inaczej, Mahmud wierzył, iż da sobie radę bez pomocy innych. Jego grupa miała najlepsze kontakty poza Palestyną, najlepszą europejską strukturę organizacyjną i mnóstwo pieniędzy.

Mahmud przebywał obecnie w Benghazi, czarterując statek, a jego międzynarodowa brygada zjeżdżała się z rozmaitych zakątków kuli ziemskiej.

Decydujące zadanie spoczywało jednak na barkach Hasana: jeśli fedaini mają dotrzeć do "Coparellego" przed Izraelczykami, Jasif musi ustalić z dużą dokładnością, gdzie i kiedy odbędzie się akcja Dicksteina. Do tego potrzebował pomocy KGB.

Wobec Rostowa czuł się teraz bardzo nieswojo. Przed wizytą u Mahmuda mógł w siebie wmawiać, że pracuje dla dwóch organizacji, które łączy wspólny cel. Teraz był po prostu agentem, który tylko udaje, że pracuje dla Egipcjan i KGB, a w istocie sabotuje ich plany. Czuł się inaczej - trochę jak zdrajca - i żywił obawę, że Rostow dostrzeże w nim tę zmianę.

Kiedy Hasan przyleciał do Moskwy, Rostow też poczuł się trochę nieswojo. Powiedział, że ma zbyt ciasne mieszkanie, aby móc Hasanowi zaproponować gościnę, jakkolwiek ten doskonale wiedział, że reszta rodziny przebywa na wakacjach. Wyglądało na to, że Rostow coś ukrywa. Hasan podejrzewał romans i zrozumiała niechęć do dzielenia tajemnicy z kolegą.

Po niespokojnej nocy w hotelu "Rossija" Hasan spotkał się z Rostowem w gmachu KGB przy obwodnicy moskiewskiej, w gabinecie szefa Rostowa, Feliksa Woroncowa. Tu też coś wisiało w powietrzu. Obaj mężczyźni kłócili się ze sobą i choć przerwali spór, gdy tylko wszedł Hasan, wyczuwało się ciężką atmosferę milczącej wrogości. Hasan jednak, zajęty bez reszty swoimi potajnymi działaniami, nie zwracał uwagi na ich wzajemne rozgrywki.

Usiadł.

- Coś nowego?

Rostow i Woroncow popatrzyli na siebie. Rostow wzruszył ramionami, a Woroncow powiedział:

- Na "Strombergu" zainstalowano bardzo silny radionadajnik. Statek opuścił już suchy dok i zmierza na południe przez Zatokę Biskajską. Przypuszczalnie do

Hajfy, żeby wziąć na pokład załogę złożoną z agentów Mosadu. Sądzę, że możemy być zadowoleni z naszych działań rozpoznawczych. Operacja wchodzi teraz w fazę konkretnych posunięć. Nasze zadanie nabiera charakteru nakazu, a nie opisu.

- Tu, w Centrali, wszyscy mówią w taki sposób - powiedział Rostow uszczypliwie. Woroncow obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Jakich posunięć? - zapytał Hasan.

- Rostow jedzie do Odessy, gdzie zaokrętuje się na polski statek handlowy "Karolinka" - odparł Woroncow. - To z pozoru zupełnie zwyczajna jednostka, ale rozwija wielką szybkość i ma pewne specjalne wyposażenie - korzystamy z niej dość często.

Rostow, z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy, gapił się w sufit. Hasan domyślał się, że nie chce wtajemniczać Egipcjan we wszystkie szczegóły; być może o to właśnie posprzeczał się z Woroncowem.

- Pańskie zadanie polega na tym - ciągnął Woroncow - aby dostać się na statek egipski i spotkać się z "Karolinką" na Morzu Śródziemnym.

- A potem? - zapytał Hasan.

- Potem poczekamy, aż Tyrin na pokładzie "Coparellego" poinformuje nas o akcji Izraelczyków. Powie również, czy przeniesiono uran z "Coparellego" na "Stromberga", czy też ładunek popłynie do Hajfy na "Coparellim".

- A potem? - nie dawał za wygraną Hasan.

Woroncow zaczął coś mówić, ale Rostow go uprzedził.

- Chcę, żebyś sprzedał Kairovi historyjkę - zasłonę dymną - powiedział do Hasana. - Chcę, by twoi sądzili, że nie wiemy jeszcze o "Coparellim"; że orientujemy się wprawdzie, iż Izraelczycy szykują coś na Morzu Śródziemnym, ale wciąż usiłujemy ustalić, co.

Hasan przytaknął, zachowując kamienny wyraz twarzy. Musiał wiedzieć, na czym polega plan, a Rostow nie chciał go wtajemniczać.

- Zgoda - oświadczył - tak właśnie to przedstawię... jeśli wy mi powiecie, co zamierzacie zrobić.

Rostow spojrział na Woroncowa i wzruszył ramionami. Woroncowa rzekł:

- Po uprowadzeniu "Karolinka" skieruje się wprost na ten statek Dicksteina, który będzie miał na pokładzie uran. "Karolinka" staranuje ten statek.

- Staranuje!?

- Pański statek będzie świadkiem kolizji, zamelduje o niej, podkreślając, że załogę stanowili Izraelczycy i że ładunkiem jest uran. Kolizja stanie się przedmiotem międzynarodowego śledztwa. Obecność na statku tak Izraelczyków, jak i skradzionego uranu zostanie ustalona ponad wszelką wątpliwość. Uran wróci do prawowitych właścicieli, Izraelczycy natomiast okryją się hańbą.

- Izraelczycy będą walczyć.

- Tym lepiej - powiedział Rostow. - Załoga twego statku będzie widzieć, że nas zaatakowali, i pomoże ich odeprzeć.

- To dobry plan - stwierdził Woroncowa. - Bo prosty. Trzeba tylko doprowadzić do zderzenia, reszta nastąpi automatycznie.

- Tak, do dobry plan - zgodził się Hasan. Idealnie odpowiadał zamierzeniom fedainów. W przeciwieństwie do Dicksteina, Hasan wiedział o obecności Tyrina na pokładzie "Coparellego". Uprowadziwszy "Coparellego" i schwytawszy Izraelczyków w potrzask, fedaini mogą cisnąć do morza Tyrina razem z jego aparaturą i wówczas Rostow nie zdoła ich zlokalizować. Lecz Hasan musiał wiedzieć, gdzie i kiedy Dickstein zamiera przeprowadzić operację, aby fedaini mogli opanować statek wcześniej.

W gabinecie Woroncowa było bardzo gorąco. Hasan podszedł do okna i popatrzył na jadące obwodnicą samochody.

- Musimy wiedzieć dokładnie, gdzie i kiedy Dickstein uprowadzi "Coparellego" - powiedział.

- A to dlaczego? - zapytał Rostow, rozkładając szeroko ręce. - Mamy Tyrina na pokładzie "Coparellego" i radionadajnik na "Strombergu". Wiemy cały czas, gdzie

przebywają oba te statki. Wystarczy, że będziemy trzymać się w pobliżu i w odpowiednim momencie wkroczymy do akcji.

- Mój statek w decydującym momencie musi znajdować się we właściwym rejonie.

- Więc trzymaj się "Stromberga", pozostając tuż za horyzontem... możesz odbierać jego sygnał radiowy. Albo utrzymuj łączność ze mną na "Karolinie". Albo rób jedno i drugie.

- A jeśli radionadajnik nawali, a Tyrin zostanie odkryty?

- Jest to takie samo ryzyko, jak groźba ujawnienia naszych zamierzeń, gdybyśmy ponownie zaczęli śledzić Dicksteina... zakładając, że go zdołamy odnaleźć - powiedział Rostow.

- Ale to spostrzeżenie było słuszne - stwierdził Woroncow.

Teraz z kolei Rostow popatrzył nań z wściekłością. Hasan rozpiął kołnierzyk.

- Czy mogę otworzyć okno?

- Te okna się nie otwierają - odrzekł Woroncow.

- Nie słyszeliście o klimatyzacji?

- Tu, w Moskwie?

- Przemysł to - zwrócił się Hasan do Rostowa. - Chcę być zupełnie pewien, że przyskrzynimy tych ludzi.

- Przemyslałem - odparł Rostow. - Jesteśmy tak pewni jak tylko jest to możliwe w tych okolicznościach. Wracaj do Kairu, załatw statek i bądź ze mną w kontakcie.

Ty protekcyjny sukinsynu, pomyślał Hasan. Do Woroncowa zaś powiedział:

- Dopóki nie wyeliminujemy tego marginesu niepewności, nie mogę z całkowitym przekonaniem powiedzieć swoim, że jestem zadowolony z planu.

- Zgadzam się z Hasanem - oświadczył Woroncow.

- Ja natomiast nie - odparł Rostow. - Ten plan został już zaaprobowany przez towarzysza Andropowa.

Aż do tej chwili Hasan sądził, że przeforsuje swoje stanowisko, skoro Woroncow, szef Rostowa, podzielał jego punkt widzenia. Wyglądało jednak, że wzmianka o szefie KGB przeważała szalę: Woroncow robił wrażenie zastraszonego i Hasan znowu musiał ukryć swą desperacką niecierpliwość.

- Plan można zmienić - powiedział Woroncow.

- Tylko przy aprobacie towarzysza Andropowa - zareplikował Rostow. - A ja nie podpiszę się pod żadną zmianą.

Usta Woroncowa zacisnęły się w wąską linię. Nienawidzi Rostowa, pomyślał Hasan; tak samo, jak ja.

- Już dobrze, dajmy temu pokój - powiedział Woroncow. Przez cały czas swojej kariery w wywiadzie Hasan należał do organizacji profesjonalnych - Egipskiej Służby Wywiadowczej, KGB, nawet fedainów. Zawsze byli ci inni - ludzie doświadczeni i stanowczy, którzy dawali mu rozkazy, wskazówki, a w końcu brali ostateczną odpowiedzialność. Teraz, kiedy wychodził z gmachu KGB i zmierzał do hotelu, pojął, że jest zdany na własne siły... Bez niczyjej pomocy musiał odnaleźć człowieka wyjątkowo nieuchwytnego i sprytnego, a potem odkryć najściślej strzeżoną z jego tajemnic.

Przez kilka dni był w panice. Wrócił do Kairu, przekazał historyjkę Rostowa i wykonał jego polecenie - załatwił statek pod banderą egipską. Na myśl o problemie, który miał rozwiązać, czuł się tak, jakby stanął przed stromą skałą - nie można nawet zacząć się na nią wspinać, dopóki nie dostrzeże się przynajmniej pierwszego odcinka szlaku wiodącego na szczyt. Podświadomie jął szukać we własnej historii postaw i metod działania, które pozwoliłyby mu stawić czoło temu zadaniu, radzić sobie zupełnie samodzielnie. Musiał odbyć daleką wędrówkę wstecz.

Dawno, dawno temu Jasif Hasan był człowiekiem zupełnie innego pokroju. Był młodym, zamożnym Arabem, niemal arystokratą, i miał świat u swoich stóp. Nabrał przekonania, że potrafi zrobić wszystko lepiej lub gorzej - i ta myśl pozwalała mu to realizować. Na studia do Anglii - kraju zupełnie mu obcego - pojechał bez

najmniejszych obaw; wszedł w angielską społeczność nie troszcząc się i nawet nie zastanawiając, co myślą o nim ludzie.

Bywały sytuacje, kiedy musiał się uczyć; to wszakże przychodziło mu łatwo. Kiedyś kolega - student, jakiś tam wicehrabia, zaprosił go do swej wiejskiej posiadłości na grę w polo. Hasan nigdy przedtem nie grał w polo, zapytał o reguły gry, przez chwilę obserwował graczy - zwracając uwagę, jak trzymają młotki, jak uderzają piłkę, jak i dlaczego ją podają - a potem do nich dołączył. Choć nie władał zręcznie młotkiem, jeździł konno jak wiatr w sumie grał znośnie, bawił się doskonale, a jego drużyna zwyciężyła.

Teraz, w roku 1968, powiedział sobie: potrafię wszystko, ale z kim mogę rywalizować? Oczywiście odpowiedź brzmiała: z Dawidem Rostowem.

Rostow był samodzielny, pewny siebie, zdolny, błyskotliwy. Nawet wtedy, gdy wydawało się, że zbity z tropu i pozbawiony wskazówek utknął w ślepej uliczce, potrafił znaleźć Dicksteina. I to dwukrotnie. Hasan przypomniał sobie:

Pytanie: Dlaczego Dickstein przebywa w Luksemburgu? Ano, cóż takiego wiemy o Luksemburgu? Co tam się mieści? Giełda, banki, Rada Europy, Euratom... Euratom!

Pytanie: Dickstein zniknął - gdzie mógł się podziać? Nie wiadomo. Czy wiemy o jakichś jego znajomych? Tylko o profesorze Ashfordzie z Oksfordu... Oksford!

Podejście Rostowa polegało na wyszukiwaniu strzępów informacji - jakiegokolwiek, nawet błahej - po to, by znaleźć drogę do celu. Problem w tym, że wykorzystali chyba wszystkie strzępy informacji, jakie w ogóle mieli.

No więc znajdę następne, pomyślał Hasan; potrafię to zrobić. Wyteżał umysł, usiłując sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów z okresu ich wspólnego pobytu w Oksfordzie. Dickstein brał udział w wojnie, grał w szachy, ubranie miał znoszone...

Miał matkę. Ale umarła.

Hasan nigdy nie poznał jakiegokolwiek braci, sióstr czy krewnych Dicksteina. To wszystko działo się dawno i łączyła ich raczej luźna znajomość.

A jednak był ktoś, kto mógł wiedzieć o Dicksteinie więcej: profesor Ashford.

Tak więc zdesperowany Jasif Hasan znów pojechał do Oksfordu. Przez całą drogę - w samolocie z Kairu, w taksówce z londyńskiego lotniska na dworzec Paddington, w pociągu do Oksfordu i znów w taksówce wiozącej go do biało-zielonego domku nad rzeką - rozmyślał o Ashfordzie. Mówiąc szczerze miał go w pogardzie. Być może profesor był w młodości dzielnym poszukiwaczem przygód, ale już dawno przemienił się w słabego starca, politycznego dyletanta i mola książkowego, który nie potrafił nawet zatrzymać przy sobie żony. Trudno szanować starego rogakza... a fakt, że Anglicy myślą o tym inaczej, jeszcze powiększył wzdargę Hasana.

Niepokoił się, czy Ashford - słaby i może powodowany rodzajem lojalności wobec dawnego studenta i przyjaciela - zechce się angażować w tę sprawę.

Zastanawiał się, czy użyć jako argumentu żydowskiego pochodzenia Dicksteina. Podczas pobytu w Oksfordzie zorientował się, że antysemityzm jest najbardziej żywotny w wyższych sferach społeczeństwa angielskiego: to na West Endzie, a nie na East Endzie nadal istniały kluby, do których Żydzi nie mieli wstępu. Ashford jednak stanowił pod tym względem wyjątek. Kochał Bliski Wschód, a jego proarabska postawa wynikała z przekonań etycznych, nie zaś uprzedzeń rasowych. Nie: taka strategia byłaby błędem.

Wreszcie zdecydował się na szczerłość: powie, dlaczego chce odnaleźć Dicksteina, mając nadzieję, że z tych samych powodów profesor zgodzi się udzielić mu pomocy.

Kiedy się już przywitani i ze szklaneczkami sherry usiedli w ogrodzie, Ashford zapytał:

- Cóż cię tak szybko sprowadziło znowu do Anglii?

Hasan wyznał prawdę:

- Ścigam Nata Dicksteina.

Siedzieli nad rzeką, w tym samym zakątku ogrodu, gdzie przed laty Hasan całował piękną Eilę. Żywopłot osłaniał ich przed październikowym wiatrem, przygrzewało jesienne słońce. Ashford był powściągliwy i ostrożny. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Powinieneś mi chyba powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Hasan zauważył, że w ciągu minionego lata profesor zaczął się stosować do wymogów mody. Nie tylko wyhodował baczki i zapuścił okalające łysinę włosy, ale miał na sobie dżinsy i widoczny spod starej tweedowej marynarki szeroki skórzany pas.

- Powiem to panu - rzekł Hasan z przykrą świadomością, że Rostow okazałby większy spryt - ale musi pan obiecać, że pozostanie to między nami.

- Masz moje słowo.

- Dickstein jest izraelskim szpiegiem.

Oczy Ashforda zwięzły się, ale nie powiedział ani słowa. Hasan brnął dalej.

- Syjoniści zamierzają produkować bombę atomową, ale nie mają plutonu. Muszą potajemnie zdobyć ładunek uranu, który w swym reaktorze przetworzą na pluton. Zadanie Dicksteina polega na tym, żeby ukraść uran, moje zaś - żeby Dicksteina odnaleźć i powstrzymać. Chcę, by mi pan w tym pomógł.

Ashford wpatrywał się w swoje sherry, a potem jednym haustem opróżnił szklaneczkę.

- Zasadne byłoby tu postawienie dwóch pytań - powiedział, Hasan zaś pojął, że profesor zamierza potraktować sprawę jako problem czysto intelektualny. Była to typowa samoobrona wystraszonego akademika. - Pierwsze z nich brzmi: czy mogę ci pomóc, czy też nie. Drugie natomiast: czy powinienem to uczynić. Drugie, moim zdaniem, jest istotniejsze, przynajmniej z moralnego punktu widzenia.

Hasan pomyślał: chętnie bym cię chwycił za kark i zdrowo potrząsnął. Może da się to zrobić przynajmniej w wyobraźni.

- Oczywiście, że pan powinien. Wierzy pan w słuszność naszej sprawy - powiedział.

- To nie jest takie proste. Proszę mnie, bym wtrącił się w konflikt pomiędzy dwoma narodami, które traktuję jednakowo przyjaźnie.

- Ale tylko jeden z nich ma rację.

- Czy zatem powinienem pomóc temu, który ma rację... zdradzając ten naród, który błądzi?

- Oczywiście.

- Nie ma w tej kwestii żadnego "oczywiście"... Co zrobisz, kiedy - i jeśli - odnajdziesz Dicksteina?

- Pracuję wprawdzie dla wywiadu egipskiego, panie profesorze, ale jestem lojalny - tak samo, sądzę, jak pan - wyłącznie wobec Palestyny.

Ashford nie chwycił przynęty.

- Mów dalej - powiedział obojętnie.

- Muszę dowiedzieć się dokładnie, kiedy i gdzie Dickstein zamierza ukraść uran. - Hasan zawahał się przez moment. - Fedaini dotrą tam przed nim i sami ukradną ładunek.

Oczy Ashforda rozbłysły.

- Mój Boże - powiedział. - To fantastyczne.

Prawie go mam, pomyślał Hasan. Jest wystraszony, ale i podniecony.

- Tu, w Oksfordzie, łatwo panu okazywać lojalność Palestynie podczas wykładów i zebrań. Tym z nas, którzy walczą o wolność, jest znacznie trudniej. Przybyłem, aby pana prosić o zrobienie czegoś konkretnego, czegoś, co wynika z pańskich poglądów politycznych, by zdecydował pan, czy pańskie ideały znaczą cokolwiek. Oto odpowiedni moment, byśmy obydwaj, pan i ja, przekonali się, czy sprawa arabska jest dla pana czymś więcej niż romantycznym pojęciem. To jest ta próba, ten test, profesorze.

- Może masz słuszość - powiedział Ashford. A Hasan pomyślał: Mam cię.

Suza postanowiła powiedzieć ojcu, że kocha Nata Dicksteina. Z początku sama nie była tego pewna. Kilka szalonych dni, które wspólnie spędzili w Londynie, wypełniało szczęście i miłość, później uświadomiła sobie jednak, że wszystko to może

okazać się przelotne. Postanowiła nie podejmować żadnych decyzji. Będzie żyć jak zwykle i czekać na rozwój wydarzeń.

W Singapurze zdarzyło się coś, co skłoniło ją do zmiany zdania. Dwaj stewardzi z załogi byli homoseksualistami i zajmowali tylko jeden pokój; drugi był wolny i załoga postanowiła się w nim zabawić. Tego wieczoru pierwszy pilot zaczął robić Suzie awanse. Był to spokojny, pogodny blondyn o delikatnej budowie i ujmująco ekscentrycznym poczuciu humoru. Wszystkie stewardesy twierdziły zgodnie, że jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. W innych okolicznościach Suza bez namysłu poszłaby z nim do łóżka. Ale teraz odmówiła, wprowadzając tym w zdumienie całą załogę. Gdy później o tym myślała, doszła do wniosku, że po prostu nie ma już chęci na przygodny seks. Wyrosła z tego. Pragnęła tylko Nathaniela. To było coś jak... jak wtedy, pięć lat temu, kiedy ukazał się drugi album Beatlesów, a ona przesłuchała cały swój zbiór płyt Elvisa, Roya Orbisona i Everly Brothers, i uświadomiła sobie, że nie chce więcej ich puszczać, że te dobrze znane utwory - zbyt często słuchane - straciły czar, że teraz potrzebuje muzyki innego rodzaju. No więc to było coś takiego, tylko odczuwała to głębiej.

List Dicksteina przeważył szalę. Napisany Bóg jeden wie gdzie, został nadany na lotnisku Orly. Drobnym starannym pismem, ale z dziwacznymi zawijasami przy literach g oraz y, Nat otworzył przed nią duszę z efektem tym bardziej wstrząsającym, że były to przecież wyznania człowieka zwykle zamkniętego w sobie. Spłakała się nad tym listem.

Gdybyż tylko wymyśliła jakiś sposób wyjaśnienia tego wszystkiego ojcu. Wiedziała, że jest wobec Izraelczyków usposobiony niechętnie. Dickstein należał do grona jego dawnych studentów i Ashford szczerze rad z ponownego spotkania był skłonny zbagatelizować fakt, iż dawny pupil stoi teraz po przeciwnej stronie barykady. Teraz jednak pragnęła uczynić Dicksteina częścią swojego życia, członkiem rodziny. Pisał w liście "... i chcę tego na zawsze", a Suza nie mogła się doczekać, by mu odpowiedzieć: "O tak, ja też".

Uważała, że na Bliskim Wschodzie żadna ze stron nie postępuje właściwie. Cierpienia uchodźców były czymś niesprawiedliwym i godnym litości, ale, jej zdaniem, ludzie ci powinni zabrać się do budowania nowych domów - rzecz trudna, łatwiejsza jednak niż wojna. Poza tym gardziła tromtadracką bohaterszczyzną, tak nieodparcie pociągającą dla wielu Arabów. Z drugiej strony było zupełnie jasne, że

całe to cholerne zamieszanie i awantura powstały z winy syjonistów, którzy, przywłaszczyli sobie kraj należący do innego narodu. Ojciec nie podzielał tak cynicznego punktu widzenia: postrzegał słuszość po jednej stronie, winę zaś - po drugiej. Piękny duch jego żony stał, oczywiście, po stronie słuszości.

Będzie to dla niego bardzo trudne. Już dawno wybiła mu z głowy marzenia, iż wiodąc córkę w białej sukni ślubnej przejdzie środkiem kościelnej nawy; nadal jednak mówił od czasu do czasu, że powinna się ustatkować i dać mu wnuczkę. Myśl, że ta wnuczka może być Izraelitką, byłaby dla niego strasznym ciosem.

A jednak, myślała Suza wchodząc do domu, taka jest właśnie cena ojcostwa. Zdjęła płaszcz, odłożyła swą torbę lotniczą i zawołała:

- Tatusiu, przyjechałam.

Nie było odpowiedzi, ale stała w sieni aktówka Ashforda: ojciec zapewne jest w ogrodzie. Postawiła czajnik na gazie i wyszła z kuchni. Zmierzając ku rzece, wciąż szukała w myślach właściwych słów, którymi powinna przekazać mu nowinę. Może należałoby zacząć od relacji z ostatniej podróży, a potem stopniowo, ogródkami, zmierzać do celu? Zbliżając się do żywopłotu, usłyszała rozmowę.

- I co z nim wtedy zrobisz? - głos należał do ojca.

Suza przystanąła, zastanawiając się, czy może im przerwać.

- Po prostu będę go śledzić - odrzekł drugi głos, obcy. - Dickstein powinien zostać zlikwidowany, ale - oczywiście - dopiero po zakończeniu operacji.

Zasłoniła usta dłonią, aby nie było słyhać nagle przyspieszonego ze zgrozy oddechu. Potem, przerażona, zawróciła na pięcie i cicho pobiegła do domu.

- A zatem - powiedział profesor Ashford - postępując w myśl czegoś, co moglibyśmy nazwać metodą Rostowa - zreasumujmy wszystko, co wiemy o Nacie Dicksteinie.

Postępuj sobie, jak chcesz, pomyślał Hasan, lecz na miłość boską, wyjedź wreszcie z jakąś koncepcją!

- Urodził się w Londynie - ciągnął Ashford - na East Endzie. Kiedy był jeszcze chłopcem, zmarł jego ojciec. Ale co z matką?

- Wedle naszych akt również nie żyje.

- Aha. Wstąpił do armii gdzieś w połowie wojny... chyba w 1943. W każdym razie na czas, by wziąć udział w ataku na Sycylię. Wkrótce potem wzięto go do niewoli, gdzieś mniej więcej w połowie długości włoskiego buta. Nie pamiętam nazwy tej miejscowości. Chodziły pogłoski - jestem pewien, że je sobie przypomnisz - o paskudnych przeżyciach, jakie z powodu żydowskiego pochodzenia miał w obozie koncentracyjnym. Po wojnie wrócił tutaj.

- Sycylia - przerwał mu Hasan.

- Co?

- Sycylia jest wymieniona w jego aktach. Był przypuszczalnie zamieszany w uprowadzenie statku z bronią. Tę broń sprzedał nam gang sycylijski.

- Jeśli prasa nie kłamie - powiedział Ashford - na Sycylii działa tylko jeden gang przestępczy.

Hasan przytaknął.

- Nasi podejrzewają, że porywacze przekupili Sycylijczyków, aby dali im cynk.

- Czy to nie na Sycylii Dickstein ocalił komuś życie?

Hasan próbował rozumieć, co Ashford ma na myśli. Powściągnął jednak zniecierpliwienie, myśląc: Niech się przerzuca z tematu na temat... na tym właśnie polega cały pomysł.

- Ocalił komuś życie?

- Temu Amerykaninowi. Nie pamiętasz? Ja nigdy tego nie zapomnę. Dickstein go tutaj przyprowadził. Nieokrzesany żołdak. Opowiedział mi całą historię. No, coś nam zaczyna świtać. Na pewno spotkałeś tego człowieka, byłeś przecież u mnie, pamiętasz!

- Nie, nie na sto procent - wymamrotał Hasan. Poczul zażenowanie... pewnie akurat obmacywał w kuchni Eilę.

- To... nas wytrąciło z równowagi - powiedział Ashford. Spoglądał na powolny nurt rzeki i myślami cofnął się o dwadzieścia lat; może wspominał żonę, bo wyraz smutku przemknął mu po twarzy. Potem powiedział: - No więc siedzieliśmy tutaj, wykładowcy i studenci, popijaliśmy sherry, dyskutując prawdopodobnie o egzystencjalizmie i muzyce atonalnej, gdy zjawił się ten wielki żołnierz i zaczął mówić o snajperach, czołgach i krwi. Powiało chłodem, dlatego pamiętam to tak dokładnie. Mówił, że jego rodzina wywodzi się z Sycylii i że jego sycylijscy krewni na rękach nosili Dicksteina za uratowanie mu życia. Czy nie powiedziałaś, że to sycylijski gang powiadomił Dicksteina o ładunku broni?

- Istnieje po prostu taka możliwość.

- Może wcale nie musiał uciekać się do przekupstwa.

Hasan pokręcił głową. Była to informacja, ów błahy strzęp informacji, z którego - jak się zdawało - Rostow zawsze potrafił wyciągnąć wnioski; jaki jednak użytek może uczynić z niego on, Hasan?

- Nie widzę, co to ma wspólnego z naszą sprawą - powiedział. - Jak można wiązać z mafią dawną akcję Dicksteina?

- Mafia - powtórzył Ashford. - Tego słowa szukałem. A ten mężczyzna nazywał się Cortone... Tony Cortone... nie, Al Cortone z Buffalo. Mówiłem ci, że pamiętam wszystkie szczegóły.

- Ale jaki to ma związek?... - zapytał niecierpliwie Hasan.

Ashford wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Już kiedyś Dickstein wykorzystał znajomość z Cortonem, aby zwrócić się do mafii o pomoc w przeprowadzeniu akcji pirackiej na Morzu Śródziemnym. Wiesz, ludzie niekiedy powtarzają swoją młodość: może to samo uczynić po raz wtóry.

Hasan zaczął pojmować: wraz z olśnieniem wróciła mu nadzieja. Był to daleki strzał, przypuszczenie, ale przypuszczenie logiczne. Rysowała się realna szansa, że zdoła ponownie dopaść Dicksteina.

Ashford wyglądał na zadowolonego z siebie.

- To był ładny kawałek rozumowania spekulatywnego - stwierdził. - Gdybym tak mógł je opublikować, z przypisami!

- Zastanawiam się - powiedział Hasan tęsknie. - Zastanawiam.

- Wracajmy do domu, robi się zimno.

Kiedy szli przez ogród, Hasan pomyślał, że nie nauczył się być taki jak Rostow; Ashford zastąpił mu po prostu Rostowa. Może jego dawna, pełna dumy niezależność odeszła już na zawsze. Było w tym coś niemęskiego. Zastanawiał się, czy inni fedaini nie czują podobnie i czy przypadkiem nie stąd właśnie bierze się ich krwiożerczość.

- Bieda w tym - powiedział Ashford - że nie sądzę, aby Cortone udzielił ci jakichkolwiek informacji, gdyby je nawet posiadał.

- A panu?

- Niby dlaczego miałyby to zrobić? Z trudem mnie sobie przypomni. No, gdyby żyła Eila. Moglibyśmy ją wysłać z jakąś historyjką...

- Cóż... - Hasan pragnął, aby Eila przestała pojawiać się w rozmowie. - Będę musiał sam spróbować.

Kiedy po wejściu do domu spotkali w kuchni Suzę, spojrzeli na siebie tknięci jedną myślą: oto znaleźli odpowiedź.

Zanim obaj mężczyźni wrócili do domu, Suza zdołała nieomal przekonać samą siebie, że tam, w ogrodzie, przesłyszała się, kiedy zdawało się jej, iż mówią o zabiciu Nata Dicksteina. To było po prostu nierzeczywiste: ogród, rzeka, jesienne słońce, profesor i jego gość... morderstwo nie mieściło się w tym wszystkim, cały pomysł był równie fantastyczny jak niedźwiedź polarny na Saharze. Poza tym nasuwało się przekonujące psychologiczne wyjaśnienie omyłki: zamierzała oznajmić ojcu, że kocha Dicksteina i bała się jego reakcji - Freud potrafiłby prawdopodobnie powiedzieć, że w tym momencie zacznie sobie roić, iż ojciec knuje, aby zgładzić kochanka.

Prawie uwierzyła swojemu rozumowaniu, toteż udało się jej przywołać na twarz pogodny uśmiech i zapytała:

- Komu kawę? Świeżo zaparzona.

Ojciec pocałował ją w policzek.

- Nie wiedziałem, że już wróciłaś, moja droga.

- Przed chwilą. Już chciałam zacząć cię szukać. - Dlaczego wygaduję te kłamstwa?

- Nie znasz Jasifa Hasana. Byłaś malutka, kiedy należał do grona moich studentów.

Hasan ucałował jej dłoń i popatrzył na nią w taki sposób, w jaki zawsze czynili to ludzie, którzy znali kiedyś Eileę.

- Jesteś równie piękna, jak twoja matka - powiedział. W jego głosie nie pobrzmiewały nuty flirtu ani nawet pochlebstwa; tylko zdumienie.

- Jasif był u nas kilka miesięcy temu - oznajmił Ashford - tuż po wizycie jego rówieśnika, Nata Dicksteina. Poznałaś, jak sędzę, Dicksteina, ale nie było cię w domu, kiedy przyjechał Jasif.

- Czy te wizyty były ze sobą jakoś zzz... związane? - zapytała, przeklinając w duszy swój głos za to, że załamał się na ostatnim słowie.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Istotnie, były - odpowiedział ojciec.

I wówczas pojęła, że to wszystko jest prawdą, że się nie przesłyszała, że zamierzają zabić jedyne go człowieka, którego kochała. Czowała, że jest niebezpiecznie bliska zalania się łzami, więc odwróciła się od nich i zajęła filiżankami i spodkami.

- Chcę prosić, abyś coś zrobiła, moja droga - powiedział Ashford. - Coś bardzo ważnego, w imię pamięci twojej matki.

Dość, pomyślała. Ten koszmar nie może być już większy. Zaczerpnęła głęboko powietrza i zwróciła się twarzą do niego.

- Chcę, byś pomogła Jasifowi odnaleźć Nata Dicksteina - powiedział.

W tym momencie znienawidziła swojego ojca. W jednej chwili pojęła nagle, że jego miłość do niej była oszukańcza, że nigdy nie widział w niej człowieka, że wykorzystywał ją tak samo, jak kiedyś wykorzystywał matkę. Już nigdy się nim nie zaopiekuje, nigdy mu nie usłuży; przestanie się przejmować jego samopoczuciem, samotnością, potrzebami... W tym samym przeblysku zrozumienia i nienawiści zorientowała się, że kiedyś matka doszła do podobnego punktu; i że teraz ona zrobi to samo, co niegdyś Eila, i będzie nim gardzić.

Ashford ciągnął dalej:

- W Ameryce mieszka człowiek, który może znać miejsce pobytu Dicksteina. Chcę, byś pojechała do niego z Jasifem i zapytała, gdzie jest Nat.

Nie odpowiedziała. Hasan wziął jej puste spojrzenie za brak zrozumienia i zaczął wyjaśniać:

- Rozumiesz, ten Dickstein jest izraelskim agentem, działającym przeciwko naszemu narodowi. Musimy go powstrzymać. Cortone - ten człowiek z Buffalo - być może mu pomaga i w takim wypadku nie zechce pomóc nam. Ale przypomni sobie twoją matkę i może zechce z tobą współpracować. Możesz mu powiedzieć, że jesteście z Dicksteinem kochankami.

- Ha-ha! - śmiech Suzy był odrobinę histeryczny; miała nadzieję, że nie domyśla się prawdziwej przyczyny. Opanowała się z wysiłkiem i siedząc drętwą i nieruchomo, z obojętną twarzą, słuchała o rudzie uranu, o wtyczce na pokładzie "Coparellego", o radionadajniku na "Strombergu", o Mahmudzie i jego planie i o tym, jakie to wszystko ma znaczenie dla palestyńskiego ruchu wyzwolenczego; w końcu ogarnęło ją prawdziwe odrętwienie i nie musiała już niczego udawać.

Wreszcie ojciec zapytał:

- No i co, moja droga, pomożesz? Zrobisz to?

Ze zdumiewającym dla niej samej opanowaniem obdarzyła ich zawodowym uśmiechem stewardesy, wstała ze stołka i powiedziała:

- To trochę dużo jak na jeden haust. Będę miała o czym myśleć w kąpieli.

I wyszła.

Kiedy oddzielona od nich zamkniętymi drzwiami łazienki leżała w gorącej wodzie, powoli wszystko zaczęło do niej docierać. A więc to właśnie musi zrobić Nathaniel, zanim będą mogli znowu się spotkać: uprowadzić statek. Potem, jak powiedział, nie spuści jej z oka przez dziesięć albo piętnaście lat... Co mogło oznaczać, że zamierza zrezygnować z pracy.

Lecz oczywiście, nie zrealizuje żadnego ze swych planów, ponieważ wiedzą o nich wrogowie. Rosjanin chce staranować statek Nata, Hasan natomiast - dokonać uprowadzenia przed nim i schwytać Nata w pułapkę. Tak czy owak, Dicksteinowi groziło niebezpieczeństwo; tak czy inaczej, pragnęli go zniszczyć. Suza mogłaby go ostrzec. Gdyby tylko wiedziała, gdzie przebywa.

Jakże mało znali ją ci mężczyźni siedzący na dole. Hasan po prostu uważał - jak każdy arabski szowinistyczny wieprz - że robi, co się jej każe. Ojciec wierzył, że stanie po stronie Palestyńczyków, ponieważ on, głowa rodziny stał po ich stronie. Nigdy nie rozumiał, co dzieje się w duszy córki: w gruncie rzeczy z żoną było tak samo. Eila zawsze umiała go zwieść; nigdy nie podejrzewał, że może być inna, niż na to wskazywały pozory.

Kiedy Suza uświadomiła sobie, co musi zrobić, znów ogarnęła ją zgroza. Ale ostatecznie istniał przecież sposób, w jaki mogła odnaleźć i ostrzec Nathaniela.

“Znajdź go” - oto czego oni od niej żądali.

Wiedziała, że potrafi ich oszukać, ponieważ zakładali z góry, że stoi po ich stronie, a tymczasem wcale tak nie było. Zrobi to, czego od niej oczekują. Odnajdzie Nata... aby go ostrzec. A może pogorszy w ten sposób sytuację? Aby odszukać Nathaniela, musi doprowadzić do niego i tamtych. Lecz jeśli nawet nie znajdzie go Hasan, Natowi nadal będzie groziło niebezpieczeństwo ze strony Rosjan. Natomiast ostrzeżony zdoła uniknąć obu zagrożeń. Istnieje również szansa, że uda się jej jakoś Hasana pozbyć, zanim dotrze do Nata.

Jakie było inne wyjście? Czekać, udawać, że nic się nie stało, liczyć na telefon, który może nigdy nie zadzwoni... Jej myśli - pojęła - biegły takim torem po części z pragnienia ponownego spotkania z Natem, po części zaś - z obawy, że Nat po porwaniu uranu zginie i że to jest jej ostatnia szansa. Były jednak również powody

konkretne: jej bezczynność może wprawdzie pokrzyżować szyki Hasana, ale nie wyeliminuje Rosjan z ich planem.

Podjęła decyzję. Będzie udawać, że współpracuje z Hasanem po to, by odszukać Nathaniela. Doznała osobliwej radości. Schwytała w pułapkę - czuła się wolna; słuchając ojca - miała świadomość, że ostatecznie rzuca mu wyzwanie. Na dobre i złe wiązała swój los z Nathanielem. Była także bardzo, bardzo wystraszona.

Wyszła z wanny, wytarła się, ubrała i zeszła na dół zakomunikować obu mężczyznom dobre nowiny.

O czwartej rano 16 listopada 1968 roku "Coparelli" zatrzymał się we Vlissingen na wybrzeżu holenderskim i przyjął na pokład pilota, który przez kanał Westerschelde miał go wprowadzić do Antwerpii. Cztery godziny później u wejścia do portu pojawił się następny pilot: jego zadaniem było przeprowadzenie statku przez doki. Z głównego basenu "Coparelli" wpłynął w służbę Royers, stąd wzdłuż Kanałem Sueskim, by po przejściu pod mostem Siberia zacumować w doku Kattendijk.

Obserwował to Nat Dickstein.

Kiedy dostrzegł sunący ospale statek, przeczytał na jego burcie nazwę "Coparelli" i pomyślał o beczkach rudy, które niebawem wypełnią jego wnętrze, doznał dziwnego uczucia. Przypominało tamto, jakiego doświadczał patrząc na obnażone ciało Suzy... tak, było podobne do pożądania.

Przeniósł spojrzenie ze stanowiska cumowniczego numer 42 na tory kolejowe, dochodzące prawie do skraju nabrzeża. Stał na nich pociąg, składający się z lokomotywy i jedenastu wagonów towarowych. W każdym z dziesięciu wagonów było pięćdziesiąt jeden dwustulitrowych zaplombowanych beczek; na każdej powtarzało się wypisane szablonem słowo "Plumbat", w jedenastym wagonie znajdowało się tylko pięćdziesiąt beczek. Dickstein stał tak blisko beczek z uranem, że przeszedłszy kilka kroków mógł ich dotknąć - zrobił to już raz zresztą wczesnym rankiem, myśląc przy tym: czyż nie byłoby to fantastyczne zrobić zwyczajnie skok na to miejsce z kilkoma helikopterami i z grupą izraelskich komandosów i po prostu ukraść towar?

"Coparelli" miał w planie bardzo krótki postój. Władze portu uważały wprawdzie, że przy odpowiednim przeładunku i składowaniu ruda uranu nie stanowi

żadnego zagrożenia, mimo to wolały, by nie pozostawała na nabrzeżu ani minuty dłużej niż było konieczne. Portowy dźwig już czekał, gotowy do przeładunku.

Mimo to przed rozpoczęciem przeładunku należało jeszcze dopełnić pewnych formalności. Pierwszą osobą wchodzącą na pokład, jaką Dickstein zobaczył, był urzędnik ze spółki żeglugowej. Musiał opłacić pilotów i dla potrzeb policji portowej uzyskać od kapitana listę załogi. Drugim gościem na pokładzie był Josef Cohen. Pojawił się, aby podtrzymać dobre stosunki z klientem: wręczył kapitanowi butelkę whisky, potem usiadł na chwilę, by wspólnie wypić po kieliszku z kapitanem i urzędnikiem ze spółki żeglugowej. Miał również plik biletów do najlepszego nocnego klubu w mieście, uprawniających do darmowego wstępu i jednej kolejki gratis; część z nich dał kapitanowi, który rozdzielił je pomiędzy oficerów. Cohen ustalił również nazwisko oficera mechanika. Dickstein zasugerował, by w tym celu poprosił kapitana o listę załogi pod pretekstem odliczenia biletów.

Jakikolwiek sposób wybrał Cohen, osiągnął swój cel. Kiedy po zejściu ze statku przecinał nabrzeże w powrotnej drodze do biura, minął Dicksteina i nie zwalniając kroku wyszeptał:

- Mechanik nazywa się Sarne.

Dopiero po południu żuraw przystąpił do pracy, a dokerzy zaczęli ustawiać beczki w trzech ładowniach "Coparellego". Beczki należało przenosić pojedynczo; w ładowni mocowano je drewnianymi klinami. Zgodnie z przewidywaniem, załadunku nie udało się zakończyć tego samego dnia.

Wieczorem Dickstein poszedł do najlepszego nocnego klubu w mieście. Przy barze, blisko telefonu, siedziała atrakcyjna kobieta około trzydziestki o ciemnych włosach, pociągłej rasowej twarzy i nieco wyniosłym spojrzeniu. Była ubrana w elegancką czarną suknię, która podkreślała niezwykłą długość nóg i krągłe, wysoko osadzone piersi. Dickstein dał jej znak ledwo widocznym gestem, ale nie powiedział ani słowa.

Usiadł w kącie ze szklanką piwa, mając nadzieję, że marynarze nadejdą. Przecież nie mogą zawieść. Czy ludzie morza kiedykolwiek odmawiają, gdy im się stawia za darmo? W tym rzecz.

Klub począł się zapelniać. Kobieta w czerni zaczepiono dwukrotnie, a jej dwukrotna odmowa dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że nie jest dziwką. O dziewiątej Dickstein wyszedł do hallu i zadzwonił do Cohena. Wedle wcześniejszych ustaleń Cohen pod jakimś pretekstem zatelefonował do kapitana "Coparellego"; teraz poinformował Dicksteina, czego się dowiedział. Tylko dwaj oficerowie nie skorzystali z darmowych biletów - kapitan, zajęty papierkową robotą i uskarżający się na przeziębienie radiooperator - nowy członek załogi, którego przyjęto w Cardiff, kiedy Lars złamał nogę.

Wtedy Dickstein wykręcił numer klubu, w którym właśnie przebywał. Powiedział, że chce mówić z panem Sarne, bawiącym - jak sądzi - przy barze. Czekając, słyszał głos barmana, który wywoływał Sarnego, i to słyszał z dwóch stron: bezpośrednio z klubu i przez telefon, czyli kilka kilometrów kabla. Na koniec ze słuchawki dobiegły słowa:

- Tak? Halo? Tu Sarne. Kto mówi? Halo?

Dickstein przerwał połączenie i pospiesznie wrócił do baru. Spojrzał w kierunku telefonu, stojącego na ladzie barowej. Kobieta w czerni rozmawiała z wysokim, ogorzałym blondynem po trzydziestce, którego Dickstein wcześniej widział w porcie. A więc to był Sarne.

Kobieta uśmiechała się do Sarnego. Był to przyjemny, ciepły uśmiech, przyciągający spojrzenia mężczyzn: rozchyleniu czerwonych warg towarzyszył błysk równych białych zębów i leniwe półprzymknięcie oczu. Było to bardzo zmysłowe i wcale nie wyglądało na wystudiowane tysiącrotnie przed lustrem.

Dickstein patrzył jak zaczarowany. Miał bardzo słabe pojęcie o tym, jak rozgrywa się takie sprawy, w jaki sposób mężczyźni podrywają kobiety i kobiety mężczyzn; a już zupełnie nie mógł zrozumieć, w jaki sposób kobieta może poderwać mężczyznę utrzymując go w przekonaniu, że to on właśnie jest stroną aktywną.

Sarne, jak się zdawało, też nie był pozbawiony wdzięku. Obdarzył ją szerokim uśmiechem, który miał w sobie coś łobuzersko-chłopięcego i który odmłodził go o dziesięć lat. Potem coś powiedział, otrzymał w odpowiedzi następny uśmiech, zawahał się, jak człowiek, który chce podtrzymać rozmowę, ale nie wie, co powiedzieć, a wreszcie - ku przerażeniu Dicksteina - odwrócił się, by odejść.

Kobieta sprostaa i temu wyzwaniu: Dickstein nie musiał się obawiać. Dotknęła rękawa swetra mężczyzny i Sarne zwrócił się ku niej twarzą. Miała w dłoni papierosa. Sarne klepnął się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Najwyraźniej nie był palaczem. Dickstein jęknął w duszy. Kobieta podała Samemu zapalniczkę, którą wyjęła z wieczorowej torebki. Zapalił jej papierosa.

Dickstein nie mógł ani odejść, ani obserwować tej sceny z daleka; przypłaciłby to pewnie załamaniem nerwowym. Musiał posłuchać. Przepisnął się do baru, stanął za Sarnem, który patrzył na kobietę, i zamówił następne piwo.

Głos kobiety był ciepły i zachęcający - to już Dickstein wiedział - ale dopiero teraz robiła z niego w pełni użytek. Niektóre kobiety mają zmysłowe oczy, ta miała zmysłowy głos.

- Takie historie przytrafiają mi się stale - mówił Sarne.

- Telefony? - zapytała kobieta.

- Problemy z babami. Nienawidzę kobiet. Całe życie przysparzały mi bólu i cierpień. Chciałbym być homoseksualistą.

Dickstein był zbity z tropu. O czym on mówi? I czy mówi to serio? Czyżby chciał się jej pozbyć?

- Wiec czemu nim nie jesteś? - zapytała.

- Bo nie rajcują mnie mężczyźni.

- To zostań mnichem.

- Tak, ale rozumiesz, mam jeszcze inny kłopot. Nienasycony apetyt seksualny. Muszę się ciągle pieprzyć, czasem po kilka razy w ciągu jednej nocy. To naprawdę poważny kłopot. Chcesz się jeszcze napić?

Ach, i to był właściwy kierunek rozmowy. Jak na to wpadł? Dickstein pomyślał, że jest to sztuka, którą marynarze opanowali do perfekcji.

Dalej poszło już gładko. Dickstein podziwiał kobietę, sposób, w jaki wodziła Sarnego za nos, pozwalając mu sądzić, że to on prowadzi grę. Oznajmiła, że zatrzymała się w Antwerpii tylko na jedną noc i dała do zrozumienia, że ma pokój w

dobrym hotelu. Niebawem zaproponował szampana, ale szampan, który sprzedawano w klubie, był nędzny i zapewne gdzie indziej mogliby dostać lepszy; powiedzmy, w hotelu; na przykład w jej hotelu.

Wyszli, kiedy zaczynał się program rozrywkowy. Dickstein był zadowolony: sytuacja rozwijała się pomyślnie. Przez dziesięć minut oglądał fikające nóżkami panienki, a potem wyszedł. Pojechał taksówką do hotelu i pośpieszył do pokoju. Stał przy wewnętrznych drzwiach, prowadzących do sąsiedniego numeru. Usłyszał chichot kobiety i ściszony głos Sarnego.

Usiadł na łóżku i sprawdził pojemnik z gazem. Odkręcił i szybko zakręcił zawór; z maski wciągnął w płuca ostry podmuch słodkiego gazu, który nie podział na niego. Zastanawiał się, jaką dawkę musiałby sobie zaaplikować, by gaz zaczął działać. Wcześniej nie miał czasu go wypróbować.

Odgłosy za drzwiami przybrały na sile i Dickstein poczuł zażenowanie. Zastanawiał się, jak obowiązkowy jest Sarne. Czy skończywszy z kobietą zechce powrócić na statek? To sprawiłoby kłopot. Oznaczało walkę na korytarzu hotelowym, rozwiązanie ryzykowne i nieprofesjonalne.

Dickstein czekał - napięty, zażenowany, pełen niepokoju. Kobieta była dobra w swoim fachu. Wiedząc, że Dickstein pragnie, by Sarne zasnął, usiłowała go najpierw wymęczyć. Trwało to wieczność.

Była druga nad ranem, kiedy zapukała do drzwi. Wedle umowy trzy powolne stuknięcia znaczyły, że Sarne śpi, sześć szybkich - że wychodzi. Zapukała trzy razy, powoli.

Dickstein otworzył drzwi. Z pojemnikiem gazu w jednej ręce i maską w drugiej wszedł cicho do sąsiedniego pokoju. Sarne, nagi, leżał na wznak. Jego jasne włosy były potargane, usta miał szeroko otwarte i zamknięte oczy, ciało było sprawne i silne. Dickstein podszedł bliżej i wsłuchał się w jego oddech. Wdech - wydech, ponownie rozpoczął wdech i wtedy Dickstein odkręcił zawór i przycisnął maskę do nosa i ust uśpionego mężczyzny.

Sarne szeroko otworzył oczy. Dickstein przycisnął mocniej. Połowa wdechu: dezorientacja w oczach Sarnego. Oddech przemienił się w nagłe zachłyśnięcie się powietrzem... Sarnę poruszył głową, ale nie zdołał osłabić chwytu Dicksteina. Zaczął

się miotać. Dickstein wparł łokieć w jego pierś, myśląc: na Boga, to działa za wolno! Wydech. Dezorientacja w oczach Samego ustąpiła miejsca przerażeniu i panice. Znów zachłysnął się powietrzem, gotując się do wzmożenia wysiłków. Dickstein myślał o przywołaniu kobiety na pomoc, ale drugi wdech zawiódł oczekiwania napadniętego; szarpanina osłabła; powieki zatrzepotały i opadły, przy drugim wydechu Sarne usnął. Wszystko to trwało około trzech sekund. Dickstein mógł się odprężyć. Sarne prawdopodobnie niczego nie będzie pamiętać. Dla pewności Dickstein zaaplikował mu nieco więcej gazu, a potem wstał.

Popatrzył na kobietę. Miała na sobie pantofle, pończochy, podwiązki; nic więcej. Wyglądała zachwycająco. Dostrzegła jego spojrzenie i w geście oddania rozchyliła ramiona: do usług pana, sir. Dickstein pokręcił głową z uśmiechem żalu, który tylko częściowo był nieszczerzy.

Usiadł na krześle obok łóżka i patrzył, jak się ubiera: skąpe majteczki, nie usztywniony stanik, biżuteria, sukienka, płaszcz, torebka. Podeszła do niego, on zaś wręczył jej osiem tysięcy holenderskich guldenów. Najpierw pocałowała go w policzek, potem cmoknęła banknoty. Wyszła bez słowa. Dickstein podszedł do okna. Kilka minut później zobaczył światła jej sportowego wozu mijającego hotel i kierującego się w stronę Amsterdamu. Znów usiadł i czekał. Po jakimś czasie poczuł senność. Przeszedł do sąsiedniego pokoju i przez telefon zamówił kawę.

Rankiem Cohen zadzwonił z informacją, że pierwszy oficer przetrząsa bary, burdele i noclegownie Antwerpii w poszukiwaniu swojego mechanika. O dwunastej trzydzieści zatelefonował ponownie. Skontaktował się z nim kapitan; ładunek na pokładzie - oświadczył - ale nie ma oficera mechanika. "Kapitanie - odparł Cohen - ma pan wyjątkowe szczęście". O drugiej trzydzieści Cohen zadzwonił po raz trzeci: na pokładzie "Coparellego" widział Dietera Kocha z torbą narzędziową na ramieniu.

Za każdym razem, gdy Sarne zaczynał się budzić, Dickstein odkręcał na chwilę zawór pojemnika z gazem. Ostatnią dawkę dał mu o szóstej rano następnego dnia, potem zapłacił rachunek za dwa pokoje i zniknął.

Obudziwszy się wreszcie, Sarne stwierdził, że kobieta, z którą poszedł do łóżka, wyszła bez pożegnania. Stwierdził również, że jest głodny jak wilk. W ciągu ranka odkrył, że przespał nie jedną noc - jak mu się zdawało - lecz dwie i dzielący je dzień.

Gdzieś w głębi jego mózgu kołatała się natarczywa myśl, że zapomniał o czymś niezwykłym i ważnym, ale to, co się z nim działo podczas owych dwudziestu czterech zgubionych godzin, już na zawsze pozostało dlań tajemnicą.

Tymczasem w niedzielę, 17 listopada 1968, "Coparelli" wyszedł w morze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Suza powinna była właściwie zadzwonić do ambasady Izraela i przekazać wiadomość dla Nata Dicksteina.

Ta myśl przyszła jej do głowy w godzinę po tym, jak oznajmiła ojcu, że pomoże Hasanowi. Pakowała akurat walizkę i natychmiast chwyciła za słuchawkę telefonu w sypialni, żeby zadzwonić do biura numerów. Wtedy jednak wszedł ojciec z pytaniem, do kogo dzwoni. Powiedziała, że na lotnisko, a on stwierdził, że sam się tym zajmie.

Od tej chwili nieustannie szukała okazji, by zatelefonować potajemnie, okazja taka jednak się nie nadarzała. Hasan nie opuszczał jej ani na chwilę. Pojechali na lotnisko, złapali samolot, w Nowym Jorku przesiedli się do innego, lecącego do Buffalo, a tam udali się prosto do domu Ala Cortonego.

Podczas podróży Suza zdążyła zniechęcić Jasifa Hasana. Bez końca przechwalał się swą pracą dla fedainów, uśmiechał się obleśnie, kładąc dłoń na jej kolanie, i napomynał, że z Eilą łączyło go coś więcej niż przyjaźń; nie miałby też nic przeciw temu, aby i z Suzą zostali więcej niż przyjaciółmi. Odpowiedziała, że Palestyna dopóty nie będzie wolna, dopóki nie będą wolne kobiety palestyńskie, i że arabscy mężczyźni muszą się nauczyć, na czym polega różnica pomiędzy zachowaniem męskim a chamskim. Tym go zgasiła.

Mieli kłopoty ze zdobyciem adresu Cortonego - Suza nie traciła nadziei, że go nie ustalą - ale na koniec spotkali taksówkarza, który wiedział, o jaki dom chodzi. Hasan wysadził przed nim Suzę; miał na nią czekać pół mili dalej przy drodze.

Dom był wielki, otoczony wysokim murem i strzeżony przez wartowników przy bramie. Suza powiedziała, że chce się widzieć z Cortonem i że jest przyjaciółką Nata Dicksteina.

Wiele myślała o tym, co powiedzieć Alowi Cortonemu: całą prawdę czy tylko jej część? Załóżmy, że wiedział bądź mógł ustalić, gdzie przebywa Dickstein: dlaczego miałby ją o tym informować? Powie mu, że Dickstein jest w niebezpieczeństwie, że musi go odnaleźć i ostrzec. Dlaczego miałby jej uwierzyć? Oczaruje go - wiedziała, jak postępować z mężczyzną w jego wieku - ale nie uspi jego podejrzliwości.

Chciała przestawić Alowi Cortonemu pełny obraz sytuacji: że wprawdzie szuka Nata, aby go ostrzec, lecz jednocześnie wykorzystują ją wrogowie Dicksteina, którzy ścigają go idąc jej śladem, że pół mili od domu w taksówce czeka na nią Hasan. Wówczas jednak Cortone na pewno niczego jej nie powie.

Okazało się, że bardzo jej w tym wszystkim trudno o jasność myśli, zbyt wiele wchodziło tutaj w grę oszustw i podwójnych oszustw. A tak chciała zobaczyć Nathaniela i sama z nim pomówić!

Nie była jeszcze zdecydowana, co powie, kiedy strażnik otworzył bramę i poprowadził ją żwirowym podjazdem ku domowi. Rezydencja była piękna, lecz nieco przeładowana, jak gdyby niczym nie skrepowaną fantazję dekoratora mieszkańcy domu wzbogacili jeszcze mnóstwem kosztownych rupieci, nabytych wedle własnych upodobań. Miało się wrażenie, że jest tu dużo służby. Jeden ze służących zaprowadził Suzę na górę, informując, że pan Cortone je w sypialni spóźnione śniadanie.

Kiedy weszła, Cortone siedział przy małym stoliku nad pełnym talerzem jajecznicy z odsmażanymi ziemniakami. Był opasły i zupełnie łysy. Suza nie pamiętała go z Oksfordu, ale wtedy na pewno wyglądał inaczej. Spojrzał na nią, potem poderwał się z przerażoną miną.

- Powinnaś być stara! - wrzasnął, przy czym jakiś kęs wpadł mu nie tam, gdzie trzeba, i Cortone zaczął się krztusić.

Służący chwycił Suzę od tyłu, boleśnie przyciskając jej ręce do ciała, po czym ją puścił i skoczył walnąć Cortonego w kark.

- Co zrobiłaś?! - krzyczał. - Co zrobiłaś, na rany Boskie!?

W niepojęty sposób ta farsa trochę ją uspokoiła. Nie mogła się bać człowieka, którego tak przeraził jej widok. W poczuciu nagłej pewności siebie usiadła przy stoliku i naląła sobie filiżankę kawy. Kiedy Cortone przestał kaszleć, powiedziała:

- Ona była moją matką.

- O Boże! - wymamrotał Cortone. Kaszlnął po raz ostatni, skinieniem ręki oddalił służącego i usiadł. - Cholera, jesteś tak do niej podobna, że mało nie umarłem ze strachu. - Podniósł oczy i wysilił pamięć. - W... mhm, czterdziestym siódmym miałaś chyba cztery albo pięć lat?

- Właśnie.

- Cholera, pamiętam, nosiłaś kokardę we włosach. A teraz jesteś dziewczyną Nata.

- Więc był tutaj. - Serce jej skoczyło z radości.

- Może - odparł Cortone. Jego życzliwość rozwiała się jak dym. Suza pojęła, że nie będzie łatwo nim manipulować.

- Chcę wiedzieć, gdzie on jest - oświadczyła.

- A ja chcę wiedzieć, kto cię tu przysłał.

- Nikt mnie nie przysłał. - Suza zebrała myśli, usiłując ukryć napięcie. - Domyśliłam się, że może zwrócić się do pana o pomoc w... sprawie, nad którą pracuje. Rzecz w tym, że Arabowie o niej wiedzą, zabiją Nata, muszę go ostrzec... Proszę, jeśli pan wie, gdzie on jest, proszę mi pomóc.

Nagle omal się nie rozpląkała, ale Cortone był niewzruszony.

- Pomóc ci łatwo - stwierdził. - Trudniej zaufać. - Z namaszczeniem odwinął i zapalił cygaro. Suza przyglądała się temu niecierpliwie. Odwrócił od niej wzrok i powiedział, jakby mówił sam do siebie: - Wiesz, był czas, kiedy brałem, co chciałem, wystarczyło mi to zobaczyć. Teraz to nie takie proste. Doszły wszystkie te komplikacje. Muszę wybierać i nic nie jest tym, czego naprawdę chcę. Nie wiem, czy tak to już dziś jest, czy ja się zmieniłem.

Znów odwrócił się do niej.

- Zawdzięczani Dicksteinowi życie. Teraz, jeśli mówisz prawdę, ja mogę go ocalić. To dług honorowy i muszę spłacić go osobiście. Więc co mam zrobić? - Urwał.

Suza wstrzymała oddech.

- Dickstein siedzi gdzieś nad Morzem Śródziemnym, w starym zrujnowanym domu. Nikt tam od lat nie mieszkał, nie ma więc telefonu. Mógłbym wysłać wiadomość, ale nie miałbym pewności, że dotrze, więc jak mówiłem, musiałbym to zrobić osobiście. - Zaciągnął się dymem. - Gdybym ci powiedział, gdzie go szukać, mogłabyś przekazać tę informację niewłaściwym ludziom. Nie będę ryzykować.

- A więc? - zapytała Suza cienkim, podniesionym głosem. - Musimy mu pomóc!

- Wiem o tym - powiedział niewzruszenie Cortone. - Więc pojedę tam sam.

- Och! - Suza była zaskoczona; tego nie brała pod uwagę.

- A co z tobą? - ciągnął Cortone. - Nie zamierzam ci powiedzieć, dokąd jadę, ale i tak możesz kazać mnie śledzić. Od tej chwili muszę cię mieć przy sobie. Spójrzmy prawdzie w oczy, możesz grać na dwie strony. Więc zabieram cię ze sobą.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Napięcie odpłynęło z niej w jednej chwili i osunęła się bezwładnie na krzesło.

- Och, dziękuję. - powiedziała. I wreszcie się rozplakała.

Lecieli pierwszą klasą, jak to zawsze robił Al Cortone. Po posiłku Suza poszła do toalety. Z nadzieją zerknęła przez zasłonę do klasy turystycznej, ale to, co tam zobaczyła, potwierdziło tylko jej najgorsze podejrzenia: ponad rzędami zagłówek spoglądała na nią czujna, śniada twarz Hasana.

Zajrzała do kuchenki i poufnym tonem zagadnęła głównego stewarda. Ma kłopot, powiedziała, musi się skontaktować ze swoim chłopcem, a nie może zgubić włoskiego tatusia, który chce, żeby do dwudziestego pierwszego roku życia nosiła pas cnoty. Czy nie zechciałby zadzwonić do izraelskiego konsulatu w Rzymie i zostawić wiadomość dla Nathaniela Dicksteina? Tylko tyle: "Hasan wszystko mi powiedział, jedziemy do ciebie". Dała mu pieniądze na telefon, grubo za wiele, jako napiwek. Steward zapisał wiadomość i obiecał, że ją przekaże.

Wróciła do Ala Cortonego.

- Złe wieści - powiedziała. - Jeden z Arabów leci w klasie turystycznej. Na pewno nas śledzi.

Cortone zaklął, a po chwili powiedział uspokajająco, że facetem zajmie się później. Boże, co ja zrobiłam? - pomyślała Suza.

Z wielkiego domu na szczycie skały Dickstein zbiegł na plażę wykutymi w skale schodami. Doszedł przez płyciznę do czekającej motorówki, wsiadł i skinął głową mężczyźnie u steru.

Ryknął silnik i łódź wyskoczyła na pełne morze. Słońce przed chwilą zaszło. W resztkach niktnej poświaty piętrzyły się w górze chmury, przesłaniając wschodzące gwiazdy. Dickstein głęboko się zamyślił, przetrząsając pamięć w poszukiwaniu spraw, które zaniedbał, środków ostrożności, jakie mógł jeszcze podjąć, luk, które mógł jeszcze zapęłnić. Jak mówca, znający wprawdzie na pamięć tekst ważnego przemówienia, lecz mimo to usiłujący mu nadać doskonalszy kształt, wciąż od nowa analizował w myślach cały plan.

Przed nimi wynurzył się wysoki cień "Stromberga", motorówka zatoczyła łuk i w bryzgach piany zatrzymała się przy burcie, z której zwisała drabinka sznurowa. Dickstein wspiął się po niej na pokład. Kapitan podał mu rękę i przedstawił się. Jak wszystkich oficerów na "Strombergu", wynajęła go izraelska marynarka wojenna. Obeszli pokład.

- Jakież problemy, panie kapitanie? - zapytał Dickstein.

- To nie jest dobry statek - odparł kapitan. - Powolny, niezwrotny i stary. Ale doprowadziliśmy go do jakiego takiego stanu.

Z tego, co Dickstein mógł dojrzeć w półmroku, "Stromberg" był w lepszym stanie niż "Coparelli", jego bliźniaczy statek, który widział w Antwerpii. Był czysty, a na pokładzie panował wzorowy porządek.

Wspięli się na mostek, obejrzelili potężną aparaturę w kabinie radiowej, po czym weszli do mesy, gdzie załoga kończyła kolację. W przeciwieństwie do oficerów zwykli marynarze byli bez wyjątku agentami Mosadu i większość z nich miała niewielkie doświadczenie marynarskie. Z kilkoma Dickstein już współpracował. Zauważył, że wszyscy są co najmniej o dziesięć lat młodszy od niego. Byli to potężni mężczyźni o bystrych spojrzeniach, dziwacznie ubrani w różne dzinsy i ręcznej roboty swetry, twardzi, skorzy do śmiechu, dobrze wyszkoleni.

Dickstein usiadł z filiżanką kawy przy jednym ze stołów. Znacznie przewyższał wszystkich rangą, ale w izraelskich siłach zbrojnych, a zwłaszcza w Mosadzie, nie przywiązywano wielkiej wagi do hierarchii służbowej. Czterej współbiednicy skinęli głowami i przywitali go krótkim “cześć”. Isz, smagły, posępny Izraelczyk urodzony w Palestynie, stwierdził:

- Pogoda się zmienia.

- Nie kracz. Chciałem się opalić w tym rejsie - odparł wysoki nowojorczyk nazwiskiem Feinberg, o popielatoblond włosach, zwodniczo urodziwej twarzy i rzęsach, których zazdrościły mu kobiety.

Określanie misji mianem “rejsu” było już dyżurnym dowcipem. Podczas zwołanej wcześniej tego dnia odprawy Dickstein zapowiedział, że w chwili wprowadzenia “Coparelli” będzie prawie opuszczony.

- Zaraz po przejściu Cieśniny Gibraltarskiej - powiedział - nawalą silniki. Nie da się tej awarii usunąć na morzu. Taką mniej więcej wiadomość kapitan nada armatorowi - armatorem zaś jesteśmy obecnie my. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdzie się w pobliżu inny nasz statek, “Gil Hamilton”, kotwiczący w tej chwili po drugiej stronie zatoki. Podejdzie do “Coparellego” i weźmie na pokład załogę oprócz mechanika. Potem zniknie ze sceny: odstawi załogę “Coparellego” do najbliższego portu na swoim kursie i wszyscy dostaną forszę na przejazd koleją do domu.

Mieli cały dzień na przemyślenie tych informacji i Dickstein spodziewał się pytań. Istotnie, Lewi Abas, niski, masywny mężczyzna - “o sylwetce i urodzie czołgu”, jak mawiał Feinberg - spytał Dicksteina:

- Nie powiedziałeś, skąd masz pewność, że “Coparelli” nawali we właściwym momencie.

- Prawda - Dickstein wypił łyk kawy. - Znacie Dietera Kocha z wywiadu marynarki?

Feinberg go znał.

- Jest mechanikiem na “Coparellim”.

Abas skinął głową.

- I stąd pewność, że zdołamy naprawić statek. Wiemy, co nawali.

- Właśnie.

Abas mówił dalej:

- Zamalujemy nazwę "Coparelli", przechrzcimy statek na "Stromberga", zamienimy dziennik okrętowy, pošemy starego "Stromberga" na dno i z ładunkiem pożeglujemy "Coparellim" - czyli obecnie "Strombergiem" - do Hajfy. Ale czemu by nie dokonać przeładunku na morzu? Mamy dźwigi.

- Taki miałem na początku zamiar - powiedział Dickstein. - Ale to za ryzykowne. Nie ma gwarancji, że się uda, szczególnie przy złej pogodzie.

- No, jeżeli pogoda się utrzyma, można to jeszcze zrobić.

- Tak, ale teraz, kiedy mamy oba bliźniacze statki, łatwiej zmienić nazwy niż ładunek.

- Pogoda i tak się nie utrzyma - oświadczył złowróźnie Isz.

Czwartym mężczyzną przy stole był Porusz, ostrzyżony na jeża młodzieniec z klatką piersiową jak beczulka piwa. Tak się składało, że był szwagrem Abasa.

- Jak to ma być takie łatwe, to po co nas tu tylu twardzieli? - zapytał.

- Przygotowując to uganiałem się po świecie przez ostatnie pół roku - odparł Dickstein. - Raz czy dwa trafiłem na facetów z tamtej strony... było to nieuniknione. Nie sądzę, by wiedzieli, co zamierzamy zrobić... ale jeśli wiedzą, będziemy mieli doskonałą okazję sprawdzić, jak jest naprawdę z tą twardością.

Zjawił się jeden z oficerów i wręczył Dicksteinowi pasek papieru.

- Depesza z Tel-Awiwu. "Coparelli" minął właśnie Gibraltar.

- Doskonale - powiedział Dickstein wstając. - Rano wypływamy.

W Rzymie Suza Ashford i Al Cortone przesiedli się do innego samolotu i wczesnym rankiem dotarli na Sycylię. Na lotnisku powitało ich dwóch kuzynów Ala. Wywiązała się długa sprzeczka, pozbawiona wprawdzie złości, lecz zapalczywa i

głośna. Z tyrad, wygłaszanych bardzo szybko w lokalnym dialekcie, Suza zrozumiała tylko, że kuzyni chcą towarzyszyć Ałowi, on zaś uparcie powtarza, że sprawę musi załatwić sam, gdyż jest to dług honorowy.

Przeważały chyba racje Cortonego. Wyjechali z lotniska wielkim białym fiatem bez kuzynów. Prowadziła Suza. Wedle wskazówek Cortonego skręciła w drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Po raz setny wyobrażała sobie scenę spotkania z Nathanielem: widziała jego niską, kanciastą sylwetkę; podnosił wzrok; poznawał ją i na jego twarzy wykwitał uśmiech radości; podbiegała do niego; padali sobie w ramiona; przytulał ją mocno, aż boleśnie; ona mówiła: "Tak bardzo cię kocham" i całowała go w policzek, nos, usta... Ale czuła się także winna i przestraszona, i wyobrażała sobie - choć nieco rzadziej - zupełnie inną scenę, w której spoglądał na nią z kamienną twarzą i pytał: "Co cię tu, u diabła, sprowadza?"

Czuła się trochę jak kiedyś w dzieciństwie, gdy raz była niegrzeczna w wigilię Bożego Narodzenia, matka się rozgniewała i powiedziała, że zamiast słodczy i zabawek Święty Mikołaj nakładzie kamieni do jej pończochy. Nie wiedząc, czy wierzyć w to, czy nie, leżała nie śpiąc i na zmianę to nie mogła się doczekać, to bała się poranka.

Zerknęła na siedzącego obok Ala Cortonego. Zmęczył go lot przez Atlantyk. Trudno jej było uwierzyć, że ten gruby, łysy mężczyzna jest rówieśnikiem Nata, emanowało zeń znużenie zepsuciem, co mogłoby być zabawne, ale w rzeczywistości było po prostu starcze.

Kiedy wzeszło słońce, wyspa zrobiła się ładna. Dla zabicia czasu i odpędzenia natrętnych myśli, Suza obserwowała krajobraz. Droga wiła się wybrzeżem od miasta do miasta, a z prawej strony za pasem kamienistych plaż skrzyło się Morze Śródziemne. Cortone zapalił cygaro.

- Kiedy byłem młodszy, robiłem takie numery często - powiedział. - Wskakiwało się do samolotu z ładną dziewczyną, leciało gdzieś, zwiedzało. Teraz mam to za sobą. Utknąłem w Buffalo, Bóg wie, jak dawno temu. To jest właśnie problem z interesami - człowiek się bogaci, ale nie ma chwili spokoju. Więc przestaje ruszać się z domu, bo inni przyjeżdżają do niego i dostarczają towar. Robi się za leniwy na balowanie.

- Sam pan dokonał wyboru - powiedziała Suza. Czula jednak do Ala Cortonego więcej sympatii, niż okazywała. Był to ktoś, kto harował ciężko, tyle że zawsze w imię złej sprawy.

- Dokonałem - zgodził się Cortone. - Młodzi są bezlitośni. - Skrzywił twarz w nieczystym u siebie półuśmiechu i zaciągnął się cygarem.

Po raz trzeci Suza zauważyła we wstecznym lusterku ten sam niebieski samochód.

- Ktoś za nami jedzie - powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało spokojnie i zwyczajnie.

- Arab?

- Na pewno. - Nie widziała twarzy za szybą. - Co zrobimy? Powiedział pan, że się tym zajmie.

- Zajmę.

Umilkł. Oczekując, że powie coś więcej, spojrzała w jego stronę. Ładował pistolet nieprzyjemnymi brązowoczarnymi nabojami. Gwałtownie wciągnęła powietrze: po raz pierwszy w życiu widziała prawdziwą broń. Cortone zerknął najpierw na nią, potem na drogę.

- Chryste, uważaj na drogę!

Odwróciła głowę i ledwie zdążyła wyhamować przed ostrym zakrętem.

- Skąd pan to ma? - zapytała.

- Od kuzyna.

Suza czuła się coraz bardziej jak w koszmarnym śnie. Nie spała w łóżku od czterech dni. Odkąd usłyszała, jak ojciec ze spokojem mówi o zabiciu Nathaniela, uciekała bez chwili przerwy przed okropną prawdą o Hasanie i ojcu w bezpieczne muskularne ramiona Dicksteina i jak w koszmarnym śnie - im szybciej biegła, tym bardziej oddalał się jej cel.

- Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, dokąd jedziemy? - zapytała Cortonego.

- Teraz już chyba mogę. Nat prosił mnie o udostępnienie domu z przystanią i ochronę przed wścibstwem policji. Jedziemy do tego domu.

Serce Suzy zabiło szybciej.

- Daleko jeszcze?

- Parę mil.

Minutę później Cortone powiedział:

- Dojedziemy, nie spiesz się tak. Po co ginąć na szosie?

Uzmysłowiła sobie, że nieświadomie wciska pedał gazu. Zmniejszyła prędkość, ale nie potrafiła wyhamować myśli. Jeszcze chwila, zobaczy go zaraz, dotknie jego twarzy, pocałuje na powitanie, poczuje na ramionach jego dłonie...

- Teraz skręć w prawo.

Przez otwartą bramę, po zarosłej zieliskiem żwirowej alejce podjechali do wielkiej zrujnowanej willi z białego kamienia. Parkując przed kolumnowym portykiem, Suza miała nadzieję, że zaraz na powitanie wybiegnie Nat. Z tej strony domu nie widać było żadnych oznak życia. Wyszli z auta i po wyszczerbionych stopniach doszli do głównego wejścia. Ogromne drewniane drzwi były zamknięte, lecz nie zaryglowane. Suza otworzyła je i weszli do środka. Znaleźli się w wielkiej sieni ze spękaną marmurową posadzką. Sufit był wybrzuszony, a na ścianach widniały plamy wilgoci. Pośrodku sieni urwany kandelabr rozpląszczył się na posadzce jak martwy orzeł.

- Hej, jest tam kto? - zawołał Cortone.

Nikt nie odpowiedział.

To wielki dom, pomyślała Suza, Nat musi tu być, tylko nas nie słyszy, może wyszedł do ogrodu.

Przecięli się, omijając kandelabr weszli do przepastnego, ogołoczonego salonu, gdzie ich kroki obudziły głośne echo, i wydostali się na zewnątrz przez pozbawione szyb weneckie okno na tyłach domu. Nieduży ogród opadał ku krawędzi skały. Doszli

aż do niej i ujrzeli wykute w kamieniu kręte schody, prowadzące w dół, do morza. Dokoła, jak okiem sięgnąć, nie było nikogo.

Nie ma go tutaj, pomyślała Suza; tym razem Święty Mikołaj naprawdę podrzucił mi kamienie.

- Popatrz - tłusta ręka Cortonego wskazywała morze. Suza spojrzała i zobaczyła statek i motorówkę. Motorówka szybko zmierzała w ich stronę, skacząc przez fale i tnąc wodę ostrym dziobem; siedział w niej jeden człowiek. Statek zostawiając za sobą szeroki pas piany, wychodził z zatoki.

- Wygląda na to, że minęliśmy się z nim o włos - powiedział Cortone.

Suza zbiegała po schodkach; krzyczała i machała rękami jak szalona, usiłując zwrócić na siebie uwagę ludzi ze statku, choć wiedziała, że to niemożliwe, że są za daleko. W końcu pośliznęła się, ciężko klapnęła na pupę, i wybuchnęła płaczem.

Cortone, podrygując całym swoim wielkim ciałem, zbiegł za nią.

- To bez sensu - powiedział i pomógł jej wstać.

- Motorówka - wyrzuciła z siebie z rozpaczą. - Może byśmy mogli dogonić statek motorówką...

- Nie ma cudów. Zanim tu dotrze, statek będzie daleko, o wiele za daleko, zresztą płynie szybciej niż motorówka.

Wprowadził ją z powrotem na schody. Suza zdążyła zbiec daleko, więc droga pod górę kosztowała go wiele wysiłku. Zrozpaczona Suza ledwie to zauważyła. Czowała pustkę w głowie, gdy wspinali się przez pochyłość ogrodu z powrotem do domu. Kiedy przeszli przez salon, Cortone powiedział:

- Muszę usiąść.

Popatrzyła na niego uważniej. Ciężko oddychał, a jego poszarzałą twarz pokrywały krople potu. Nagle pojęła, że było to ponad jego siły przy takiej nadwadze. Na chwilę zapomniała o własnym gorzkim rozczarowaniu.

- Te schody... - powiedziała.

Przeszli do zrujnowanej sieni. Suza zaprowadziła Cortonego do spiralnych schodów i posadziła na drugim stopniu. Siadł ciężko, zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

- Posłuchaj - powiedział. - Na statek można zatelefonować... albo zadepeszować ... nie wszystko stracone...

- Niech pan posiedzi spokojnie - poleciła. - I nic nie mówi.

- Poproś moich kuzynów... kto tam jest?

Suza odwróciła się gwałtownie. Chwilę przedtem brzęknęły odłamki kandelabru i teraz zrozumiała, dlaczego. Przez sień zmierzał w ich stronę Jasif Hasan.

Cortone wstał nagle, z ogromnym wysiłkiem. Hasan zatrzymał się. Cortone spazmatycznie łapał powietrze. Szukał czegoś w kieszeni.

- Nie... - zaczęła Suza.

Cortone wyszarpnął pistolet. Hasan zamarł jak przykuty do miejsca. Suza krzyknęła. Cortone zachwiał się, pistolet w jego dłoni zatoczył w powietrzu łuk. Nacisnął spust. Pistolet wypalił dwa razy ze strasznym, ogłuszającym, podwójnym hukiem. Strzały zostały oddane na oślep. Cortone z twarzą ciemną jak śmierć osunął się na ziemię. Pistolet wypadł mu z ręki i stuknął o popękany marmur podłogi. Jasif Hasan zwymiotował. Suza uklękła obok Cortonego. Otworzył oczy.

- Posłuchaj - powiedział ochryple.

Jasif Hasan zawołał:

- Zostaw go, idziemy!

Suza odwróciła się do niego i wrzasnęła, ile sił:

- A ty się odczep! - i znów pochyliła się nad Cortonem.

- Zabiłem wielu ludzi - powiedział Cortone. Suza pochyliła się niżej, żeby słyszeć, co mówi. - Jedenastu, własnoręcznie... łajdaczyłem się z mnóstwem kobiet... - głos mu się załamał, oczy zamknęły, po czym z wielkim wysiłkiem znów przemówił: - Całe swoje cholerne życie byłem złodziejem i bandytą. Ale umarłem dla przyjaciela, nie? To się chyba liczy, musi się liczyć?

- Tak - powiedziała. - To się naprawdę liczy.

- Okay - powiedział.

I umarł.

Suza nigdy nie widziała, jak ktoś umiera. To było straszne. Nagle nie pozostało nic prócz ciała. To dlatego - pomyślała - śmierć wywołuje płacz. Uświadomiła sobie, że po jej twarzy płyną łzy. A przecież nawet go nie lubiłam - pomyślała - aż do tej chwili.

- Świetnie się spisałaś - przerwał milczenie Hasan - ale znikajmy stąd.

Suza nie pojmowała. Spisałam się świetnie? - pomyślała. Potem zrozumiała. Hasan nie wiedział, że powiedziała Ałowi Cortonemu, iż są śledzeni przez Araba. Z punktu widzenia Hasana zrobiła dokładnie to, czego od niej oczekiwał: doprowadziła go tutaj. Teraz, dopóki nie znajdzie sposobu, by skontaktować się z Natem, musi zachować pozory, że stoi po stronie Hasana. Nie mogę dłużej kłamać i oszukiwać, nie mogę, mam dość, jestem zmęczona, pomyślała.

A potem: Cortone mówił, że na statek można zadzwonić albo zadepeszować. Wciąż mogła ostrzec Nata. O Boże, kiedy się wreszcie wyśpię? Wstała.

- No, to na co czekamy?

Wyszli przez wysokie zniszczone drzwi frontowe.

- Pojedziemy moim wozem - powiedział Hasan.

Wtedy przyszło jej na myśl, by spróbować ucieczki, ale była to myśl niemądra. Hasan wkrótce pozwoli jej odejść. Czyż nie zrobiła tego, co chciał? Teraz odeśle ją do domu.

Wsiadła do samochodu.

- Poczekaj - powiedział Hasan. Podbiegi do auta Cortonego, wyjął kluczyki ze stacyjki i cisnął je w krzaki. Wrócił do swego wozu.

- Żeby ten z motorówki nie mógł za nami pojechać - wyjaśnił.

Kiedy ruszyli, oświadczył:

- Rozczarowałaś mnie swoim zachowaniem. Ten człowiek pomagał naszym wrogom. Powinnaś się cieszyć, nie płakać, kiedy umiera nieprzyjaciel.

Zakryła oczy dłonią.

- Pomagał przyjacielowi.

Hasan poklepał ją po kolanie.

- Sprawiałaś się doskonale, nie powinienem cię krytykować. Zdobyłaś informacje, której potrzebowałem.

Popatrzyła na niego.

- Zdobyłam?

- Jasne. Ten wielki statek, który wypływał z zatoki... to był "Stromberg". Wiem, o której wyszedł w morze, i znam jego maksymalną prędkość, więc mogę teraz wyliczyć czas najwcześniejszego spotkania z "Coparellim". I mogę tam mieć swoich ludzi dzień wcześniej. - Znow poklepał Suzę po kolanie, tym razem zatrzymując dłoń na jej udzie.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała.

Cofnął rękę.

Zamknęła oczy i próbowała pomyśleć. Jej działania przyniosły rezultat najgorszy z możliwych: doprowadziła Hasana na Sycylię, ale nie zdołała ostrzec Nata. Musi się teraz zorientować, jak wysłać telegram na statek, i uczynić to natychmiast po rozstaniu z Hasanem. Oprócz tego pozostawała tylko jedna szansa - steward, który obiecał, że zadzwoni do izraelskiego konsulatu w Rzymie.

- O Boże, z jaką rozkoszą znajdę się znowu w Oksfordzie - westchnęła.

- W Oksfordzie? - roześmiał się Hasan. - Nie tak od razu. Aż do końca operacji musisz pozostać przy mnie.

Pomyślała: Boże, nie zniosę tego.

- Jestem bardzo zmęczona.

- Wkrótce odpoczniemy. Nie mogę cię puścić. Względy bezpieczeństwa, rozumiesz. A poza tym nie zechcesz przecież stracić okazji obejrzenia sobie zwłok Nata Dicksteina.

Przy stanowisku linii Alitalia na dworcu lotniczym do Hasana podeszło trzech mężczyzn. Dwóch młodzieńców o bandyckim wyglądzie i wysoki facet po pięćdziesiątce o ostrych rysach.

- Cholerny głupcze - powiedział do Hasana - zasłużyłeś na kulę w łeb.

- Rostow! - wykrzyknął Hasan i Suza zobaczyła w jego oczach zwierzęcy strach.

Pomyślała: O, Boże, co teraz?

Rostow złapał Hasana za ramię. Zdawało się przez chwilę, że Arab stawia opór i zdoła się wyrwać. Dwóch młodych zbirów przysunęło się bliżej. Suza i Hasan byli otoczeni. Rostow odprowadził Hasana do kasy. Jeden z bandziorów ujął Suzę pod rękę i podążył za nim. Znaleźli się w jakimś spokojnym kącie. Rostow najwyraźniej gotował się z wściekłości, ale mówił ściszym głosem:

- Gdybyś nie spóźnił się o parę minut, rozpieprzyłbyś całą sprawę.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - powiedział z desperacją Hasan.

- Myślisz, że nie wiem, jak uganiałeś się po całym świecie za Dicksteinem? Myślisz, że nie śledziłem cię, jak byle kretyna? Odkąd wyjechałeś z Kairu, co godzina dostawałem meldunki o twoich ruchach. A skąd ci przyszło do głowy, że możesz jej zaufać? - gwałtownym ruchem kciuka wskazał Suzę.

- Doprowadziła mnie, gdzie trzeba.

- Tak, ale nie wiedziałeś, czy cię doprowadzi.

Suza stała bez ruchu, milcząca i przerażona. Była beznadziejnie zagubiona. Kolejne wstrząsy, które jej przyniósł ranek - rozminięcie się z Natem, śmierć Cortonego, a teraz jeszcze ta historia - odebrały jej zdolność myślenia. Już wystarczająco trudno było nie zaplątać się w kłamstwach oszukując Hasana i mówiąc Alowi Cortonemu prawdę, którą Hasan uważał za kłamstwo. Teraz doszedł jeszcze ten

Rostow, którego oszukiwał Hasan; Suza nie była nawet w stanie podjąć decyzji, czy to, co powie Rostowowi, ma być prawdą, czy jakimś nowym kłamstwem.

- Jak tu dotarłeś? - pytał Hasan.

- "Karolinką", rzecz jasna. Odeszliśmy ledwie czterdzieści czy pięćdziesiąt mil od Sycylii, kiedy dostałem meldunek, że tu wylądowałeś. Otrzymałem również zgodę Kairu na wydanie ci rozkazu, byś natychmiast najkrótszą drogą wracał.

- Nadal uważam, że postąpiłem właściwie - powiedział Hasan.

- Zejdź mi z oczu.

Hasan odszedł. Suza ruszyła za nim, ale Rostow rzekł:

- Pani nie. - Ujął ją pod rękę i poprowadził.

Poszła z nim myśląc: Co teraz zrobię?

- Wiem, że dowiodła pani swej lojalności wobec nas, panno Ashford, ale w środku takiej jak ta operacji nie możemy pozwolić, aby nowo zwerbowani ot, tak szli do domu. Z drugiej strony, nie mam tu na Sycylii nikogo poza ludźmi, których potrzebuję na statku, więc nie mogę odstawić pani pod eskortą gdzie indziej. Obawiam się, że aż do zakończenia operacji będzie mi pani musiała towarzyszyć na pokładzie "Karolinki". Liczę, że nie ma pani nic przeciwko temu. Wie pani, że wygląda pani tak samo, jak pani matka?

Po wyjściu z dworca zbliżyli się do czekającego auta. Rostow otworzył przed Suzą drzwi. Teraz powinna spróbować ucieczki, potem będzie za późno. Zawahała się. Przy niej stał jeden z bandziorów. Pod lekko rozchyłoną kurtką dostrzegła kolbę pistoletu. Przypomniała sobie okropny huk broni Ala Cortonego w zrujnowanej willi, przypomniała sobie swój krzyk; nagle przestraszyła się śmierci, tego, że mogłaby zmienić się w martwe ciało, jak biedny gruby Cortone; pistolet, huk i okropna przeszywająca ją kila przejęły ją zgrozą. Zadygotała.

- Co się stało? - zapytał Rostow.

- Al Cortone umarł.

- Wiemy - odrzekł Rostow. - Proszę do wozu.

Suza wsiadła do samochodu.

Pierre Borg wyjechał z Aten i zaparkował samochód przy końcu plaży, po której spacerowało kilka zakochanych par. Wysiadł i ruszył brzegiem morza na spotkanie nadchodzącego z przeciwnej strony Kauasza. Stanęli obok siebie zapatrzeni w morze, drobne fale chlupotały leniwie u ich stóp. W świetle gwiazd Borg dobrze widział przystojną twarz arabskiego podwójnego agenta. Kauasz nie okazywał zwykłej pewności siebie.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział.

Borg nie zrozumiał, dlaczego tamten mu dziękuje. W gruncie rzeczy dziękować powinien on. A potem pojął, że o to właśnie Kauaszowi chodziło. Ten człowiek wszystko robił z wyrafinowaniem, nawet obrażał.

- Rosjanie podejrzewają, że w Kairze jest przeciek - powiedział Kauasz. - Ale wszystkie atuty trzymają, że tak powiem, w swoim kolektywnym komunistycznym rękawie. - Uśmiechnął się powściągliwie. Borg nie chwycił dowcipu. - Nawet wówczas, gdy Jasif Hasan składał w Kairze okresowy meldunek, dowiedzieliśmy się niewiele, a ja nie dostałem nawet wszystkich informacji, jakie przekazał.

Borg czknął donośnie: zjadł obfity grecki obiad.

- Nie trać czasu na wymówki. Gadaj, co wiesz.

- W porządku - zgodził się Kauasz. - Orientują się, że Dickstein ma wykraść jakiś uran.

- To mi mówileś ostatnim razem.

- Nie sądzę, aby znali jakieś szczegóły. Zamierzają dopuścić do kradzieży, a potem to rozgłosić. Wysłali na Morze Śródziemne parę statków, ale nie wiedzą, dokąd je skierować.

Fala wyrzuciła u stóp Borga plastikową butelkę. Kopnięciem posłał ją z powrotem w morze.

- A co z tą Suzą Ashford?

- Zdecydowanie pracuje dla Arabów. Posłuchaj. Rostow posprzeczał się z Hasanem. Hasan chciał precyzyjnie ustalić miejsce pobytu Dicksteina, a Rostow uważał, że nie jest to konieczne.

- Złe nowiny. Mów dalej.

- Hasan postawił wszystko na jedną kartę. Skłonił tę małą Ashford, żeby pomogła mu odnaleźć Dicksteina. Pojechali do Buffalo w Stanach i spotkali się z gangsterem nazwiskiem Cortone, który ich zawiózł na Sycylię. Minęli się z Dicksteinem, ale tylko o włos: widzieli, jak "Stromberg" wychodzi w morze. W związku z tą sprawą Hasan wpadł w spore kłopoty. Kazano mu wracać do Kairu, ale jeszcze się nie pokazał.

- Ale dziewczyna doprowadziła ich na metę Dicksteina?

- Właśnie tak.

- Boże, ale syf. - Borg pomyślał o wiadomości, którą w konsulacie izraelskim w Rzymie zostawiła dla Nata Dicksteina jego "dziewczyna". Opowiedział o niej Kauaszowi. "Hasan wszystko mi powiedział, jedziemy oboje spotkać się z tobą". Co to, do cholery, znaczy? Czy ma Dicksteina ostrzec, zatrzymać, czy wprowadzić w błąd? A może to podwójny bluff - próba wmówienia Dicksteinowi, że panna Ashford działa pod przymusem?

- Sądzę, że raczej podwójny bluff - powiedział Kauasz. - Widząc, że w końcu jej rola zostanie ujawniona, panna Ashford usiłuje kupić sobie jeszcze na jakiś czas zaufanie Dicksteina. Nie przekażesz tej wiadomości...

- Oczywiście, że nie. - Borg myślał już o czymś innym. - Skoro przyjechali na Sycylię, wiedzą o "Strombergu". Jakie wnioski mogą z tego wyciągnąć?

- Że "Stromberg" zostanie użyty przy kradzieży uranu?

- O to chodzi. Na miejscu Rostowa podążałbym za "Strombergiem", pozwolił dokonać napadu i zaatakował dopiero potem. Do diabła, do diabła, do diabła. Chyba trzeba to odwołać. - Wbił czubek buta w miękki piasek. - Jak wygląda sytuacja w Kattarze?

- Najgorsze zostawiłem na koniec. Sprawdziliśmy i wszystko się potwierdza. Rosjanie dostarczają uran. Rozruch reaktora za trzy tygodnie od dziś.

Borg spoglądał na morze. Był bardziej rozbity, przygnębiony i zrezygnowany niż kiedykolwiek w całym swym nieszczęsnym życiu.

- Wiesz chyba, co to kurewstwo znaczy? To znaczy, że nie możemy odwołać akcji. Znaczy, że nie mogę powstrzymać Dicksteina. Znaczy, że Dickstein jest ostatnią szansą Izraela.

Kauasz milczał. Po chwili Borg spojrzał na niego. Oczy Arabii były zamknięte.

- Co robisz? - spytał Borg.

Milczenie trwało jeszcze kilka chwil. Wreszcie Kauasz otworzył oczy, spojrzał na Borgia i przybrał swój uprzejmy uśmiezek.

- Modłę się - odpowiedział.

Tel-Awiv do m/s Stromberg

Osobiste Borg do wyłącznej wiadomości Dicksteina

Deszyfracji musi dokonać adresat

Potwierdzone Suza Ashford agentką arabską stop skłoniła Cortonego by zabrał na Sycylię ją i Hasana stop przybyli po twoim odpłynięciu stop Cortone nie żyje stop z tego oraz innych faktów wynika że prawdopodobnie zostaniesz zaatakowany na morzu stop z naszej strony brak możliwości dalszych działań stop sam to spieprzyłeś więc sam z tego wylaż koniec.

Chmury, które już od paru dni gromadziły się nad zachodnią częścią Morza Śródziemnego, pękły ostatecznie tej nocy, wylewając na "Stromberga" strumienie deszczu. Zerwał się silny wiatr i rosnące fale rychło ujawniły wszystkie niedostatki konstrukcyjne statku, który rozkołysał się i zaczął podskakiwać.

Nat Dickstein nie zwracał uwagi na pogodę. Siedział samotnie w swej małej kajucie i wyposażony w ołówek, notes i książkę szyfrów, na małym stoliku przyśrubowanym do grodzi słowo po słowie w udręce rozkodowywał depeszę Borgia. Przeczytał ją raz, potem drugi i trzeci, a wreszcie wbił wzrok w nagą stalową ścianę.

Nie miało sensu snucie przypuszczeń, dlaczego zrobiła to, co zrobiła, stawianie naciąganych hipotez, że Hasan zmusił ją siłą lub szantażem, fantazjowanie, że kierowała się mylnymi przesłankami bądź błędną motywacją: Borg pisał, że jest agentką, i miał słuszość. Była szpiegiem przez cały czas. Oto dlaczego wdała się z nim w romans. Ta dziewczyna ma w branży wywiadowczej wspaniałą przyszłość.

Dickstein ukrył twarz w dłoniach i przycisnął oczy palcami, ale wciąż ją widział - naga, tylko w pantofelkach na cienkich, wysokich obcasach, stała oparta o szafkę w maleńkiej kuchni i czytając poranną gazetę czekała, aż zagotuje się woda w czajniku.

Najgorsze było to, że wciąż ją kochał. Zanim ją poznał, był inwalidą, uczuciowym kaleką z pustym miejscem tam, gdzie w człowieku powinna mieszkać miłość; to ona uczyniła cud uzdrowienia. Teraz go zdradziła, odbierając swój dar; odtąd będzie bardziej upośledzony niż przedtem. Napisał do niej list miłosny. Dobry Boże, pomyślał, jak się zachowała po przeczytaniu? Wybuchnęła śmiechem? Pokazała list Hasanowi, mówiąc: "Tylko popatrz, jak się złapał na haczyk!"

Gdyby ktoś przywrócił ślepemu wzrok, a potem, po jednym dniu, w nocy, podczas snu znowu go oślepił, nieszczęśnik czułby się po przebudzeniu tak jak on w tej chwili.

Powiedział Borgowi, że zabiłby Suzę, gdyby była agentką, ale teraz wiedział, że kłamał. Nigdy jej nie skrzywdzi, cokolwiek by zrobiła.

Było już późno. Prócz kilku wachtowych załoga spała. W drodze z kajuty na pokład nie spotkał nikogo; nim doszedł od wjazdu do relingu, przemókł do nitki, ale nawet tego nie zauważył. Stanął przy relingu wpatrując się w ciemność, nie mogąc dostrzec, gdzie się kończy czarne morze, a zaczyna czarne niebo, pozwalając kroplom deszczu spływać po twarzy jak łzy.

Nigdy nie zabije Suzy, ale Jasif Hasan to zupełnie co innego. Nie miał większego wroga niż Hasan. Pokochał Eilę tylko po to, by ujrzeć ją w objęciach Hasana. Teraz zakochał się w Suzie - znów, aby się przekonać, że ją także zdołał już uwieść dawny rywal. Hasan posłużył się też Suzą w swej walce o odebranie Dicksteinowi ojczyzny. O tak, jeśli tylko będzie mógł, zabije Jasifa Hasana, i to gołymi rękami. A także pozostałych. Ta myśl zagłuszyła rozpacz i wprawiła go w furję: chciał słyszeć trzask łamanych kości, widzieć osuwające się ciała, czuć zapach prochu i przerażenia, zapragnął wokół siebie śmierci.

Borg sądził, że zaatakują ich na morzu. Statek pruł niespokojne fale, a Dickstein zaciskał dłonie na balustradzie relingu. Wiatr wzmógł się na chwilę, smagnął mu twarz zimnym, ostrym deszczem. Niech się stanie - pomyślał Dickstein i z całych sił krzyknął na wiatr: - Chodźcie... Chodźcie, skurwysyny!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Hasan nie wrócił do Kairu ani wtedy, ani później.

Kiedy samolot startował z Palermo, poczuł wręcz uniesienie. Niewiele brakowało, ale znów przechytrył Rostowa! Nie wierzył własnym uszom, gdy Rostow powiedział: "zejdź mi z oczu". Był wtedy pewien, że zaciągną go siłą na pokład "Karolinki" i w rezultacie ominie go napad fedainów. Lecz Rostow uwierzył bez reszty, że Hasan to po prostu nadgorliwy, impulsywny i niedoświadczony amator. Nawet mu do głowy nie przyszło, że może być zdrajcą. Bo niby dlaczego miałyby przyjść? Hasan był przedstawicielem wywiadu egipskiego w zespole Rostowa i Arabem. Nawet gdyby Rostow miał jakieś podejrzenia co do jego lojalności, mógłby jedynie przypuszczać, że Hasan pracuje dla Izraelczyków, gdyż oni byli wrogami. Palestyńczyków, gdyby się w ogóle pojawili na scenie, należało uważać za. "swoich".

To było cudowne. Przebiegły i arogancki, protekcyjny pułkownik Rostow, wraz z całą potęgą sławnego KGB - wystrychnięty na dudka przez nędznego palestyńskiego uchodźcę, człowieka, którego uważał za zero.

Ale to jeszcze nie był koniec. Hasan musiał dołączyć do fedeinów.

Z Palermo przyleciał do Rzymu, gdzie usiłował dostać połączenie z Annabą lub Constantine, leżącymi u wybrzeża Algierii. Najbliższe jednak połączenia proponowane przez linie lotnicze to był wyłącznie Algier lub Tunis. Wybrał Tunis.

Na miejscu znalazł młodego taksówkarza z dość nową renówką i machnął mu przed nosem plikiem amerykańskich dolarów, większym niż facet normalnie zarabiał przez rok. Za nie taksiarz przewiózł go przez stumilowy pas Tunezji, za granicę z Algierią, i wysadził w malej rybackiej wiosce z niewielkim naturalnym portem.

Czekał na niego jeden z fedeinów. Hasan odnalazł go na brzegu, pod uniesionym pontonem, gdzie chroniąc się przed deszczem grał w tryktraka z

rybakiem. Wsiedli we trzech do łodzi rybaka i odbili. Morze było wzburzone, gdy wypływali w świetle kończącego się dnia. Hasan, szczur lądowy, bał się, że mała motorówka się wywróci, ale rybak przez cały czas pogodnie się uśmiechał. Płynęli niespełna pół godziny. Gdy się zbliżyli do wyniosłej bryły statku, Hasan znów poczuł triumf. Statek... mieli statek.

Kiedy mężczyzna, z którym się spotkał, rozliczał się z rybakiem, Hasan wspiał się na pokład. Na pokładzie czekał Mahmud. Uściskali się i Hasan powiedział:

- Musimy zaraz podnieść kotwicę...sprawy nabrały tempa.

- Chodź ze mną na mostek.

Hasan podążył za Mahmudem. Statek - zupełnie nowy i dobrze utrzymany - był małym kabotażowcem o wyporności tysiąca ton. Smukły, prawie bez nadbudówek, miał tylko jeden luk ładunkowy. Zbudowano go z myślą o szybkich przerzutach towaru i konieczności manewrowania w małych północnoafrykańskich portach. Przystanęli na chwilę na pokładzie dziobowym i rozejrzeli się.

- Idealny dla naszych potrzeb - stwierdził radośnie Hasan.

- Przechrzciłem go - powiedział Mahmud. - Teraz nazywa się "Nablus" i jest pierwszym okrętem Palestyńskiej Marynarki Wojennej.

Hasan poczuł łzy w oczach. Weszli po trapie.

- Dostałem go od libijskiego biznesmena, który pragnął zbawienia - powiedział Mahmud.

Mostek, nieduży i czysty, miał tylko jedną poważną wadę: brak radaru. Obywało się bez niego wiele małych jednostek żeglugi przybrzeżnej, a pośpiech nie pozwolił fedainom na zakup oraz instalację urządzenia.

Mahmud przedstawił kapitana, też Libijczyka - biznesmen dostarczył statek wraz z załogą, bo żaden z fedainów nie miał pojęcia o nawigacji. Kapitan kazał podnieść kotwicę i uruchomić silniki.

Wszyscy trzej pochylili się nad mapą, a Hasan mówił, czego dowiedział się na Sycylii.

- Dziś w południe "Stromberg" odbił od południowego wybrzeża Sycylii. "Coparelli" powinien przejść ubiegłej nocy Cieśninę Gibraltarską, idąc na Genuę. Są to statki bliźniacze, o jednakowej prędkości maksymalnej, więc najwcześniej mogą się spotkać w miejscu odległym o dwanaście godzin żeglugi na wschód od punktu środkowego między Sycylią a Gibraltarem.

Kapitan dokonał jakichś obliczeń i spojrzął na inną mapę.

- Spotkają się na południowy wschód od Minorki.

- Powinniśmy przechwycić "Coparellego" nie później niż osiem godzin przed tym spotkaniem.

Kapitan odmierzył palcem wstecz hipotetyczną trasę rejsu.

- Byłoby to jutro o zmierzchu, nieco na południe od Ibizy.

- Zdążymy?

- Tak, z pewnym zapasem czasu, jeśli nie będzie sztormu.

- A będzie?

- Zapewne w ciągu kilku najbliższych dni. Ale jak sądzę, nie jutro.

- Doskonale. Gdzie radiooperator?

- Tu. To Jakow.

Hasan obejrzał się, zobaczył niskiego, uśmiechniętego mężczyznę z zębami żółtymi od tytoniu, i zwrócił się do niego:

- Na pokładzie "Coparellego" jest pewien Rosjanin, niejaki Tyrin, który będzie dawał sygnały polskiej jednostce "Karolinka". Musisz posłuchać na jego długości fal. - Zapisał długość, na której nadawał Tyrin. - Również na "Strombergu" jest radionadajnik, wysyła co pół godziny trzydziestosekundowy pojedynczy sygnał. Prowadząc regularny nasłuch będziemy wiedzieć, czy "Stromberg" nas nie wyprzedza.

Kapitan podawał kurs. Na pokładzie pierwszy oficer nadzorował przygotowania do wyjścia w morze. Mahmud rozmawiał z jednym z fedainów o

przeglądzie uzbrojenia. Radiooperator pytał Hasana o nadajnik ze "Stromberga". Hasan słuchał jednym uchem i myślał: Cokolwiek się stanie, będzie to wspianiałe.

Ryknęły silniki, pokład z lekka się przechylił, dziób rozciął wodę - ruszali.

Dieter Koch, nowy oficer-mechanik na "Coparellim", nie spał, leżał na koi w środku nocy i myślał: Co zrobić, jak ktoś mnie zobaczy?

Jego zadanie było proste. Miał wstać, pójść do magazynku rufowego, zabrać zapasową pompę olejową i pozbyć się jej. Miał niemal pewność, że zdoła tego dokonać niepostrzeżenie - kabinę miał tuż przy magazynku, większość załogi spała, a ci, co nie spali, byli na mostku i w maszynowni, i wszystko wskazywało na to, że się stamtąd nie ruszą. Lecz "niemal pewność" to za mało przy operacji o takim znaczeniu. Gdyby teraz lub później ktoś zaczął podejrzewać, jakie są jego zamiary...

Włożył sweter, spodnie, gumowe buty i sztormiak. Musiał zrobić swoje, i to zaraz. Wsunął klucze od magazynku do kieszeni, otworzył drzwi kajuty i wyszedł. Idąc zejściówką pomyślał: powiem, że nie mogłem spać, więc sprawdzam magazyny.

Otworzył drzwi składziku, zapalił światło, wszedł i zaniknął za sobą drzwi. Dokoła na półkach leżały części zapasowe - uszczelki, zawory, wtyczki, kable, śruby, filtry...gdyby jeszcze był blok cylindrów, można by złożyć kompletny silnik. W skrzynce na jednej z górnych półek znalazł pompę olejową. Zdjął ją - była niewielka, lecz bardzo ciężka - i poświęcił pięć minut, żeby sprawdzić, czy nie ma jeszcze jednej.

Teraz najtrudniejsza część zadania.

... Nie mogłem spać, panie kapitanie, więc przeglądałem części zamienne. - Doskonale, wszystko w porządku? - Tak jest, panie kapitanie! - A co tam pan dźwiga pod pachą? - Butelkę whisky, panie kapitanie. Ciasto, które przysłała mi matka. Zapasową pompę olejową, panie kapitanie, zamierzam ją wyrzucić za burtę...

Otworzył drzwi magazynku i wyjrzał. Nikogo.

Wyłączył światło, wyszedł, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Zejściówką dotarł na pokład. Nikogo.

Wciąż łało. Mógł sięgnąć wzrokiem tylko na odległość kilku metrów; to dobrze, to znaczy, że inni też nie widzą dalej.

Podszedł do relingu, przechylił się przez balustradę, spuścił pompę do morza, odwrócił się i wpadł na kogoś. Ciasto od matki zeszło na kość...

- Kto tam? - zapytał ktoś po angielsku z obcym akcentem.

- Mechanik. A pan? - Kiedy Koch odpowiedział, tamten tak się odwrócił, że w świetle lamp pokładowych ukazał się jego profil, i Koch rozpoznał okrągłą sylwetkę i wydatny nos radiooperatora.

- Nie mogłem zasnąć - powiedział radiooperator. - Więc wyszedłem... zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jest zmieszany tak jak ja, pomyślał Koch. Ciekawe, dlaczego?

- Parszywa noc - stwierdził. - Wracam pod dach.

- Dobranoc.

Koch zszedł z pokładu i ruszył w stronę swojej kajuty. Dziwny gość z tego radiooperatora. Nie był stałym członkiem załogi. Przyjęli go w Cardiff, kiedy jego poprzednik złamał nogę. Był tu trochę obcy, jak Koch. Dobrze się stało, że wpadłem właśnie na niego, a nie na kogo innego.

W kajucie zdjął przemoczoną odzież i wyciągnął się na koi. Wiedział, że nie uśnie. Plan na następny dzień miał dobrze opracowany, nie było sensu powtarzać go raz jeszcze, próbował więc myśleć o czym innym: o matce, która przyrządzała najlepszy ziemniaczany kugiel na świecie; o narzeczonej, która podawała najlepszą główkę na świecie; o chorym psychicznie ojcu, który trafił do domu wariatów w Tel-Awiiwie; o fantastycznym magnetofonie, jaki sobie kupi po zakończeniu akcji za zaległą wypłatę; o swoim miłym mieszkaniu w Hajfie; o swoich przyszłych dzieciach, które będą dorastać w Izraelu nie zagrożonym wojną.

Wstał dwie godziny później. Poszedł do pentry napić się kawy. Był tam pomocnik koka, stał w wódzie po kostki i smażył dla załogi jajka na bekonie.

- Parszywa pogoda - powiedział Koch.

- Będzie gorsza.

Koch wypił kawę, potem ponownie napełnił kubek, nalał też kawy do drugiego i oba zaniósł na mostek. Wachtę pełnił pierwszy oficer.

- Dzień dobry - powiedział Koch.

- Niespecjalnie dobry - odrzekł pierwszy, wbijając wzrok w kurtynę deszczu.

- Kawy?

- To miłe z pańskiej strony. Dziękuję.

Koch podał mu kubek.

- Gdzie jesteśmy?

- Tu. - Oficer pokazał mu na mapie pozycję statku. - Zgodnie z planem, mimo pogody.

Koch skinął głową. To znaczyło, że za piętnaście minut musi zatrzymać "Coparellego".

- Do zobaczenia - powiedział. Opuścił mostek i zszedł pod pokład do maszynowni.

Był tam jego zastępca, który wyglądał tak świeżo, jak gdyby podczas nocnej wachty odbył dłuższą drzemkę.

- Jak tam ciśnienie oleju? - zapytał Koch.

- Stabilne.

- Wczoraj trochę skakało.

- No, tej nocy nie było żadnych problemów - powiedział zastępca. Uczynił to może odrobinę zbyt stanowczo, jak gdyby się obawiał oskarżenia, że spał, kiedy wskazówka rozpoczynała taniec.

- Świetnie - stwierdził Koch. - Może naprawiło się samo. - Odstawił kubek na płaską część osłony silnika, ale zaraz schwycił go ponownie, gdy statek silnie się zakołysał. - Niech pan z łaski swojej idąc spać obudzi Larsena.

- Dobra.

- Przyjemnych snów.

Zastępca wyszedł, Koch zaś dopił kawę i wziął się do pracy.

Wskaźnik ciśnienia oleju mieścił się w bloku urządzeń kontrolnych za silnikiem. Zegary osadzono w cienkiej metalowej obudowie, pomalowanej matową czarną farbą i przymocowanej czterema śrubkami. Posługując się sporym śrubokrętem Koch zdjął obudowę i obnażył płataninę wielobarwnych przewodów, które prowadziły do poszczególnych wskaźników. Teraz Koch wziął mały śrubokręt z izolowaną rączką, szybko odłączył jeden z kabli wskaźnika ciśnienia oleju. Zaizolował obnażoną końcówkę przewodu kawałkiem taśmy, a następnie przykleił do tylnej części zegara tak, że tylko dokładne oględziny wykryłyby, iż połączenie jest przerwane. Wreszcie na powrót przykręcił obudowę.

Kiedy zjawił się Larsen, Koch uzupełniał płyn przekładniowy

- Może ja bym to zrobił - powiedział Larsen. Był pomocnikiem w maszynowni i smarowanie należało do jego podstawowych obowiązków.

- Gotowe - stwierdził Koch. Zakręcił pojemnik i odstawił go do szafki.

Larsen przetarł oczy i zapalił papierosa. Zerknął na wskaźniki, później popatrzył jeszcze raz i zawołał:

- Ciśnienie oleju zero!

- Zero?

- Tak!

- Maszyny stop!

- Jest, maszyny stop.

Bez oleju tarcie pomiędzy elementami silnika powodowało gwałtowny wzrost temperatury, a ta - zgrzewanie się poszczególnych części i - w rezultacie - niemożliwą do usunięcia awarię. Gwałtowny spadek ciśnienia oleju był tak niebezpieczny, że Larsen mógł zatrzymać silniki bez pozwolenia Kocha.

Wszyscy na statku usłyszeli, że silniki umilkły i “Coparelli” wytraca prędkość, gwałtowna zmiana zbudziła nawet marynarzy z dziennej wachty, śpiących jeszcze w swoich kojach. Zanim silniki stanęły, z rury komunikacyjnej dobiegł głos pierwszego oficera:

- Tu mostek! Co tam na dole?

- Nagły spadek ciśnienia oleju - odpowiedział Koch.

- Czy domyśla się pan, dlaczego?

- Jeszcze nie.

- Informujcie mnie na bieżąco.

- Tak jest.

- Opróżniamy miskę olejową - powiedział Koch do Larsena. Larsen wziął skrzynkę z narzędziami i podążył za Kochem pod półpokład, skąd mogli dostać się do silnika od dołu.

- Gdyby zatarło się łożysko główne albo łożysko stopu korbowodu, spadek ciśnienia oleju byłby stopniowy - powiedział Koch. - Nagły spadek oznacza przerwę w dopływie oleju. W całym systemie oleju nie brakuje - sprawdzałem wcześniej - i nie ma śladu wycieków. Więc prawdopodobnie chodzi o blokadę.

Odkręcił miskę kluczem francuskim i we dwóch położyli ją na pokładzie. Sprawdzili filtr, filtr pełnego przepływu, zawór nadmiarowy filtru i główny zawór nadmiarowy, lecz nie znaleźli żadnej blokady.

- Jeśli nie ma blokady, przyczyna awarii musi tkwić w pompie - powiedział Koch. - Przynieś zapasową.

- Jest w składziku na pokładzie głównym - odrzekł Larsen. Koch dał mu klucz i Larsen pośpieszył na górę.

Teraz Koch musiał pracować bardzo szybko. Zdjął obudowę pompy olejowej, obnażając dwie zębatki. Wyjął ze skrzynki z narzędziami wiertarkę, zamocował wiertło i zaatakował nim zęby. Kaleczył je i łamał tak długo, aż przestały się nadawać do użytku. Wówczas odłożył wiertarkę, ujął łom i młotek, a następnie wsunął

końcówkę łomu pomiędzy koła zębate i rozginał je dopóty, dopóki nie poddały się z głośnym głuchym trzaskiem. Na koniec wyjął z kieszeni porysowaną i poszczerbioną nakrętkę z utwardzanej stali. Miał ją przy sobie już w chwili zaokrętowania na "Coparello". Wrzucił nakrętkę do miski olejowej. Zrobione.

Wrócił Larsen.

Koch uświadomił sobie, że nie wyjął wiertła z wiertarki: kiedy Larsen wychodził, była tam tylko nasadka z kluczem płaskim do wykręcania śrub. Nie patrz na wiertarkę! - pomyślał.

- Pompy tam nie ma. - Powiedział Larsen.

Koch wyłowił nakrętkę z miski olejowej.

- Popatrz - powiedział, odwracając uwagę Larsena od kompromitującej wiertarki. - Oto powód kłopotów. - Pokazał Larsenowi zniszczone zębátky pompy olejowej. - Nakrętka musiała wpaść do środka przy ostatniej wymianie filtrów. Dostała się do pompy i odtąd krążyła w trybach. Dziwne, że nie słyszeliśmy zgrzytania nawet podczas pracy silnika. Tak czy siak, pompa jest do wyrzucenia, więc musisz znaleźć zapasową. Weź paru ludzi, żeby pomogli ci szukać.

Larsen wyszedł. Koch wyjął z wiertarki wiertło i założył nasadkę. Potem pobiegł schodami do maszynowni, by usunąć pozostałe dowody swej winy. Pracując z największą szybkością, by zdążyć, zanim ktoś wejdzie, zdjął obudowę bloku kontrolnego i odłączył przewód wskaźnika ciśnienia oleju. Teraz będzie pokazywać prawdziwe zero. Zamocował obudowę i wyrzucił zużytą taśmę. Robota skończona. Teraz trzeba zamydlić oczy kapitanowi.

Gdy grupa wysłana na poszukiwanie pompy wróciła z niczym, Koch powędrował na mostek.

- Podczas ostatniego przeglądu pompy mechanik musiał upuścić nakrętkę do pompy olejowej, panie kapitanie. - Pokazał kapitanowi nakrętkę. - W którymś momencie, może gdy statek miał te gwałtowne przechyły - nakrętka dostała się do pompy. Potem to już była kwestia czasu. Nakrętka krążyła w trybach, aż całkowicie je zniszczyła. Obawiam się, że nie zdołamy wykonać na pokładzie takich zębatek. Na statku powinna być zapasowa pompa, ale jej nie ma.

Kapitan był wściekły.

- Niech się tylko dowiem, kto za to odpowiada. Popamięta mnie!

- Za części zamienne odpowiada mechanik, ale - jak pan wie, panie kapitanie - wszedłem na pokład w ostatniej chwili.

- Zatem winny jest Sarne.

- Może istnieje jakieś wyjaśnienie...

- Istotnie. Na przykład takie, że za długo się uganiał za belgijskimi kurwami, żeby pamiętać o silniku. Możemy jakoś kuśtykać?

- W żadnym razie, panie kapitanie. Pół mili i silnik się zatrze.

- Niech to wszyscy diabli. Gdzie radiooperator?

- Poszukam go, panie kapitanie - powiedział pierwszy oficer i zszedł z mostka.

- Jest pan pewien, że nie da się czegoś sklecić? - zapytał Kocha kapitan.

- Obawiam się, że nie zdołam sklecić pompy olejowej z części zamiennych i sznurka. Dlatego musimy wozić zapasową pompę.

Pierwszy oficer wrócił w towarzystwie radiooperatora.

- Gdzie się pan podziewał, do diabła? - zapytał kapitan.

Radiooperator, okrągły, wielkonosy facet, z którym Koch zderzył się nocą na pokładzie, wyglądał na urażonego.

- Najpierw pomagałem szukać pompy w składziku na dziobie, panie kapitanie, a potem myłem ręce. - Zerknął na Kocha, ale w jego oczach nie było śladu podejrzliwości. Koch nie był pewien, ile facet widział podczas nocnego spotkania, jeśli jednak nawet skojarzył zaginięcie pompy z pakunkiem wyrzuconym za burtę przez mechanika, pomijał to milczeniem.

- W porządku - powiedział kapitan. - Proszę nadać do armatora: Melduję awarię silnika na... Jaką mamy pozycję, pierwszy?

Pierwszy oficer podał radiooperatorowi położenie statku. Kapitan ciągnął dalej:

- Żądam nowej pompy lub odholowania do portu. Czekam na instrukcje.

Koch zgarbił się lekko. Zrobił swoje.

Po jakimś czasie przyszła odpowiedź od armatora:

Coparelli sprzedany Savile Shipping z Zurychu stop wasza wiadomość przekazana nowemu armatorowi stop czekajcie na jego instrukcje stop.

Niemal natychmiast odezwała się firma Savile Shipping:

Nasza jednostka Gil Hamilton na waszych wodach stop podejdzie do was około południa stop przygotujcie ewakuację całej załogi poza mechanikiem stop Gil Hamilton weźmie załogę do Marsylii stop mechanik będzie czekał na nową pompę olejową stop Papagopulos stop.

Wymianę depesz przechwycił znajdujący się w odległości sześćdziesięciu mil Solly Weinberg, kapitan "Gila Hamiltona" i komandor izraelskiej marynarki wojennej.

- Dokładnie według planu. Dobra robota Koch - mruknął.

Wyznaczył kurs na "Coparellego" i wydał komendę: cała naprzód.

Depesz nie przejęli natomiast Jasif Hasan i Mahmud na pokładzie odległego o sto pięćdziesiąt mil "Nablusa". Siedzieli w kajucie kapitańskiej; pochyleni nad sporządzonym przez Hasana szkicowym planem "Coparellego", ustalali plan abordażu i opanowania statku. Hasan polecił radiooperatorowi z "Nablusa" prowadzić nasłuch na dwóch częstotliwościach: wykorzystywanej przez nadajnik ze "Stromberga" i przez Tyrina nadającego tajne sygnały z "Coparellego" do Rostowa na "Karolinie". Ponieważ sygnały te szły na stałej częstotliwości "Coparellego", "Nablus" nie przechwycił emisji. Dopiero po jakimś czasie fedaini mieli się zorientować, że atakują prawie opuszczoną jednostkę. Wymianę depesz przechwycono dwieście mil dalej na mostku "Stromberga". Kiedy "Coparelli" potwierdził przyjęcie wiadomości od Papagopulosa, oficerowie zaczęli wiwatować i klaskać. W zbiorowej radości nie uczestniczył Nat Dickstein. Wsparty o grodz stał z kubkiem kawy w ręce i spoglądał na niespokojne morze i ulewny deszcz. Przygarbiony i napięty, twarz miał stężałą, a jego oczy za plastikiem okularów wyglądały jak wąskie szczeliny. Ktoś dostrzegł jego

milczenie i rzucił uwagę o pokonaniu pierwszej wysokiej przeszkody. Mrukliwa odpowiedź Dicksteina była naszpikowana niezwykle w jego ustach plugastwami. Wesoły oficer dal za wygraną, a później stwierdził w mesie, że Dickstein sprawia wrażenie faceta, który wsadzi człowiekowi nóż w żebra, jeśli przypadkiem nastąpi mu się na odcisk.

Wymianę depezb przechwycili również Dawid Rostow i Suza Ashford, trzysta mil dalej na "Karolinie".

Suza była jak w transie, kiedy z sycylijskiego nabrzeża wchodziła po trapie na polski statek. Ledwie widziała, co się dzieje, gdy Rostow zaprowadził ją do kabiny oficerskiej z własną toaletą i wyraził nadzieję, że będzie jej tu wygodnie. Usiadła na koi. Siedziała tam jeszcze w tej samej pozycji godzinę później, kiedy marynarz przyniósł jej tacę z zimnym posiłkiem i bez słowa postawił na stole. Nic nie zjadła. Gdy się ściemniło, zaczęła dygotać; położyła się do łóżka i leżała z oczyma szeroko otwartymi wpatrzona w pustkę, trzęsąc się nadal. Wreszcie zasnęła, z początku niespokojnym, pełnym dziwnych, bezsensownych koszmarów snem, na koniec głęboko. Obudził ją świt. Leżała nieruchomo, czując ruch statku i tępo rozglądając się po kajucie. Nagle pojęła, gdzie jest. Zupełnie jakby się przebudziła ze wspomnieniem paraliżującego lekiem koszmaru - zamiast jednak pomyśleć: dzięki Bogu, to był tylko sen, zrozumiała, że to rzeczywistość i że trwa dalej.

Ogarnęło ją okropne poczucie winy. Oszukiwała samą siebie, teraz to było jasne. Wmówiła sobie, że musi znaleźć Nata, żeby go ostrzec, bez względu na ryzyko, naprawdę jednak szukała tylko pretekstu, by się z nim zobaczyć. Katastrofalne skutki tego, co zrobiła, były normalnym następstwem jej niejasnej motywacji. Wprawdzie Natowi rzeczywiście groziło niebezpieczeństwo, ale teraz, z jej winy, było znacznie większe.

Myślała także o tym, że jest na morzu, na polskim statku z rosyjską załogą, dowodzonym przez wrogów Nata, otoczona zgrają rosyjskich zbirów; mocno zacisnęła oczy i nakryła głowę poduszką usiłując opanować wzbierającą w gardle histerię.

Potem ogarnęła ją złość i to sprawiło, że nie postradała zmysłów. Pomyślała o ojcu, o tym, że chciał ją wykorzystać dla swoich politycznych celów - i poczuła złość do niego. Pomyślała o Hasanie, który manipulował ojcem, kładł jej dłoń na kolanie - i

pożałowała, że mając po temu okazję nie dała mu w twarz. W końcu pomyślała o Rostowie, człowieku o twardej, inteligentnej twarzy i zimnym uśmiechu, który zamierzał staranować statek Nata, i wtedy wpadła w furię.

Dickstein należy do niej. Jest zabawny, silny, dziwnie bezbronny, pisze listy miłosne, uprowadza statki... to jedyny człowiek, którego kocha aż tak. Nie ma zamiaru go stracić.

Jest w obozie nieprzyjacielskim, uwięziona, ale tylko ona tak to widzi. Wrogowie sądzą, że stoi po ich stronie, ufają jej. Może nadarzy się okazja, by wsadzić im kij w szprychy. Musi szukać takiej szansy. Zacznie się kręcić po statku i ukrywając lęk będzie z nimi rozmawiać, zyskiwać coraz większe zaufanie, udawać, że dzieli ich ambicje i obawy - aż trafi się okazja.

Zadrżała na tę myśl. Potem powiedziała sobie: Stracę go, jeśli tego nie zrobię, a jeśli go stracę, nie chcę już żyć...

Wstała z łóżka. Zdjęła ubranie, w którym spała, umyła się i przebrała w czysty sweter i spodnie z walizki. Usiadła przy zamocowanym do podłogi stoliku i zjadła trochę zostawionej jej wczoraj kiełbasy i sera. Uczesowała się i dla poprawy samopoczucia trochę się podmalowała.

Sprawdziła drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Wyszła. Schodnią, kierując się zapachem jedzenia, trafiła do pentry. Weszła i szybko się rozejrzała.

Rostow był sam, powoli jadł jajecznicę. Podniósł wzrok i zobaczył Suzę. Nagle jego twarz wydała się dziewczynie mroząco złą, wąskie usta bezlitosne, oczy pozbawione uczuć. Po chwili wahania zmusiła się, by do niego podejść. Przy stoliku na chwilę oparła się o krzesło, bo poczuła słabość w nogach...

- Siadaj - powiedział Rostow.

Padła na krzesło.

- Jak ci się spało?

Oddychała za szybko, jak po prędkim marszu.

- Dobrze - odparła. Głos jej drżał.

Jego bystre podejrzliwe oczy jakby przewiercały jej mózg.

- Wyglądasz na zdenerwowaną. - Mówił obojętnie, bez sympatii i wrogości.

- Ja... - słowa grzęzły jej w krtani i dławily. - Wczorajszy dzień wytrącił mnie z równowagi. - Zresztą mówiła prawdę, więc jakoś to poszło. - Nie widziałam jeszcze, jak ktoś umiera.

- Rozumiem. - Na twarzy Rostowa pojawił się na koniec cień ludzkich uczuć; może przypomniał sobie, jak sam po raz pierwszy zobaczył umierającego. Sięgnął po dzbanek z kawą i nalał jej filiżankę. - Jesteś bardzo młoda - powiedział. - Nie możesz być wiele starsza od mojego pierworodnego.

Suza z wdzięcznością popijała gorącą kawę, w nadziei, że Rostow zachowa ten ton, co pomogło by jej się uspokoić.

- Pańskiego syna? - zapytała.

- Jurija Dawidowicza, ma dwadzieścia lat.

- Co robi?

Uśmiech Rostowa nie był już tak lodowaty, jak przedtem.

- Niestety, większość czasu spędza na słuchaniu dekadencjonalnej muzyki. Nie uczy się tak pilnie, jak powinien. Inaczej niż brat.

Oddech Suzy wracał do normy, a dłoń, kiedy teraz podniosła filiżankę, już nie drżała. Wiedziała, że fakt posiadania rodziny nie czyni tego człowieka mniej niebezpiecznym; gdy mówił o rodzinie, po prostu mniej się chyba bała.

- A co z tym drugim? - zapytała. - Młodszym?

- Władimir - skinął głową Rostow. Teraz wcale nie był straszny: z ciepłą pobłażliwością patrzył ponad ramieniem Suzy. - Jest bardzo zdolny. Zostanie wybitnym matematykiem, jeśli otrzyma odpowiednie wykształcenie.

- To nie powinno stanowić problemu - powiedziała nie spuszczać zeń oka. - Sowiecki system edukacji jest najlepszy na świecie.

Sądziła, że powiedziała rzecz bezpieczną, ale jej słowa musiały mieć dla Rostowa jakieś szczególne znaczenie; zaduma zniknęła i twarz z powrotem stała się twarda i zimna.

- Tak - zgodził się. - To nie powinno stanowić problemu. - Wrócił do jajecznicy.

Suza pomyślała gorączkowo: już zaczął być przyjazny, nie wolno mi go teraz stracić. Rozpaczliwie szukała następnego tematu i nagle doznała olśnienia:

- Szkoda, że nie pamiętam pana z czasów, kiedy pan był w Oksfordzie.

- Byłaś wtedy bardzo mała. - Dolał sobie kawy. - Wszyscy pamiętają twoją matkę. Najpiękniejsza kobieta na świecie. Jesteś wypisz-wymaluj jak ona...

To już lepiej, pomyślała Suza.

- Co pan studiował? - spytała.

- Ekonomię.

- Zdaje się, że nie była to wtedy nauka ścisła.

- Dziś jest niewiele lepiej.

Suza przybrała z lekka uroczysty wyraz twarzy.

- Mówimy, rzecz jasna, o ekonomii burżuazyjnej.

- Oczywiście. - Rostow spojrział na nią, jakby nie wiedział, czy Suza mówi poważnie, czy nie. Uznał chyba, że tak.

Do pentry wszedł oficer i powiedział coś do Rostowa po rosyjsku. Rostow z żalem popatrzył na Suzę.

- Muszę iść na mostek.

Musi pójść z nim. Zmusiła się, by mówić spokojnie:

- Mogę iść z panem?

Zawahał się. Suza pomyślała: Powinien mi pozwolić. Rozmowa sprawiła mu przyjemność, jest przekonany, że stoję po ich stronie... i jeśli poznam jakieś ich

sekrety, nie wyobraża sobie chyba, że zdołam zrobić z nich użytek tkwiąc na statku KGB.

- Czemu nie? - powiedział Rostow.

Ruszyła za nim. W kabinie radiowej Rostow z uśmiechem przestudiował depesze i przetłumaczył je Suzie. Pomysłowość Dicksteina zdawała się budzić w nim podziw.

- Ten facet jest szczwany jak diabli - powiedział.

- Co to jest Savile Shipping? - zapytała Suza.

- Fasada wywiadu izraelskiego. Dickstein eliminuje wszystkich, którzy mieliby powód interesować się losami uranu. Spółka żegluga straciła to zainteresowanie, bo nie jest już armatorem statku. Teraz zdejmuje kapitana i załogę. Na pewno ma również jakiegoś haka na ludzi, do których należy uran. Przepiękna kombinacja.

Tego właśnie pragnęła Suza. Rostow rozmawiał z nią jak ze współpracowniczką, była w centrum wydarzeń; musi znaleźć sposób, żeby mu pokrzyżować szyki.

- Sądzę, że do awarii doprowadzono umyślnie - powiedziała.

- Tak. Teraz Dickstein może opanować statek bez jednego wystrzału.

Suza myślała szybko. "Zdradzając" Dicksteina dowiodła lojalności wobec strony arabskiej. Strona arabska rozbiła się na dwa obozy: w jednym był Rostow, KGB i wywiad egipski, w drugim - Hasan i fedaini. Teraz Suza może się wykazać lojalnością wobec obozu Rostowa, zdradzając Hasana. Powiedziała tonem najbardziej obojętnym, na jaki potrafiła się zdobyć:

- Tak samo, oczywiście, Jasif Hasan.

- Co?

- Hasan też może opanować "Coparellego" bez jednego wystrzału.

Rostow wytrzeszczył na nią oczy. Pobladł, jakby z jego szczupłej twarzy odpłynęła cała krew. Suza patrzyła wstrząśnięta, jak nagle traci całe swoje opanowanie i pewność siebie.

- Hasan zamierza uprowadzić "Coparellego"? - zapytał. Suza udała zaskoczenie.

- To znaczy, że pan o tym nie wiedział?

- Ale z kim? Bo przecież nie z Egipcjanami?

- Z fedainami. Hasan mówił, że to jest pański plan!

Rostow z wściekłością uderzył pięścią w grodz. Wyglądał lezaz rzeczywiście jak Rosjanin.

- Hasan to łgarz i zdrajca!

Suza pojęła, że oto ma swą szansę. Pomyślała: Boże, dodaj mi sił. Powiedziała zaś:

- Może zdołamy go powstrzymać...

Rostow popatrzył na nią.

- Jakie ma plany?

- Uprowadzić "Coparellego", zanim dotrze tam Dickstein, potem urządzić zasadzkę na Izraelczyków i płynąć do... nie powiedział mi dokładnie, ale do jakiegoś portu w Afryce Północnej. A na czym polegał pański plan?

- Na staranowaniu statku, kiedy Dickstein dokona już kradzieży uranu...

- Czy nadal możemy to zrobić?

- Nie. Jesteśmy za daleko. Nigdy ich nie dościgniemy.

Suza wiedziała, że jeśli bezbłędnie nie przeprowadzi następnej rozmowy, zarówno ją, jak Dicksteina czeka śmierć. Aby opanować drżenie rąk, skrzyżowała ramiona.

- Pozostaje nam tylko jedno - powiedziała.

Rostow spojrział na nią:

- Czyli?

- Musimy ostrzec Dicksteina o zasadzce fedainów, żeby mógł odbić “Coparellego”.

Stało się. Powiedziała to. Obserwowała twarz Rostowa. Musi to kupić, jest logiczne, to jedyne, co mógłby teraz zrobić! Rostow myślał intensywnie.

- Ostrzec Dicksteina, aby mógł odebrać statek fedainom - powiedział. - Wówczas będzie mógł dalej realizować swój plan, a my - nasz.

- Właśnie! - powiedziała Suza. - To jedyny sposób! Prawda?

OD: Savile Shipping, Zurych

DO: Angeluzzi e Bianco, Genua

W związku z awarią na morzu nie da się określić zwłoki w dostawie waszego ładunku uranu od F.A. Pedlera. Najszybciej jak można powiadomimy o nowym terminie. Papagopulos.

Kiedy w zasięgu wzroku pojawił się “Gil Hamilton”, Piotr Tyrin przyłapał młodego narkomana Ravla, na międzypokładzie “Coparellego”. Działal z pewnością siebie, której wcale nie czuł. Brutalnie chwycił Ravla za sweter. Był masywnym mężczyzną, Ravlo zaś wątłym chłopcem.

- Słuchaj, musisz coś dla mnie zrobić. - powiedział Tyrin.

- Jasne, co tylko zechcesz.

Tyrin zawahał się. Pomysł był ryzykowny. Nie miał jednak wyboru.

- Muszę zostać na pokładzie, kiedy wszyscy przejdziecie na “Gila Hamiltona”. Jak mnie zaczną szukać, powiesz, że widziałeś, jak przechodziłem.

- W porządku, jasne.

- Jeżeli wpadnę i będę musiał przejść na “Hamiltona”, możesz być pewien, że cię sypnę.

- Zrobię, co będę mógł.

- Radzę ci.

Puścił Ravla. Wcale nie czuł się uspokojony: taki ćpun obieca człowiekowi wszystko, a potem pęknie przy byle nacisku.

Do przesiadki wezwano na pokład całą załogę. Morze było zbyt niespokojne, aby "Gil Hamilton" mógł podejść do "Coparellego" burta w burłę, spuszczone więc szalupę. Wszyscy musieli włożyć kamizelki ratunkowe. Oficerowie i załoga stali milcząc w ulewnym deszczu, kiedy ich liczone, po czym pierwszy marynarz zszedł po drabince i skoczył do szalupy. Łódź była za mała, aby pomieścić wszystkich, mieli zejść w dwóch albo trzech grupach, jak sobie uświadomił Tyrin. Kiedy uwaga wszystkich skierowana była na pierwszego, który przekraczał reling, Tyrin szepnął do Ravla:

- Postaraj się zejść na końcu.

- W porządku.

Obaj cofnęli się za tłum na pokładzie. Oficerowie spoglądali przez burłę na szalupę. Ludzie stali czekając, zwróceni twarzami w stronę "Gila Hamiltona".

Tyrin wśliznął się za grodziec. Od szalupy, której plandekę wcześniej poluzował, dzieliły go dwa kroki. Ze śródkręcia, gdzie stali marynarze, widać było tylko dziób łodzi, rufy - nie. Tyrin podsunął się ku rufie, uniósł plandekę, wszedł i zaciągnął ją ponownie. Jeśli teraz mnie odkryją, będzie krewa, pomyślał.

Był dużym mężczyzną, a w kamizelce ratunkowej jeszcze większym. Z niejakim trudem przeczołgał się po dnie łodzi do miejsca, skąd przez remizkę w plandece mógł obserwować pokład. Wszystko zależało teraz od Ravla. Patrzył, jak po drabince schodzi do szalupy druga grupa, po czym usłyszał słowa pierwszego oficera:

- Gdzie radiooperator?

Tyrin poszukał wzrokiem Ravla. Gadaj, do diabła!

- Zszedł z pierwszą grupą, panie pierwszy - odezwał się z wahaniem Ravlo. Porządny chłopak!

- Jesteś pewien?

- Tak jest panie pierwszy. Widziałem.

Oficer skinął głową i wspomniął coś o tym, jak trudno odróżnić jednego z drugim w tym parszywym deszczu. Kapitan przywołał Kocha i stanęli obaj po zawietrznej grodzi, w pobliżu kryjówki Tyrina. Kapitan powiedział:

- W życiu nie słyszałem o Savile Shipping, a pan?

- Nie, panie kapitanie.

- Do czego to podobne - sprzedawać statek w trakcie rejsu i zostawiać łajbę pod opieką mechanika, zdejmując kapitana.

- Tak jest, panie kapitanie. Zdaje mi się, że nowi właściciele nie mają żadnego doświadczenia w sprawach morskich.

- Inaczej nie robiliby takich głupstw. To pewnie jacyś księgowi. - Nastąpiła pauza. - Pan, oczywiście, może odmówić pozostania na statku samotnie, wtedy będę musiał zostać z panem. Później bym pana poparł.

- Obawiam się, że mógłbym stracić licencję.

- Ma pan słuszość. Nie powinienem był tego doradzać. No, to powodzenia.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Miejsca w szalupie zajęła trzecia grupa. Pierwszy oficer stał na najwyższym szczeblu drabinki czekając na kapitana. Ten mrucząc coś jeszcze o księgowych, odwrócił się, przeszedł przez pokład i w ślad za pierwszym oficerem przekroczył reling.

Tyrin skierował uwagę na Kocha, który myślał teraz, że jest jedynym człowiekiem na "Coparellim". Mechanik popatrzył, jak szalupa podpływa do "Gila Hamiltona", i wspinał się na mostek.

Tyrin zaklął głośno. Chciał, żeby Koch zszedł pod pokład, wtedy sam mógłby pójść do składa na dziobie i połączyć się z "Karolinką". Obserwował mostek i co jakiś czas widział za szybą twarz Kocha. Jeśli Koch tam zostanie, będzie musiał czekać do zmroku, nim zdoła nawiązać łączność z Rostowem i złożyć meldunek.

Wyglądało na to, że Koch zamierza przesiedzieć na mostku cały dzień. Tyrin nastawił się na długie czekanie.

Kiedy "Nablus" osiągnął punkt na południu od Ibizy, w którym Hasan spodziewał się spotkać "Coparellego", w zasięgu wzroku nie było ani jednego statku. Krążyli, zataczając coraz szersze koła, a Hasan przez lornetkę obserwował pusty horyzont.

- Popeliłeś błąd - powiedział Mahmud.

- Niekoniecznie - Hasan był zdecydowany nie okazać paniki. - To był po prostu najwcześniejszy termin spotkania. "Coparelli" nie musi płynąć z maksymalną prędkością.

- Dlaczego mieliby się spóźniać?

Hasan wzruszył ramionami, udając mniej zaniepokojonego, niż był.

- Może mają kłopoty z silnikiem. Może mieli gorszą pogodę niż my. Powodów jest mnóstwo.

- Więc co radzisz?

Hasan pojął, że Mahmud również jest bardzo zdenerwowany. Na tym statku nie on sprawował władzę: decyzje podejmował Hasan.

- Ruszamy na południowy zachód, cofając się wzdłuż trasy "Coparellego". Wcześniej czy później musimy się z nim spotkać.

- Wydaj rozkaz kapitanowi - powiedział Mahmud. Zostawił Hasana na mostku i zszedł pod pokład do swoich żołnierzy.

Spalał go irracjonalny gniew i napięcie. Tak samo zresztą, jak zauważył Hasan, jego ludzi. Spodziewali się walki około południa, a teraz muszą czekać, stłoczeni w kubryku i mesie, czyszcząc broń, grając w karty i chełpiąc się dawnymi sukcesami. Opętani żądzą walki wdawali się w niebezpieczne zawody w rzucaniu nożem, by sobie i innym dowieść odwagi. Jeden pokłócił się z dwoma marynarzami o jakąś rzekomą

zniewagę: zanim ich rozdzielono, obydwu poorał szkłem twarze. Teraz załoga trzymała się od fedainów z daleka.

Hasan zastanawiał się, jak by sobie z nimi radził na miejscu Mahmuda. Ostatnio dużo o tym myślał. Dowódcą nadal był Mahmud, ale to on, Hasan, wykonał najważniejszą robotę: wytropił Dicksteina, doniósł o jego zamiarach, wymyślił plan kontrabordażu i ustalił miejsce pobytu "Stromberga". Zaczynał się zastanawiać, jaką zajmie pozycję w ruchu po zakończeniu akcji. Najwyraźniej Mahmud zastanawiał się nad tym samym.

Cóż. Jeśli nawet ma dojść pomiędzy nimi do walki o władzę, teraz ta sprawa musi poczekać. Najpierw trzeba porwać "Coparellego" i zaskoczyć Dicksteina. Na myśl o tym Hasan czuł lekkie mdłości. Łatwo było tym zaprawionym w boju zbirom spod pokładu wmawiać sobie, że się cieszą perspektywą walki, ale Hasan nigdy dotąd nie brał udziału w wojnie i po raz pierwszy spojrzawszy w otwór lufy dopiero w zrujnowanej willi, kiedy wymierzył ją w niego Cortone. Bał się, lecz jeszcze większym strachem napawała go myśl, że się skompromituje okazując strach, że zawróci i ucieknie, że zwymiotuje, jak wtedy w willi. Zarazem jednak czuł podniecenie, bo jeśli zwyciężą... jeśli zwyciężą!

O szesnastej trzydzieści nastąpił fałszywy alarm, gdy dostrzegli zbliżający się statek, ale kiedy Hasan przyjrzał mu się przez lornetkę, oświadczył, że to nie "Coparelli", i kiedy ich mijali, mogli odczytać nazwę na burcie: "Gil Hamilton".

Z nadejściem zmroku Hasan się zaniepokoił. Przy takiej pogodzie dwa statki, nawet z zapalonymi światłami nawigacyjnymi, mogły się minąć nie dostrzeżone w odległości pół mili. Przez całe popołudnie nie było też z "Coparellego" ani jednego sygnału tajnego radionadajnika, choć - wedle meldunku Jakowa - Rostow usiłował wywołać Tyrina. Aby się upewnić, że "Coparelli" nie rozminie się z "Nablusem" nocą, będą musieli trzymać się w pobliżu i zmierzać ku Genui z prędkością "Coparellego", a potem o świcie wznowić poszukiwania. Do tej pory jednak będzie w pobliżu "Stromberg" i fedaini mogą stracić szansę złapania Dicksteina w pułapkę.

Hasan już miał to wyjaśnić Mahmudowi - który przed chwilą wrócił na mostek - gdy w oddali zamigotało pojedyncze światełko.

- Stoi na kotwicy - powiedział kapitan.

- Skąd pan to wie? - zapytał Mahmud.

- To właśnie oznacza pojedyncze białe światło.

- To by wyjaśniało, dlaczego nie pojawił się w pobliżu Ibizy, gdzieśmy go oczekiwali - odezwał się Hasan. - Jeśli to "Coparelli", przygotuj się do abordażu.

- Racja - zgodził się Mahmud i poszedł powiadomić swoich ludzi.

- Wygasić światła nawigacyjne - polecił Hasan kapitanowi. Kiedy "Nablus" zbliżał się do zakotwiczonego statku, zapadła noc.

- Jestem prawie pewien, że to "Coparelli" - oświadczył Hasan.

Kapitan opuścił lornetkę.

- Ma trzy dźwigi i nadbudówkę w części rufowej, za lukami ładunkowymi.

- Ma pan lepszy wzrok niż ja - powiedział Hasan. - To "Coparelli".

Zszedł do mesy, gdzie Mahmud przemawiał do swoich żołnierzy. Spojrzał na Hasana. Ten skinął głową.

- Jest.

Mahmud odwrócił się z powrotem do swoich ludzi.

- Nie spodziewamy się silnego oporu. Załoga składa się ze zwykłych marynarzy i nie ma żadnych powodów, by była uzbrojona. Ruszamy w dwie łodzie, pierwsza atakuje lewą, druga prawą burtę. Na pokładzie nasze pierwsze zadanie to opanować mostek i nie dopuścić, by załoga posłużyła się radiem. Następnie całą załogę spędzamy na pokład. - Przerwał i zwrócił się do Hasana: - Powiedz kapitanowi, żeby podszedł do "Coparellego" jak najbliżej i zastopował maszyny.

Hasan zawrócił. Znów stał się chłopcem na posyłki. Poczul, jak upokorzenie zalewa mu krwią policzki. Mahmud pokazywał, że to on dowodzi.

- Jasif!

Obejrzał się.

- Twoja broń - Mahmud rzucił mu pistolet. Hasan go złapał. To była prawie zabawka, damski pistolecik do noszenia w torebce. Fedaini ryknęli śmiechem.

Hasan pomyślał: też jestem niezły w te klocki. Odszukał coś, co wyglądało na bezpiecznik. Zwolnił. Wymierzył w pokład i nacisnął spust. Huk był bardzo głośny. Celując w deski pokładu opróżnił cały magazynek. Zapadła cisza.

- Chyba zobaczyłem mysz. - powiedział Hasan i odrzucił pistolet Mahmudowi.

Fedaini roześmieli się jeszcze głośniejsze.

Hasan wyszedł. Wrócił na mostek, przekazał kapitanowi polecenie i zeszedł na pokład. Było już bardzo ciemno. Przez jakiś czas "Coparelli" był tylko jednym światełkiem. Potem wyteńczywszy wzrok, na ciemnoszarym tle nocy Hasan rozróżnił czarny masywny kształt.

Fedaini, zachowując teraz ciszę, wyszli z mesy i stanęli na pokładzie razem z załogą. Silniki statku zamarły. Marynarze spuścili łodzie na wodę. Mahmud i fedaini przeleźli przez burtę.

Hasan płynął tą samą łodzią co Mahmud. Szalupa podskakiwała na falach, które z bliska wydawały się ogromne. Podchodzili do burty "Coparellego". Na statku nie było śladu życia. Przecież, pomyślał Hasan, oficer wachtowy musi słyszeć odgłos dwóch zbliżających się silników? Nie zabrzmiał sygnał alarmowy, światła nie zalały pokładu, nikt nie wykrzyknął rozkazu i nie podbiegł do relingu.

Pierwszy po drabince wspiał się Mahmud. Zanim Hasan wszedł na pokład "Coparellego", na prawej burcie zaroilo się od ludzi z drugiej grupy. Rzucili się do włazów i skoczyli na drabinki. Wciąż ani śladu załogi "Coparellego". Hasana tknęło okropne przeczucie, że stało się coś strasznego. Wszedł za Mahmudem na mostek. Było tam już dwóch ludzi.

- Zdążyli użyć radia? - zapytał Hasan.

- Kto? - powiedział Mahmud.

Wrócili na pokład. Ludzie powoli wyłazili z wnętrza statku, skonsternowali, z zimną bronią w rękach.

- "Mary Celeste", statek widmo - stwierdził Mahmud.

Dwóch ludzi podeszło przez pokład, prowadząc między sobą wystraszonego marynarza.

- Co tu się stało? - zapytał Hasan po angielsku. Marynarz odpowiedział w jakimś innym języku. Hasanowi przyszła nagle do głowy zatrważająca myśl.

- Sprawdźmy ładownię - powiedział do Mahmuda.

Znaleźli zejściówkę, którą dotarli do ładowni. Hasan odszukał kontakt i włączył światło. Ładownię wypełniały szczelnie zalutowane i zablokowane drewnianymi klinami wielkie blaszane beki. Na każdej z nich widniało namalowane szablonem słowo "Plumbat".

- To jest to - powiedział Hasan. - Uran.

Popatrzyli na beczki, a potem na siebie. Na chwilę zapomnieli o rywalizacji.

- Udało się - powiedział Hasan. - Na Boga, udało się.

Z zapadnięciem zmroku Tyrin zobaczył, że mechanik idzie na dziób, żeby włączyć białe światło. W drodze powrotnej minął mostek i zszedł do pentry - zamierzał coś zjeść. Tyrin też był głodny. Dałby sobie uciąć rękę za talerz solonego śledzia i bochenek razowca. Kiedy skulony w szalupie przez całe popołudnie czekał na ruch Kocha, myślał tylko o tym, że jest głodny i zadręczał się wizjami kawioru, wędzonego łososia, grzybków marynowanych i - przede wszystkim - razowca.

Jeszcze nie, Piotrze, powiedział sobie.

Ledwie Koch zniknął mu z oczu, Tyrin wygramolił się z szalupy i przewyciężając opór zeszywniałych mięśni pognął do składziku na dziobie. Poprzestawiał pudła i rupiecie w głównym magazynku, tak aby zasłaniały wejście do jego małej kabiny radiowej. Teraz musiał posuwać się na czworakach, odsunąć jedno z pudeł i przez wąski tunel wpełznąć do środka. Aparat powtarzał krótki dwuliterowy sygnał. Tyrin sprawdził w książce szyfrów: przed potwierdzeniem odbioru musi przejść na inną częstotliwość. Włączył nadawanie i postąpił według instrukcji.

Odpowiedź Rostowa przyszła natychmiast: Zmiana planu. Hasan zaatakuje Coparellego.

Tyrin z niedowierzaniem zmarszczył czoło. Nadał: Proszę powtórzyć.

Hasan zdrajca. Fedaini zaatakują Coparellego.

Tyrin powiedział głośno:

- Jezu, co się dzieje: "Coparelli" jest na miejscu, on na nim... Dlaczego Hasan miałby... dla uranu, rzecz jasna.

Rostow nadawał dalej: Hasan zamierza pochwycić Dicksteina w pułapkę. Musimy o tym uprzedzić Dicksteina, aby zrealizować nasz plan.

Rozszyfrowując tę informację, Tyrin zmarszczył brwi. Potem zrozumienie rozjaśniło mu twarz.

- Potem wrócimy wyrównać rachunki - mruknął pod nosem. - Sprytnie. Ale co ja mam robić?

Nadał: Jak?

Wywołasz Stromberga na zwykłej częstotliwości Coparellego i nadasz słowo w słowo, powtarzam: słowo w słowo, dyktuję: Coparelli do Stromberga. Opanowano statek, przypuszczalnie Arabowie, uważajcie. Koniec.

Tyrin skinął głową. Dickstein pomyśli, że Koch zdążył nadać kilka słów, zanim Arabowie go wykończyli. Ostrzeżony, Dickstein zdoła przejąć "Coparellego". Potem zgodnie z planem "Karolinka" staranuje statek Dicksteina. Ale co ze mną? - pomyślał Tyrin.

Nadał: Zrozumiałem. Usłyszał dalekie stuknięcie, jak gdyby coś uderzyło w burtę statku. Zrazu to zignorował, ale po chwili przypomniał sobie, że na pokładzie prócz niego jest tylko Koch. Dotarł do drzwi głównego składziku i wyjrzał.

Fedaini.

Zamknął drzwi i pośpieszył z powrotem do aparatu. Nadał: Hasan już tu jest.

Rostow odpowiedział: Natychmiast powiadom Dicksteina.

Co mam robić potem?

Ukryj się.

Serdeczne dzięki, pomyślał Tyrin. Nadał potwierdzenie odbioru i przestroił nadajnik, żeby wywołać "Stromberga". Przez głowę przemknęła mu złowieszcza myśl, że może już nigdy nie posmakuje solonego śledzika.

- Słyszałem wprawdzie, że jesteśmy uzbrojeni po zęby - powiedział Nat Dickstein - ale to jest po prostu groteskowe.

Wszyscy się roześmieli.

Wiadomość z "Coparellego" odmieniła nastrój Dicksteina. Najpierw był zaskoczony. Jakim cudem przeciwnikom udało się na tyle poznać jego plany, że przed nim zdołali opanować statek? Musiał się co do kogoś strasznie pomylić. Suza...? W tej chwili samobiczowanie nie miało jednak sensu. Czekala ich walka. Jego ponury nastrój rozwił się jak dym. Napięcie jednak zostało, tkwiło w nim jak stalowa sprężyna, tylko że teraz mógł je wykorzystać jako siłę napędową, mogło się na coś przydać.

Dwunastka mężczyzn w mesie "Stromberga" wyczula w Dicksteinie zmianę i zaraziła się jego żądzą walki, choć wiedzieli, że niejeden wkrótce zginie.

Byli istotnie uzbrojeni po zęby. Każdy miał dziewięćmilimetrowy automat Uzi - niezawodną, poręczną broń, ważącą wraz z załadowanym dwudziestoma pięcioma pociskami magazynkiem zaledwie dziewięć funtów i mierzącą, przy rozłożonej szkieletowej kolbie, dwie stopy i cal długości. Każdy miał trzy zapasowe magazynki. U boku przy pasie każdego tkwił w kaburze pistolet Luger kaliber 9 mm - nadawała się do niego amunicja z Uzi - przy drugim zaś boku - wiązka czterech granatów. Niemal na pewno każdy miał oprócz tego ekstra uzbrojenie, oręż własnego wyboru: noże, pojemniki z gazem, bagnety, kastety, a także broń bardziej egzotyczną, raczej jako talizman niż narzędzie walki.

Dickstein rozumiał, co czują, wiedział, że to on ich zaraził swoim nastrojem. Przeżywał już to z ludźmi przed walką. Bali się, lecz - co paradoksalne - właśnie ze strachu rwali się, by zacząć, bo najgorsze było czekanie. Sama walka była jak narkoza - po niej albo człowiek żył, albo leżał martwy i wszystko było mu już obojętne.

Dickstein szczegółowo opracował plan i zapoznał z nim swoich ludzi. "Coparelli" był zbudowany jak miniaturowy tankowiec - ładownie na dziobie i

śródkręciu, główna nadbudówka na pokładzie rufowym, pomocnicza zaś na samej rufie. W głównej nadbudówce mieścił się mostek, kabiny oficerów i mesa; pod pokładem były pomieszczenia załogi. W nadbudówce pomocniczej mieściła się pentra, niżej - składy, a pod nimi - maszynownia. Nadbudówki, stojące osobno, pod pokładem połączone były schodniami.

Mieli atakować w trzech grupach. Grupa Abasa uderzy od dziobu. Dwie pozostałe - pod dowództwem Badera i Gibliego - od rufy; jedna wejdzie na pokład po drabince z lewej, druga zaś z prawej burty. Obie grupy rufowe miały się posuwać pod pokładem, wypierając nieprzyjaciela na śródkręcie, pod ogień Abasa i jego ludzi idących od dziobu. Taka strategia mogła umożliwić stworzenie gniazda oporu na mostku, mostek zatem Dickstein wziął na siebie. Atak powinien nastąpić nocą - za dnia przy próbie abordażu zostaliby wystrzelani jak kaczki. Pozostawał problem odróżnienia nieprzyjaciół od swoich: miał go rozwiązać z jednej strony sygnał rozpoznawczy, hasło "Alija", z drugiej zaś przyjęta strategia zakładająca, że naprzeciwko siebie staną dopiero pod koniec akcji.

Teraz czekali. Siedzieli luźnym kręgiem w mesie "Stromberga" - takiej samej jak mesa na "Coparellim", gdzie niebawem będą walczyć i umierać. Dickstein mówił do Abasa:

- Z dziobu panujesz nad pokładem przednim i masz wolne pole ostrzału. Rozmieść ludzi w ukryciu i nie ruszajcie się na krok. Zdejmujcie tych nieprzyjaciół, którzy zdradzą swoje pozycje. Wasz główny problem to intensywny ostrzał z mostka.

- No i nie strzelamy pierwsi - skinął głową. Rozwalony w krześle Abas bardziej niż kiedykolwiek przypominał czołg. Dickstein był rad, że ma Abasa po swojej stronie.

- Tak. Macie sporą szansę wejść na pokład niepostrzeżenie. Nie ma sensu strzelać, póki się nie upewnicie, że weszliśmy wszyscy.

Abas przytaknął.

- Widzę, że mam u siebie Porusza. Wiesz, że to mój szwagier?

- Tak. I wiem, że to nasz jedyny żonaty facet. Pomyślałem, że może zechcesz go mieć na oku.

- Dzięki.

Chudy nowojorczyk Feinberg podniósł wzrok znad czyszczonego noża, teraz już się nie uśmiechał.

- Co sądzisz o tych Arabach?

Dickstein pokręcił głową:

- Regularne wojsko albo fedaini.

- Miejmy nadzieję, że to regularni... - Wyszczrzył zęby Feinberg. - Pokażemy im język, a oni się poddadzą.

Dowcip był lichej, ale wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wieczny pesymista Isz, który siedział z nogami na stole i zamkniętymi oczami, zauważył:

- Najgorsze będzie przejście przez reling. Będziemy jak na patelni.

- Pamiętajcie - rzekł Dickstein - oni myślą, że jesteśmy przekonani, iż statek jest opuszczony. Zasadzka ma nas zupełnie zaskoczyć. Liczą na łatwe zwycięstwo... ale my jesteśmy przygotowani. No i będzie ciemno...

Otworzyły się drzwi i wszedł kapitan:

- Dostrzegliśmy "Coparellego".

Dickstein wstał.

- Idziemy. Powodzenia i nie brać jeńców.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Trzy łodzie odbiły od "Stromberga" na parę minut przed świtem. W ciągu kilku sekund statek rozpląnął się w mroku. Światła nawigacyjne się nie paliły, wygaszono światła pokładowe, a nawet lampy w kabinach poniżej linii zanurzenia, by mieć pewność, że nie przedostanie się najmniejszy błysk, który ostrzegłby "Coparellego".

W nocy pogoda się pogorszyła. Kapitan "Stromberga" utrzymywał wprawdzie, że nie zasługuje to jeszcze na miano sztormu, ale siekł ulewny deszcz, wiatr był tak

silny, że z klekotem przetaczał po pokładzie blaszane wiadro, a fale tak wysokie, że siedząc już w motorówce Dickstein musiał kurczowo trzymać się ławki.

Przez chwilę trwali w próżni - przed sobą ani za sobą nie widzieli nic. Dickstein nie widział nawet twarzy czterech płynących z nim mężczyzn. Milczenie przerwał Feinberg:

- Wciąż twierdzą, że ten wypadek na ryby powinniśmy byli przełożyć na jutro.

Rychło w czas.

Dickstein był równie przesądny jak pozostali: pod sztormiakiem i kamizelką ratunkową miał starą ojcowską kamizelkę w paski, a w niej, w kieszonce na piersi, zgnieciony zegarek z dewizką. Ten zegarek zatrzymał kiedyś niemiecką kulę.

Dickstein myślał logicznie, czuł jednak, że powoli ogrania go szaleństwo. Romans z Suzą, jej zdrada potężnie nim wstrząsnęły: dawne zasady i motywacje odrzucił na rzecz nowych, zdobytych przy niej, które teraz rozsypały się w proch na jego oczach. Ale nie wszystko było mu obojętne: chciał wygrać tę bitwę, chciał zdobyć uran dla Izraela, chciał wreszcie zabić Jasifa Hasana. Nie obchodziło go tylko to, co stanie się z nim samym. Nagle przestał się bać pocisków, bólu i śmierci. Suza go zdradziła i nie pragnął wcale żyć z taką zadrą w sercu. Jeśli Izrael będzie miał bombę, Ester umrze w pokoju, Motie skończy Wyspę Skarbów, a Jigaela zajmie się winnicą.

Mocno zacisnął palce na lufie automatu pod sztormiakiem.

Wspięli się na grzbiet fali i nagle, gdy byli już w następnej dolinie, ukazał się "Coparelli". Manewrując silnikiem Levi Abas doprowadził łódź pod dziób "Coparellego". Biała latarnia na górze rzucała dosyć światła, a rozłożyste burty zasłaniały łódź przed wzrokiem ludzi na mostku czy pokładzie. Kiedy szalupa znalazła się obok drabinki, Abas sięgnął po linę i obwiązał się nią pod sztormiakiem. Po krótkim wahaniu zdjął sztormiak, a broń zawiesił na szyi. Stojąc jedną nogą na dnie łodzi, a drugą na burcie, doczekał się właściwego momentu i skoczył. Trafił na szczeble drabinki obiema stopami i dłońmi. Odwiązał linkę od pasa i przymocował ją do szczebla. Potem wspiął się na prawie samą górę i tam się zatrzymał. Przez reling powinni przeskakiwać w możliwie najmniejszych odstępach.

Spojrzał w dół. Szaret i Sapir pięli się już po drabince. Kiedy się oglądał, skoczył Porusz, ale źle wycelował, nie chwycił drabinki i Abasowi na chwilę zapało

oddech. Porusz jednak obsunął się tylko o jeden szczebel, udało mu się przerzucić rękę przez linę drabinki i zapobiec upadkowi.

Abas zaczekał, aż Porusz znajdzie się pod Sapirem i wtedy przeskoczył przez reling. Wylądował miękko na czworakach i przycupnął tuż za krawędzią nadburcia. Inni szybko podążyli za nim: jeden, drugi, trzeci. Białe światło płonęło wprost nad nimi, byli bardzo widoczni.

Abas rozejrzał się dokoła. Szaret był najniższy z jego grupy i potrafił pełzać jak wąż. Abas dotknął jego ramienia i wskazał pokład.

- Kryj się przy lewej burcie.

Szaret przeczołgał się przez dwumetrowy pas otwartego pokładu i częściowo teraz osłaniany wystającą pokrywą luku ładowni cał po cał sunął przed siebie.

Abas omiótł spojrzeniem całą długość pokładu. Mogą zostać wykryci lada chwila: dowiedzą się o tym dopiero, gdy przesyje ich salwa. Szybko, szybko! Na samym dziobie, obok windy kotwicznej piętrzył się zwój luźnego łańcucha.

- Sapir - Abas wskazał ręką i Sapir popęzł w tym kierunku.

- Mnie się podoba dźwig - powiedział Porusz.

Abas spojrział w górę na dźwig pokładowy, dominujący nad całą dziobową partią statku. Kabina operatora wisiała jakieś dziesięć stóp nad poziomem pokładu. Byłoby to stanowisko niebezpieczne, ale dogodne w sensie taktycznym.

- Idź - powiedział.

Porusz poczołgał się za Szaretem. Patrząc za nim Abas pomyślał: Ma grube dupsko... siostra za dobrze go karmi. Porusz dotarł do podstawy dźwigu i wszedł na drabinkę. Abas wstrzymał oddech - jeśli teraz, kiedy Porusz jest na drabinie, któryś z wrogów spojrzy w tę stronę... Porusz był już w kabinie.

Za plecami Abasa, na dziobie, niewielka budka osłaniała zejściówkę - kilka stopni prowadziło na dół do drzwi. Miejsce za małe, żeby je nazwać pokładem dziobowym, a sama budka niemal na pewno bez odpowiedniego wyposażenia, po prostu magazynek dziobowy. Abas podczołgał się do niej, przycupnął u podnóża

schodów i ostrożnie uchylił drzwi. W środku było ciemno. Zamknął drzwi i odwrócił się do nich plecami, opierając broń o najwyższy stopień, uspokojony, że jest sam.

Na rufie panowały ciemności i łódź Dicksteina musiała podejść bardzo blisko do prawej burty "Coparellego". Gibli, dowódca grupy, miał kłopoty z utrzymaniem szalupy w miejscu. Dickstein znalazł w łodzi bosak i przytrzymał się przyciągając do "Coparellego", gdy morze próbowało ich rozdzielić, lub odpychając, gdy groziło zderzenie boczne.

Gibli, dawny wojskowy, upierał się przy starej izraelskiej tradycji, że oficerowie prowadzą swoich ludzi do boju, a nie dowodzą nimi zza pleców: chciał iść pierwszy. Zawsze nosił kapelusz, żeby ukryć powiększającą się łysinę, teraz był w berecie. Kucnął na burcie łodzi, kiedy zjeżdżała z grzbietu fali; potem, gdy znalazła się w bruździe i zbliżyła do statku - skoczył. Trafił szczęśliwie i natychmiast ruszył w górę. Przyszła kolej Feinberga.

- Jak to jest... liczę do trzech, a potem otwieram spadochron? - powiedział i skoczył.

Następny skoczył Katzen, potem Raoul Dovrat. Dickstein rzucił bosak i skoczył za nimi. Na drabince odchylił się do tyłu i przez ulewny deszcz zobaczył, że Gibli jest już na górze... podnosi nogę i przerzuca się przez reling.

Dickstein odwrócił się przez ramię i dojrzał daleko na niebie jaśniejszą szarą smugę - pierwszą oznakę świtu. Potem nagle rozległo się krótkie kasznięcie pistoletu maszynowego i krzyk. Dickstein znów spojrział w górę i zobaczył, jak Gibli powoli odrywa się od szczytu drabinki. Beret spadł mu z głowy i porwany przez wiatr zniknął w ciemnościach. Gibli przeleciał obok Dicksteina i runął do morza.

- Naprzód, naprzód, naprzód! - wrzasnął Dickstein.

Feinberg przeleciał nad relingiem. Dickstein wiedział, że upadłszy na pokład odcoczy się na bok, a potem... tak, odezwała się jego broń osłaniająca ogniem pozostałych... Kiedy skoczył Katzen, terkotało już cztery, pięć, wiele karabinków. Dickstein szybko podciągnął się po drabince, wyszarpnął zębami zawleczkę granatu, cisnął go za reling jakieś trzydzieści metrów dalej, żeby spowodować zamieszanie, ale nie zranić żadnego z ludzi, którzy się już wdarli na pokład. Teraz nadburcie przesadził

Dovrat i Dickstein widział, jak toczy się po pokładzie, zrywa na nogi i daje susa pod osłonę nadbudówek rufowych.

- Jestem, skurwysyny! - ryknął Dickstein; przeleciał nad relingiem przewrotną jak skoczek nad poprzeczką, wylądował na dłoniach i kolanach, skulił się pod serią ognia osłaniającego i przeskoczył na rufę.

- Gdzie oni są?! - wrzasnął.

Feinberg przerwał ogień, żeby ma odpowiedzieć.

- W pentrze - powiedział, wskazując kciukiem nadbudówkę za nimi - w szalupach i drzwiach na śródkręciu.

- Dobra. - Dickstein wstał. - Utrzymujemy te pozycje, póki grupa Badera nie wejdzie na pokład. Ruszacie, jak usłyszycie jej ogień. Dovrat i Katzen, uderzacie na drzwi pentry i schodzicie w dół. Feinberg, ty ich osłaniasz, potem przebijas się do dziobu po tej stronie pokładu. Ja startuję do pierwszej szalupy. Na razie trzeba czymś odwrócić ich uwagę od lewej burty i grupy Badera. Walcie, gdzie popadnie.

Kiedy wybuchła strzelanina, Mahmud i Hasan przesłuchiwali marynarza. Byli w kabinie nawigacyjnej między mostkiem a rufą. Marynarz mówił tylko po niemiecku, ale Hasan znał niemiecki. Według jego wersji "Coparelli" miał awarię, załogę ewakuowano, on zaś miał czekać na dostarczenie części zamiennej. Nic nie wiedział o uranie, uprowadzeniu czy Dicksteinie. Hasan mu nie wierzył, gdyż - jak zapewniał Mahmuda - jeżeli Dickstein mógł zaaranżować awarię statku, na pewno mógł też zadbać, by na pokładzie został któryś z jego ludzi. Przywiązali marynarza do krzesła i Mahmud obcinał mu nożem jeden palec po drugim, chcąc go zmusić, żeby zmienił swoją śpiewkę.

Usłyszeli krótką serię, po której zapadła cisza, potem drugą serię, a po niej gęsty ogień z broni ręcznej. Mahmud schował nóż do pochwy i zszedł po schodach prowadzących z nawigacyjnej do kabin oficerskich.

Hasan próbował ocenić sytuację. Fedaini zgrupowali się w trzech miejscach - w szalupach, pentrze i głównej nadbudówce. Ze swego stanowiska Hasan widział lewą i prawą stronę pokładu; gdyby przeszedł z nawigacyjnej na mostek, widziałby również

pokład dziobowy. Wyglądało na to, że większość Izraelczyków dokonała abordażu w części rufowej. Fedaini - ci pod Hasanem i ci przy szalupach po obu burtach - ostrzeliwali właśnie rufę. Pentra milczała, co oznaczało, że została opanowana przez Izraelczyków. Musieli zejść pod pokład, ale zostawili na górze dwóch ludzi jako straż tylną.

Zasadzka Mahmuda zakończyła się więc fiaskiem. Izraelczycy mieli zostać wykoszeni już podczas wchodzenia na pokład. W rzeczywistości zdołali się ukryć i teraz obie strony miały równe szanse.

Walka na pokładzie utkwiała w martwym punkcie - obie strony ostrzeliwały się spod dobrej osłony. Taki właśnie, wywnioskował Hasan, był zamysł Izraelczyków: chcieli związać przeciwnika na pokładzie, jednocześnie zyskując teren poniżej. Po przebiciu się przez całą długość śródokręcia zaatakują od dołu główną nadbudówkę - twierdzę fedainów.

Gdzie jest lepsze miejsce? Tu właśnie, gdzie jestem, uznał Hasan. Aby do niego dotrzeć, Izraelczycy musieliby się przebić przez śródokręcie na górę do pomieszczeń oficerskich i jeszcze wyżej na mostek i do nawigacyjnej. Była to pozycja trudna do zdobycia.

Na mostku rozległa się potężna eksplozja. Ciężkie drzwi, oddzielające mostek od nawigacyjnej, zadygotały, wypadły z zawiasów i powoli runęły do środka. Hasan wyjrzał przez otwór. Na mostek spadł granat. Ciała trzech fedainów leżały rozciągnięte przy grodziach. Nie została się ani jedna szyba. Granat musiał wpaść z części dziobowej statku, co oznaczało, że na dziobie jest inna grupa Izraelczyków. Jakby na potwierdzenie jego domysłów, odezwała się krótka seria z dźwigu dziobowego.

Hasan podniósł z podłogi automat, oparł go o framugę okna i zaczął się ostrzeliwać.

Lewi Abas obserwował, jak granat Porusza szybuje w powietrzu, wpada na mostek i eksplodując wymiata resztki szyb. Strzały z tego kierunku na chwilę ucichły, ale zaraz odezwał się inny automat. Przez chwilę Abas nie mógł się zorientować, do czego mierzy ten nowy, bo ani jedna kula nie wylądowała w pobliżu. Rozejrzał się na

obie strony. Sapir i Szaret ostrzelowali mostek, ale ten ogień nie kierował się na żadnego z nich. Abas spojrzął na dźwig. Porusz... celem ostrzału był Porusz. Z kabiny dźwigu rozległa się seria: Porusz odpowiadał ogniem.

Strzelanina z mostka była amatorska, chaotyczna i niecelna - facet walił po prostu gdzie popadło. Lecz miał doskonałą pozycję. Siedział wysoko, osłaniany ścianami mostka. Trafi kogoś prędzej czy później. Abas cisnął granat... rzut okazał się za krótki. Tylko Porusz był na tyle blisko, by dorzucić granat na mostek, zużył jednak wszystkie swoje granaty, nim czwarty, ostatni, sięgnął celu.

Abas znowu strzelił, po czym spojrzął na kabinę dźwigu. Właśnie wtedy zobaczył, jak Porusz tyłem wypada z kabiny, koziółkuje w powietrzu i bezwładnie spada na pokład.

Abas pomyślał: I co ja powiem siostrze?

Strzelec z mostka przerwał ogień, a potem wznowił serią wymierzoną w Szareta. W przeciwieństwie do Abasa i Sapira, Szaret miał lichą osłonę, stał wciśnięty pomiędzy kabestan a reling. Abas i Sapir walili w mostek. Niewidoczny snajper poprawiał się: z sekundy na sekundę: jego kule równym ścięciem przeszły pokład w kierunku kabestanu Szareta. Potem Szaret wrzasnął, skoczył w bok i szarpnął się jak człowiek rażony prądem, gdy kolejne pociski głucho wbiły mu się w ciało, a wreszcie legł nieruchomo i krzyk się urwał.

Sytuacja była niedobra. Grupa Abasa miała panować nad pokładem dziobowym, ale w tej chwili dyktował tu warunki strzelec z mostka. Abas musiał go wyeliminować. Cisnął następny granat, który upadł i eksplodował tuż przed mostkiem: błysk mógł oślepić strzelca na sekundę lub dwie. Kiedy rozległ się huk, Abas już był na nogach i gnał ku dźwigowi, osłaniany ogniem przez Sapira. Dopadł do stóp drabinki i zaczął strzelać, zanim facet z mostka go dostrzegł. Potem pociski zadzwoniły o dźwigary wokół niego. Pokonanie każdego stopnia zdawało się trwać wieki. Jakaś oszalała część jego duszy zaczęła liczyć stopnie: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć...

Dostał rykoszetem. Kula weszła w udo poniżej kości biodrowej. Szok sparaliżował wszystkie mięśnie dolnej połowy ciała. Stopy osunęły mu się z drabinki. Czując, że nogi ma bezwładne, Abas na chwilę wpadł w panikę. Instynktownie

usiłował chwycić dłońmi któryś ze szczebli, ale chybił i spadł. Lecąc w dół obrócił się niefortunnie, padając na pokład skręcił kark i umarł.

Drzwi składziku dziobowego odrobinę się uchyliły i wyjrzała z nich rosyjska twarz o okrągłych ze strachu oczach. Cofnęła się, zanim ktokolwiek ją dostrzegł. Drzwi się zamknęły.

Kiedy Katzen i Dovrat szturmowali pentrę, Dickstein skorzystał z osłony ogniowej Feinberga i ruszył do przodu. Przebiegł, zgięty we dwoje, obok miejsca, gdzie weszli na pokład, i obok drzwi pentry, po czym rzucił się za pierwszą, obrzuconą już granatami szalupę. Stąd, w słabym jeszcze, ale coraz lepszym świetle widział zarys nadbudówki śródkręcia, przypominającej kształtem trzy wznoszące się stopnie. Na poziomie pokładu głównego znajdowała się mesa oficerska, salon, izba chorych i kabina pasażerska, wykorzystywana jako suchy składzik. Wyżej były kajuty oficerskie, toalety i kabina kapitańska, na pokładzie górnym zaś - mostek z przyległą kabiną nawigacyjną i radiową.

Większość przeciwników będzie teraz na poziomie pokładu głównego, w mesie i salonie. Może ich ominąć wspinając się po drabince wzdłuż komina do galeryjki otaczającej drugi pokład. Ale jedyna droga na mostek prowadziła przez pomieszczenia drugiego pokładu. Będzie musiał o własnych siłach wyeliminować wszystkich żołnierzy, jakich spotka w kabinach.

Spojrzał za siebie. Feinberg cofnął się za pentrę, pewno by załadować broń. Poczekał, aż Feinberg znów zaczął strzelać, a wtedy zerwał się na nogi. Wałąc na oślep z biodra, wyskoczył zza szalupy i pognął przez pokład rufowy do drabinki. Z rozbiegu dał susa na czwarty szczebel i słysząc grzechot kuł o komin, świadom, że w tej chwili stanowi łatwy cel, piął się wściekle pod górę, wreszcie wszedł na górny pokład, przesadził galeryjkę i rozdygotany z wysiłku padł pod drzwiami do kajut oficerskich.

- Możecie mi skoczyć - mruknął.

Załadował broń. Oparł się plecami o drzwi i jął się z wolna prostować, dopóki bulaj w drzwiach nie znalazł się na wysokości jego twarzy. Zaryzykował rzut oka. Ujrzał korytarz z trójgiem drzwi po każdej stronie, a w głębi schodki wiodące w dół do mesy i w górę - do kabiny nawigacyjnej. Wiedział, że na mostek można się dostać albo

jedną z dwóch schodni zewnętrznych, biegnących z pokładu głównego, albo też tędy - przez nawigacyjną. Arabowie jednak wciąż panowali nad tą częścią pokładu i mogli kryć ogniem schodki zewnętrzne, zostawała więc tylko ta droga na mostek.

Otworzył drzwi i wszedł. Podkradł się korytarzem do pierwszej kabiny, otworzył drzwi i wrzucił granat. Zobaczył, że jeden z fedainów zaczyna się odwracać i zatrzasnął drzwi. Granat eksplodował w maleńkim pomieszczeniu. Dickstein podbiegł do następnych drzwi po tej stronie, otworzył je i wrzucił drugi granat. Tu granat wybuchł w pustce.

Przed nim po tej stronie były jeszcze jedne drzwi, ale nie miał więcej granatów. Podbiegł do drzwi, otworzył je i strzelając wpadł do środka. Był tam jeden człowiek. Strzelał przez bulaj, ale właśnie próbował cofnąć lufę. Seria Dicksteina przecięła go na pół.

Dickstein odwrócił się i stanął przed otwartymi drzwiami, czekając. Kiedy drzwi kabiny po drugiej stronie korytarza rozwarły się na oścież, zastrzelił człowieka, który stał za nimi.

Wyskoczył na korytarz, strzelając na oślep. Musiał się zająć dwiema pozostałymi kabinami. Drzwi bliższej otworzyły się, kiedy puszczał w nie serię, i na korytarz runęło czyjeś ciało.

Ostatnia kabina. Dickstein czekał. Drzwi uchyliły się i ponownie zamknęły. Dickstein podbiegł korytarzem, wywalił je kopnięciem i ostrzelał kajutę. Nikt nie odpowiedział mu ogniem. Wszedł do środka: na koi leżał trafiony rykoszetem, zakrwawiony Arab.

Dicksteina ogarnęło szaleńcze uniesienie: sam jeden zdobył cały pokład!

Teraz kolej na mostek. Pobiegł korytarzem. Schodnia w głębi prowadziła w górę do nawigacyjnej, a w dół do mesy oficerskiej. Postawił stopę na schodku, spojrział w górę, odskoczył i rzucił się na podłogę korytarza w chwili, gdy wycelowana w niego lufa plunęła ogniem.

Nie miał już granatów. Z automatem był bez szans wobec człowieka w nawigacyjnej. Tamten mógł z ukrycia strzelać w dół prawie na oślep. Dickstein musiał wejść na schodki, by się dostać na górę.

Wszedł do jednej z kabin dziobowych, żeby spojrzeć na pokład i ocenić sytuację. Ogarnęła go zgroza, gdy zobaczył, co się stało na dziobie: leżały tam trzy ciała i tylko jeden z czterech ludzi Abasa jeszcze strzelał. Dwa albo trzy automaty strzelały z mostka do pozostałego przy życiu Izraelczyka, trzymając go za zwojem łańcucha kotwicznego. Dickstein spojrział w bok. Feinberg tkwił nadal w części rufowej - nie zdołał posunąć się do przodu. I w dalszym ciągu nie było śladu po tych, którzy zeszli pod pokład.

Fedaini dobrze się obwarowali w mesie na dole. Mogli z tej korzystnej pozycji trzymać w szachu zarówno ludzi na pokładzie, jak i na międzypokładzie pod sobą. Jedyнным sposobem zdobycia mesy byłby jednoczesny atak ze wszystkich stron - także z góry. Ale w tym celu trzeba by wcześniej zdobyć mostek. A mostek był nie do zdobycia.

Dickstein przebiegł z powrotem korytarz i wyszedł przez drzwi rufowe. Wciąż lało, lecz na niebie widniała wyraźna jasna smuga. Dostrzegł Feinberga przy jednej burcie, a Dovrata przy drugiej. Tak długo wołał obu po nazwisku, aż zwrócił ich uwagę, a potem wskazał im pentrę. Zeskoczył z galeryjki na pokład rufowy, przeciął go pędem i dał nura do wnętrza.

Zrozumieli jego intencje. Za chwilę poszli jego śladem.

- Musimy zdobyć mesę - powiedział Dickstein.

- Nie widzę sposobu - odparł Feinberg.

- Zamknij się i słuchaj. Zaatakujemy ich ze wszystkich stron naraz - z lewej i prawej burty, z góry i z dołu. Najpierw musimy wziąć mostek. Ja się tym zajmę. Jak już tam będę, dam sygnał syreną przeciwmgłową. Zejdźcie pod pokład i powiedzcie tamtym.

- Jak się dostaniesz na mostek? - zapytał Feinberg.

- Przez dach - odrzekł Dickstein.

Na mostku do Jasifa Hasana dołączył Mahmud i jeszcze dwóch fedainów, którzy zajęli pozycje strzeleckie, kiedy przywódcy zasiedli na podłodze, by się naradzić.

- Nie mogą wygrać - stwierdził Mahmud. - Panujemy stąd nad zbyt wielką częścią pokładu. Nie mogą zaatakować mesy od dołu, bo trzymamy w szachu schodnię. Nie mogą uderzyć z boków ani z przodu, bo wystrzelamy ich stąd jak kaczki. Nie mogą zaatakować z góry, bo mamy w garści zejściówkę. Będziemy strzelać tak długo, aż się poddadzą.

- Jeden próbował wziąć zejściówkę kilka minut temu. Zatrzymałem go - powiedział Hasan.

- Byłeś tam na górze sam?

- Tak.

Mahmud położył dłonie na ramionach Hasana.

- Jesteś teraz jednym z fedainów - powiedział.

Hasan wyraził myśl, która dręczyła ich obu:

- A potem?

- Równorzędni partnerzy - skinął głową Mahmud.

Podali sobie dłonie. Hasan powtórzył:

- Równorzędni partnerzy.

- Teraz, jak sądzę - powiedział Mahmud - spróbują znowu tej zejściówki... to ich jedyna szansa.

- Będę ją osłaniał z nawigacyjnej - odrzekł Hasan.

Podnieśli się z podłogi; nagle wystrzelona z dziobu zbłąkana kula świsnęła przez pozbawione szyb okno i wbiła się w mózg Mahmuda. Skonał natychmiast. Przywódcą fedainów został Hasan.

Na brzuchu, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, by się jak najbardziej spłaszczyć, Dickstein posuwał się po dachu. Dach był pochyły i pozbawiony punktów zaczepienia, a do tego śliski od deszczu. Kiedy "Coparelli" kołysał się i skakał na fali,

dach przechylał się do przodu, do tyłu i na boki. Dicksteinowi pozostawało tylko przywrzeć do blachy i starać się zmniejszyć poślizg.

Na skraju dachu od strony dziobu umieszczone było światło nawigacyjne. Kiedy dotrze do niego, będzie bezpieczny, przytrzyma się latarni. Posuwał się koszmarnie powoli. Był o ćwierć metra od światła, gdy odsunął go przechył statku na lewą burtę. Przechył był głęboki i zepchnął go na sam skraj dachu. Przez chwilę zawisł uczepony jedną ręką i nogą nad pięciometrową przepaścią. Przechył pogłębił się jeszcze trochę, noga straciła resztkę oparcia i Dickstein usiłował wbić paznokcie prawej dłoni w malowany metal dachu.

Chwila wyczekiwania i lęku. "Coparelli" odchylił się z powrotem. Dickstein poddał się rozkołysaniu na fali, zsuwając się coraz szybciej ku światłu nawigacyjnemu.

Ale statek wspiął się, dach pochylił się do tyłu i Dickstein zjechał długim łukiem, mijając się ze światłem o metr. Jeszcze raz przywarł rękami i nogami do metalu, próbując wyhamować, jeszcze raz znalazł się na krawędzi i zawisł nad przepaścią. Tym razem prawą ręką i prawą nogą. Automat zsunął mu się z ramienia i spadł do szalupy.

Teraz statek położył się na lewą burtę i na dziób: Dickstein zjeżdżał coraz szybciej ku latarni. Tym razem dojechał. Uchwycił się jej oburącz. Latarnię od przedniego skraju dachu dzieliło jakieś ćwierć metra. Tuż poniżej było główne okno mostku z dawno wybitą szybą; z okna sterczały dwie lufy.

Dickstein trzymał się latarni, ale nie mógł wyhamować poślizgu. Jego ciało zjeżdżało szerokim łukiem ku krawędzi dachu. Zauważył, że z przodu - inaczej niż po bokach - biegnie wąska stalowa rynna, chroniąca przednią szybę przed deszczem. Kiedy przerzuciło go za krawędź dachu, puścił latarnię, dał się zepchnąć przechyłowi, czubkami palców chwycił rynienkę i wycelował nogami w dół i do środka na mostek. Przeleciał przez wybite okno i wylądował w środku. Ugiął kolana, żeby zamortyzować upadek i wyprostował się. Stracił automat, a nie miał czasu, by wydobyć pistolet lub nóż. Na mostku było dwóch Arabów; kiedy wylądował między nimi, obaj ostrzelowali pokład z broni automatycznej. Gdy Dickstein się prostował, już się odwracali do niego z wyrazem zdumienia na twarzach.

Dickstein był o włos bliżej tego z lewej burty. Kopnął go z rozmachem, trafiając raczej przypadkowo w najwrażliwszy punkt łokcia, co na moment sparaliżowało

tamtemu rękę, w której trzymał broń. Dickstein skoczył do drugiego. Automat fedaina zwrócił się w stronę napastnika o ułamek sekundy za późno. Dickstein zanurkował pod lufą i zadał Arabowi ręką najbardziej morderczy dwutaktowy cios ze swego repertuaru - silnym uderzeniem otwartej dłoni w podbródek odrzucił do tyłu jego głowę, a potem zmiażdżył pozbawioną ochrony krtań kantem tej samej, usztywnionej teraz dłoni.

Zanim Arab zdążył upaść, Dickstein chwycił go za kurtkę i cisnął między siebie a tego drugiego. Tamten już unosił automat. Dickstein dźwignął martwe ciało i pchnął je przez mostek, kiedy automat wystrzelił. Zwłoki przyjęły w siebie pociski i zwały się na drugiego Araba, który stracił równowagę, wyleciał tyłem przez otwarte drzwi i spadł na pokład.

Trzeci był w nawigacyjnej i bronił zejściówki. W czasie tych trzech sekund, odkąd Dickstein znalazł się na mostku, tamten zdążył wstać i odwrócić głowę; Dickstein rozpoznał w nim Jasifa Hasana.

Dickstein przysiadł, wyrzucił nogę i kopnął wyłamane drzwi, leżące na podłodze między nim a Hasanem. Drzwi ruszyły po pokładzie i uderzyły Hasana w stopy. Hasan stracił tylko równowagę, ale kiedy zamachał rękami, żeby ją odzyskać, Dickstein ruszył. Do tej chwili działał jak maszyna, reagując odruchowo na wszystko, co mu stało na drodze, pozwalając, aby system nerwowy sam planował kolejne posunięcia bez jego świadomości, zdając się w pełni na instynkt i wyszkolenie; teraz jednak to było coś więcej. Teraz, kiedy miał przed sobą tego, który zniszczył wszystko, co Dickstein ukochał, ogarnęła go ślepa nienawiść i szaleńcza furia. To dodało mu szybkości i sił.

Chwycił uzbrojoną rękę Hasana za ramię i nadgarstek, a potem ostrym szarpnięciem w dół złamał ją na swoim kolanie. Hasan wrzasnął i broń wypadła mu z bezwładnej dłoni. Odchyliwszy się lekko, Dickstein wyprowadził następnie cios łokciem, który trafił Hasana pod uchem. Hasan okręcił się padając. Dickstein złapał go od tyłu za włosy i pociągnął; kiedy Hasan zawisł bezwładnie, Dickstein uniósł wysoko stopę i kopnął. Obcasem rąbnął Hasana w kark i jednocześnie szarpnął go za głowę. Rozległ się trzask, mięśnie Hasana zwiotczały, a niczym nic podtrzymywana głowa bezwładnie opadła. Dickstein rozluźnił chwyt i zwłoki osunęły się na podłogę. Wlepił wzrok w nieruchome ciało. W uszach szumiało mu z uniesienia.

Potem zobaczył Kocha. Mechanik przywiązany był do krzesła, siedział bezwładnie, blady jak śmierć, ale przytomny. Ubranie miał zakrwawione. Dickstein wyjął nóż i rozciął więzy. Wtedy zobaczył jego dłonie.

- Boże - powiedział.

- Przeżyję to - wymamrotał Koch. Nie wstawał z krzesła.

Dickstein podniósł automat Hasana i sprawdził magazynek. Był prawie pełny. Wyszedł na mostek i odnalazł przycisk syreny.

- Koch - zapytał - dasz radę wstać z tego krzesła?

Koch wstał, lecz się zachwiał. Dickstein podszedł, podparł go i przeprowadził na mostek.

- Widzisz ten guzik? Chcę, żebyś powoli policzył do dziesięciu, a potem go przycisnął.

Koch potrząsnął głową. Próbował odzyskać jasność myśli.

- Chyba dam radę.

- Zaczynaj. Już.

- Jeden - powiedział Koch. - Dwa.

Dickstein zszedł zejściówką na drugi pokład, ten, który osobiście oczyścił. Wciąż było tam pusto. Potem zszedł niżej i zatrzymał się w miejscu, gdzie schodnia prowadziła do mesy. Spodziewał się, że są tam wszyscy pozostali fedaini: stoją wzdłuż ścian, strzelają przez bulaje i drzwi. Może ktoś pilnuje zejściówki. Nie było sposobu, by zdobyć tak silny punkt obrony bez wielkiego ryzyka.

Zasuwał, Koch!

Dickstein zamierzał kryć się w zejściówce przez sekundę lub dwie. W każdej chwili mógł tu zajrzeć któryś z Arabów. Jeśli Koch zemdlał, będzie musiał wracać na górę i...

Zahuczała syrena.

Dickstein skoczył. Zaczął strzelać, nim jego stopy dotknęły pokładu. Prawie u stóp drabinki stało dwóch mężczyzn. Tych zastrzelił w pierwszej kolejności. Ogień z zewnątrz był coraz głośniejszy. Dickstein szybko wykonał półobrót, przypadł na kolano, żeby utrudnić przeciwnikom celowanie, i pociągnął serią po stojących wzdłuż ścian fedainach. Nagle zawtórował mu drugi automat - to Isz wyszedł spod pokładu; zaraz potem w jednych drzwiach stanął Feinberg, a w drugich - ranny Dovrat. A potem, jak na komendę, wszyscy przerwali ogień i zapanowała przytłaczająca cisza. Wszyscy fedaini zginęli.

Dickstein, nie wstając z kolana, ze znużeniem opuścił głowę. Po chwili podniósł się i popatrzył na swoich ludzi.

- Gdzie reszta? - zapytał.

Feinberg dziwnie na niego spojrzał.

- Jest tam ktoś na dziobie, chyba Sapir.

- A reszta?

- To wszyscy - powiedział Feinberg. - Reszta zginęła.

Dickstein bezsilnie wsparł się o grodzień.

- Straszna cena - powiedział cicho.

Spojrząwszy przez wybity bulaj zobaczył, że jest już dzień.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Rok wcześniej odrzutowiec linii BOAC, w którym Suza podawała obiad, nagle bez żadnego widocznego powodu zaczął tracić wysokość nad Oceanem Atlantyckim. Pilot włączył sygnał zapięcia pasów. Suza wędrowała przejściem pomiędzy fotelami, powtarzała "To tylko niewielkie zakłócenia", i pomagała ludziom zapinać pasy, myśląc przez cały czas: Zaraz umrzemy, zaraz umrzemy.

Teraz czuła się podobnie. Od Tyrina przyszła krótka wiadomość: Izraelczycy atakują - po czym zapadła cisza. W tej właśnie chwili strzelali do Nathaniela. Mogli go

ranić, wziąć do niewoli, mogli go zabić, a Suza, chora z niepokoju, musiała na użytek radiooperatora przywołać szeroki uśmiech stewardesy i powiedzieć:

- Ależ ma pan aparaturę!

Rosły, siwowłose radiooperator "Karolinki" był rodem z Odessy. Miał na imię Aleksander i nieźle władał angielskim.

- Kosztowała sto tysięcy dolarów - oświadczył z dumą. - Zna się pani na tym?

- Troszkę... byłam kiedyś stewardesą. - Powiedziała "byłam kiedyś" bez namysłu i zastanawiała się teraz, czy istotnie tamto życie już nie wróci. - Widziałam, jak posługują się radiem lotnicy. Znam zasady.

- W gruncie rzeczy to są aż cztery radia - wyjaśnił Aleksander. Jedno odbiera "Stromberga". Jedno słucha Tyrina na "Coparellim". Jedno prowadzi nasłuch na oficjalnej częstotliwości "Coparellego". A to wędruje po skali. Proszę popatrzeć. - Pokazał jej tarczę z wolno przesuwającą się wskazówką. - Wyszukuje stację i sama się zatrzymuje - powiedział.

- Nie do wiary. To pański pomysł?

- Niestety, jestem operatorem, nie wynalazcą.

- I może pan nadawać każdym z tych aparatów? Po przełączeniu na emisję?

- Tak, alfabetem Morse'a albo tekstem. Ale, oczywiście, podczas tej operacji nie używa się słów.

- Długo musiał się pan szkolić na radiooperatora?

- Niedługo. Opanowanie Morse'a jest łatwe. Ale żeby być radiooperatorem na statku, trzeba też umieć naprawiać sprzęt. - Ściszył głos: - A żeby zostać radiooperatorem KGB, trzeba chodzić do szkoły dla szpiegów. - Roześmiał się, a Suza mu zawtórowała, myśląc: No, Tyrin, odezwij się. I nagle jej życzenie się spełniło.

Odezwał się. Aleksander zaczął notować i jednocześnie powiedział do Suzy:

- Tyrin. Niech pani poprosi Rostowa.

Suza niechętnie zeszła z mostka; chciała wiedzieć, co zawiera depesza. Pobieгла do mesy, spodziewając się zastać Rostowa nad kubkiem mocnej kawy, ale w mesie nie było nikogo. Przeszła na inny pokład i odnalazła jegoabinę. Zapukała do drzwi. Odpowiedział po rosyjsku coś, co mogło oznaczać “proszę wejść”. Otworzyła drzwi. Rostow w kalessonach prał coś w miednicy.

- Tyrin nadaje - powiedziała Suza. Odwróciła się, by wyjść.

- Suzo...

Obejrzała się.

- Co byś powiedziała, gdybym to ja ciebie zaskoczył w samej bieliźnie?

- Powiedziałabym spierdalaj - odparła.

- Poczekaj na korytarzu.

Zamknęła drzwi, myśląc: Doigrałam się. Kiedy Rostow wyszedł, powiedziała:

- Przepraszam.

Uśmiechnął się.

- Przepraszam, że zachowałam się tak nietaktownie. Chodźmy.

Poszła za nim do kabiny radiowej, znajdującej się tuż pod mostkiem, tam, gdzie zazwyczaj mieści się kajuta kapitańska. Aleksander tłumaczył, że z powodu takiej ilości wyposażenia dodatkowego nie można było urządzić kabiny radiowej w pomieszczeniu przyległym do mostka, jak zwykle. Suza sama się domyśliła, że ta lokalizacja zapewnia dodatkową wygodę, oddzielając radio od załogi na statku, na którym zwykli marynarze przemieszani są z agentami KGB.

Aleksander już rozszyfrował depeszę Tyrina. Podał Rostowowi, który przeczytał ją po angielsku:

- Izraelczycy zdobyli “Coparellego”. “Stromberg” stoi obok. Dickstein żyje.

Ulga pozbawiła Suzę sił. Musiała usiąść. Opadła na krzesło. Nikt tego nie spostrzegł. Rostow układał już odpowiedź:

- Uderzymy jutro o szóstej rano.

Uczucie ulgi uleciało i Suza pomyślała: O Boże, i co ja teraz zrobię?

Nat Dickstein stał milcząc, w pożyczonej czapce marynarskiej, kiedy kapitan “Stromberga”, usiłując przekrzyczeć szum wiatru, deszczu i morza, odczytywał słowa modlitwy za zmarłych. Jedno po drugim, owinięte w płótno ciała zsuwały się po przerzuconej przez nadburcie desce do czarnej wody: Abas, Szaret, Porusz, Gibli, Bader, Remez i Żabotyński. Z dwunastki zginęło siedmiu. Uran był najkosztowniejszym metalem świata.

Wcześniej odbył się inny pochówek. Czterem ocalałym fedainom - trzej byli ranni, a jeden stchórzył i przeczekał potyczkę w ukryciu - rozbroiwszy ich pozwolono pogrzebać poległych. Ten pogrzeb był znacznie większy - wrzucili do morza dwadzieścia pięć ciał. Śpieszyli się z tą ceremonią pod czujnym okiem - i lufami - trzech ocalałych Izraelczyków, którzy rozumieli wprawdzie, że posługą tą należy objąć i wroga, ale bynajmniej nie byli tym zachwyceni.

Tymczasem kapitan “Stromberga” przeniósł na pokład “Coparellego” wszystkie dokumenty swojego statku. Brygada monterów i spawaczy, zabrana na wypadek konieczności dostosowania wyglądu “Coparellego” do “Stromberga”, wzięła się ostro do usuwania bitewnych zniszczeń. Dickstein kazał im się skoncentrować na rzeczach widocznych z pokładu; reszta miała poczekać, aż dotrą do portu. Przystąpili do szpachlowania dziur, naprawy mebli, wstawiania szyb i okuć, wykorzystując do tego odpowiednie elementy wymontowane ze skazanego na zagładę “Stromberga”. Malarz zszedł po drabince, aby usunąć z burty nazwę “Coparelli” i zastąpić ją wypisanym przez szablon słowem “Stromberg”. Uporawszy się z tą robotą, wziął się do malowania naprawionych grodzi i sprzętu pokładowego. Wszystkie szalupy “Coparellego”, które nie nadawały się do naprawy, porąbano, wyrzucono za burtę i zastąpiono łodziami ze “Stromberga”. W silniku “Coparellego” zainstalowano też nową pompę dostarczoną według instrukcji Kocha na “Strombergu”.

Prace, przerwane na czas pochówku, wznowiono zaraz po ostatnich słowach kapitana. Późnym popołudniem silnik z pomrukiem obudził się do życia. Kiedy podnoszono kotwicę, Dickstein stał z kapitanem na mostku. Załoga szybko zorientowała się w rozkładzie statku bliźniaczo podobnego do dawnego “Stromberga”. Kapitan wyznaczył kurs i polecił dać całą naprzód.

Prawie skończone, pomyślał Dickstein. "Coparelli" zniknął: wszystko świadczyło o tym, że statek, którym teraz płynął, nazywał się "Stromberg" i stanowił legalną własność spółki Savile Shipping. Izrael miał swój uran i nikt nie wiedział, jak go zdobyto. Zajęto się każdym, kto stanowił jakieś ogniwo w tej operacji - z wyjątkiem Pedlera, będącego nadal prawnym właścicielem rudy. Tylko on, powodowany ciekawością lub wrogością, mógłby zniweczyć cały plan. W tej właśnie chwili urabia go Papagopulos: Dickstein po cichu życzył mu powodzenia.

- Jesteśmy w bezpiecznej odległości - powiedział kapitan.

Pirotechnik w nawigacyjnej pociągnął dźwignie zdalnego detonatora i wszyscy skierowali wzrok na pozostawionego milę dalej opuszczonego "Stromberga".

Rozległ się przypominający grzmot donośny głuchy huk i "Stromberg" jakby zapadł się w środku. Zajęły się zbiorniki paliwa i sztormowy wieczór rozbłysł sięgającym nieba jęzorem płomienia. Dickstein przeżył chwilę uniesienia i lekkiego niepokoju na widok tak wielkiego zniszczenia. "Stromberg" zaczął tonąć: zrazu powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Rufa skryła się pod wodą, kilka sekund później w jej slady poszedł dziób... tylko komin sterczał jeszcze przez chwilę jak ręka tonącego, a potem i on zniknął.

Dickstein uśmiechnął się blado i odwrócił. Usłyszał jakiś zgiełk. Kapitan też go usłyszał. Podeszli na skraj mostka, wyjrzeli i zrozumieli. W dole, na pokładzie, ludzie wiwatowali.

Siedząc w swym biurze na przedmieściu Wiesbaden, Franz Albrecht Pedler drapał się w śnieżnobiłą głowę. Telegram od firmy Angeluzzi e Bianco w Genui, przetłumaczony z włoskiego przez wielojęzyczną sekretarkę, był najzupełniej jasny, a zarazem całkowicie niezrozumiały:

Proszę poinformować jak najszybciej o nowej przewidywanej dacie dostawy rudy.

Wedle informacji Pedlera, dawna - przypadająca za parę dni data dostawy była już zupełnie w porządku. Najwyraźniej Angeluzzi e Bianco wiedzieli coś, o czym on nie wiedział. Zatelegrafował już do armatora:

Czy w dostawie rudy nastąpiła zwłoka?

Trochę go zirytowali. Przecież o zwłoce powinni poinformować zarówno jego, jak odbiorcę ładunku. Ale może Włosi po prostu pomylili depesze. Podczas wojny Pedler nabrał przekonania, że na Włochach nie można polegać, nigdy nie zrobią tego, co im się każe. Myślał, że może teraz są inni, ale pewno byli tacy sami.

Stanął przy oknie, patrząc, jak nad budynkami fabrycznymi zapada wieczór. Prawie żałował, że kupił ten uran. Kontrakt z armią izraelską, dopięty na ostatni guzik, zapewni firmie Pedlera zyski aż do końca jego dni; nie musi się już głowić. Weszła sekretarka z przetłumaczoną już odpowiedzią armatora:

Coparelli sprzedany Saville Shipping z Zurychu, która odpowiada obecnie za pański ładunek. Zapewniamy o całkowitej rzetelności naszych kontrahentów. Dalej był numer telefonu Savile Shipping i rada: Rozmawiać z Papagopulosem.

Pedler oddał depeszę sekretarce.

- Zechce pani połączyć się z tym numerem w Zurychu i poprosić do aparatu Papagopulosa.

Za parę minut była z powrotem.

- Papagopulos do pana zadzwoni.

Pedler zerknął na zegarek.

- Chyba poczekam na jego telefon. Jak już zacząłem, niech zbadam, w czym rzecz.

Papagopulos zadzwonił po dziesięciu minutach. Pedler powiedział:

- Poinformowano mnie, że pan odpowiada obecnie za mój ładunek na pokładzie "Coparellego". Otrzymałem od Włochów depeszę, w której pytają o nową datę dostawy. Czy nastąpiła jakaś zwłoka?

- Istotnie - odrzekł Papagopulos. - Powinien pan zostać o niej powiadomiony, jest mi ogromnie przykro. - Mówił doskonale po niemiecku, ale było jasne, że nie jest Niemcem. Było również oczywiste, że nie jest mu ogromnie przykro. - Pompa olejowa

“Coparellego” nawaliła na morzu i statek został unieruchomiony - wyjaśniał. - Czynimy starania, żeby ładunek dostawiono jak najszybciej.

- Cóż zatem mam odpowiedzieć Włochom?

- Zawiadomiłem ich, że podam nowy termin dostawy, gdy tylko sam go będę znał - odrzekł Papagopulos. - Proszę zdać się na mnie. Będę obie firmy informować na bieżąco.

- Świetnie. Do widzenia.

Dziwne, pomyślał Pedler, odkładając słuchawkę. Wyrzwał przez okno i stwierdził, że wszyscy robotnicy już odjechali. Na parkingu służbowym stał tylko jego mercedes i volkswagen sekretarki. Cholera, czas wracać do domu. Włożył płaszcz. Uran był ubezpieczony. Odzyska pieniądze, nawet gdyby ładunek zginął. Zgasił światło w gabinecie, podał sekretarce płaszcz, po czym wsiadł do auta i pojechał do domu, do żony.

Suza Ashford nie zmrużyła oka przez całą noc. Życie Nata Dicksteina znów było w niebezpieczeństwie. I znów tylko ona mogła go ostrzec. Tym razem nie będzie szukać czyjejś pomocy. Musi to zrobić sama.

To proste. Pójdzie do kabiny radiowej “Karolinki”, pozbędzie się Aleksandra i nawiąże łączność z “Coparellim”. Nigdy tego nie dokonam, pomyślała. Na statku pełno KGB. Aleksander to kawał chłopca. Chcę spać. Całą wieczność. To niemożliwe. Nie podołam temu. Och, Nathanielu.

O czwartej nad ranem włożyła dzinsy, sweter, buty i sztormiak. Do kieszeni sztormiaka wsunęła wziętą z mesy “na sen” butelkę wódki.

Musiła znać pozycję “Karolinki”. Weszła na mostek. Pierwszy oficer powitał ją uśmiechem.

- Nie może pani spać? - zapytał po angielsku.

- Źle znoszę niepewność - odparła. Wielki firmowy uśmiech stewardesy. Czy pas zapięty, sir? Ot, drobne zakłócenia, nie ma się czym przejmować.

- Gdzie jesteście? - zapytała pierwszego.

Pokazał jej na mapie pozycję "Karolinki" i domniemaną pozycję "Coparellego".

- A konkretnie w liczbach?

Podał jej współrzędne, kurs i prędkość "Karolinki". Powtórzyła je raz na głos i dwa razy w myśli, żeby jak najmocniej wryły się jej w pamięć.

- To fascynujące - orzekła lekkim tonem. - Każdy na statku ma jakąś specjalność... Sądzi pan, że przechwycimy "Coparellego" w terminie?

- Och, tak - odrzekł. - A potem bum!

Wyrzała na zewnątrz. Było zupełnie ciemno, ani gwiazd, ani światła statku w zasięgu wzroku. Pogoda się psuła.

- Drży pani - powiedział pierwszy oficer. - Zimno?

- Tak - odparła, choć nie chłód był przyczyną dreszczy. - Kiedy wstaje pułkownik Rostow?

- Budzę go o piątej.

- Chyba spróbuję się jeszcze zdrzemnąć godzinkę.

Zeszła do kabiny radiowej. Był tam Aleksander.

- Pan też nie może zasnąć?

- Tak, odesłałem do łóżka zastępcę.

Ogarnęła spojrzeniem sprzęt radiowy.

- Nie słucha pan już "Stromberga"?

- Sygnał się urwał. Albo znaleźli nadajnik, albo zatopili statek. Sądzymy, że raczej zatopili.

Suza usiadła i wyjęła butelkę wódki. Odkręciła.

- Proszę się napić. - Podała mu butelkę.

- Zimno pani?

- Trochę.

- Drży pani ręka. - Ujął butelkę, przyłożył do ust i pociągnął spory haust. - Ach, wielkie dzięki.

Oddał jej butelkę. Wypiła łyżeczek na odwagę. Była to mocna, paląca gardło rosyjska wódka, ale przyniosła oczekiwany skutek. Suza zakręciła butelkę i czekała, aż Aleksander odwróci się tyłem.

- Proszę mi opowiedzieć o życiu w Anglii - powiedział tonem lekkiej rozmowy. - Czy to prawda, że biedni głodują, a bogaci obrastają tłuszczem?

- Głoduje niewielu - odparła. Odwróć się, do cholery, odwróć się wreszcie. Nie mogę tego zrobić patrząc ci w oczy. - Ale są ogromne nierówności.

- Czy bogatych i biednych obowiązują inne prawa?

- Jest takie powiedzenie: "Tak biednym, jak i bogatym prawo zabrania kraść chleb i sypiać pod mostem".

Aleksander wybuchnął śmiechem.

- W Związku Radzieckim wszyscy są równi, ale niektórzy mają przywileje. Czy teraz zamieszka pani w Rosji?

- Nie wiem. - Suza odkręciła butelkę i znów podała ją Aleksandrowi.

Pociągnął solidnie i oddał.

- W Rosji nie będzie pani miała takich ciuchów.

Czas uciekał zbyt szybko, musiała to zrobić natychmiast. Wstała, by odebrać butelkę. Sztormiak miała rozpięty. Stojąc przed nim przechyliła głowę do tyłu, by napić się z butelki; wiedziała, że zagapi się na jej sterczące piersi. Pozwoliła mu się napatrzeć do syta, chwyciła lepiej butelkę i z całych sił opuściła ją na czubek głowy Aleksandra.

Trzasnęło obrzydliwie. Aleksander wytrzeszczył na Suzę nieprzytomne oczy. Pomyślała: Miałam ci rozwalić łeb! Oczy mu się nie zamykały. Co robić? Zawahała się,

po czym zacisnęła zęby i uderzyła po raz drugi. Zamknął oczy i zwiotczał na krześle. Suza złapała go za nogi i pociągnęła. Spadając z krzesła uderzył głową o pokład. Suza drgnęła, ale pomyślała: Nie szkodzi, trochę dłużej pośpi.

Zaciągnęła go do szafy ściennej. Oddychała szybko ze strachu i z wysiłku. Z kieszeni dzinsów wyjęła znaleziony na rufie długi kawałek konopnego sznurka. Skrępowała Aleksandrowi nogi, a potem przewróciła go na brzuch i związała mu dłonie na plecach.

Musiała wcisnąć go do szafy. Zerknęła na drzwi. O, Boże, żeby nikt teraz nie wszedł. Wsunęła jego nogi do szafy, okrakiem stanęła nad bezwładnym ciałem i spróbowała je dźwignąć. Aleksander był ciężkim mężczyzną. Zdołała go posadzić, ale przy próbie podciągnięcia do szafy wysunął się jej z rąk. Teraz spróbowała od tyłu. Wsunęła mu ręce pod pachy i dźwignęła. Tak szło lepiej: mogła go o siebie oprzeć i chwycić inaczej. Znow go zdołała posadzić, splotła ręce na jego piersiach i cał po calu przesuwiała bokiem do szafy. Musiała wejść do szafy razem z nim, a potem wysunąć się spod niego. Był w pozycji siedzącej: stopy miał oparte o jedną ścianę szafy, kolana ugięte, a plecy oparte o przeciwległą ściankę. Sprawdziła więzy: trzymały mocno. Ale nadal mógł krzyknąć! Rozejrzała się za czymś, czym by mogła zatkać i zakneblować mu usta. Niczego. Nie mogła wyjść z kabiny, aby czegoś poszukać, bo tymczasem mógł dojść do siebie. Jediną rzeczą, jaka przyszła jej do głowy, były rajstopy. Zdawało się, że to trwa wieki. Musiała zdjąć pożyczone gumowce i dzinsy, ściągnąć rajstopy, potem na powrót włożyć spodnie i buty, a wreszcie zwinąć nylonowe rajstopy w kłębek i wcisnąć go między bezwładne szczęki Aleksandra.

Drzwi szafy nie dawały się zamknąć. - O Boże! - powiedziała Suza na głos. Przeszkadzał łokieć Aleksandra. Jego skrępowane dłonie dotykały dna szafy, a ramiona bezwładnie rozsunęły się na boki.

Z całej siły pchała i dociskała drzwi, ale łokieć nie pozwalał ich zaniknąć. Wreszcie musiała po raz wtóry wleźć do szafy i trochę odwrócić Aleksandra bokiem, opierając go o narożnik. Łokieć przestał zawadzać.

Popatrzyła na niego jeszcze chwilę. Jak długo trwa ogłuszenie? Nie miała pojęcia. Wiedziała, że powinna przyłożyć mu jeszcze raz, lecz bała się go zabić. Wyszła z szafy, wzięła butelkę i uniosła ją nad głową Aleksandra, ale w ostatniej chwili zawiodły ją nerwy; odstawiła butelkę i zatrzasnęła szafę.

Zerknęła na zegarek i wydała okrzyk zgrozy: była za dziesięć piąta. "Coparelli" niebawem pojawi się na radarze "Karolinki", przyjdzie tu Rostow, a ona straci ostatnią szansę. Usiadła przy konsoli radiooperatora, włączyła nadawanie, wybrała aparat nastrojony na częstotliwość "Coparellego" i pochyliła się nad mikrofonem.

- Wzywani "Coparellego", odezwijcie się, proszę.

Czekała. Nic.

- Wzywam "Coparellego", odezwijcie się, proszę.

Nic.

- Niech cię diabli wezmą, Nacie Dicksteinie, odezwij się! Nathanielu!

Nat Dickstein stał w środkowej ładowni "Coparellego" i przyglądał się beczkom piaskowej rudy metalu, które tak drogo kosztowały. Wyglądały zwyczajnie - po prostu wielkie czarne beczki na ropę z napisem "Plumbat" na ściankach. Miał ochotę otworzyć którąś z nich i dotknąć zawartości, zobaczyć, jakie to jest, ale wieka były solidnie przyspawane.

Ogarnęły go samobójcze myśli. Zamiast uniesienia tryumfu miał tylko poczucie straty. Nie potrafił się cieszyć śmiercią zabitych przez siebie wrogów, mógł tylko oplakiwać swoich poległych.

Raz jeszcze, jak wielokroć podczas bezsennej nocy, dokonał w myśli analizy bitwy. Gdyby kazał Abasowi otworzyć ogień natychmiast po wejściu na pokład, może odwróciłby uwagę fedainów na tyle przynajmniej, by Gibli zdołał przeskoczyć przez reling żywy. Gdyby na samym początku walki wraz z trzema innymi ludźmi zaatakował granatami mostek, może mesa padłaby wcześniej i nie byłoby tylu ofiar. Gdyby... mnóstwo było rzeczy, które zrobiłby inaczej, gdyby mógł zajrzeć w przyszłość albo gdyby po prostu był mądrzejszy.

Cóż, Izrael będzie teraz miał bomby atomowe, które zapewnią mu obronę na zawsze. Nawet ta myśl nie sprawiała mu radości. Rok temu byłaby ekscytująca. Lecz rok temu nie znalazł jeszcze Suzy Ashford.

Usłyszał jakiś hałas i podniósł głowę. Jakby bieganina po pokładzie. Na pewno jakieś kłopoty nawigacyjne.

Suza go odmieniła. Nauczyła go oczekiwać od życia więcej niż zwycięstwa w bitwie. Wyobrażając sobie ten dzień, zastanawiając się, jakie to uczucie dokonać tak śmiałego czynu - zawsze w tych marzeniach na jawie widział Suzę - gdzieś na niego czekała, gotowa dzielić z nim triumf. Teraz jej tam nie będzie. I nikt jej nie zastąpi. A w samotnym świętowaniu nie ma radości.

Dość tego gapienia się w pustkę. Wychodząc po drabinie z ładowni, zastanawiał się, co począć z resztą życia. Wszedł na pokład. Wypatrzył go jeden z marynarzy.

- Pan Dickstein?

- Tak. O co chodzi?

- Szukamy pana po całym statku... Chodzi o radio, ktoś wywołuje "Coparellego". Nie odpowiedzieliśmy, proszę pana, bo ponoć nie jesteśmy "Coparellim", prawda? Ale ona powiada, że...

- Ona?

- Tak jest. Doskonale ją słyhać... nie nadaje Morse'em, tylko mówi. Jakby była blisko. I jest zdenerwowana. "Odezwij się, Nathanielu", takie rzeczy, proszę pana.

Dickstein złapał marynarza za kurtkę.

- Nathanielu?! - ryknął. - Powiedziała "Nathanielu"!?

- Tak jest, proszę pana, przepraszam, jeśli...

Dickstein co sił w nogach gnał już na mostek.

Z głośnika dobiegł głos Nata Dicksteina:

- Kto wzywa "Coparellego"?

Suza oniemiała. Dźwięk jego głosu po tym wszystkim, przez co przeszła, pozbawił ją siły i energii.

- Kto wzywa "Coparellego"?

Odzyskała głos.

- Och, Nat, nareszcie.

- Suza? To ty, Suzo?

- Tak, tak.

- Gdzie jesteś?

Zebrała myśli.

- Jestem z Dawidem Rostowem na statku "Karolinka". Zanotuj. - Słowo w słowo powtórzyła informację pierwszego oficera o pozycji, kursie i prędkości. - To dane z czwartej dziesiątej. Nat, ten statek o szóstej ma staranować wasz.

- Staranować? Dlaczego? Ach, rozumiem...

- Nat, lada chwila nakryją mnie przy aparacie, co mam zrobić, szybko...

- Czy mogłabyś dokładnie o piątej trzydzięci dokonać jakiejś dywersji?

- Dywersji?

- Wzniecić pożar, krzyknąć "człowiek za burtą", cokolwiek - byle ich zająć przez kilka minut.

- Cóż... spróbuję...

- Postaraj się. Masz ich postawić na nogi i żeby nikt nie wiedział, co się dzieje i co robić...czy to sami agenci KGB?

- Tak.

- Dobra, a teraz...

Drzwi kabiny radiowej otworzyły się. Suza włączyła nadawanie, głos Dicksteina umilkł, a do kabiny wszedł Dawid Rostow.

- Gdzie Aleksander? - zapytał.

Suza spróbowała się uśmiechnąć:

- Poszedł na kawę. Ja pilnuję interesu.

- Cholerny głupiec... - Wypadając z kabiny Rostow klął już po rosyjsku.

Suza włączyła odbiór.

- Słyszałem - powiedział Nat. - Lepiej zejdz im z oczu do piątej trzydzieści...

- Czekaaj! - krzyknęła. - Co chcesz zrobić?

- Zrobić? - powtórzył. - Przyjdę po ciebie.

- Och - powiedziała. - Dziękuję.

- Kocham cię.

Kiedy przerwała łączność, zagadał Morse'em inny aparat. Tyrin musiał słyszeć każde jej słowo i teraz będzie próbował ostrzec Rostowa. Zapomniała powiedzieć Natowi o Tyrinie.

Mogła podjąć ponowną próbę połączenia się z Natem, ale to by było bardzo ryzykowne. Tyrin zaś zdołałby przekazać Rostowowi wiadomość, nim ludzie Nata zdążą przeszukać "Coparellego", znaleźć Tyrina i zniszczyć jego sprzęt. A kiedy Tyrin powiadomi Rostowa, Rostow się dowie, że Nat przybywa, i będzie przygotowany.

Musiała zablokować tę wiadomość. Musiała również uciekać.

Postanowiła zniszczyć radiostację. Jak? Wszystkie przewody muszą być za płytą czołową. Należy ją zdjąć. Potrzebowała śrubokręta. I to szybko, szybko, zanim Rostow zrezygnuje z szukania Aleksandra! Wśród leżących w kącie narzędzi radiooperatora znalazła mały śrubokręt. Odkręciła śrubki w dwóch rogach płyty. Zniecierpliwiona, wsunęła śrubokręt do kieszeni i wyważyła płytę rękami. Miała przed sobą psychodeliczną plątaninę kabli i przewodów. Chwyciła je garścią i szarpnęła. Bez rezultatu: ciągnęła za wiele na raz. Wybrała jeden, pociągnęła: wyszedł. Wściekle szarpała jeden po drugim, aż zwisło luzem może piętnaście. Alfabet Morse'a wciąż postukiwał. Wlała do aparatu resztę wódki. Morse umilkł, zgasły wszystkie światła na płycie czołowej.

Z szafy dobiegł łomot. Zapewne Aleksander przychodził do siebie. Cóż, tak czy owak dowiedzą się o wszystkim, kiedy tylko zobaczą radio.

Wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Schodząc po drabinie na pokład, próbowała wymyślić, gdzie się ukryć i jakiej dokonać dywersji. Po tym, co zaaplikowała radiostacji i radiooperatorowi, nikt jej nie uwierzy, nie ma sensu wołać: "człowiek za burta"! Rzucić kotwicę? Nie wiedziałyby, jak się do tego zabrać.

Co może teraz robić Rostow? Szuka Aleksandra w pentrze, w mesie, w jego kajucie. Kiedy go nie znajdzie, wróci do kabiny radiowej, a potem zacznie po całym statku szukać Suzy. Jest człowiekiem metodycznym. Zacznie od dziobu, przeczesa pokład główny, potem jedną grupę wyśle, by przeszukała nadbudówki, drugą na dół - pokład za pokładem, od góry do dołu.

Co jest najniższym pomieszczeniem statku? Maszynownia. Tam się ukryje. Znalazła schodnię prowadzącą na dół, ale kiedy postawiła stopę na pierwszym stopniu, spostrzegła Rostowa. On też ją zobaczył. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się w jej ustach słowa:

- Aleksander już jest, zaraz wróć.

Rostow skinął posępnie i odszedł w stronę kabiny radiowej. Minawszy dwa kolejne pokłady, Suza weszła wprost do maszynowni. Nocną wachtę pełnił drugi mechanik. Na widok Suzy zrobił wielkie oczy.

- To jedyne ciepłe miejsce na statku - oznajmiła radośnie. - Pozwoli pan, że mu dotrzymam towarzystwa?

Wyglądał na osłupiałego.

- Nie mogę... - powiedział wolno - mówić... angielski... proszę.

- Nie mówi pan po angielsku?

Potrząsnął głową.

- Zimno mi - powiedziała, udając, że się trzęsie. Wyciągnęła dłonie ku pulsującemu silnikowi. - Można?

Nie posiadał się ze szczęścia, mając w maszynowni tę piękną dziewczynę.

- Można - powiedział, kiwając energicznie głową.

Gapił się na nią dalej z zadowoloną miną, aż przyszło mu do głowy, że może powinien okazać większą gościnność. Rozejrzał się dokoła, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Suzę.

- Zwykle nie palę, ale tym razem dam się skusić - powiedziała biorąc papierosa. Zamiast filtru miał kartonowy ustnik. Mechanik podał jej ogień. Zerknęła w stronę wjazdu z obawy, że lada chwila pojawi się tam Rostow. Spojrzała na zegarek: niemożliwe, żeby już była piąta dwadzieścia pięć! Nie miała czasu do namysłu. Dywersja, trzeba zrobić jakąś dywersję. Wrzasnąć "człowiek za burtą", rzucić kotwicę, wzniecić pożar...

Wzniecić pożar. Czym? Benzyna, właśnie tu, w maszynowni musi być benzyna, ropa, czy coś w tym rodzaju.

Przyjrzała się silnikowi. Którędy dochodzi paliwo? Cały był płataniną rur i przewodów. Skoncentruj się, skoncentruj się! Pożałowała, że nie zapoznała się lepiej z silnikiem swego auta. Czy silniki statków są takie same? Nie, czasem dieslowskie. A jaki jest ten? Podobno to szybki statek, więc może napędzany silnikiem benzynowym, przypomniawszy sobie mgliście, że silniki benzynowe są droższe w eksploatacji, ale szybsze. Jeśli to silnik benzynowy, powinien przypominać silnik jej wozu. Gdzie są przewody do świec? Kiedyś, jeden jedyny raz, sama wymieniła świecę.

Wlepiła oczy w silnik. Tak, przypominał silnik jej samochodu. Miał sześć świec połączonych przewodami z okrągłą kopułą jakby rozdzielacza... Gdzieś tu powinien być gaźnik. Benzyna przechodzi przez gaźnik. To takie małe coś, co czasem się zapycha...

Z rury komunikacyjnej dobiegło warknięcie w języku rosyjskim, a mechanik podszedł, żeby odpowiedzieć. Odwrócił się do Suzy tyłem. Musi zrobić to teraz.

Było tam coś wielkości puszki do kawy, z wieczkiem umocowanym pośrodku śrubą. Może to właśnie gaźnik. Sięgnęła nad silnikiem i spróbowała odkręcić śrubę palcami, ale śruba ani drgnęła. Do wieczka wpuszczona była gruba plastikowa rura. Suza chwyciła ją i szarpnęła. Nie mogła jej wyrwać. Przypomniawszy sobie, że ma w kieszeni sztormiaka śrubokręt Aleksandra. Wyjęła go i ostrym końcem dźgnęła rurę.

Plastik był gruby i twardy. Dźgnęła ze wszystkich sił. Zrobiła małą szczerbę w powłoce. Wcisnęła ostrze śrubokręta w nacięcie i zaczęła wiercić.

Mechanik mówił coś po rosyjsku do rury komunikacyjnej.

Suza poczuła, że śrubokręt przebija się przez plastik. Wyszarpnęła go. Z dziurki wytrysnął mały strumyk przezroczystej cieczy i powietrze napełnił charakterystyczny zapach benzyny. Suza rzuciła śrubokręt i ruszyła biegiem w stronę drabinki.

Usłyszała, jak mechanik mówi po rosyjsku “tak” i kiwa głową w odpowiedzi na pytanie z rury. Potem padł rozkaz. Głos brzmiał gniewnie. U stóp schodów Suza się obejrzała. Uśmiechnięta twarz mechanika zamieniła się w maskę wściekłości. Suza była już na schodkach, kiedy rzucił się za nią biegiem przez maszynownię.

Z wysokości ostatniego stopnia spojrzała w dół. Kałuża benzyny rozszerzała się, mechanik stawiał właśnie stopę na pierwszym stopniu. Suza wciąż trzymała w palcach papierosa, którym ją poczęstował. Rzuciła go na silnik, mierząc w miejsce, gdzie z rury strzykała benzyna. Nie czekała, by zobaczyć, jak papieros spada. Dalej wchodziła po schodkach. Głowę i ramiona już miała nad pokładem, gdy z dołu doleciało głośne “szuuu”, jaskrawo czerwony blask i fala piekącego żaru. Suza krzyknęła, kiedy jej dżinsy stanęły w płomieniach i poparzyły skórę nóg. Biła po spodniach rękami, potem ściągnęła sztormiak i owinęła wokół nóg. Zdusiła płomienie, ale ból był coraz większy.

Marzyła o tym, żeby się skulić, upaść. Wiedziała, że jeśli się położy, to zemdleje i nie będzie czuć bólu, ale musiała uciec od ognia i dotrzeć gdzieś, gdzie Nat będzie ją mógł odnaleźć. Zmusiła się, by wstać. Miała wrażenie, że nogi jej wciąż płoną. Spojrzała w dół; z nóg odpadały jakieś płaty jak kawałki spalonego papieru. Nie wiedziała, czy to strzępy spodni, czy skóry.

Zrobiła krok. Mogła iść. Chwiejnie ruszyła w stronę schodni. Na całym statku zawył alarm pożarowy. Dotarła do schodni i oparła się o stopnie. Do góry, musi iść do góry. Podniosła jedną stopę, postawiła ją na dolnym stopniu i zaczęła najdłuższą wspinaczkę w życiu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin Nat Dickstein przemierzał małą łódką wielkie morze, by wdrzeć się na pokład statku nieprzyjaciela. Ubrany jak przedtem, w sztormiak, kamizelkę ratunkową i gumowe buty, i tak samo uzbrojony, w automat, pistolet i granaty, tym razem jednak był samotny i przerażony.

Po radiowej wiadomości od Suzy na pokładzie "Coparellego" doszło do sprzeczki. Rozmowie dziewczyny z Natem przysłuchiwał się kapitan, Isz i Feinberg. Widząc rozpromienioną twarz Nata oświadczyli, że jego osobiste zaangażowanie w sprawę wpływa ujemnie na ocenę sytuacji.

- To pułapka - argumentował Feinberg. - Nie mogą nas złapać, więc chcą, żebyśmy zawrócili i pozwolili się wciągnąć w walkę.

- Znam Rostowa - powiedział gorąco Dickstein. - To dokładnie jego sposób rozumowania: czeka, aż się odsłoni i wtedy uderza. Pomysł ze staranowaniem na kilometr pachnie jego autorstwem.

- To nie zabawa, Dickstein - rozżościł się Feinberg.

- Posłuchaj, Nat - powiedział rozsądniej Isz - róbmy swoje, ale bądźmy gotowi do walki - kiedy i jeśli nas dopadną. Co zyskamy, wysyłając grupę desantową?

- Kto tu mówi o grupie desantowej? Idę sam.

- Nie bądź takim cholernym głupcem - powiedział Isz. - Jeśli ty pójdziesz, pójdziemy także my... sam nie opanujesz statku.

- Słuchajcie - próbował ich uspokoić Dickstein. - Jeśli mi się uda, "Karolinka" nigdy nie doścignie naszego statku. Jeśli nie, jak zostanieie, będziecie mogli walczyć, kiedy nas doścignie. A jeśli "Karolinka" nie jest w stanie nas dopaść i rzeczywiście to pułapka, ja jeden w nią wpadnę. Naprawdę tak będzie najlepiej.

- Wcale nie uważam, że najlepiej - orzekł Feinberg.

- Ani ja - dodał Isz.

Uśmiechnął się Dickstein.

- Cóż, ja uważam inaczej i chodzi tu o moje życie, a poza tym ja tu dowodzę i taką podjąłem decyzję, więc do diabła z wami wszystkimi.

Ubrał się więc, wziął broń, kapitan pokazał mu, jak obsługiwać radiostację szalupy i trzymać kurs na "Karolinkę", po czym spuszczone łódź, Dickstein zszedł do niej i odpłynął.

Był przerażony. Nie miał szans sam jeden opanować statku pełnego ludzi KGB. Zresztą nawet tego nie planował. Postara się unikać walki. Dostanie się na pokład, poczeka w ukryciu na zamieszanie wywołane przez Suzę, odszuka dziewczynę, zejdzie z nią z "Karolinki" i ucieknie. Miał niewielką minę magnetyczną, którą przed wejściem na pokład przymocuje do burty "Karolinki". Potem - niezależnie od tego, czy zdoła umknąć, czy nie, czy chodzi tu o pułapkę, czy nie - "Karolinka" będzie miała w kadłubie dziurę dostatecznie wielką, by ją pozbawić szans doścignięcia "Coparellego".

Był pewien, że to nie pułapka. Wiedział, że Suza tam jest, że wpadła w ich ręce i została zmuszona do współpracy, wiedział wreszcie, że sama, narażając się na śmierć, próbowała ocalić mu życie. Wiedział, że go kocha. I to właśnie napawało go przerażeniem.

Nagle zapragnął żyć. Opuściła go żądza krwi: przestało go interesować zabijanie wrogów, pokonanie Rostowa, krzyżowanie szyków fedainom i przechytrzenie egipskiego wywiadu. Pragnął odnaleźć Suzę, zabrać ją do domu i spędzić przy niej resztę życia. Bał się śmierci.

Skoncentrował się na kierowaniu łodzią. Odszukanie "Karolinki" nocą nie było łatwe. Trzymał kurs, uwzględniając jednak odchylenia spowodowane przez fale i wiatr. Minęło piętnaście minut, powinien już być u celu, lecz rosyjskiego statku nie było nigdzie widać. Zaczął płynąć zygzakami, zastanawiając się gorączkowo, jak dalece zszedł z kursu.

Już miał się zwrócić przez radio do "Coparellego" o podanie nowej pozycji, gdy nagle, tuż obok, wyłoniła się z mroku "Karolinka". Szła szybko, szybciej niż mogłaby wyciągnąć jego szalupa, musiał więc chwycić drabinkę dziobową, zanim statek go minie, jednocześnie unikając kolizji. Ruszył pełnym gazem do przodu, uskoczył, kiedy fala uniosła statek na niego, zawrócił i podpłynął, kiedy statek zaniosło w drugą stronę.

W pasie owinięty był liną. Drabinkę miał w zasięgu ręki Wrzucił jałowy bieg, stanął na burcie i skoczył. Wylądował na drabince, kiedy "Karolinka" wchodziła w przechyl dziobowy. Nie puścił drabinki, gdy dziób statku zaczął pogrążyć się w falach.

Woda sięgała mu do pasa, potem do ramion. Głęboko zaczerpnął powietrza, gdy zalewała mu głowę. Miał wrażenie, że jest pod wodą całą wieczność; dziób statku zanurzał się coraz głębiej. Kiedy poczuł, że pękają mu płuca, statek drgnął i dziób zaczął się wreszcie podnosić, co trwało chyba jeszcze dłużej. Wreszcie głowa Dicksteina wynurzyła się na powierzchnię i złapał oddech. Podciągnął się kilka szczebli w górę, odwiązał linę od pasa i przymocował do drabinki, cumując łódź z myślą o ucieczce. Minę magnetyczną miał uwieszoną do linki na barkach. Zdjął ją i przytknął do burty "Karolinki".

Uran był bezpieczny.

Zrzucił sztormiak i wdrapał się po drabince. Warkotu silnika motorówki nie było słycać w szumie wiatru, morza i hałasie maszyn "Karolinki", coś jednak musiało zwrócić uwagę mężczyzny, który wyjrzał przez reling właśnie w chwili, gdy Dickstein znalazł się na wysokości pokładu. Przez moment ze zdumieniem wytrzeszczał na Dicksteina oczy. Dickstein przelażąc przez reling wyciągnął rękę, jakby prosząc o pomoc. Tamten, powodowany naturalnym instynktem udzielenia jej człowiekowi, który usiłuje dostać się na pokład ze wzburzonego morza, uchwycił go za ramię. Dickstein przełożył nogę przez reling, złapał drugą ręką wyciągniętą dłoń i wyrzucił tamtego za burtę. Wiatr zagłuszył rozpaczliwy krzyk. Dickstein przełożył drugą nogę przez reling i kucnął na pokładzie. Wydawało się, że incydent nie miał świadków.

"Karolinka" była małym statkiem, znacznie mniejszym niż "Coparelli". Miała tylko jedną nadbudówkę na śródokręciu, liczącą dwie kondygnacje. Żadnych dźwigów. Na pokładzie przednim wielki luk prowadził do ładowni dziobowej, ładowni rufowej jednak nie było. Dickstein wywnioskował, że pomieszczenia załogi i maszynownia zajmują zapewne całą przestrzeń pod pokładem rufowym.

Zerknął na zegarek. Była piąta dwadzieścia pięć. Lada chwila powinno wybuchnąć zamieszanie, jeśli Suza jest w stanie je wywołać.

Ruszył wzdłuż pokładu. Trochę światła dawały latarnie, ale marynarze dobrze musieliby mu się przyjrzeć, by stwierdzić, że to nie żaden z nich. Nat wyjął nóż z pochwy u pasa: w miarę możliwości wołałby nie używać broni palnej, huk bowiem mógł wszystkich zaalarmować.

Kiedy dochodził do nadbudówki, otworzyły się jakieś drzwi, rzucając klin żółtego światła na mokry od deszczu pokład. Dickstein skoczył za róg i rozpląszczył się

o grodz dziobową. Usłyszał głosy dwóch ludzi rozmawiających po rosyjsku. Drzwi się zatrzasnęły, a głosy oddaliły, gdy mężczyźni ruszyli w deszczu w stronę rufy.

Po zawietrznej stronie nadbudówki Dickstein przeszedł na lewą burtę i podjął wędrówkę ku rufie. Zatrzymał się na rogu i rozejrzawszy się ostrożnie zobaczył, jak tamci dwaj przechodzą przez pokład rufowy i rozmawiają z trzecim. Kusilo go, by skosić wszystkich trzech salwą z automatu - prawdopodobnie stanowili jedną piątą sił nieprzyjaciela - ale postanowił tego nie robić; było za wcześnie, Suza, o której miejscu pobytu nie miał pojęcia, nie przystąpiła jeszcze do działania.

Dwaj mężczyźni wrócili do nadbudówki lewą stroną. Dickstein podszedł do trzeciego, który, jak się zdawało, stał na warcie. Mężczyzna odezwał się do niego po rosyjsku, Dickstein mruknął coś niezrozumiale, tamten o coś zapytał, ale Dickstein był już tak blisko, że skoczył i poderżnął mu gardło.

Wyrzucił zwłoki za burtę i wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł. Dwa trupy i wciąż nie wiedzą, że on jest na pokładzie. Spojrzał na zegarek. Świecące wskazówki wskazywały piątą trzydzieści. Czas wejść do środka. Otworzył drzwi i zobaczył pustą schodnię oraz zejściówkę wiodącą na górę, prawdopodobnie na mostek. Wszedł na nią.

Z mostku dochodziły podniesiono głosy. Wystawiwszy głowę z zejściówki, Dickstein zobaczył trzech mężczyzn - kapitana, pierwszego i drugiego oficera, jak się domyślił. Pierwszy wrzeszczał do rury komunikacyjnej. Dobywał się z niej osobliwy hałas. Kiedy Dickstein wymierzył broń, kapitan pociągnął dźwignię i na całym statku rozległ się alarm. Dickstein nacisnął spust. Donośny grzechot automatu został częściowo zagłuszony przez jęk syreny alarmu pożarowego. Trzej mężczyźni zginęli na miejscu.

Dickstein zbiegł na dół. Alarm oznaczał chyba, że Suza przystąpiła do akcji. Teraz jedyne zadanie Dicksteina polegało na tym, żeby utrzymać się przy życiu, póki jej nie znajdzie.

Zejściówka prowadząca z mostka stykała się z pokładem u zbiegu dwóch schodni - poprzecznej, przez którą wszedł Dickstein, i drugiej, biegnącej wzdłuż nadbudówki. Na obie wyskakiwali z kabin poderwani alarmem ludzie. Żaden chyba nie miał broni: był to alarm pożarowy, nie wezwanie na stanowiska bojowe. Dickstein

postanowił bluffować i strzelać dopiero wtedy, jeśli bluff się nie uda. Ruszył żwawo schodnią centralną, rozpychając stłoczonych ludzi i krzycząc po niemiecku: - Z drogi!

Patrzyli nań ze zdumieniem, nie wiedząc, kim jest, i co tu robi, widząc tylko, że zachowuje się jak dowódca i że gdzieś jest pożar. Ten i ów próbował go o coś zapytać. Zignorował ich. Skądś dobiegł chrapliwy rozkaz i bieganina stała się mniej chaotyczna. Dickstein dotarł do końca schodni i już miał zejść w dół, kiedy zjawił się oficer, który wydał jakiś rozkaz, wskazał Dicksteina palcem i krzycząc o coś zapytał.

Dickstein skoczył w dół. Na niższym pokładzie organizacja była lepsza. Ludzie biegali w jednym kierunku, ku rufie, a grupa trzech marynarzy pod nadzorem oficera wydobywała sprzęt przeciwpożarowy. I tam, w miejscu, gdzie poszerzona schodnia dawała dostęp do węży, Dickstein ujrzał coś, co na chwilę wytrąciło go z równowagi i przesłoniło mu oczy krwawą mgłą nienawiści.

Wsparta plecami o gródź, na pokładzie leżała Suza. Spodnie na jej wyciągniętych nogach były w strzępach. Przez dziury Dickstein dojrzał poparzoną, szerniałą skórę. Poprzez wycie syreny usłyszał wrzask Rostowa:

- Co powiedziałaś Dicksteinowi?

Dickstein zeskoczył z drabinki na pokład. Jeden z marynarzy zastąpił mu drogę. Ciosem łokcia w twarz zwałił go na pokład i skoczył na Rostowa. Mimo furii pojął, że w tym zamkniętym pomieszczeniu nie może użyć automatu, kiedy Rostow jest tak blisko Suzy. Poza tym chciał go zabić gołymi rękami. Chwycił go za ramię i odwrócił do siebie. Rostow ujrzał jego twarz.

- To ty!?

Dickstein najpierw zgiął go w pół i pozbawił oddechu ciosem w splot słoneczny. Gdy głowa mu opadła, szybkim, mocnym wyrzutem kolana złamał mu szczękę. Na koniec, tym samym płynnym ruchem, wkładając w cios całą siłę, kopnięciem w szyję przetrącił mu kark i posłał go na gródź. Nim jeszcze Rostow runął na ziemię, Dickstein obrócił się na pięcie, przypadł na kolano, zerwał z ramienia automat i mając Suzę za plecami otworzył ogień do trzech marynarzy nadbiegających schodnią.

Potem znów się odwrócił i strażackim chwytem podniósł Suzę starając się nie dotykać poparzonej skóry. Miał teraz chwilę do namysłu. Najwyraźniej paliło się na

rufie. Wszyscy biegli w tamtą stronę. Jeśli ruszy w stronę dziobu, będzie miał większe szanse przejść niepostrzeżenie.

Przebiegł całą długość schodni i wniósł Suzę po schodkach. Czuł napięcie jej ciała, a więc wciąż była przytomna. Wspiął się po drabince na pokład główny, znalazł drzwi i wyszedł. Panowało tu lekkie zamieszanie. Ktoś przebiegł obok Dicksteina w stronę rufy, ktoś inny w przeciwną. Ktoś był na dziobie. W dole - na rufie, jeden, zapewne kontuzjowany podczas pożaru, leżał na pokładzie, a dwóch pochylało się nad nim.

Dickstein popędził ku drabince, którą dostał się na pokład. Zarzucił automat na ramię, poprawił trochę Suzę na drugim i przelazł przez reling. Kiedy ruszając w dół rzucił okiem na pokład, zrozumiał, że go odkryto. Zobaczyć na pokładzie obcego i mimo ciekawości, kim jest, odłożyć pytanie na później, ponieważ w tej chwili trwa alarm pożarowy, to jedna sprawa, ale zupełnie co innego ujrzeć kogoś, kto z ciałem przerzuconym przez ramię schodzi ze statku.

Nie był nawet w połowie drabinki, kiedy zaczęli do niego strzelać. Tuż obok głowy Dicksteina o burtę brzęknęła kula. Podniósł wzrok i ujrzał trzech mężczyzn wychylonych za reling: dwaj mieli pistolety. Trzymając się drabinki lewą ręką, prawą chwycił automat, wymierzył w górę i strzelił. Posłał serię panu Bogu w okno, ale tamci się cofnęli.

A on stracił równowagę.

Kiedy dziób statku skoczył w górę, Dicksteina odrzuciło w lewo, upuścił automat do morza i chwycił się drabinki prawą ręką. Prawa stopa ześlizgnęła mu się ze stopnia i stwierdził ze zgrozą, że Suza zaczyna mu się zsuwać z prawego ramienia.

- Trzymaj się! - wrzasnął, nie mając już pewności, czy jest przytomna. Poczł, że jej dłonie chwytają go za sweter, ale zsuwała się ciągle, ściągając go jeszcze bardziej w lewo ciężarem swego ciała. - Nie! - ryknął.

Zsunęła mu się z ramienia i runęła w morze. Obejrzał się, dostrzegł szalupę, skoczył i runął na dno łodzi.

Wrzeszczał jej imię w ciemność otaczającego morza, miotając się od burty do burty, z każdą sekundą tracąc nadzieję, że Suza się wynurzy. Potem przez wycie wiatru usłyszał krzyk. Odwrócił się w tę stronę i pomiędzy szalupą a burtą "Karolinki"

dostrzegł tuż nad powierzchnią wody głowę Suzy. Nie mógł do niej dosięgnąć. Znowu krzyknęła.

Szalupa była uwiązana do statku linką, której większa część leżała zwinięta na dnie łodzi. Dickstein przeciął ją nożem, puszczając koniec uwiązany do drabinki statku i rzucając Suzie drugi.

Kiedy wyciągnęła rękę w stronę liny, fala się podniosła i z powrotem ją wchłonęła. Z pokładu "Karolinki" znów zaczęto strzelać. Dickstein zignorował ogień. Omiótł spojrzeniem morze. Statek i łódź kołysały się i podskakiwały w różnych kierunkach, szanse trafienia były stosunkowo nikłe.

Po kilku sekundach, które Dicksteinowi wydały się godzinami, Suza wynurzyła się ponownie. Rzucił linę. Tym razem zdołała ją pochwycić. Szybko pociągnął i stopniowo doholował ją na tyle, że mógł ryzykownie wychylony za burtę chwycić Suzę za nadgarstki. Teraz ją miał i nie wypuści jej już nigdy.

Wciągnął ją do łodzi. W górze zagdakał pistolet maszynowy. Dickstein wrzucił bieg i padł na Suzę osłaniając ją własnym ciałem. Szalupa oddalała się od "Karolinki", nie sterowana, unoszona przez fale jak bezpańska deska surfingowa. Strzelanina umilkła. Dickstein obejrzał się. "Karolinka" zniknęła z oczu.

Delikatnie odwrócił Suzę na wznak, przerażony, że nie żyje. Oczy miała zamknięte. Ujął koło sterowe, spojrzął na kompas i wszedł na przybliżony kurs. Włączył radiostację i wezwał "Coparellego". Czekając na odpowiedź, przeniósł Suzę bliżej siebie i utulił w ramionach. Nad wodą rozległ się stłumiony huk, jak daleki wybuch: mina magnetyczna.

Odezwał się "Coparelli". Dickstein powiedział:

- "Karolinka" płonie. Zawróćcie i weźcie mnie na pokład. Pełna gotowość w izbie chorych... dziewczyna ciężko poparzona. - Poczekał na potwierdzenie odbioru, potem wyłączył radiostację i wpił się oczyma w zmartwiałą twarz Suzy. - Nie umieraj - powiedział. - Błagam, nie umieraj.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Otworzyła usta, próbując coś powiedzieć. Pochylił się.

- Czy to naprawdę ty? - spytała.

- To ja - odrzekł.

Kąciki jej warg uniosły się w słabym uśmiechu.

- Przeżyję.

Rozległ się huk potężnej eksplozji. Ogień dotarł do zbiorników paliwa "Karolinki". Na kilka chwil ściana płomieni rozświetliła niebo, powietrze rozdarł przeciągły ryk i przestało padać. Ryk umilkł, światło zgasło i nie było już "Karolinki".

- Poszła na dno - powiedział do Suzy Dickstein. Spojrzał na nią. Oczy miała zamknięte, znów straciła przytomność, ale wciąż była uśmiechnięta.

EPILOG

Nathaniel Dickstein zrezygnował z pracy w Mosadzie, a jego nazwisko stało się legendą. Ożenił się z Suzą i zabrał ją do kibucu, gdzie w dzień doglądali winorośli, a przez pół nocy się kochali. W wolnym czasie Nat organizował kampanię polityczną na rzecz takiej zmiany prawa, by jego dzieci mogły zostać uznane za Żydów, lub też, co byłoby jeszcze lepsze, by zniesiono wszelkie różnice.

Przez jakiś czas nie mieli dzieci. Gotowi byli poczekać: Suza była młoda, a Nat się nie spieszył. Poparzenia nie zniknęły bez śladu. Czasem, w łóżku, Suza mówiła:

- Mam koszmarne nogi - a on całował jej kolana i zapewniał:

- Są cudowne, ocaliły mi życie.

Kiedy wybuch wojny w Jom Kippur zaskoczył izraelskie siły zbrojne, Pierre Borg został oskarżony o brak prewencyjnego działania wywiadu i podał się do dymisji. Prawda była bardziej złożona. Winę ponosił rosyjski oficer wywiadu, Dawid Rostow - niemłody mężczyzna, który do końca życia musiał chodzić w kołnierzu gipsowym. Rostow pojechał do Kairu, dokonał analizy wszystkich zdarzeń roku 1968, poczynając od przesłuchania i stracenia izraelskiego szpiega o imieniu Toufik na początku roku i doszedł do wniosku, że Kauasz jest podwójnym agentem. Zamiast osądzić i powiesić Kauasza za szpiegostwo, Rostow pouczył Egipcjan, jak mu podsunąć fałszywe informacje, które Kauasz w naiwności ducha rzetelnie przekazał Borgowi.

W rezultacie Nat Dickstein przerwał swój stan spoczynku i na okres wojny przejął funkcję Pierre'a Borge. W poniedziałek, 8 października 1973, uczestniczył w nadzwyczajnej sesji gabinetu. Po trzech dniach wojny Izraelczycy znaleźli się w tarapatkach. Egipcjanie sforsowali Kanał Sueski i przy ciężkich stratach Izraelczyków odrzucili ich w głąb Synaju. Na drugim froncie - Wzgórzach Golan - Syryjczycy parli naprzód, też zadając Izraelczykom poważne straty. Rząd miał rozważyć propozycję zrzućenia bomb atomowych na Kair i Damaszek. Był to pomysł, który nie zachwycał nawet najbardziej zaciętych jastrzębi w gronie ministrów, lecz sytuacja wyglądała rozpaczliwie. Amerykanie zaś zwlekali z przerzutem broni drogą lotniczą, co mogłoby uratować sytuację.

Zebrani byli o krok od zaakceptowania idei użycia broni nuklearnej, gdy Nat Dickstein wniósł swój jedyny tego dnia wkład w dyskusję.

- Oczywiście - powiedział - możemy oświadczyć Amerykanom, że zamierzamy zrzucić te bomby... dajmy na to, w środę... jeśli natychmiast nie rozpoczną dostaw...

I tak właśnie postąpiono.

Dostawy odwróciły losy wojny i później podobna sesja nadzwyczajna odbyła się w Kairze. Znow nikt nie optował za wojną nuklearną na Bliskim Wschodzie; znow zgromadzeni przy stole politycy jęli się wzajem przekonywać, że nie ma innego wyjścia; i znow nieoczekiwana interwencja wstrzymała decyzję.

Tym razem wkroczyli wojskowi. Znając propozycję, jaką miano przedstawić zebranych głowom państw, na wypadek decyzji pozytywnej dokonali inspekcji stanu gotowości uderzeniowej sil nuklearnych i stwierdzili, że z bomb wyjęto cały pluton i zastąpiono go żelazem. Przypuszczano, że zrobili to Rosjanie, podobnie jak tajemniczo unieszkodliwili reaktor atomowy w Kattarze przed wydaleniem z Egiptu w 1972 roku.

Tego wieczoru jeden z prezydentów przed zaśnięciem w fotelu rozmawiał przez pięć minut z żoną.

- Już po wszystkim - powiedział. - Izrael zwyciężył... ostatecznie. Ma bombę, my zaś jej nie mamy i ten jeden fakt na resztę stulecia wyznaczy bieg historii w naszym regionie.

- A co z uchodźcami palestyńskimi? - zapytała żona.

Prezydent wzruszył ramionami i zapalił ostatnią fajkę przed snem.

- Pamiętam artykuł w londyńskim "Timesie"... chyba pięć lat temu. Informował o tym, że Armia Wolnej Walii podłożyła bombę w komisariacie policji w Cardiff.

- Walia? - zapytała żona. - Gdzie jest Walia?

- To w pewnym sensie część Anglii.

- Ach, pamiętam - powiedziała żona. - Mają tam węgiel i chóry.

- Właśnie. Czy masz pojęcie, jak dawno temu Anglosasi podbili Walińczyków?

- Najmniejszego.

- Ja też nie, ale musiało to być z górą tysiąc lat temu, bo francuscy Normanowie podbili Anglosasów przed dziewięciuset laty. Rozumiesz? Tysiąc lat, a oni wciąż wysadzają komisariaty! Palestyńczycy są jak Walińczycy... Mogą podkładać w Izraelu bomby przez tysiąc lat, ale zawsze będą przegrani.

Popatrzyła na niego. Mimo tylu wspólnie spędzonych lat, wciąż potrafił ją zaskoczyć. Nie spodziewała się już z jego ust podobnych słów.

- Powiem ci coś jeszcze - ciągnął. - Musi nastąpić pokój. Nie możemy wygrać, więc musimy zawrzeć pokój. Nie teraz; może nawet nie za pięć ani za dziesięć lat. Lecz przyjdzie taki moment i wtedy będę musiał jechać do Jerozolimy i powiedzieć: "Skończmy z wojnami". Może nawet będzie mi to poczytane za zasługę. Nie w taki sposób zamierzałem przejść do historii, ale, koniec końców, bywają gorsze sposoby. Człowiek, który zaprowadził pokój na Bliskim Wschodzie? Co ty na to?

Wstała z krzesła i podeszła, by go wziąć za rękę.

- Podziękowałabym Bogu - powiedziała.

Franz Albrecht Pedler zmarł w 1974 r. Umierał zadowolony. Miewał w życiu wzloty i upadki - w końcu przypadło ono na najhaniebniejszy okres w dziejach jego narodu - ale przetrwał i dożył kresu swoich dni szczęśliwy.

Odgadł, co się stało z uranem. Pewnego ranka z początkiem roku 1969 jego firma otrzymała wystawiony przez A. Papagopulosa czek na dwa miliony dolarów z notatką Savile Shipping, która brzmiała: "Za utracony ładunek". Nazajutrz firmę odwiedził przedstawiciel armii izraelskiej, przynosząc zapłatę za pierwszą dostawę środków czystości. Wychodząc powiedział:

- Bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdyby nie prowadził pan dalszych dochodzeń w sprawie zaginionego ładunku.

Wówczas Pedler zrozumiał.

- A jeśli Euratom zwróci się do mnie z zapytaniem?

- Proszę powiedzieć prawdę. Ładunek zaginął, a kiedy usiłował pan wyjaśnić, co się z nim stało, odkrył pan, że spółka Savile Shipping zwinęła interes.

- A zwinęła?

- Zwinęła.

Tak właśnie odpowiedział Pedler Euratomowi. Później tę samą historię - kompletnie prawdziwą, choć niekoniecznie prawdziwie kompletną - powtórzył inspektorowi, którego Euratom do niego wysłał.

- Sądzę - oświadczył Pedler - że niebawem ta sprawa nabierze rozgłosu.

- Wątpię - odparł inspektor. - Stawia nas w złym świetle. Nie przypuszczam, byśmy rozgłaszali tę historię, chyba że zdobędziemy dodatkowe informacje.

Rzecz jasna, nie zdobyli dodatkowych informacji; przynajmniej za życia Pedlera.

W święto Jom Kippur 1974 roku Suza Dickstein zaczęła rodzić. Zgodnie z tradycją tego konkretnie kibucu dziecko przyjmował ojciec, wspomagany radami i wsparciem moralnym akuszerki.

Dziecko było małe, jak jego rodzice. Dicksteinowi oczy zwilgotniały i zaszyły mgłą. Przytrzymał główkę niemowlęcia, sprawdził, czy pępowina nie owinęła się wokół szyi i powiedział:

- To prawie już, Suzo.

Suza naparła jeszcze raz i urodziły się ramionka dziecka; potem było z górki. Dickstein powiązał w dwóch miejscach i przeciął pępowinę, a wreszcie, znów wedle lokalnego obyczaju, umieścił niemowlę w ramionach matki.

- Czy jest zdrowe? - zapytała Suza.

- Idealnie - odparła akuszerka.

- Chłopczyk czy dziewczynka?

- Dobry Boże - powiedział Dickstein. - Nawet nie sprawdziłem... to chłopczyk.

Po chwili Suza spytała:

- Jak mu damy na imię? Nathaniel?

- Chciałbym, żeby się nazywał Toufik - powiedział Dickstein.

- Toufik? Czy to nie jest arabskie imię?

- Tak.

- Dlaczego? Dlaczego Toufik?

- Ach - odrzekł - to długa historia.

POSTSCRIPTUM

Z londyńskiego "Daily Telegraph", 7 maja 1977:

**IZRAEL PODEJRZANY O UPROWADZENIE STATKU Z ŁADUNKIEM
URANU**

Od naszego korespondenta w Nowym Jorku, Henry'ego Millera.

Ujawniono wczoraj, że za aferą sprzed dziewięciu lat, kiedy to na pełnym morzu zaginął ładunek uranu, wystarczający do skonstruowania trzydziestu bomb jądrowych, stoi podobno Izrael.

Zdaniem czynników oficjalnych incydent był “prawdziwą aferą w stylu Jamesa Bonda” i choć tajemnicę jej zgłębiały służby wywiadowcze czterech państw, nigdy nie ustalono, co się właściwie stało z dwustu tonami zaginionej rudy uranu...

- cytowane za zgodą “The Daily Telegraph”, Ltd.